

Materiały Instytutu Socjologicznego w Poznaniu
TOM I.

WŁADYSŁAW BERKAN

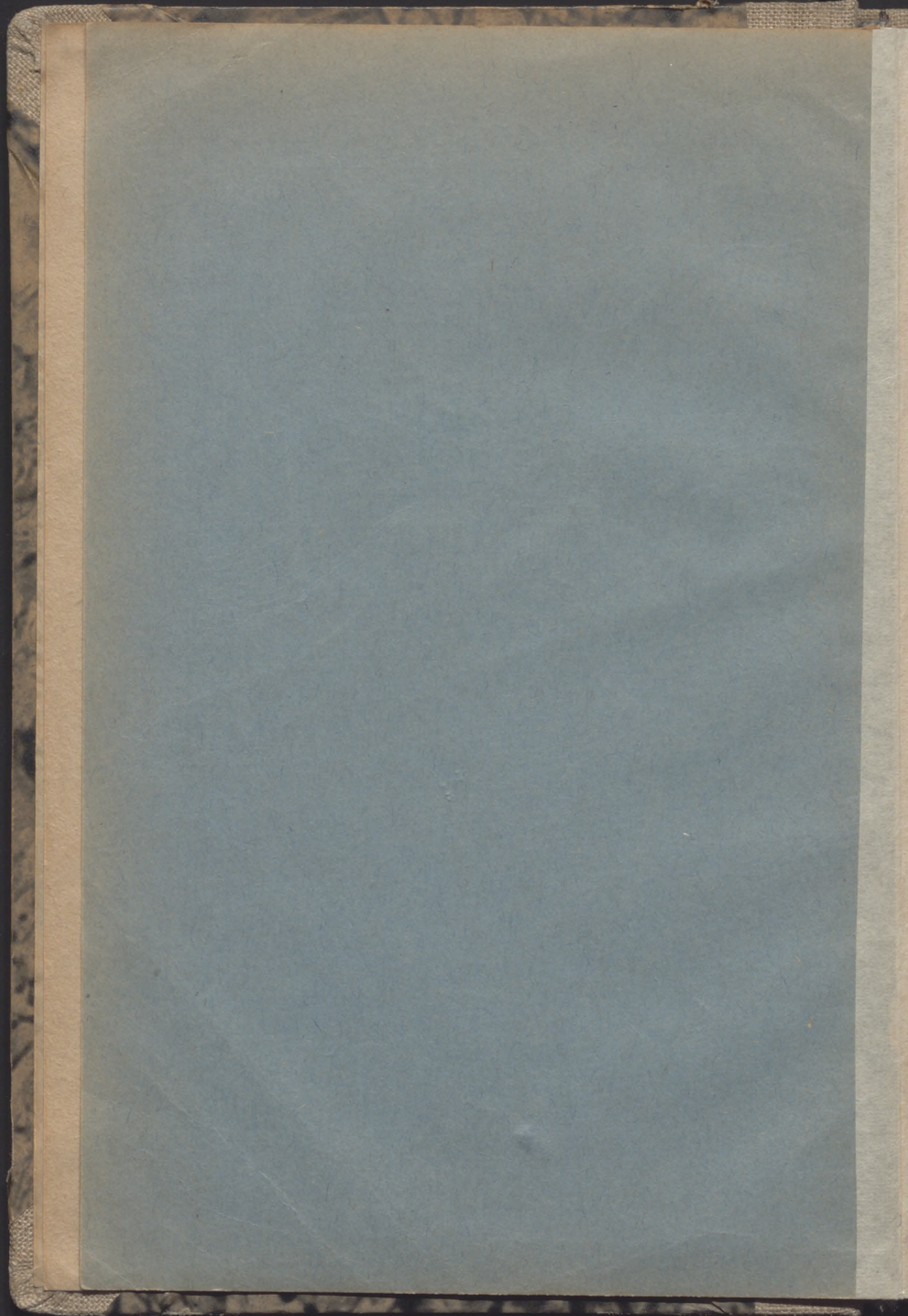
ŻYCIORYS WŁASNY

Z PRZEDMOWĄ

Prof. Dr. FLORJANA ZNANIECKIEGO



POZNAŃ
FISZER I MAJEWSKI
1924



Subst. 03130

20

Materiały Instytutu Socjologicznego w Poznaniu
TOM I.

777

WŁADYSŁAW BERKAN

ŻYCIORYS WŁASNY

Z PRZEDMOWĄ

Prof. Dr. FLORJANA ZNANIECKIEGO



10318

[1924]

POZNAŃ

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI FISZERA I MAJEWSKIEGO

178.685
II

CZCIONKAMI ZAKŁ. GRAFICZNYCH „POL“ T. Z O. P. W POZNANIU



L: 2-233



PRZEDMOWA.

Niniejsza autobiografia jest jedną z wyróżnionych na konkursie życiorysów robotniczych, ogłoszonym przez Instytut Socjologiczny w Poznaniu. Nie stanowi ona wprawdzie typowego życiorysu własnego robotnika, ani pod względem treści, gdyż zawiera stosunkowo zbyt mało danych o ściśle prywatnym życiu autora, ani pod względem formy, gdyż intelektualistyczne opracowanie przeważa w niej nad bezpośrednim opisem konkretnych doznań osobistych w ich biograficznym porządku. Dlatego też Komisja Konkursowa Instytutu nie przyznała tej pracy nagrody; ze względu jednak na liczne jej zalety, nie mogła jej pominąć, ani też postawić na podrzędnym miejscu w hierarchji prac konkursowych. Wobec tego uchwalono wyróżnić ją wzmianką zaszczytną poza konkursem.

Ogłaszając obecnie tę autobiografię, jako pierwszy tom materiałów Instytutu Socjologicznego, nie potrzebujemy podkreślać, co w niej jest zajmującym z anegdotycznego punktu widzenia, ani też uwydatniać jej doniosłości dla historii wychodźstwa polskiego w Berlinie: te jej strony bowiem każdemu rzucają się w oczy. Pragniemy jednak zwrócić uwagę czytelników na znaczenie dokumentów autobiograficznych wogóle, a niniejszego życiorysu w szczególności dla badań socjologicznych.

Historycy dawno już i w pełni wyzyskują autobiografie i pamiętniki dla swoich celów i wielokrotnie poddawali ten rodzaj materiałów dyskusji i krytyce. Dla historii jednak rola autobiografji jest z góry ograniczona przez wzgląd na prawdomówność autora, piszącego swe wspomnienia życiowe. Ponieważ historykowi chodzi przede wszystkim o ustalenie z możliwie największą pewnością określonych indywidualnych faktów z obiektywnej przeszłości dziejowej, więc nietylko każde świadome kłamstwo pamiętnikarza, lecz nawet każdy mimowolny błąd w opisie osłabia wartość dokumentu. Dla historyka autor pamiętnika jest w pierwszym

rzędzie ważny nie jako przedmiot badań, lecz jako świadek, opisujący sprawy, które widział lub słyszał i jego opis ma służyć jako podstawa do odtworzenia faktycznego obiektywnego przebiegu tych spraw. Wiadomo zaś, zwłaszcza w świetle nowoczesnych badań nad psychologią świadczona, jak rzadką i w najlepszym wypadku tylko przybliżoną jest wiarogodność świadka, jak najdrobniejsza nawet przymieszka osobistego, rodzowego, zawodowego, klasowego, narodowego, religijnego przesądu lub pożądanego subiektywnie zabarwienia obserwowane i opisywane zjawiska, jak nawet przy najszczerzym zamiarze obiektywności trudno jest wiernie opowiedzieć lub opisać wyniki własnych (a tembardziej cudzych) obserwacji, i jak wreszcie same te wyniki u osób, niewykształconych w umiejętności obserwowania, niezgodne są z obiektywnym stanem rzeczy wskutek licznych złudzeń, wchodzących w grę nawet w chwili naocznej obserwacji, a potęgujących się we wspomnieniach. Historyk więc przywykł polegać na autobiografiach dopiero po nader dokładnem ich zestawieniu z innymi źródłami i surowej krytyce względnej sumiennosci, szczerości i umysłowego poziomu autorów; traktuje on jako zupełnie wiarogodną tylko tę ich stronę, w której bez świadomego zamiaru autorów uwydatniają się nie zdarzenia i osoby, lecz obyczaje i wierzenia danej epoki i środowiska.

W nowoczesnych dopiero czasach zwrócono uwagę na autobiografię jako źródło psychologii indywidualnej. Takie klasyczne życiorysy własne jak św. Augustyn, Rousseau, Amiel, Marie Bashkirtseff etc. posłużyły jako materiał wielu psychologom, zwłaszcza francuskim. W książce A. R. Burr „The Autobiography“ ta funkcja życiorysów własnych jest szczegółowo omówiona. W przeciwieństwie do historyka, dla którego pamiętnikarz jest zwykle tylko narzędziem do uzyskania informacji o środowisku, w którym się obracał, psychologa interesują wyłącznie osobiste, subiektywne doznania pamiętnikarza, obiektywne zaś zdarzenia zajmują go o tyle tylko, o ile wywołały pewne reakcje psychologiczne. Psycholog więc przyjmuje środowisko społeczne jako dane, częściowo z samego pamiętnika, częściowo z innych źródeł; zadaniem jego natomiast jest możliwie dokładne określenie wrażeń, wyobrażeń, pojęć, uczuć, wzruszeń, pragnień, usposobień, skłonności etc. autora, oraz ustalenie zachodzących pomiędzy nimi związków. Dla psychologa więc najistotniejsze są wypowiedzenia pamiętnikarza o własnych doznaniach; dlatego też najbardziej ceni on

sobie te autobiografie, w których przeważa pierwiastek introspekcji i samoanalizy, jak właśnie w powyżej wymienionych klasycznych przykładach. Rozumie się, że przytem występują nowe źródła błędów, mianowicie, bądź świadomie fałszywe wypowiedzenia o sobie, bądź też złudzenia autora co do własnych doznań, wynikające z jego niezdolności do introspekcji i samoanalizy. W obu wypadkach faktyczne doznania pamiętnikarza mogły być zupełnie inne, niż te, które podaje on w swym opisie. Pewną korektywę tych błędów znajduje psycholog z jednej strony w zestawieniu ogółu wypowiedzeń pamiętnikarza pomiędzy sobą, kłamstwa bowiem rzadko bywają konsekwentne, a i złudzenia co do siebie dają się nieraz łatwo wykryć, z drugiej zaś w porównaniu psychiki danego osobnika z psychikami innych i w uwzględnieniu tego, co już wiemy o życiu psychicznem wogóle.

Użytek autobiografji dla socjologicznych celów dopiero się rozpoczyna. Wytyczne jego przedstawione zostały przez nas wspólnie z prof. W. D. Thomas'em we wstępie do tomu III. dzieła „The Polish Peasant“; późniejsze badania jednak zmusiły nas do pewnej modyfikacji i rozszerzenia zawartych tam twierdzeń. W odróżnieniu od psychologa, socjolog bierze autora życiorysu całkowicie i wyłącznie na tle jego społecznego środowiska, w nierozzerwanym z niem związku; w odróżnieniu od historyka, rozpatruje on środowisko społeczne pamiętnikarza wyłącznie i całkowicie w odniesieniu do jego osoby. Indywiduum i jego środowisko stanowią w oczach socjologa jedną całość. To znaczy, po pierwsze, że indywiduum z socjologicznego punktu widzenia nie jest kompleksem doznań, posiadających odrębny byt własny, ale istniejących tylko o tyle, o ile są aktualnie dane, o ile podmiot jest ich świadomy. Stanowi ono raczej złożony kompleks czynności, z których każda odnosi się do przedmiotów otoczenia i daje się ująć i określić jedynie w związku z temi przedmiotami, na które działa lub działać usiłuje; ale z drugiej strony socjologa nie obchodzi, czy sam osobnik sobie swe czynności refleksyjnie uświadamia i jak przedstawiają mu się one, gdy nad niemi rozmyśla, lecz tylko, czy i jak objawiają się one w swych wynikach, czy i jaki wywierają wpływ na otoczenie tego indywiduum. Po drugie zaś, otoczenie to nie interesuje socjologa „samo w sobie“; wcale nie chodzi mu o to, aby je odtworzyć możliwie wiernie i obiektywnie z punktu widzenia idealnego bezstronnego obserwatora, lecz przeciwnie, aby wziąć je tak, jak przedstawia się

samemu osobnikowi, który w niem żyje i działa, aby zdać sobie sprawę z tego, czem jest ono dla tego osobnika, jako jego otoczenie, w jakim charakterze składające je przedmioty wchodzą w skład jego konsekwentnej świadomej osobowości. Wpływ bowiem, jaki rzeczy i ludzie wywierają na nasze życie świadome, zależy nie od tego, czem są one same w sobie lub dla innych, lecz od tego, czem są dla nas i w naszym praktycznym ujęciu.

Wskutek tego punktu widzenia socjologa, autobiografia posiada dla niego daleko bardziej niewątpliwą wartość, jako dokument naukowy, niż dla psychologa lub historyka: to bowiem, co dla nich stanowi źródło błędów, dla socjologa jest w każdym razie materiałem do badań, choć często ograniczonym i niekompletnym. Przypuśćmy więc, że pamiętnikarz kłamie lub myli się w opisywaniu własnych uczuć lub pragnień, że zamiast tego uczucia lub pragnienia, którego rzeczywiście doznawał w pewnej okoliczności, we wspomnieniach swych wyraża jakieś inne. Dla psychologa jego zeznanie staje się bezwartościowym, lub nawet szkodliwym naukowo, jeżeli nie można się przekonać o jego fałszywości. Natomiast socjolog w zeznaniu tem widzi faktyczny czynny objaw wyrażanej w niem dążności; wyrażenie słowne dążności bowiem jest przynajmniej częściowym społecznym urzeczywistnieniem tej dążności. Niema więc tu mowy o prawdziwości lub błędności zeznania, zeznanie bowiem jest faktem, który sam przez się posiada to znaczenie, jakie mu osobnik zeznający nadaje. Jeżeli np. twierdzi on, że swemu przyjacielowi życzył dobra, lub że był wiernym mężem, twierdzenie to samo przez się znaczy, że przynajmniej w chwili jego wypowiedzenia, a prawdopodobnie i w czasie, do którego treść tego wypowiedzenia się odnosi, istniała w nim pewna życzliwość w stosunku do przyjaciela, pewna dążność do tego, aby być wiernym mężem. Za wyjątkiem rzadkich wypadków refleksyjnego celowego oszustwa, przy których całkowita niezgodność wypowiedzenia z rzeczywistym stanem rzeczy jest w oczach podmiotu niezbędną dla realizacji jego zamiaru, człowiek nie wyraża dążności, których wogóle wcale nie posiada; a nawet i oszust wtedy tylko na powodzenie, jeżeli, jak dobry aktor, choćby przelotnie i w drobnej mierze pragnie i odczuwa to, co udaje.

Trudność powstaje dopiero wtedy, gdy chodzi o wyznaczenie roli, jaką dana dążność odgrywała w życiu czynnym osobnika

w związku z innymi dążnościami. Człowiek, twierdzący, że swemu przyjacielowi życzył dobra, mógł być w innych chwilach zawistnym względem niego i zawiść ta wyrazić się mogła w czynach, sprawiających przyjacielowi poważną szkodę, gdy tymczasem życzliwość objawiała się tylko w słowach lub w społecznie bezpłodnych emocjach. Człowiek, który niekiedy chciał być wiernym mężem, mógł mieć też inne pożądanja, sprzeczne z tą dążnością, i podczas gdy chęć wierności pozostawała w sferze wyobrażeń, owe sprzeczne z nią pożądanja mogły objawiać się na zewnątrz w czynach materialnych. Trudności socjologa mają więc swe źródło nie w tem, co pamiętnikarz mówi, lecz w tem, co ukrywa, nie w bezwartościowości, lecz w niedostateczności materialów osobistych, jakie znajduje w autobiografji. Każde wyznanie jest cennem, jako dana, lecz nie każde rzuca równie cenne światło na całokształt osobowości podmiotu lub na pewien jego kompleks świadomy.

Innymi słowy, wszystkie zeznania osobiste, zawarte w autobiografji, stanowią niewątpliwym materiałem do analizy socjologicznej, do wydzielenia elementarnych składników indywiduum społecznego; lecz materiału tego może być zbyt mało dla syntezy, dla utrwalenia faktycznego związku, jaki pomiędzy temi składnikami zachodzi. Im „prawdziwsza“ autobiografja, to znaczy im sumiennie autor chciał i umiał wypowiedzieć to, co w jego myślach, uczuciach, pragnieniach było życiowo najważniejszym, tem mniej *caeteris paribus* dają się odczuwać braki ilościowe materiału; lecz i kłamiwa pod względem psychologicznym autobiografja, jeżeli zawiera materiał bardzo obfity, może służyć za podstawę ważnych syntez, gdyż daje możliwość pośredniego wnioskowania o takich dążnościach i kompleksach, których autor bezpośrednio nie wyjawiał. A dodać trzeba, że, o ile uda się tym sposobem odtworzyć dążność, którą autor świadomie lub nieświadomie ukrył, rzuca to na dany materiał jeszcze ważniejsze światło, niż zupełna szczerość, gdyż samo ukrywanie odnośnej dążności posiada zwykle bardzo zajmujące podłoże psychologiczno-społeczne.

Analogiczne uwagi nasuwają się w związku z przedstawieniem przez autora autobiografji obiektywnych faktów i osób z jego otoczenia. Wyobraźmy sobie, że pamiętnikarz umyślnie lub mimowoli fałszuje fakty, zasze w jego otoczeniu, że np.

błędnie przedstawia postępowanie innej osoby. Jeżeli istotnie wyobraża on sobie, że ta osoba w opisany sposób postępowała, w takim razie ze względu na jego stanowisko względem niej obojętną jest sprawa, czy myli się, czy ma słuszość, gdyż stanowisko indywiduum społecznego względem otoczenia zależy od tego, jak samo indywiduum to otoczenie ujmuje. Jeżeli natomiast pamiętnikarz świadomie zmyśla, w takim razie mamy bardziej skomplikowaną sytuację. Zmyślane przezeń postępowanie owej drugiej osoby nie jest czemś, z socjologicznego punktu widzenia całkowicie nierzeczywistem. Istnieje ono w każdym razie, jako wytwór wyobraźni podmiotu, taki wytwór zaś nie jest życiowo obojętną grą fantazji, lecz przejawem jakichś dążeń autora, który chce podsunąć owej osobie to zmyślane postępowanie, pragnie to ostatecznie ująć tak, jak gdyby było ono rzeczywistem. Przypuśćmy, że jestto postępek hańbiący — znaczy to, że podmiot pragnąłby, aby ta osoba postępkowi takiego się dopuściła, choćby np. po to, by znaleźć uzasadnienie dla swego względem niej postępowania. Przypuśćmy, że twierdzi on, iż owa osoba uznała jego wyższość na pewnym polu — to znaczy, że pragnie, aby takie uznanie rzeczywiście było nastąpiło. Zmyślane fakty są więc o tyle właśnie rzeczywistymi faktami, że podmiot przez nie dopełnia rzeczywiste swe otoczenie tak, by harmonizowało z jego dążeniami. Stoją więc one w związku z rzeczywistem otoczeniem — w związku, który nie posiada obiektywnego znaczenia dla historyka, lecz ma subiektywne znaczenie w oczach podmiotu, tem samem zaś pozwala socjologowi częściowo zrozumieć zachowanie się tego ostatecznego. Całkowite zrozumienie jednak wymagałoby tutaj oczywiście znajomości faktów, obiektywnie realnych, zamiast których podmiot podsunął fakty zmyślane; ponieważ bowiem podmiot fakty te znał i na nie w pewien sposób reagował, więc nasza nieznamość ich zakrywa przed nami tę część jego postępowania, która z ukrytymi faktami się wiąże.

Słowem, socjolog znajduje się zwykle wobec autobiografii w tem położeniu, co każdy inny uczony wobec niekompletnego zbioru materiałów: wszystkie materiały, które posiada, przyczyniają się do osiągnięcia naukowych wyników, lecz w posiadanym zbiorze może brakować danych do rozwiązania wielu zagadnień. Jedyne wyjściem z tego położenia jest wykorzystanie tych danych, jakie są, do takich zagadnień, jakie z ich pomocą mogą

być rozstrzygnięte. Każda autobiografia, względnie obszerna i szczegółowa, pozwala osiągnąć cenne i trwale wyniki naukowe odnośnie do pewnych przynajmniej fragmentów tej olbrzymiej sfery badań, jaką stanowi życie społeczne; chodzi więc głównie o to, aby tych autobiografii było jaknajwięcej.

Z pośród zagadnień naukowych, jakie socjolog postawić sobie może w odniesieniu do danej autobiografii, na pierwszy plan wysuwa się zagadnienie ukształtowania i ewolucji psychospołecznej osobowości autora pod wpływem środowiska. Jednostka przynosi ze sobą pewien zasób popędów przyrodzonych, które stopniowo, w miarę jej rozwoju i w związku z warunkami otoczenia, określają się jako specyficzne dążności, ustalają się w postaci mniej lub więcej trwałych skłonności i usposobień, wyrażają się obiektywnie w przyzwyczajeniach, podporządkowują swe czynne objawy normom i ideałom. Znajdujemy tu mnóstwo różnorodnych procesów, które należy przedewszystkiem poddać analizie, by wydzielić możliwie najprostsze a najważniejsze elementy i fakty, następnie zaś badać ich skojarzenia, ich wzajemne oddziaływania, ich mniej lub więcej złożone kombinacje. Osobowość ludzka bowiem w świetle badań socjologicznych nie przedstawia się, jako jedna i niepodzielna całość przyrodzona. Jest ona nagromadzeniem rozmaitych mniej lub więcej bogatych i zorganizowanych, a ciągle modyfikujących się w czasie, kompleksów czynności i odpowiadających im wartości, które nazwać możemy kompleksami zainteresowań. Pomędzy temi kompleksami zachodzą wprawdzie mogą bliższe lub dalsze związki; zwykle jednak są one w pewnej mierze odosobnione. Odosobnienie to często łączy się z faktem, że należymy do różnych grup społecznych, które nieraz nie mają ze sobą żadnej styczności, i w każdej z tych grup inny kompleks zainteresowań jest czynny. Nieraz umyślnie utrzymujemy ten podział naszej osobowości, nie dopuszczamy np. do tego, by nasze życie rodzinne wpływało na wykonywanie naszych obowiązków zawodowych, by kłopoty zawodowe przeszkadzały nam w użyciu przyjemności życiowych, by przyjemności życiowe oddziaływały na naszą pracę intelektualną, by intelektualne pobudki wkraczały krytycznie w sferę naszego życia religijnego. Podobnie też naszych przyjaciół politycznych nie zawsze chcielibyśmy widzieć w naszym kółku towarzyskim, a naszych towarzyszy hulanków nieraz umyślnie unikamy na terenie współpracy politycznej lub życia rodzinnego. A jeżeli nawet staramy się

zjednoczyć naszą osobowość, połączyć rozbieżne kompleksy zainteresowań dokoła wspólnego ośrodka, nigdy nie zdołamy tego całkowicie dokonać: niektóre kompleksy wymkną się z tego związku lub związek sam będzie zbyt luźny, aby można go uważać za istotną jedność.

Wśród tych kompleksów jedne odgrywają wybitną rolę w całości kształcie życia indywidualnego, gdyż są tak bogate i rozgałęzione, że nader często lub długotrwale aktualizują się w świadomości; inne natomiast, ubogie w składniki i odosobnione, rzadko tylko i przelotnie nabierają aktualnego znaczenia. Porównajmy np. kompleks rodzinny, zawodowy lub praktyczny z tym kompleksem luźnych zainteresowań, jaki nas łączy z przygodnymi towarzyszami podróży w obcym kraju. Dalej zaś, niektóre kompleksy są zorganizowane systematycznie, poszczególne ich składniki harmonizują i współdziałają ze sobą nawzajem, inne natomiast są chaotyczne, poszczególne ich wartości wchodzą ze sobą w konflikt, należące do nich czynności wykazują rozbieżność zamiarów. Tak np. do względnie najlepiej zorganizowanych należą zwykle kompleksy zainteresowań zawodowych, tymczasem kompleks zainteresowań seksualnych jest u większości osób chaotyczny. Organizacja kompleksu może być przytem albo przeważnie statyczna, oparta na wymaganiu trwania tych samych wartości i powtarzania podobnych czynności, jak np. w zawodowych zainteresowaniach przeciętnego robotnika lub urzędnika, albo też przeważnie dynamiczna, zawierająca wymaganie twórczego rozszerzania sfery wartości i rozwijania czynności coraz to nowych, jak np. w zawodowych zainteresowaniach artysty lub uczonego, albo w społecznych zainteresowaniach czynnego patrioty.

Im bogatszy i lepiej zorganizowany taki kompleks zainteresowań, tem donioślejszym jest dla socjologicznej charakterystyki indywidualium społecznego. Jakkolwiek tedy konkretnej osobowości ludzkiej w całym jej bogactwie wyczerpać niepodobna, jednakowoż uwzględniając dominujące kompleksy można odtworzyć naukowo przynajmniej to, co ją określa jako indywidualium społeczne, co w niej przedstawia się jako ważne innym ludziom i jej samej. Odtworzenie to będzie tem łatwiejsze, im lepszą organizację i większą jedność podmiot sam pod wpływem otoczenia nadał swemu życiu społecznemu. Przed socjologiem stoi wówczas podwójne zadanie: zbadać, w jaki sposób odnośnie

kompleksy zainteresowań się uformowały przez współdziałanie własnych dążeń podmiotu z warunkami środowiska i jakim zmianom ulegały one po swoim uformowaniu. Rozumie się przytem, że studjum poszczególnej osobowości jest tylko punktem wyjścia dla obszerniejszych studjów porównawczych nad różnemi osobowościami, których ostatecznym zamiarem jest wykrycie prawidłowości ogólnych kształtowania się i zmian indywiduów społecznych.

Autobiografja ma tę zaletę, że w niej umyślnie lub mimowoli wysuwają się na plan pierwszy właśnie owe dominujące kompleksy zainteresowań. Nie wszystkie wprawdzie zostają w równej mierze ujawnione. W każdym społeczeństwie istnieje pewna ogólnie uznana hierarchja czynności i wartości ludzkich; jedne grupa ceni wyżej, uważa za mniej lub więcej wzniosłe, dobre, pożyteczne, normalne i t. p. i zachęca do ich przejawiania, inne natomiast traktuje jako względnie poziome, złe, szkodliwe, nienormalne i nie tylko hamować się stara ich funkcjonowanie, lecz często nawet ujemnie się odnosi do ich wyjawiania w słowach. Otóż osobnik, piszący autobiografję, oczywiście podlega wpływowi tych ocen środowiska i zwykle niechętnie wyjawia te swoje wartości i czynności, które stoją nisko w hierarchji społecznej (bywają też, choć rzadko, wypadki przeciwne, że ukrywa on właśnie to, czemu społeczeństwo przypisuje charakter największej wzniosłości, bądź to w poczuciu, że publiczne jego wyjawienie miałoby charakter profanacji, bądź też w obawie posądzenia o faryzeuszostwo). Jeżeli tego rodzaju zamilczenie dotyczy tylko pojedynczych czynności lub wartości, nie ma ono większego znaczenia: o ile bowiem są to fakty odosobnione, w takim razie nie są ważne dla zrozumienia społecznej osobowości autora, o ile natomiast wchodzą w skład obszerniejszych kompleksów, łatwo drogą porównawczą dopełnić odnośną lukę. Jeżeli jednak cały jakiś obszerniejszy kompleks życiowy podlega zamilczeniu, w takim razie strata jest poważna i nie mamy sposobu jej powetowania.

Na szczęście jednak, takie zamilczenie jakiegoś większego kompleksu nie staje jeszcze na przeszkodzie do naukowego ujęcia innych ujawnionych kompleksów, a to wbrew popularnej dzisiaj teorii (psychoanalitików), która klucz do zrozumienia całego życia świadomego jednostki widzi w tych właśnie kompleksach, które podlegają inhibicji i zamilczeniu ze względów społecznych, prze-

dewszystkiem zaś w kompleksie seksualnym. Jak widzieliśmy bowiem, związek poszczególnych kompleksów zainteresowania w życiu indywidualnem może być bardzo luźny, i kompleks nieujawniony może wogóle nie wywierać ważniejszego wpływu na taki lub inny kompleks ujawniony. Tak np. u wielu ludzi zainteresowania seksualne nie posiadają prawie żadnego znaczenia dla ich działalności zawodowej lub społecznej. O ile zaś tego rodzaju wpływ istnieje, nie jest on jakimś tajemniczem działaniem mistycznych podświadomych potęg, lecz ujawnia się empirycznie w takich zmianach danego życiowego kompleksu, które doskonale dają się pozytywnie stwierdzić i odnieść do swego źródła. Wpływ kompleksu seksualnego na twórczość artysty przejawia się wyraźnie w seksualnych motywach i aluzjach, zawartych w jego dziełach; wpływ tegoż kompleksu na działalność zawodową kierownika biura — w doborze pracowników biurowych i zachowaniu względem nich, i t. p. Tylko w takim razie trudno jest niekiedy empirycznie stwierdzić na pierwszy rzut oka wpływ zamilczanego kompleksu, jeżeli chodzi o czynności i wartości na pozór niezorganizowane, nie stojące w związku z żadnym innym kompleksem. Jednostka może np. nie zdawać sobie sama sprawy, i obserwator nie uprzedzony może wcale nie rozpoznać, że taka lub inna jej czynność, pozornie z niczem w jej życiu się nie wiążąca, że takie lub inne pozornie bezsensowne marzenie lub zwidzenie senne, jest w rzeczywistości wyrazem zainteresowań seksualnych. Znaczy to jednak tylko, że owa czynność lub wartość wymarzona nie jest odosobniona, lecz wchodzi bezpośrednio lub pośrednio w skład seksualnego kompleksu, podobnie jak inna jest składnikiem kompleksu zawodowego lub religijnego; tylko, podczas gdy jednostka nauczyła się uświadamiać sobie związek, jaki zachodzi pomiędzy poszczególnymi czynnościami zawodowymi lub religijnymi, i nieraz umyślnie nawet związek ten wytworzyła, to przeciwnie, na skutek tajemniczości, jaką większość grup społecznych otacza kompleks seksualny, różne rozgałęzienia tego kompleksu są samemu podmiotowi często nieznane.

Tak więc, chociaż nieznanomość pewnych kompleksów zainteresowań utrudnia, często uniemożliwia całkowite odtworzenie naukowego osobnika, jako indywidualium społecznego, jednakże zadowalniając się tem, co ten osobnik nam ujawnia, możemy zawsze osiągnąć wyniki, które w pewnych przynajmniej granicach będą zupełnie pewne.

W autobiografii, którą mamy przed sobą, na mocy wewnętrznych i zewnętrznych sprawdzianów subiektywna prawdziwość autora wydaje się niewątpliwą; to znaczy, iż wszystko, co podaje, jest bezwątpienia w jego własnym przekonaniu prawdą. Natomiast stwierdzić musimy, że autobiografia zawiera liczne i ważne zamilczenia, częściowo umyślnie, częściowo mimowolne. Tak więc, kompleks seksualny jest świadomie zupełnie opuszczony, kompleks rodzinny uwzględniony tylko powierzchownie. Nieumyślnie natomiast autor dokonywa pewnej selekcji faktów w zakresie tych zainteresowań, które zapełniają jego życiorys. Zauważamy, że rozwodząc się nad swymi powodzeniami i triumfami, pomija, lub pobieżnie tylko uwzględnia niepowodzenia i upokorzenia, co wywołać może w oczach powierzchownego czytelnika wrażenie pewności siebie i zarozumiałości. Przy głębszym jednak wejrzeniu oba rodzaje opuszczeń nietylko doskonale się tłumaczą, lecz same przez się rzucają ważne światło na indywidualność społeczną autora.

Ten ostatni jest typowym „self-made man“, — człowiekiem, który z niczego, w ciężkich warunkach, wśród zaciętej konkurencji, wytrwałą pracą zawodową dorobił się poważnego majątku; który, dzięki swemu zmysłowi organizacyjnemu i szczerej ideowości, wybił się na jedno z przodujących stanowisk wśród licznej kolonii polskiej w Berlinie, odegrał wybitną i twórczą rolę w jej życiu społeczno-politycznym, i wskutek tego, a również za pośrednictwem swego zawodu, wszedł w styczność z szerokimi sferami inteligencji polskiej w kraju, który wreszcie przy tem wszystkim znalazł czas na dopełnienie wielu braków swego ogólnego wykształcenia. Zrozumiałem jest, że przy tego rodzaju ześrodkowaniu wszystkich wysiłków na działalności zawodowej, politycznej i samokształcącej nastąpić musiała daleko idąca i nógół skuteczna inhibicja lub represja popędów, nie dających się szarmonizować z przeważającymi dążeniami, nie znajdujących dla siebie miejsca w dobrze zorganizowanych kompleksach ekonomiczno-technicznych, społeczno-politycznych i intelektualnych zainteresowań. Inhibicja taka była tem skuteczniejszą, że te dominujące kompleksy zostały nietylko szarmonizowane wewnętrznie, ale powiązane pomiędzy sobą w jedną, względnie harmonijną całość, tak, że np. przy represji popędów hedonistycznych względy ekonomiczne współdziałają ze społecznymi i intelektualnymi. Zrozumiałem jest również w tych warunkach, że i takie zainte-

sowania autora, które nie stały w wyraźnym konflikcie z prze-
ważającymi kompleksami, zostały wprawdzie zachowane, lecz
podporządkowane tym kompleksom, wcielone niejako do owego
względnie jednolitego całokształtu jego organizacji życiowej.
Dotyczy to w pierwszym rzędzie jego życia rodzinnego, które
z praktyczno-ekonomicznej strony jest podporządkowane działal-
ności zawodowej, pod względem społecznym zaś szarmonizowane
z życiem publicznym autora. Porównanie z innymi autobio-
grafjami dopełnia powyższe uogólnienia; u jednostek, którym
praca zawodowa nie daje zadowolenia i które mały biorą udział
w życiu publicznym, kompleks hedonistyczny w młodości i kom-
pleks rodzinny w późniejszym wieku posiadają zwykle dominujące
znaczenie.

Ogólny charakter organizacji życiowej autora tłumaczy rów-
nież tę nieświadomą selekcję, jakiej dokonał on wśród swoich
wspomnień. Jednostka czynna, szybko się rozwijająca, postępująca
naprzód i skutecznie przewyciężająca przeszkody, spontanicznie
i bezrefleksyjnie zapomina lub bagatelizuje swe dawne porażki,
pamiętając natomiast, gromadząc, a nieraz mimowoli rozwijając
w swej pamięci wszelkie przeszłe powodzenia. Jestto objawem
tego samego usposobienia, które popycha ją do coraz to nowych
wysiłków, pobudza do tworzenia coraz to szerszych planów; co
więcej, jestto jednym z warunków dalszego powodzenia, gdyż
dodaje jej pewności siebie i optymizmu względem warunków ży-
ciowych. Przeciwnie zaś, osobnik o typie życiowo biernym, zdolny
do refleksyj raczej niż do czynu, obawiający się nowych doświad-
czeń, zwykle wyolbrzymia przeszłe niepowodzenia i upokorzenia,
skłonny jest do skromności, samokrytycyzmu i pesymizmu.

Mamy więc w tej autobiografji, pomimo wszystkie zamil-
czenia, dostateczny materiał do psycho-socjologicznej syntezy
osobowości społecznej autora. Rozumie się, że syntezy tej nie
możemy dokonać w niniejszej przedmowie, na to trzeba gruntownej
uprzedniej analizy całego życiorysu i porównania go z innymi
życiorysami. Pracę tę pozostawiamy przyszłości; może wydanie
kilku tomów autobiografji zachęci badaczy do wykorzystania dla
celów naukowych zgromadzonych już w Instytucie Socjologicznym
dokumentów, społeczeństwo zaś — do pomozienia Instytutowi
w zbieraniu dalszych materiałów socjologicznych. Na razie wska-
żemy tylko, na czem polega, naszym zdaniem, główne znaczenie
socjologiczne obecnej autobiografji. Znajdujemy tu indywidualność

społeczną o typie złożonym (jak każda indywidualność społeczna), który z pewnemi odmianami odegrał już wybitną rolę w życiu społecznem naszego narodu, większą jeszcze w życiu innych narodów, a który prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości stanie się dominującym typem naszej cywilizacji. Psychologicznie scharakteryzowaćby można ten typ przez przewagę dwóch kategorii usposobień. Są to, z jednej strony usposobienia, związane z działalnością ekonomiczną i techniczną, przedewszystkiem zainteresowania wytwórcze (t. zw. „instinct of workmanship“ Veblen'a) oraz chęć posiadania („acquisitive disposition“ Williams'a), z drugiej strony zaś skłonności, związane z życiem społecznem: żądza uznania, chęć panowania, oraz ten kompleks dążeńi pozytywno-społecznych, który przy względnie niskim poziomie intelektualnym objawia się jedynie w solidarności z grupą elementarną — wielką rodziną, wsią, gminą, grupą fabryczną, zrzeszeniem — przy wyższym stopniu idealizacji i racjonalizacji zaś prowadzi do solidarności z jedną z wielkich grup wtórnych i skomplikowanych — narodem, państwem, klasą. Przytem te dwie kategorie usposobień ściśle się ze sobą łączą. Otóż jednostka o tym typie psychologicznym znajduje pełne zadowolenie tylko wtedy, jeżeli danem jej jest brać czynny udział z jednej strony w jakimś dobrze zorganizowanym systemie pracy ekonomiczno-przemysłowej, z drugiej strony w życiu społecznem zbiorowości konkretnej, do której należy; usiłuje ona przytem powiązać swą pracę ekonomiczno-przemysłową ze swą działalnością społeczną, przedewszystkiem zaś przenieść na teren życia społecznego te ideały doskonałości i wzory organizacji, które wyrabia w sobie na terenie życia zawodowego. Jestto zaś punkt pierwszorzędnej wagi.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że nasza refleksyjna i celowa działalność społeczna (włączając w to i politykę) stoi do dziś dnia na bardzo niskim poziomie skuteczności; odważymy się twierdzić, że używane w niej metody są daleko bardziej zbliżone do magji ludów dzikich, niż do tej racjonalnej techniki, którą ludy cywilizowane już rozwinęły w sferze działalności materialnej. Uderzającym jest kontrast pomiędzy porządkiem, umiejętną kontrolą, rozumną świadomością stosunku przyczyn do skutków, oszczędnością środków i energii ludzkich, jakie znajdujemy np. w wielkiej fabryce, a pełnym żywiołowych konfliktów chaosem, nawpół-instynktownem błędzeniem poomacku, naiwnem przekonaniem, że chęć skutków wystarcza do ich wywołania, wreszcie

nieobliczanem marnotrawstwem sił, jakie znajdujemy np. w życiu politycznem. Jednym zaś z czynników tego naiwnego dyletan-tyzmu, jaki charakteryzuje działalność polityczno-społeczną nawet u najbardziej cywilizowanych narodów i u najsłynniejszych działaczy, jest fakt, że od wieków działalność ta spoczywała prze-ważnie w rękach ludzi, którzy byli dyletantami życiowymi wogóle, którzy nie wyrobili sobie na żadnem polu obiektywnych spraw-dzianów skuteczności czynu i doskonałości wyników.

Najcenniejszym rezultatem demokratyzacji nowoczesnej jest właśnie wciągnięcie do czynnej pracy społecznej i politycznej ludzi, którzy przywykli do wytwarzania, którzy z własnego doświadczenia wiedzą, czem jest i czego wymaga działalność produkcyjna. Dzięki temu głównie dokonane zostało porównanie metod działania ekonomiczno-przemysłowego z metodami działania społeczno-politycznego i niedorzeczność tych ostatnich została nareszcie uświadomiona przez wszystkich ludzi myślących, prócz zawodowych polityków i działaczy społecznych dawnego typu. Należy więc spodziewać się w dalszym ciągu, że im szerszy udział w życiu społeczno-politycznem będą brały jednostki, wy-szkolone w pracy istotnie produkcyjnej, tem prędzej i tem łatwiej dokona się niezbędne dla przyszłości naszej cywilizacji przekształ-cenie i stopniowe doskonalenie sposobów społecznego działania. Nie znaczy to bynajmniej, aby metody, skuteczne w przemysłowej działalności, dały się żywcem przenieść na grunt społeczny; prze-ciwnie, skrajne różnice przedmiotów działania przemysłowego, a przedmiotów działania społecznego, wymagają całkowicie od-miennej, nawet niewspółmiernej z ekonomiczno-przemysłową, techniki społecznej. Chodzi jedynie o to, abyśmy się nauczyli traktować działalność społeczną i polityczną jako pracę wytwórczą, wymagać od niej wyników, w swoim rodzaju równie doskonałych, jak wyniki pracy przemysłowej, dążyć do bezustannego polepszania jej sposobów, popierać i pobudzać wynalazczość w jej dziedzinie, i opierać jej metody nie na dobrych chęciach, lecz na gruntow-nem badaniu stosunków przyczynowych, rządzących zjawiskami społecznymi. Ludzie pracy produkcyjnej, biorący jednocześnie czynny udział w życiu społecznem, są już i będą w rosnącej mierze tym fermentem, który wzburzy i przetworzy całą naszą myśl społeczno-polityczną; sami o tem nie wiedząc, wnoszą oni w nasz ustrój społeczny zarodki rewolucji pokojowej, daleko głębszej i donioślejszej, niż jakiegokolwiek rewolucje przeszłości.

Na zakończenie niniejszej przedmowy musimy dodać zastrzeżenie, które odnosić się będzie do wszystkich materiałów, jakie Instytut Socjologiczny wydawać zamierza. Podkreślamy mianowicie, że nie bierzemy żadnej odpowiedzialności za przekonania polityczne, poglądy i teorie społeczne, religijne, moralne, filozoficzne etc. autorów, których wydajemy; nie poręczamy prawdziwości podawanych przez nich faktów; nawet w sprawach stylu pozostawiać będziemy najczęściej (poza drobnymi zmianami) brzmienie oryginału. Odpowiadać będziemy jedynie za naukową wartość opracowań teoretycznych, dokonywanych przez socjologów, członków Instytutu. Zastrzeżenie to byłoby zbyt cennym w odniesieniu do czytelników, pracujących naukowo; ponieważ jednak mamy nadzieję, że nasze wydawnictwa będą czytane przez szersze koła inteligencji, więc na wszelki wypadek wolimy zapobiedz nieporozumieniom.

Florjan Znaniecki.

Poznań, w czerwcu 1923 r.

SŁOWO WSTĘPNE.

Upewniwszy się, że konkurs na własny życiorys robotnika, ogłoszony w początku stycznia 1922 r. przez Instytut Socjologiczny przy Uniwersytecie w Poznaniu i mnie, jako byłego robotnika dotyczy, postanowiłem taki życiorys również napisać.

Miałem jednak pewne skrupuły, bo żądano pisać „o sobie”. Dopiero, gdy jeden z panów profesorów, zajmujących się tą sprawą, wytłomaczył mi, że błędem jest pisać o sobie, iż zwykle unika się pisania o sobie i zachęcając mnie raczej do nie omijania najdrobniejszych, a nawet dyskretnych szczegółów z mego życia, zabrałem się do pracy. Jeśli więc w opisie swoich przeżyć życiowych byłem zbyt szczerym, to już z góry proszę o pobłażliwość.

Nie roszczę sobie także najmniejszej pretensji do literackiego sposobu pisania; pisałem więc tak, jak umiem, zatem wszelkie usterki w tym kierunku zrobione proszę mi również wybaczyć.

AUTOR.

Lata dziecięce.

Urodziłem się w roku 1859 w kościelnej wsi Samplawie, pow. lubawskiego na Pomorzu. Ojciec mój pochodził z kół rzemieślniczych z niedalekiego miasta Lidzbarka, a matka, z domu Rucińska, z gospodarstwa rolnego z sąsiedniej wsi kościelnej Radomna.

Według dr. Wojciecha Kętrzyńskiego, byłego dyrektora biblioteki Ossolińskich we Lwowie, a pochodzącego z Prus Wschodnich, wspólni nasi przodkowie ze strony ojca mieszkali już przed kilku wiekami na Pomorzu, zaś Kościński w opisie swoim o ziemi Mazurskiej podawał, że jeden z naszych przodków był za czasów polskich starostą w Działdowie. Również „Dziennik Poznański“, podając przed więcej laty spis obywateli ziemskich w Prusach Książęcych (Wschodnich) z osiemnastego wieku, wymienił także jednego z nich jako właściciela wsi Kozłowa.

Rodzice moi posiadali w Samplawie chałupkę i dwa morgi ogrodu, która to posiadłość powiększyła się w trójnasób przez późniejszy dokup ziemi i postawienie drugiej chałupki i stodołki. Z zawodu był ojciec szewcem, co stanowiło główne źródło utrzymania. Rodzeństwa było nas pięcioro, trzech chłopców i dwie dziewczynki, w których rzędzie byłem drugim. Prócz tego mieliśmy dwoje starszych rodzeństwa z pierwszego małżeństwa naszej matki. Tą gromadkę trzeba było wyżywić i odziać. To też pamiętam z moich dziecięcych lat, że ojciec pomimo swych słabych sił fizycznych ciężko pracował z pomocą jednego lub dwóch pomocników, zimą prawie zawsze do północy, a o 6-tej godz. rano już się do pracy zrywał. Matka także wątplych sił, kręciła się od rychłego rana do późnego wieczora, opędzając domowe gospodarstwo, by nas wszystkich oporządzić i nakarmić. Suto niczego nie było, aleśmy nigdy głodno nie szli spać. Wszelkie rachunki i wypłaty spisywał ojciec ołówkiem na deseczkach, które

obok owego miejsca pracy kładł, aby je mieć przy rękę. Skórę i inne przybory, potrzebne do owego fachu, przynosił z pobliskiego miasta Lubawy, a czasem i dalej po nią się zapuszczał. Najlepsi jego odbiorcy byli robotnicy folwarczni z sąsiedniej wsi Rakowice, bo jako u dobrego pana dobrze im się powodziło i za obuwie zaraz płacili.

My, dzieci, pomagaliśmy matce przy jej domowej robocie, do czego ja w przeciwstawieniu do mego brata nie okazywałem ochoty. To też matka jego bardziej wolała, a mnie za moją niechęć często się oberwało, czy to słabą ręką matki lub czemś grubszem, co pod ręką było. Pamiętam, że z przyrodnią starszą siostrą często się przekomarzałem, za co również mnie ze strony matki niejednen sturchaniec doleciał.

Jeszcze nie miałem sześciu lat, a już dostałem ochotę pójścia do szkoły. Nie było daleko, bo szkoła stała naprzeciwko naszej zagrody. Z powodu tej chęci pójścia do szkoły, kupił mi wuj książeczkę, na której nauczyłem się już najprzód sylabizować, zanim do szkoły poszedłem. Chęć chodzenia do szkoły nie była jednak chęcią do nauki samej, zwłaszcza gdy chodziło o uczenie się pamięciowe, jednakowoż wyróżniałem się z pomiędzy szkolnych kolegów tem, iż umiałem zawsze i we wszystkim więcej od nich, bo mi łatwo nauka wchodziła do głowy i byłem jeden z tych, co się nie uczyli, a jednak wszystko, co nam nauczyciel zadał, umieli. Zresztą za wiele wiadomości od nas nie wymagał. Z towarzyszy moich żaden nie mógł w nauce mi dorównać i było moją ambicją, by więcej umieć od nich. Pokazało się to, gdy nas później ks. proboszcz do pierwszej komunji św. przysposabiał, który wymagał od nas nauczania się całego katechizmu na pamięć, gdyż pomimo niechęci do pamięciowego uczenia się, już het najprzód nauczyłem się to, co ks proboszcz nam zadał. Dumny byłem z tego, że gdy moim współuczącym się obficie pomagał czynnie ręką lub trzcinką, to jedynie u mnie nie potrzebował tego robić.

Uczyliśmy się w szkole więcej po polsku, niż po niemiecku; najprzód na polskim elementarzu, a później na książce do czytania, w której była jedna strona po polsku, a druga to samo po niemiecku (były to jeszcze lepsze czasy) i to: czytania, pisania, rachunków, geografji, katechizmu, śpiewu itd. Wszystkiego razem nie wiele, bo wtedy przeważało jeszcze zdanie, że do późniejszego praktycznego życia więcej nie potrzeba. Nie było można

i dlatego więcej się nauczyć, że nas w szkole na jedną siłę nauczycielską było około 80 dzieci, chłopców i dziewcząt, i mieściliśmy się wszyscy w jednej ciasnej izbie.

Wkrótce potem założono w tej gminie, prócz naszej katolickiej szkoły, protestancko-niemiecką dla dzieci protestanckich. Powstała z tego powodu niezgoda pomiędzy dziećmi jednej i drugiej szkoły, która objawiała się w zbiorowych chłopięcych bitwach, przy których naturalnie i mię nie brakło. Aż pewnego razu podczas takiej bitwy doleciał mnie z przeciwnej strony ostry kamień i rozczepił mi czoło, poczem nasza wojna się skończyła, bo zapobiegli dalszemu zmaganiu się przelożeni i później unikaliśmy się. Zwykle była po naszej stronie przewaga, bo było nas znacznie więcej. Mnie pozostał z tych czasów na zawsze znak widomy na czole, który później nawet w paszporcie podawać musiałem.

W szkole było nas dwóch jākających się, ale z tą różnicą, że gdy ja jākalem się podczas mówienia, zaś przy recytowaniu zadań szkolnych szło mi gładko, to u mego kolegi było odwrotnie, bo on jākał się przy czytaniu, a zato gładko mówił. Z biegiem czasu wskutek przyzwyczajania się do powolnego mówienia, jākania się pozbyłem.

Nasz pedagog był typem starego swojskiego nauczyciela, który swój zawód może cenił, ale o naszą naukę mało dbał i więcej troszczył się o swoje domowe gospodarstwo, które mu właściwy dochód przynosiło. Czasem mu dlatego który z ojców zrobił uwagę, że dzieci, a szczególnie chłopcy, mało umieją, to odpowiedział: „Widzi kumoterek, i tak generałami nie będą“. To jednak mu nie przeszkadzało nam powiadać: „Uczcie się chłopcy, bo może który z was później generałem zostać“ (teraz w Polsce o to nie trudno). Był to w swoim rodzaju oryginał i miał własny sposób uczenia dzieci. Nie lubiał zażywać tabaki w przeciwieństwie do mężczyzn w całej wsi, nie wyjmując ks. proboszcza, zaś nam, dzieciom, odpowiadał, że gdyby Pan Bóg chciał, aby ludzie mieli tabakę zażywać, toby nie urządził dziurek w nosie z dołu, żeby ją gwałtem wciągać mieli, ale z góry, by wygodnie wsypywać mogli. Tłumaczył nam też po swojemu, że duchy umarłych, które według wierzenia ludzi wiejskich jakoby wracają na ten świat i „przeszkadzają“, tego nie robią, bo jeśli dostaną się do piekła lub czyśca, to ich stamtąd nie puszczą, a gdy do nieba, to nie będą tak głupimi, aby miały na ziemię wracać.

Jeszcze parę dowcipnych epizodów pozwolę sobie o nim podać. Posiadał on w Lubawie dwa domy przy t. zw. „murze“, który je z jednej strony od ewentualnego wywrócenia się podtrzymywał. W tych domach mieszkali zwykle prawie sami biedni szewcy. Gdy go pytano, jak też oni komorne płacą, to odpowiedział: „To tak, rok mieszkają i nic nie dadzą, zostają potem na drugi, w którym ten pierwszy odmieszkają“. W naszej wiosce miał również chałupę, w której często przez dach deszcz przeciekał. Lokatorzy tej chałupy mówili mu, żeby dał dach naprawić, ale on wyperswadował im, że gdy deszcz pada, dachu naprawiać nie można, a jak przestanie, to wtedy nie przecieka, więc nie potrzeba naprawiać. Razu pewnego podczas srogiej zimy przyleciały na nasz ogród tuż za stodołką trzy zające, które spostrzeżono. Dalejże tedy szukać kogo, co umie strzelać i ma fuzję. Z całej wsi tylko nauczyciel miał strzelbę i jako-tako strzelać umiał, więc posłano po niego. Przyszedł, wysunął się z pomiędzy tymczasem zebranej gromadki ludzi i do zajęcy celował, ale nie strzelał. Zającom widocznie się dłużyło i nie czekając na strzał, tap, tap, za dworską stodołę sobie poszły, przez co niebezpieczeństwa uniknęły. Robiono mu potem wyrzuty, że nie strzelił, a on się bronił, że chciał zaczekać, aż zające w rząd się ustawią, aby potem jednym strzałem wszystkie trzy ugodzić mógł.

Od czasu do czasu ks. proboszcz w charakterze lokalnego inspektora szkolnego zachodził do naszej szkoły, jak również ks. kanonik z Lubawy, jako powiatowy inspektor. Rzadziej zjawiał się jakiś radca szkolny z regencji. Nawiasem powiedziawszy, nasz nauczyciel nie lubił takich wizyt, bo się zawsze o nasze wiadomości obawiał, no i nasz lokal szkolny musiał być z okazji przybycia takich gości wyczyszczony. Zwykle mając do moich wiadomości większe zaufanie, wysuwał mnie naprzód i pytaniami darzył. Ugrupował też nas inaczej podczas tych wizyt, niżesmy zwykle siedzieli. Raz ale pytał mnie sam ks. kanonik: „Czy księdzu trzeba zawsze wierzyć“, na co śmiało odpowiedziałem że „tak“; „a gdybym powiedział, że tu na cmentarzu koza chodzi, czy byś uwierzył?“ odrzekłem że nie. „A czemu?“ „Bo tu kóz w całej wsi niema“, z dumą odpowiedziałem. Bowiem mieszkańcy tej wsi byli rzeczywiście z tego dumni, że ani jednej kozy nie mieli, tylko kto mógł na krowę się zdobywał, co oznaczało większą zamożność w przeciwieństwie do wsi sąsiedniej, gdzie kozy hodowano.

Gdy już czytać umiałem, darował mi ks. proboszcz „Historję Polską“ Chociszewskiego. Z niej to czerpałem pierwsze wiadomości o przeszłości naszej Ojczyzny.

Ojciec abonował „Przyjaciela Ludu“ wychodzącego wtedy raz na tydzień, który nietylko dla siebie czytałem, ale schodzili się do ojca ludzie ze wsi i im czytałem, przez co w czytaniu coraz bardziej się zaprawiałem. Na prenumeratę tej gazetki, która kosztowała siedm i pół trojaka (75 fenigów) na kwartał, składało się po trojaku (wtedy liczył trojak dwanaście fenigów) aż sześciu sąsiadów, zaś ojciec dopłacał prócz trojaka jeszcze sześć fenigów. Na przynoszenie gazety do domu już nie łożyli, choć tylko jeden i pół trojaka na cały kwartał kosztowało, lecz przynoszono przy sposobności z poczty z miasta oddalonego od naszej wsi o 6 kilometrów, lub ja musiałem często, jako ten czytający, po nią chodzić. Przyszła wojna francuska. Ludzie byli ciekawi, co „Przyjaciel Ludu“, który z powodu wojny dwa razy w tygodniu wychodził, o niej pisze i tem pilniej na moje czytania się schodzili, ja zaś tem częściej pomimo silnego mrozu po gazetę chodziłem. Raz ich zawiodłem, bo mi gazety na poczcie nie dano, nie pamiętam już dlaczego i z żalem się rozeszli.

Ten „Przyjaciel Ludu“ był oryginalnie pisany i jak stworzony dla ludu na wsi. Wydawał go Tomaszewski w Chełmnie na Pomorzu, a następnie przeniósł go do Poznania. Podczas wojny zamieszczał oryginalne listy z placu boju, niby jakiegoś wojaka Bartka, które pisał jak później się dowiedziałem, ks. Tłoczyński. Wspaniale korespondencje podawał, jakoby od chłopów, pisywane przez siebie, lub którego z księży. Pewnego razu pisze niby chłop: „Kochany Majsterku! (tak zawsze chłopie redaktora nazywali) Już 20 ty rok jak Cię abonuję“, a majsterek w nawiasach mu na to odpowiada: „Przecież dopiero 14 ty rok wychodzę“. Tak pisać teraz nie umięją.

Corocznie kupował ojciec kalendarz „Sierp Polaczka“, który wydawał w Toruniu znany ludowy pisarz Prejs. Nazwał go swoim nazwiskiem, przedstawiając litery odwrotnie. Był on obok „Przyjaciela Ludu“ i książki Chociszewskiego jedyną moją lekturą, na której się kształciłem. Umiałem prawie każdy kalendarz na pamięć. Uczyłem się z niego nietylko czytać po polsku, ale i geografji, polskich nazw miast Prus Wschodnich, Zachodnich, Poznańskiego i Śląska i ile mieszkańców które miasto liczy. Jak żałuję, że choć jednego egzemplarza na pamiątkę nie zachowałem. Do

dzisiaj jest mi to wszystko w pamięci. Tomaszewski i Prejs może nie przeczuwali, że na ich wydawnictwach młode pokolenia się po polsku uczyły. I gdy po szeregu lat pierwszemu z nich opowiadałem, że na jego gazecie czytać po polsku się uczyłem, to zauważył: „Tak, to człowiek był nie tylko redaktorem, ale i nauczycielem ludu“. Sierp Polaczka przestał Prejs już przed końcem swego życia wydawać z powodu podeszłego wieku i nikt po nim go dalej nie wydawał.

Obok chodzenia do szkoły służyłem ks proboszczowi do mszy św. przez siedm lat. Przenosząc raz mszał, przewróciłem się na stopniach ołtarza z powodu zbytniego ciężaru. Często od ks. proboszcza jaki trojaczek doleciał, cóż dopiero, gdy kolenda nadeszła, wtedy nawet kilka marek zebrałem i u zamożniejszych obywateli co smacznego kolendującym się dostało. Z tych czasów pamiętam, gdyśmy do jednego takiego obywatela dochodzili, stał przed nim na drodze wóz drabniasty, a przy nim zaprzężone cztery konie, które go miały do lasu po drzewo ciągnąć. Jednemu z nich uwidziało się, że poco on ma pomagać ciągnąć wóz i stanął — zastrejkował. Bili go, a on ani rusz i jeszcze te drugie wstrzymywał. Kiedy nie mogli nic z nim począć, wyprzęgli go, a wóz jego trzej koledzy sami pociągnęli. Ale za opór „władzy“ i wstrzymywanie towarzyszków porządne baty mu się dostały. Nieraz o tem teraz myślę i z obecnymi stosunkami porównuję, czyż nie wypada wyprządz takich?...

Latem lubiałem w ogrodzie grzebać i groch sobie zasiewać, aby mieć własne strąki. Podczas żniw zbierałem po zebraniu zboża pozostałe kłosa, które potem sam wymłóciłem i ojcu za cenę rynkową ziarno sprzedałem. Było tego nie raz więcej niż korzec. Pieniądze były moją własnością.

W jesieni chodziłem razem ze starszą siostrą i bratem do gospodarzy lub na folwarki wykopywać kartofle, gdyśmy już ze swoimi się uprzętnęli. Rodzice nas do tego nie zmuszali, ale byliśmy radzi, że to, co zarobiliśmy, było naszą własnością mogliśmy tym zarobkiem dowolnie rozporządzać. O, jak dumny byłem, kiedy potem poszedłem z matką do miasta po zakupno cejku na spodnie, lub sukna na żakiet zimowy, gdzie u kupca wolno mi było, jako za przez siebie zarobione pieniądze, wybierać towar, jaki mi się podobał.

Wybieranie ziemniaków na zarobek, choć z chęcią to robiłem, było jednak dla mnie, jako słabo uposażonego fizycznie,

bardzo ciężkie, gdyż nie mogłem razem z innymi podołać. Silniejsi zwykle dwa rzędkie (radliny) jednocześnie wykopywali, a słabsze dzieci tylko jeden. Pierwszym płacono na dzień, liczący się od brzasku dnia aż do zmroku, u gospodarzy mniejszych sześć trojaków, zaś na folwarkach siedem do ośmiu. A tym drugim połowę tego. Różnica w cenie u gospodarzy, a na folwarkach była dlatego, że u pierwszych nie potrzeba było tak się spieszyć przy robocie, zaś u drugich włódarz stał nad nami i wciąż poganiał. Oprócz tego gospodarze prędzej uwinęli się z wydobyciem kartofli, podczas gdy na folwarkach, mając ich dużo, robota się opóźniała, i musieli przyspieszać i płacić więcej, żeby dostać dostateczną ilość wykopywaczy, zanim mróz nadejdzie. Często żeśmy już z pod zmarzniętej ziemi kartofle wydobywali.

Zrazu brałem tylko jeden rząddek, ale gdy już 13 lat liczyłem, odważyłem się na dwa, do czego mnie ambicja w poczuciu własnych sił i chęć większego zarobku powodowały. Pamiętam, jak mi wtedy ciężko było, bo nie mogłem innym dorównać, a tu włódarz nad karkiem. Męczyłem się, ale byłem rad, że stanąłem w rzędzie starszych i zarabiałem tyle, co inni. Zimno mi często dokuczało, to też tem rącej przy robocie się sprawiałem. Po nad wszystkim górowało jednak zadowolenie, gdy po wypłacie zebrałem codziennie zarobione trojaczki i przeliczyłem je na talary. Było ich parę.

Niekiedy matka gęsi chowała, któremi musiałem się też zajmować; latem po żniwach je paść, a zimą do oddalonej na końcu wsi strugi poganiać. Za to świnek żadną miarą paść nie chciałem, pomimo naganiania mnie do tej funkcji, gdyż mi to „ubliżało“. Gdy nastala pora zbierania jagód i grzybów, chodziłem na nie razem z innemi dziećmi tej wioski do lasu, oddalonego o kilka kilometrów. Szczególnie zajmowało mnie zbieranie jagód, których przez jedno poobiedzie cztery do pięciu kwart do domu przynosiłem. Starszy brat nie lubił chodzić i zbierać jagód, ale zato jeść je lubił i gdy tylko się mógł dorwać do szafy, gdzie były schowane, a z których matka wszystkim wydzielala, to ich wcale nie szczędził. Ta jego wygoda mnie gniewala i raz mu powiedziałem: „Ja przynoszę jagody, a ty je zjadasz, następny raz musisz pójść ze mną do lasu“. On też poszedł, ale w lesie ciągle oddalał się od naszej grupy i gdyśmy do domu wracać mieli, to pokazało się, że to, co uzbierał, zaraz na miejscu zjadł, aby nie potrzebował do domu nosić. Zato skazałem go na nie-

sienie jagód do domu, ale on sobie i z tem poradził, bo po drodze zaczął niepostrzeżenie pozostawać w tyle i jagody z kubelka wyjadać. Gdy to wreszcie spostrzegłem, odebrałem mu kubek i już go więcej ze sobą na jagody nie brałem. Był on w tym przypadku większym konsumentem, niż producentem i z moich zbiorów jeszcze zbyt korzystał. Ot, tak samo, jak teraz w naszym społeczeństwie się dzieje!

O milę drogi od naszej wsi był w Łąkach klasztor Bernardynów, fundowany przed paru set laty przez braci Działyńskich, którzy mieli wtedy swoją siedzibę w oddalonym o ćwierć mili Bratjanie. Nazwa ich wioski ma pochodzić od brat i Jan. Jeszcze do ostatnich czasów sterczały resztki murów ich zamku. Począwszy od niedzieli po Bożem Ciele, odbywały się w tym klasztorze przez cały tydzień nabożeństwa-odpusty, na które z bliższych i dalszych okolic, nawet z za kordonu, pątnicy przybywali. Naturalnie, że my, jako bliżcy sąsiedzi, uważaliśmy za swój obowiązek bywać na tych odpustach. Nas, dzieci, matka zabierała z sobą, a gdyśmy już podrośli, to puszczała nas samych, dając nam prowiantu na cały dzień. To ostatnie było głównym powodem, żeśmy tem chętniej wraz z starszym bratem szli, zwłaszcza, że nam matka dała w takim razie twarogu (świeżego sera) z masłem na drogę, którego to specjału zwykle w domu oszczędzała. Pamiętam, że zanim doszliśmy do miejsca przeznaczenia, tośmy już po drodze w przydrożnym rowie garnuszek z twarogiem wypróżnili, a potem na cały dzień suchy kawałek chleba nam pozostał. W taki to sposób my, dzieci, pojmowaliśmy pielgrzymkę na miejsce święte.

Moja rodzinna wieś składała się właściwie z dwóch gmin, administracyjnie oddzielnie rządzonych. Do jednej należy 18 gospodarzy, kilku właścicieli małych zagród, wyrobnicy, kościół z probostwem i szkoła. Do drugiej folwark, dobra rycerskie, obejmujące 354 h. ziemi z zabudowaniami. Przy końcu wsi za folwarkiem ciągnie się mała struga, wpadająca niedaleko do Drwęcy. W niej to kąpałem się (utopić się dla mialkiej wody nie było można), rybki i raki łowiłem, gąski do niej pędziłem, jak również nad jej brzegiem z nakazu ś. p. matki płótno bieliłem.

We wsi mieszkali — i jeszcze mieszkają — prawie sami Polacy-katolicy, a jeśli tam szkoła protestancka była (obecnie już niema), to chodziły do niej dzieci głównie z okolicznych osad. Natomiast folwark należał za mojej pamięci zawsze do nie-

mieckich właścicieli, a ma ten przywilej, że właściciel jego jest bez względu na wyznanie patronem naszego miejscowego kościoła i ponosi dlatego $\frac{2}{3}$ ciężaru. Za to ma ławkę kolatorską w kościele, z której naturalnie żaden nie korzystał.

Dobra część gospodarzy trzyma się dobrze i gospodarstwa ich z ojców na synów przechodzą, ale byli i tacy, co „wygospodarzyli“, zato obecnie jest jeden taki, którego ojciec był zwykłym wyrobnikiem na folwarku i przez pracowitość dorobił się, a resztę syn dorobił. Ojcowie zdają gospodarstwa zwykle jednemu z dzieci, nie dzielą ich, a resztę dzieci możliwie wyposażają i przechodzą na inne gospodarstwa, lub dają synów na kupców i rzemieślników. Na posyłanie do średniej szkoły dotychczas się nie zdobywano, z wyjątkiem nauczyciela i karczmarza.

Właściciele folwarku zmieniali się często, a to z powodu, iż źle gospodarzyli. Ostatni z nich sprzedał całą posiadłość już kilka lat przed wojną fiskusowi pruskiemu, który utworzył z niej domenę i właścicielem jest obecnie rząd polski. Gdyby był parę lat później folwarku się pozbył, to ja, zdawszy magazyn bratu i mając z likwidacji grosze, byłbym go choć z pietyzmu do mojej rodzinnej wsi nabył. Coby to za uprawniona duma była! Wyszedłem ze wsi jako chłopiec w naukę rzemiosła, a wróciłem do niej jako właściciel folwarku i to za zdobyte grosze długoletnią pracą i oszczędnością, a ten Niemiec byłby mi bez skrupułów sprzedał. Jabym też może nieźle gospodarzył, bo takie mniemanie mają o mojej zdolności rolniczej sami rolnicy, choć „Przyjaciel Ludu“ pisał przed laty o pewnym majstrze szewskim, co się dorobił, kupił folwark i na nim zbankrutował: „Panie majster, bo rola, to nie klajster“. Moje ogrody graniczą z dwóch stron z rolą folwarczną, więc mógłbym być powiedzieć, jak ów co pobudował obok swego małego starego domku wielki dom, że „ten mały pobudował duży“. Ale stało się, obecnie z różnych powodów nabyć nie mogę.

W moich pierwszych latach pobytu w Berlinie jadłem tam pewnego razu w niedzielę w znanej restauracji obiad. Naraz przychodzi do tego lokalu małżeństwo z dwojgiem dzieci i siada przy sąsiednim stole. Patrząc, jacyś znajomi. Toż to były właściciel folwarku naszej wsi p. v. S., który już przed kilku laty ją sprzedał. Podchodzę i dla ostrożności pytam: „Państwo są v. S. dawniej z Samplawy?“ i dodaję moje nazwisko. Wtedy pani S. pyta: „A któryż to pan jest z tych chłopców?“ — „Ot ten, który

krowę na pastwisko pańskie przyganiał“, odpowiedziałem. Często mnie bowiem razem z naszą krowką na swoim podwórzu widywała. Porządny to Niemiec był i z ludźmi obchodził się uczciwie, tylko że źle gospodarzył i musiał sprzedać, czy też mu sprzedano.

Gdy mi ojciec przekazał swoją posiadłość i wkrótce potem dokupiłem sobie sąsiednią trzecią chatę, sąsiadując bezpośrednio także z zabudowaniami folwarcznymi, to dziedzic folwarku, a zarazem wójt (Amtsvorsteher) dowcipną uwagę zrobił: „Das wird reine B.....nstrasse werden“ (że to będzie ulica według mego nazwiska). Przynajmniej tyle osiągnąłem w mojej rodzinnej wsi.

Tak spędziłem dziecinne lata w domu rodzicielskim. Opuzczając szkołę nauczyliśmy się choć trochę czytać i pisać po polsku, mniej po niemiecku i innych przedmiotów. W celu nauczania się języka niemieckiego miałem lekcje u niemieckiego nauczyciela i jako tako mogłem się w tym języku porozumieć. Mój stary nauczyciel dał się emerytować i gdy później z Berlina do domu przyjeżdżałem, gawędziliśmy z sobą, bo był ciekaw tego, co się świecie działo. Ja znowu z wdzięczności za to, co się od niego nauczyłem, opowiadałem mu o Berlinie, którego nie znał.

Jeden szczegół z szkoły utkwił mi na zawsze w pamięci. Przepisywaliśmy w zeszytach według wzorów różne zdania, a pomiędzy nimi następujące: „Zarozumiałość i upór są głównymi przeszkodami do udoskonalenia się“. Było ono dla mnie wskazówką na całe życie, jak się uczyć i postępować należy, by tych dwóch wad uniknąć.

Winienem dodać, że ojciec mój miał o tyle mir we wsi, że go wybrano sołtysem, choć urząd ten zwykle gospodarzom się należał. Dzierzył ten obowiązek 35 lat, za co otrzymał jakąś oznakę. Często mu pomagałem w jego gminnych czynnościach, nie myśląc o tem, że to były początki mojej przyszłej społecznej pracy.

Nauka rzemiosła.

Gdy opuściłem szkołę, co z ukończeniem 14-go roku się stało, wtedy rozważali rodzice, co ze mną zrobić. Ponieważ bracia, starszy i przyrodni, już we fachu ojca się ćwiczyli, więc wypadło dla mnie co innego obrać. Była to rzecz niełatwa ze względu na moje słabo rozwinięte siły fizyczne, to też sąsiedzi

radzili, aby mnie oddać na pisarka do adwokata, bo to będzie coś „lepszego“ i sił większych nie potrzeba do tego. Przeważało jednak zdanie, że wyuczę się krawiectwa. Był majster nam bardzo blizki, który mnie lubił, a mieszkał w o trzy mile oddalonej od nas wiosce, gdzie uchodził za dobrego krawca i chętnie mię na cztery lata bezpłatnej nauki przyjął, co rodzicom było na rękę. Ochoty wielkiej do nauczenia się krawiectwa nie miałem, wolałbym był do „lepszej“ szkoły chodzić, ale na to ojcu nie starczyło, zwłaszcza, że szkołę średnią w sąsiednim mieście dopiero później założono. Więc uczyłem się krawiectwa z obowiązku i spełniałem go rzetelnie.

Z biegiem czasu przywykłem do tego fachu i zacząłem go cenić, tem bardziej, gdy miejscowy organista, który był przedtem krawcem, dowodził, że „krawiec jest pierwszym człowiekiem po Bogu, bo Pan Bóg człowieka stworzył, a krawiec go za pomocą ubrania zrobił tem, czem ma być“.

Nauka fachowa była dobra, a pozatem było mi trochę ciężko. Wtedy były inne pojęcia o obowiązkach ucznia niż dzisiaj, to też terażniejsi uczniowie mają raj w stosunku do owych czasów. Latem wstawałem razem ze słońcem, a zimą je o parę, a nawet o kilka godzin wyprzedzałem i zanim ono wstało, to już mi się drugi raz jeść chciało. Oj, ten ówczesny zdrowy apetyt na jedzenie i spanie! Chciałbym go dzisiaj mieć, pomimo tej szalonej drożyzny.

Do moich obowiązków należało przedewszystkiem dostarczenie wody do domowego gospodarstwa, którą przynosiłem w dwóch wielkich kubłach (węborkach), na tak zwanych siondach, ze znajdującej się opodal wiejskiej studni, z której za pomocą drążka, opatrzonego na grubszym końcu hakiem do zawieszenia kubła, czerpałem. Było zrazu tak noszenie jak czerpanie wody trudnem zadaniem na moje siły, ale gdy do tego się przyzwyczaiłem i wprawy nabrałem, to, zwłaszcza w zimie, chętnie szedłem po wodę, choćby tylko dla rozgrzania się. Zimą też z powodu wymarzenia wody dla wszystkich bliższych sąsiadów naszej studni teje nie starczyło i zwykle tylko pierwsi dostali. To też już o czwartej godzinie rano do studni szedłem i gdy tak pięć razy obróciłem, już niewiele wody w niej dla innych pozostało. Przeklinali mię, dowiedziawszy się, że to ja tym sprawcą byłem, lecz mało co sobie z tego robiłem. Że po takim rozgrzaniu się śniadanie smakowało, nie potrzebuję dodawać.

Regularnie o godzinie 4-tej majstrowa nas, t. j. majstra i mnie, budziła, tak dobrze zimą jak latem. Zwykle dopiero po drugim, już energicznym wołaniu, wstawałem, i to automatycznie, i automatycznie też ubierałem się, nie wiedząc często, czy już jestem rozbudzony, albo jeszcze śpię. Z majstrem miała większe utrapienie niż ze mną, bo go się często do 5-tej godziny dobudzić nie mogła. Dziwiłem się tylko, kto majstrową tak rychło i regularnie budził, gdyż koguta nie miała, a budzików jeszcze wtedy nie używano. Dopiero późniejsze życie mnie nauczyło, że poczucie obowiązku jest w potrzebie tym budzikiem. Tylko kurom naszym zazdrościłem, że chociaż razem z nimi wstawaliśmy, one rychlej szły spać od nas. To rychłe wstawanie jednak na zdrowie nasze ujemnie nie oddziało, jak się później okazało. Moje funkcje obok uczenia się rzemiosła były jeszcze: rąbanie drzewa dla domowej potrzeby, zimą krajanie sieczki na maszynie dla krówki, a latem wyprowadzanie ją na pastwisko i wiele innych podobnych czynności, jakie w gospodarstwie domowym na wsi się zdarzają. Bowiem majstrowa mawiała, „że kowal ma na to cęgi, żeby sobie palców nie poparzył“, co sobie na całe życie spamiętałem.

Do moich dalszych obowiązków należało także zanosić wykończone ubrania do domów odbiorców, co z chęcią robiłem, bo prawie zawsze za mą fatygę dostawałem trojaczka, a czasem i więcej. Prócz tego i co zjeść, jeśli było daleko, gdyż taki był zwyczaj. Te trojaczki wydawałem w pewnej części na abonowanie gazety, bo chociaż majster także otrzymywał gazetę, którą mogłem również czytać, ale chciałem mieć swoją, czego mi nie tylko nie zabraniał, lecz mi jeszcze czasem książki do czytania dawał. Naturalnie, że tylko w niedzielę mogłem czytać, gdyż w dni powszednie nie było na to czasu. Nosząc z poczty gazetę dla majstra (w tej wiosce była poczta), już po drodze z niej nowsze wiadomości wyczytałem. W ten sposób uprawiałem moje dalsze kształcenie się.

W trzecim roku nauki byłbym nieomal życie postradał. Było to w dniu św. Piotra i Pawła. Chciałem się, jak zwykle, w miejscowym jeziorze wykąpać i gdy nad brzeg jeziora przyszedłem, zastałem tam moich rówieśników, którzy się już wykąпали. Poszedłem tedy sam do wody. Naraz uczułem, że woda wciągnęła mię na głębinię, a że nie umiałem pływać, więc zacząłem tonąć. Gdy to na brzegu stojący towarzysze zmiarko-

wali, jeden z nich wsiadł w czółno, wzięwszy z braku wiosła tyczkę, którą przypadkowo sam na brzeg jeziora przyniosłem i dopłynąwszy do mnie, podał mi ją i choć już nieprzytomny, szczęśliwie chwyciłem i za pomocą niej po nad wodę mię wy dostał. Sprawdziło się w tym przypadku, że „tonący brzytwy się chwyta“. Będąc na powietrzu, przyszedłem zaraz do przytomności i ocalałem. „Co ma wisieć“ i t. d. Później byłem ostrożniejszym i z wodą więcej nie żartowałem.

Wieś, w której terminowałem, jest jedną z większych w lubawskim powiecie; dotyka jednym końcem jeziora, stanowiącego obecnie w tej okolicy granicę pomiędzy Polską a Prusami. Posiada kościół i większą szkołę. Gospodarze w niej zamożni, tylko niektórzy z nich lubili wtedy często zachodzić do karczemu, jakich było aż cztery, i tam w późną noc w karty się zgrywać. Pamiętam jednego, który zimą był codziennym gościem w karczmie i wracając podchmielony do domu, po drodze każdego napotkanego człowieka i każde przydrożne większe drzewo pozdrowiał: „Niech będzie pochwalony“ i sam sobie „na wieki wieków“ odpowiadał. Raz mu stanęło w drodze przydrożne drzewo, więc borykał się z niem, uderzając w nie czołem i odgrażał mu się: „Kto z nas jest mocniejszy“, bo mu nie chciało z drogi ustąpić.

Wieś tę uważam jako swoją drugą rodziną, gdyż ludzie w niej byli mi życzliwi i do dzisiaj ci, co żyją, mię pamiętają. To też prawie co rok również ją odwiedzam. Majster i majstrowa jeszcze żyją, którym życzę przy tej sposobności jak najdłuższych lat życia i czerstwego zdrowia.

Skończywszy naukę, mając lat przeszło ośmnaście, zażywałem widocznie pod względem fachowych wiadomości dobrej reputacji, gdyż radzono mi, abym zaraz po nauce w swojej rodzinnej wsi jako „majster“ się osiedlił, czego jednak nie usłu chałem, lecz wolałem się dalej doskonalić. Egzaminu na czeladnika (pomocnika) nie zdawałem, bo ówczesne prawa tego nie wymagały. Osobiście już wtedy miałem wstręt do wszelkich egzaminów i w późniejszym życiu żadnego też nie potrzebowałem składać.

Mój debiut jako czeladnika krawieckiego.

Muszę najprzód zaznaczyć, że od czasu ukończenia mej nauki rzemiosła kierowałem się sam. Bowiem rodzice w moich dalszych postanowieniach ani mi radzili, ni też przeszkadzali.

Pierwszy mój etap jako pomocnika było sąsiednie miasto Lubawa, gdzie zacząłem pracować u jakiegoś majstra, u którego tylko sam byłem. Dostawałem jako wynagrodzenie za pracę wolny stół i stancję, t. j. strych bezpośrednio pod dachem cynkowym, pod którym latem było piekielnie gorąco, a w nocy miałem niemiłe towarzystwo różnych żyjątek, na co jednak wtedy nie zważało się. Byłem kontent, że przy wstawaniu nie potrzebowałem w lecie iść ze słońcem o lepsze, a to był już postęp. W brzęczącej monecie dostawałem talara na tydzień, czem trzeba było wszystkie swoje wydatki pokryć. Było to trochę skąpo, lecz na co w szkole liczenia się uczyłem! Starczyło na wszystkie moje potrzeby, a nawet odkładałem. Tak! odkładałem! Otrzymawszy pierwszy zarobek, nie posiadałem się z radości. Takiego błogiego uczucia później już nie zaznałem.

Majster ten nie imponował mi ze względu na jego mały warsztat i ażeby mi zimą pod tym samym dachem cynkowym za zimno nie było, postarałem się po półrocznem zatrudnieniu u niego o innego majstra, gdzie więcej kolegów pracowało. Ten mi zrazu ani talara na tydzień nie płacił, ale zaspokoilem swoją ambicję, bo choć był żydem, lecz znany był jako najlepszy krawiec w tem mieście. Tam czułem się między kolegami swobodniejszym, gdyż majster z nami razem nie pracował i mogłem się lepszej roboty nauczyć, z czego skwapliwie korzystałem. Jedzenie było koszerne i wcale nie złe, a spaliśmy również „na górze“ gdzie w zimie nas trochę śnieg zawiewał. Po pół roku awansowałem, bo aż cztery marki tygodniowo dostawałem i lepsze miejsce, tak w warsztacie jak przy stole, mi się dostało.

Nasza majstrowa, już leciwa, nie umiała czytać i nie znała się też na zegarze, lecz pozatem była to szczerwana kobieta. Często pytała nas, która godzina, a gdyśmy jej czasem umyślnie ze względu na nasze żołądki fałszywą podali, to nam jednak nie wierzyła, tylko powiedziała zwykle swoje „auch gut!“. Zwykle na drugie śniadanie dawała nam po kawałku chleba, posmarowanego smalcem i po kieliszku wódki. Mnie nalewała, jako ostatniemu i odchodziła, a że wódki nie piłem, więc wypijał z chęcią za mnie jeden z kolegów, niemiec.

Pewnego razu — było to w szabas — gdy majster z majstrową poszli do bóżnicy, moi koledzy wyszperawszy, gdzie majstrowa wódkę ukrywa, dorwali się do niej i wszystką wypili, napełniwszy potem butelkę wodą. Myśleli, że tem jej psikusa wyrządzą. Ona od razu to zmiarkowała, lecz udając, iż o tej zamianie nie wie, wyczęstowała wszystką wodę przy śniadaniach, a koledzy musieli, choć z rzadką miną, ją wypijać, ja zaś miałem swoją uciechę.

Biadała raz majstrowa, patrząc jednej niedzieli na wychodzących ludzi z kościoła, że katolików jest wiele w przeciwstawieniu do żydów. Pewnie miała na myśli owe biblijne zdanie o rozmnażaniu się ich „jak gwiazdy na niebie i piasek morski“. Wytłomaczyłem jej, że żydów nie może być tak wiele, jak chrześcijan, bo trzeba ich używać w najlepszym razie tylko jako przyprawę do strawy, której gdyby za wiele było, strawa by się zepsuła. Przyznała mi rację.

Nasz majster należał do religijnych żydów i podług tego był ich dom urządzony. Moi koledzy mieli czasem ochotę w ich praktykach im się psocić, zwłaszcza podczas świąt Wielkanocnych, przez nich ściśle obchodzonych, do czego ja ręki nie przykładalem i na kolegów wpływałem, aby również tego nie robili. Zmiarkowali to majster i majstrowa i mieli dla mnie za to uznanie. Nie przeszkadzało to jednak, że w innych przypadkach pomagałem niewinne żarty z nimi wyprawiać.

Około św. Marcina zaczynaliśmy pracować rano przy lampie, a że był podobno zwyczaj uświęcenia tego dnia gęsią pieczoną, więc domagaliśmy się jej, a gdy nam nie dano, urządziliśmy strejk. To jednak nie pomogło i zaczęliśmy pracować — bez gęsi.

Zaczął pracować w naszym warsztacie młody niemiec, nazwiskiem Heimann, a że majster nas co rano sam budził i zwykle wywoływał najmłodszego, więc na niego wołał. To mu się nie podobało i postanowił majstra tego oduczyc. Jednocześnie obok naszego „sypialnego salonu“ miał inny żyd mieszkanie, którego syn, imieniem Heimann, uczył się jakiegoś rzemiosła na mieście. Słyszeliśmy co rano, jak na niego ojciec więcej razy wołał: „Heimann sztaj iff“, a nowy kolega o tem nie wiedział, więc wmówiliśmy mu, iż to nasz majster jego woła. Tego było mu już za wiele i uzbroił się raz w klocek do prasowania, a gdy nasz sąsiad w zwykły sposób swego syna budził, rzucił klockiem na schody w mniemaniu, iż majster jego woła i że tem

odzwyczał go takiego budzenia. Wstrzymaliśmy go od dalszych takich eksperymentów, bo mogło to mieć niedobre następstwa.

Jak już wyżej wspomniałem, był nasz majster religijnym, pomimo to w soboty pozwalał nam pracować. Żydowskich pomocników z zasady nie przyjmował, bo, jak do nas się wyraził, w szabas nie pracowali, a w niedziele również z chrześcijańskimi pomocnikami świętowali. W soboty jednak nie wypłacał i gdy raz na ten dzień nasze święto przypadło, w jakie zwykle my, katolicy, nie pracowaliśmy, to nam na żądanie nasze nie chciał żadną miarą tygodniówki wypłacić, motywując to względami religijnymi. Zwróciłem mu wtedy uwagę, że widziałem, jak brał pieniądze w szabas, na co odrzekł: „To co innego“. Po długoletnim pobycie w tym mieście oświadczyłem majstrowi, że chcę od niego odejść, by szerszy świat zobaczyć. Nie chciał wcale na to się zgodzić i perswadował mi, iż to jest nie potrzebne, bo on też nie wędrował i żyje, a gdy chciał dowiedzieć się, jak gdzie inaczej wygląda, to mu jego kolega, który wędrował i wracał, wszystko opowiedział. Wtedy mu rzekł: „Teraz ja też taki mądry, jak ty, choć nie wędrowałem“. Perswazje te jednak nie skutkowały i odszedłem.

W Lubawie należałem do towarzystwa śpiewu św. Cecylii, w którym brałem żywy udział. Majster nie krzywił się na to, choć nieraz godzinę czasu pracy śpiewowi poświęciłem. Widocznie nie źle wtedy śpiewałem, bo mię ksiądz - dyrygent do lepszych śpiewaków zaliczał i żałował, iż jego towarzystwo opuszczam. Później, choć gdzieindziej należałem do towarzystwa śpiewu, aktywny udział w śpiewie jednak rzadko brałem, gdyż inne obowiązki czas mi zajęły.

Opuszczając Lubawę, miałem oszczędzonych ośm talarów. Ale też z każdym trojaczkiem liczyłem się podczas mego pobytu w tem mieście. Koledzy moi poczęli mię naśladować i gdy przedtem zarobione trojaki w lokalach tracili, teraz poczęli powoli być oszczędniejszymi. Za to oszczędziłem na potrzebne mi rzeczy do osobistego użytku, aby mieć wszystko do ręki i od kolegów nie pożyczać.

Wyjazd do Poznania.

Pragnieniem mojem było, żeby nie tylko do większego miasta się dostać, lecz też i do takiego, gdzieby życie polskie było rozwinięte. Te czasy, kiedy piechotą wędrowało się z zawiątkiem na plecach, mijały, bo po cóż czas marnować i niewygody znosić, jeżeli za tanie pieniądze koleją jechać można. Wybrałem więc Poznań i w początkach maja wyjechałem. Pamiętam, że przyjechałem do Poznania wieczorem około godziny 11-tej. Nie znając miasta, zafundowałem sobie dorożkę, za którą zapłaciłem 1 mk., a która mnie zawiozła do gospody krawieckiej, istniejącej wtedy przy ul. Wronieckiej. Nie łatwo było do niej się dostać, bo już była zamknięta, a gospodarz tejże spał. Nie daliśmy jednak, wspólnie z dorożkarzem, za wygranę i tak długo kołotaliśmy, aż gospodarz bramę otworzył i mnie wpuścił. Kazał mi w ciemności położyć się na ławce, gdyż wszystkie „łóżka“ były już zajęte. Nie spałem całą noc, bowiem mi było chłodno i twardo, a gdy rano się rozwidniało, spostrzegłem, w jakie towarzystwo się dostałem i byłem bardzo zadowolony, że mnie leżenie w łóżku ominęło ze względu na pewne znane żyjątko.

Gdy gospodarz wstał, spytałem go najpierw, gdzieby tu można zajęcie dostać, na co mi tenże oświadczył, że w Poznaniu samym o robotę trudno, bo już sezon skończył się, ale mogę napewno dostać w Grodzisku i radził mi tam jechać. Nie mogąc sobie inaczej poradzić, bo rzeczywiście robota ustawała, przyjąłem tę propozycję wbrew mojej intencji i po południu wyjechałem. Do południa zwiedziłem Poznań i zjadłem smaczny obiad, aż za 25 fen., do którego wypilem szklankę jakiegoś ciemnego piwa za 5 fen.

Do Grodziska wyjechałem jeszcze z jednym kolegą, gdzieśmy obydwa pracę u wskazanego majstra dostali. Tenże miał tam dobrą reputację jako krawiec i Polak-obywatel, co mi było na rękę, bo nie u byle kogo pracować chciałem. Wkrótce oswoiłem się tam i było mi dobrze. Zarabiałem 6—7 mk. tygodniowo według tego, ile zrobiłem, prócz tego dawano nam wolny stół, dosyć dobry i stancję. U majstra zyskałem uznanie za moje prowadzenie się i polubił mnie. Był to już większy warsztat, w którym poważniejsi rzemieślnicy, Polacy, pracowali, ale zdarzało się, że i z innej narodowości majster przyjmował.



Dwóch z nich, będących już w latach starszych, którzy za mej bytności tam pracowali, zapomnieć nie mogę.

Jeden był niemcem i nałogowym pijakiem, ale za to doskonałym w swoim zawodzie. Naszemu majstrowi nie był obcym, bo już kilka razy u niego pracował, lecz zwykle nie długo, kilka tygodni, a potem odchodził, bo mu-wędrownia znowu zapachniała. Był to typ chodzika, jakich wtedy jeszcze się spotykało. Regularnie w każdą niedzielę się upił, w poniedziałek nie pracował wcale i w warsztacie się nie pokazał. We wtorek wprawdzie do warsztatu przyszedł, ale pracować mu się jeszcze nie chciało; w środę nabierał ochoty do pracy, a energicznie dopiero się do niej w czwartek przykładał. Zdążył tyle zarobić przez ostatnie trzy dni, żeby mógł znowu w niedzielę się upić.

Do mnie powziął, jako znacznie starszy, istną ojcowską sympatię i nie tylko mię dobrej roboty uczył, lecz zabrał mię raz w niedzielę z sobą i pokazywał miasto, objaśniając wypadki z powstania 1848 r., jakie tam miały miejsce. Po obejściu miasta kazał mi wrócić do domu, a sam poszedł do knajpy, dodając, że mnie nie chce na złe drogi wprowadzić. Miał więc pewną dozę uczciwości wobec mnie.

Pewnego razu, po zwykłym swoim upiciu się, uznał, że on jednak źle robi i zawezwał mnie, żebym go za to porządnie obił, położywszy się na krzeselku. „Wsypałem“ mu linją kilka razy, ale nie silnie, co widząc jeden z kolegów, zeskoczył z warsztatu i z całej siły go uderzył, na co tenże bardzo się oburzył i oświadczył, że tylko mnie było wolno go obić. I pobili się za to. Niedługo u nas bawił; później, będąc już w Berlinie, wyczytałem w „Gazecie Toruńskiej“, że w Toruniu spadł w pijanym stanie ze schodów i zabił się.

Ten drugi był żydem, stary wyga i szczwany lis, ale również doskonały rzemieślnik. Przyjął pracę w naszym warsztacie tak od niechcenia; przedtem pomagał rwać wiśnie z przydrożnych drzew. Wyglądał obszarpano, a robactwa miał pełno. Była z nim bieda, bo i nam się to robactwo udzielało. Majster go jednak dla jego zdolności fachowej trzymał. Dużo ciekawych rzeczy opowiadał nam ze swego życia. Długo jednak u nas nie wysiedział, gdyż zapragnął znowu świeżego powietrza i poszedł. Spotkałem się z nim następnej zimy w mojej rodzinnej wsi, przez którą wędrując, o mnie się dowiedział, bo pamiętał, że stamtąd pochodzę i odwiedził mnie. To spotkanie musiało skończyć się

naturalnie poczęstunkiem w karczmie. Opowiadał mi, że chodząc od wsi do wsi, błaguje ludziom, że pielgrzymuje do Gietrzwałdu (znana miejscowość na Warmji z objawienia się Matki Boskiej, dokąd dużo pątników pielgrzymowało) i zbiera grosze na Mszę Św. i Zdrowaśki, co mu się podobno obficie udawało, zwłaszcza, że mówił dobrze po polsku. Od tego czasu już więcej o nim nie słyszałem.

Grodzisk należał do tych „uszcześliwionych“ parafji, gdzie rezyłował proboszcz „majowy“, t. j. narzucony przez rząd wbrew woli władzy kościelnej i parafjan na mocy ustaw majowych (antykościelnych), ukutych za czasów Bismarka. Unikano go też na każdym kroku, on także nikomu nie narzucał się, a do głównego kościoła, w którym odprawiał, nikt nie chodził. Ja również przez cały czas mego pobytu nie obejrzałem go nawet. Za to cisnęli się wszyscy w mniejszym kościele, gdzie dwóch prawowitych wikariuszów nabożeństwa odprawiało. Jeden z nich miał taki zwyczaj, że prawiąc kazanie, wiązał ciągle końce stuły na sobie, raz w przodku, drugi raz w tyle i je znowu rozwiązywał. Nie mogę tego szczegółu zapomnieć.

Bismark „poszedł do Kanossy“, a instytucja rządowych proboszczów, których było kilku w polskich dyecezach, runęła. Kościół okazał się silniejszym od Bismarka i jego klikii.

Co mię w Grodzisku uderzyło, to upijanie się wiejskiego ludu, szczególnie w niedzielę po południu. Przychodzili przed południem na nabożeństwo, a wyszedłszy z kościoła, jak w dym niektórzy do szynków szli i tam siedzieli po kilka godzin i dopiero nad wieczorem wracali pijani do domu, taczając się i śpiwając po drodze, a ten i ów z nich odpoczywał lub spał w rowie. Niestety upijały się także i kobiety, co dla mnie było czemś nowem i wstrętnem, gdyż w swoich rodzinnych stronach kobiety pijanej prawie że nie widziałem, jak w ogóle takie pijaństwo tam nie istniało. Księża w kościele i gdzie tylko bądź zwalczali ten nieszczęsny nałóg, ale to nie wiele skutkowało. Jeden z księży nawet czasem z knajp ich osobiście wyganiał, na drugi raz jednak znowu poszli. Dopiero pracą obywatelską, szczególnie księży, udało się z biegiem czasu przez uświadamianie ludu tę brzydką namiętność nieomal całkiem wyrugować.

W Grodzisku pozostałem do końca listopada, a że robota kończyła się, więc postanowiłem wyjechać i gdzieindziej pracy

poszukać, względnie do domu wrócić, zwłaszcza, że i tak z początkiem sezonu do większego miasta wyjechać zamierzałem. Po drodze zatrzymałem się na czas krótki w Inowrocławiu, a że i tam widoków na dalsze zajęcie nie było, wróciłem do rodziców, aby do początku następnego sezonu przeczekać. W Grodzisku tyle materialnie zyskałem, że sobie potrzebne rzeczy sprawiłem i jeszcze mi przeszło 80 mk. zostało.

Winienem nadmienić, że Grodzisk słynie ze znanego piwa, mającego odrębny smak, co polega na miejscowej wodzie. Owe piwo ma to do siebie, że upić niem się nie można. Ja go jednak nie bardzo lubiłem.

Słynie także to miasto, a przynajmniej słynęło wtedy, z ładnych kobiet. Pamiętam zdarzenie, że siedziałem raz z kilkoma młodemi wcale nie brzydkimi panienkami w altanie w ogrodzie naszego majstra sam, gdyż towarzysze umyślnie mię z niemi zostawili. Przez całe pół godziny nie rzekłem do nich z nieśmiałości ani słowa, lecz już nie baczę, czy ich piękność mię tak olśniła. Takim wtedy byłem, ale to się później zmieniło.

Pod względem narodowym Grodzisk na mnie podziałał dodatnio, tak że co do tego byłem już potem pewien siebie.

Wyjazd do Berlina i jak się tam w pierwszych latach urządziłem.

Podczas mojego pobytu u ojca postanowiłem pojechać do Berlina. Cel był ten, żeby tam, jako w środowisku przemysłu, w swoim fachu gruntownie się wydoskonić i możliwie uciuć trochę grosza, gdyż słyszałem, że zarobki są znacznie wyższe, niż gdzieindziej, by potem w kraju osiąść na stałe. Ojciec, jak zwykle, nie przeszkadzał mojemu zamiarowi, tylko żartem powiedział: „Pamiętaj, że tam pieniądze robią!” Zapamiętałem to sobie i starałem się ojca pod tym względem zadowolić.

Z początkiem marca r. 1880 wyjechałem i to w towarzystwie syna kowala z tej samej wsi, niemca, który tam miał ciotkę. Pieniądzy zabrałem z sobą 65 mk. Gdyśmy w Berlinie rano na „Wschodnim“ dworcu wysiedli, poradzono nam, że na tę ulicę, na której owa ciotka mieszkała, a która w zachodniej

części miasta leży, można omnibusem za 15 fen. dojechać, cośmy też zrobili i ciotkę odszukali. Ja jednakowoż nie mogłem się u niej zatrzymać i trzeba było podczas dnia jakieś schronienie na noc wyszukać. Dopytywałem się o gospodę krawiecką, którą odszukałem przy Krausenstr. 11. w środku miasta. Tam mnie przyjęto i dano nocleg, gdzie trzy dni przebyłem, dopóki mieszkania stałego nie wyszukałem.

Przed pójściem spać trzeba było kierownikowi gospody oddać zegarek, kosztowności i pieniądze do przechowania, bo nóż mogłoby komu w tak licznej i „doborowej“ towarzystwie co zginąć, za co kierownik nie brał odpowiedzialności. „Hotel“ nasz znajdował się pod dachem i tworzył jeden wielki „salon“, w którym wszyscy się mieścili. Przespanie w tym salonie kosztowało od trojaka (10 fen.) do trzech trojaków. Ja zdobyłem się na najdroższe legowisko. Wszyscy musieli jak na komendę o jednej godzinie iść spać. Przy rozbieraniu się widziałem, jak ci, którzy oszczędniej się urządzali, t. j. za trojaka, byli „rewidowani“ przez „domowych“. Musieli rozebrać się zupełnie do naga i w tym stroju „adamowym“ do łóżka, raczej na pryczę się kłaść, aby zmniejszyć niebezpieczeństwo udzielenia legowisku „współtowarzyszów“ noclegowych. Na mnie nie zwracano uwagi i mogłem spokojnie bez „rewizji“ iść spać.

Tego początku mego aklimatyzowania się w Berlinie nigdy nie zapomnę. Z moimi współlokatorami z gospody, którzy składali się z różnych podejrzanych i starszych elementów, spotykałem się później na ulicy i zwykle mnie przez „ty“ zaczepiali, pytając, czy już mam robotę, bo oni „dostać nie mogą“. Takie spotkanie kończyło się na tem, że trzeba ich było jako „towarzyszów“ poczęstować, albo dać jaką monetę.

Pierwszą troską było wyszukać sobie mieszkanie. Zwykle tacy, jak ja, mieszkali w t. zw. „Schlafstelle“ i takie też znalazłem przy Markgrafenstr. 69 w środku miasta. Był to pokój na trzecim piętrze pod dachem, który dzieliłem jeszcze z jednym współlokatorem, saksończykiem. Ten pokój był tak szczupły, że gdy jeden z nas rano wstał i ubierał się, to ten drugi musiał w tym czasie w łóżku pozostać, gdyż dla dwóch miejsca do ubierania się nie starczyło. Za taki przytułek płaciliśmy po 7.50 mk. miesięcznie i to z góry. Odnajmującym było to pomocą w płaceniu komornego. Tam mieszkałem około trzech kwartałów.

Ponieważ powietrze stawało się coraz cieplejsze, więc sezon zaczął się i można było łatwo zatrudnienie dostać. Poszukałem je zapomocą gazety „Volkszeitung“, w której potrzebujący pracowników ogłaszali. Zacząłem pracować u t. zw. „Fettbocka“ (tak nazywano tych krawców, którzy w własnym mieszkaniu pracowali dla magazynów, a do ręki dobierali sobie siły młodsze, jeszcze nie samodzielne, których znowu nazywano „Morgenslanderami“, a to z tego powodu, że napływ tychże do Berlina był w największej części ze wschodnich prowincji). Zaczynaaliśmy pracę o 6-ej rano, a kończyliśmy o 9-ej, czasem o 10-ej wieczorem, o ile się przy świetle lampy pracowało. Pracowaliśmy również w niedzielę do południa, co mi się nie bardzo podobało, ale wtedy był tam taki zwyczaj.

Praca była nie trudna i to na większe sztuki. Płacono mi 3 mk. dziennie bez stołu, a oprócz tego na podwieczorek dostawałem kubek kawy. Urządziłem się tak, że rano gospodyni dawała nam kawę z bułką w mieszkaniu, za co płaciliśmy po 3 mk. na miesiąc, na obiad chodziło się do jadłodajni, a wieczerzę jadałem w mieszkaniu, względnie zabierało się do spożycia w warsztacie, kupując na mieście potrzebne wiktuały. Taki sposób życia kosztował tygodniowo, włącznie czynszu za mieszkanie, 9—10 mk., a że 18 do 20 mk. zarabiałem, więc mi prawie połowa pozostała. Z kupowaniem wiktuałów było mi zrazu nieswojsko, żenowałem się, gdyż nie byłem do tego przyzwyczajony, ale gdy widziałem, że i oficerowie w ten sposób zaopatrują się, łatwo się z tem oswoilem.

Tylko do Wielkiejnocy u tego majstra pracowałem, gdyż tymczasem dowiedziałem się, że lepsze krawiectwo mieści się tylko w dzielnicy „Friedrichstadt“, zaś moja pracownia była już trochę po za jej obrębem. Moją ambicją było w owej dzielnicy uczyć się dobrej roboty i tam pracować. Poszukałem sobie nowego miejsca pracy i to u majstra, co częściowo dla magazynów pracował i częściowo dla własnych odbiorców. Nas, pomocników, było trzech, więc było swobodniej. Czas pracy i płaca były takie same, jak u poprzednika i tylko czasem, gdy pilna była robota, trzeba było ze soboty na niedzielę całą noc pracować, aż do samego południa. Przy takiej okazji słyszałem w Zielone Świątki, jak zegar na wieży kościelnej przy ul. Klasztornej wygrywał rychło rano pieśń: „Komm, Heiliger Geist“ (Przyjdź, Duchu Św. itd.), co tylko o tej porze można z takiej

oddali słyszeć. Przyznam się, że mi trochę tkliwo się zrobiło, bo przecież to było pierwsze święto Zielonych Świątek, a ja pracowałem.

Po Świątkach policzyłem swoje oszczędności i wykazało się, że już 170 mk. posiadałem, które ojcu do przechowania, względnie zużycia, posłałem, w tem zrozumieniu, że w razie jakiejś potrzeby mi je zwróci.

U tego majstra pracowałem do jesieni, a potem, czując już pewną samodzielność, postarałem się o zatrudnienie bezpośrednio w magazynie. Umówiłem się z jednym z kolegów, że będziemy do spółki z magazynu robotę brali i do połowy zarobkiem się dzielili. Domowi krawcy, mając jeszcze miejsca w swoich warsztatach, oddawali je za pewnem wynagrodzeniem nie mającym własnego warsztatu kolegom, pracującym również samodzielnie dla magazynów, przyczem można było używać ich maszyn do szycia i innych przyborów warsztatowych. Takiego miejsca poszukaliśmy sobie i zaczęliśmy pracować dla jednego ze średnich magazynów. Na tej samodzielności materialnie nie bardzo wyszedłem, bo roboty było skąpo i gdy przed Bożem Narodzeniem obliczyłem się, to zarobek wypadł przeciętnie 12 mk. na tydzień. Z tego już nie wiele było można odłożyć. Na dobitkę skradziono mi moje palto zimowe, więc na sprawienie tegoż musiałem poprzednie moje oszczędności nadwyreżyć.

Ponieważ jesienny, względnie zimowy, sezon zwykle już w drugiej połowie listopada słabł i aż do początku marca zarabiał się mało, lub wcale zajęcia nie było, postanowiłem na ten czas pojechać do rodziców, aby oszczędzonych groszy nie wydać i tam ten kiepski czas przeczekać. Wróciwszy z początkiem wiosny do Berlina, poszukałem innego warsztatu, należącego do pierwszorzędných, gdzie znacznie lepiej płacono i więcej zatrudnienia było. To też zarabiałem aż sześćdziesiąt marek na tydzień, zwłaszcza, że nabrałem wprawy i uchodziłem za szybkiego pracownika, a jako takiemu powierzano zwykle nagłe roboty.

Mieszkanie wyszukałem sobie także inne, gdzie nas trzech mieszkało w jędnej ubikacji. Nazywano wprawdzie nasz pokoik „komorą“ (Kammer), lecz był znacznie obszerniejszy, niż poprzedni i mogliśmy się swobodnie w nim ruszać. Nasi gospodarze, uczciwi niemcy, mieli dwie dorosłe córki, które, że to mieszkaliśmy w podwórzu, nazywały siebie „Hofdamen“ — ja zaś wymyśliłem dla nas nazwę „Kammerherren“.

Po za mojem fachowem zajęciem chodziłem wieczorami do wyższej szkoły uzupełniającej, utrzymywanej kosztem miasta, gdzie uczyłem się stylu niemieckiego pisma i książkowości. Tam przyjmowano tylko takich uczniów, co już ortograficznie i gramatycznie prawie dobrze pisać umieli. Płaciliśmy za całe półrocze za jedną godzinę w tygodniu, czyli za 26 godzin na pół roku „aż“ dwie mk., a więc prawie za darmo. Takich godzin miałem cztery w tygodniu. W takim mieście bowiem, jak Berlin, można było swoje szkolne wiadomości w każdym kierunku rozszerzyć, ku czemu służyły szkoły uzupełniające wszelkiego rodzaju, tak dla analfabetów, jak dla już posuniętych w naukach. Urządzano kursa półroczne zimą i latem i to od godziny 8-ej do 10-ej wieczorem, tak, że każdy, skończywszy swoją normalną dzienną pracę, mógł brać w nich udział. Do tych szkół chodziła przeważnie młodzież kupiecka, rzemieślnicza, robotnicy, a i uczniowie wyższych klas gimnazjalnych i szkół realnych, którzy mieli zamiar obrać sobie zawód praktyczny. Widziałem także starszych wyżej lat 40-tu. Uczyli profesorowie, nauczyciele szkół miejskich i kupcy. Kto chciał, mógł się uczyć nie tylko wyższej rachunkowości i książkowości, lecz i obcych języków, a szczególnie francuskiego i angielskiego.

Z tego, co się na tych kursach nauczyłem, byłem bardzo zadowolony i w późniejszym życiu nadzwyczaj mi się to przydało. To też zachęcałem potem w Stowarzyszeniach młodych rodaków, aby z tej tak dogodnej sposobności jak najobficiej korzystali.

W początku czerwca 1882 r. umarła mi matka. Pojechałem na pogrzeb i zostałem w domu aż do września, gdyż latem nie wiele można było zarobić z powodu czasu „ogórkowego“. Wróciwszy z początkiem jesieni do Berlina, pracowałem i uczyłem się dalej. Prócz tego chodziłem na kurs kroju.

Początek pracy społecznej w Berlinie.

Gdy w r. 1880 przyjechałem do Berlina i ustaliłem się tamże, rozpocząłem poszukiwania za Stowarzyszeniami polskimi, które przeważnie miały swoje posiedzenia w Śródmieściu przy Niederwaldstr. 11, nazywając tę ulicę z polska „Niederwalką“. Było

w Berlinie już wtedy pięć towarzystw, mianowicie: Polsko-Katolickie, Polskich Przemysłowców, Przytulisko, Polek i Naukowe Polaków-Akademików. To ostatnie i Przemysłowe odbywały gdzieindziej swoje posiedzenia, zaś życie polskie ześrodkowywało się przeważnie na Niederwalce. I jeżeli kto chciał swoich spotkać, to w niedzielę i poniedziałki mógł tam zawsze dużo zastać Polaków. Nie trudno mi było poznać się ze swoimi, gdyż tworzyli oni jakby jedną rodzinę, a prócz tego wyprzedził mnie jeden z moich towarzyszy z Grodziska, który mnie w polskie koła odrazu wprowadził.

Na razie zapisałem się na członka do Tow. Polsko-Katolickiego, na którego posiedzenia co poniedziałek gorliwie chodziłem. Prócz tego co niedzielę bywałem w Tow. Polek jako gość. Na razie zająłem stanowisko obserwujące, dopiero z biegiem czasu dowiedziano się, że umiem jako tako z piórem się obchodzić, więc zrobiono mię sekretarzem w Tow. Polsko-Katolickiem.

Widocznie „spisywałem“ się dobrze na tym urzędzie, bo moje sprawozdania, o ile pamiętam, ogólnie się podobały. Publicznie na posiedzeniach jednak głosu nie zabierałem z ostrożności, aby czasem głupstwa nie powiedzieć i dopiero po jakichś dwu latach nabrałem odwagi do przemawiania. Zrazu ograniczałem się do krótkich uwag, dopóki język pewnej wprawy nie nabrał.

Zadaniem pierwszych Towarzystw polskich w Berlinie, jakkolwiekby one nazywały się, było, z małym wyjątkiem, skupianie się perjodyczne, utrzymywanie wzajemnych stosunków i podtrzymywanie naszych zwyczajów, do czego służyły posiedzenia, obchody narodowo-religijne i wspólne zabawy. Przy takich okazjach czuliśmy się jakby jedna rodzina i pokrzepiali nawzajem wiadomościami z kraju. Należeli do Towarzystw w przeważnej części rzemieślnicy różnego rodzaju, bo tych było w Berlinie najwięcej. Prócz nich należało trochę kupców, a mniej z inteligencji i robotników, których wtedy było bardzo mało. Dopiero w więcej lat później poczęli robotnicy do Berlina licznie napływać. Pochodzili głównie z pruskiej części Polski, a mało z innych dzielnic. Należało także kilku akademików do naszych Towarzystw.

Na zabawach naszych słyszeć było można często język niemiecki, gdyż niektórzy rodacy przyprowadzali na nie swoich znajomych Niemców. Niestety byli i tacy, co zdążyli pożenić się z Niemkami lub powychodzić za Niemców. W Tow. Polsko-

Katolickiem był nawet przez pewien czas przewodniczący, który fatalnie po polsku mówił. Takie to były czasy. Ta mieszanka językowa ustała zwolna po 30-tu mniej więcej latach wskutek działalności Towarzystw.

Należałem także później do Tow. „Przytulisko“ i regularnie na posiedzenia miesięczne chodziłem. Na nich dowiadywałem się o naszych „chodzikach“, z których większa część, jak się później zwykle stwierdzało, wyzyskiwała nasze dobroczynne Towarzystwo. Ale to nas nie wstrzymywało w naszej działalności, gdyż było i sporo takich, co na pomoc zasługiwali. Fundusze na wydatki zbierano pomiędzy rodakami na miejscu.

Oprócz uczęszczania na posiedzenia brałem udział w przedstawieniach amatorskich, urządzanych przez Towarzystwa, chociaż najczęściej tylko jako sufler. Wtedy już napewno amatorzy rolę nie uczyli, spuszczając się na moje wypowiedzianie.

I polskich tańców uczyłem się, a jakże! lecz w tem do artyzmu nie doprowadziłem. Gdyby tylko podług umiejętności tańca panny mężów wybierały, to do dzisiaj pozostałbym kawalerem.

Wyjazd do Warszawy.

Pracując jeszcze w Lubawie, poznałem się tam z pewnym kolegą z Warmji, który, gdy ja do Berlina się wybrałem, to on do Warszawy pojechał i korespondowaliśmy ze sobą. Namawiał mnie do przyjazdu do Warszawy, by tam po rozejrzeniu się w stosunkach na stałe osiąść, ewentualnie założyć z nim wspólny warsztat. Usłuchałem go i w początku września 1884 r. pojechałem, zwłaszcza, że chciałem Warszawę poznać.

Już zaraz na początku zaczęło mi się nie podobać. Mieszkałem, a raczej tylko spałem „przy rodzinie“, t. j. w jednej izbie z młodem małżeństwem i jeszcze jednym sublokatorom. To małżeństwo oddawało nam na noc jeden kątek pokoju, przedzielając go zasłoną, w którym stał piecyk do gotowania, za co płaciliśmy po trzy ruble na miesiąc. Zwykle gospodyni wstawała rychlej od nas i przy piecyku się kręciła, więc nie mogłem wstać, kiedy chciałem, bo wstydziłem się, i dopiero gdy w sąsiedztwo po mleko i bułki poszła, to w tym czasie zrywałem się z łóżka, i szybko ubierałem, i myłem się, tak, że zanim ona wróciła, ja

już czekałem na śniadanie. Naturalnie, że w takich warunkach pierwszy tydzień prawie, że wcale spać nie mogłem, nie będąc do tego przyzwyczajony, zwłaszcza, że i latorośl tegoż małżeństwa w nocy przeszkadzała. Na szczęście to moje utrapienie długo nie trwało, gdyż mój znajomy wkrótce potem ożenił się, a mając obszerniejsze mieszkanie, zabrał mnie do siebie.

Zajęcie otrzymałem wnet, i to jako krojczy. Był to jednak mały magazyn, w którym byłem zajęty, i wkrótce zabrakło nam, t. j. majstrowi i mnie, roboty, więc odszedłem i zacząłem jako pomocnik pracować w warsztacie mego znajomego, przynosząc sobie z jakiegoś magazynu robotę, ale to już tylko po to, aby sezonu w Warszawie dokończyć, a potem wrócić do Berlina. Bo nie tylko, że nie zapowiadało się to, o czym mój przyjaciel mi pisał, ale wogóle stosunki i nieporządki mi się nie podobały. Brakło mi towarzystw i tej względnej swobody, do których w Berlinie już się przyzwyczailem. Czułem się skrępowany. Bawienie się w rodzinach, na co młodzież była skazaną, mnie nie wystarczało, zaś do knajp nie lubilem chodzić. To też, gdy się zbliżały święta Bożego Narodzenia, starałem się Warszawę opuścić i na razie zatrzymać się u ojca, aby tam do wiosennego sezonu przeczekać. Ale nie zdążyłem wyjechać na święta do domu, ponieważ nie chciałem dać łapowego rządcy domu i urzędnikom na policji, do czego miałem wstręt. Nie spieszo się też dlatego ze załatwieniem formalności paszportowych i przetrzymano mnie o cały tydzień dłużej. Dopiero zażalenie u komisarza policji i pogrożenie konsulem poskutkowało. Przyzwyczajonego bądź co bądź do jakiejś osobistej wolności raz było niezmiernie takie załatwienie. Lecz choć dłużej pozostać musiałem, to byłem zadowolony, że na swoim postawiłem, bo łapowego jednak nie dałem.

Nie podobało mi się też i to niechlujne żydostwo i choć z usposobienia antysemitą nie byłem, to jednak obrzydzenie mnie brało, stykając się ciągle z nimi. Psociłem się im też na swój młodzieńczy sposób, jak mogłem, gdy na podwórzu, do którego nasza pracownia przylegała, swoje stereotypowe „handle, handle“! różnymi głosami wywoływali. Jeszcze jeden nie skończył w końcu podwórza wołać, to już drugi wołał w pośrodku, a trzeci wychodząc z bramy na podwórze.

Z czasu mojego pobytu w Warszawie nie mogę pominąć pewnego zdarzenia.

Był tam zwyczaj, a może jeszcze jest, rychłego wydawania córek za mąż, czego pojąć nie mogłem, ze względu na umiejętność prowadzenia gospodarstwa. Mojemu znajomemu dostała się żona, która wychodząc za niego, jeszcze ani szesnastu wiosen nie liczyła, on ją zaś o drugie tyle w latach przewyższał. To też żartowałem z niego, że gdy ona będzie miała sto lat, to on dwieście. Aż tu i na mnie coś podobnego czyhało, tylko, że ja byłem przezorniejszym i nie wdawałem się z praktycznych względów w takie rzeczy.

Od czasu do czasu przebywałem u znajomych mego przyjaciela, gdzie były dwie dorosłe córki, starsza licząca lat 19, a młodsza jeszcze nie piętnaście wiosen. Nie przeczuwałem wcale, że to moje przebywanie w tej rodzinie wywoła jakieś głębsze uczucia u jednej z nich względem mnie, gdyż moje zachowanie się je do tego nie uprawniało. Aż pewnego razu przyszła matka tych panienek do mojej młodej gospodyni i znacząco w przybocznym pokoiku coś sobie opowiadały. Naraz wołają mnie do siebie i matka mi wręcz oświadcza, że ta młodsza córka we mnie zadurzyła się i nawet sypiać nie może, nie będąc pewną wzajemności. Perswaduję jej, że przecież nie dałem do tego żadnego powodu i że nie mam jeszcze ani zamiaru się żenić, gdyż wpierw muszę zdobyć jakiś punkt oparcia i mieć pewność, że zdołam dom i rodzinę jako tako utrzymać. Perswazje te jednak nie trafiały jej do przekonania i mówiła mi, że córka może też jeszcze ze dwa lata poczekać na mnie i że chce zostać katoliczką (bowiem była protestantką), na co jej obojętnie i z zimną krwią odpowiedziałem, że wtedy, jeżeli nie ja, to może kto inny dla córki się znajdzie. I na tem się skończyło. Swoją drogą była zgrabną i w przeciwieństwie do mnie umiała ładnie tańczyć.

Wogóle na uczucia nie dałem się nabrać, gdyż się w nie nie bawiłem i celowo przez życie szedłem, usuwając wszelkie uczuciowe zapory, jakie by mi w drogę wchodziły. Zresztą uczucia nie można sobie tak nakazać, jak nakazuje się spełnienie obowiązku. Powtóre byłem i jestem zdania, że wtedy, gdy te dwa interesy, t. j. uczucie i rozsądek z sobą się sprzecniają i nie można ich pogodzić — rozsądek powinien zwyciężyć. Było to i jest dewizą całego mego życia i na tem dobrze wychodziłem. Ludziom, łatwo ulegającym uczuciom, nigdybym nie powierzył ważnej sprawy. Bynajmniej uczuć jakichbądź nie neguję, ale one muszą iść z rozsądkiem w parze. Nie zaprzeczam także, że będąc

wesołego usposobienia, nieraz wypadło mi całe grono pań bawić, co robiłem na swój sposób i umiałem je w wesołym nastroju utrzymać. W dotrzymanie słowa przezemnie widocznie i młode panny wierzyły, bo jedna z Warszawianek domagała się takowego, ja zaś, przypadkowo mając w rękę gazetę „Słowo“, jej daję, a ona mówi: „Takie słowo!“. Na bawieniu zwykle też kończyło się i nie uważałem, abym dał powód do jakich pobocznych pretensji, a przynajmniej nie chciałem ich wywołać. Gdy raz później jakaś starsza kokietka ze mnie żartowała, że spostrzegła, iż pewna niewiasta na mnie wpływ wywiera, to jej odpowiedziałem, że chociaż jest przysłowie, „gdzie djabeł nie może, tam babę poszle“, lecz u mnie to i baba nic nie wskóra. Takim pozostałem, pamiętając, co jeden z powieściopisarzy napisał, że „brak logiki jest najpewniejszym symptomatem miłości“, a jabym pierwszej dla drugiej nie chciał poświęcić.

Do umiejętności gospodarczej Warszawianek nie miałem wogóle zaufania, widząc przykłady w kołach, w których się obracałem. Dziewczęta, opuściwszy z ledwością powszechną szkołę, marzą już o wyjściu za mąż. Trochę to zawcześnie. Przecież powinny wprzód nauczyć się tego wszystkiego, co im w późniejszym życiu będzie potrzebnem, a na co nieraz kilka lat potrzeba. Szczególnie w naszym rzemieślniczym stanie, w którym na służącą, a tem mniej na kucharkę starczy. To też mój znajomy biadał po niewczasie, że mu się taka niedoświadczona żona dostała. Po co się zadurzył w takiej? Przypominam sobie, że pierwszy obiad wystawiła na godzinę 4-tą, zamiast o 1-szej, jak zamierzała, a wieczerę jedliśmy o 12-tej w nocy. Dziwiła się też, gotując ryż, że jedne ziarenka rozgotowały się, a drugie pozostały twarde, ale za to, gdy przy robocie w warsztacie zaśpiewałem, zapomniała o kuchni i przysłuchiwała się, a tymczasem szelma ryż przypalił się. Wogóle jej repertuar kuchenny był bardzo szczuputki. To mię odstraszało. W Berlinie wychowywaliśmy praktycznie nasze córki, a i te, co z zaboru prus. przyszły, umiały tam dać sobie radę.

Powrót do Berlina i dalsza tam praca.

Wróciwszy do Berlina, zacząłem znowu dla magazynu pracować, w którym przedtem byłem zajęty, gdzie mnie znowu chętnie przyjęto. Zarobek był dobry, to też starałem się powe-

tować stratę materialną, jaką poniosłem przez wyjazd do Warszawy. Zamieszkałem u swoich znajomych, gdzie mi było jak u siebie, gdyż nasza gospodyni była doskonałą, dbającą nie tylko o własną rodzinę, ale i o swoich sublokatorów. Gdy chodziło rano o podanie kawy, choćby już o 4-tej godzinie, to ją nam podała. Wogóle było nam u niej wygodnie, za co byliśmy jej wdzięczni.

Do towarzystw zacząłem uczęszczać na nowo, a pomiędzy niemi także do Tow. Przemysłowców, ale jako członek wstąpiłem do niego później, gdy widziałem, że frekwencja na posiedzeniach liczebnie coraz bardziej się zmniejszała, i wciągnąłem jeszcze innych rodaków. Nadmienić wypada, że Towarzystwo liczyło w tym czasie przeszło stu członków, lecz na posiedzenia chodziło przez pewien czas bardzo mało, tak, że nieraz posiedzenie odbyć się nie mogło, pomimo, że prezesem był dzielny człowiek. Panował też pomiędzy Tow. Polsko-Katolickiem a Przemysłowem pewien antagonizm, zupełnie niepotrzebny, może dlatego, że to drugie miało charakter czysto katolicki, a do Przemysłowego mogli należeć Polacy innych wyznań, których też w pierwszych kilkunastu latach zawsze kilku było, nawet żydów. Dopiero później zmieniło się to. Zadaniem więc nowowstępujących do Tow. Przemysłowego było nie tylko zasilić je liczebnie, ale i usunąć to nieporozumienie pomiędzy obydwoma towarzystwami, co się też udało. Chodziłem także na posiedzenia do Tow. Naukowego Polaków-Akademików, przysłuchując się ich wykładom i korzystając z nich, a później brałem także udział w dyskusji.

W tym czasie zaczęli potajemnie w naszych towarzystwach nurtować polscy socjaliści, którzy przedtem należeli do socjalistycznych, niemieckich organizacji, i starali się założyć własną polską, aby łatwiej im było zjednywać zwolenników pomiędzy rodakami. Szczególnie uwzięli się na Tow. Przemysłowe i nawet kilku z nich było członkami w naszym towarzystwie, gdzie przy każdej sposobności wygłaszali swoje teorie i rozszerzali ulotne pisma w języku polskim.

Gdyśmy to spostrzegli, wystąpiłem jako jeden z pierwszych przeciwników ich agitacji, wychodząc ze stanowiska, że szkodzą przez to sprawie narodowej. Po za tem obowiązywała wtedy ustawa przeciwko socjalistom i ich działalność śledzono przez tajnych policyjnych agentów, więc trzeba było być bardzo ostrożnym i nie pozwolić w naszych towarzystwach na agitację, gdyż

groziło im zamknięcie i narażenie zarządów na nieprzyjemności. O tem nurtowaniu socjalistów napisałem dwie korespondencje do „Orędownika“, jedną przeznaczoną do umieszczenia w „Orędowniku“ a drugą, nie nadającą się do publikacji, lecz tylko dla informacji Redakcji, aby wiedziała na co się w naszej kolonji zanosi i przeciwko temu występowała w swoim piśmie, które w naszych kołach najwięcej czytano. Polskiej miejscowej gazety wtedy jeszcze nie było. Przez pomyłkę wydrukowano i tą drugą korespondencję, wskutek czego miałem osobiście niemałe nieprzyjemności. Ale nie było złego, co by na dobre nie wyszło, bo tem energiczniej zabrano się do oczyszczenia towarzystwa z naszych socjalistów i ich agitacji, a mnie przyznano, że zrobiłem dobrze, pisząc do „Orędownika“ w tej sprawie. Przy tej sposobności wykazało się, że na posiedzenia towarzystwa chodzili tajni ajenci policyjni, udając gorliwych Polaków, którzy pilnie śledzili nasze czynności i pomagali dla oka, jako „towarzysze“ w rozszerzaniu pism socjalistycznych.

Ta agitacja spowodowała nam jawny dozór policyjny, który na wszystkich posiedzeniach mieliśmy i który trwał około trzech lat. Było zawsze dwóch stróżów, komisarz i zwykły policjant. Z czasem przyzwyczailiśmy się do nich, a oni do nas, tak, że komisarz nawet chociaż tylko gestem niekiedy w naszych rozprawach brał udział.

W roku 1886 około Zielonych Świątek zwiedziłem Pragę czeską, a to z okazji uroczystości otwarcia „Narodnego Divadla“ (teatru narodowego), bo na zaproszenie Spolka czesko-słoweńskiego w Berlinie wysłało Tow. Polsko-Katolickie nas dwóch delegatów. Wyjechaliśmy z Berlina w towarzystwie Czechów, których znaczna liczba wybrała się do „Zlatej Prahy“. Już w Dreźnie nas Czesi serdecznie witali. Tam przyłączyło się do nas nie tylko wielu Czechów, lecz i kilku naszych rodaków, pomiędzy którymi był hr. Konopacki, mieszkający stale w Dreźnie. Zaznaczyć muszę, że wtedy pomiędzy Czechami a Polakami panowała dobra harmonja i szczególnie na obczyźnie towarzystwa obu narodowości przy każdej sposobności nawzajem się zapraszały.

Na granicy czeskiej witało nas, co żyło, a dalej na każdej większej stacji nie tylko witali nas na czele z muzyką, ale fetowali i obsypywali różami. Podróż była malownicza, dla mnie ogromnie ciekawa, bo jeszcze takich okolic górzystych nie widziałem. W Pradze nie było końca witaniom, a kwatery gotowe w po-

rządnym hotelu. Było mi nadzwyczaj na rękę, że mogłem widzieć kawał czeskiego kraju, a szczególnie zwiedzić Pragę. Nie było pamiątki, której byśmy [nie zwiedzili. W jednym z kościołów spostrzegłem skarbonki, a na nich napis: „Pro chudych“ (dla biednych). Mój towarzysz z Drezna był także chudy, więc powiedzieliśmy sobie, że to pewnie dla nas zbierają.

Spotkawszy na tej uroczystości księdza, których tam prawie że widać nie było, zapytałem go, czemu księża przy takich okazjach nie udzielają się?, na co mi odpowiedział, że oni tego już robić nie potrzebują, bo tylu jest świeckich ludzi, co umieją sprawy narodowe poprowadzić, i dodał, że co innego jest u was, gdzie nie macie jeszcze tylu wyrobionych przewodników.

Mówiliśmy wszędzie tylko po polsku, choć czasem z powodu niezrozumienia parę razy powtarzać się trzeba było, gdyż na niemieckie pytania czesi nie odpowiadali. Tak zawsze już wtedy postępowali, ale jednocześnie popierali to w życiu codziennym pracą i właściwie tem bili przeciwników.

Wracając do naszej gospodyni, o której na początku tego rozdziału wspomniałem, nie mogę pominąć pewnego, niby mało znaczącego, zdarzenia. Mieszkało nas trzech u niej w jednej izbie, a pomiędzy nami młody rodak, wyznający już zasady socjalistyczne, i zapominający o tem, czego go matka w domu nauczyła. Gawędząc pewnego razu przed pójściem spać, on ostatni, zgasiwszy światło, położył się do łóżka i gawędził dalej. Ponieważ spostrzegłem, że przed pójściem do łóżka nie zmówił pacierza, więc wstałem, zapaliłem lampę na nowo, a wzięwszy harap do ręki, stanąłem przed jego łóżkiem i zażądałem energicznie, aby wstał i pacierz zmówił. On się wymawiał, że w łóżku zmówił, na co odpowiadam, iż tego zrobić nie mógł, bo przecież z nami ciągle rozmawiał i pytam go, czy chce wstać i klęcząco zmówić pacierz, inaczej harapem dostanie. Co miał zrobić? Wstał, ukląkł i po cichu zmówił. Zastrzegłem, że gdy jeszcze raz o pacierzu zapomni, to będzie musiał w obecności mojej głośno zmówić. Na drugi raz o rannym pacierzu zapomniał, bo ubrawszy się, spieszył do sąsiedniego pokoju na kawę, więc go nawróciłem i musiał wprzód zmówić.

To zdarzenie przypominał mi jeszcze po latach. Założywszy własne ognisko, prowadził dom wzorowo, a jego syn, już jako oficer polski, ucieszył się bardzo, gdyśmy przy sposobności w Warszawie się spotkali.

Zamiar ustalenia się.

W r. 1886-tym, licząc już przeszło 27 lat, zacząłem myśleć o ustaleniu się, gdyż byłem zdania, że każdy młody człowiek doszedłszy do tych lat, o ile może nietylko na utrzymanie siebie, ale i rodziny zarobić, powinien osiąść na stałe, założyć warsztat i utworzyć własne ognisko. Wyznawałem bowiem zasadę, że jeżeli ma być Polska, to trzeba koniecznie to zrobić. Ponieważ w naszej sferze kierują się zdaniem, że do tego jest potrzebna najpierw żona, gdyż podług przysłowia one dopiero nas „majstrami robią“, więc zacząłem się rozglądać pomiędzy znajomymi mi pannami, któraby mi do gustu przypadła, tak z wyglądu jak z opinji. Ale jak się do tego zabrać, nie mając wprawy! Przytem byłem ambitny i pierwsze niepowodzenie mogłoby mnie na długo zrazić. Wprawdzie miałem u pań mir, bo uchodziłem u nich jako dobrze prowadzący się młodzieniec i umiałem je bawić, przytem lubiły moje skromne i przyzwoite dowcipy, lecz to mogło nie wystarczać i, mając na uwadze moją zacheuszową postać, czułem jednak trochę skrupułów, żeby czasem dla tego kosza nie dostać. Z natury byłem dyplomatą, ostrożnym, co mi w mojej działalności społecznej bardzo pomagało, więc dłaczegóż nie mógłbym i w tym przypadku użyć dyplomacji.

I o dziwo! Wzrok mój padł na znacznie wyższą odemnie, pochodziła z Kujaw, zgrabna i jak się przekonałem rządna i pracowita. Powiedziałem sobie: „Taka może być dla mnie stosowna“. Na posag nie liczyłem, bo byłem pewien, że na chleb zarobię, nietylko dla siebie, lecz i dla niej, byle była oszczędną i umiała przezemnie zarobionym groszem gospodarzyć. Lecz jak się do niej zabrać. Od czegoż jednak dyplomacja. Już wkrótce wysondowałem, że gdy oświadczę się o rękę, to kosza nie dostanę, więc wielkiej odwagi nie było potrzeba. Oświadczyłem się tedy i byłem przyjęty. Później dowiedziałem się, że żadna ze znajomych Polek nie była by mi swej ręki odmówiła.

Zapewniwszy się pod tym względem, zacząłem myśleć, co dalej robić. Tymczasem uczuwałem, że nadmierna praca moje siły znacznie poderwała i trzeba było wpierv o jakim kilkotygodniowym odpoczynku pomyśleć, co tylko w rodzinnych stronach zrobić mogłem i tam za stosownem miejscem do osiedlenia się obejrzeć.

Stało się jednak inaczej. Zaproponowano mi bowiem w jakimś mniejszym mieście w Meklemburgji miejsce krojczego, co rozważywszy dobrze, stanowisko to przyjąłem. Narzeczona na to chętnie się zgodziła, bo chociaż to nasz zamiar odwlekło, jednak było to w naszym położeniu materialnem postępem. Płaca była względnie niską, ale też życie było tam bardzo tanie, a z drugiej strony wiedziałem, że będę mógł odpocząć i do równowagi siły doprowadzić. To też w początku sierpnia stanowisko to objąłem.

Przyjazd na miejsce przeznaczenia i jakie wrażenie tam zrobiłem.

Nowy pryncypał, angażując mnie, nie żądał przedtem osobistego przedstawienia się, co zwykle się praktykuje, lecz przyjął mię na polecenie swego znajomego listownie. Na stanowiska przykrawawców w krawieckim zawodzie biorą tylko takich, co mają słuszny wzrost, a co jest pierwszym warunkiem. Przykrawawcz styka się bowiem z każdym odbiorcą, więc musi na pierwszy rzut oka zrobić wrażenie, czyli sam być modelem. Dalej ma do czynienia nieraz z osobami wysokimi i grubymi, co małemu utrudnia obsługę. To też, gdy przedstawiłem się pryncypałowi, zrobił tenże wielkie oczy, w których wyczytałem: wpadunek. Przyjęto mnie na próbę i napewno mój nowy szef myślał, że ani tej próby nie przetrzymam, lecz ja pomyślałem sobie: „Poczekaj, o czemś lepszym cię przekonam!“.

Początek był nieobiecujący, gdyż pierwszy klient, miejscowy lekarz, któremu wypadło wziąć miarę na palto, był wysoki, jak topola, lecz z zimną krwią do mierzenia zabrałem się, pomimo, że jakiś ironiczny uśmiech u niego spostrzegłem. Muszę dodać, że tam takich, którym pod pachą swobodnie bez nachylenia się przejść mogłem, było więcej, jak również co do objętości, bo czasem miara krawiecka, mająca 150 cm długości, nie wystarczała. Np. jeden z nich, fabrykant fortepjanów, miał w pasie 157 cm objętości i ważył podobno 390 funtów. Pewnego razu brałem mu miarę w jego mieszkaniu, a nie mogąc sobie włożyć miary podać, bo ręce okazały się za krótkie, poprosiłem go, aby jeden koniec miary na brzuchu przytrzymał, a z drugim końcem

w koło niego obszedłem i w ten sposób sobie poradziłem. Takich okazji w mojej późniejszej berlińskiej praktyce nie spotykałem.

Pierwsze pytanie tego lekarza było: „Czy wolno mi usiąść przy braniu miary?” — na co mu ze spokojem odpowiedziałem, że może stać. Za to następnie przy przymierzaniu, stojąc przed lustrem, odwrócił się do mnie i powiedział: „Mogę Panu komplement powiedzieć, pałto, jakie Pan mi przymierza, podoba mi się”, — a zwracając się do szefa, mówi: „Panie B. niech Pan zaraz pokaże towar na ubranie”. Już w tej chwili wiedziałem, że egzamin zdałem.

To stanowisko było jakby stworzone dla mnie, gdyż dział krawiecki, jaki mój szef krótko przed moim przybyciem założył, dopiero miał się rozwinąć, zatem nie było jeszcze wiele do czynienia i mogłem nawet podczas dnia odpoczywać. Ale był też najwyższy czas, żebym z Berlina wyjechał, co dopiero po wyjeździe spostrzegłem. Ogarnęło mnie najpierw takie zmęczenie, iż nie mogłem odważyć się usiąść na wolnym powietrzu, gdyż w tej chwili zasypiałem. Moja obecność w handlu była konieczną od 8-ej rano do 8-ej wieczorem z przerwą obiadową, resztę zaś czasu obracałem na spanie, lecz i to nie wystarczało, tak, że podczas dnia w swojej przykrawalni parę godzin na drzemkę dodawałem. I apetyt zwiększył się tak, że jadając razem z innymi w hotelu, wstydziłem się, bo oni już dawno się najedli, a ja wciąż jeszcze jadłem. Jedzenie było smaczne i obfite, a kosztowało tylko 60 mk. miesięcznie i to włącznie z mieszkaniem. Wogóle na jedzeniu ludzie sobie tam nie skąpią, co też jaskrawo na ich tuszy się odbija. Były to dla mnie złote czasy.

Miasto schludne, piękne, z pałacem księcia, okolone jeszcze częściowo murem, a przy nim cztery bramy, zaś za nimi wkoło stare dęby, ogromnej grubości, pamiętające setki lat i śliczna promenada pomiędzy temi drzewami. Jest to jedno z tak zwanych „Burgów”. Meklemburczycy spokojni, jowialni, żyjący wszyscy w dobrobycie. Językiem ich jest niemiecki „platt”, język Fritza Reutera, któremu też w tym mieście pomnik postawiono. Dla nieznającego tego narzecza trudno narazie je zrozumieć, lecz wnet można do niego się przyzwyczaić, a po zatem każdy z meklemburczyków umie i „hochdeutsch”. O kradzieży jakiejś tam wtedy nie słyszano, co dowodzi dobrobytu. Mieszkałem z początku na parterze i miałem zawsze okno otwarte i drzwi na klucz nie zamknięte, tak w nocy jak i we dnie, a nic mi nie zginęło.

Koleje w tem mieście schodziły się z kilku stron, pomiędzy niemi dwie główne linje z Berlina do Stralsundu i ze Szczecina do Lubeki. Okolice żyzna i ziemia o wysokiej kulturze. To też już wtedy przybywało dużo naszych robotników rolnych w te strony na sezonowe roboty. Zajmowałem się nimi w wolnych chwilach, bo byli często bezradni. Pochodzili z dzielnicy pruskiej, gdyż w owych czasach jeszcze z innych dzielnic nie przybywali. Zarobki ich były może niezłe, ale pożywienie dostawali bardzo niedostateczne. Sypiali w szopach i chlewach obok domowych zwierząt. Czasem mąż pracował na jednym folwarku, a żona o kilka mil na drugim, i nieraz przez całe lato nie widzieli się. W niedzielę w okolicy odwiedzałem ich i niektórym perswadowałem, po co tam przyszli, jeśli u siebie mogli to samo zarobić i żyć wygodniej. Pewnego razu po takiej mojej wizycie przyszedł rządca tego folwarku, w którym w ostatnią niedzielę byłem i mówi do mnie: „Niech Pan tylko słucha, otóż pierwszej nocy po Pańskich odwiedzinach czterech robotników uciekło, może Pan tym drugim wyperswadowuje, żeby za nimi nie poszli“. Gdyby był wiedział, że to ja sprawiłem, byłbym się miał z pyszna... Byłem później ostrożniejszym.

W niedzielę przychodzili nasi robotnicy do miasta po sprawy i niestety często widziałem dużo pijanych, wyprawiających hałasy na ulicach. Miejscowi mieszkańcy im w tem nie przeszkadzali i do tego odnosili się obojętnie, byle tylko żadnej szkody nie zrobili. Mnie było to nader nieprzyjemnie, bo wszyscy wiedzieli, że jestem ich rodakiem.

Byli też bezradni, tak na dworcach jak i w załatwianiu interesów w mieście, zwłaszcza, że nie wszyscy mogli się z meklemburczykami porozumieć. Pomagałem im w czem było potrzeba, na dworcu, na poczcie, przy wysyłce pieniędzy i w innych urzędach. Zapisywałem im „Przyjaciela Ludu“, którego chętnie czytali. Za pierwszy abonament płaciłem sam, a następnie już oni płacili, przyzwyczajwszy się do czytania.

Kościół katolicki w tej miejscowości nie było, więc jeździłem parę mil do rezydencji panującego księcia w Nowych Strzelicach (Neustrelitz), gdzie już stała skromna kaplica. Ksiądz mieszkał tam stale, ale nie miał organisty, ani kościelnego i sam wszystko załatwiał. Można było nasze przysłowie zastosować do niego: „Chuda fara, sam pleban dzwoni“. Katolików tam nie było dawniej, a jeżeli poczęli z czasem napływać, to byli

nasi robotnicy. Niektórzy z młodych tam zostawali, zawierając z niemieckimi protestanckimi dziewczętami związki małżeńskie i Niemczyli się. Te stosunki w więcej lat potem przypomniały mi się, gdy czytałem opis doli naszych tułaczy-sezonowców przez księdza Dr. K. pod tytułem: „Zmiłuj się, zmiłuj, niech się nie tułamy“.

Tak mi czas schodził. Siły moje musiały być bardzo nadwątlone, gdyż jakoś tylko powoli wracały, a na dobitkę zaziębilem się i poszedłem do lekarza i to do tego, który był moim pierwszym klientem. Pokazało się później, że ja jego powierzchowność ciała lepiej „leczyłem“, niż on mnie, bo mi wmawiał suchoty, których, chwała Bogu, nie miałem i do dziś nie mam, a nawet żadnych objawów suchotniczych. To jego wmawianie mi suchot jednak mnie do takiego stanu zdenerwowania doprowadziło, że straciłem zupełnie apetyt, a widząc trumnę, zdawało mi się, że już jest dla mnie przeznaczona. Kiedy mi wreszcie powiedział, iż z płucami jest już tak źle, że powinienem prędzej do Görbersdorfu jechać (znany zakład dla suchotników) w Górach Olbrymich, to już całkiem zwątpiłem o swoim zdrowiu.

Wyjechałem tedy w zamiarze udania się tam, ale, jadąc przez Berlin, spróbowałem zasięgnąć rady sławnego profesora chorób wewnętrznych, dr. Senatora. Przed pójściem do niego nie mogłem już spać, ani jeść i zacząłem się rzeczywiście pocić, jak to chciał mój miejscowy lekarz. Zbadawszy mnie gruntownie, oświadczył, że płuca moje są całkiem zdrowe, a na moją uwagę, iż lekarz z małego miasta wysyłał mnie do Görbersdorfu, powiedział: „Unsinn!“ (głupstwo). W tej chwili, jakbym na nowo odżył i już było po chorobie. Tak to czasem niektórzy lekarze mogą przez swoją nieoględność, jeżeli już nie przez niesumienność, do desperacji pacjenta doprowadzić. Ale ja też na nim zemściłem się, bo gdy po więcej latach w Berlinie go spotkałem i on zdziwiony, że jeszcze na tym świecie się kołace, zapytał o moje powodzenie, na to mu odpowiedziałem, że jak widzi, żyję jeszcze i czuję się zupełnie zdrowym. Nawiasem muszę powiedzieć, że szef, widząc moje niedomaganie, dawał mi wszelkie udogodnienia, z których jednak nie korzystałem, przeciwnie, przerywałem często obiad, gdy potrzeba było obsłużyć klienta, a on nie miał czasu zaczekać. Zyskałem za to uznanie nie tylko jego, lecz i odbiorców.

W hotelu, w którym mieszkałem, schodzili się wieczorem obywatele na skromną partyjkę kart, a gdy im czasem partnera zabrakło, przyciągali i mnie, czekając tylko, gdy kolację spożyję. Zrazu nie mieli ze mnie pociechy, bo ich gry nie znałem, ale wnet nauczyłem się i potem ich częściej ogrywałem. Nudziło to mię jednak i wymawiałem się jak mogłem. Obiad jadało nas kilka osób razem. Ten, co najdłużej tam jadał, miał pierwsze miejsce, a potem kolejno siadali według tego, kiedy kto zaczął jadać. Wreszcie posunąłem się na naczelne miejsce. Zwykle przy tych obiadach o różnych sprawach rozmawiano, w czym chętnie brałem udział, a mianowicie, gdy o politykę chodziło. Tak zwolna utarło się, że wodziłem rej w tych pogadankach, pomimo, że moi towarzysze byli prawie wszyscy z wyższym wykształceniem. Gniewali się też, gdy z magazynu podczas obiadu po mnie przysłano, bo przerywało to naszą pogadankę i obiadowy porządek. Nie chcieli również wierzyć, że tylko do elementarnej szkoły na wsi chodziłem.

Jadał też w tym hotelu żyd, kupiec, lecz go do naszego stołu jako żyda nie przypuszczono. Meklemburczycy bowiem są urodzonymi antysemitami, to też żydów w tem mieście jest bardzo mało.

Wiadomo, że w Meklemburgji mieszkali kiedyś słowianie. Nazwy miast, jak Kraków, Grabów i inne, o tem świadczą. Widziałem w starych domach nawet jeszcze słowiańskie napisy na belkach. Wodę do dziś w swoim narzeczu „wodda“ nazywają. Używają też przysłówia, gdy się irytuja: „Das ist zum katholisch werden!“ (możnaby katolikiem zostać).

Gdy koniec roku mego pobytu tamże zbliżał się, postanowiłem odejść, pomimo, że mi tak dobrze było. Uważałem to stanowisko jako przejściowe, na stałe lub na dłuższy czas nigdy bym tam nie został. Brakło mi kościoła katolickiego i sposobności częstszego obcowania z rodakami. A byłem przecież zaręczony, więc trzeba było za stałem miejscem, w dogodnych warunkach, obejrzeć się. Gdy oświadczyłem mojemu pryncypałowi, że chcę odejść, tenże o tem ani słyszeć nie chciał. Był ze mnie pod każdym względem zadowolony, zwłaszcza, że oszczędnie kroilem, na czem znacznie zarabiał i umiałem odbiorców zjednywać. (Niektórzy z nich później w Berlinie u mnie się ubierali). Perswadował mi, dokładał pensji, lecz to mnie do pozostania nie nakłoniło. Wreszcie obywatele miejscowi namawiali mnie, abym

koniecznie pozostał. Powiedzieli mi, że jeżeli mi się u p. B. nie podoba, to mam się tam osiedlić, oni dadzą pieniędzy, a nawet mieli już w zapasie posażną pannę dla mnie, nie wiedząc o tem, że już byłem zaręczony, bo im tego nie zdradziłem. Nie mogąc ich namowom opędzić się, powiedziałem żartem: „Zbudujcie mi tu kościół katolicki, a zostanę“ — na co odpowiedzieli, że tego jednak zrobić nie mogą. Wreszcie dali za wygraną i już tylko pryncypał mnie obligował, ażeby na moje miejsce postarał się o odpowiedniego następcę, co też chętnie uczyniłem i przeznaczyłem jednego ze swoich znajomych rodaków.

Stosunek mój przyjacielski do pryncypała pozostał na długie lata i gdy u niego zmiana przykrawacza nastąpić miała, często odnosił się do mnie o nowego. Zwykle posyłałem kogoś z rodaków, z których był zawsze zadowolony. Pewnego razu po dłuższych latach, gdyśmy w Berlinie spotkali się, powiedział mi komplement: „Ci Polacy, których mi Pan przysyłał, byli dzielnymi przykrawaczami, ale najlepszym był Pan“. Gdy opuszczałem to stanowisko, zrobiono mi uwagę, iż obywatele tego miasta, począwszy od mego pryncypała, daleko lepiej ubrani chodzili, niż przed rokiem. Przy wyjeździe ofiarowała mi moja gospodyni wielki bukiet białych róż, co pewnie miało służyć jako dowód uznania mego sprawowania się. Bukiet ten przywiozłem swojej narzeczonej.

Co robić dalej.

W Berlinie zatrzymałem się tylko parę dni, gdyż o zajęciu w czasie międzysezonowym było trudno. Chciałem się też rozejrzeć w kraju za miejscem do osiedlenia się, więc pojechałem najprzód do ojca, aby stamtąd się rozejrzeć, czy co stosownego znajdę. Siły moje w całej pełni wróciły, zatem trzeba było coś postanowić. Badałem stosunki w mniejszych miastach, pojechałem w tym celu do Poznania, gdzie się w tym czasie zjazd delegatów Tow. Przemysłowych odbywał: rozpytywałem się u ludzi kompetentnych, lecz jakoś nic stosownego znaleźć nie mogłem. Może też przeznaczenie tak chciało.

Wróciłem tedy z początkiem jesieni do Berlina i zacząłem pracować jako zwykły robotnik do obcego magazynu. Starłem się

wprawdzie o nowe stanowisko przykrawacza, możliwie w kraju, lub w jakim większem niemieckim mieście, gdzieby rodacy byli, lecz napróżno. Każdy, ujrawszy moją misterną postać, tylko ramionami wzdrygnął. Trzeba więc było z tych aspiracyj zrezygnować.

Obok mego zatrudnienia do magazynu dostało mi się od czasu do czasu zamówienie na własną rękę. Znajomi słysząc, że robię wcale niezłe ubrania, poczęli u mnie zamawiać. Byli to zwykli rzemieślnicy z innych zawodów, więc trzeba było im tanio robić. Zamówienia klientów własnych wykonywałem w czasie, gdy do magazynu nie było pilnej roboty, albo dokładałem do zwykłego czasu pracy parę godzin. Klientów coraz więcej przybywało, co mię skłoniło do stałego pozostania w Berlinie. Porozumiałem się co do tego z narzeczoną i wyszukaliśmy sobie mieszkanie przy małej uliczce (Junkerstr.) na czwartym piętrze pod dachem, t. zw. mansardowe. Było schludne i składało się z dwóch jasnych pokoi i kuchni, za które płaciłem 43,75 marek miesięcznie komornego. Postanowiliśmy się na wiosnę pobrać i przedtem poczyniliśmy wszystkie przygotowania. Nasz ślub odbył się w początku kwietnia i potem wprowadziliśmy się do naszej rezydencji. Zamieszkał też u nas brat żony, który nam miesięcznie jakąś kwotę za to płacił, więc nas o tyle komorne mniej kosztowało.

Nie mogę pominąć zajścia przy ślubie naszym. Chcieliśmy go naturalnie odbyć po polsku, co wtedy ogromnie utrudniano. Przy kościele św. Jadwigi, w której to parafji mieszkaliśmy, był ksiądz mówiący dobrze, ale nie czujący po polsku, do niego więc udałem się o ślub w polskim języku. Perswadował mi, że to jest niepotrzebne, bo po niemiecku oboje umiemy, i może on w tem dniu będzie po za Berlinem zajęty, zaś innego księdza po polsku mówiącego niema. Odpowiedziałem mu na to, że postanowiliśmy po polsku ślubować i od tego nie odstępujemy, a zresztą zastosujemy się ze ślubem podług jego czasu. Widząc, że jego perswazje nie skutkują, zgodził się nawet na nasz termin i dodał, żeby tylko punktualnie do ślubu się stawić, co mu też przyrzekłem, lecz zastrzegłem, że w razie gdyby nas zmuszano w ostatniej chwili do brania ślubu w niemieckim języku, jak to niestety często się zdarza, to ślubować po niemiecku stanowczo nie będziemy. Niestety jednak chciało, że powóz, najęty do zawiezienia nas do kościoła, nie przyjechał, bo, jak się później

wykazało, właściciel wynajmu powozów podobno o naszym zamówieniu zapomniał. Sytuacja była przykra z obawy, że nam, wskutek spóźnienia się, po polsku ślubu nie będą chcieli dać. Wysłaliśmy starą babinkę, jaką pod ręką mieliśmy (goście bowiem już przedtem do kościoła pojechali), i przyprowadziła dorożkę drugiej klasy, bo lepszej dostać nie mogła. Spóźniliśmy się przeto o pół godziny, jednak ksiądz nietylko nam dał ślub po polsku, lecz jeszcze piękną mowę również po polsku powiedział. Widocznie już wtedy energiczne domaganie się skutkowało. Ze względu na dorożkę drugiej klasy słyszałem, jak nasi znajomi, którzy przyszli przyjrzeć się ślubowi, robili niesmaczne uwagi, że to ze sknerstwa taką dorożką do ślubu przyjechaliśmy, a że wracając z kościoła, jeden z gości ofiarował nam swój powóz, to na te ironiczne uwagi odpowiedziałem: „Do ślubu jechaliśmy dorożką drugiej klasy, za to od ślubu powozem, tak ułoży się nasze całe życie“.

Jaki był początek mego przedsięwzięcia.

Najprzód obliczyłem, ile mieliśmy zasobów. Moich oszczędności było 2100 marek, z których 700 wydałem na urządzenie domowe, a resztę pozostało jako kapitał obrotowy. W mieszkaniu urządziliśmy się skromnie. Żona już miała część mebelków, a dokupiliśmy tylko to, co koniecznym było. Pamiętałem bowiem, jak to poszło mojemu znajomemu z Warszawy, który, licząc na posag żony, zamówił podług tego meble, a gdy go tenże zawiódł, musiał potem część sprzedać i to jeden taki mebel, na którym sypiał, więc wołałem być ostrożnym.

Jak wyżej wspomniałem, darzono mnie już przedtem zamówieniami. Po ożenieniu się, gdy miałem własne mieszkanie, zaczęli klienci coraz liczniej się zgłaszać. Pracowałem przytem dalej do obcego magazynu, aby mieć co tydzień gotowy grosz, gdyż nie wszyscy moi odbiorcy zaraz płacili gotówką. Przychodzili wszyscy z polecenia znajomych, więc nie miałem co do dawania kredytu skrupułów, a jednak mię to często zawiodło. Z pierwszych odbiorców było dwóch z tej czwórki, co to owego czasu ks. prałata Ponińskiego w Kościelcu napadła, a co się dla nich wszystkich zaraz na miejscu napadu śmiercią skończyło. Straciłem na nich jakieś kwoty, które dla mnie wtedy były poważnemi.

Warsztat powiększał się i przed Świątkami już czterech pomocników zatrudniałem. Były to młode siły, które mi tylko do ręki pracowały, więc trudniejsze roboty, jak prasowanie, musiałem sam wykonywać. Żona mi w zarobku pomagała, prowadząc oddzielnie damską krawiecczynę. Szło to tak długo, dopóki rodzina nie powiększyła się, a potem musiała z powodu większych zajęć tego zaniechać. Jeden pokój urządziliśmy na pracownię i spanie, a drugi „na lepszy“, w którym klientów się przyjmowało. Towaru na składzie nie miałem, bo nie było za co kupić, tylko zamawiano za pomocą próbek, jakie mi z magazynu sukna dostarczano. Zrazu płaciłem gotówką za towar, ale później zaczęło teje brakować. Tymczasem wyrobiłem sobie już zaufanie u dostawców i poczęli mi kredytu udzielać. Najprzód krótszego, a potem tenże coraz bardziej się przedłużał. Dostawcy jednak byli pewni, że nic nie stracą, bo widzieli moją pilność, która była jedną z podstaw kredytu.

Na Nowy Rok zrobiłem bilans i wykazało się, że w trzech kwartałach dorobiłem 800 marek majątku. Drugi rok przyniósł już 2400 marek nadwyżki. Przypadek zdarzył, że zimą pierwszego roku nadarzyły mi się dwa źródła powiększenia liczby odbiorców, z których pierwsze było poważne. Miałem znajomego pomocnika fryzjerskiego, którego pewnego razu dwóch braci amerykańskich, będących w Berlinie na studjach, pytało o krawca i to takiego, co by za mierną cenę dobre ubrania dostarczył. Poleciał mnie i to był początek mego właściwego powodzenia. Spróbowali najprzód z mniejszym zamówieniem, a gdy z wykonania tegoż byli zadowoleni, zamówili całe wyekwipowanie, zwłaszcza, że do Ameryki wracali, a tam było znacznie drożej. Oni odjechali, ale pozostawili mój adres swoim ziomkom, którzy potem po kolei do mnie przychodzili i jeden drugiemu mię polecał. Pomiędzy niektórymi z nich a mną wyrobił się nawet przyjazny stosunek, tak, że później korespondowali ze mną z Ameryki i tam dawali mój adres swoim znajomym, którzy wybierali się do Berlina. Niektórzy z nich od czasu do czasu z Ameryki do Niemiec przyjeżdżali i zawsze o mnie pamiętali. Żaden mnie też nie skrzywdził w razie, gdy komu z nich na zapłacenie reszty rachunku nie starczyło i przyjechawszy do Ameryki, wkrótce mi czeki przysyłali, dołączając zawsze procent za zwłokę.

Przy zamówieniach sprawiali się krótko, każdy z nich wiedział, co chciał, nawet wtedy, gdy często niektórzy po niemiecku nie umiał i mnie było trudniej z nim się porozumieć. W paru minutach był interes załatwiony. To mi się nadzwyczaj podobało i myślałem sobie, żeby to nasi tak z czasem się liczyli. A nie tylko swoich ziomeków mi polecali, lecz i Niemców, którzy ich jako praktycznych ludzi uważali. W roku 1914-tym, a więc po 25-ciu latach, gdy już przedsiębiorstwo od paru lat mojemu bratu zdałem, zjawił się u mnie jeden z tych Amerykanów, co mnie najczęściej polecał, osiedlony jako lekarz w Minneapolis, Stanie Minnerota, aby się dowiedzieć, jak mi się powodzi. Gdy mu o rezultacie powiedziałem, ucieszył się i dodał, że on w Ameryce jeszcze takiego rezultatu nie osiągnął, zaś gdybym ja był w Ameryce, to miałbym tyle dolarów, co tu marek.

Drugie źródło powiększania liczby odbiorców, może nie tak dobrych, również przez fryzjera dostałem. Byli to lepsi czeladnicy rzeźniccy, którzy się dobrze ubierać chcieli; zdobyłem u nich taki rozgłos, że co niedzielę było zawsze kilka zamówień od nich.

Już w drugim roku widziałem, że moje skromne mieszkanie nie wystarczy dla dalszych interesów. Trzeba było obejrzeć się za większym i takowe znaleźliśmy przy Friedrichstrasse, a więc na głównej ulicy, blisko Kochstrasse. Znajdowało się ono na II. piętrze i obejmowało 4 pokoje, z których jeden był frontowy. Można więc było śmiało lepszych interesantów przyjmować. Właściciel domu, w którym mieliśmy zamieszkać, miał wprawdzie skrupuły przy wynajmowaniu, lecz gdy się dowiedział, że jestem pilnym i komorne punktualnie płacę, kontrakt ze mną zawarł narazie na trzy lata i 1-go kwietnia wprowadziliśmy się do nowego mieszkania.

Do obcego magazynu przestałem już pracować, bo trudno mi było pogodzić jedno z drugim. Również za pomocą próbek nie można było zawsze zamówienia skutecznie, a że zaufanie dostawców do mnie rosło, więc dali towar na skład z późniejszą zapłatą. Wybór tegoż był nader skromny, ale już przynajmniej można było w sztuce klientowi pokazać.

Jeden ze znajomych polecił mi fabrykantów damskich płaszczy, którzy są znani jako wybredni w ubieraniu się. Zabrałem próbki towarów i do jednego z nich poszedłem. Podobały mu się, lecz jednak nie mógł się z tem pogodzić, że u tak małego i nieznanego mu krawca ma dać sobie zrobić ubranie, podczas

gdy dotychczas tylko w pierwszorzędnych firmach się ubierał. Więc powiedział: „Nie, nie zamówię, Ellrott bleibt Ellrott“ (znana pierwszorzędna firma w Berlinie), na co mu ze zwykłym spokojem i dumą odpowiedziałem: „Ellrott był tem, czem ja obecnie jestem, zaś ja mogę być Ellrottem“. Odpowiedź ta mu się spodobała. Otuchy i wiary w prowadzenie dodał mi po swojemu mój ślifierz, który obok ostrzenia nożyc takowe sprzedawał. Ponieważ moje małe nożyce, jakie miałem jeszcze z czasu mej nauki, już mi nie wystarczały, więc trzeba było większe kupić. Ślifierz, sprzedając mi odpowiednie nożyce, powiedział: „Diese kleine Scheere hat Sie zum Meister gemacht, die neue wird Sie zum reichem Manne machen“. (Te małe nożyce zrobiły Pana majstrem, zaś te nowe [zrobią zamożnym]). Jego prorocze słowa poniekąd się spełniły w stosunku do moich zamiarów i nadziei.

Moja dalsza praca społeczna.

Z moim powrotem do Berlina zacząłem na nowo udzielać się towarzystwom. Regularnie chodziłem na posiedzenia, a najwięcej brałem udział w Towarzystwie Polskich Przemysłowców. Socjaliści pousuwali się z niego, zwłaszcza, że utworzyli własne towarzystwo Polskich Socjalistów i tam uczęszczali, jak również i dlatego, że nasze narodowe towarzystwa uchwaliły, iż nie może do nich należeć jako członek ten, który jednocześnie do towarzystwa socjalistycznego należy. Agitację socjalistyczną z Towarzystwa Przemysłowców całkiem usunięto. Pomimo wystąpienia kilkunastu takich członków, towarzystwo ożywiało się i coraz więcej członków przychodziło na posiedzenia.

Niekiedy zaglądałem z ciekawości do towarzystwa socjalistycznego i tam się z nimi ścierałem. Gdy mi podczas przemówień u nich niektórzy towarzysze przeszkadzali, to przewodniczący gromił ich za to i upominał, aby mi pozwalali swobodnie przemawiać. Byli jakby pewni tego, że moje argumenty nikogo nie przekonają i że u nich powinna wolność słowa panować. Z tych czasów jak i poprzednich pozostała pomiędzy niektórymi socjalistami a mną przyjaźń, którą różnica zapatrywań politycznych, religijnych i społecznych nie popsukała i przetrwała u tych, co jeszcze do dzisiaj żyją. Niektórzy z nich nawrócili z czasem do naszego obozu, przekonawszy się, że byli na błędnej drodze.

O naszych polskich socjalistach w Berlinie warto jeszcze wspomnieć. Gdy się zorganizowali, uderzali w nasz stan posiadania w kolonji z całym impetem, chcąc nasz ruch opanować. I porobili też szczyby. Fundusze na to zbierali pomiędzy sobą, zaś najwięcej dawała im organizacja niemieckich socjalistów. Przewodnikom zaś z tej ostatniej zdawało się, że na gruncie narodowym łatwiej agitacja ich zapanuje. Założono „Gazetę Robotniczą“, którą wszędzie rozszerzali. Byłem jednym z tych, co silnie przeciwdziałali, a po za tem spokojnie patrzałem w przyszłość bez obawy o sparaliżowanie przez ich robotę naszego życia narodowego. Byłem przekonany, że objaw ten był owozym pędem i, że on mógł być tylko przejściowym. Oni zaś czuli się pewni siebie nie tylko w Berlinie, gdzie ich agitacja się rozpoczęła, ale poczli przenosić ją do kraju, t. j. do dzielnicy pruskiej i na Śląsk. I zmagaly się nasze obozy, szczególnie na zebraniach publicznych, które z tego powodu spokojnie się nie odbywały.

Stało się tak, jak przewidywałem. Rodacy w kolonji berlińskiej zaczęli się orjentować i odwracać od socjalistów. Okazało się, że nasze stanowisko wobec tych ostatnich było właściwe i skuteczne. Narodowa nasza praca nabrała większego rozmachu i tłumila ich pracę, to też powoli szeregi ich zaczęły się przerzedzać, wpływ maleć, na zebrania ich coraz mniej uczestników przychodziło, słowem — gorączka opadła. Nawet tak daleko doszła, że gazeta ich z biegiem czasu straciła w Berlinie punkt oparcia i na Śląsk ją przeniesiono. Niemiecka Partja Socjalistyczna, widząc małe skutki ich wysiłków, coraz więcej miała „węża w kieszeni“, a bez tego nie można było celu osiągnąć. Pozostały tylko niedobitki i organizacje na papierze. W takim stanie przetrwała do wojny i dopiero podczas niej próbowała skrzydeł, ale już natrafiła na silnie uświadomioną organizację narodową i o ile słyzałem (od 1917 r. w Berlinie nie mieszkam), niema mowy o tem, aby nowe korzenie zapanować mogła. Pociuszającym jest to, że dużo dzieci znanych polskich socjalistów w Berlinie, dorosły, przeszło do narodowego obozu.

Z powyższego wynika, że tam, gdzie jesteemy narodowo i społecznie uświadomieni, socjalizm nie rozszerza się, bo z małym wyjątkiem tylko ludzi nieuświadomionych w swoje sieci chwytac może, lub przystają do nich tacy, co mają osobisty interes.

Oby w całym kraju to uświadomienie jaknajprędzej się rozpowszechniło, do czego trzeba z naszej strony jeszcze więcej i rzetelniej ludem się zająć, niż to czynimy, tak na wsi, jak i po miastach.

Ponowne fizyczne i duchowe osłabienie.

Wyczerpująca praca zawodowa w połączeniu z działalnością społeczną wyniszczyły znowu moje siły doszczętnie, czego niestety zawczasu nie spostrzegłem, dopiero zbyt późno poznałem, iż mię tylko siła woli do czasu podtrzymywała. Objawiło się to w wybuchu silnego zdenerwowania, a to z okazji otrzymania wiadomości o nagłym zboczeniu umysłowym mego następcy w Meklemburgji. Zdawało mi się, że i mnie ten sam los spotka. Nie wiedziałem, co ze mną się działo i dopiero przywołany lekarz uspokoił mnie, nakazując natychmiast przerwać moją działalność i na dłuższy czas wyjechać. Pojechałem na wieś do ojca i tam kilka tygodni odpoczywałem. Przez ten pobyt siły wracały, ale czułem, że z mojem zdrowiem jeszcze daleko nie było w porządku. Nie wiedziałem jednak, że taki stan mego zdrowia może potrwać długie lata, jak mi to później ś. p. dr. Rzepnikowski z Lubawy wytłumaczył. Tak też niestety się stało, jak on mówił, bo jeszcze po tuzinie lat czułem resztki tej słabości. Dr. R. twierdził, że lata pracy ponad siły spowodowały chorobę, więc też dłuższego czasu będzie trzeba na zwalczenie jej i radził mi regularnie latem wyjeżdżać.

Objawy tej choroby były różne i liczne, ale głównie było wyczerpanie fizyczne i psychiczne. To ostatnie było największem cierpieniem i jeśli dzisiaj sobie o tem wspomnę, to mnie lęk bierze. Fizyczna niemoc nie pozwalała mi utrzymać się na nogach, a po nocach sypiać nie mogłem. Takiego stanu psu bym nie życzył. Było to już nie życie, tylko wegetacja i nie spodziewałem się, iż z tego się wydostanę.

A jednak trzeba było mimo tego pracować, w czym nawet ukojenia moich cierpień szukałem i znalazłem. Musiałem interesów moich doglądać, a przytem cierpienia nie okazywać. Tylko moją społeczną działalność na pół roku przerwałem, ale dłużej wytrzymać nie mogłem, bo jakoś mi trudno było bez niej się obyć.

Gdy przewodniczyłem na posiedzeniach, często słabłem przy dłuższym mówieniu, czego jednak nie dałem po sobie poznać, skracając wykład lub przemówienie. Nieraz byłem na posiedzeniu tak słaby, że obawiałem się do domu sam wracać i poprosiłem w takim razie kogo z członków, aby mi do domu towarzyszył. Żonie o tem nie wspominałem, żeby jej nie przestraszać, jak również nikt z zebranych moich zasłabnięć nie zauważył, prócz towarzysza, który mię odprowadzał.

Słabłem też przy obsłudze, szczególnie wysokich figur, zmuszony wyciągać ręce w górę. Wypijałem wtedy kieliszek wina lub nieco piwa, co mnie na chwilę podnieciło i usługiwałem dalej. Wreszcie oswoiłem się z tym swoim stanem zdrowia i chwilowe słabości nie robiły na mnie takiego wrażenia, jak z początku. Wskutek djety, wyjazdów latem i uważania na siebie, objawy mej słabości stawały się coraz rzadszemi, pomimo, że pracowałem najmniej 12, a często do 18 godzin na dobę. Usilną wolą przyzwyczailem się do zachowania spokoju, co mi pomagało do zwalczania choroby. Nie mogę pominąć przypadku, jaki zwykle korzystnie na mój stan zdrowia oddziaływał. W chwili słabości zadzwonił ktoś ostró do mieszkania i po dzwonienu już poznałem, kto to być może. Był to klient, co zwykle z zegarkiem w ręku przychodził, kładł go na stół i podług niego załatwialiśmy. W tej chwili zapomniałem o mojej słabości, wstałem z łóżka i bez okazania jej załatwiłem jak należy. Przypuszczam, że gdyby ten sam klient z zegarkiem w ręku także płacił, to by było jeszcze lepiej na moje zdrowie podziałało.

Już pisałem, że wyjazdy na świeże powietrze latem dobrze na mój stan zdrowia oddziaływały, ale funduszu mi brakło, by pozwolić sobie wyjechać tam, gdzie drogo kosztowało. To też z chęcią przyjąłem ofiarowaną mi gościnę u mego znajomego proboszcza ś. p. ks. P. na półwyspie Helu i do końca życia będę mu za tę gościnę wdzięczny. Bawiłem tam dwa razy po kilka tygodni, a zacna jego gospodyni, znając mój stan, dogadzała mi lepiej, niż księdzu proboszczowi, uważając na mój słaby żołądek. Powietrze tam ostrzejsze, niż na stałym lądzie, od którego mnie prawie zawsze głowa bolała i źle sypiałem. Zdawało mi się, że ono ujemnie podziała na mój organizm, a jednak było przeciwnie. Bo gdy tylko dostałem się na stały ląd, odrazu uczułem wielką ulgę, siły wracały i apetyt się wzmagał.

Podczas mego pobytu na Helu zaznajomiłem się z tamtejszą ludnością, która prócz księdza i nauczyciela z samych rybaków się składa. Jest tam 5 wiosek, w których, wyjąwszy osadę pod nazwą Hela, gdzie są tylko Niemcy-protestanci, mieszkają nasi Kaszubi. Kościół jest w Jastarni, w którym przepiękny różaniec śpiewają. Oryginalnie opisał ten śpiew jeden ze znawców. W kruchcie kościoła wisi kopja obrazu „Taniec śmierci“, na którym malarz uwidoczniał śmierć, tańczącą prawie z każdym stanem. Ponieważ rybacy przeciętnie żyją dłużej, niż ludzie na stałym lądzie, więc wytłomaczyłem im po swojemu, że to dlatego, iż z rybakami śmierć nie tańczy, bo tego na obrazie niema. Ten żart podobał im się.

Puściłem się raz łódką z rybakami na morze, ale skutek dla mnie był fatalny, tak, że mi się dalszych przejażdżek odechciało. Za to lubiliśmy z sobą gawędzić na brzegu morza i trzeba było im opowiadać o różnych rzeczach. Próbowałem też swojej elastyczności i puszczałem się z młodymi rybakami ze swawoli po twardej plaży na wyścigi, przyczem podziwiali moją szybkość, bo ich prawie zawsze wskutek lekkiej wagi mego ciała prześcigałem. Takie próby dodawały mi też otuchy, że ze mną jeszcze tak źle nie jest, zwłaszcza, że i na morską latarnię mogłem nietylko wejść bez odpoczynku aż na sam wierzch, ale wbiec.

Ten dwurazowy pobyt na Helu pozostanie mi w wdzięcznej pamięci, bo tam był początek powrotu do zdrowia. W następujących latach, gdy już materialnie zasobniejszy byłem, pozwalałem sobie na wyjazd do Sopot, a najczęściej do Zakopanego. W owych czasach jeszcze z naszych rzemieślniczych berlińskich sfer nie wyjeżdżano do miejsc kąpielowych. To też dziwiono się moim wyjazdom. Raz mię ktoś z rodaków zainterpelował, że mi to starczy na takie wyjazdy, a gdy mu wyliczyłem, że on na papierosy rocznie więcej wyda, niż ja na wyjazd do wód, uznał słuszność mego argumentu.

Jeżeli o mojem cierpieniu wspomniałem, to chcę przez to wykazać, z jakimi trudnościami walczyć było trzeba, przechodząc przez życie i że pomimo nich można było doprowadzić do jakiegoś pozytywnego rezultatu.

Rozrastanie się mego przedsiębiorstwa i przybieranie sobie pomocników.

Mimo tych i różnych innych przeszkód obrotu w magazynie znacznie się zwiększały i sam technicznie wydołać pomimo silnej pracy nie mogłem. Jeszcze w pierwszych latach pracowałem razem z robotnikami w warsztacie, zaś później już tylko obsługiwałem klientów i przygotowywałem robotę dla robotników. Z roku na rok obroty prawie że się podwajały i trzeba było starać się nie tylko o samodzielnych robotników, ale i mnie przy obsłudze klientów była jeszcze odpowiednia siła potrzebna. Upatrzyłem sobie takiego, który był doskonałym krawcem, bo to jest pierwszym warunkiem, i który pracował w dobrym magazynie jako robotnik. Byłem przekonany, że będzie dla mnie odpowiednią pomocą. I nie omyliłem się. Odradzano mu wprawdzie przyjęcia tego stanowiska u mnie, że to nie „firma“, ale wreszcie wskutek mojej perswazji przyjął je i tego później nie pożałował, bo był to pierwszy krok na jego nowej drodze. Pracował u mnie rok i wprawił się tak, że mógł następnie przyjąć dobrze płatne stanowisko w jednej z większych firm w Berlinie, a następnie w pierwszorzędnym magazynie w Królewcu, którego w niedługim czasie został wyłącznym właścicielem i jest nim do dzisiaj.

Dawanie sposobności do wydoskonalenia się młodym ludziom umyślnie podnoszę. Kierowałem się tem zawsze i niejednemu do lepszego stanowiska pomagałem. Wyczuwałem, co za materiał w kim tkwi i co z niego wyrobić można. Następnych pomocników wybierałem już tylko z pośród moich najzdolniejszych robotników, którzy byli nie tylko z tego kontenci, lecz i ja miałem z nich dobrą pomoc pod każdym względem. Przypomina mi się zdanie, jakie później wyczytałem w pamiętnikach Rockefellera, w których tenże powiada, że jeżeli mu się w interesach powodziło, to głównie zawdzięcza temu, iż umiał sobie dobrać odpowiednich współpracowników na kierujące stanowiska. Osobno miałem i mam to zadowolenie, że w ten sposób pomogłem wielu naszym rodakom do lepszych miejsc. Z moich współpracowników zajmuje jeszcze kilku dobre stanowiska jako przykrawacze, a większa część założyła sobie własne magazyny i dobrze im się powodzi.

Pomiędzy tymi, których sobie do pomocy dobierałem, należał także mój najmłodszy brat. Uczył on się już innego rzemiosła na wsi i prawie, że termin kończył, gdy z ojcem naszym, jego majstrem i z nim porozumiałem się, iż go nauczę mego zawodu i pokieruję nim potem dalej, na co się wszyscy zgodzili. Robiłem to celowo, gdyż bratu, jako rzemieślnikowi innego zawodu nie mógłbym może pomóc, lecz jako krawcowi dużo, a że interes mój się rozwijał, więc liczyłem się i z tem, że może kiedyś zostać moim następcą. Nauka jego u mnie trwała dwa lata, a potem dawałem mu wskazówki, co ma dalej robić. Jakiś dłuższy czas pracował w dobrych firmach w Berlinie, gdzie mógł się nauczyć porządnej roboty i wyrobić na samodzielnego pracownika. Następnie poradziłem mu wyjechać do Londynu, aby świat poznać, języka angielskiego się nauczył i poznać sposób pracy u Anglików. Pieniądzy na drogę mu nie dałem, lecz musiał sam sobie tyle w Berlinie oszczędzić. Jestem bowiem zdania, że młody rzemieślnik, zwiedzający kraje w celu wydoskonalenia się, musi pracować, aby się czegoś nauczyć, a pracując zarabia, zaś zarabiając powinien co najmniej tyle oszczędzić, aby mu na wszystkie jego potrzeby starczyło. Inaczej będzie się oglądał na czyjąś pomoc, opuści się, o robotę nie będzie się wcale troszczył i celu nie osiągnie. Tacy powinni iść o własnych siłach, wtedy się nauczą czas i pieniądź szanować i wyrosną na dzielnych ludzi.

Brat pracował w Londynie w pierwszorzędnym firmach, powrócił po dłuższym czasie do Berlina i przywiózł ze sobą nie tylko wiadomości fachowe, ale trochę szterlingów, co dowodziło, że potrafił być oszczędnym. Widziałem po nim, że jużby rad u mnie został na stałe, lecz ja mu doradziłem wyjechać jeszcze do Paryża, aby tamtejsze stosunki poznać i nauczyć się po francusku. Przyjął tę radę prawie ze łzami w oczach, ale... pojechał. Tam pracował, uczył się kroju, trochę języka francuskiego i po roku wrócił, przywożąc znowu ze sobą prócz doświadczenia nawet nieco franków. Po powrocie stamtąd pozostał u mnie jako pomocnik w magazynie już na stałe.

Oprócz brata dobierałem sobie do pomocy w miarę rozrostu przedsiębiorstwa dalsze techniczne siły, tak, że z biegiem czasu miałem trzech pomocników, co na berlińskie stosunki znaczyło poważny magazyn i podług czego rozrost jego ocenić można.

Brak gotówki obrotowej.

Wskutek względnie szybkiego rozrostu przedsiębiorstwa z jednej strony a udzielania nadmiernego kredytu odbiorcom z drugiej, cofałem się w regulowaniu swoich zobowiązań, co spostrzegałem przy noworocznych obrachunkach. Nietylko trzeba było wskutek tego zwlekać z zapłatą rachunków u dostawców, lecz bardzo często nie mogłem na czas wypłacać robotnikom, a nawet nieraz na domowe potrzeby zabrakło. Zdarzało się to dlatego, że byłem skazany na wpływy gotówki od odbiorców, które tak często zawodziły. Razu pewnego zdarzyła się „dramatyczna“ scena, bo nie było pieniędzy na zapłacenie chrztu naszej córeczki, choć to nie wiele kosztowało. Postanowiliśmy bowiem z żoną dzień chrztu naznaczyć, a ja miałem postarać się o potrzebne pieniądze. Poszedłem w przedostatnim dniu z rachunkami w kilka miejsc, lecz wszędzie napróżno. Po drodze miałem zamówić chrzest, co też zrobiłem, ale go zaraz zapłacić nie mogłem, bo ani tej drobnej kwoty — 2,50 mk. — nie miałem. Kościelny mnie upomniał, ażebym na drugi dzień przed chrztem koniecznie zapłacił. Gdy do domu wróciłem, żona powitała mnie zapytaniem, czy pieniądze przyniosłem, bo przecież trzeba chrzestnych czemś przyjąć i coś nie coś dla nich przygotować. Na to już wcale pieniędzy nie miałem. W tej chwili wchodzi jeden z klientów i chce rachunek płacić, wynoszący 36 mk. (wtedy one coś znaczyły i można było chrzciny za to wyprawić). Mam mu wydać resztę ze stumarkówki i chcę posłać zmienić, ale on powiada, że nie ma czasu czekać i na drugi raz przyjdzie zapłacić. Udaję, że nie słyszę co mówi i posyłam. Posłaniec, jak na złość, nie wracał zaraz, bo nie mogąc drobnych dostać, musiał w kilka miejsc iść, a klient tymczasem niecierpliwił się i na dobre się rozgniewał. Gdy wreszcie posłaniec wrócił, wziął resztę pieniędzy, a wychodząc, trzasnął drzwiami, lecz ja już pieniądze miałem i chrzest mógł się odbyć. Ten klient pokazał się u mnie dopiero po kilku latach i gdy wtedy mu opowiedziałem, dlaczego wówczas na tych 36 mk. mi tak bardzo zależało, tem chętniej mi wybaczył.

Przyczyną braku gotówki było i to, że byłem pochłonięty pracą techniczno-zawodową, bo każdy z poważniejszych odbiorców chciał być przezemnie osobiście obsłużony, więc nie mogłem stronie kupieckiej tyle czasu poświęcić, ile ona wymagała. Wprawdzie dbałem pilnie o to, że bieżące sprawy załatwiano w biurze bez

najmniejszej zwłoki i każdemu z interesantów możliwie tego samego dnia, w którym list od niego otrzymałem, odpowiadałem, ale nie mogłem jeszcze dopilnować regularnego monitowania debitorów o płacenie rachunków, biurowi zaś nie mogli zawsze sami to zrobić bez mojej dyspozycji, bo prawie każdego debitora wypadło indywidualnie traktować.

Tryb codzienny w biurze był taki. Zwykle rano nadchodziło najwięcej listów, które otwierałem sam i tylko stwierdzałem, kto pisał, następnie dawałem w biurze do czytania, potem referowano mi treść listów i wtedy wydawałem dyspozycje do odpowiedzi. Na nadeszłe przesyłki w ciągu dnia również zaraz odpowiadano. Wieczorem pszedkładano mi listy do podpisu, których było nieraz pięćdziesiąt, a czasem nawet więcej. Podpisywałem, czytając je i w potrzebie zaopatrywałem uwagami, co razem nie dłużej trwało jak kwadrans. Jeżeli potrzeba było w jakiejś korespondencji wskutek większych zmian inny list napisać, to w nagłych przypadkach zrobiono to zaraz tego samego dnia, a nie pilne odłożono do następnego.

Dopiero około Nowego Roku robiłem jeneralny przegląd wszystkich kont debitorów i na wyciągach w potrzebie stosowne uwagi dołączałem osobiście, a w biurze dawałem odnośne wskazówki, jak z dłużnikiem dalej postąpić. To jednak nie wystarczało na cały rok, jak praktyka wykazała. Spostrzegałem wtedy, że roczny obrót kasowy był nieproporcjonalnie mniejszy niż towarowy i trzeba było wreszcie temu zapobiedz. Parę lat przed oddaniem przedsiębiorstwa jednak zdobyłem się na większą energję wobec debitorów, a wynik był ten, że płacono raźniej, i ja mogłem z długów się uiszczać, co przy końcu roku z przyjemnością stwierdziłem, bo zobowiązania moje zmniejszyły się.

Kredyt u dostawców.

Cały mój kapitał obrotowy był ten, który powstał z zarobku, zwłaszcza, że może tylko około szóstą część wydawałem na domowe i osobiste potrzeby z tego, co zarobiłem. Pomnażał się więc, ale nie w stosunku do potrzeby. Klienci-bankowcy, wyczuwając moje położenie, zachęcali mnie, żebym z kredytu bankowego korzystał, którego mi chcieli udzielić, lecz zdołałem ich

przekonać, że w moich warunkach nie byłoby to dla mnie pomocą i nigdy też nie korzystałem z ich dobrych chęci. Później, gdy założyliśmy w Berlinie Polską Spółkę bankową, gdzie kredyt był dogodniejszym, mogłem z niego korzystać, lecz jednak pożyczek nie brałem, ponieważ byłem członkiem Zarządu i jako taki, choć miałem również prawo do brania pożyczek, wolałem mieć moje konto na wszelki wypadek czyste, co stwierdził z uznaniem rewizor, według przepisów spółkowych, z ramienia sądu przysłany. A to było dla mnie więcej warte, niż kredyt bankowy.

Jedyny kredyt, jaki miałem, był u dostawców. Co to są za cierpliwi ludzie i mający długi odddech! Nieomal byli tak cierpliwi, jak ja wobec moich debitorów! Mianowicie wielkie firmy krajowe, specjaliści na towary angielskie, jak i angielskie domy, mające swoje filje w Niemczech, czekały tak długo, aż mogłem im płacić. Nieraz do dwóch lat czekali. Właściciele tych firm wiedzieli bardzo dobrze, że na mnie nie stracą. Ich przedstawiciele widzieli, jak pracowałem i jak skromnie żyłem, więc mieli do mnie dlatego nieograniczone zaufanie. Mnie to niepłacenie na czas nieraz bardzo zawstydzalo, ale nie mogłem sobie inaczej poradzić. Wolałem od nich mieć kredyt, aniżeli z banku, zwłaszcza, że dlatego nie podrażali towaru, czego byłem pewien, gdyż mogłem to zawsze przy sposobności stwierdzić. Zato dostawcom w Anglii i Francji, od których sprowadzałem towary wprost, trzeba było prędzej płacić, co najmniej w pół roku po odbiorze towaru i dawano mi jeszcze wtedy skonto. Zwykle regulowałem u zastępców firm, którzy co sezon do Berlina przyjeżdżali, a rzadziej płaciłem za pośrednictwem banku.

Tak, jak Anglicy w dostawie towarów byli akuradni, tak też żądali, żeby im również na czas płacono, co zresztą uważam za bardzo słuszne. Ale gdy się jest zależnym od debitorów, co tej akuratności nie przestrzegają, to bardzo trudno dotrzymać jej wobec kredytorów. Więc czasem płacenie przewlekało się cokolwiek nawet tym akuratnym wierzycielom.

Pewnego razu jeden z nich chciał koniecznie wiedzieć ścisły termin, kiedy pieniądze odemnie dostanie, na co odpowiedziałem: „Jako mistrz krawiecki nie otrzymuję stałej płacy (da ich als Schneidermeister kein festes Gehalt beziehe), więc nie mogę również dnia zapłaty oznaczyć“. To mu tak zaimponowało, że już więcej mnie nie monitował i kredytu nadal udzielał. Firmom

nalegającym natarczywie o płacenie, co się nadzwyczaj rzadko zdarzało, zagroziłem szybką zapłatą całego długu i zerwaniem stosunku, co też skutkowało. Rzecz jasna, że starałem się zawsze wobec kredytorów okazywać dobrą wolę, którą oni też widzieli i uznawali. A jeżeli zdołałem utrzymać równowagę finansową, to tylko dzięki wyrozumiałości i cierpliwości moich dostawców, za co im osobno z okazji zdania przedsiębiorstwa podziękowałem.

Przeniesienie i rozszerzenie przedsiębiorstwa.

Przedsiębiorstwo tak się rozwijało, że dotychczasowe mieszkanie już nie wystarczało i po pięciu latach przeprowadziłem się do nowo zbudowanego domu naprzeciw, róg Friedrich- i Kochstrasse, gdzie na II. piętrze wynająłem sześć pokoi, z których na razie cztery użyłem na przedsiębiorstwo, a dwa na mieszkanie. Wkrótce musiałem i piąty pokój dobrać, pozostawiając sobie do prywatnego użycia tylko jeden, wprawdzie dość obszerny, w którym z rodziną się mieściłem. Dom to jest wielki, z ogromną kopulastą wieżą, z której wieczorem puszczano z reflektora smugi światła elektrycznego na ulicę Fryderyka w celu reklamy dla kawiarni i restauracji w nim się znajdujących, a które sięgały aż do dworca „Friedrichstr.“ Reklama ta była również i dla mnie, bo gdy kto o mój magazyn pytał, to mu powiedziano, że w tym domu, z którego to światło wychodzi. Studenci, którzy w znacznej części mieszkali w okolicy „Oranienburgertor“, a więc na drugim końcu „Friedrichstr.“, zwykle do mnie omnibusem za 10 fenygów jeździli. Pewnego razu zrobili taki dowcip: Gdy konduktor omnibusu ich pytał, jak daleko chcą jechać, odpowiadali „do B...na“ (t. j. do mego magazynu), na co im mówił „10 Pfennig“, co miało znaczyć, że magazyn mój był tak ogólnie znany, że nawet konduktor omnibusu o nim wiedział.

Mieszkałem tam siedm lat, a że w tym czasie przedsiębiorstwo znacznie się rozrosło, trzeba było postarać się znowu o większe mieszkanie. Wynająłem w r. 1902. 10 pokoi przy Leipzigerstr. róg Friedrichstr. na II. piętrze, gdzie dotąd jeszcze się miesci. Wkrótce musiałem prywatne mieszkanie przenieść o piętro wyżej. Tam już było swobodniej, tak dla przedsiębiorstwa jak mieszkania. Jest to dom narożny w najdroższej dzielnicy miasta, co mi po-

chlebiało. Już het przed wojną dawano właścicielowi za pręt kwadratowy 75 tysięcy marek. O ten narożnik prawie każdy przybywający do Berlina się ocierał, więc dla moich pozamiejscowych odbiorców był to dogodny punkt. O pewnej porze dnia ruch uliczny w tem miejscu był tak wielki, że tylko z trudnością ulicą przejść było można.

Młodzież uniwersytecka jako klienci.

Jak już poprzednio wykazałem, w pierwszych latach mego przedsiębiorstwa byli odbiorcami głównie amerykanie i przez nich polecani miejscowi i zamiejscowi niemcy, którzy znowu przysyłali swoich znajomych. W ten sposób przybywało coraz więcej klientów. Przeważnie płacili rachunki zaraz lub w krótszych terminach, szczególnie amerykanie, a rzadziej pozwalali na dłuższe czekanie. To też dawałem sobie radę z załatwianiem własnych zobowiązań, które również w krótszym czasie regulowałem. Kilku z tych odbiorców pozostało mi wiernymi aż do końca prowadzenia przezemnie przedsiębiorstwa. Jeden z nich, student, a później lekarz, przypominał mi częściej z humorem, że gdy 25 lat minie od czasu, kiedy się u mnie ubierać zaczął, to powinienem mu dać w podarku „Jubiläumsanzug“ (ubranie jubileuszowe). Nie doszło jednak do tego, bo przed jubileuszem wycofałem się z przedsiębiorstwa.

Drugi był jeszcze gimnazjastą, gdy mu pierwsze ubranie zrobiłem, skończył następnie prawo, wstąpił do banku, i z biegiem czasu posunął się na jednego z dyrektorów w „Deutsche Bank“ (nie przypuszczam, że awans ten uzyskał wskutek tego, że go przyzwoicie ubierałem). Był on synem robotnika i utrzymywał się z udzielania lekcji, fo też za pierwsze palto zimowe liczyłem mu tylko 45 mk, za to później płacił ceny, jak na dyrektora takiego banku przystało. W ten sposób pewną część odbiorców sobie wychowałem, oni zaś uważali za obowiązek ubierania się u mnie, gdy później znajdowali się w dobrych warunkach materialnych.

Tak upłynęło kilka lat i dopiero potem zaczęli nasi rodacy darzyć mnie zamówieniami, dowiedziawszy się, że mam znaczny warsztat i umiem odbiorców zadowolić. Będąc czynnym w towa-

rzystwach, nigdy się tem nie afiszowałem, gdyż uważałem, że nie na to pracuje się społecznie, aby mieć swój osobisty interes na oku i byłoby mi nawet nieprzyjemnie, gdyby ktoś z racji jakiego posiedzenia w towarzystwie interes chciał ze mną załatwić, który tam nie należy. I gdy mi raz jeden z miejscowych rodaków z inteligencji powiedział, że mój magazyn poleca dlatego, iż pracuję społecznie, to mu odpowiedziałem, żeby lepiej podawał powód polecenia dobre wykonanie i własne zadowolenie, bo z patryjotyzmu zrobione ubrania zwykle źle leżą.

Prócz stale zamieszkałych, lepiej usytuowanych rodaków, których w Berlinie było niewielu, zaczęli ubierać się u mnie studenci i im też znaczną część rozwoju mego przedsiębiorstwa zawdzięczam. Nie byli to tak bardzo ponętni odbiorcy, bo rzadko który z nich zaraz płacił, chyba taki, co dopiero świeżo przyjechał na uniwersytet z groszami, i nie wiedział o tem, że u mnie może ubranie na kredyt dostać. Później go już koledzy pouczyli.

Jeden z pierwszych odbiorców - studentów zrobił ze mną taki układ. Ja zobowiązałem się ubierać go na kredyt aż do ukończenia studjów, licząc zwykłą cenę z oprocentowaniem do czasu zapłaty. Po złożeniu egzaminu brat jego, który był dyrektorem kopalni, zobowiązał się wobec niego zapłacić wszystkie jego długi, a w razie gdyby przed złożeniem egzaminu umarł, to wszyscy wierzyciele byli zapewnieni polisą na życie, za którą rodzina płaciła premje. Miał już przedtem parę semestrów po za sobą, więc liczyłem, że zbyt długo nie będę czekał. Ale zawiodłem się, bo nie spieszo mu było z ukończeniem, semestr uchodził jeden za drugim, a ja... czekałem. Wtedy jeszcze nie przywykłem do tak długiego czekania na spłatę rachunków i dopiero ci panowie później mnie do tego przyzwyczaili. To też zacząłem niecierpliwic się i gdy pewnego razu jego dwóch znajomych kolegów do mnie przyszło, zapytałem: „Kiedy ten ich kolega właściwie do egzaminu się zabierze?“, i dodałem: „Niech go wreszcie złoży, albo... umrze, bo dłużej już czekać nie mogę“. Juźcić, że mu to zaraz powtórzyli. On wolał wybrać to pierwsze, chociaż jeszcze z pewnem opóźnieniem. Epilog był taki: Brat za niego rachunków z jakiegoś powodu nie zapłacił, przynajmniej u mnie, a ja czekałem jeszcze długie, długie lata, co stało się powodem nietylko naszego długoletniego komunikowania się, ale i rzeczywistej szczerzej przyjaźni, która, jak śmiem twierdzić, i po zapłaceniu rachunku pozostała. Jego życzliwości zawdzięczam wiele

i z wdzięczności za to, gdybym miał jeszcze magazyn, a on dorosłych synów (dorastających to już ma), tobym z nimi tak jak ongiś z ojcem pomimo obecnych drogich cen podobny układ zawarł.

Wspominam o tym przypadku obszernie, gdyż on jest ilustracją mojego stosunku do studentów wogóle. Im zawdzięczam mój rozgłos w całej Polsce, a nie tylko w Polsce, lecz i wszędzie tam, gdzie później na stanowiskach byli, szczególnie jako inżynierowie w Rosji. Przyprawiali mi klientów swoich krewnych, znajomych, ludzi różnych narodowości, nawet kirgizów, którzy naturalnie nie w naturze, lecz gotówką płacili. Przez nich i amerykańców magazyn mój stał się międzynarodowym. Berlin jest jednym ze środowisk, do którego interesanci z całego świata, a mianowicie: z Petersburga, Moskwy, Kijowa, Baku, Taszkientu, Władywostoku i innych miast Rosji napływali. Byli tacy, którzy regularnie przyjeżdżali co parę lat, co rok albo i częściej w różnych interesach do Berlina, a byli i tacy, co przyjeżdżali umyślnie z Kijowa lub Petersburga, jeżeli mieli jakie większe zamówienia, gdyż w Rosji za dobrze zrobioną odzież trzeba było w stosunku znacznie więcej płacić, niż w dobrych magazynach berlińskich. Oni na tem zyskali, bo bawili się kilka dni w Berlinie i razem wzięwszy, taniej na tem wyszli, niż gdyby byli na miejscu dali robić.

Dalej młodzieży zawdzięczam, że dużo z obywatelstwa miejskiego i wiejskiego z Poznańskiego i Pomorza było moimi odbiorcami. I gdy później pewien dyrektor cukrowni mię zapytał: „Czy akademicy ubierają się jeszcze u Pana, bo to się nie opłaca“, to mu na to śmiało odpowiedziałem, że gdyby nie oni, to i jego by nie było u mnie.

Przez nich przyszedli ich koledzy, Niemcy, liczni Norwegczycy i z innych narodowości. I jakże nie miałem być im również życzliwym i choć udzielaniem kredytu nie odwdziaczyć się im za to! Sami później, mogąc już gotówką płacić, o mnie pamiętali, i o ile tylko sposobność do tego mieli, ubrania zamawiali. Nieraz, przejeżdżając przez Berlin, zachodzili choć tylko z przyjaźni do mnie i swoim młodym żonom z humorem mię przedstawiali: „Patrz, to jest nasz dobroczyńca!“

Zresztą nie każdemu z nich udzielałem kredytu. Przedewszystkiem musiał być poleconym przez jednego ze znanych mi jego kolegów, lub też innych znajomych. Synom znanych mi

ojców udzielałem kredytu bez polecenia, ale tak o jednych jak i o drugich starałem się wpierw przekonać, jak się sprawują i czy się uczą. Gdy czasem było trudno o kogoś dowiedzieć się, to musiał mieć przynajmniej dobry i zdrowy humor, jaki już przy zamówieniu wyczuć mogłem, gdyż jestem zdania, że człowiek z dobrym humorem, może być lekkomyślnym, ale nie złym i prędzej czy później zapłaci, jeżeli tymczasem nie... umrze. Że nie myliłem się tak bardzo, mam dzisiaj na to liczne dowody z doświadczenia, że nawet po długich latach, doszedłszy do grosza, z procentami płacą.

Praktyka wyrobiła u mnie łatwość poznawania charakteru ludzi i zanim nieznany mi klient, chcący mieć u mnie kredyt, przy pierwszym zamówieniu ubrania spostrzegł się, to już mniej-więcej wiedziałem, z kim miałem do czynienia, a w wątpliwych razach dowiadywałem się o nim. Kierowałem się zasadą, że kupiec w pierwszym rzędzie powinien znać ludzi, a towary dopiero w drugim. Do ludzi „zapiętych“ zaufania nie miałem, i tacy bez dania jakichś gwarancyj kredytu u mnie nie dostali. Również nie dostali kredytu ci, co niepotrzebnie przy pierwszych zamówieniach zaraz swoje tytuły podawali, gdyż uważałem to jako podpadające. Człowiek dobrze wychowany prócz nazwiska tytułów nie podaje, choćby rodowych, tylko taki to robi, co chce mieć przez to osobistą korzyść.

Przez to udzielanie kredytu studentom stałem się u nich „sławnym“ i mawiali, że są dwie „Pomoce naukowe“ dla młodzieży, jedna w kraju, a druga w Berlinie, z tą różnicą, że ta ostatnia daje więcej.

A czy też wszyscy po tylu latach popłacili? Nie, nie wszyscy. Różne okoliczności się na to złożyły. Część drobna przed zaplaceniem umarła, nie zostawiwszy zasobów, i trzeba było pretensję skreślić. Zdarzało się czasem, że rodzina w takim wypadku poczuwała się do moralnego obowiązku i zapłaciła. Niektórzy przeciągnęli zaplacenie rachunku tak długo, aż wojna zaskoczyła i trudno ich odnaleźć. Być może, że z nich kto już nie żyje, albo gdzieś po świecie się tuła. Byli i tacy, co się wykoileili, choć ich bardzo mało, może pół procent. Trochę więcej jest tych, co z zasady nie płacą, choć mają na to, kierując się jakąś dziwną moralnością. Są to przeważnie tacy, co teraz w naszej Polsce do „mniejszości“ należą.

Gdy u niektórych znaczna sumka urosła i już zaszedł przypadek śmierci, wpadłem na pomysł ubezpieczania ich na życie na moją korzyść. Zwykle liczyłem na to, że jeżeli nie prędeży, to gdy do stanowiska dojdą, zapłacą i polisę im się zwróci, a jeżeliby tymczasem miała ich śmierć zaskoczyć, to rachunek ureguluje się polisą, która zwykle więcej wynosiła niż pretensja, zaś resztę odda się najbliższemu krewnym. Premje sam płaciłem, choćby dla kontroli, gdyż oni by i tak „zapominali“ płacić, a najwięcej było takich, co na to nie mieli. Tych ubezpieczonych miałem kilkudziesięciu. Pomysł ubezpieczenia klientów, raczej moich pretensyj u nich, był może nieco oryginalny, ale zdawało mi się, że w ten sposób uniknę strat. Praktyka jednak wykazała, że pomyliłem się z moim pomysłem, bo tylko kilku w ten sposób załatwiło i to po dłuższym czasie płacenia przezemnie premji, u reszty sprzykrzyło mi się płacić i polisa stała się bezprzedmiotową. Za jednego płaciłem bardzo długo, gdy był już na stanowisku i zarabiał, ale tak źle się rządził, że nie można było od niego coś wydostać. Wreszcie przestałem płacić, a on wkrótce potem... umarł. Straciłem. Miałem „pecha“.

Kredytując studentom, liczyłem na to, że, gdy egzamin złożą, zaczną zarabiać i będą wtedy spłacać. Zawiodłem się i w tym przypadku. Otóż, po zdaniu egzaminu przyszły na nich nowe kłopoty. Nie zawsze zaraz zaczęli, pomimo najlepszych chęci, zarabiać tyle, aby długi spłacać mogli, których mieli więcej oprócz zobowiązań wobec mnie. Myślałem sobie: no, ale gdy się ożenią, to ich punktem honoru będzie, że wtedy od razu rachunek zapłacą. Nawet kilku z nich sam ożeniłem. Lecz i to zawiodło, bo i oni zwykle na swoich teściach się zawodzili. A byli i tacy, co potem powiedzieli, że przecież z posagu żony kawalerskich długów płacić nie mogą! Lecz biada im! Na takich się „mściłem“ i zdarzyło się raz, że zanim takie młode małżeństwo z poślubnej podróży (na co im zawsze starczyło) wróciło do swego nowego gniazda, to już z mojej poręki komornik ich uprzedził. Wychodziłem z tego słusznego założenia, że jeżeli ktoś ma na taką podróż, to powinien mieć i na długi i przedtem je popłacić. Wtedy dopiero może być podróż przyjemną. Zwykle każda moja pretensja była wyrokiem zapewniona, ażeby nie mieć kłopotów z przedawnieniem. Naturalnie, że wtedy był rwetes, no i zapłata. Jeden tylko taki teść poczciwy i naiwny, niemiec, znalazł się, co długi zięcia popłacił i to jeszcze przed

ślubem córki ryzykował, aby jej potem oszczędzić następstw niepłacenia długów męża.

Niektórym tłumaczyłem z humorem, że powinni spieszyć się z zapłaceniem, bo może ich śmierć zaskoczyć, a że jako mi dłużnych, może tam gorszy los ich spotkać — ja zaś, że nikomu nic nie jestem winien, dostanę pewnie lepsze miejsce, może zbyt oddalone od nich, więc jak my się tam potem rozliczymy? Takie i podobne „perswazje“ jednak ich nie wzruszały.

Nietylko udzielało się kredytu na ubranie młodzieży, lecz przychodzili czasem i po gotówkę. Z tem to już było trudniej, bo rzadko kogo uwzględniałem, choćby dlatego, że sam jej łaknąłem. Ale zdarzało się, że nie mogłem odmówić, zwłaszcza, gdy widziałem konieczną potrzebę. Nawet kilku z nich całkowicie utrzymywałem przez kilka lat, płacąc im regularnie miesięcznie wystarczające kwoty, aby im dopomóc do ukończenia studjów. Były one skromne, ale i otrzymujący byli również skromni i wydziwić się nie mogłem, jak im to mogło wystarczyć. Wszyscy ci swoje zobowiązania u mnie uregulowali, doszedłszy do groszy, ja zaś byłem zadowolony, że im do ukończenia studjów pomogłem.

Prócz takich przychodzili po gotówkę inni, którzy w początku miesiąca hojniejsi byli w wydawaniu, a przy końcu naturalnie im zabrakło. Kilka drastyczniejszych przykładów podaję.

Jeden z nich chciał jechać na święta do domu, a nie miał na drogę. Zwykle w takich razach koledzy pomagali sobie nawzajem, lecz widocznie również nie mieli, a przynajmniej nie tyle, aby jeszcze komuś pożyczyć, więc jak w dym przyszedł do mnie. I zaczyna się pomiędzy nami taka rozmowa: „Pan do Poznania jedzie“? „Tak“. Wyliczam mu cenę jazdy koleją, co wynosiło 5.30 mk. „Dam Panu sześć mk., aby mógł po drodze szklankę piwa wypić“. On się na to oburzył i oświadczył: „Przecież nie mogę czwartą klasą jechać, toby mi ubliżało, gdy mój ojciec jeździ drugą!“ Wyjaśniłem mu, że za pożyczone pieniądze najtańszą klasą się jeździ, a że jego ojciec (znany lekarz) używa drugiej klasy w podróży, to mu wolno, bo zarabia i z pewnością nie za pożyczane pieniądze jeździ. Kto pożyczka, ten powinien się ograniczać. I spytałem go stanowczo, czy chce te 6 mk. wziąć, gdyż więcej nie dam. Wziął, ale jaką klasą pojechał, tego nie wiem, bo może sobie jeszcze od kogo dopożyczył.

Inny, już referendarjusz sądowy również na podróż do domu gotówki potrzebował, daje mu także na czwartą klasę, lecz on mi wyperswadował, że jako wyższemu urzędnikowi nie wolno tą klasą jeździć, bo mógłby go kto z przełożonych spotkać, to byłby crimen. Argument ten mnie przekonał i dałem mu na trzecią klasę.

Znowu inny ze „złotej“ młodzieży, mający bogatego ojca, w Warszawie, mimo, że dostawał miesięcznie dużo, ale jeszcze więcej wydawał. To też nic dziwnego, że mu często zabrakło. W takim położeniu przyszedł raz do mnie po dwieście marek. Powiedziałem mu, że nie mam, on nie chce wierzyć, ale trudno — nie dostał. Było to przed południem. Po południu przyprowadza do mnie swego szwagra, który w interesach do Niemiec przyjechał i namówił go, ażeby skorzystał ze sposobności i u mnie parę ubrań zamówił, bo jest przecież taniej niż w Warszawie, więc na tem zyska. Zamówił za przeszło 400 marek i powiedział: „Niech Pan ubrania do przymierzenia przygotuje zaraz, ja przymierzę i potem na kilka dni wyjadę dalej, tymczasem może Pan wykończyć, a gdy wrócę, to odbiorę i zapłacę“. Wpada na to ów student i radzi mu: „Poco masz się z pieniędzmi włóczyć, zapłać lepiej zaraz“. „Masz rację“ — tenże odpowiada i płaci. Reszty można się domyśleć. Odchodząc odemnie, wypuścił szwagra naprzód i cofnął się, niby czegoś zapomniał, i śmiało do mnie mówi: „No, teraz Pan pieniądze ma, więc proszę“! Cóż miałem robić — 200 mk. dałem!

Drugi taki przegrał wszystkie pieniądze na wyścigach w przejeździe przez Berlin na uniwersytet do Hali i nawet na dalszą podróż mu zabrakło. Tedy do mnie. Była to niedziela. Szczerze powiada jakiego miał „pecha“ i żądał pożyczki 800 mk. Odmówiłem mu stanowczo, bo mi się ten postępek nie podobał, motywując, że pieniędzy nie mam w domu, a banki w niedzielę są zamknięte. Nie uwierzył mi, trzasnął drzwiami i wyszedł.

Inny znowu narobił w różnych miejscach długów (u mnie nie!) pomimo, że mu ojciec dawał dostateczną miesięczną gażę, ale, że był w egzaminie i chciał po złożeniu go przed wyjazdem je popłacić, więc przyjechał z Hali do mnie i prosił, żebym mu weksel na 10 tysięcy mk. poręczył, gdyż może za mojem poręczeniem taką pożyczkę dostać. Zgromiłem go za to po przyjacielsku, oświadczając, że tej przysługi mu nie zrobię i radziłem, żeby przed ojcem padł plackiem i mu szczerze wszystko wyznał.

Dobry był sobie pewien znany salonowiec-utrójusz w Berlinie który następnie studjował; we Wrocławiu, dokąd od czasu do czasu przyjeżdżałem. Dowiedziawszy się raz o moim przyjeździe, już przed godz. 8 rano był u mnie w hotelu. Student o tak rychłej porze już na nogach! jeszcze taki jak on! było mi podejrzanem! Naturalnie, że chodziło mu o jakąś „lepszą“ pożyczkę i myślał ją u mnie uzyskać. Pomylił się, i choć go pochwaliłem za to, że tak rychło wstaje, lecz fatyga jego pozostała bez skutku; oświadczyłem mu, że pieniędzy ze sobą nie przywożę i tylko tyle mam, iż zaledwie mi na podróż starczy. Uwierzył mi i z kwitkiem odszedł. Wykazało się później, że tak rychło do mnie przyszedł, bo całą noc nie spał. Nawiasem dodam, że z jego berlińskich czasów, gdzie przedtem studjował, był mi winien za ubrania znaczniejszą sumę. Wtedy jeszcze jego słabych stron nie znałem, zwłaszcza, że był ogólnie lubiany. Był jedynakiem matki, właścicielki folwarku, która, jak to matka, chciała go ratować i długi za niego płaciła, jak mogła, a że syna taszczyłem po swojemu o zapłatę, umyślnie przyjechała do mnie w celu regulacji długu, lecz pod warunkiem, że jej część opuszczę. Odmówiłem stanowczo opustu, dodając, że ceny za ubrania były niskie, więc zarobek skromny i stracić z niego nic nie mogę. Rozzaliła się za to na mnie i powiedziała: „Pan jest głównie winien, że syn mój stał się lekkomyślnym, bo go ładnie ubierał i dlatego zaczął bywać w salonach i pieniądze wydawał“. Na to odparłem: „Uważam to nie jako zarzut, ale komplement z Pani strony i użyję go jako reklamy, że tak ładnie ubrania potrafię robić, które w salonach tyle powodzenia mają“. Zgodziła się wreszcie na zapłacenie całego rachunku i zapłaciła, choć jej to potem już trudno było.

Najoryginalniejszy był następujący przypadek. Zjawia się u mnie rychło rano jeden z pocziwych studentów i przyprowadza mi kogoś, który z miny podejrzano wyglądał. Szepce mi na uboczu do ucha, że jego towarzysz jest komornikiem sądowym i przyszedł go aresztować w celu złożenia przysięgi manifestacyjnej, wyciągając go z łóżka, i że zaprowadzi go do sądu, jeżeli mu nie zapłaci. Głupie położenie, bo pieniędzy nie miał. Uprosił tedy komornika, że z nim z Charlottenburga do mnie przyjechał, w nadziei, iż go z tej awantury wydobanę. Chodziło o 300 marek. Komornik nie potrzebował tego zrobić, ani nie powinien, ale że i oni mają do studentów słabość, uczynił mu tę przysługę, zwłaszcza, iż mu się pewnie osobno co za to dostało. Wyłożyłem po-

trzebną kwotę, ażeby mu tej plamy, jakaby potem całe życie na nim ciążyła, oszczędzić, on zaś postarał się o to, że na drugi dzień brat jego telegraficznie mi wszystko zwrócił.

Zdarzało się czasem, że niektórzy ojcowie cierpkie uwagi robili mi z powodu udzielania kredytu ich synom. W takim razie starałem się wyperswadować im, że czynię to tylko w potrzebie i tak dobrze im kredytuję, jak starszym, co już zarabiają (tym ojcom nieraz także), a uważam bacznie na to, aby im tylko potrzebne rzeczy dostarczać. Zwykle dawali się przekonać i udobruchać i rachunki synowskie płacili. A gdy który z ojców był trudny do przekonania i zarzuty mi robił, to mu powiedziałem, że jeżeli podług jego zdania syn jest lekkomyślnym, to nie ja jestem winien, bo go nie wychowywałem, a dawaniem kredytu w formie potrzebnych ubrań zepsuć chyba nie mogę, boć ojcowie także często ubrania na kredyt biorą. Zresztą od nich zapłaty rachunków nie żądam, bo jeżeli nie prędzej, to po skończeniu studjów synowie sami mi zapłacą. Ja bo łatwiej udzielałem kredytu młodemu, niż starszym, już będącym na stanowiskach dłuższy czas, a którzy byli słabi w płaceniu. To też, gdy jednemu ze starszych, który był nawet w zarządzie banku, ale z trudnością tylko rachunki płacił, nie chciałem kredytować, a on mi uwagę zrobił, że przecież studentom kredytuję, którzy nie mają jeszcze stanowiska, dlaczego tedy jemu odmawiam, — odpowiedziałem: oni ale mają całą przyszłość przed sobą, starsi już jej nie mają.

Otrzymywałem czasem od ojców listy z wyrzutami za dawany kredyt ich synom. Zdarzało się to jednak rzadko. Poniżej podaję dwa z nich dla ilustracji według oryginałów, opuszczając podpisy i nazwy miejscowości, skąd były wysłane. Obydwaj ojcowie byli właścicielami dóbr i mieszkali na wsi. (Prócz nich jeden z listów syna.) Dla wyjaśnienia dodaję, że obok adresu studenckiego zapisywałem adres ojca, względnie rodziny, a to na przypadek, gdyby u mnie ślad po nich zaginął, to w ostateczności wysyłałem listy do nich tam, gdzie rodzice mieszkają i to w czasie, gdy miarkowałem, iż może na wakacjach w domu się znajdują. Zdarzało się tedy, że jeżeli syna list w domu nie zastał, odsyłało go synowi tam, gdzie przebywał, lub też z ciekawości, czy też pomyłki, ktoś z rodziny otwierał.

Nawiasem dodam, że z notowaniem adresów studentów miałem mitręgę, bo wielu z nich co chwilę zmieniano mieszkanie czasem kilka razy w roku. Sami nie spieszyli się z podaniem

swoich nowych adresów, chyba wtedy, gdy z nowem zamówieniem przyszli. A nie lubiłem tracić z nimi styczności i takiej wprawy w szukaniu nabrałem, że umiałem ich wszędzie wyszperać. Ale oto pierwszy list.

N. 14. grudnia 19....

Szanowny Panie!

Trzy listy Jego, adresowane do syna mego, leżą u mnie, gdyż i ja nie wiem od kilku miesięcy jego adresu.

Bardzo mi jest nieprzyjemnie, że syn przez tak długi czas nie uregulował z Szanownym Panem rachunku.

Muszę też streścić Panu powody tej czasowej niewypłacalności, aby Pan gorzej o nim nie sądził.

Student ożenił się z studentką gołą i chorą — uczynił to wbrew naszym radom i woli, pomocy więc od nas nie dostaje, gdyż przypominaliśmy mu przysłowie: „Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi“.

Przez 2 ostatnie lata pracował w Bernie Szwajcarskim na uniwersytecie i w Lipsku r. b. uzyskał dyplom Dra Filozofji... Jest więc uczonym, skończonym filozofem, miłośnikiem wszech nauk itp. itp., ale... w dziurawych butach, i z chorą żoną, na którą musi ciężko pracować.

I mimo takiego rozumu, nie widział tak jasnych następstw nierozważnej miłości.

Szanownemu Panu to wyjawiam pierwszemu obcemu mi, i to poufnie, aby Pan nie sądził go nieuczciwym. Należność przypadająca panu zginąć nie może — będę o ile możliwości wpływał na to. — Wiem, że z Berna już wyjechał. — Koło Nowego Roku spodziewamy się od niego listu, w którym jeśli pomieści adres, czego nie zawsze spełnia, to Panu go doniosę, a tymczasem ciekawy byłbym rachunku, ile on Panu winien. Wiadomości najprawdziwszych, jakich Panu o synu mojim udzieliłem proszę zachować przy sobie jako zwierzenie się moje przed Panem poufne.

Dodam jeszcze, że nie przestał być uczciwym — jest bardzo oszczędnym i ciężko umysłowo pracuje — lecz nieszczęśliwym, i jak dotąd b. mało produkującym, i to są prawdziwe powody jego niewypłacalności.

Zostaję z poważaniem

N. N.

II. List drugiego ojca:

N. 9. 1. 1900.

Szanowny Panie!

Przypadkowo wpadł mi list Pański pisany do mego syna z żądaniem zapłacenia 220 zapewne marek; zdziwiło mnie to bardzo, że się taki głupi znalazł, którego studentowi małoletniemu dawał taki kredyt na jakie zabezpieczenie! Syn mój nic nie posiada i jeżeli tak postępować będzie, to i posiadać nic nie będzie, bo ja mu nie dam, a sam nie zarobi. Myślę, że Pan dobrze zrobi, gdy to Saldo skreśli, a na przyszłość swoje towary lepiej umieszczać będzie, bo jeżeli na takich kontmanach opierać się będzie, to prędko zbankrutuje. W Berlinie go się Pan nie spodziewaj, bo dosyć już tam pieniędzy stracił i jeszcze długi zostawił, szkoda, że u Polaka, ale Niemcy w tym względzie mądrzejsi.

Zostaję z poważaniem

N.

III. List jego syna:

N. N. d. 12. 1. 1900.

Wielmożny Panie Berkan!

Swoim rachunkiem zrobił Pan Sobie i mnie ogromną przykrość. Sobie, bo jak pisze mi ojciec: „Ja dziś jeszcze odpiszę temu panu, ale będzie się mu podobać“. Proszę więc najprzód o przebaczenie mi, że z mego powodu spotka się Pan z niegrzecznościami, proszę więc o rzucenie tego listu do pieca i posłuchania mnie.

Ojciec mój napisał mi okrutną burę, co mi się w życiu jeszcze nie zdarzyło, dlatego na tym punkcie jestem bardzo drażliwy, popełniłem więc tak zwane pobożne kłamstwo i napisałem odwrotną pocztą memu ojcu, że zapewne to brat Pański, objawszy po Panu interes, znalazł pozycję, która nie saldowana i upomina się teraz nie spostrzegłszy, że ta pozycja musi tam być w innem miejscu zapisana.

Proszę więc Pana najprzód, znając Pana, i ponieważ ufam, że i Pan mnie dostatecznie poznał, o napisanie do mego ojca listu przepaszającego go w tym sensie, jak ja tu wyżej Panu napisałem. Nie myśl Pan, abym ja o Pańskim rachunku zapomniiał był, on mi przez cały rok leżał na sumieniu, ale byłem w tym roku jednorocznikiem w Wiedniu przy Train, a jak Panu wiadomo, przy wojsku trudno bardzo co oszczędzić mimo najlepszych

chęci, a pensja, którą dostawałem od ojca była taka sama, jaką dostawałem, gdy byłem w Berlinie, t. j. sto złr. miesięcznie. Teraz awansowałem 1. stycznia na porucznika, więc znowu mam duże wydatki na sprawienie munduru i innych przyborów. To jest także przyczyną, że nie wyjechałem tego roku za granicę na dalsze studia, bo mając długi do spłacenia z mojej pensji, nie wystarczyłoby mi i musiałbym dalej w długi brnąć. Niniejszem poświadczam, iż jestem Panu winien 220 mk. 40 ph. i zobowiązuję się Panu je oddać pod słowem szlacheckim i oficerskim wraz z procentami. Obecnie jednak nie jestem w stanie to uczynić, proszę o zwłokę terminu oddania do czasu, gdy będę w stanie to uczynić, choćby do czasu samodzielności. Znając Pana, spodziewam się, że uczyni Pan zadość mej prośbie, zawartej w tym liście, boć iluż Pan wspiera, a bądź Pan pewny mej wdzięczności z szacunkiem

N. N.

Na rok przyszły przyjeżdżam prawdopodobnie do Berlina, w każdym razie do Niemiec na dalsze studia rolnicze.

Na list ojca nie odpisałem, gdyż w parę godzin po otrzymaniu listu od niego nadszedł list od syna, (który wyżej podałem) i z nim się co do regulowania rachunku porozumiałem, który też wkrótce został zapłacony. Drugiemu ojcu podziękowałem za przyjacielski list. Dodaję, że syna później udało mi się wyszukać i po trosze od niego wy dostałem, resztę zaś przymusowo podczas okupacji niemieckiej. W tym czasie dużo listów mu pisałem, które były często bardzo „oryginalne“.

Czasem krewni dłużników, do których zwracałem się o adresy tychże, lub treść listu mego do dłużnika znali, odpowiadali mi z małym wyjątkiem według życzenia, lecz znaleźli się i tacy, co narzucali się na ich opiekunów. Tym zwykle cierpko odpowiadałem.

Próbkę takich listów podaję, poprzedzając ją moim listem.

16. grudnia.

Szanowny Panie Doktorze!

Nie odpisałem Panu wtedy na list, raczej na Jego wywody, boć w pierwszym rzędzie chodziło o podanie należącej mi się sumy i o porozumienie się z Swoim bratem. Ponieważ to nie nastąpiło lub nastąpić nie mogło, mogę teraz na resztę treści Pańskiego listu odpowiedzieć.

Widocznie nie chodziło Panu tak o pośrednictwo, jak o prawnienie mi perorów. Nie rozumiem tego, gdyż od Pana zapłaty rachunku za brata nie żądałem. Zwróciłem się tylko do Niego z prośbą o podanie mi adresu brata, abym mógł się z nim porozumieć. W moim miejscu byłby to każdy zrobił, boć ostatecznie po tylu latach czekania chciałbym mieć zapłatę za swoją pracę. Zamiast poinformowania mię, narzuca się Pan z opieką nad swoim bratem, którego już wtedy, gdy mu kredytowałem, uważałem za samodzielnego.

Zwraca mi Pan uwagę, że lekkomyślnie bratu kredytowałem. Kredytowałem mu jako uczciwemu człowiekowi i to w nadziei, że gdy skończy naukę, otrzyma stanowisko i będzie mógł słucać tak, jak to inni zrobili. Ten sam zarzut możnaby zrobić tym wszystkim, którzy potrzebującym pomocy studentom pomagają, począwszy od ich ojców, a skończywszy na Tow. Pom. Nauk. Widocznie mój kredyt był mu potrzebnym, jeśli z niego korzystał, ja zaś z pewnością byłbym wolał, gdyby mi był zaraz zapłacił. O tym kredycie może Pan sam już wtedy wiedział. Procenty pobieram tylko od tych, co zaraz nie płacą i to dopiero za czas po upływie roku od dostawy. Chyba to jest słuszne i sprawiedliwe, bo inaczej przez czekanie straciłbym nietylko mój zarobek, ale jeszcze bym coś dodać musiał. To chyba jest jasnym. Wreszcie robi Pan wzmiankę o przedawnieniu. Tego się nie obawiam, ale wzmianka ta najlepiej cechuje Pańskie zapatrywanie na płacenie rachunków. Są rzeczywiście tacy, co się obrażają, gdy się im o przedawnieniu wspomni, a gdy ten czas przejdzie, to z tego korzystają. Chwała Bogu, że takich jest mało.

Na tem kończę, w nadziei, że Pan w przyszłości będzie pretensje rzemieślników lepiej osądzał.

Z poważaniem

(podpis).

N. 19. 12.

Szanowny Panie!

Na list Pański odpowiadam, co następuje:

Mam prawo i obowiązek opiekować się braćmi moimi młodszymi, tak samo więc bratem moim J. Razem z moim bratem starszym utrzymywaliśmy go na akademji. Jeżeli, mimo to długi zrobił, toć oczywiście nie nasza wina, ani nie nasz obowiązek rachunki te płacić, ale prawo mamy czuwać, by rachunki,

które ma do uregulowania, nie były wygórowane i by niepotrzebnych względnie nie za wysokich płacił procentów. Nadtem czuwać będę i bratu J. radą zawsze służyć będę.

Nie pojmuję, jak Pan mógł uważać brata mego wówczas za „samodzielnego“. Przecież Pan dobrze wiedział, że on dopiero studjował, że nie miał jeszcze żadnych egzaminów i że nie miał żadnego majątku.

Jak można więc młodemu studentowi, nie mającemu majątku, za same ubrania w przeciągu $1\frac{1}{2}$ roku, t. j. od lipca 1906 do grudnia 1907 r. zakredytować 700 mk., a raczej razem ze styczniem 1908 r. 764 mk., tego nie pojmuję! Zupełnie obstać przy tem i nie cofam tego, że to jest niesłusznem ułatwianiem robienia długów. Pan dobrze wiedział, że bratu memu będzie bardzo trudno oddać tak wysoką sumę, boć płaca leśników, a raczej pensje ich nie są zbyt wielkie, a na miejsce, czyli posadę, długo nieraz czekać trzeba.

Porównanie Pańskie z udzielaniem pożyczek i zapomogi ze strony Tow. Pomocy Naukowej zupełnie nie na miejscu, boć to zupełnie co innego.

Co do wysokości procentu, to Pan sam dobrze wiesz, że kupiec ma prawo tylko do 4% , a nie 6% .

Co zaś do sprawy „przedawnienia“, to Pan tę sprawę przekreślił.

Pisałem, że rachunek ten „właściwie“ jest przedawnionym, ale nie wspomniałem ani słowa o tem, że brat z tego skorzysta. Każdy człowiek uczciwy rachunki swoje uczciwie i rzetelnie spłacać powinien, to się samo przez się rozumie. Ale z drugiej strony powinien kupiec tak samo uczciwie i rzetelnie towar swój sprzedawać i nie ciągnąć niedozwolonych zysków. Żaden z nas, t. j. braci moich, ani ja z „przedawnienia“ nie korzystaliśmy nigdy, każdy swoje rachunki jak najrzetelniej płaci i pewnie by każdy kupiec Panu Bogu dziękował, gdyby miał samych takich odbiorców, jak my jesteśmy. Ale za to ja w kilkonastoletniej praktyce mojej zostałem przez pacjentów moich haniebnie oszukany co do rachunków. Nietylko, że skorzystali z „przedawnienia“, ale wprost z góry z tym zamiarem szli po poradę, by mnie potem podle oszukać. A właśnie przeważnie kupcy i rzemieślnicy tak oszukali. Mam więc i ja swoje doświadczenie i każdy rok w tym względzie coraz więcej mnie uczy. Skoro brat mój ma dług u Pana, to ma się rozumieć, że go spłacić musi, ale nad tem

czuwać będę, żeby nie płacił ani fenyga więcej nad to, co się Panu de facto należy. Jak już pisałem, brat zmienia od 1. 4. 1914 r. posadę i dotychczas nie ma innej. Majątku nie ma.

Adres jego dotychczasowy jest: N., poczta M. Mam nadzieję, że Pan sytuację brata mego uwzględni i mam nadzieję, że między nami korespondencji w tej sprawie już nie będzie.

Z poważaniem

Dr. N. N.

Odpowiedź.

20. 12.

Szanowny Panie Doktorze!

Wywody Pańskie w dzisiejszym liście wymagają, żebym na nie odpisał, choćby dlatego, abyśmy się dobrze zrozumieli. Nie chciałbym nikogo pozostawić w mniemaniu, że krzywdzę kogoś przez moje żądanie. Odpowiem w chronologicznym porządku.

Czy Pan prawo i obowiązek ma czuwania nad swoimi młodszymi braćmi, to ja, widząc dorosłego człowieka, jako interesant pytać nie mogę. Dokąd by to zaprowadziło, gdybym każdego nowego klienta miał o to pytać! Wszak pewnie Pan i nikt tego nie robi. Mnie starczyło, że polecono mi brata jako porządnego człowieka, który, jeśli nie prędeż, to gdy skończy naukę i otrzyma stanowisko, wtedy zapłaci. Jeżeli dotychczas tego nie uczynił, to nie mogę twierdzić, czy on jest temu winien.

Wygórowanych cen nie mam i mogę Pana zapewnić, że jak na berlińskie stosunki uchodzę za taniego krawca.

O wysokości procentu już pisałem w poprzednim liście. Dodam dzisiaj, że mnie kredyt zwykle kosztował nie 6^o/_o, lecz 8 i więcej. Czyż krzywdzę tedy kogo, jeśli 6^o/_o biorę? Gdy brat musiał na zapłacenie ubrań pożyczyć, toby nietylko 6^o/_o zapłacił, lecz trudno by mu było kredyt dostać i to nie bez ręczycieli. Sądy mi zresztą tyle zawsze przyznawały, jeśli o to chodziło.

Stwierdziłem z książki, że ubrań zanadto brat nie dostał, a t. zw. luksusowych żądnych. Widocznie ich potrzebował, zwłaszcza, gdy mu później o stanowisko chodziło. Tak to już bywa, że za to, iż się w ten sposób pomaga, to potem jeszcze łąją. To tylko mnie pociesza, że więcej jest takich, co są wdzięczni za chwilową pomoc podczas studjów.

Porównanie z Tow. Pom. Nauk. podtrzymuję, gdyż i oni zwrotu żądają i to z procentami, choćby we formie należenia potem jako członek. I na nich wymyślają, że dają lekkomyślnie i t. d.

Wyrażenia Pańskiego o przedawnieniu nie mogłem inaczej zrozumieć, bo jeśli Pan tak myślał, jak teraz pisze, to nie potrzebował o tem wspominać i to w tej formie.

Mam więc nadzieję, że uzna Pan teraz moje wywody, zwłaszcza, jak Sam pisze, że został w swojej praktyce również poszkodowany.

Wreszcie dziękuję uprzejmie za podanie mi adresu brata, o co mi właśnie chodziło. Napiszę zaraz do niego i mam nadzieję, że może już w niedługim czasie jakoś do Ładu pojedziemy.

Z poważaniem

(podpis)

Dłużnik po skończonej wojnie rachunek sam uregulował wraz z procentami, niestety już w naszej walucie.

Czy wszyscy studenci nie płacili? Nie wszyscy. Byli tacy, co zaraz płacili, tych naturalnie wielu nie było; za to więcej było takich, co miesięcznie lub kwartalnie spłacali. Prawie zawsze pomiędzy nami umowa była taka, że jeżeli który z nich nie mógł zaraz zapłacić, to mu kredytowałem na raty. Że potem te raty przeważnie były nieregularne, to może sobie wyobrazić ten tylko, kto młodzież zna, choćby już dlatego, że trudno mi było co miesiąc o niezapłacone upominać się ze względu na czas i małe objekty, ale zawsze pozostawało mi prawo powoływania się na naszą umowę. A gdy przyszedł taki po nowe ubranie i zrobił dobrą minę, to było mi trudno dalszego kredytu odmówić. Miałem do nich słabość, jak ów poprzednio cytowany komornik. Ja bo lubię, że młodzież ma fantazję, nawet do robienia długów, byle to nie przekraczało granic. Od tego są młodzi.

Jeden z takich — a był żydem — tak przewlekał z płaceniem rat, że z dwunastu miesięcy w roku zrobił tylko 7 do 8 i dowodził, że przecie regularnie płacił, bo płacenie raty przeciągał do końca miesiąca, zamiast ją na początku przysłać, no i potem zdawało mu się, że ona powinna i za następny miesiąc starczyć. Temu wytłómaczyłem, że niesprawiedliwie ze mną postępuje, bo rok zwyczajnie ma dwanaście miesięcy,

a u żydów nawet trzynastcie, gdyż oni liczą według obiegu księżyca, więc powinien mi w roku dać 13 rat. Ale on w tym przypadku wolał być więcej niż chrześcijaninem.

Inny znowu chciał mnie uradować i pisze, że jednocześnie wysłał mi lepszą kwotę przekazem pocztowym. List dostałem, ale pieniądze nie nadeszły. Dowiedziałem się później, że rzeczywiście niósł pieniądze na pocztę, lecz po drodze spotkał go jeden z kolegów i dowiedziawszy się, co on za „głupstwo“ chce zrobić, mówi: „Po co masz temu B. posyłać, daj mnie, ja bardziej potrzebuję“. I dał jemu.

Razu pewnego przyszło kilku studentów do mnie w celu zamówienia ubrań. Dowiedziawszy się, że mam jechać na wy-poczynek do Zakopanego, jeden z nich zrobił uwagę, jak mogę sobie na to pozwolić, za co go drugi zgromił i powiedział: „Ależ nie baj! Złóży się raczej naszemu dobrodziejowi na drogę, aby mógł siły pokrzepić i nam, jak i naszym następcom, jeszcze długie lata kredytu udzielać“.

Że obustronnie dowcipami interesy kraszono, to już wynika z powyżej podanego naszego stosunku, ale kilka z nich jeszcze podają i to innego rodzaju.

Najmniej raz na rok studenci urządzali bal, na których z obowiązku bywałem. Jakiś dowcipniś zrobił uwagę, że gdybym niezapłacone fraki pościągał, toby wszyscy musieli nago tańczyć. Ten dowcip rozniósł się zaraz po całej sali i wywylał ogromną wesołość pomiędzy gośćmi. Jeszcze teraz go powtarzają. Mówiono też, że na ich balach mój „kapitał się obraca“, t. j. owe niezapłacone fraki.

Ażeby moja pretensja u dłużników się nie przedawniła, w razie długiego kredytu, zapewniałem się w ten sposób, że po dwóch latach od odbioru rzeczy musieli mi dawać uznanie całej dłużnej sumy, lub jaką choć małą kwotę na poczet rachunku, co na dwa lata przedawnienie przerywa. Utrzymuje się jeszcze do dziś taka wersja legendarna. Kiedy jednego ze studentów taszczyłem o zapłatę z powodu przedawnienia, a on nie mając pieniędzy zaproponował mi taki interes: Ja mu pożyczę 20 mk. i on mi je potem da na poczet pretensji. Zgodziłem się na to, a on otrzymawszy 20 mk., zwrócił mi tylko 10 mk., co przedawnieniu zapobiegło, a drugie 10 mk. sobie zatrzymał, czyli że chwilowo na tem zyskał. Już sobie tego dobrze nie przypominam, ale mogło tak być.

Inny zamówił ubranie, którego cena blisko 100 mk. wynosiła i mówi: „Niech mi Pan tę resztę do 100 mk. dołoży gotówką, a będę mu okrągłą setkę winien“.

Prócz gotówki przysłał mi niespodzianie młody obywatel wiejski, dawniejszy student, znany z dowcipów, parę młodych psów, większej rasy, jako prezent. Co ja miałem z nimi potem za ambaras! Musiałem ich się zaraz pozbyć, bo służąca służbę wypowiedzieć chciała. Naturalnie, że się potem zniemczyły!

Obiecał mi któryś z nich zapłacić rachunek, gdy do domu wróci i konia sprzeda. Kilka razy mi potem pisał, że jakoś mu trudno konia sprzedać, więc mu napisałem wreszcie, aby mi go przysłał.

Że im w dowcipach, zaprawianych satyrą, nie pozostawałem dłużnym, o tem oni wiedzieli i często ich też niemi darzyłem. Pewnego razu spotykam trzech takich, co mi poważnie byli winni. Jeden z nich robi uwagę, że ja staję się coraz chudszy, na co mu odparłem, iż w miarę tego jak moje książki kontowe grubieją, to ja chudnę. To starczyło, a koledzy mu powiedzieli, żeby z dowcipami lepiej się ze mną nie wdawał. Inny, wzrostem wysoki, zrobił aluzję do mojej niskiej figury. Jako odpowiedź wziąłem mój kapelusz i nakryłem go nim. Wszedł mu aż na uszy (objętość mojej głowy jest w sprzeczności z moim wzrostem). I ten niemy gest również starczył. Znowu inny wysoki jegomość, dowcipkował na tle mojego wzrostu, a był mi dużo winien, na co mu powiedziałem: „Chociaż pan taki duży, to jednak się może w mojej kieszeni zmieścić“.

Był jakiś Hanowerczyk, nadzwyczaj wysokiego wzrostu. Z tym miałem rzeczywiście biedę przy obsłudze, [wskutek czego obficie robił uwagi, na co mu się odcinałem pięknem za nadobne. Zwraca się raz, gdy mu przymierzałem ubranie, do mego książkowego i mówi oficerskim tonem, żeby parę książek kontowych podał mi pod nogi, abym wygodniej mógł mu przymierzać („Sie, Herr Buchhalter, geben sie mal par Hauptbücher her, damit Herr B. aufsteigt“), na co z zimną krwią, która mnie zresztą prawie nigdy nie opuszczała, się odciąłem: „Grube są dosyc!“ (Dick genug sind sie!) On spojrzał z góry na mnie, a ja go pytam: „Czy mnie pan zrozumiał?“ — odparł na to, że mnie dobrze rozumiał, bo i on w tych książkach siedzi. („Ich habe Sie wohl verstanden, denn ich bin auch mit drin!“) Dowcipy te, nie tylko nie zrażały klientów, lecz im się podobały.

Byli i tacy, co jakby za punkt honoru sobie uważali, jeżeli pozostaną mi choć małą resztkę winni, aby nie stracić ze mną kontaktu i otrzymywać od czasu do czasu odemnie listy, które jako pełne humoru (czasem zjadliwego) lubili czytać i umyślnie reszty nie płacili. Nawet teraz zdarza mi się przy spotkaniu się z niektórymi, że uważają się jeszcze za moich dłużników, choć już dawno popłacili.

Jeden z naszych referendarjuszy, przyjechał do Berlina w celu złożenia egzaminu asesorskiego. Przyszedł zaraz do mnie, aby się, jak wszyscy, porządnie odziać, naturalnie na kredyt. Że już składał egzamin, więc skrupułów co do kredytu nie było. Dowiedziałem się wkrótce, że to co po ojcu, właścicieli ziemskim, odziedziczył, już zdążył stracić, z czem się zresztą sam, będąc szczerym, nie taił. Przymierzając raz pantalony, maca się po pewnym miejscu i pyta po swojemu: „A czy mam też tam płótno?” — na co mu odpowiedziałem: „Czy Pan t a m płótno ma, to niewiem, ale że w kieszeni, to napewno“. On z udaną miną to przyjmuje i mówi: „A to się panu udało“. Chodziło mu bowiem o to, aby owo miejsce w pantalonach było w celu trwałości płótnem wyłożone.

Inny, kończący politechnikę w Charlottenburgu, licząc ile mi winien był, powiada: „To ja przed wyjazdem z Berlina nie będę mógł Panu wszystkiego zapłacić“ — na co mu odpowiedziałem: „Napewno Pan prędzej z Berlina wyjedzie, niż z mojej kieszeni.“ Przybywszy któregoś roku do Warszawy, spotkałem tam jednego z moich znajomych z Berlina, który był koniuszym i jako taki zaprowadził mię wieczorem do tatarsalu, wskazawszy mi dogodne miejsce, abym jeżdżących w kółko mógł dobrze widzieć. Było to dla mnie coś nowego, bo jeszcze nigdy w tatarsalu nie byłem, więc z ciekawością się przyglądałem. Naraz jeden z jeżdżących, były student i jeszcze dłużnik, zobaczywszy mię, potknął się w jeździe, gdyż nie spodziewał się mię w takim miejscu spotkać. Złośliwe języki puściły potem wersją, że nawet spadł z konia, gdy mię nagle zobaczył. Tak samo miało pójść pewnemu dyrygentowi kapeli w Szwajcarskiej Dolinie, któremu moim widokiem [miałem] [takt] popsuć. No, tak źle nie było, ale prawdą jest, że po tem spotkaniu poczuli się do zapłacenia rachunku.

Przed przeszło trzema laty będąc w interesach w Paryżu, przewodniczący Delegacji polskiej p. L., skorzystawszy z mego

pobytu, zaproponował mi, czybym nie chciał być pomocnym jako znawca przy zakupie towarów włóknistych od rządu holenderskiego na rachunek rządu naszego, ponieważ pomiędzy delegatami nie było ani jednego, który by się na takich towarach znał. Chętnie na to przystałem i jeśli się nie mylę, zakupiono wtedy razem za około 14 milionów guldenów. W celu zawarcia umowy z przedstawicielem rządu holenderskiego zesłaliśmy się wszyscy u przewodniczącego delegacji. Gdy przyszedłem, już prawie wszystkich zastałem. Pan L. przedstawia mnie im, na co wszyscy chórem zawołali: „My p. B. znamy!” — on zaś rzucił żartobliwie pytanie: „A czy który z Panów mu z czasów studenckich jeszcze nie winien?”

Jeden z lekarzy napisał, będąc jeszcze studentem, balladę, którą, jako oryginalną, w całości podaję:

BALADA O MISTRZU BERKANIE I TRZECH POMORSKICH ŻUPANACH.

Ułożył vagans scholasticus.

Przybigniew z Obotryków książ
I Jaczko, żupan z Ranów,
A z nimi były Kruka paż,
Luboswar z Czyrzypianów:

Gdy rosa ranna ciekła z drzew,
Podnieśli razem mężny śpiew:
Już dosyć snu, na koń, co tchu,
W daleki świat! ho, ho!
Bo na Gnieźnieńskim dworze
Cudowne dziewczki są.

Przez naodrzański gęsty bór
Już wichrem rwią rumaki,
I czarnych kruków kracze chór
Na dzikich jeźdźców szlaki.

W tym Jaczko sobie pięścią w łeb:
A nas troje każdy wielki kiep!

Zastanów się, bo będzie źle,
I borem brzmi: Stój, stój!
Jak stanąć nam bez zbroi,
Gdy Lachy pójdą w bój?

Przybigniew z Obotryków książę
Z rozpaczą schylił głowę:
Przedwczoraj w obiad ja i Jaś
Ostatnią zjedli krowę.

I z całej ziemi wzięli przecz
Rumaki li, a ostry miecz.
Oj, biada nam! Nie znaczy cham
W odzieży z wilczych skór,
Gdzie w lamach kroczą damy,
I w zbrojach świeci dwór.

Lubosław, słysząc taki żal,
W ogromnym gniewie rzecze:
Czarnybóg w taką nędze pal!
A pocóż mamy miecze?

I mnie obdarli Sas i Frank,
A dobra sekwestruje Bank.
Lecz drogę znam, za Odrę tam,
Gdzie bogactw znajdziesz w bród,
Bo tędy szle na Stetyn
Swych kupców Carogród.

Niech wielki broni Swiatowid!
Przybigniew rzekł, — Niesława
Za rozbój czeka nas i wstyd
Na dworze Bolesława.

Słowianin nigdy zbrojną dłoń
Nie podniósł na bezbronną skroń.
Lecz lepszą wam ja radę dam,
Niż krwawy Biesa kruk.
Jest mistrz, co robi zbroje
Na długoletni dług.

Z ostatniej ja na Sasów lud
Wyprawy Kruka pana,
Gdzie brenaborski Sprewy bród,
Kowala znam Berkana:

Z warsztatu czarny bucha dym,
A wieczny ogień huczy w nim,
Tam młotów stuk, żelaza huk,
Junacki wabi słuch.
Tam znajdzie zbroic wiele
Szlachetny każdy zuch!

Tej pory, jakby batem trzasł.
Już zatętniły drogi,
nim słoneczny ogień zgasł
Już huk ich witał srogi.

I stuk i stuk! i brzęk i brzęk!
I młotów huk i miedzi jęk.
Jak wojny bóg, już ryczy róg:
Wychdźże, Mistrzu, sam.
Tu czeka trzech żupanów
U twoich dymnych bram!

Wychodzi Berkan, w ręku młot
I czarne słoni lice.
Szlachetny Mistrzu zróbże w lot
Szyszaki i zbroice!

A hart granitu w zbroję włóż
Na każdy szyszak pióropusz!
Niech powiew piór, jak potok z gór,
Opływa zbroję stal,
Wydmy naszych śnieżną bielą
I barwą modrych fal.

A mistrz na zacnych gości cześć
Wytoczył beczkę z winem,

[To się nigdy nie zdarzyło!
dop. autora życiorysu].

A wytrąbiwszy garnców sześć,
Powrócił z pergaminem.

Kto u mnie czyni taki huk,
Zaciąga zwykle lepszy dług,
Więc raz, dwa, — trzy, — podpiszcie mi
Cyrograf mocnych słów:
Zapłacę za trzy lata,
Czym zmarły, czyli zdrów.

Niejeden kniaź, lub knazia syn,
Którego sława słyńie,
Czy gębę darł, czy tworzył czyn,

[znakomite zdanie!
przyt. autora życiorysu].

W mym sterczy pergaminie.

I Henryk Zdun i z Nakli Waś,
I Olko, z dzikich Kaszub Kniaź,

[Olko, to autor tej balady,
przyt. autora życiorysu].

I Sas, i Frank, i Habedank,
I Norman, Got, i Szwab
Żelaznych wzięli skorup
Dla swych śmiertelnych schab.

Spisali trzonkiem z sowych piór
Szeregi ruńskich znaków,
Sosnowy słyśzał nocny bór
Przysięgę trzech junaków:

Niech nas wykluczy z rajszych świt,
Trzy głowy mocny Swiatowid,
Niech tu i tam, po lesie sam,
Upiorem każdy z nas
Wyprawia nocne harce,
Gdy nie wrócimy w czas!

[t. j. nie zapłacimy,
przyt. autora].

A gdy przebrzmiała rota słów,
Chichotał puszczyk w dali,
I jasny się księżyc Nów
Przełądał w Sprowskiej fali.

A oni, wychyliwszy dzban,
Już jęli tańczyć dziki tan,
Aż ziemia drży, a echo drwi
Z dalekich stron: — uha!
Tak mistrz i trzech żupani
Hulali aż do dnia.

Gdy w trzeci dzień bieg Sprewskich fal
Głęboko w boru orze,

Już trzech przepysznych zbroic stal
Złociły ranne zorze.

Już czas, żupany, hej, na koń,
Podajże, Mistrzu, dzielną dłoń,
A każdy z nas, powróci w czas,
Czy żywi, czyli trup.
By za bogate zbroje
Bogaty złożyć łup!

Przybigniew Obotrya padł
Na wojnie Lachów z Czechy,
A Loboswara ogień zjadł,
Jach umarł między klechy.

Pergamin Berkanowski zżółkł
A mistrza srogi niedźwiedź półkł.
I poszedł w ruch li mistrza duch,
Przysięgi mściciel zły,
A przed nim biedna rzesza
Upiorów nocnych drży.

Kędy na Lachy wiedzie tór,
W północy droga dzwoni,
To Berkan-duch przez mocny bór
Dłużników zmarłych goni.

A czarny rumak drży pod nim,
Ogień mu z pyska, z nozdrzy dym!
A przed nim — szust! przez bór i chrust,
I straszny krzyk: — Fugaj! —
Wołają trzy upiory —
Bo Berkan jedzie w kraj. —

Oj, ten pergamin to bardzo często zżółkł!

Drobniejszych wierszyków napisano więcej o mnie. Jakiś dowcipniś obok wierszyka w liście, narysował gołąbka niosącego w dzióbku torebkę z napisem: „20 mk.“, które też rzeczywiście przysłał. Inny znowu, już nie student opisał wierszem napad bandyty na niego podczas niepokojów rewolucyjnych w Warszawie w r. 1905. Gdy tenże mu na ulicy palto zdzierał i zobaczywszy przy kołnierzu etykietę z moją firmą, zawołał: „Toś ty może jaki hrabia lub książę, bo u B. tylko tacy się ubierają!“

Ten bądź co bądź miły stosunek ze studentami przecho-
wał się z wyjątkiem małym (bo są i tacy, co się za taszczenie
ich o zapłatę na mnie srodze pogniewali) aż do tej chwili, co
świadczą ich serdeczne liczne listy. Jeszcze nie dawno, bo
w początkach tego roku, otrzymałem z Warszawy z Tow. Te-
chników zbiorową kartę, na której napisali: „Zebrani na wspól-
nym obiedzie b. b. dłużnicy Zacnemu b. Wierzycielowi przesy-
łają najserdeczniejsze pozdrowienia“. Następuje 27 podpisów,
których właściciele dzierżą obecnie wyższe i najwyższe stano-
wiska.

Z ich listów podaję w odpisie dwa.

N., dnia 4. czerwca 1918.

Szanowny Panie!

Przepraszam, iż przesyłkę opóźniłem, ale od trzech tygodni
w domu nie byłem lecz cały czas przy pracy poza domem.

Dziękuję również za udzielony mi tak długoletni kredyt
i cieszę się bardzo, iż ostatnie moje zobowiązanie załatwiłem.
Już obecnie jestem zupełnie bez żadnego długu, zawdzięczając
li tylko mej pracy.

Przyjm Sz. Pan serdeczne podziękowania oraz życzenia
szczerego powodzenia na polu społecznem, na którym imię Jego
już i po za granicami jest zaszczytnie znane.

Wyrazy pełne szacunku łączę

N. N.

7. VI. 22 r.

Szanowny Panie!

Siostra moja doręczyła mi listy Pana, z których widzę, że
chodzi Panu o uregulowanie zaległego rachunku brata mego
Witolda, który zaginął bez wieści w piekle bolszewickiem. Pro-
szę uprzejmie Pana zakomunikować mi, do jakiej sumy rości
Pan sobie pretensje, a natychmiast postaram się ją uregulować.
Będzie to dla mnie miłym obowiązkiem tembardziej, że wiem,
jak łatwy kredyt miała u Pana nasza młodzież.

Z poważaniem

N. N.

Po przesłaniu mu rachunku odwrotnie mi należytość przysłał.

Wszystkie te listy, szczerze i tryskające po części humorem, świadczą o dobrym stosunku, jaki pomiędzy nami istniał i jeszcze do dzisiaj się zachował. Jeszcze ten i ów pokazuje mi przy sposobności jakąś część ubrania z owych dobrych czasów, przypominając trwałą towar. Rektor Politechniki we Lwowie pokazał mi surdut przed dziesiętnastu laty zrobiony, który mu jeszcze oddawał usługi.

Z tych, co się na mnie za taszczenie ich o płacenie pogniwiali, jedni się z czasem udobruchali, gdy się przekonali, że nie mieli racji, a drudzy, których jest bardzo mało, zapomnieć mi tego nie mogą.

Nadmienić mi wypada, że prócz studentów wyższych zakładów w Berlinie, ubierali się u mnie częściowo studenci wszystkich uniwersytetów, politechnik, szkół leśnictwa, weterynarii, aptekarstwa i t. d. w Niemczech. Do Wrocławia, Drezna, Lipska i Hali jeździłem regularnie kilka razy w roku, stawając w miarę potrzeby na parę lub więcej godzin w hotelu, gdzie studenci, chcący u mnie zamówić ubrania, przychodzili w wskazanym im czasie. Często męczyło mię to bardzo, bo trzeba było z braku czasu szybko się sprawić. Nieraz przez jedno popołudnie w Hali i Lipsku załatwiłem interesy i jeszcze tego samego dnia wróciłem do domu.

Pewnego razu, chcąc jechać do Wrocławia, doniosłem interesowanym, że przyjadę tam wieczorem o 10-tej i na drugi dzień od godziny 8-ej rano do południa ich w hotelu oczekuję w celu przymierzenia ubrań, względnie otrzymania nowych zleceń. Co zrobili?! Przyszli już wszyscy zaraz po moim przyjeździe, z pewnością nie wedle przysłowia: „Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj“, a ja musiałem jeszcze tego wieczora 25 ubrań przymierzyć, co wprost było ponad siły. Później przyznali się, że przyszli wieczorem z ostrożności, bo się obawiali, iż może by na drugi dzień zaspali. Oświadczyli mi też, że za udzielanie im kredytu raz kiedyś mi pomnik wystawią, na co im odpowiedziałem, iż ja wolę go im wystawić.

W końcu wspomnę jeszcze o paru przypadkach ze stosunku z studentami. Jeżdżąc do Hali, stawałem tam w hotelu, w którym paru naszych studentów z lepszych sfer stale mieszkało, a pomiędzy nimi jeden ze znanych księży. Zwykle o 11-tej godzinie przed południem przyjeżdżałem i zachodziłem zaraz do pokoju

najbardziej mi znajomego studenta, do którego i ten książę zaraz po moim przybyciu przyszedł, czasem z „Dziennikiem Poznańskim” w rękę, aby ze mną najprzód o polityce pogawędzić. Pewnego razu pyta mnie przy takiej pogawędce: „Czy Pan chciałby, żeby Polska była”? Spojrzałem na niego ze zdumieniem i zanim mu odpowiedziałem, uprzedził mnie jego kolega: „Karolu, co ty gadasz?”. A ja potem: „Gdybyśmy przestali wierzyć, że Polska będzie, toby już Polaków nie było! Książę niezawodnie jest zdania, że Pan Bóg nas pokarał za nasze grzechy, dopuściwszy do rozbioru Ojczyzny, zaś my, jako dobrzy katolicy, powinniśmy się według nauki naszej religii z wolą jego pogodzić?”. „A tak!”, on mówi. Ja mu na to: „A co książę robi, gdy Pan Bóg powie, że jutro Polska na nowo będzie?!”. (Ten książę był dobrym katolikiem i porządny człowiek, tylko jakaś nie czysto polska atmosfera na niego działała.) To zapytanie utkwiło mu widocznie w pamięci, bo gdy później osiadł na stałe w Królestwie i przyjeżdżał stamtąd częściej do Berlina, prawie zawsze zachodził do mnie, choćby tylko na polityczną pogawędkę, przy której to sposobności spotrzegłem u niego zmiany na lepsze w zapatrywaniu pod względem narodowym.

Drugi przypadek cechuje humor studencki naszej młodzieży. Przyjechawszy pewnego razu do Hali, nie stanąłem w hotelu, lecz udałem się do mieszkania jednego ze studentów, gdzie reszta kolegów jego się zeszła, aby przymierzyć ubrania, względnie zamówienia poczynić. Gdy załatwiłem, był czas jechać na dworzec, ale cóż, kiedy nie było doróżki w tej okolicy, a do tramwaju spory kawałek. Co oni wtedy robią?! Biorą po dwóch napchane ich ubraniami paczki i w procesji nieśli ulicami, aż doróżkę napotkaliśmy. Trzeba ich było tak odfotografować! A była to młodzież przeważnie z sfer arystokratycznych. Zatrzymywać mnie bowiem dłużej nie chcieli, wiedząc o tem, że mi na czasie zależało, więc woleli mi w ten sposób pomóc.

Jakiś modniś z ich kół zamówił ubranie stosowne do modnego krawatu, który sobie już naprzód kupił, by potem dopiero ubranie do niego dobrać. Naturalnie, że mu stosowny towar dopasowałem, ale koledzy jego wzięli go potem za to na kiel.

A teraz cokolwiek o życiu naszej młodzieży niezależnie od stosunku do mnie. Najstarszem polskiem towarzystwem w Berlinie jest Tow. Naukowe Polaków, do którego mogli należeć Polacy z uniwersyteckiem wykształceniem bez względu na

wyznanie i stanowisko. Jednakowoż stale osiadli tam rodacy udziału w towarzystwie nie brali, pozostawiając je wyłącznie młodzieży akademickiej. Jedynie przychodzili na ich doroczną listopadową wieczornicę i na bal w karnawale.

Prawie na każdym posiedzeniu towarzystwa był wykład naukowy. Częściej jako gość na ich posiedzenia chodziłem — co już na innym miejscu wzmiankowałem — w młodszych latach, aby się czego od nich nauczyć, a później brałem także udział w dyskusji, mianowicie, gdy o społeczne sprawy chodziło.

Najwięcej studentów było naturalnie z dzielnicy pruskiej, ale znaczny procent był także z Królestwa, zwłaszcza na politechnice, mniej z Małopolski. Królewiaci, jako żywszego temperamentu i głódziej mówiący zwykle Poznańczyków i Pomorzan przegadali. Co to były nieraz za gorące dysputy! Prawdziwie „akademickie“. Jeden drugiemu w gadaniu ustępować nie chciał, a „votum separatum“ z tuzin na jednym posiedzeniu postawiono. Ścierały się zdania do nieskończoności, a najwięcej było uważających się za postępowych, nawet paru ze socjalistycznymi zasadami, z czym się jednak nie chętnie wydawali, bo w tem Towarzystwie jakoś to nie uchodziło. Już wtedy można było wyczuć, co z którego będzie. W późniejszym praktycznym życiu swoje zdania i przekonania po większej części pozmieniali. Pamiętam jednego z nich, który dziś w polityce naszej jako wysoki urzędnik wielki urząd piastuje. Był wtedy zagorzałym socjalistą a jako taki agitował w naszych kołach, a dziś? jest skrajnym konserwatystą. Ale wtedy byłby żaden w taką zmianę nie uwierzył, choć im nieraz to przepowiadałem.

Pewnego razu miał jeden z akademików wykład o obowiązkach ich podczas studjów na obczyźnie, który wypadł nader słabo, więc ja go w dyskusji uzupełniłem, bo znając dobrze ich życie i mając dużo „semestrów“, zebrałem więcej doświadczenia niż oni. Wyliczałem im przedewszystkiem, ile czasu na niepotrzebne rzeczy tracą, wskutek czego semestrów dokładają, co obliczywszy na pieniądze, rocznie ojców lub dobrodziejów grube tysiące kosztują, które obcym się dostają.

Zachęcałem ich także do brania udziału, o ile czas im na to pozwolił, w pracach irfnych towarzystw, które tego tak bardzo potrzebowały. To ostatnie często skutkowało, bo nawet utworzyli komitet w celu systematycznego wygłaszania wykładów po towarzystwach. Mnie wogóle nie mieli odwagi odmówić

wyłoszenia wykładu, jeżeli którego jeszcze osobiście o to prosiłem, więc miałem z nich wyrękę. Tacy spełniali nie tylko swój obowiązek na obczyźnie, lecz zaprawiali się do przyszłych obywatelskich obowiązków w kraju. Przypomina mi się nie jeden z nich, którym zrazu nie tego szło z wykładem, a dzisiaj są profesorami na uniwersytetach, lub wymownymi adwokatami. Członkowie naszych towarzystw zawdzięczają im również bardzo wiele. I uczeniem naszych dzieciaków się zajmowali, co jest może jeszcze ważniejszym. Jeżeli one nauczyły się mówić i czuć po polsku, to w wielkiej mierze młodzież akademicka to zrobiła. Tacy pozostawili po sobie dobrą pamięć w kolonii naszej.

Ks. Wawrzyniak podczas swego posłowania do nich na posiedzenia częściej chodził, dając im praktyczne rady w urzędowaniu się. Podczas jego obecności było zawsze spokojnie na posiedzeniu. Inni posłowie rzadziej pokazywali się u nich, za to na obchód listopadowy zawsze kilku przyszło. Na takim obchodzie przy kolacji zwykle mówki wygłaszano. Śp. ks. Dr. Stablewski, późniejszy arcybiskup, przy tej sposobności powiedział im parę cierpkich słów, wskazując na ich obowiązki. Pewne przemówienie utkwilo mi w pamięci z owych czasów i to jednego z tych, których nazwiska kończą się na „son“. Siedział on przy stole naprzeciwko mnie i wstawszy, tak swoją mowę zaczął: „gdy nasi ojcowie z pieśnią Bogarodzica szli do boju!“ „Ażebyś skisł“, przerywa mu jego sąsiad, „jak to prawda, że twoi ojcowie do boju szli“.

Były to miłe czasy, których się nie zapomina. Tym wszystkim z młodzieży akademickiej, co w Berlinie z nami współpracowali, niech będą te parę słów miłym uznaniem. Niech chociaż mają to zadowolenie, iż nam w pracy naszej dopomogli.

System pruski dosięgnął i naszą młodzież na uniwersytetach i innych wyższych uczelniach, bo już dawno przed wojną zakazał im jako studentom należeć pod karą relegacji do jakiego bądź polskiego towarzystwa i nawet w swoim towarzystwie nie mogli być członkami. Ukradkiem też tylko oddawali się pracom społecznym i jedynie „Bratnią Pomoc“ podtrzymywali, czego im nie zakazano. Tow. Naukowe było lata w zawieszaniu, aż podczas wojny starsi obywatele je wskresili, lecz także nie na długo. Obecnie wolno młodzieży należeć do polskich

towarzystw, ale jest ich tam już tylko kilku. A mają ładną bibliotekę, którą opiekować się trzeba.

Jacy byli dalsi klienci i jaki był nasz wzajemny stosunek.

Z biegiem czasu złożyło się tak, że klientela składała się prawie ze wszystkich warstw społecznych, począwszy od rzemieślnika, co się wprawdzie rzadziej zdarzało, a skończywszy na arystokracji. Zamawiali ziemianie, fabrykanci, szczególnie właściciele znanych firm z Łodzi i Warszawy, dalej lekarze, adwokaci, inżynierowie i t. d. Podczas gdy z początku rodacy tworzyli ca. piątą część moich odbiorców, to później zaczęli przeważać, wzięwszy wszystkie narodowości razem. Aczkolwiek wszyscy Niemcy dobrze o tem wiedzieli, że nietylko jestem Polakiem i jako taki w kolonji czynny, boć gazety niemieckie przy każdej okazji o mnie wspominały, darzyli mnie jednak swem zaufaniem, a to jedynie chyba dlatego, że byli widocznie z mojego wykonania, niskich cen i sprawnej obsługi zadowoleni. Pomiędzy nimi byli wysocy urzędnicy, z tytułem ekscelencji, generałowie, śląscy magnaci, a co więcej, członkowie zarządu „Ostmarkenvereinu“ i wyżsi urzędnicy z Komisji kolonizacyjnej. Ostatni przychodzili w Poznaniu do mnie nawet do polskiego hotelu, gdzie zwykle klientelę przyjmowałem, gdyż prawie nikogo na mieście z braku czasu nie odwiedzałem. Jeden z nich zrobił wreszcie uwagę, że właściwie nie powinien w polskim hotelu się pokazywać, a gdy mu mówiłem, że wyjątkowo przyjdę do niego, to powiedział: „Wiem, że pan ma mało czasu, ja już zawsze przyjdę do pana“. Naturalnie, że gdy przyjechali do Berlina, to woleli tam interesy ze mną załatwiać.

Inny, znany obywatel wiejski w Poznańskim, członek zarządu „Ostmarkenvereinu“, ubierał się u mnie wraz z dwoma swoimi synami i zwykle załatwialiśmy nasze interesy w Berlinie, bo tam często bywali, lub stale przez pewien czas mieszkali. Ojciec w interesach, a synowie przy wojsku lub na studjach. Pewnego razu mówił ojciec do mnie: „Słyszałem, że pan przyjeżdża do naszej prowincji poznańskiej za interesami i nawet obywateli na wsi odwiedza, niechżeż mnie pan także w mojej rezydencji

(a jest piękna, jak się później przekonałem) odwiedzi". Przy obiecałem mu, że przy sposobności będzie mi przyjemnie go odwiedzić, co też uczyniłem. O wizycie mojej go uprzedziłem listownie i prosiłem, aby mnie już przed godz. 8-mą rano przyjął, gdyż o 9-ej chciałem z dworca dalej jechać. Przysłał po mnie konie na dworzec i woźnicy, polakowi, powiedział, że ten pan, co z Berlina przyjedzie, mówi po polsku. Nie tylko mnie o tak rychłej godzinie przyjął, ale już jego małżonka czekała na mnie ze śniadaniem. Przejrzałem szybko jego garderobę, doradziłem skreślić co potrzebuje, a gdy mu zwróciłem uwagę, że palta, które mu było za ciasne, nie potrzeba nowem zastąpić, lecz je rozszerzyć, to mu tem wprost zaimponowałem, iż nie należę do tych krawców, którzy często do niepotrzebnych zamówień odbiorców namawiają. Otrzymawszy większe zamówienie, mogłem o 9-tej odjechać.

Jeden z jego synów, który później przejął zarząd majątku w sąsiedztwie, dowiedziawszy się, że u ojca byłem, zobowiązał mnie, abym go również odwiedził, co też zrobiłem. Nietylko dał większe zamówienie, lecz przyjął wyśmienitym obiadem, uniewinniając się, że nie może mnie tak przyjąć jak w polskich domach przyjmują, gdyż nie jest jeszcze żonatym, i dodał: „Aber der Ungarwein ist von Zboralski“ (ale ten węgrzyn jest od Zboralskiego).

Utrzymałem ich przez kilka lat jako klientów, aż naraz przestali pokazywać się u mnie, i gdy po jakimś czasie spotkałem ojca na ulicy w Berlinie i zapytałem go dlaczego mnie omijają? to odpowiedział: „Ja nie miałem powodu odejścia od pana, lecz wskutek nacisku z pewnej strony musiałem zaprzestać ubierać się u niego, jak również i moi synowie“, dodając: „Pan już mnie zrozumie, ale skoro stosunki się zmieniają, to znowu pana odszukamy, gdyż byliśmy z dostarczanych ubrań bardzo zadowoleni“. Na to zauważyłem, że my obaj temu nie winni, lecz stosunki, co też potwierdził.

W Berlinie, jakiś lekarz, Niemiec, (konserwatysta, jak się przekonałem), zaczął ubierać się u mnie. W toku tego odbyło się jedno z naszych zebrań publicznych, na którym mówiłem „O wychowaniu dzieci“. Nazajutrz podały niemieckie gazety, że podburzałem przeciwko ministrowi oświaty (Bossemu), co było nieprawdą. Klient wyczytawszy to, powiedział przy sposobności z oburzeniem do mego zastępcy, że wiedział o tem, iż jestem polakiem, ale nie przypuszczał, abym do „Hetzpolen“ należał

i żałuje, że go przyjaciel do mnie polecił. Gdy mi mój zastępca to powtórzył, przy najbliższej sposobności udałem się sam do niego. Przyjął mnie grzecznie i zapytał, czy mi krojczy powiedział o jego niezadowoleniu z mojego publicznego występu. Wytlómaczyłem mu, że tego, co gazety podały, nie powiedziałem, lecz tylko pouczyłem rodziców, jak mają chować dzieci po polsku, co przecież nie tylko wolno, ale jest naszym obowiązkiem, więc chyba nic złego nie popełniłem. Nie tylko, że to uznał, ale powiedział: „Jeżeli co innego na wiecu nie mówiłem, jak tylko to, to pozostaniemy nadal przyjaciółmi“ (da bleiben wir weiter Freunde).

Pewien odbiorca, urzędnik z Komisji Kolonizacyjnej, zostawszy w Prusach Wschodnich landratem (starostą), zaprosił mnie nawet do siebie jako gościa swego, jeżeli będę kiedy w jego okolicy. Gdy takiemu, co u mnie dawał robić inny Niemiec zwrócił uwagę, że jestem Polakiem i dlatego nie powinien u mnie ubierać się, to ten udawał, że o tem nie wiedział. Pomimo takiego zwrócenia uwagi rzadko który przestał ubierać się u mnie, a gdy przestał, to po jakimś czasie wrócił.

Z powyższego wynika, że niektórzy z Niemców są hakatystami tylko w polityce, ale w osobistym zetknięciu się z nami są także ludźmi, o ile widzą w tem swój interes. Mogę o moich stosunkach z nimi teraz pisać, bo to już obydwom stronom nie zaszkodzi.

W celu przyjmowania sezonowych zamówień, wyjeżdżałem krótko przed wiosną i jesienią w Poznańskie i na Pomorze, gdzie w znaczniejszych miastach po większej części stawałem w hotelu, do którego w oznaczonym poprzednio przezemnie czasie kartą swoich odbiorców srosiłem. Chcący u mnie zamówienia poczynić, przyjeżdżali nieraz z odległości kilkumilowej, zwłaszcza do Poznania, gdyż zawsze im było dogodniej niż do Berlina, a przy tem załatwiali i inne swoje interesy. To mi ułatwiało przyjmowanie zleceń i przymierzanie ubrań, nie potrzebując największej części odbiorców odwiedzać w ich domach, a mając do mnie pełne zaufanie, przyzwyczaili się do szybkiego załatwiania interesów. Tylko w trzech miastach odwiedzałem odbiorców w ich mieszkaniach, donosząc przedtem każdemu, o której godzinie, a nawet minucie, u niego będę. Rzadziej puszczałem się na wieś, chyba gdy wypadło przejrzeć zapasy

garderoby klienta i poradzić mu, czy i co potrzeba, albo gdy który z nich był stary lub cierpiący.

Zwykle dla mnie czas rezerwowano, abym mógł u nich szybko się sprawić. Lekarze i adwokaci przyjmowali mnie przed swoimi pacjentami względnie interesantami. W ten sposób oszczędzałem ogromnie na czasie, a odbiorcy byli zadowoleni, że do nich przyjeżdżałem i osobiście ich obsługiwałem. Do samego Poznania przyjeżdżałem częściej na dzień lub dwa, prawie co miesiąc, a już zawsze wtedy, gdy odbywały się zebrania, na które z całej prowincji się zjeżdżano. Z powodu tego udał się jednemu z obywateli dowcip, że to dla mnie tak licznie się zjechali.

Stosunek mój do odbiorców wytworzył się nader przyjemny, gdyż prócz wzajemnych interesów, wychodził daleko po za te ramy. Uzuwałem to na każdym kroku z powodu traktowania mnie nie tylko jako swego dostawcę odzieży. Kiedy pewnego razu jadąc do miasta, do którego sprosiłem obywateli z okolicy, ze znużenia zasnąłem w pociągu i miasto to przejechałem, budząc się dopiero przed następną stacją, to oni, wiedząc o tem, że nigdy niezawodzę, przeczuli, iż musiało się coś stać. I gdy potem z tej stacji furmanką do miasta przyjechałem, to wszyscy jeszcze czekali na mnie, będąc pewni, że jednak się zjawię, a ponieważ najbliższym pociągiem chciałem odjechać, więc szybko ze mną się sprawili. Widziałem, że takie ustępstwa nie dla każdego robili. Jeżeli czasem kogo odwiedzałem, to w potrzebie byłem przyjęty o każdej porze dnia, czy zbyt rano, lub późno wieczorem.

Pewnego razu przyjechawszy do Gdańska o północy, przyszedł po mnie jeden z moich znajomych na dworzec, zaprowadził do swego prywatnego mieszkania, gdzie już kilku odbiorców na mnie czekało, zebrawszy się tam umyślnie dla oszczędzenia mi czasu, którym jeszcze tej nocy 15 ubrań sprzedałem, zamiast na drugi dzień, i mogłem następnego dnia już rano odjechać.

Wspomnę jeszcze o pewnym obywatelu na wsi, którego wyjątkowo odwiedzałem. Zajeżdżałem do niego już przed ósmą godz. rano, zastając go zwykle w łóżku. On po przyjacielsku wymyślał na mnie za tak ranną wizytę, ja mu znowu perswadowałem, że jako rolnika spodziewałem się zastać już „na nogach“. I skończyło się zamówieniem potrzebnej garderoby i poga-

danką przy śniadaniu na temat korzyści z rannego wstawania. Przyznał mi wreszcie, że jeżeli kto rano wstaje, mianowicie na wsi, to jednak lepiej na tem wychodzi.

Zdarzało się, że w pociągu dawano mi zamówienia, jak również podczas postoju pociągu, gdy przypadkowo z klientem z tego miasta na dworcu się spotkałem. W takich razach polegano na moim guście i w minucie interes się załatwiał. Miare już miałem zwykle z poprzednich zamówień. Raz nawet w pociągu przymierzalem.

Do Warszawy i Łodzi jeździłem najmniej raz na rok, lecz nie po zamówienia, co z powodu granicy było utrudnione, tylko, aby odbiorcom, zwiedzającym w różnych interesach Berlin, przypomnieć się, a głównie, żeby od dłużników pieniądze wydostać. W Łodzi można było szybciej sprawy załatwiać, bo tam liczono się więcej z czasem, za to w Warszawie musiałem dłużej — do 10 dni — pozostawać, gdyż tam tej zasady nie bardzo przestrzegają i wolą gościć niż płacić. Ja, choć uznając piękny zwyczaj gościnności, wolę jednak zasadę, według niemieckiego przysłowia, że „wpierw interes, a potem zabawa“. Zwykle odwiedzałem podczas swojego pobytu w Warszawie około 200 osób, a niektórych po kilka razy, co za pomocą tanich dorożek uskuteczniałem, zbierając przytem swoje spostrzeżenia i doświadczenia.

Tylko jakiś czas do Warszawy nie zaglądałem, a było to wtedy, kiedy tam panował wszechwładca policyjny Grün, któremu na kredyt palta dać nie chciałem, więc groził mi za to zemstą, gdy się w Warszawie pokażę. Woląłem więc jego zemsty uniknąć, „bo złe nie śpi“, aż spełniło się na nim przysłowie: „Jaką bronią kto wojuje, to od takiej sam ginie“ potem znowu do Warszawy jeździłem.

Do sprawności potrzebne jest odpowiednie urządzenie w przedsiębiorstwie, jak i wprawni pracownicy. Często trzeba było przejeżdżającym przez Berlin w przeciągu jednej doby ubranie wykonać. Przedtem sam nie wierzyłem, że do takiej sprawności doprowadzić można. Trzy faktyczne przypadki podaję na dowód, które poświadczą, jak szybko wykonać można.

Klient podczas mego pobytu w Poznaniu zamówił o 4-tej godz. po południu ubranie, a na drugi dzień rano o godz. 8-mej już mu je w hotelu przymierzylem. Stało się to naturalnym biegiem rzeczy. Zamówienie to podałem zaraz telefonem do

Berlina, tam szybko przymiarke przygotowano i oddano na pocztę do pociągu pospiesznego, którą już rano przed godz. 7-mą w Poznaniu dostałem.

Drugi przypadek. Ktoś z Łodzi zamówił za pomocą przesłanych mu próbek ubranie, dodając, że nie jest pilne i przy okazji przyśle kogo, który je zabierze. Naraz otrzymuję pewnego dnia rano kartę od niego, że wieczorem tegoż dnia o godz. 7,12 odjeżdża z Berlina jego znajomy do Łodzi i ubranie ma zabrać ze sobą, tymczasem nie było ono jeszcze ani zaczęte. Lecz od czego sprawność. O godz. 6¹/₂ przed odjazdem pociągu dostarczyłem gotowe ubranie temu panu do hotelu, a na drugi dzień rano było już w Łodzi, czyli że w 26-ciu godzinach było zrobione i przewiezione kilkadziesiąt mil na miejsce przeznaczenia.

Razu pewnego przyszedł do mego magazynu nowy klient z Królestwa, chcąc kupić gotowe jesienne palto. Było to o godzinie 3-ej po południu. Mówię mu, że gotowych palt nie mam, ale na miarę zrobić mogę. Tenże odpowiada, że to jest niemożliwe, gdyż już o 11-ej wieczorem odjedzie. Zrobiłem mu tedy propozycję, iż do tej godziny mogę mu podług miary wykonać, na co się zgodził i towar na palto wybrał. Pytałem go potem: „Pan pewnie jeszcze nie po obiedzie“? — odpowiada „nie“. Poradziłem mu zjeść obiad w lokalu Kempnińskiego (znana winiarnia przy Leipzigerstr. naprzeciwko mojego zakładu) i poprosiłem go, by punktualnie o godz. 4-tej stawił się u mnie do przymierzenia. Stawił się, przymierzył i o godz. 4¹/₂ dostał palto w robotę jeden z pozadomowych pracowników, uwiadomiony wpierw o tej pilnej robocie. O godz. 10.10 przysłał palto gotowe, 5 minut później przyszedł klient (stróż przedtem powiadomiony bramę domu mu otworzył), odebrał je, zapłacił i o 11-ej z dworca z paltem wyjechał. To był rekord. U nas w kraju byłoby niepodobieństwem tak szybko wykonać.

Jeden z klientów opowiadał mi, że gdy w Wiedniu w foyer teatru się przechadzał, ubrany w tużurek przezemnie dostarczony, usłyszał, jak ktoś za nim idąc, zrobił do swego towarzysza uwagę: „Ten surdut z pewnością jest u Franka zrobiony“ (znana pierwszorzędna firma krawiecka w Wiedniu). Taka uwaga więcej reklamowała, niż ogłoszenie w gazecie. Jeżeli dodam, że ubrania dostarczałem z pierwszorzędnego angielskiego materiału, więc z mojej strony wszystko zrobiłem, co należało.

Nic tedy dziwnego, że zaufanie u odbiorców rosło. To też reklamy w gazetach nie robiłem prawie wcale, bo najlepszą reklamą byli klienci sami, będąc pod każdym względem dobrze obsłużeni, przez co przedsiębiorstwo tak się wzmagало, że przerażało moje finansowe siły i w końcu trzeba było baczyć pilnie na to, aby wskutek za szybkiego rozrostu szwanku nie ponieść.

Zaufanie było takie, że pewna część odbiorców wcale towaru na ubrania nie wybierała, tylko powiedzieli mi co chcą, a ja sam wybrałem. Byli tego zdania, że ich gust znam, jak również, że dam dobry materiał, zaś o cenę nie pytali. Przy takim pojmowaniu interesów oni najlepiej wychodzili, bo dostawali dobre ubrania, a cena była zawsze odpowiednio normalna.

Stosunek do odbiorców traktowałem jako wzajemny interes, podług którego jedna strona drugiej nie wyświadczała jakiegoś dobrodziejstwa. Ludzie muszą się ubierać, a krawiec zarobić, idą do niego i zamawiają ubrania, on je wykonuje, a oni mu za nie płacą i interes załatwiony. Nigdy inaczej tego stosunku nie pojmowałem; gdy mi kto niepotrzebnie dokuczał przy dopasowaniu ubrań, co się też zdarzało, to potrafiłem takiemu nawet oświadczyć: „Pań w mojem ubraniu chodzić nie będzie“! To miało zwykle swój dobry skutek. Ja bo sam bardzo o to dbałem, aby dostarczona odbiorcom garderoba wyszła z mego magazynu beznaganna, choćby nawet odbiorca tego sam się domagał, gdyż mi zależało na tem, żeby jego ubranie nie tylko jemu się podobało, lecz i innym.

Wspomniałem już, że rzadko kogo odwiedzałem na wsi, ale tam, gdzie bywałem w polskich dworach, wyczuwałem naszą miłą, szczerą, swojską atmosferę. Taką tylko pokolenia wytworzyć mogą. Prócz tego spostrzegłem, że miano tam dla rzetelnej pracy zrozumienie i szacunek, a ich korespondencja ze mną była zawsze w serdecznym tonie utrzymywana, co świadczą liczne listy odbiorców z tych sfer.

Artyści i literaci jako odbiorcy.

Stosunkowo wielu artystów i literatów ubierało się u mnie, zwłaszcza pierwszych, mając jako artyści dobry gust w ubieraniu się. Ubierali się poeci, powieściopisarze, muzycy, kompozytorzy,

śpiewacy, artyści dramatyczni, malarze, rzeźbiarze i t. d., którzy nie tylko gust w ubieraniu się posiadali, ale ze względu na ich zawód zmuszeni byli dobrze się ubierać. Nie tylko tacy co zabłąkali się do Berlina, lecz było wielu, co się tam kształcili, lub mieli stanowiska i stale zamieszkiwali.

Ale czy płacili? To inna rzecz. Tu przypomina mi się zdanie pewnego inżyniera z Warszawy, który powiedział: „My Polacy mamy wiele gustu, ale mało pieniędzy. Co jedno z drugim niebardzo się zgadza, i dla tego nie starczy nam pieniędzy, by gust zaspokoić“.

Zamiast płacić, opisywali mnie, a nawet opiewali, przez co także do literatury się dostałem. Jeden z nich, jakiś Niemiec, obiecał o mnie napisać powieść, ale do tego czasu jeszcze jakoś nie zdążył.

Jakiś z naszych śpiewaków, bawiący częściej w Berlinie pisał mi z humorem: „Chcę u pana zamówić ubranie, 20 mk. wpłacę gotówką, a resztę odśpiewam“. Na co mu tak odpowiedziałem: „Interesu tego zrobić nie mogę, bo już mam kwartet takich, co mają odśpiewać, a kwintetów nie lubię“. Ten dowcip mu się tak spodobał, że go po całej Europie obnosił. I rzeczywiście, mam jeszcze paru takich dłużników, którzy mają „odśpiewać“, lecz już niestety, „głos“ stracili.

Pewnego literata taszczyłem listami do nieskończoności, ale to nie pomagało, aż wreszcie posłałem mu komornika. Srodcze się rozgniewał na to i nawymyślał mi w liście co się zmieściło: „Ja, co sławę Polski po całym świecie rozniosłem“, pisał pomiędzy innymi, „a wy mnie za to komorników przysyłacie! a fe! Może raz kiedyś będziecie mnie chcieli na „Skalkę“ wywieźć“. Tego było mi już zanadto, i odpisałem mu: „Pan swoim pisaniem dużo złego nabroił, i długie lata uczciwej pracy będą mogły dopiero to naprawić. Na „Skalkę“ Pana nie wywieziemy, bo duchy tych, co tam leżą, takiego towarzysza nie przyjmą“. Na to przysłał mi pierwszą ratę z dopiskiem na odcinku przekazu: „Pański list schowałem do archiwum“, zaś ja mu na to: „Ja Pański także“. Pomimo tego przykrego zajścia z komornikiem, nasz przyjacielski stosunek się nie zmienił.

Ten sam literat miał w pewnej miejscowości kuracyjnej odczyt na temat „O meta-człowieku“. Nawet inteligentni słuchacze nie mogli zrozumieć, co gadał, z powodu czego znana powieściopisarka pytała jakiegoś profesora: „Panie profesorze, co ten pre-

legent chciał powiedzieć przez swego „meta-człowieka“, bo ja go nic nie zrozumiałam“? Odpowiada jej: „Ja go także nie rozumiałem, ale „meta-człowiek“ to ma być taki, w którym są dwie natury, dwie siły, dwie wole itd., czyli że człowiek składa się z dwóch części, z pozytywnej i negatywnej. „Jednak nie rozumiem“, ta pani wtrąca. Przysłuchując się tej rozmowie, wpadam z uwagą: „Ja bo tak go rozumiem: Jeżeli ktoś ma płacić rachunek, to ta strona pozytywna mu radzi, żeby zapłacił, bo to należy się zrobić, przychodzi ale strona negatywna i dowodzi, żeby nie płacił i ona zwycięża.“ Zrozumieli odrazu!

Było to w owym czasie, kiedy to tego rodzaju literaci przewracali ludziom w głowach o „nadludziach“, szczególnie młodym. Później, gdy już ten szal ustawał, pytałem jednego z nich, Niemca, dla czego to robili? Odpowiedział mi: „Wir waren verrückt und haben andere verrückt gemacht.“ (Byliśmy warjatami, i innych do tego pobudzaliśmy). Ich kolega perswadował mi raz, żebym pisarzy nie taszczył, bo oni są biedakami, na co mu odparłem, że ja tylko ludzi ubierałem, bez względu na ich zawód i stanowisko, i każdy musi płacić.

Artysta-malarz, nie mogąc rachunku zapłacić, namalował mój portret według fotografii, bo na pozowanie nie miałem czasu. Jakiś znawca zobaczywszy przypadkiem obraz, zrobił uwagę: „Ale też ten malarz na panu się zemścił“. Być może, że tak jest, nie znam się na tem, ale z rachunku ubyło.

Inny skarżył się, że namalował dużo obrazów, a nikt nie kupuje. Ja mu na to: „Kto ma kupować? Ci, co pieniądze mają, mają i obrazy, a ci co nie mają obrazów, nie mają za co kupić. Niech pan zaczeka, aż się dorobią, to wtedy obrazy kupować będą. Ja n. p. nie zawaham się pomiędzy ewentl. kupieniem obrazu, a zapłaceniem rachunku“. „To my tymczasem pozdychamy“, odrzekł. Nie pozdychali, bo wkrótce nastał dla malarzy lepszy czas i ludzie obrazy kupują.

Owemu malarzowi teraz dobrze się powodzi, czego mu z serca życzę. Zrobił mi też miłą niespodziankę, ofiarując jeden ze swoich obrazów z odpowiednią dedykacją, który pozostanie na zawsze miłą pamiątką w mojej rodzinie. Ja również słowa dotrzymałem, bo gdy swoje zobowiązania załatwiłem, zdobyłem się na kupno paru jego arcydzieł, bez względu na to, że mojemu starszemu koledze po zbankrutowaniu pozostały jedynie obrazy z jego powodzenia. I jeden ze znanych artystów rzeźbiarzy

obdarzył mnie swoją rzeźbą, którą również z wdzięcznością przechowuję. Z powyższego wynika, że nasz wzajemny stosunek pomimo nie zupełnej sprawności w płaceniu, był nie najgorszy, a z niektórymi wiąże mnie do dzisiaj serdeczna przyjaźń. Od nich też nabierałem gustu w ubieraniu odbiorców.

Nieco o ubieraniu się.

Jeźliby mnie pytano, kto najlepiej się ubiera? — tobym odpowiedział, że ci, co umieją się ubierać, z odzieżą się obchodzić, mają odpowiednie figury i — pieniądze na to. Krawiec sam tego dokazać nie może, aby klient dobrze i gustownie się ubierał, tylko w połączeniu z nim. On może mu być doradcą przy wyborze materiału i fasonu, oraz dawać wskazówki, jak z odzieżą ma się obchodzić, co pewien skutek u niektórych odnosi, lecz nie może za nim chodzić i zwracać mu uwagi.

Często mówiły mi żony klientów, żeby nakłonić ich mężów do gustownego ubierania się, wskazując na dobrze ubierających się znajomych, lecz nie zawsze mogłem ich życzenia spełnić, gdyż to głównie od ich mężów zależało.

Umiejący się ubierać nie będzie też tego robił przesadnie, bo wie co jest pięknem i gustownem. Również nie naśladuje każdej mody, lecz wybiera tylko to, co jest w niej dobrego i gustownego. Ja też nie każdą modę klientom polecałem, nie chcąc, żeby byli źle ubrani.

To też ludzi dobrze ubranych widuje się mało i właściwie tacy tworzą modę — a nie krawcy, jak ogólne mniemanie jest. Oni też służą krawcom za reklamę, bo chcący być dobrze ubrani nieraz takich o ich krawców zapytują, sądząc, że to tylko od nich zależy. Zdarzało się, że dobrze ubranych zapytywały nieznanne im osoby o adres ich krawca na publicznem miejscu. Naturalnie, że umiejącym się z gustem ubierać tylko taki krawiec dogodzi, który również gust posiada i jest dzielnym w swoim zawodzie.

Bywało, że odbiorcy pozamiejscowi przysłali mi jako modele narysowane przez nich figury, a na nich wybrane ubrania, podług czego było można w ich życzeniach łatwo się orjentować. Byli i tacy, co się dali odfotografować w nadesłanem im nowem

ubraniu, jeżeli ono nie leżało, aby uwydatnić błędy za pomocą fotografii. Takie rysunki i obrazki jeszcze posiadam. Nieraz widzi się na kimś już kilka lat noszone ubranie wyglądające jeszcze jakby „z igły zdjęte“, co polega na umiejętności obchodzenia się z odzieżą i na materiale.

Dobre ubieranie się jest też oznaką kultury i im kulturalniejszy naród, tem lepiej się ubiera. Wszak dzicy ludzie o ubieraniu się wcale nie dbają. W naszych warunkach w lepszych domach już dzieci uczą, jak mają się z odzieżą obchodzić. Rozumie się, że ta kultura umiejętnego ubierania się musi iść w parze z ogólną kulturą narodu lub jednostki.

Najlepiej ubierają się dyplomaci i artyści, mniej dobrze ludzie z innych zawodów. W każdym razie zaleca się ludziom, stojącym nie tylko w życiu dyplomatycznym, lecz i społecznym, politycznym, handlowym i t. d., u których na pierwszy rzut oka od powierzchowności zależy, ubierać się gustownie lecz nie przesadnie, bo „jak cię widzą, tak cię piszą“. Wszak w niektórych handlach przepisują ekspedjentom obsługującym publiczność, jak się ubierać mają. Niedbałe lub przesadne ubieranie się obsługujących klientelę, szczególnie niewieścią, tak samo razi, jak karykaturalna postać obsługującego lub niezgrabne zachowanie się wobec kupujących.

Jak podróżowałem w interesach mojej firmy i co w podróży spostrzegałem.

Wpomniałem już poprzednio o częstem wyjeżdżaniu do kraju i do kilku miast uniwersyteckich w Niemczech w celu powiększenia obrotów przedsiębiorstwa przez ułatwienie odbiorcom zamówień i przymierzanie ubrań, by utrzymać ich jako stałych, jak również zyskiwać nowych, a prócz tego zainkasować od nich pieniądze, gdyż przy spotkaniu się zemną łatwiej płacili. Bo słusznie powiada Abram w „Kłusowniku“ Junoszy, że „człowiek powinien szukać interesu, gdyż interes człowieka nie szuka“. A gdy ucznia żydowskiego pytał nauczyciel w szkole „gdzie siedzi rozum?“, to on odpowiedział, że „on sobie wcale nie siedzi, lecz chodzi za interesami, bo gdyby siedział, to nie byłby rozum“.

Przed wyjazdem ułożyłem sobie plan na cały czas podróży, gdzie i którego dnia i godzinie będę i ściśle potem wyznaczonych terminów przestrzegałem, by nie zawodzić tych, których o moim przyjeździe uwiadomiłem. Często się zdarzało, że chciano zatrzymać mię po za oznaczony przezemnie czas, zwłaszcza niespodziewani goście, chcący dać zamówienia, lecz to nie mogło nigdy wpłynąć na zmianę mego postanowienia.

Ułożenie planu podróży sprawiało mi ze względu na szybkie zmienianie miejscowości nie małe łamanie głowy, bo trzeba było przedtem studjować dokładnie rozkład jazdy pociągów oraz czas korzystnie dzielić i możliwie każdego odbiorcę już przed moim wyjazdem z Berlina co do czasu mego przyjazdu na miejsce powiadomić, względnie resztę ich w podróży, co zwykle w pociągu robiłem, gdyż w hotelu nie było na to czasu.

Przed wyjazdem do ostatniej chwili wypadało pracować, a że do podróży było już wszystko przygotowane, więc dopiero na jaki kwadrans przed odejściem pociągu rzucałem robotę i wdziawszy płaszcz na siebie, wsiadałem do omnibusu, który mnie na czas na dworzec zawiózł, zaś pociąg jakby tylko jeszcze na mnie czekał. Jeżeli jakie paczki z sobą zabierałem, to były już przedtem wyekspedjowane.

Ze względu na czas wybierałem pospieszne pociągi, w których jeździłem trzecią klasą, a gdy wypadło jechać zwyczajnym, szczególnie w polskich stronach, to jechałem często czwartą. W ostatnim przypadku robiłem to mniej z oszczędności, a więcej dla tego, by jechać w towarzystwie naszego ludu, który zwykł tylko tą klasą jeździć, i z nim o różnych naszych sprawach gawędzić.

Ponieważ powierzchownością różniłem się od nich, więc brali mnie za nauczyciela, redaktora, agitatora wiecowego, a nawet posła, i pewnie z wdzięczności za rozmawianie z nimi pomagali mi w potrzebie nieść paczki. Raz nawet taki towarzysz podróży, rodak ze Śląska, mówił mi: „Gdyby „oni“ nie mieli wąsów, tobym myślał, że są „fararzem“ (księdzem). Tak mu się moja rozmowa z nim spodobała. Ja od nich dużo się dowiedziałem, zwłaszcza, że wskutek mojej szczerości do nich byli do mnie również otwarci.

W naszych stronach przyjechawszy na dworzec, na którym wysiąść wypadało, brałem umyślnie nastręczających się chłopców do niesienia kufierka, aby ich po drodze wypytać, czy umieją

czytać po polsku, gdzie się nauczyli i kto ich nauczył i nieraz musieli zaraz umiejętności czytania dowieść. Z małym wyjątkiem prawie wszyscy umieli. Uczyli ich rodzice, lub kto z miasta, a następnie uczyły w rodzinie starsze dzieci młodsze, z elementarza lub gazety, najczęściej „Grudziądzkiej“, która wtedy była najbardziej rozpowszechnioną.

Drugą klasą, a nawet pierwszą, jechałem wtedy, gdy wypadło z kim po drodze jaką sprawę omówić, a on nie chciał lub nie mógł ze mną jechać, więc ja jechałem z nim. Lecz to się rzadko zdarzało. Temi klasami nie jeździłem z zasady, nawet w nocy, gdyż miałem zawsze w pamięci anegdotkę o pewnym młodym właścicielu ziemskim, którą od ś. p. mego ojca jeszcze jako chłopiec słyszałem. Gdy objął w posiadanie majątek, zaczął od razu jeździć wspaniałą karetą w przeciwieństwie do swego ojca, który robił odwrotnie. To też mu przepowiedziano, że pozostaną mu zdrowe nogi do chodzenia na starość.

Jeżdżąc trzecią klasą, miałem najczęściej jako towarzyszków podróży zwykłych wojażerów, żydów i Niemców, którzy spotykając mnie w pociągach i hotelach, nie wiedzieli, do jakiej kategorii podróżujących mnie zaliczyć mają, gdyż na ich ciekawe zapytania, w jakiej branży jeżdżę, odpowiadałem wymijająco i nie wydawałem się za ich kolegę. To nie przeszkadzało skracać sobie czasu przez pogadankę z nimi i od nich o interesach handlowych się dowiadywać. Inni zwykli towarzysze podróży, jak handlarze bydlę, których często w wagonie spotykałem i przez to z widzenia się znaleźmy, prawie zawsze zajęci byli grą w karty.

Jazda koleją, zwłaszcza podczas dnia, nie męczyła mnie wcale, przeciwnie, była nieraz dla mnie odpoczynkiem, bo zwalniała choć na parę godzin od zwykłych denerwujących zajęć i o ile się z kim nie gawędziło, pozwalała mi obmyślać plany moich interesów i działalności społecznej, które potem w czyn zamieniałem. Było mi też na rękę, gdy mogłem w pociągu się najeść i gazetę przeczytać, gdyż na to w hotelu czasu nie starczyło. Opuszczając wagon, czułem się po kilkogodzinnej jeździe wypoczętym i odświeżonym, tak, że przybywszy na miejsce lub wróciwszy do domu, bez odpoczynku do pracy się zbierałem, a gdy to było wieczorem, szedłem na zebranie jakiego towarzystwa. Korzyści każda taka podróż przynosiła, bo nie tylko otrzymywałem zamówienia od uwiadomionych o moim przybyciu odbiorców, lecz i coraz więcej nowych przybywało, dowiedziawszy się od pierwszych o moim

przyjeździe, którzy potem stali się stałymi odbiorcami i w Berlinie mnie odwiedzali.

Zdarzało się, że w przeciągu jednego dnia do trzydziestu zamówień przyjmowałem i jeszcze przytem przymierzałem. Również zdołałem od rychłego rana do późnego wieczora załatwić w potrzebie interesy w trzech miastach, n. p. w Bydgoszczy, Toruniu i Inowrocławiu. Gdy Niemcy mieli mnie w hotelu odwiedzić, to ze względu na nich wyznaczałem im osobne godziny. Pisanie dziennych raportów do domu, nieraz łokciowych, przychodziło mi już z trudem, które często dopiero o północy kończyłem i sam je na pocztę lub do pociągu zanosilem, by na drugi dzień rano na miejscu były. Również gdziekolwiek byłem, otrzymywałem z Berlina codziennie raporty, tak, że byłem o interesach w domu powiadomiony.

Wygodniej się urządzić nie mogłem, gdyż interesy same pędziły. Zresztą nie czułem, by taka całodzienna czynność i to szybkie przerzucanie się z miejsca na miejsce mojemu zdrowiu szkodziło. Byłem w ruchu!

Udzielanie kredytu odbiorcom.

Było ogólnie przyjętem przed wojną, że u krawców, dostawiających ubrania na miarę, brało się je przeważnie na kredyt, bez względu na to, czy kto mógł lub nie mógł zaraz płacić. To też krawcy poniekąd chcąc nie chcąc musieli kredytować, zwłaszcza, że uważali to jako skuteczny środek zatrzymania odbiorców na stałe. I ja temu zwyczajowi również ulegałem, pomimo, że byłem odmiennego zdania. Zwykle nie udzielałem kredytu na dłuższy czas, ale on się potem sam przedłużył, mianowicie, że osobiście miałem zbyt mało czasu do zaglądania w książki. Musiałem dlatego utrzymywać w ostatnich latach mego przedsiębiorstwa aż czterech pomocników biurowych, podczas gdy jeden, a najwyżej dwóch, wystarczyłoby, gdyby nie potrzeba kredytu dawać. Przecież każdą pozycję trzeba było zapisać, uważać na terminy płacenia, monitować, co dużo czasu zabierało, no i pieniędzy kosztowało. Nadto był i ten skutek, że gdy odbiorcy mi nie płacili, to ja nie mogłem znów płacić swoim dostawcom, a często nawet robotnikom i wiecznie był

z tego ambaras. Prócz robotników prawie wszystkie stany korzystały z kredytu.

Niejednemu odbiorcy zdawało się też — przynajmniej o tem często słyszałem — że biorąc na kredyt, liczy mu się wyższe ceny. Otóż tego nie robiłem. Liczyłem każdemu przy zamówieniach jednakowe ceny w miarę jakości towaru, a zwiększały się dopiero przez doliczanie procentu. Liczyłem bowiem za czas po roku od dostawy 6⁰/₀, co jednak daleko nie wyrównywało ujemnej strony kredytowania. Uważałem taki sposób obliczania za właściwy i jedynie sprawiedliwy. Naturalnie, że gdy kto za ubranie miał dać 100 marek, a płacił dopiero po 5-ciu latach, to kosztowało go nie 100, lecz o doliczony procent więcej. Odbiorca znowu na tem nie tracił, bo nie płacąc mnie, mógł tymi pieniędzmi obracać i zarobić z pewnością więcej, niż ten procent wynosił. Biorąc znowu z banku pożyczkę, by rachunek zapłacić, musiał dać poręczenie osób trzecich i procent, często wyższy niż ja liczyłem, i płacić go już naprzód, podczas gdy u mnie warunki były dogodniejsze, bo nawet procent przy końcu roku przeważnie do sumy się dopisywało.

W każdym razie kredyty udzielane na dłuższą metę mogą drobnego przemysłowca zrujnować — i zrujnowały też niejednego — jeżeli pilnie na to nie baczył, gdyż nie można potem swoim zobowiązaniom poddać. A większa część odbiorców mogłaby rachunki zaraz płacić, gdyby o nich pamiętała lub oszczędzała na to pieniądze już naprzód, a nie postnumerando. Rachunki za przedmioty do osobistego użytku powinny być natychmiast płacone. Niepłacenie ich zaraz — niestety zwyczaj ten i u nas tak bardzo zakorzeniony — jest wielkim błędem pod względem gospodarczym.

Jak zawsze tak i w tym przypadku są w regule wyjątki, bo nietylko studentowi, ale i innej młodzieży, wchodzącej w życie, pomogło się skredytowaniem garderoby do stanowisk, którychby uzyskać nie mogli, nie będąc porządnie ubranymi. Toć swego czasu pewna panna ze wsi oświadczyła mi, że nie chce wyjść za starającego się o nią kawalera, bo był niedbale ubrany. W tym kierunku może się niejednemu przysłużyło.

Ten nie dobry zwyczaj niepłacenia rachunków wojna zmieniła na lepsze, gdyż przestano konsumentom kredytować i kupujący przyzwyczaili się do natychmiastowego płacenia za to, co kupują, a kto nie ma pieniędzy, to kupić nie może i musi czekać, aż je

zdobędzie. Jest to dodatnia strona wojny, jakich pewnie wiele nie miała. I zdawało się, że ten zwyczaj, jeśli nie na zawsze to przynajmniej na dłuższy czas się utrzyma, tymczasem, jak slysze, znowu publiczność do swego starego nałogu powraca i gdzie może, rachunków nie płaci, zaczynając z tem najprzód od krawców. W obecnych warunkach jest zabijającym dla kupca i rzemieślnika udzielanie kredytu. Winę mają teraz nietylko ci, co z kredytu korzystają, ale i ci, co go dają. Ostatni powinni zwyczaj zaprowadzony podczas wojny wszelkimi siłami utrzymać.

Zabezpieczenie pretensyj.

Przeważna część publiczności przyzwyczała się w byłych normalnych czasach do płacenia rachunków za towary wzięte na kredyt dopiero za przypomnieniem im przez dostawców. Moim debitorom przypominałem też od czasu do czasu ich obowiązki płacenia, zaś z okazji zmiany roku posyłałem wszystkim roczne wyciągi, w których jednocześnie prosiłem o całą lub częściową regulację, o ile nie było z którym umowy spłacania ratami. Jednocześnie do każdego wyciągu dodawałem kartki do potwierdzenia zgodności tegoż z prośbą o podpisanie i zwrócenie jej. A znając opieszałość niektórych dłużników, dodawałem także kopertę z moim adresem, by im zwrot tej kartki ułatwić. Ta manipulacja była potrzebna nietylko dla uniknięcia ewtl. pomyłek w rachunku, lecz zarazem uznaniem pretensji w razie prawnego przedawnienia się jej. Nie wszystkich jednak można było do tego kupieckiego porządku przyzwyczaić, aby potwierdzali zgodność rachunku i o ile po otrzymaniu wyciągu wkrótce kartki nie zwrócili, lub rachunku nie zapłacili, przypominało się im jej zwrot, a gdy i to nie pomagało, oddawałem ich osobnej opiece w biurze, która już była doraźniejszą.

Pretensje przedawniają się w Niemczech po upływie 2 lat od dostawy i to z końcem roku kalendarzowego. Zapłacił dłużnik w tym czasie na poczet rachunku gotówką lub wekslem, choćby tylko drobną kwotę, lub dał uznanie, to przedawnienie przedłużało się o dalsze dwa lata. Gdy jedno lub drugie nie nastąpiło, wtedy wypadło pretensję zabezpieczyć nakazem płatniczym (Zahlungsbefehl) względnie wyskarżeniem, — jeśli dłużnik założył przeciwko nakazowi rekurs, — co zabezpieczało wtedy 30 lat przed przedawnieniem.

Robiłem to bezwzględnie z każdym dłużnikiem, gdyż tak porządek nakazywał. Bowiem znaleźli się i tacy, co z prawa przedawnienia korzystali, choć było ich wprawdzie nie wielu i potem naturalnie nie można już było prawnie do płacenia zmusić. Szanujący się człowiek z przedawnienia jednak nie korzysta, ale on też i rachunki raźniej płaci. Na szczęście najczęściej było dłużników takich, co o prawie przedawnienia wcale nie wiedzieli.

Jeśli adresu dłużnika nie można było wydostać, a pretensja się przedawniała, to wytaczałem w sądzie skargę publiczną, uzyskując w ten sposób wyrok, lecz przed wdrożeniem jej musiałem sądowi udowodnić na podstawie kilku policyjnych dowodów, że dłużnika znaleźć nie można. Nieraz szukałem tam, gdzie go nigdy nie było, aby mieć tylko żądane dowody.

Miałem z tem mitręgi i pracy, co niemiara, bo takich, u których pretensje się przedawniały, było niestety dużo i trzeba było na termin przedawnienia bardzo uważać. Nagromadziło się też akt sądowych, niczem u przeciętnego adwokata, dla których musiałem osobną szafę sprawić. To też gdy jeden ze znajomych je zobaczył, to zawołał: „Co tu akt, a to na co?” „Bo dłużnicy mi nie płacą!” rymem odpowiedziałem.

Mając wyroki, wydostawałem potem powoli pretensje, których, gdy nie płacono dobrowolnie, to ścigałem przymusowo. Zabezpieczanie pretensyj u debitorów, mieszkających za obrębem Niemiec, było mało wykonalne z powodu różnych trudności, więc pozostawiałem to ich uczciwości i chęci płacenia. Zabezpieczenie przez osoby trzecie tylko w rzadkich przypadkach praktykowałem, bo nie było tego w zwyczaju. O zabezpieczaniu dłużników na życie już w jednym z poprzednich rozdziałów pisałem. W każdym razie obowiązku mego zabezpieczania się przed przedawnieniem, o ile możliwości nie zaniedbywałem.

Prawo przedawnienia podobno dlatego postanowiono, żeby dostawcom, szczególnie rzemieślnikom, dać możliwość powoływania się na nie przy monitowaniu dłużników o pretensje, czyli, że utworzono je w ich interesie. Ten powód niezupełnie uznaję. I to też niejeden nieogłędny dostawca wskutek tego prawa dużo stracił, zwłaszcza gdy wykonania jego w szczegółach nie znał, co się u drobnych rzemieślników najczęściej zdarza. To niemieckie prawo obowiązuje jeszcze w byłym zaborze pruskim.

Biura wywiadowcze.

Wiadomo, że istnieją biura wywiadowcze w celu udzielania informacji w jakichbądź interesach, które mniej lub więcej dokładnie (lub też niedokładnie) je podają. Są one przeznaczone do dyskretnego udzielania wiadomości o ludziach i firmach kupcom, przemysłowcom, a nawet i prywatnym osobom. W Berlinie takich biur jest dużo i dzielą się na takie, co tylko w handlowych sprawach udzielają wiadomości, i na takie, które i na prywatne interesy swą działalność rozciągają. Ja z nich tylko w ostatecznym razie korzystałem, lub dla porównania z moimi prywatnymi informacjami, gdyż z małym wyjątkiem, wiedziałem o moich interesantach „jak kto siedzi“, przez osobnych „dedektywów“, t. j. przez moich znajomych, a nawet władze. Pozatem nieraz dość mylnie te biura referowały, więc trzeba było z ich doniesieniami być ostrożnym, a często je korygować i im zwracać, jeśli już posiadane informacje były dokładniejsze, za co nawet wdzięczni byli. Chyba kto z moich interesantów nagle fazy przechodził, z bogatego stał się biedakiem lub odwrotnie, co się też zdarzało — a mieszkał odemnie daleko, w nieznanej mi okolicy, wtedy używałem pomocy biura wywiadowczego.

Najlepiej jednak można się przekonać o stanie materialnym interesanta przez komornika sądowego lub manifestacją dłużnika, o czym wiadomość była biurom wywiadowczym nadzwyczaj na rękę. Jeśli już tak daleko zaszedł, to dla biur był „skończonym“. Mają one też pewną materialną odpowiedzialność wobec pytających, więc porządne biura starają się możliwie dokładnie referować, chociaż im się często nie udaje. Poza granicami Niemiec możliwie najdokładniejsze wiadomości podawali konsulowie, to też ich przeważnie pytałem, a rzadziej biura wywiadowcze.

A co o mnie te biura wiedziały? Nadzwyczaj mało, a po większej części mylnie o mnie referowano. Podawano mnie nawet za obcokrajowca. Mnie ich informacje nie szkodziły, ani nie pomagały, bo moi dostawcy byli przez swoich pośredników o moim materialnem położeniu i rozmiarach przedsiębiorstwa wskutek ciągłego stykania się ze mną dokładnie poinformowani. Przesyłano też do mnie z tych biur swoich ludzi, aby wprost odemnie się dowiedzieć o stanie moich interesów, lecz ja im kart nie odkrywałem, gdyż ich opinii nie potrzebowałem i zbywałem ich żartem. Dopiero przy zdaniu przedsiębiorstwa bratu więcej się dowie-

dzieli i w przybliżeniu zgodnie referowali. Jak o mnie referowano, podaję poniżej trzy wywiady z różnych czasów: z r. 1895-go, 1904-go i po zdaniu przedsiębiorstwa.

I.

W. B. — Berlin, Friedrichstrasse róg Kochstrasse, majster krawiecki.

B. był dawniej przykrawaczem w różnych magazynach, a usamodzielniał się przed mniejwięcej 6 i pół rokiem. Mieszkał najprzód na Junkerstr., potem Friedrichstr. 212, a od I. IV. 95. w powyżej podanym domu, w którym płaci stosunkowo wysoki czynsz. Ma wprawdzie wcale niezłą klientelę, ale musi jej udzielać długotrwałego kredytu i z tej przyczyny mając mało środków, płacić może tylko leniwie. Reguluje częstokroć własnymi akceptami (!), wskutek czego nie mają do niego wielkiego zaufania (!). Kredyt 3-tysięczny, o który zapytano, można udzielić tylko wtenczas, gdy otrzyma się odpowiednią pewność.

II.

W. B. — Berlin W., Lipska 103, majster krawiecki.

Z urodzenia polak, a z zawodu krawiec. Jako taki pracował w tutejszych warsztatach. W r. 1888-mym usamodzielniał się jako majster krawiecki. Od 1902 r. mieszka pod powyższym adresem.

B. zaczął z małemi środkami, jednakże wysunął się naprzód dzięki swej pilności i dobrej robocie, ma stale dużo zajęcia i uchodzi dziś za zamożnego. Zatrudnia jednego przykrawacza i kilkunastu czeladników w domu i poza domem. B. ma szczególnie między swymi rodakami dobrą klientelę. Płaci regularnie. 1903-go roku zapisał swą firmę do rejestru handlowego.

Uzupełnienie: Stosunki są niezmienione. B. robi dobre interesy. Jego pozycja jest korzystna.

III.

W. B. założył magazyn w 1888. w małych rozmiarach, — lecz wnet rozwinął się tenże na większe i donośne przedsiębiorstwo, dzięki pilności i dzielności właściciela. Szczególnie miał B. wiele powodzenia w kołach swych polskich rodaków, którzy go chętnie popierali, ponieważ był czynnym także na polu politycznym w sprawach polskich. B. ma rocznego obrotu

mniej więcej 200 do 250 000 mk., musiał jednak prowadzić książkę debitorów w przybliżeniu tej samej wysokości, a ponieważ dochody wpływały wolno, korzystał z kredytu rok, a nawet dłużej. Jego dostawcy jednakże darzyli go zaufaniem mimo tego. W styczniu 1910 r. oddał przedsiębiorstwo swemu bratu A. B., który już od dłuższego czasu był u niego czynny jako przykrawacz. Prowadzić będzie je dalej pod starą firmą w cokolwiek zmniejszonych rozmiarach. A. B. przejął skład materiałów, regulację pasywów, a ściąganie zaległości chce załatwić byłym właścicielem. A. B. uchodzi za człowieka oszczędnego, pilnego, doskonałego w swym zawodzie. Rozporządza mniej więcej kwotą 28 000 marek, która po większej części składa się z własnych oszczędności, jako też z paru tysięcy marek jego żony. Dostawcy okazują zaufanie także nowemu właścicielowi. Były właściciel chce wrócić do swej Ojczyzny i oddać się wyłącznie politycznej agitacji.

Uzupełnienie: W marcu 1910 zapisano A. B. jako właściciela firmy. Jest zapobiegliwy i prowadzi przedsiębiorstwo z powodzeniem. Środki jego uchodzą za wystarczające i cieszy się zaufaniem dostawców.

Co się tyczy dawnego właściciela W. B. osobiście, to załatwił tymczasem, o ile wiadomo, wszystkie zobowiązania swego przedsiębiorstwa jak należy. Z przedsiębiorstwem prowadzonym dalej przez brata, nie ma nic wspólnego“.

Najbardziej mylili się, referując, że regulowałem „własnym, akceptami“, podczas gdy nigdy i nikomu takowych nie dawałem bo najprzód nie miałem potrzeby dawać, a potem uważałem to jakp puszczanie się na niepewne drogi wobec nieregularnego płacenia rachunków przez odbiorców. Jestem zdania, że rzemieślnicy nie powinni dawać własnych akceptów, choćby tego dostawcy od nich się domagali, gdyż to prowadzi niedoświadczonych do poplątania ich interesów.

Jak mi płacili dłużnicy.

Trzeba podzielić moich odbiorców na dwie kategorie: do jednej należała młodzież kształcąca się na uniwersytetach i jeszcze nie zarobkująca, a do drugiej zarobkujący i ludzie majątni.

(O płaceniu rachunków przez studentów potraçałem już poprzednio, a teraz uzupełniam). Pomiędzy studentami było mało takich, co zaraz płacili, lub wogóle mogli płacić i to najdogodniej ratami. Najwięcej z nich miało z ledwością tyle, aby skromnie wyżyć, a jeżeli który sobie „pozwolił“, co u młodzieży się czasem zdarza, to już dla mnie na raty nie starczyło, pomimo umowy. Więc kredyt przedłużał się i w dodatku dług przez nowe dostawy się powiększał. Boć jeżeli taki odbiorca dobrze się prowadził, to w interesie moim było nie pozwolić mu robić u innych krawców długów, gdyż wtedy ich tem więcej robi i nie będzie w danym razie wiedział, komu potem z nas najpierw ma płacić. To też trzeba było czekać często długo, bardzo długo, jak doświadczenie później nauczyło.

Doszedłszy do stanowisk, płacili najlepiej z byłych studentów aptekarze i po częściej weterynarze, gdyż oni mieli już podczas wakacji uniwersyteckich sposobność zarobkowania. Najgorzej płacili prawnicy, bo najdłużej musieli się z własnych czy obcych funduszków utrzymywać, a złożywszy egzamin asesorski, nie od razu tyle zarabiali, by odpłacać mogli; u takich wypadło mi czekać na regulacje przeciętnie jakie osiem lat, a u niektórych do przeszło 20-tu lat czekałem. U tych, co egzaminu nie zdołali złożyć, bywało potem rozmaicie, niektórzy jeszcze prędzej zapłacili, niż gdyby byli egzamin złożyli, otrzymawszy jako prawnicy dobre stanowiska w innym zawodzie.

Raz zadałem sobie mozół i wyliczyłem pewnemu lekarzowi, że nasz wzajemny stosunek ćwierć wieku trwał. W tym czasie pretensja moja wzrosła u niego stopniowo na 15000 marek, w czym samego procentu było przeszło 5000. Korespondencji z nim było po mojej stronie około 350, a niektóre były jakby wypracowania i tak obszerne, na któreby można doktorat uzyskać. Można sobie wystawić, ile czasu na to poświęcić wypadło! Przy późniejszym spotkaniu się tego lekarza ze mną powiedział tenże, że mu się to wyliczenie bardzo spodobało.

Najpowaźniejszym dłużnikiem był jeden ze studentów, którego podczas studji wypadło mi nawet parę lat całkowicie utrzymywać. Dochrapał się wreszcie do egzaminu, ale nie starczyło mu już sił fizycznych, aby go złożyć i musiał przedtem wyjechać na wypoczynek. Wróciwszy, zabrakło mu środków na utrzymanie i przyjął podrzędne stanowisko. Wegetował na obczyźnie przez kilka lat, aż przyszła wojna i jego też do wojska zaciągnięto.

Po skończonej wojnie wrócił do kraju i wstąpił do polskiego wojska, został oficerem i powodziło mu się lepiej. Mnie zaczął dług spłacać, który tymczasem urósł do 20 i kilku tysięcy marek. Gdy wojna z bolszewikami się skończyła, opuścił żołnierkę, przyjął z zamiłowania do pedagogji stanowisko nauczyciela przy gimnazjum, choć studjował na politechnice, ożenił się i resztę tak znacznego długu mi spłacił. Czekanie na spłatę trwało prawie tyle lat, ile tysiący był mi winien, ale jednak doczekałem się.

Z odbiorców zarobkujących lub majątnych płacono mi w znacznej części zaraz, zwłaszcza zagraniczni odbiorcy. Pewna część płaciła przy sposobności lub na Nowy Rok, a byli i tacy, co regulację rachunków przedłużali pomimo możności płacenia i monitów do paru lat. Tym to jakby ta wada niepłacenia na czas wrodzoną była. Z trudem płacili rolnicy, a po części i księża. Nawet magnaci niechętnie płacili, i miałem wiele zachodu, aby pieniądze choć z okazji Nowego Roku wydostać od nich. Pewien magnat, znany polityk, gdy do niego z rachunkiem przyszedłem, to mi gadał o polityce zamiast płacić. Inny przysłał mi raz przez brata swego kilkaset marek i cztery nieotworzone listy jako dowód, że ich wcale nie czytał, więc niby nie wiedział, o co pisałem. To też używałem w potrzebie różnych form i koloru kopert, aby wzbudzić ciekawość dłużnika i zachęcić go do otworzenia listu. Najdziwniejszem jednak było, że nie płacili i ci, co na innych z powodu niepłacenia narzekali.

Urzednicy tak rządowi, jak prywatni, płacili ratami, które często były nieregularne. Jeden z takich, rodak, nie umiał się liczyć z groszem i podług tego też płacił, wreszcie jednak cały rachunek załatwił. Zginął mi potem z oczu i gdyśmy się po kilku latach spotkali, przypomniało mu się, że miał mi za kolegę swego już dawniej 10 marek zapłacić i wyjmuje stumarkówkę, żądając wydania reszty. Było to przy końcu miesiąca. Zdziwiłem się, że w ostatnich dniach miesiąca ma jeszcze tyle pieniędzy, podczas gdy dawniej na początku nie miał. Tłumaczył mi, że przystąpił do jakiejś nowej wiary (sekty) i że należącym do niej nie wolno mieć długów, a nadto z dochodów swoich zobowiązani są dawać dziesięcinę na potrzeby tej sekty. „Toż wspaniała ta wasza wiara“! zawołałem. „Otóż dam panu spis „najlepszych“ dłużników moich, których możeby pan namówił do tej swojej wiary, a pomiędzy nimi dwóch pańskich znajomych, z którymi pan dawniej tak wesoło się bawił. Dam panu „dziesięcinę“ za każdego, który zapłaci.

Ale nie miał ochoty tego się podjąć, bo widocznie nie był pewien, czy na każdego ta wiara taki wpływ wywrze jak na nim. A co do tych dwóch znajomych, to oświadczył, iż u nich już wszystko stracone i takich nie zdołałby nawrócić. Gdym mu mówił, jakiego zdania jest, żebym ja do jego sekty przystąpił, to mi odpowiedział, że nie potrzebuję, bo już robię wszystko tak, jak ich wiara nakazuje. Ubawiło mnie to uznanie.

Jak często miałem sposobność stwierdzenia, że niejeden z moich dłużników wydał na jeden raz na niepotrzebną rzecz tyle, żeby mógł cały rachunek u mnie tem pokryć, lub też jechał ze mną razem w pociągu drugą klasą, podczas gdy ja trzecią lub czwartą jechałem. Taka to już ludzka, a szczególnie nasza natura. Polega to na niewłaściwym urzędzeniu i obliczeniu się. Ja w życiu swoim długów prywatnych nie miałem, ale gdybym miał, tobym nie dojadał, ażbym je zapłacił. Przecież ks. Wawrzyniak wołał do nas na zebraniach: „Narody mierzy się według tego, jak płacą swoje rachunki“!

Ściąganie pretensyj w kraju.

Różnych sposobów do tego używałem i zwykle bieg rzeczy był taki: Najprzód do dłużnika pisałem, zawsze grzecznie, prosząc o przekazanie mi gotówki, lub w braku tejże do niektórych o weksel. Miało to przeważnie ten skutek, że „dziad przemówił do obrazu, a obraz mu ani razu“. To też czas czekania na gotówkę lub odpowiedź notowałem w kalendarzu i gdy do tego terminu wiadomości nie otrzymałem, treść listu krótko przypominałem. Jeżeli i to pozostało bez skutku, pisałem energiczniej, podając termin do odpowiedzi, lub regulacji, względnie zapowiadałem ściągnięcie pretensji przez zaliczkę pocztową. Po dalszem milczeniu posyłałem takową, a gdy jej nie wykupiono, poczyniłem kroki sądowe, następnie egzekucyjne, jeśli już wyrok miałem. Gdy ostatecznie wypadły bez skutku, podawałem tak uporczywego dłużnika do manifestacji, w której zobowiązany był pod przysięgą podać co posiada, gdzie jest zatrudniony i ile zarabia. To tylko w ostateczności robiłem, jak również dlatego, żeby dłużnika postraszyć lub przekonać się, czy rzeczywiście jest niewypłacalnym, albo tylko upartym. Dłużnik po złożeniu takiej przysięgi, która

wykazała niemożność jego płacenia, miał przez następne pięć lat spokój, o ile mu nie dowiedziono, że materialne jego położenie w tym czasie się poprawiło. Byli tacy, co podawali nieprawdziwe zeznania, ale prawnie trudno im było tego dowieść.

Na żądanie sąd przysłał odpis zeznania dłużnika wierzycielowi, z którego można się dowiedzieć, czy dłużnik posiada zbędne przedmioty, kapitał lub tak wysoki zarobek, któryby można aresztem obłożyć. Jeżeli dłużnik na termin do manifestacji nie stanął, natenczas uzyskiwało się tak zwany „nakaz aresztowania“, na mocy którego można go dać aresztować przez komornika i przed sąd w celu manifestacji zaprowadzić. Gdy i wtedy zapłacić lub przysięgać nie chciał, to go tak długo trzymano w areszcie, aż to zrobił, choćby kilka miesięcy siedzieć miał. Naturalnie na koszt wierzyciela. Ale w praktyce nigdy do tego nie dochodziło, bo dłużnik starał się przez złożenie przysięgi jak najprędzej z aresztu się wydostać.

Taka manifestacja jest w każdym razie dla składającego ją plamą na całe życie, gdyż o tem dowiedzą się zaraz biura wywiadowcze i już mają na zawsze taki fakt w swoich aktach zapisany, co dłużnikowi w opinii i osiągnięciu nowego kredytu bardzo szkodzi. Nie wstrzymuje ona także dalszych nagabywań przez komornika, czego można do syta na dłużniku używać.

Takie postępowanie z dłużnikami przyjemności mi nie sprawiało, podejmowałem je jednak, by wyczerpać wszystkie środki. W rezultacie osiągało się prawie zawsze skutek, wyjąwszy u bardzo „wytrawnych“ dłużników. Moje dochodzenia im również przyjemni nie były. Jeden mi się przyznał, że z powodu mego nagabywania go środkami represyjnymi, aż się rozchorował i musiał dla poratowania zdrowia wyjechać. Był z tego powodu zły sam na siebie, bo go potem więcej kosztowało. Zresztą na wyjazd miał pieniądze, ale rachunku zapłacić nie chciał.

U innego dłużnika, znanego niemieckiego literata, „tylko“ trzydzieści terminów sprzedaży z mego polecenia zajętych u niego sprzętów, przez komornika było naznaczonych. Do sprzedaży jednak nigdy nie doszło, gdyż w krytycznej chwili postarał się o spłatę i trzeba było termin znieść. Powtarzała się ta manipulacja tak długo, aż resztę zapłacił. On w tym czasie z komornikiem tak się zaznajomił, że gdy zapomniał o pozwolenie na zniesienie terminu do mnie się odnieść, to komornik bez tego

zniósł. Byłbym komornika mógł zato do odpowiedzialności pociągnąć, czego jednak nie zrobiłem ze względu, aby przez to nie stracił stanowiska.

Niestety to częste „zatrudnianie“ komorników spowodowało przysłowie: „Choć domów nie posiadałem żadnych, ale komorników miałem dużo“.

Często wypadło mi osobiście monitum o spłatę do dłużnika napisać, wtedy było oryginalne, bo bez humoru i satyry się nie obyło, ale nigdy nie obrażałem, nawet wtedy, gdy ktoś porywczy z powodu monitowania mnie obraził, co się zdarzało. Mnie to z równowagi nie wyprowadzało, ale dłużnik miał się wtedy z pyszna. Tacy prędzej czy później przekonali się o słuszności po mojej stronie. Naturalnie, że traktowałem każdego debitora indywidualnie tak w korespondencji jak w dalszym postępowaniu. W początku mego przedsiębiorstwa próbowałem oddawać pretensje do ściągania specjalnym biurom, na czym jednak źle wychodziłem, gdyż cokolwiek te biura od dłużnika ściągnęły, policzyły sobie na koszt, a mnie się nic nie dostało. Korzystniej było oddać adwokatowi, bo wszelkie koszty policzył dłużnikowi, lecz. doprowadziwszy do fantowania względnie manifestacji, jego czynność się kończyła, podczas gdy dla mnie dopiero wtedy, gdy dłużnik zapłacił, albo... umarł. Kiedy pewnemu dłużnikowi powiedziałem, że ja tak długo żyć będę i was ścigać, dopóki mi nie popłacicie, to mi z humorem odpowiedział: „Tembardziej nie będę płacić, bo chcę, żeby pan jak najdłużej żył“. Tym dowcipem ostrość mojego postępowania stępił.

Znanem jest, że najmniej skorzy do odpowiadania na listy są ziemianie, jak również w wielkiej części do płacenia rachunków. To też umówiłem się raz z prezesem Centr. Tow. Gospodarczego, bym miał wykład na ten temat, lecz do tego nie doszło. A ileż by czasu i nieporozumień oszczędziło się, gdybyśmy do tych cnót, natychmiastowego płacenia rachunków i odpowiadania na listy przywyknąć mogli! Jest to poniekąd miarą kultury.

Ściąganie pretensyj zagranicą.

Z zagranicy do Niemiec można było przysyłać pieniądze przekazami pocztowymi, w deklarowanych listach pieniężnych i za pośrednictwem banków. Lecz ludzie są wygodni, szczegó-

nie na Wschodzie, i nie zawsze korzystają z tych udogodnień, mianowicie, gdy niektórzy z nich mieszkają z dala od poczty lub banku.

Pewna część moich dłużników ociążała się z płaceniem, a gdy listowne przypominania pozostawały bez skutku, posyłałem traty przez banki, uprzedzając ich o tem, które im były do płacenia w ich domu prezentowane. Jeżeli dłużnik traty nie wykupił, to trzeba było przypuszczać w tem niezaradność, zapomnienie zadysponowania lub złą wolę. Można też było posyłać kwity do konsulatów z prośbą o zainkasowanie od dłużnika, w czym one także pośredniczyły, lecz gdy dłużnicy nie zapłacili, to dalszych kroków konsulaty poczynić nie mogły i kwity zwracały.

Do Warszawy, Łodzi i paru mniejszych miast w Królestwie jeździłem po pieniądze, przynajmniej raz na rok. To się opłacało, bo nie tylko cokolwiek monety przywoziłem, ale jednocześnie zbadałem możność płacenia debitorów i wysondowałem ich opinię co do regulacji wogóle. Stwierdziłem u wielu, że najczęściej wskutek opieszałości przeciągali płacenie i czekali na sposobność spotkania się ze mną. Taka to już nasza natura!

Próbowałem w różnych krajach wydostać pretensje za pomocą sądu, ale nie szło tak gładko, jak w Niemczech, bo żądano piśmiennego uznania długu przez dłużnika (w Niemczech tego nie praktykuje się, gdyż w braku uznania jest przysięga), które nie zawsze miałem i jeżeli dłużnik w terminie sprzeciwił się mojemu żądaniu, to nie mogłem nic zrobić. Poza tem do wyskarżenia pretensji trzeba było wziąć adwokata, którego koszta w większej części wierzyciel musiał pokryć sam, choćby proces wygrał. W Niemczech musi dłużnik wszystkie koszta zwrócić, tak sądowe, jak i adwokackie.

Stwierdziłem, że tak uproszczonej procedury sądowej wyskarżenia pretensji jak w Niemczech, niema w żadnym kraju.

Po Niemcach najsprawniej załatwiają sądy w Danji, a następnie w Austrii, zaś w innych, nawet w takiej Belgji, prawie, że nie możliwym jest przeprowadzenie procesu ze skutkiem. Zaskarżyłem pewnego dłużnika w Warszawie, to proces trwał tylko 6 lat. Wygrałem go wreszcie, ale wynik egzekutywny okazał się tymczasem ujemny i na dobitkę musiałem znaczne koszta zapłacić. Gładziej szło, gdy się oddało sądowi sprawę wekslową (o ile dłużnika udało się do dania weksla nakłonić, którego

potem nie zapłacił.) To też po kilku próbach w poszczególnych krajach odechciało mi się dłużników sądownie o pretensje ścigać, wolałem okazji lub dobrej woli dłużnika odczekać, albo pretensję skreślić.

Wreszcie dodaję, że wyroki sądów niemieckich jako takie nie mają za granicą waloru i są niewykonalne, chyba służyć mogą jako dowód pretensji. Jednak były mi o tyle pomocne, że, gdy dłużnik do Niemiec przyjechał, można było w połączeniu z „poświadczeniem w miejsce przysięgi“ (Eidesstattliche Versicherung) w paru godzinach areszt wykonać, nawet osobisty.

Szukanie dłużników.

Była to mozolna praca, mianowicie z „fluktującymi“ dłużnikami! Zwykle przy każdym zamówieniu adres skwapliwie notowałem, lecz to nie wystarczało, mianowicie u ludzi młodych, jak studentów, którzy zbyt często „baby“ z jakich bądź powodów zmieniali. U takich zapisywałem też ich adresy domowe i w potrzebie tam się udawałem, licząc na to, że list ich w domu zastanie, zwłaszcza podczas wakacji. Jeśli jednak adresata w domu nie było, to najczęściej rodzina odsyłała mu list tam, gdzie przebywał, lub mi jego adres podawała. Byli i tacy, co sami zmianę adresu mi donosili, ale to byli białe kruki. Do takiej „kultury“ jeszcze dłużnicy nie doszli.

Dowadywałem się też o adresach przy sposobności od znajomych lub przypadkiem. Niektórzy byli radzi, że o ich miejscu pobytu nie wiedziałem, bo wtedy mieli spokój przed moimi monitami. Znaleźli się i tacy dłużnicy, co się umyślnie ukrywali, na szczęście było ich stosunkowo mało.

Gdy prywatne źródła na wyszukanie adresu nie wystarczyły, to wtedy policyjne biura adresowe były w robocie, które w Niemczech prawie nigdy nie zawodziły. Wypada tylko podać i miejsce urodzenia poszukiwanego, a napewno go znajdą, choćby w tak wielkim mieście jak Berlin. Naturalnie, trzeba się wprzód upewnić, czy w tej miejscowości jest, co łatwo zrobić można, gdy ma się jego ślad. Tylko wtedy trudno znaleźć, gdy kto na policji się wymelduje jako „udający się w podróż“, lub „nie wiadomo dokąd“. Wtenczas jest bieda z szukaniem i trzeba czekać,

aż przypadkowo go się znajdzie. Trwają nieraz lata zanim takiego się wyszpera, a nawet całkiem „z oczu zginie“. Tak zręcznie umieją się niektórzy urządzać.

W wielkich miastach, jak Berlin, łączący się z przedmieściami, mającymi osobne centralne biura meldunkowe dla mieszkańców, jest pewien ambaras z szukaniem, bo zwykle dostaje się wiadomość, że dany osobnik przeprowadził się np. do Berlina, tymczasem on zamieszkał na przedmieściu i berlińskie biuro adresowe o tem wiedzieć nie może, a niemożliwym jest we wszystkich podmiejskich gminach szukać. Podobno w ostatnim czasie uproszczono sposób zameldowywania, utworzywszy tylko jedno biuro dla Wielkiego Berlina, rozciągające się i na przedmieścia.

Trzeba przyznać, że w Niemczech biura meldunkowe są z pomiędzy wszystkich krajów najlepiej urządzone. Nie w każdym kraju za pomocą biura meldunkowego można adres otrzymać, choćby poszukiwany w danej miejscowości mieszkał, ponieważ nie zapisują każdego tak skrupulatnie, lub też wcale policyjnego biura meldunkowego nie mają. Tylko w Rosji i w Austrii jest względnie podobny porządek jak w Niemczech. W naszej Polsce jest też taki sam sposób rejestrowania mieszkańców co w Niemczech, lecz odnośne władze nie są jeszcze tak sprawne jak niemieckie i długo trwa, zanim żadaną wiadomość przysła, tak że trzeba je często o odpowiedź monitować. Może się poprawią, gdy wprawy nabiorą.

I poczta jest nieraz pomocną w wyszukiwaniu adresów tak w Niemczech jak i w innych krajach. Nietylko zapytuje znajomych adresata, dokąd się wyprowadził i za nim list posyła, lecz szuka w książce adresowej danej miejscowości (jeżeli ona takową posiada), a często pyta w biurze policyjnym lub robi na kopercie wzmiankę, podług której dalszy ślad znaleźć można. Parę przypadków sprawności poczty przytoczę.

Pewien norweczyk, dziennikarz, wyjechał do Ameryki, gdzie go wyszperałem, ale nie odpowiadał na moje listy. Naraz zjawił się u mnie i powiadał, że listy adresowane do Ameryki otrzymał w Serbji, dokąd za nim posłano. Taki sam przypadek miałem z pewnym rodakiem, którego szukałem w Ameryce, dokąd z Berlina pojechał. Jemu do Ameryki adresowane listy wręczono na Węgrzech. Często sami we własnym interesie pozostawiali swój adres na poczcie, i ona tam listy posyłała.

Paru dłużników wyprowadziło się do posiadłości niemieckich w Afryce, lecz ich i tam wyszperałem. Jeden z nich, wróciwszy, opowiadał mi następujący przypadek. Gdy po polowaniu z towarzyszem odpoczywał, tenże mu się skarżył, że go krawiec aż tam rachunkami trapi. „A gdzie pan się ubiera?” — zapytał go tenże; „w Berlinie” — odpowiedział. „Może u B.?” „A tak!” To przecież ten sam, u którego i ja się ubieram, on mi również aż tutaj rachunki przysyła.“

Adres tych, co z Niemiec wyjechali, zwykle przez konsulów wydostawałem, bylebym tylko wiedział, do którego kraju się wyprowadzili i mogłem podać obwód odnośnego konsula, gdyż w jednym kraju jest często więcej konsulatów. Muszę przy tej sposobności przyznać, że konsulaty niemieckie są na całym świecie sprężyste zorganizowane. Nietylko podawały żądane adresy, lecz jednocześnie ściśle informowały w razie dalszego postępowania, choć o to nie pytałem. Informowały również o procedurze sądowej w danym kraju i podawały adresy rzetelnych adwokatów, z którymi można było także po niemiecku korespondować.

Wyszukiwanie tych, co zagranicę się wyprowadzili, działa się w prosty sposób. Najprzód miejscowa policja z ostatniego miejsca pobytu wyprowadzającego się podawała, do którego kraju się przeniósł. Jeżeli był obywatelem niemieckim, to konsul niemiecki napewno znał jego adres, gdyż każdy zobowiązany jest w konsulacie się zameldować. Gdy było to w kraju, posiadającym więcej konsulatów, a poszukiwany w jego obwodzie nie mieszkał, to często zapytał swoich kolegów o adres lub podał odnośne wskazówki. Nawet niemieccy konsulowie podawali na żądanie adresy obywateli innych krajów. Taki przypadek przytaczam:

Pytałem konsula niemieckiego w Budapeszcie o jakiegoś Kroata, który mi odwrotnie jego dokładny adres podał i to gdzie...? W Berlinie. Figurował nawet w książce telefonicznej, jak się później przekonałem, ale że miał jako literat podwójne nazwisko, a w spisie było tylko jedno, więc trudno go było znaleźć, zwłaszcza, iż według dawniejszego policyjnego doniesienia przed kilku laty z Berlina się wyprowadził.

Konsul niemiecki we Lwowie, znany hakatysta, którego częściej o podanie adresów prosiłem, pytał raz poufnie policję berlińską, czy jestem ten sam, który publicznie występuje, o czym „poufnie” wnet się dowiedziałem, ale nie zmiarkowałem, żeby

to na bieg moich spraw ujemnie wpłynęło. Dodaję, że opłata w konsulatach za ich fatygi była mała, a czasem nawet bezpłatnie załatwiali.

Pocieszne zdarzenie miałem z pewnym studentem — izraelitą, pochodzącym z Małopolski, który potrzebował studjować w Berlinie agronomję. Takim studentom zwykle nie kredytowałem, ale jakoś złożyło się, że jednak w swój sposób zdołał choć nie wielką kwotę pozostać mi winien i naturalnie, opuszczając Berlin, nie „pożegnał“ się ze mną. Szukałem go następnie w miejscu jego urodzenia, ale go tam nie było, za to władza miejscowa przysłała mi wiadomość, że ma być w Palestynie gdzie też rzeczywiście dokładny adres przez konsula wyszperałem. Mieszkał w Haifie i zajmował się jako „agronom“ kolonizacją wśród żydów. Zacząłem trapić go listami i konsulem, a on po swojemu się wykręcać. Aż naraz zjawił się znowu w Berlinie, o czem przypadkiem dowiedziałem się i jego adres wy dostałem. Obszedłem się z nim jako zagranicznym również po swojemu, t. j. uzyskałem natychmiastowy areszt, nie tylko jego mienia, — nawet pistoletu, ale i jego osoby. Przyprawiony przed sędziego, zaczął mu o swojej działalności w Palestynie tak barwnie opowiadać, że tenże i obecni adwokaci pół godziny go słuchali, aż wreszcie sędzia się zorjentował i powiedział: „Wir müssen doch zur Sache übergehen“ (musimy jednak przejść do sprawy). Nic mu nie pomogło, musiał zapłacić, a nadto pistoletu się pozbył. Nie mógł mi tego zajścia potem zapomnieć i w późniejszym do mnie liście utyskiwał, że mu taką „przykrość“ wyrządziłem. Spodziewam się, że obecnie w Palestynie Sir Samuelowi się przyda.

Próbowałem szukać teraz kogoś na wschodnich kresach Polski, mieszkającego na wsi. Przed wojną to prędeż w głębi Afryki wyszperałem! Nie dałem jednak za wygrane i wy dostałem to, co chciałem. Dowiedziałem się bowiem, że w szybszem dostarczaniu listów lepszym mieszkańcom w tych okolicach na wsi pośredniczy zawsze jakiś żydek z najbliższego miasta i za pomocą jego pośrednictwa komunikowałem się z kim należy. Naturalnie, że to „szybsze“ takie doręczanie trwa tygodnie, a czasem miesiące.

Bądź co bądź z tem szukaniem dłużników miałem nie małe utrapienie, ale mnie tak w tem wyćwiczyli, żebym mógł biuro wywiadowcze z powodzeniem założyć. Instytucje mające

wspólnych ze mną dłużników, często zwracały się do mnie o podanie im ich adresów i powodzeniu. Towarzystwu Pomocy Naukowej w Poznaniu nieraz tem wygodziłem.

Czas — to pieniądź.

Ile czasu potrzebują ludzie różnych narodowości do załatwiania interesów, to mogłem także u siebie obserwować. Amerykanie i ludzie z Europy Zach. potrzebowali na zamówienie ubrania lub nawet więcej garderoby parę minut, na co Niemcy poświęcali przeciętnie $\frac{1}{2}$ godziny, Polacy najmniej godzinę (jednak nie wszyscy, gdyż byli i tacy, co się już do szybszego załatwiania przyzwyczaili), a Rosjanie parę godzin. Słusznie mówił mi pewien fabrykant z Łodzi, bywalec po świecie, że co Anglik w minucie załatwi, to Pers cały dzień na to potrzebuje. Ludzie szanujący czas powiedzieli od razu co chcą i ja już potem wiedziałem co im do wyboru pokazać, podczas gdy drudzy często dopiero orjentowali się i nieraz chcieliby w pierw cały skład widzieć, a gdy wreszcie towar wybrali, to wtedy następował targ o cenę. Jakaż to różnica w ocenie i poszanowaniu czasu! Dopiero, gdy już jakiś czas ubierali się u mnie, to wtedy przyzwyczaili się do szybszego załatwiania.

Czasami wypadło dowcipem nadržabiać, aby do szybszej decyzji doprowadzić. Pewnego razu mąż z żoną (z Królestwa) nudzili mnie długo przy wyborze ubrania, wreszcie zdecydowawszy się na jakiś materiał, zaczęła żona targować się o cenę, co już zwykle potem one robią, choćby dla własnego zadowolenia, że coś od-targowały. Usłyszawszy cenę, powiada: „Ale też Pan jest drogi!“ — na co zrobiłem uwagę: „To mi moja żona codzień mówi“. Ten dowcip tak podziałał, że już dalej nie targowała się. Gdy mi podawano niższą cenę od żądanej, to zwykle lakonicznie mówiłem: „Cenę to ja robię!“ — co w wielu wypadkach również skutkowało.

Wogóle kobiet takich, które utrudniały szybkie załatwianie, nie lubiłem przy interesach. Jakąś Warszawiankę, która zawsze z mężem przychodziła i różne niepotrzebne uwagi robiła i czas przedłużała, spytałem: „Czy chce Pani, by mąż jej był dobrze ubrany?“ — „A rozumie się“ — odpowiedziała. „W takim razie“

— zauważyłem — jest potrzebny tylko on i ja“. Już więcej się nie pokazała. Innemu, choć dobremu klientowi, przestałem dostarczać ubrań, bo żona jego zanadto mieszała się do naszych interesów i również nipotrzebnie czas zabierała. Jak przyjemnie załatwiała się z amerykańkami każdy interes! Wskazali tylko na model na obrazku i podług tego im materiał się pokazało, zaś oni „all right“ powiedzieli i interes był załatwiony.

„Czas to pieniądz“, powiedział Anglik w rozumieniu, że gdy godzina lub dzień upłynie, to powinniśmy tyle a tyle zrobić w tym czasie, aby na marne nie ginął. A my jak rozumiemy to wypowiedzenie Anglika?

Pytałem w lecie kobietę, mającą na sprzedaż leśne jagody, o ich cenę, a gdy mi zbyt wysoką cenę powiedziała, zrobiłem uwagę, że przecież tych jagód nie hoduje, bo same rosną! Na to mi odpowiedziała: „Tak panie, ale „czas to pieniądz“, czyli, że liczyła podług tego, ile czasu na zbieranie potrzebowała, a nie ile jagód nazbierała. Skąd ona o tem wypowiedzeniu Anglika wiedziała, to już obojętnem, ale rozumiała je odwrotnie, bo było jej to potrzebne do usprawiedliwienia wysokiej ceny za jagody. Przypatrzmy się wogóle pracownikom, jak oni pracują! Byle czas zeszedł i jeszcze nygusowanie uniewinniają tem, że dla drugich roboty by nie starczyło, gdyby rącej pracowali. Co za altruizm!

Tak niestety największa część narodu naszego obecnie rozumie owego Anglika, jak ta kobieta i dlatego takie skutki mamy. Ocenia się roboty według zużytego czasu, a nie według ilości i jakości. Takie pojęcia muszą nas do ruiny gospodarczej doprowadzić. Lecz o tem jeszcze później.

Z mej strony przy obsłudze odbiorców nabierałem w oszczędzaniu czasu coraz więcej wprawy. Zachodził do mnie niekiedy znajomy kupiec, Żyd, który miał przedtem na Pomorzu handel bławatny. Ten przyglądał się jak z odbiorcami interesy załatwiałem. Pewnego razu po odejściu tychże powiedział do mnie: „Pan potrafi sprzedawać!“. To powiedzenie tego wytrawnego kupca było dla mnie nietylko uznaniem, ale i komplementem.

O, jak długo jeszcze potrwa, zanim w zrozumieniu szanowania i wykorzystania czasu podążymy za narodami kulturalnymi i im dorównamy?

Wyrabianie sobie konkurencji.

Lubiłem wyszukiwać młodych i zdolnych ludzi i wskazywać im drogę do stanowisk, lub stanowiska same, jako i miejsca do osiedlania się, szczególnie z mego zawodu. Bowiem znając ich, byłem pewien, że mogą sprostać zadaniu i tem samem mieć lepszy kawałek chleba. Nie przypominam sobie, żebym choć w jednym przypadku miał się pomylić i źle im poradzić, pomimo że z biegiem czasu wielu za moją poradą stanowiska krojczych przyjęło, względnie w kraju się osiedliło. Byli mi za to wdzięczni, a zwłaszcza ich żony, gdyż w Berlinie napewno pozostaliby pracownikami dla obcych warsztatów, zaś ci, co osiedli w kraju, stali się nietylko samodzielnymi, lecz powoli dorabiali się i odgrywają rolę poważnych obywateli. Niektórzy z nich doszli nawet do większego mienia. A nietylko miejsca do osiedlenia wskazywałem, lecz często za mojem poleceniem otrzymywali kredyt u dostawców. Mnie robili potem konkurencję, z czem już naprzód się liczyłem, lecz było to tylko pozornie, bo chociaż nie jeden z moich odbiorców do nich przeszedł, to wzrostu mego przedsiębiorstwa wcale nie tamowało. Nasz stosunek układał się nawet tak, żeśmy w potrzebie sobie nawzajem pomagali. Gdy pokazałem się w tem mieście, gdzie który z nich osiadł, to byłem pewien miłego spotkania się i przyjęcia w ich domu. Mnie starczyło zadowolenie, że im dobrze poradziłem i że do kraju wrócili, pomnażając szeregi naszych rzemieślników i udoskonalając rzemiosło jako uzdolnieni fachowcy. Wogóle stosunku mego do kolegów w naszym zawodzie inaczej nie pojmowałem, jak że powinien być życzliwy i przyjacielski.

Ten sam stosunek żywiłem do kolegów - rodaków w Berlinie, którym również udało się tam warsztaty na własną rękę założyć, co głównie jako skutek naszego nawoływania do samodzielności w towarzystwach i na wiecach uważać trzeba. Jeśli który z moich odbiorców im zamówienie dał, to im tego nie zazdrościłem. W takim mieście, jak Berlin, konkurencji bezpośredniej wcale się nie odczuwa i musiałoby to być słabe przedsiębiorstwo, gdyby jej wytrzymać nie mogło. Według niemieckiego przysłowia trzeba nietylko żyć, lecz i pozwolić innym żyć.

Stosunek do dostawców i ich agentów i zakupywanie towarów.

Jeżeli wzajemny stosunek pomiędzy dostawcami i ich przedstawicielami a mną układał się już dobrze przy regulacji rachunków, to tem lepszy był wogóle, prawie, że przyjacielski. O każdej porze dnia mogli ze mną mówić, a choćby tylko parę słów zamienić i usłyszeć, czy czego potrzebuję. Z nową kolekcją próbek starali się przyjść najprzód do mnie, uważając na to, co wybierałem, podług czego potem się stosowali. Nie lubiłem im czasu zabierać i pozwalać czekać na rozmówienie się ze mną, co bardzo cenili, a gdy który z nich miał czas, ja zaś pracowałem, tośmy z sobą chwilami gawędzili, często o rzeczach poważnych i ciekawych. Byli tacy, co jeździli po całej Europie, a nawet innych częściach świata. Tacy, co byli w Chinach, Japonji, Syberji, Indjach i t. d., umieli o różnych przygodach opowiadać. Byli to ludzie poważni, światowi, mający szeroki pogląd na sprawy wogóle, a w szczególności na rynek handlowy i znający zwyczaje i obyczaje u różnych narodów.

Jednego z nich, który jechał do Szangaju, poprosiłem, aby mojego dłużnika tam wyszperał i od niego możliwie pieniądze dla mnie wy dostał. Pisał mi potem z Władywostoku, że go już w Szangaju nie zastał, ale za to w Charbinie. Pieniądzy jednak nie dostał, lecz oddał sprawę konsulowi, co spowodowało szybkie zgłoszenie się dłużnika do mnie.

Podziwiałem gorliwość i wytrwałość zastępców firm, starających się nowego odbiorcę pozyskać. Z mojej strony ułatwiałem im interes ze mną, bo czasem już o godz. 7-ej rano zamawiałem ich do siebie, aby zdążyć przejrzeć kolekcję próbek i wybrać potrzebne towary oraz zamówić je, zanim moi odbiorcy przyszli. Przy wyborze próbek urządzałem się szybko, ułożywszy już przedtem dyspozycją.

Doszedłem do takiej sprawności, że gdy mi raz wypadło wybrać towary w sztukach u jednego z moich dostawców w jego handlu, to sześciu ludzi usługiwało, zaś dwóch kierowników przyglądało się i uważali tylko na moje zlecenie, notując je i dziwiąc się szybkiej decyzji, zrobiwszy pochlebny sąd o mojej orientacji. Takiem traktowaniem usposabiałem ich dobrze dla siebie, na czem ja znowu nie traciłem, bo za to ze swej strony wyświadczali mi różne przysługi.

Przyciągałem do wybierania towarów także moich najbliższych współpracowników, zasięgając w potrzebie ich rady, a oni znowu mieli sposobność do wprawiania się przy zakupach towarów. O zakup drobniejszych artykułów już nie troszczyłem się, pozostawiając to moim zastępcom, tylko kontrolę nad tem wykonywałem.

Wiadomo, że kupujący zarabia już przy korzystnym zakupie towarów, co szczególnie wyzyskiwałem. Jest zwyczaj zamawiania towarów pół roku naprzód i dysponuje się wtedy możliwie na cały sezon. Fabryki potem dopiero podług zamówień materiały wykonują i komisjonerzy oraz hurtownicy na czas dostawiają. Zwykle hurtownicy ze względu na miarę zaopatrują się w większą ilość towarów, niż mają zamówień i starają się potem pozbyć reszty podczas sezonu, choćby ze znacznym opustem, aby towar, szczególnie modny, nie pozostał do następnego sezonu. Wtedy to można nabyć korzystnie, a że zawsze więcej sprzedałem, niż na sezon dysponowałem, to też obficie korzystałem z takich sposobności. Nieraz zarabiałem z górą $33\frac{1}{3}\%$ i walutę, t. j. termin płacenia, od którego dopiero rachunek liczą, wyznaczali często kilka miesięcy później.

Dalszą korzyść przy zakupie towarów miałem z tego, że brałem znacznie mniej materiału na ubrania, niż moi koledzy, bo oszczędniej kroilem i przez to samo już rocznie kilka tysięcy marek zarabiałem, wskutek czego mogłem potem taniej sprzedawać.

Jak niezmiernie uprzejme są firmy zagraniczne wobec swoich odbiorców, to miałem sposobność przekonać się, gdy w Paryżu byłem. Uważały mnie tam za swego gościa i ofiarowały jednego ze swoich ludzi na przewodnika po mieście.

Od dostawców, względnie ich zastępców, nauczyłem się dużo w dziedzinie życia handlowego i sposobu pojmowania go. Mianowicie jednemu z nich, odwiedzającemu mnie regularnie dwa razy w tygodniu, zawdzięczam sporo wiadomości, nietylko kupieckich, ale i społecznych i postępując w potrzebie według jego wytrawnego zdania, zawsze korzystnie na tem wychodziłem. U wielu z nich widziałem oprócz swego interesu i życzliwość dla mnie, którzy starali się, żeby mi w czemkolwiek bądź dopomóc. O naszym dobrym stosunku świadczą też ich listy, przesłane mi z okazji mego ustąpienia z przedsiębiorstwa, jak również późniejsze spotkanie się z nimi.

Stosunek do robotników.

Wyszedszy z kół rzemieślniczo-robotniczych, starałem się później jako pracodawca z byłymi kolegami przyjacielski stosunek zachować i nie dawałem im nigdy uczuć, że pomiędzy nami jako ludźmi istnieje jaka różnica; czuli, że oceniam każdego tylko według osobistej wartości. Oni spełniali swoje obowiązki w stosunku do mnie jako współpracownicy, a ja dbałem o zatrudnienie ich i zarobek, by z rodziną nietylko porządnie wyżyć mogli, lecz żeby jeszcze coś na czarną godzinę odłożyli. Wykonywałem kontrolę, ile każdy z nich w tygodniu lub miesiącu zarobił, a gdy podług mego zdania wypadł zarobek u któregoś za mały, to w tej chwili zarządziłem naprawę.

Pracę wykonywano z małym wyjątkiem akordowo i zależało na możliwie równomiernym podziale pracy pomiędzy robotnikami. Starając się, by z mego powodu czasu nie marnowali, prowadziłem spis oddanej im roboty i uważałem na czas wykonania tejże jako i na sprawność robotnika. Zanim jedną pracę skończył, druga była już dla niego przygotowaną, którą mu w dom przez posłańca dostarczono lub on po nią w potrzebie przysyłał. Nadmienić mi wypada, że tylko kilku robotników zatrudniałem w swoim warsztacie, tyłu, ilu mi do ręki w nagłych wypadkach było potrzeba, reszta pracowała u siebie w domu.

Robotnicy byli wyćwiczeni i sprawni, na ich punktualności mogłem prawie zawsze polegać, gdy było tego potrzeba. Skrewił czasem który, to mu się po przyjacielsku zwróciło uwagę na to, co więcej skutkowało niż wymyślanie.

Podczas sezonu pozadomowi robotnicy rzadko się u mnie pokazywali, chyba gdy ich w razie potrzeby do siebie wzywałem. Oni tylko pracowali, a wykończoną robotę przynosiły do magazynu ich żony (byli nieomal wszyscy żonaci) lub dzieci. One też tygodniowe zarobki odbierały. Żony chętnie to robiły, uważając to jako pomoc w zarabkowaniu mężowi, no i rade były, gdy mąż domu nie opuszczał przez cały tydzień. Za to w niedzielę według berlińskiego zwyczaju cała rodzina razem wychodziła, szczególnie latem.

Zachęcałem robotników do oszczędności i przy wypłacie zarobków już niektóre z ich żon pozostawiały u mnie chętnie zbytne kwoty, które następnie do naszej spółki oszczędnościowej „Skarbony“ odnosiłem. Perswadowałem im, że powinni oszczędzać

choćby ze względu na starość, a gdy któremu nadarzy się sposobność założenia własnego warsztatu w Berlinie lub kraju, to tembardziej pieniądze się przydadzą. Boć oszczędność jest zachętą do samodzielności, a temsamem do lepszego bytu.

To zachęcanie do oszczędności osiągało skutek, gdyż niektórzy po kilkanaście tysięcy marek, a nawet więcej oszczędzili, co na normalne przedwojenne stosunki było dużo. Skoro tylko który zaczął oszczędzać, tembardziej dostawał ochotę do dalszej oszczędności. Miałem kilku robotników, którzy już w starszych latach byli, gdy zaczęli u mnie pracować i dopiero wtedy do oszczędzania się zabrali. Miałem zadowolenie, widząc choć powoli wzmagający się względny dobrobyt u moich pracowników.

Więcej jak połowa z nich byli nasi rodacy. W własnym warsztacie zatrudniałem tylko samych Polaków już ze względu na utrzymanie w moim domu swojskiej atmosfery, zaś pozadomowi dzielili się głównie na dwie narodowości: polską i niemiecką, a oprócz nich było i paru zagranicznych.

Pomiędzy robotnikami nie robiłem żadnej różnicy ze względu na narodowość, gdyż dla mnie był każdy z nich w pierwszym rzędzie współpracownikiem i każdego też traktowałem według jego sprawności. Tak samo ich przekonania polityczne nic mnie nie obchodziły, o ile spełniali wobec mnie swój obowiązek i nie uprawiali agitacji w obrębie mego przedsiębiorstwa na rzecz swoich partyj. Zdarzało się wprawdzie, że w moim warsztacie objawiali czasem radykalne poglądy społeczno-polityczne, wtedy im z ogólnego bezpartyjnego stanowiska sprawę wytłomaczyłem i zwykle taki, gdy u mnie dłuższy czas pracował, zmieniał swoje zapatrywania. Czyniłem to nie jako pracodawca, lecz ze stanowiska społecznego.

Pomiędzy sobą robotnicy zgadzali się i różnice narodowościowe lub przekonania polityczne nie przeszkadzały im wcale w ich koleżeńskim pożyciu lub wspólnym interesie, co mnie samemu się podobało, gdyż uważam, że pomiędzy robotnikami, szczególnie jednego przedsiębiorstwa, w sprawach zasadniczych powinna zgoda panować, wtedy i przedsiębiorstwo na tem zyskuje.

Stosunek robotników do mnie uwydatniał się dodatnio na każdym kroku, a szczególnie stwierdziłem to podczas strejków, których parę przechodziłem. Jeżeli w Berlinie krawcy strejkowali, to dla solidarności i u mnie musieli przestać pracować. Byłbym mógł z nimi od razu się ułożyć, bośmy się

dobrze rozumieli, ale również chciałem być solidarnym wobec swoich kolegów, no i mogłem sobie w technicznej pracy trochę pofolgować, a za to zająć się dłużnikami i wpływy pieniędzy obracać na spłacanie rachunków, zamiast na robociznę. Wogóle żaden strajk na moje przedsiębiorstwo ujemnie nie wpłynął, miałem nawet z nich korzyści.

Gdy wreszcie strajk się kończył i dochodziło do ugody pomiędzy obiema organizacjami, i gdy obustronne komisje wyznaczały wysokość zarobków dla każdej kategorii przedsiębiorstw, to ja jedyny z całego Berlina sam ze swoimi robotnikami się ułożyłem, na co obie komisje oświadczyły: „Da können wir nichts gegen machen“!, (że takiej ugodzie nie mogą się sprzeciwić).

Podczas jednego z tych strajków, który trwał sześć tygodni zawezwano mnie wraz z komisją moich robotników w celu ugody. Myśmy poszli, aleśmy już naprzód sobie powiedzieli, że sami się ugodzimy. Robotnicy wybrali do tej komisji czterech swoich kolegów i to przypadkowo okazałych co do objętości ciała. Kiedy przyszło do pertraktacji, wskazując na nich, powiedziałem: „Proszę spojrzeć na moich robotników i na mnie (w stosunku do nich wyglądałem, jak suchotnik) i sprawiedliwie osądzić, komu z nas źle się powodzi“! Na to się wszyscy rozśmiali i obie komisje jednozgodnie powiedziały, że mamy robić, co nam się podoba. Na tem się strajk u mnie skończył, robotnicy poszli do domu i zaczęli na nowo pracować.

Zaszła przy tej sposobności mała scena, która także świadczy o moim stosunku do robotników. Zanim kolej przed komisjami pracodawców i pracobiorców na nas przyszła, czekałem razem z moimi robotnikami w ogrodzie przy szklance piwa. Koledzy moi, widząc mnie wspólnie z nimi siedzącego, a nie znając ich, wzięli ich również za naszych kolegów i stosownie do nich się odnosili. Nas to bawiło, a im, gdy się przekonali, że to moi robotnicy, było nieprzyjemnie.

Zarząd organizacji robotników uznał raz za potrzebne przysłać do mnie podczas strajku swego przedstawiciela, który miał ze mną w imieniu robotników pertraktować. Tego pana pouczyłem, że moi robotnicy są wszyscy pełnoletni i opiekunów z zewnątrz nie potrzebują, bo ze mną dadzą sobie sami radę. Przy tem wskazałem mu grzecznie drzwi. Uznał to i wyszedł, a ich komisja odnosiła się potem do mnie z pewnym szacunkiem.

Nieuświadomionych i nierozsądnych współpracowników nie lubiłem, wołałem takich, którzy wiedzą, co chcą, bo z nimi prędzej do ładu się dochodziło. Przy przyjmowaniu nowych mi nieznanymi robotników nie pytałem, czy wogóle naszego fachu się uczyli, byle umieli. Zresztą był w całym Berlinie zwyczaj nie pytania o dowód złożenia egzaminu w danym rzemiośle, nawet wtedy, gdy już obowiązek składania tychże istniał. Mnie także klienci przy dawaniu zleceń nie pytali, czy egzamin na mistrza zdałem. Toć zaraz przy pierwszej robocie wykazało się, kto co umie.

Gdyśmy jeździli na wycieczki towarzystw naszych w okolice Berlina, ja z zasady z rodziną używałem biletów III. klasy, podczas gdy tego lub owego z robotników spotykałem czasem z biletami II. klasy, co mnie wcale nie raziło, bo dla czegożby nie miał z jakiegobądź względu na tę drobnostkę sobie pozwolić.

Poza obrębem mego przedsiębiorstwa spotykałem się z moimi współpracownikami przy pracy w towarzystwach naszych. Tam stosunek nasz tak się ułożył, że nikt nie zmiarkował, w jakim jesteśmy do siebie w życiu codziennym. Zdarzało się, że posłaniec mój (woźny) przewodniczył na zebraniu i mnie głosu udzielał, co uważam za zupełnie w porządku. Nazajutrz przy naszej zwykłej pracy on swój obowiązek woźnego dalej sumiennie spełniał. Gdy ja przewodniczyłem, udzielałem jemu głosu, a ewentl. różnica naszych zdań również nie wpłynęła na nasz wzajemny stosunek w przedsiębiorstwie.

Pewnego razu pojechałem z córką na zlot naszych śpiewających drużyn i jak to zwykle bywało, już przy wchodzie do ogrodu trzeba było ze znajomymi się witać i parę słów zamienić, tymczasem córka weszła do ogrodu, aby poszukać miejsca do siedzenia. Ponieważ było już pełno ludzi w ogrodzie i wszystkie krzesła zajęte były, więc gdy spostrzegł córkę mój woźny, nie tylko o krzesło dla niej się postarał, lecz już zdążył jej wody selterskiej zafundować, zanim nadszedłem. Pogniewałby się na mnie, gdybym ten wydatek mu chciał zwrócić.

Zdarzyło się raz, że dwóch moich robotników było na zlocie sokolskim w Krakowie i stamtąd urządzili sobie wycieczkę do Zakopanego, gdzie akurat bawiłem na wypoczynku. Spotkaliśmy się tam i spędziliśmy razem miłą chwilę przy szklance piwa na werandzie „Morskiego Oka“. Gdy to moi współlokatorzy z wili

sposzregli i dowiedzieli się o naszym stosunku, nie mogli pojąć tej zażyłości, i że robotnik berliński ma na to, by do Zakopanego mógł przyjechać na własny koszt.

Tak pojmowaliśmy demokrację na obczyźnie, wzajemnie się szanując.

To też zmiany pomiędzy robotnikami w moim przedsiębiorstwie były rzadkie i tylko z jego wzrostem wzrastała ich liczba. Niektórzy długie lata pracowali u mnie, postarzeni się i ich dzieci tymczasem porosły. Kilku z nich pracowało prawie od samego początku mego przedsiębiorstwa i przeszli do mego brata, gdy został moim następcą.

Z okazji zdania magazynu bratu, na wspólnym pożegnalnym wieczorku, ich przywiązanie tembardziej się ujawniło, co wyrazili w serdecznych szczerych słowach i w stosownym pięknym upominku. Ich rodziny podzielały te same zdania. Nic dziwnego: Tyle lat wspólnie pracowaliśmy, było nam dobrze razem i z zadowoleniem na wyniki naszej pracy spoglądaliśmy. Ja starałem się, aby im u mnie dobrze się powodziło, a oni mego dorobku z pracy nie zazdrościli, przeciwnie, życzyli mi go. W ten sposób wyrobił się między nami patryarchalny stosunek w nowszym pojęciu. Gdy teraz w kraju się spotykamy, bo pewna część ich także wróciła, to przypominamy sobie jako starzy przyjaciele naszą współpracę na obczyźnie.

O naszym stosunku niech świadczy jeszcze następujący fakt.

Swego czasu pracował u mnie w warsztacie młody Warszawianin, dosyć inteligentny, ale zagorzały zwolennik teorii socjalistycznych. Wreszcie po jakimś czasie oświadczył mi, że jednak nie może pogodzić swych poglądów z atmosferą panującą u mnie i dlatego odchodzi. Wyjechał do Paryża, skąd po dłuższym pobycie wrócił do Warszawy, a następnie dostał się do Moskwy, gdzie założył później własny warsztat. Tam zastała go wojna, no i bolszewicy. Udało mu się nareszcie niedawno z tego piekła wydostać i wrócił do Warszawy. Mając w Poznaniu jakiś interes do załatwienia i dowiedziawszy się, że teraz tu mieszkam, odszukał mnie i był uradowany, żeśmy po tylu latach się spotkali. A co najlepsze! Oświadczył mi, że bolszewicy go do reszty z jego socjalistycznych przekonań wyleczyli, gdyż dosyć na skutki tych teorii napatrzal się i sam na sobie je odczuł. Mnie zaś dziękował za dawane mu swego czasu rady.

Stosunek mój do personelu.

W pierwszych latach mego przedsiębiorstwa załatwiałem biurowe prace sam i dopiero, gdy coraz bardziej się zwiększały, brałem pomoc na parę godzin dziennie. Ten stan trwał jednak nie długo, gdyż okazała się wnet potrzeba stałego pomocnika i to wszechstronnie wyrobionego, któryby samodzielnie umiał książki prowadzić i korespondować, a ja potrzebowałem już tylko kontrolę wykonywać. Po jakimś czasie okazała się znowu stopniowo potrzeba powiększenia biura, tak, że przed przekazaniem przedsiębiorstwa zatrudniałem czterech biurowych, z których jeden przy sprzedaży i ekspedycji pomagał.

Mój stosunek do personelu biurowego był również taki, jak i do pracowników, co jednak nie przeszkadzało, że dbałem o ich wydajną i punktualną pracę. Spóźnienia się nie lubiłem, a że sam byłem rano pierwszy na posterunku, więc kontrola nie była trudną i w razie uchybienia którego z nich, zwracałem mu w tej chwili na to uwagę. Zawsze miewali przy takiej sposobności jakieś uniewinnienia, a najczęściej ich „baby“ były winne, że na czas nie obudziły. Na moje pytanie jednego z nich, „a kto baby budzi?“ — odpowiedział mi: „Jakto, one same powinny się obudzić“. Wtedy ich pouczyłem, że to poczucie obowiązku każdego budzić powinno i gdy się do tego przyzwyczają, nie trudno im będzie być punktualnymi i nie będą potrzebowali na kogo innego winy zwać.

I choroby u niektórych zachodziły za często, bo gdy mając rano spóźnić się do zajęcia, woleli uniewinnić się choćby jakimś udanym zaziębieniem. Naturalnie czuli to sami, że im nie wierzę i też takim, co za często „chorowali“, zwracałem uwagę, aby tego zaniechali, podając im sposób, jak się to robi. Zauważyłem też, że rzemieślnicy, pracujący na czas, nie tylko na akord, byli punktualniejsi i więcej obowiązkowi.

Te uchybienia były sporadyczne i nie wpływały na całość, bo większa część moich biurowych pracowników starała się spełniać sumiennie swoje obowiązki.

Personelu żeńskiego w biurze nie zatrudniałem i tylko raz spróbowałem, ale próba nie udała się i wolałem dalszych zaniechać. Kobiety wydawały mi się za uczuciowe w wykonywaniu obowiązków. Być może, że się myłę.

Przy angażowaniu personelu biurowego uważałem na formę i sposób napisania zgłoszenia. Zbyt długie i nie treściwe nie zachęcały mnie do przyjęcia zgłaszającego się. Jeżeli który z nich napisał zgłoszenie na arkuszu firmy, w której był zajęty, to już całkiem go pominąłem. Takiego uważałem za nieumiejącego obchodzić się z własnością swego pryncypała.

Używanie telefonu i materiałów moich przez współpracowników do swoich prywatnych interesów było u mnie wzbronione i tylko w wyjątkowych razach na to pozwalałem. Zwracałem im uwagę, że nie chcę słyszeć i wiedzieć o ich prywatnych interesach. Jeżeli kto z miasta do którego z nich telefonował, pisał lub go odwiedził, to mu powiedziałem, aby w przyszłości zwracał się w prywatnych interesach do jego mieszkania. Do jakiego by to nieporządku doprowadziło, gdyby pozwoliło się pracownikom na załatwianie swoich interesów w przedsiębiorstwie.

Podczas wyjazdów z przesyłanych mi raportów codziennych wyczuwałem czynność biurową i po powrocie na spostrzeżone niedokładności zwracałem piszącym uwagę. Kierowałem się często datą stempla pocztowego na liście do mnie wysłanym.

To ściśle przestrzeganie porządku i obowiązków przydało się im samym, bo tem łatwiej dostawali następne stanowiska. Miałem sposobność przekonać się o tem, bo mi z pewnej poważnej firmy, która o mego książkowego się starała, oświadczone, że jeżeli u mnie kto dłuższy czas pracował, to już z pewnością jest zdolnym.

Był w mojem biurze zajęty bystry i wytrawny pracownik, tęga głowa, z którym już od więcej lat się znałem, a który jakoś nigdzie miejsca zagrać nie mógł, ponieważ jego wady przewyższały zdolności. U mnie wytrzymał jednak przeszło pięć lat, a to tylko dzięki ściślemu przyjacielskiemu nadzorowi z mej strony. Oddał mi też w tym czasie niemałe usługi. Gdy odszedł, by własne biuro założyć, rozmaicie mu się potem powodziło, najczęściej był „pod wozem“. Wynika z tego, że ludzi zdolnych, choć lekkomyślnych, można potrzebować, jeżeli są pod kontrolą. Wogóle wolałem współpracowników pracujących samodzielnie, względnie starałem się ich na takich wyrabiać, niż takich, co tylko mechanicznie swoje czynności wykonywali. Dla mnie sam nadzór wystarczał, a jeżeli który z nich chciał w nieprzeznaczonym czasie odejść, to go także nie krępowałem, byle mu nie przeszkadzać do osiągnięcia lepszego stanowiska.

Przedsiębiorstwo moje było tak urządzone, że choć nie było żadnych zewnętrznych oznak polskich, to atmosfera wewnątrz była czysto polska i zdaje mi się, że byłem pierwszy z polaków w Berlinie, co na to się zdobył. Personel był cały polski, naturalnie w słowie i piśmie musiał znać również język niemiecki. Książkowość i komunikowanie się pomiędzy sobą były tylko polskie. Tę atmosferę musiał każdy zauważyć i nie spostrzegłem, żeby to kogo z obcych razilo. Naturalnie, że z tem nie afiszowałem się, gdyż uważałem to także za zbyteczne.

Władze również wiedziały, kto jestem i jaki dom prowadzę. Często mnie poczta zapytywała o adresy takich, których uważano za polaków, jeżeli przesyłki były niedokładnie adresowane i w książce adresowej ich znaleźć nie mogła. Zdarzyło się nawet, że pytano mnie o adres „Ostmarkenvereinu“, bo otrzymali telegram z dokładnym adresem i odnośny urzędnik sądził w swojej naiwności, iż musi to być chyba polski „Verein“, jeśli ma dodatek „Ostmarken“, boć wszystko co ze Wschodu do Berlina przychodzi, to może być tylko polskie. Naturalnie, że im ten adres wskazałem, bo jakby na ironję główny sekretarz „Ostmarkenvereinu“ mieszkał w domu znajomego mi rodaka.

Wspomnieć muszę o pewnym wyjątku z reguły. Jak wyżej wspomniałem, w przedsiębiorstwie moim zatrudniałem tylko rodaków. Otóż pewnego razu potrzeba mi było chłopca do posyłek, a że o takiego, polaka, jeszcze wtedy było trudno, przyjąłem Niemca. Gdy mi zwrócono uwagę, dlaczego to obcego zatrudniam, odpowiedziałem: „Dość długo służyliśmy Niemcom, niechże oni teraz nam zaczynają służyć“!

Czynności społeczne załatwiała się po części także z pomocą współpracowników biurowych, przez co sami się do tej roboty zaprawiali. Również podobało mi się, jeżeli który z nich w wolnym czasie poza obrębem biura tej czynności z własnej woli się oddawał.

Personel techniczny wyrabiałem lub dostrajałem sobie sam i byłem z niego pod każdym względem zadowolony. Gdy roboty nagromadziło się tyle, że nie można było w zwykłych godzinach wykonać, to z własnej woli i bez wahania się pracowali porówno ze mną do późnej godziny wieczorem, by wszystko było na czas wykonane.

Nasz wzajemny stosunek był podczas współpracy w przedsiębiorstwie i poza obrębem jej przyjacielskim i pozostał do dzisiaj. Prawie ze wszystkimi jestem jeszcze w kontakcie i w potrzebie wyświadczamy sobie wzajemnie usługi.

Urządzenie własnego domu w Berlinie i wychowywanie dzieci.

Jeśli nam już wypadło pozostać na obczyźnie i tam własne gniazdo założyć, to było w konsekwencji naszym zadaniem, by z mieszkania zrobić fortecę, niedostępną otaczającym ją obcym wpływom. Urządziliśmy się tak, że w naszym mieszkaniu nie było żadnego obcego przedmiotu. Wszystko, co było, było nasze, swojskie. Nawet gazety obcej, choćby miejscowej, nie mieliśmy żadnej, pomimo, że brałem silny udział w życiu naszym społecznym i politycznym, a jednak dawałem sobie z polityką radę. Za to abonowałem do 15 polskich gazet i utrzymywałem w domu polską bibliotekę, pomiędzy nimi gazetki i książki dla dzieci.

Dzieci dał nam Pan Bóg czworo, z których najmłodsza córeczka w zaraniu życia umarła, a pozostały dwie córki i syn. Dla nich trzeba było stworzyć czystą polską atmosferę, w której się wychowywać miały, aby się czuły, jak w Polsce, i nabierały siły odpornej wobec zewnętrznych wpływów. Przed urządzeniem bowiem własnego domu patrzałem na obczyźnie przez kilka lat na to, jak stosunki były silniejsze od woli i chęci naszych rodaków, którym nieomal wszyscy ulegali, zwłaszcza, gdy chodziło o dzieci. Widziałem, że tylko kilku polskim rodzinom udało się dzieci w ich pierwszych latach po polsku wychowywać (dorastających lub dorosłych dzieci polskich jeszcze wtedy w Berlinie nie było), badałem na czym to polegało i starałem się popełnionych błędów przez innych unikać.

Zależało nam na tem, aby dzieci uchronić od obcych wpływów nie tylko do czasu posyłania ich do szkoły, lecz tembardziej wtedy, gdy zaczęły chodzić do szkoły i z konieczności więcej po za naszym domem się znajdowały. Były więc tak opancerzone domowym wpływem, że wpływy szkoły i ulicy po nich się osunąć musiały. Trzeba było wytworzyć sobie osobny sposób wychowywania dzieci na obczyźnie, więcej odporny niż w kraju, tam, gdzie powietrze i otoczenie są polskie.

Widzieliśmy z żoną dalej, że choć niektórym rodzicom udało się rzeczywiście utrzymać dzieci w polskości, lecz tylko dopóty, dopóki nie zaczęły one próbować własnych skrzydeł i wtedy niestety stosunki przeciągały je na swoją stronę. Z tego mieliśmy naukę, i zastanawialiśmy się, co zrobić, aby i wtedy nasz wpływ był silniejszy od wpływu otoczenia, względnie one same były tak pewne, żeby im już nic nie zaszkodziło.

Tu silnie podkreślić muszę, że w nasze dzieci nie wszczepialiśmy nigdy nienawiści do innych narodowości, również do otaczającej nas, nawet wtedy, gdy już zrozumieć mogły nasz stosunek do niej i dowiedziały się, jakie krzywdy nam wyrządzano. Uczyliśmy je, że tak dobrze jak nas Pan Bóg stworzył polakami, innych stworzył też tem czem są, więc nie można ich za to nienawidzić, a tembardziej prześladować. A jeżeli silniejsze narody uciskają słabsze, to błędzą i prędzej czy później to się na nich zemścić musi.

Uczyliśmy nasze dzieci różnicy pomiędzy narodowościami, że obcą tylko szanować wypada, a swoją nakazuje nam Pan Bóg nadto kochać i wszystko to, co się z nią wiąże. Opieraliśmy to na nauce religji naszego Kościoła, w której zawiera się nakaz miłości ojczyzny i która nakazuje ojczyznę swoją miłować nie tylko w jej doli, ale tembardziej w niedoli. Dom nasz staraliśmy się utrzymać nie tylko czysto polskim, lecz zarazem niemniej katolickim, bo jedno drugiemu bynajmniej nie przeszkadza, lecz nawzajem uzupełnia się. Zrozumieć nie mogę, że są jeszcze tacy, którzy jedno lub drugie naprzód wysuwają, jakoby jedno od drugiego lepszem było. Narodowość z religją powinny iść zawsze w parze w całym naszym życiu i działaniu i pierwszą na podstawie drugiej ugruntowywać.

Uczyliśmy je dalej poszanowania wszystkich stanów, bez względu na to, czem kto jest. To też udał się chłopcu niezły dowcip. Słyszał on raz, jak rozmawialiśmy o pewnej pannie, która na zabawie nie chciała z szewcem tańczyć. Tego nie mógł pojąć, zwłaszcza, że widział w składzie obuwia, ile tam ludzi buty sprzedawało. I spytał: „Czemu to panny nie chcą z szewcami tańczyć, przecież oni tyle pieniędzy za buty dostają? Albo taki p. Gulcz, (znany rodak w kolonji berlińskiej, zajmujący się urządzaniem teatrów amatorskich), to też szewc, a jak on umie teatr odgrywać, że mógłby być dyrektorem teatru“.

Gdy powyższe zasady, nie mając jeszcze dzieci, objawiałem w kołach znajomych i na zebraniach, powiedziano mi: „Poczekaj, gdy tylko będziesz miał dzieci i zetkniesz się z rzeczywistością, to wtedy zmienisz swoje zdanie i ani się spostrzeżesz, jak to samo inaczej się ułoży“. Tych zapowiedzi wcale się nie obawialiśmy, gdyż byliśmy pewni swego.

Kiedy później mieliśmy już dzieci, a nasz system okazywał się dobrym, mówiono nam: „Niech tylko dzieci pójdą do szkoły, to wtedy zobaczycie, co się z nimi stanie“! Poszły do szkoły i chodziły latami jak wszystkie inne, a nasz sposób wychowania się ostał i temsamem wskazywał, że jest możliwość polskiego wychowania dzieci na obczyźnie, czego przedtem nie przypuszczano, i ogólnie, z małymi wyjątkami, nie wierzone, aby tego dopiąć można. Zaznaczyć wypada, że władze niemieckie w Berlinie mniej otaczały nas swą opieką w dziedzinie wychowania dzieci, niż rodaków w kraju, z wyjątkiem podrzędnych szykan, gdyż uważały, że samo otoczenie i stosunki całkiem je zastąpią. Dalej, nie mieliśmy tam nawet prawa żądać takich względów ze strony władz, jak rodacy w kraju, bo byliśmy bądź co bądź nie na swoich śmieciach. Jeżeli tedy ktoś z rodaków na obczyźnie pomimo swoich dobrych chęci dzieci na Polaków nie wychował, to sam temu winien, bo nie dopilnował swego obowiązku.

Nasz sposób wychowania dzieci polegał najprzód na porozumieniu się z żoną, jak go należy przestrzegać i jak się nim podzielić. Ja z powodu obarczenia pracą zawodową nie mogłem się tak dzieciom oddawać, aby je ciągle mieć na oku, służyłem tylko planem wychowania, spostrzeżeniami i wskazówkami. Za to żona, jako matka, była wykonawczynią omówionych wspólnie przez nas sposobów i strzegła dzieci pomimo innych zajęć domowych przez cały dzień. Ja sam, gdy tylko chwilę czasu miałem, dorywczo jej w tem pomagałem, zwłaszcza, że mieszkanie było zawsze przy magazynie, co mi ułatwiało komunikowanie się z rodziną.

Już jako kawaler abonowałem sobie „Przyjaciela Dzieci“ z Warszawy, którego nie tylko z zainteresowaniem czytałem, ale składałem w roczniki i przechowywałem. Czemu to już wtedy robiłem, nie umiem sobie dziś zdać z tego sprawy, ale te roczniki nam się później dla naszych dzieci przydały. Przyznaję się, że jeszcze dzisiaj lubię czytać książeczki, przeznaczone dla dzieci.

Nad kołyską — przepraszam nad wózkiem — śpiewano niemowlętom nasze pieśni, a gdy mówić zaczynały, uczyła je żona naszego pacierza. Następnie przywoziłem z Poznania książeczki z obrazkami i bajeczkami, któreśmy im objaśniali. Lubię sam śpiewać i znając dużo pieśni kościelnych i narodowych, często wyręczałem żonę w uczeniu tychże. Uczyliśmy je stopniowo w stosunku do ich rozwijającego się umysłu. O uszy dzieci obijała się już od zarania ich młodości tylko polska mowa. Im powinno się zdawać, że rodzice, jakby innego języka nie znali. Służąca była zawsze polka, o jaką w Berlinie nie trudno. Czuwaliśmy zawsze nad dziećmi już ze względów ogólnowychowawczych i nigdy nie pozostały bez naszej opieki. Raz tylko pozwoliliśmy sobie z żoną pójść razem na jakiś wieczorek, urządzony przez jedno z naszych towarzystw, zostawiwszy córeczkę na opiece osoby dorosłej. Gdyśmy wracali, już w sieni naszego domu słyszeliśmy zmęczony płacz dziecka, który tej „opieki“ nie zbudził. Postanowiliśmy tedy sobie, że dopóki dzieci tak dalece nie dorosną, by bez obawy na obcej opiece je pozostawić można, dopóty my się wspólnego opuszczania domu wyrzekamy. Większą dla nas przyjemnością niż osobista zabawa była pewność, że dzieciom nic złego się nie stanie.

Po skończonym piątym roku uczyliśmy dzieci nietylko z odpowiednich książeczek z obrazkami, lecz już powoli na elementarzu polskim, aby po polsku coś umiały zanim do szkoły pójdą. Tak kierując wychowaniem, nie nauczyły się mówić po niemiecku przed pójściem do szkoły, prócz tego, co im się na ulicy o uszy obijało, aleśmy pomimo to obawy o niemiecką naukę nie mieli. Rodacy, mający już starsze dzieci, zwracali nam uwagę na późniejsze trudności, jakie dzieci wskutek nieznamomości języka niemieckiego w szkole będą miały, lecz to nie zmieniało wcale naszego poglądu na wychowanie i nie pomyliliśmy się też, gdyż już po dwóch miesiącach po pójściu do szkoły najstarsza córeczka była pierwszą w klasie.

Syn, nie mogąc z powodu niedomagania nogi na razie chodzić do szkoły, brał obowiązkowe prywatne lekcje i tak był przysposobiony, że od razu przyjęto go do t. zw. seksty. Zatem nasz system okazał się zupełnie dobrym. Myśmy wychodzili z tego założenia, że w warunkach takich, w jakich żyć wypadało, rodzice nie powinni być nauczycielami języka używanego przez obce otoczenie, zato tembardziej baczyć na nieskażone nauczanie

ojczystego języka. Przecież my, wychodźcy z byłego zaboru pruskiego, cośmy się tu wychowali, dawaliśmy sobie na obczyźnie z niemieckim językiem dobrą radę, skąd tedy obawa o dzieci nasze urodzone w centrum niemieckim, tam gdzie już sama obca atmosfera po niemiecku je nauczy.

Naszym dzieciom wolno było odzywać się do nas, rodziców, nawet w obecności obcych tylko w ojczystym języku, choć już później niemiecki dobrze znały i dopiero, gdy dorosły, mogły w potrzebie brać udział w rozmowie z Niemcami. Przy zadaniach szkolnych przestrzegały dzieci same, aby jedno drugiego tylko po polsku pytało o wyjaśnienie jakiegoś przedmiotu.

Mówiono mi także z naszej strony, że nauczyciele żądają, by dla wprawy dzieci w języku niemieckim rodzice do nich w tymże języku się odzywali. Radziłem wtedy odpowiedzieć takim pedagogom, że oni są na to, a rodzice powinni dbać tylko o to, żeby dzieci ojczystego języka dobrze się nauczyły.

Braliśmy dzieci, stosownie do ich lat, na zabawy, urządzone w naszych towarzystwach dla dzieci, lub wszędzie tam, gdzie się z polskimi dziećmi spotkać mogły. Do kościoła chodziły, dopóki były mniejsze, zawsze z nami, nigdy same, lub nawet ze służącą. Zabieraliśmy je do krewnych w kraju, w celu poznania ich i stron ojczystych, jak również do polskich miejsc kąpielowych lub do takich, gdzie rodacy gromadnie się zjeżdżali. Wyzyskiwaliśmy każdy moment i miejsce, aby dzieci zapoznać ze wszystkim co polskie.

Tak długo, jak mogliśmy podołać, uczyliśmy je sami, a następnie prosiliśmy rodaków z zawodu nauczycielskiego o dawanie im lekcji, by wyprzedzać w polskiej nauce szkolnej. To też, gdy nauczyciele w szkole w wykładzie zadrasnęli o historję i literaturę naszą, wyjaśniając dzieciom ze swego stanowiska, nasze dzieci były poprzednio już tak przygotowane, że te wykłady nie wywarły żadnego wpływu na nie. Dwa przykłady przytoczę jako dowód.

Syn chodził do szkoły średniej realnej nie katolickiej, gdyż katolickich takich szkół w Berlinie niema. Wykładano w niej historję ze stanowiska narodowo-niemieckiego i protestanckiego, zwłaszcza, gdy chodziło o reformację Lutera. Przedmiot ten syn znał już naprzód ze stanowiska katolickiego z historii Jansena, to też wykłady nauczycieli pozostały bez ujemnego skutku. To samo było i z historją Polski. Syn był zwolniony z niemyśli

i podczas takiej lekcji, aby czasu nie tracić, z swojej klasy przechodził do innej. Razu pewnego wykladał w niej ordynariusz jego klasy o „Ostmarken“, rozwodząc się swobodnie z punktu widzenia szowinistyczno-niemieckiego. Naraz orientuje się, i pyta: „Czy B. jest obecnym?“ (Ist der Berkan da?). Syn wstaje i powiada, że tak. W tej chwili przestaje mówić na ten temat i zaczął o czem innym. Wiedział bowiem bardzo dobrze, że synowi tenże nie był obcy z innego punktu widzenia i stronnicze wykładanie w jego obecności go stropiło. Stało się to w jednej z wyższych klas.

To stopniowe uczenie dzieci urządzaliśmy tak, że n. p. pisma Sienkiewicza mogły dopiero czytać, mając już wyżej 18 lat. Chodziło nam bardzo o to, aby nie zawczasie dostawały do ręki książki takie, któreby nie odpowiadały ich rozwojowi umysłowemu. Dzieci powinny pozostać dziećmi i nie zawczasie dowiadywać się o rzeczach niestosownych dla ich wieku. Na to będzie czas później.

Mieszkał przez dłuższy czas w Berlinie emerytowany nauczyciel ś. p. Lubicz-Chojecki. Był to typowy polski pedagog, dobry polak i katolik. Kochał dzieci, umiał je do siebie przywiązać i znakomicie uczył pod każdym względem. Cały swój czas poświęcał tylko sprawom Polski. Wieczorami miewał wykłady w naszych towarzystwach, a we dnie dawał lekcje w domach polskich i to najczęściej bezpłatnie. Jemu to głównie zawdzięczamy wydoskonalenie dzieci naszych w języku polskim. Przywiązały się też tak do niego, że gdy później przeprowadził się do swej córki w Szczecinie, prowadziły z nim aż do jego śmierci ożywioną korespondencję, a raz go nawet, już jako dorosłe, przy sposobności tam odwiedziły, z czego się staruszek bardzo ucieszył.

Jak on uczenie dzieci rozumiał, to niech świadczy następujący przypadek. Uczył pewnego razu syna różnicy używania wyrazów przy nazwach, jak: kolor a maść, stadnik a wół i t. d. Po takiej lekcji syn mi opowiadał: „Ten p. Chojecki, on jest taki mądry, że wszystko wie, a gdy go spytałem, czemu to ludzie mówią na jednego konia wałach, a na drugiego klacz, to tego jednak nie wiedział“. Jak mnie to ucieszyło! To najlepiej świadczy o umiejętności uczenia dzieci. Chłopiec liczył wtedy 13 lat. Staruszek ten od kilku lat nie żyje, ale skutki jego nauczania pozostały. Niech mu Pan Bóg za to niebem wynagrodzi!

Córki posyłałiśmy do szkoły Urszulanek w miejscu. Starszą wysłałiśmy później na jakiś czas do znanego zakładu dla dziewcząt w Kościerzynie na Pomorzu, gdzie na żądanie rodziców dzieci cokolwiek po polsku uczono. Następnie wysłałiśmy je do zakładu Urszulanek w Belgji, w celu otarcia się pomiędzy ludźmi i uzupełnienia wykształcenia także w polskiem. Zakład ten był znany w Polsce, a musi być dobry, jeżeli na około 500 uczenic była mniej więcej połowa Angielek i to protestantek. Starsza córka była następnie przez rok w tym zakładzie nauczycielką dla polskiego oddziału.

Syna kierowałiśmy na rzemieślnika. Miał w szkole realnej doprowadzić do jednorocznej służby wojskowej, następnie wyuczyć się mego zawodu, wydoskonalić się w nim najpierw w Berlinie, a potem zagranicą i po powrocie ztamtąd osiąść na stałe w Poznaniu, by pracować w kraju. Przedsiębiorstwo w Berlinie przeznaczyłem dla brata. Dlatego syn miał osiąść w Poznaniu, a nie w innej dzielnicy Polski, ażeby nie ustępować stąd prusakom i polski przemysł pomagać tutaj rozwijać. On tak się z tem pogodził, że gdy pewnego razu pytał go jako chłopca jeden ze studentów: „Czem, Stachu, będziesz, gdy doróśniesz?“ — „Krawcem“, odpowiedział. „Czemu chcesz być krawcem? przecież lepiej być doktorem?“ — „Nie, wolę być krawcem“. — „Czy krawcom powodzi się tak dobrze, że dlatego nim chcesz być“. „O, tak, krawcom powodzi się nawet bardzo dobrze, ale wtedy, gdy panowie płacą“ — odpowiedział. Już go dalej nie pytał. Syn bowiem słysząc często moje narzekania na niepłacenie rachunków i zrzęcznie to zastosował, trafiając przypadkowo na takiego, co mi był sporo winien, choć syn o tem nie wiedział.

Złożyło się jednak inaczej z pokierowaniem syna co do jego późniejszego zawodu. Z biegiem czasu lekarze radzili z powodu zeszywnienia nogi w biodrze nie kierować go na krawca, gdyżby mu to niedomaganie przeszkadzało w wykonywaniu tego procederu, co mnie wreszcie przekonało i potem było mi już obojętnem, jaki zawód sobie obierze, gdyż każdy uważam za dobry. Skończył tedy szkołę i wybrał zawód prawnika.

Po złożeniu matury, zanim na uniwersytet poszedł, miał w Tow. Przemysłowców wykład na temat: „Narodowość, a religja“. Było to niejako publiczne zdanie egzaminu w polskiem.

Słuchacze nader pochlebnie wykład ocenili, a ja miałem zadowolone, że się w sposobie chowania syna nie pomyliłem. Później, gdy się władza uniwersytecka połapała, że choć w Berlinie wychowany, jest polakiem, nie wolno mu już było, jak wszystkim studentom - polakom, brać udziału w towarzystwach polskich.

Niech mi wolno będzie przytoczyć jeszcze jeden szczegół. Gdy później przebywał w naszym domu pewien pedagog z Małopolski, obserwując nasze domowe pożycie, rzekł: „Dziwię się, że w tej Sodomie i Gomorze, a szczególnie mieszkając na rogu ulic, gdzie się wszystko zło koncentruje, zdołaliście państwo dom czysto polski zachować i dzieci wasze tak wychować, że to zło najmniejszego wpływu na nie nie wywarło“.

Tylko tak ściśle nakreślonego planu przestrzegając, można było dokazać tego, co się nam udało. Same dobre chęci nie wystarczyły bez poświęcenia się obowiązkom domowym.

Nasza opieka otaczała dzieci dopóty, dopóki nie dorosły i ich charakter się nie ustalił. Wtedy można je było bez obawy w świat wysłać. Czytałem w „Czasie“ uwagę pewnego korespondenta, który miał sposobność poznać nasz dom, że gdy będziemy wracać do kraju, dzieci wsiądą do pierwszego wagonu za lokomotywą, by tem prędzej być w ojczyźnie.

Dodać jeszcze wypada, że chociaż w domu wieczorków regularnych dla znajomych gości nie urządzaliśmy, prócz sporadycznych, ze względu na miejscowych polskich księży, to jednak często gościliśmy różnych rodaków z kraju i obczyzny, którzy do nas z różnych powodów przybywali, przez co dzieci miały sposobność poznania ich, a przez nich stosunki w kraju.

Wreszcie przy tej sposobności podaję przezemnie napisany artykuł, drukowany swego czasu w „Dzienniku Berlińskim“, pod tytułem: „W sprawie wychowania naszej młodzieży“, a przedstawiający moje zapatrywania na wychowanie i lepsze szkolne wykształcenie dzieci na obczyźnie.

Berlin, piątek, 24 marca 1916 r.

W sprawie wychowania naszej młodzieży.

Piszą nam :

Kto śledził ruch kolonji tutejszej w kierunku wychowawczym, ten chyba spostrzegł, że od szeregu lat starają się niektórzy rodzice posyłać dzieci swoje do szkół wyższych. Gdy dawniej nie zwracano na to uwagi i rzadko kto odważył się wysyłać dzieci do „lepszey szkoły“, ten obecnie prawie w każdej takiej szkole — a jest ich dla chłopców około 60 we wielkim Berlinie — może spotkać ucznia z polskiego domu, a w niektórych nawet kilku. To samo dzieje się w mniejszym zakresie co do dziewcząt. Byłby to pocieszający objaw, bo świadczy o chęci lepszego wykształcenia dzieci, jak również o lepszym materialnem położeniu rodaków. Czy dzieci te szkołę ukończą i co z nich potem będzie, jeśli o stanowiska chodzi, w to nie wchodzę, mam raczej na myśli co z nich dla nas będzie. Patrząc na to od początku tego ruchu i widząc skutki, przychodzę do przekonania, że dzieci nasze, z wyjątkiem niewielkim, nie dla nas się wychowują. Z dorosłych z lepszym wykształceniem mamy dotychczas mało pociechy.

Może nie jeden, przeczytawszy powyższe zdanie, powie, że przesadzam, że za ponuro patrzę i widzę. Chciałbym się mylić, lecz niestety, potwierdzają mój pogląd dotychczasowe wyniki. Przyznaję, że jest lepiej pod tym względem, niż było dawniej, gdyśmy wogóle o tę tak ważną sprawę wcale się nie troszczyli, ale.... za mało „lepiej“! Z pewnością każdy z rodziców się ludzi, że ich dzieci będą takimi, jakimi oni je chcą mieć, choćby do wychowania niewiele ręki przykładali. Tymczasem stosunki są silniejszymi, niż ludzie i gdy dziecko dorasta lub dorośnie, wtedy spostrzegamy, że poszło inną drogą.

I co temu winno, że tak się dzieje? Otóż niezrozumienie obowiązków przez rodziców, ich obojętność, pobłażliwość i własna wygoda. Zdaje im się, że zdobywszy się na posyłanie dziecka do wyższej szkoły i płacąc za to, spełnili już swój obowiązek, resztę powinna szkoła zrobić.

Inni znowu twierdzą, że dzieci nie powinno się już w młodych latach osobną nauką obarczać poza szkolnymi zadaniami, wystarczy, gdy w późniejszych latach się to robi.

Są to mylne zdania, jak doświadczenie wykazuje, bo jeśli chcemy, aby dzieci nasze władały językiem ojczystym w słowie i piśmie, znały literaturę i historję naszą w stosunku do postępów w szkole, to nietylko je trzeba równolegle uczyć tych przedmiotów, lecz możliwie wyprzedzać plan szkolny. Tylko w ten sposób osiągniemy stopniowo cel.

Lecz jakże mają rodzice dokonać tego, żeby ich dzieci tę wyższą naukę języka ojczystego posiadały, jeżeli przeważnie tego sami nie umieją, lub czasu na to nie mają? Odpowiem na to pytanie: W jaki sposób dają dzieci uczyć muzyki na różnych instrumentach, choćby bębenkach, sportów i wiele innych mniej potrzebnych rzeczy? Wszak do tego poszukają kogo, co dzieci nauczy. Czyby dla polskiej nauki tego zrobić nie mogli? W takim mieście jak Berlin są zawsze rodacy, co z chęcią i dla zarobku lekcyj udzielać będą. Naturalnie, że to kosztuje, ale jeżeli ma się na to, aby dzieci do wyższych szkół posyłać, no i na różne dodatkowe lekcje, bez których prędzejby się obyć mogły, to w pierwszym rzędzie powinno się mieć pieniądze na naukę ojczystego języka.

No, ale może czasu na to nie starczy, bo dzieci już przy zadaniach szkolnych muszą się bardzo namęczyć. Odpowiedź ta sama, co powyżej: jeżeli na inne rzeczy czasu starczy, to i na polskie starczyć powinno, a nawet musi. A gdyby jednego z drugim pogodzić nie można z braku środków i czasu, to lepiej będzie, gdy wtedy ograniczymy się na szkole miejskiej, a za to damy dziecku polską naukę i polskie wychowanie. Bo co za korzyść będziemy mieli, gdy dzieci nasze damy wykształcić i posiadają może nawet wyższe stopnie naukowe, jeżeli one potem od nas się odwrócą!?

Jak często słyszy się dzieci mówiące jakimś dziwnym „żargonem“ i to dzieci nieraz znanych obywateli, działaczy w towarzystwach, a jak dopiero duch tego dziecka wyglądać może! Toć spostrzedz można, że dzieci rodaków tu od niedawna osiadłych, które w kraju się rodziły i pierwsze lata tam spędziły, zdążyły już w krótkim czasie nauczyć się wadliwie mówić po polsku.

Wyobraźmy sobie, że młodzieńcy tacy, skończywszy gimnazjum, poszli na uniwersytet lub jaką inną wyższą szkołę, czyż oni będą mieli odwagę łączyć się z kolegami, przybyłymi z kraju? Wstydić się będą nie władając dobrze językiem ojczystym i rezultat będzie taki, że się odsuną od nich i dla nas zginą.

A zatem, co zrobić wypada, aby cel osiągnąć? Przede wszystkim stworzyć należy w domu swojską atmosferę, silniejszą od wszelkich innych wpływów. Dalej, niech młodzież pomiędzy sobą utrzymuje stosunki, a to jest możliwem. Rodzice niech więcej czasu, pieczy i środków materialnych poświęcą dla niej, gdyż samo z siebie nic się nie robi. Jeżeli są tacy rodzice, co potrafili dobrze wychować swe dzieci, aczkolwiek jest ich nie wiele, to, co potrafia zrobić jedni, powinni umieć wszyscy. Pamiętajmy, że jest to naszym świętym obowiązkiem. Niech będzie więcej praktycznej miłości wobec dzieci naszych.

Na dwie rzeczy zwrócę jeszcze uwagę. Dając dzieciom wyższe wykształcenie, powinniśmy im dać lepsze wychowanie, idące jedno z drugim w parze. Najczęściej spostrzega się, że w szkole nauczą się wyższych nauk, a w domu dostaną elementarne wychowanie. W takim przypadku byłoby lepiej, gdyby posyłano je do elementarnej szkoły. Rzadko bowiem nabywają później sami z siebie potrzebnej im w życiu ogłady towarzyskiej i pojęć etycznych. Ale o tem możnaby osobny artykuł napisać.

Drugą rzeczą to ta okoliczność, że są rodzice, którzy posyłają córki nie do katolickiej szkoły (o chłopcach nie mówię, bo dla nich niema tu katolickich wyższych szkół), bądź to z wygody lub niezrozumienia. Chyba, że różnicę pomiędzy jedną a drugą szkołą powinniśmy znać. Jesteśmy tak dobrze katolikami, jak polakami, więc powinno nam chodzić o katolickie wychowanie i naukę, co nam te szkoły ułatwią. Wszak na nabożeństwa innych wyznań nie posłali byśmy dzieci naszych, a to jest prawie to samo. W Berlinie mamy cztery wyższe szkoły katolickie dla dziewcząt, a pomiędzy niemi takie, które uprawniają do jeszcze wyższych nauk i egzaminów. Prócz tego radzi się wysyłać dziewczęta po skończeniu lat 14-tu do kraju, aby tam szkoły kończyły.

Stosunek do rodzinnego domu.

Opuściwszy z 14-ym rokiem dom rodzinny, starałem się utrzymać z nim stały stosunek, najprzód z rodzicami, a następnie z rodzeństwem, zwłaszcza wtedy, gdy już własne gniazda zakładali. Nietylko listownie znosiłem się z nimi i jeszcze znoszę, lecz staram się przynajmniej raz na rok ich odwiedzić. Do odwiedzin wybieram możliwie koniec sierpnia, kiedy w tamtejszej parafji jest odpust św. Bartłomieja, na który krewni i dawni znajomi się zjeżdżają. Nawet miejscowi mieszkańcy przyzwyczaili się do moich odpustowych odwiedzin i uważają na to, czy przyjechałem, co mi widocznie za dobre poczytują. Jednego razu pomyliłem im rachunek co do odpustu, przyjechawszy dwa tygodnie wcześniej. Już przy wjeździe do wioski zauważyłem ich zdziwienie z powodu tak wczesnego przyjazdu, bo „czyby to już odpust w przyszłą niedzielę miał być, że B...nów Władek przyjechał, a przecież ksiądz jeszcze nie zapowiadał!“.

Wybieram ten czas i dlatego, by spotkać się ze znajomymi mi księżmi tego dekanatu, którzy z okazji odpustu tam przyjeżdżają i z nimi o różnych sprawach pogawędzić. Proboszczem tej parafji jest od wielu lat zacny człowiek, ksiądz M., nietylko dbający o jej dobro, lecz i działający dzielnie jako obywatel, z którym się dobrze rozumiem i z przyjemnością o miejscowych i szerszych sprawach rozmawiam. Jemu zawdzięcza się, że za pruskich czasów przeszedł w jego parafji wielki majątek z rąk niemieckich w ręce polskie, a drugi, mniejszy, w sąsiedniej parafji. Co to wtedy miało za ogromne znaczenie!

Prócz z bliższą rodziną komunikuję się z dalszymi krewnymi, tak ze strony mojej jak żony i również od czasu do czasu ich odwiedzam. Oni znowu w miarę możności odwiedzają nawzajem nas, przedtem w Berlinie, a tembardziej teraz, gdy w Poznaniu mieszkamy. Nawet ś. p. Ojciec, już jako staruszek, odważył się na tak długą podróż i dwa razy nas w Berlinie odwiedził. Raz zabrałem go z sobą do Poznania, aby pokazać mu większe polskie miasto i nasze kościoły, które mu się bardzo spodobało.

To komunikowanie się z rodziną wywarło dobry wpływ na dzieci rodzeństwa. Pamiętałem o nich z okazji pobytu w Poznaniu, skąd im polskie książeczki przysyłałem lub przywoziłem,

na których uczyły się czytać po polsku. A chętnie garnęły się do polskiej nauki i przy każdej sposobności zdawały z postępów teje egzamin przedemną. Bowiem rodzice, mieszkając na wsi, nie mogli się dziećmi w tym kierunku zająć, jak tego była potrzeba.

Spowodowałem też, by w ich domu była zawsze polska gazeta, która w ówczesnych warunkach zastępowała polską naukę w szkole i była najczęściej w rodzinach jedyną polską lekturą nietylko dla starszych, lecz i dla dzieci, zwłaszcza, że każda redakcja dawała co tydzień lub miesiąc osobny dodatek dla dzieci. Gazetom naszym zawdzięczamy, że dużo dzieci nauczyło się na nich czytać po polsku. Skoro gazeta polska była w domu, to o dzieci nie było obawy, gdyż one już z ciekawości do niej zaglądały. A rozszerzyły się one tak, że prawie w każdej najuboższej rodzinie czytano. Starsze dzieci nauczywszy się od rodziców, a najczęściej od kogo we wsi, czytać i pisać, uczyły potem w rodzinie młodsze i w ten sposób nowe pokolenie po polsku się nauczyło.

Starszy brat, nie dbając o znaczenie czytania gazety, nie chciał zrazu słuchać o zaabonowaniu jej. Umówiłem się tedy z jego dziećmi, że im na pierwszy kwartał gazetę na pocztie zapiszę, a później muszą już sami o niej pamiętać. Byłem pewien, że gdy raz gazeta będzie w ich domu, to się tak przyzwyczają, iż nie będą się nadal mogli bez niej obyć. I nie omyliłem się! Wnet do gazety się przywiązali, tak, że listowego odczekać nie mogli, który im z poczty przynosił. Brat sam pogodził się z tak pożytecznym gościem w domu i choć gazetę nie zawsze czytał, będąc pracą znużony, to musiały mu dzieci regularnie czytać i z czasem mu już za mało wiadomości podawała.

Dziewczęta o tyle w polskim się wprawiły, że z nastaniem polskiej szkoły, po paromiesięcznem przygotowaniu się na osobnych kursach, mogły w braku seminaryjnie wyszkolonych sił z pożytkiem uczyć dzieci w szkole.

W pierwszych latach mego pobytu w Berlinie miałem tam kolegę z moich stron, który ze swoich oszczędności posyłał rodzinie lub przywoził drobne podarki, czego ja znowu nie robiłem. Miałem bowiem inne wyrachowanie. Takie drobnostki sprawiały może przyjemność członkom rodziny, ale uszczuplały i tak nie wielkie zaoszczędzone zasoby, które miały być w przyszłości

podstawą urządzenia własnego warsztatu i skromnego mieszkania. Było trzeba już zawczasu pamiętać, że kiedyś wypadnie o własnych siłach stanąć i każdy grosz będzie do tego potrzebny.

Wykazało się później, że miałem rację. Te drobne grosze, jakie byłbym na podarki wydał, nadzwyczaj mi się potem przydały i sprawiły to, iż bez uszczerbku nie jednemu z bliższej i dalszej rodziny w razie potrzeby w większej mierze mogłem służyć pomocą, co oni wtedy sami uznawali. Jeżeli o tem wspominam, to dlatego, że nawet w takich przypadkach wiedzieć trzeba, jak i kiedy sobie ze skutkiem wzajemnie pomagać. Interesuje mnie powodzenie rodzeństwa, szczególnie ich dorobek, jak inwentarz u nich się chowa, czy sprzęt dobry, a u tych, co nie na roli są, jak ich interesy idą. Jestem o tem zawsze dostatecznie poinformowany i cieszę się, że prawie wszystkim powodzi się nie źle, a niektórzy do względnej zamożności doszli.

Już dawniej przekazał mi ojciec swoją posiadłość na własność, aby po jego śmierci pozostała w rodzinie, gdyż uważał, że w moich rękach, jako materialnie najsilniejszego, najpewniej się utrzyma. Mieszkając gdzieindziej, dokładałam do tego „interesu“, ale za to czuję się obywatelem rodzinnej wsi i gdy tam przyjadę, miło mi przestąpić stare progi jako moją własność i przywitać się z gruszą, stojącą przed chatą, z którą razem rosłem, bawiłem się pod nią, rwałem i strącałem z niej owoce, a przyjeżdżając później do rodziny, gawędzę w jej cieniu z mieszkańcami wioski, jakby w „Wieczorach pod lipą“.

Pewnego razu siedziałem na ławce pod tą gruszą ze starym, długoletnim organistą tej parafji, który jako emeryt chciał się przenieść na stałe do swej córki, mieszkającej o więcej mil stamtąd. Odradziłem mu tej zmiany, wskazując na gruszę, która by uschła, gdyby ją przesadzono na inne miejsce. I staruszek nie wyprowadził się.

Mają na tę posiadłość ochotę nabywcy, zwłaszcza sąsiedzi, perswadując mi, że i tak jej nie użytkuję i chcą mi odpowiednio zapłacić. Odpowiadam im na to, że tyle pieniędzy, co ona jest warta, nikt nie ma i nie będzie miał, bo tak długo, jak żyć będę, jej nie sprzedam, a potem ją syn przejmie.

Gdyby skutek okoliczności nie wypadło mi zamieszkać w większym środowisku pracy, to osiadłbym w owej rodzinnej wiosce, by tam wreszcie przy kościółku złożyć swoje kości.

Jak zaprawiałem się do publicznej działalności; działalność sama, oraz stosunek do władz.

Pisałem już poprzednio, że w domu ojca mego abonowano raz na tydzień wychodzącą gazetę, a że od wczesnej młodości lubiłem lekturę, więc ją skwapliwie czytałem. Później podczas nauki rzemiosła, miałem już lepszą do tego sposobność, gdyż majster abonował wychodzącą dwa razy na tydzień. Następnie stopniowo przechodziłem do codziennej. Jako chłopiec, czytałem może więcej z ciekawości, by się dowiedzieć, co też gazeta pisze, a powoli zaczęły mnie widocznie te wiadomości gazeciarskie interesować, z czego sobie dzisiaj już sprawy zdać nie mogę. W każdym razie czytałem. To samo i z książkami, gdy mi się jaka do ręki dostała. Niezawodnie też wskutek czytania wyrabiał się u mnie zawczasu — może mimowoli — pogląd na politykę i sprawy społeczne, a z nim chęć do brania udziału w nich.

Pod tym względem kierowałem sobą sam, nie mając od nikogo wyraźnych wskazówek, ale i przeszkód. Szedłem więc drogą, jaką mi własny instynkt wskazywał i czułem, że była dobrą. Obawy o wykolejenie się przez czytanie niewłaściwych pism u rodziców nie było, gdyż do naszych domów pisma takie nie miały dostępu. Wogóle to moje garnięcie się do czytania pochwalano w całej wsi.

W takiej atmosferze wyrastałem. Rodzice starali się nas, dzieci, wychować po bożemu, lecz to było wszystko, co nam na drogę życia dali, a co mi zupełnie wystarczyło, bo wyrabiało charakter i dało podwalinę mej przyszłości, nadto obronę przeciw wszelkim zboczeniom życiowym, wskutek czego potrafiłem rozemnić zło od dobrego i nauczyłem się pierwszego unikać. To też nawet później z gazet i książek czytałem tylko te, które do moich pojęć i zasad dostosować mogłem. Dopiero, gdy charakter się ustalił, czytałem i to, co mi się nie podobało, choćby dlatego, by i zło poznać, które mi już nie szkodziło. W ten sposób wyrabiało się i poczucie obowiązku.

Wolnego czasu na kształcenie siebie miałem nadzwyczaj mało. Od 14-go do 18-go roku mego życia w dni powszednie nie było go wcale, z ledwością parę godzin w niedzielę lub święta mogłem sobie na to pozwolić. W następnych dwóch latach miałem go już więcej, bo chociaż tylko całe niedziele, a i inna sposobność do kształcenia się była. Wyzyskiwałem więc tę trochę

wolnego czasu jaknajmniej na zabawienie się, a więcej na pożyteczne rzeczy.

W dalszych latach było już coraz więcej czasu i sposobności, szczególnie w Berlinie. Nie było to jeszcze jak dzisiaj, że nie wiedzą robotnicy co z wolnym czasem począć, gdyż pracowało się 12 do 14-tu godzin na dobę, a czasem i więcej, ale pomimo tego miałem jednak poza pracą zawodową więcej swobody niż przedtem. Sypiać starałem się 7 do 8 godzin dziennie, a gdy było czasem mniej, to także starczyło. Poza tem byłem zawsze czynnym. Nawet na zabawy, urządzone przez nasze towarzystwa, zrazu wszędzie zdążyłem.

Tak spędzałem czas aż do mego osiedlenia się. Bylbym dla poznania szerszego świata i dalszego kształcenia się jeszcze za granicę wyjechał, lecz musiałem pamiętać o przysłowiu, że „kamień tylko wtedy obrasta, gdy na jednym miejscu leży“. Bowiem przez zmienianie miejsc materialnie na razie się nie zyskuje. Poza tem Berlin co do wykształcenia fachowego aż nadto wystarczał, gdyż krawiectwo było w owe czasy nie gorsze niż w Paryżu i Londynie, a poniekąd nawet dokładniejsze i solidniejsze.

Starałem się więc czas wyzyskać i dzielić go tak, żeby zawsze korzyść przyniósł. To weszło mi tak w krew, że do dzisiaj nie umiałbym ani chwili być bezczynnym. Nawet wtedy, gdy na rozstrój nerwowy cierpiałem i lekarze zalecali mi spokój, to ja szukałem jakiejś czynności, gdyż bezczynność na mnie źle oddziaływała.

Założywszy następnie własne przedsiębiorstwo, które dla publiczności było otwarte od godz. 8-mej rano do 8-mej wieczorem, byłem w tym czasie pierwszy i ostatni na miejscu, już choćby dlatego, że odbiorcy, przychodzący do mnie, mię widzieli. Poza tem pracowałem jeszcze poza temi godzinami, zwłaszcza wieczorem.

Jeżeli z powodu mej publicznej działalności sądzono w kraju, że robię to niezawodnie z uszczerbkiem moich obowiązków zawodowych lub rodzinnych, o czem często mi mówiono, to się mylono, gdyż nigdy czasu przeznaczonego mojemu przedsiębiorstwu nie zużywałem na publiczne sprawy. Robiłem to poza godziną 8-mą wieczorem lub w niedzielę i święta. A jeśli bywałem w kraju na zebraniach, łączyłem to zawsze ze swoimi osobistymi interesami, które koszty podróży pokrywały.

Zatem i w takich przypadkach interesy z sobą nie kolidowały. Potrzebny dla rodziny czas również się jeszcze znalazł, zwłaszcza, że mieszkanie było zawsze przy magazynie. Nawet jeżdżenie na wywczasy przynosiło mi nieraz mimowoli materialną korzyść, spotykając się tam z odbiorcami.

A więc starałem się obowiązki publiczne z obowiązkami domowymi zawsze uzgodnić i pierwsze drugim podporządkować, jeżeli tego zaszła potrzeba. Zależało mi na tem, aby przewodnictwa w domu z rąk nie wypuścić, gdyż przedewszystkiem powinno być spełnienie obowiązku domowego, a potem publicznego. Drugi na pierwszym opierać się powinien i źle ten robi, co inaczej się urzęda.

Znałem takich, którymby się mogło dobrze powodzić, bo byli dzielnymi fachowcami, lecz zasmakowawszy w działalności publicznej, zaniedbali domowe obowiązki i rodzina często nie miała co jeść. Tacy niestety są w kraju i na obczyźnie. Ich działalność nawet sprawie korzyści nie przynosi, choćby dlatego, że jest złym przykładem.

Odwrotnie, działalność publiczna dla swoich osobistych interesów jest także nagany godna i nie zaleca się. Niestety jest takich wielu, co dlatego publicznie działają. Przypomina mi się pewien szewc, który się użalał, że już wiele lat do towarzystwa należy i nawet urząd sprawował, a nikt jeszcze u niego ze współdziałających nie dał pary butów zrobić. Taka społeczna praca również sprawie korzyści nie przyniesie. Ja się tego wystrzegałem.

Dziwnym zbiegiem okoliczności przez cały czas mego pobytu w Berlinie, władze jakiegobądź nie zaprzęgały mnie do żadnej obywatelskiej roboty. Moich współpracowników brano na ławników w sądach lub do innych czynności, a mnie całkiem pomijano. Nie przypuszczam, żeby to się działo ze względu na mój udział w towarzystwach naszych! Tylko przez pewien czas do niemieckiej zawodowej organizacji należałem, co mi zresztą mało czasu zabierało. To też czas wolny od zajęć zawodowych mogłem naszym sprawom poświęcać.

Do pracy publicznej nie pchałem się gwałtem. Jeżeli to, co potrzeba było robić, robili inni, to ja ograniczyłem się na popieraniu ich pracy. Co innego, gdy nikt do tej roboty się nie

zabierał. Również na posiedzeniach towarzystw i publicznych zebraniach nie zabierałem głosu, gdy bez moich uwag obyć się mogło.

Ale mimo to było wypadków takich dużo, że dawałem inicjatywę i w czyn ją wprowadzałem. Jeżeli potem stanąłem na czele jakiejś organizacji, szczególnie nowej, to nie ja się na czoło wysunąłem, lecz mnie wysunięto, i stałem tak długo, dopóki mogłem pogodzić to z moimi innymi interesami i dopóki mnie inni nie zastąpili.

Przyznaję coprawda, że nie lubiłem chodzić za plecami innych, bo jako małego wzrostu, nie widziałem wtedy nic przed sobą, gdyż plecy idących przedemną zasłaniały mi widnokrąg. Mam nawet zwyczaj wyprzedzać przechodniów na ulicy, którzy mi drogę zasłaniają. Lecz to jeszcze nie dowodzi, abym chciał przewodzić. Nieraz lubiłem stać w cieniu, lub suflerować, byle sprawa na tem zyskała. A znalazł się jaki godniejszy odemnie, chętnie mu miejsca w przewodnictwie ustępowałem.

Zresztą moje wysunięcie się naprzód nie szkodziło tym, co szerokie plecy mieli i odemnie wyższymi byli, gdyż oni mogli ponad moją głowę widzieć to, czego ja, za nimi stojąc, widzieć nie mogłem. Zupełnie jak na jakimś widowisku. A skutek był ten, że zamiast jeden, widziało nas dwóch to, co się na przodzie działo. Lubiałem też, według zasady Rockefellerera, przestawać z ludźmi mądrymi, aby od nich czegoś się nauczyć, przez co zyskiwałem wiadomości, któremi dzieliłem się następnie z tymi, co tej sposobności nie mieli i mniej odemnie wiedzieli.

Gdy mój przyjaciel, nieprzeciętnie inteligentny rzemieślnik, pewnego razu na moją zachętę, by do towarzystw chodził — zrobił uwagę: „Po co mam chodzić, wszak tam już niczego się nie nauczę“, to mu odpowiedziałem, żeby dlatego chodził, aby inni od niego się uczyli. Ten później nawet po polsku mówić zapomniał.

Jako członek, należałem do 10-ciu towarzystw w Berlinie i do tyluż w kraju. Do ostatnich tylko składowi płaciłem, zaś w pierwszych byłem według możliwości czynnym. Prócz tego miewałem na wezwanie wykłady w innych towarzystwach i byłem czynnym w kilku organizacjach.

Nowych towarzystw tworzyć mało pomagałem, gdyż byłem przeciwnikiem zakładania zbytecznych. Za to pomagałem organizować związki z istniejących towarzystw, gdyż te były potrzebniejsze.

Przy kierowaniu zebraniem zachowywałem zawsze zimną krew i starałem się być bezpartyjnym. Mam zawsze w pamięci, co pewien mądry gospodarz w mojej rodzinnej wsi mawiał: „Do nóg grzaną cegłę przykładaj, ale do głowy — lód“. Nigdy muwiącemu nie przerywałem, choćby nudził, jeśli rzeczowo mówił, gdyż wiedziałem, że to go może zniechęcić, przez co straci zaufanie do mego przewodnictwa. Wszak w parlamentach pozwalają na długie przemówienia, choć nieraz one doprawdy nudzą. Złe przewodniczenie tak samo razi, jak fałszywy ton w muzyce lub śpiewie. Z biegiem czasu nabrałem wprawy w przewodniczeniu i nie trudno mi było stwierdzić, czy kto do rzeczy mówi, albo nie. Przyznaję, że do przewodniczenia nie każdy posiada potrzebny spokój i dar rozpoznawania tego, co kto mówi. Również kierownik zebrania musi umieć je opanować i nie wypuścić cugli z rąk, bo pójdzie mu, jak woźnicy, co nie umie końmi kierować, poniosą go, zwłaszcza młode.

Pewnego razu znajdowali się socjaliści w znacznej większości na naszym zebraniu, które już godzinę przedtem swoimi ludźmi obsadzili. Byli aż nadto pewni, że opanują zebranie i uchwalą to, co będą chcieli. Lecz zrobili rachunek bez gospodarza. Najprzód zilustrowałem spokojnie z estrady zebranie, a widząc ich pewność i ironiczne uśmiechy, miałem to życzenie, by hałasy wywołali. Co się też stało. Po trzykrotnem bezskutecznem zawieszeniu zebrania miałem dostateczny powód do zamknięcia go. Spostreegli się zapóźno i przywódcy byli potem źli na towarzyszków, że hałasowali. Ja zaś triumfowałem.

Osobiste i często niesmaczne zaczepianie mnie, szczególnie jako prowadzącego zebranie, nie mogły mnie nigdy z równowagi wyprowadzić i zawsze wiedziałem, co na nie odpowiedzieć. Kiedy pewien znany demagog wiecowy, działający ujemnie swymi przemówieniami na masy robotnicze (obecnie niestety nawet jest posłem do sejmu) wymyślał jednego razu na posiedzeniu Związku Towarzystw, że tylko starzy rej wodzą, co mają wsteczne, przestarzałe poglądy, tamujące postęp i t. d., kierując te uwagi w moją stronę, to go tylko spokojnie spytałem, tak po „ludowemu“: „Gdy Pan będzie w moich latach, czy będzie wtedy głępszym lub mądrzejszym, niż teraz jest?“. To na odpowiedź wystarczyło, zapłonął jak burak, i — zaniemówił, a obecni wybuchnęli śmiechem. Na dobry grunt ta odpowiedź jednak nie padła, bo jeszcze dziś takim samym jest, jak dawniej.

Jeden z członków „Towarzystwa Młodzieży w Berlinie“ nierównoważony jeszcze, ale inteligentny i ocytany, tylko że nie przebierał w tem, co czytał, więc to go wykolejało — zapomniał się w dyskusji, wyrażając się według utartego frazesu, że „przyszłość tylko do młodych należy“ i t. d., na to mu również pytaniem odpowiedziałem: „Czy po 10-ciu latach nie będzie więcej umiały niż teraz?“ Zapamiętał to sobie i gdy później spotkaliśmy się we Lwowie, wyznał mi po synowsku, że ta odpowiedź zwróciła go na właściwą drogę. Widocznie grunt u niego nie był jeszcze zepsuty.

Ktoś mądrze powiedział: Każdy młody uważa się za jedynie mądrego, dopóki nie zmądrzeje. A gdy nie zmądrzeje ?!

Na zebraniach staram się mówić szczerze i z przekonania, co odnosi dobry skutek, ale są i tacy, co mi tę szczerłość za złe biorą, lecz to mnie bynajmniej nie zraża. Frazesów nie lubię.

Mam zwyczaj mówienia do obecnych na zebraniach, a nie do tych, których tam niema, czyli nie po za „okno“, choć najłatwiej właśnie wymyślać na nieobecnych, bo się bronić nie mogą i znajduje to posłuch u tłumów. Ten sposób mówienia uważam za niegodny i niewłaściwy — za demagogię.

Głos mój w przemówieniu na zebraniach dostosowuję do wielkości sali i liczby obecnych, tak, żeby mnie każdy słyszał i rozumiał. Do tysięcy zebranych zwykłem mówić głosem donośnym, odwrotnie, w mniejszej sali i do mało ludzi nie wysilam się i nie „krzyczę“, wolę głosu „oszczędzać“. Wiem, że głośne mówienie na tłumy działa, gdyż nieraz słyszy się zdanie słuchaczy z ludu, że mówca „tak mówił, aż się spocił“, ale tacy mówcy tylko z braku argumentów głośno mówią, no i się... poca. Mnie się jeszcze nie zdarzyło, żebym przy mówieniu się spocił, choćbym jaknajdłużej i w dodatku w upał przemawiał. Ale znowu niechętnie mówię, gdy na sali jest zimno, gdyż brak mi wtedy tego właściwego „ciepła“ do mówienia.

Przemówienia swe staram się, prócz argumentami, zaprawiać dowcipami, a często i satyrą, jeśli tego jest potrzeba; nawet wtedy, gdy wypada mówić o poważnych sprawach, by przemówienie nie było monotonne, zbyt suche, gdyż wtedy niechętnie słuchają. Mnie się zdaje, że gdybym był księdzem i prawił z ambony, tobym też jeszcze jakie dowcipy w kazanie wplatał.

W dyskusji lubię być w potrzebie „ciętym“, a szczególnie bić przeciwnika jego własną bronią.

Ludzi, z którymi wypadło mi współpracować, starałem się wprzód obserwować, a następnie, podług ich czynów, oceniać. Rzadko kiedy się potem myliłem.

Gdy kto nieżyczliwy ze mną „zadarł“ (bo i to się zdarza u tych, co publicznie działają), a chodziło tylko o moją osobę, to pomijałem to milczeniem, będąc pewnym, że mnie to nie zaszkodzi, chyba jemu; ale gdy o sprawę chodziło, to potrafiłem być w potrzebie nawet przykrym, stosując się do słów św. Tomasza: „Gdy cię kto w twarz uderzy, a o sprawę chodzi, to oddaj mu, ale z tem większą siłą“. Czyli, że nie rzucałem wtedy za kimś chlebem, jeśli mnie kamieniem uderzył.

Gdy mi powiedziano, że na jakimś zebraniu w mojej nieobecności mnie obmawiano, to słowami Sokratesa ze spokojem odpowiedziałem, że „mogli mnie i obić, jeśli mnie tam nie było“. Na takim pojmovaniu zwykle dobrze wychodziłem. Gdyby człowiek, publicznie działający, miał się lada osobistym zarzutem zrażać, toby nie mógł nic zrobić. Musiałby, jak Abram w „Kłusowniku“ mówi, „ciągle w sądzie siedzieć“.

Do nowych prądów politycznych i społecznych nie zapalałem się, lecz je wprzód badałem i gdy uznałem za dobre, wtedy dopiero przyswajałem je sobie. Z tem, jak z każdą modą, nie wszystko dobre, co nowe. To też często szedłem przeciwko prądowi, gdy tego było potrzeba, bo, jak dr. Posadzy trafnie powiedział: „Tylko zdechła ryba płynie z prądem“. Trzeba mieć odwagę w danej chwili, by na zło zwrócić uwagę, bo „postępowy paraliż jeszcze nie jest postępem“. Nie dowodzi to wcale, bym nie szedł z dobrym i zdrowym postępem czasu, przeciwnie: uważam się za największego postępowca.

Wbrew moim przekonaniom, czy to politycznym, narodowym lub religijnym nie robiłem nic, wolałem walczyć lub ustąpić, jeśli ustąpienie moje uważałem dla sprawy na razie za korzystniejsze. Dla tego nie należę do żadnej partji politycznej, któraby mi czasem mogła nakazać iść przeciwko mojemu sumieniu, lub choćby tylko milczeć wtedy, gdybym widział, że dąży do tego, co za złe uważam. Dziś mogę z zadowoleniem stwierdzić, że swoich zasad i przekonań nie potrzebowałem począwszy od młodości zmieniać, różnica tylko ta, że mogę je teraz oprzeć na doświadczeniu.

Łokciami w życiu nie rozpychałem się i nie uczynię tego, choć mnie ze względu niby na dobro sprawy do tego zachęciano, gdyż jestem zdania, że wysunięcie się w ten sposób naprzód sprawie korzyści nie przyniesie. Niestety, zwłaszcza teraz jest taki czas,* w którym tylko ludzie z mocnymi łokciami naprzód się wydostają. Ja wolę skromną rolę, bez narzucania się. Czy z tem dalej zajdę, w to nie wchodzę, sądzę, że na dłuższy dystans tak.

W każdej sprawie starałem się i staram trzymać śródka, gdyż „prawda nigdy w ekstremach nie leży“. Kto, idąc drogą, zbacza zanadto na lewo lub na prawo, zawsze do rowu się dostanie. Czemuż tedy nie iść środkiem! To pewniej.

Ten sposób chodzenia po drodze życia nigdy mnie nie zawiódł, czy to w sprawach prywatnych lub publicznych. Jak często mi potem mówiono, że spełniło się tak, jak przepowiedziałem. Do tego nie potrzeba być prorokiem, wystarczy zimny obrachunek. Wszystko w życiu trzeba obliczać według reguły matematycznej.

Jeśli chodzi o moją osobistą sprawę, to mogę z nią robić, co mi się podoba, ale nigdy nie wolno mi eksperymentować w sprawie, którą mi powierzono.

Pozwalam sobie twierdzić, że do pracy publicznej trzeba się naprzód powoli zaprawiać, a tembardziej do poselstwa, i mieć mocny grunt materialny pod nogami. Kto w innych warunkach to robi, ten sobie i społeczeństwu szkodzi. Już dawno temu, gdy pewnemu młodemu posłowi do niemieckiego parlamentu (który o ten mandat się bardzo ubiegał) powiedziałem, że pracy publicznej nie zaczyna się od mandatu, lecz na nim kończy i przepowiedziałem mu, co go czeka. W pół roku później przyznał mi rację, gdy spostrzegł, co do tego potrzebnem jest, a mianowicie, że nie miał z czego żyć, bo wtedy do parlamentu djet posłom nie płacono. (Do sejmu naszego o mandaty dla samych djet niektórzy się ubiegają!)

Gdy utworzono w Poznaniu przed więcej laty bezpartyjny „Związek Narodowy“ z różnych warstw społeczeństwa, wybrano i mnie do wydziału (nie pytając wprzód, czy chcę i mogę ten obowiązek przyjąć). Nie będę opisywał jego zadania, bo go wszyscy pamiętają. Bywałem na zebraniach wydziału tylko do-

rywczu, według tego, jak mi moje osobiste interesy na to pozwalały. Omawiano na nich różne bieżące społeczno-polityczne sprawy, które mnie interesowały.

Na jednym z takich zebrań zajmowaliśmy się bardzo ważną sprawą: Czy na zaproszenie, względnie rozporządzenie cesarza, godzi się wziąć udział w poświęceniu nowo zbudowanego cesarskiego zamku. Przedstawił tę sprawę jeden ze znanych adwokatów, tak „po swojemu“. Z jego przemówienia było można wyczuć, że będzie lepiej, gdy na zamek pójdziemy. Następne przemówienia innych, szczególnie ziemian, były już wyraźniejsze i radzili ci panowie, żeby cesarza nieobecnością naszą nie gniewać, bo mogą być z tego dla nas nieprzyjemne skutki. Wywłaszczenie, które wprawdzie wstrzymywano, ale które wisiało nad nami, jak miecz Demoklesa, mogło być od razu zastosowane wobec nas, jak również nowe ustawy i rozporządzenia antypolskie możemy przez to spowodować. Zanosilo się więc na tem zebraniu na to, że może się znaleźć większość za wzięciem udziału.

Pierwszy stanowczo oświadczyłem, że nie wolno nam niżej godności naszej pójść na zamek i dowodziłem, że przed następstwami nie potrzebujemy mieć obawy, skoro nasz obowiązek zawsze i wszędzie spełnimy. Twierdziłem dalej, że myśmy się najwięcej sami wywłaszczali wtedy, gdy jeszcze komisji kolonizacyjnej nie było, zaś podczas istnienia tejże, gdyśmy wskutek odebranych cięgow i zorientowania się z naszej strony wzięli do gospodarstwa, tośmy nietylko, jak statystyka wykazuje, straty powetowali, ale nawet jest jeszcze jakiś dorobek, co dowodzi, że utrzymanie stanu naszego posiadania ziemi nie od komisji kolonizacyjnej, ale od nas samych zależy. A jeżeli kto z nas chce koniecznie na zamek iść, tego gwałtem wstrzymać nie możemy, lecz nie wolno mu reprezentować naszego społeczeństwa, gdyż ono tego nie chce. Być może, że jaki królewski szambelan lub jaki inny dostojnik, dostanie nakaz wzięcia udziału, to już jest rzeczą jego sumienia, czy ma pójść lub też nie pójść na zamek. Ja gdybym w tem położeniu był, to wolalbym prędzej przed progiem tego zamku nogę złamać, niż go przestąpić. To poskutkowało tak, że już nie było mowy o oficjalnem wzięciu udziału. Moje wywody poparł przewodniczący tego zebrania, dodając, że stryj jego wolał swego czasu szambelaństwo złożyć, niż pójść na cesarski obiad.

Niezawodnie z powodu mej publicznej działalności w Berlinie stawiano na zebraniach wyborczych w kraju moją kandydaturę do sejmu pruskiego i do parlamentu niemieckiego. Nawiasem powiedziawszy, zawsze bez porozumienia się ze mną. Robiono to widocznie w dobrej wierze, bo liczone na to, że ja, mieszkając w Berlinie, będę mógł tego obowiązku łatwiej dopilnować. Nie mogłem jednak mandatu przyjąć, dopóki miałem przedsiębiorstwo, gdyż dwom tym obowiązkom nie mógłbym jednocześnie sprostać. Jeden albo drugi musiałyby ucierpieć lub nawet obydwa.

Pewnego razu przyszedł do mnie w jakimś interesie poseł G. i wszedłszy, jak zwykle, z humorem mnie pozdrawia: „Dobry wieczór koledze!“ „Czemuż nazywa mnie pan kolegą!“, pytam go i przypominam mu zdarzenie z czasów Bismarcka, który na przechadzce podczas recepcji w ogrodzie swoim doktora Laskera, znanego przywódcę narodowych liberałów, ujął pod ramię, chcąc go dla swojej polityki skaptować i mówi mu: „Wir werden nochmal Kollegen!“ (my jeszcze będziemy kolegami), na co Lasker dowcipnie odciął: „Durchlaucht wollen doch nicht Rechtsanwalt werden?“ (Księżę chyba nie zechce zostać adwokatem?). Na to p. G. odpowiada: „To pan sądzi, że ja może krawiecki magazyn otworzyć zamierzam?! Nie to! Otóż wczoraj w uzupełniających wyborach do sejmu pruskiego wybrano pana na kandydata i z postawionych kandydatów ma pan największe szanse“.

Podziękowałem mu za tę wiadomość i oświadczyłem, że jego kolegą narazie być nie mogę, gdyż moje prywatne obowiązki na to mi nie pozwalają. Na drugi dzień wyjechałem do Poznania i gdy tam mi tę wiadomość potwierdzono, napisałem do Centralnego Komitetu Wyborczego, że kandydatury nie przyjmę.

Przed wyborami do parlamentu niemieckiego w roku 1912 nakłaniał mnie posłowie, abym, nie mając już przedsiębiorstwa, zgłosił swoją kandydaturę do Komitetu Wyborczego jakiego okręgu, czego nie uczyniłem, uważając to jako narzucanie się wyborcom.

Członek zarządu pewnej partji mówił mi, że gdybym do nich należał, toby mnie na kandydata w pewnym okręgu postawiono. Porządnie go za to zgromiłem, robiąc mu uwagę, że nie z powodu zdolności danej jednostki jego partja na kandydatów stawia, lecz dla przynależności do niej i oświadczyłem, że swoich przekonań za mandat poselski nie sprzedam.

Również koniecznie namawiano mnie, abym kandydował na Mazurach, ale miałem, jako z nadgraniczy mazurskiej pochodzący, udawać mazura i imię moje na „Wilhelma“ na czas wyborów zamienić, za co ślicznie podziękowałem.

I jeden z przywódców socjalistycznych powiedział mi już dawniej, że mnie na posła wybiorą, jeżeli do ich partji należeć będę. Przyjąłem to jako ubliżenie.

A jakżeż władze, szczególnie policja, zapatrywały się na moją publiczną działalność? O to jej nigdy nie pytałem i bez względu na to, czy to się jej podobało lub nie, robiłem, co uważałem za potrzebne. Ani cytowanie mnie przez ministra spraw wewnętrznych w sejmie lub pisanie o mnie w gazetach niemieckich, nie wstrzymywało mnie od działalności, jak również nie wpływało ujemnie na moje przedsiębiorstwo.

Opowiadał mi klient, Niemiec, że rozmawiał o mnie z ministrem, który miał się wyrazić do niego, iż polskich krzykaczy (Schreier) się nie obawiają, gdyż oni nic nie robią, i dodał: „Ale takich jak pan uważamy za niebezpiecznych“. Podziękowałem mu za ten komplement i poradziłem, żeby przy najbliższej sposobności powiedział ministrowi, iż mnie to jego zdanie się podoba i tembardziej zachęca do dalszej pracy społecznej.

Że na głównej policji miałem grube akta, to zdradził mi jeden z usłużnych sekretarzy policyjnych. To mnie również nie przestraszało. Natomiast policja odnosiła się do mnie zawsze z wszelkim szacunkiem i uwzględniała nawet mój czas, bo gdy odemnie w jakiej sprawie chciała się czego dowiedzieć, to rzadko wzywała mnie do siebie, lecz przysyłała urzędnika do mnie: „Denn Herr B. hat wenig Zeit“ (bo p. B. ma mało czasu). Ja też wobec policji mogłem być szczery, bo występowałem zawsze legalnie i w ramach prawa i żądałem tylko, żeby nam w naszej pracy nie przeszkadzała. A jeżeli czasem mimowoli co zaszło, to także oko przymrużyli. Miałem zresztą u niej taką opinię, że gdy wiedziała, że ja zebraniem kierować będę, to się już o los tegoż nie obawiała. Za to obawiała się o moją osobę podczas burzliwych zebrań, bo raz mi znajomy policjant — rodak — powiedział, że policja czuwa nademną nie tylko na zebraniu samem, ale odprowadza mnie nawet po zebraniu aż do tramwaju, o czym wcale nie wiedziałem. Podziękowałem mu

za tę troskliwość, ale uważałem to za zbyt wiele, gdyż moja zimna krew i przytomność umysłu zupełnie starczyły na obronę w każdym przypadku.

Wogóle nie szykanowano nas na obczyźnie, tak jak w kraju. Chyba gdy nas kto usłużny zadenuncjował, to wtedy sprawy dochodzone. Nieraz dozorującemu nas na zebraniu policjantowi dyktowaliśmy protokół, co dowodziło o naszej zażyłości z nimi.

Kierownik politycznego oddziału w Prezydjum policyjnym w Berlinie. dr. H. w rozmowie ze mną o sprawach politycznych, wyraził swe zadowolenie, że potrafimy lepiej zwalczać socjalizm niż oni, na co zauważyłem, iż robimy to nie z życzliwości dla władzy. On szybko dodał: „O tem jestem przekonany!“ Więć byliśmy wobec siebie szczerzy. Pewnego razu pytał mnie nawet dlaczego mandatu do parlamentu przyjąć nie chcę, gdyż podług jego zdania przydałbym się tam.

Czy w życiu politycznym wezmę aktywny udział, to wątpię, gdyż partyjność stronnictw na to nie pozwoli. Co do mnie, to mogę się bez tego obyć.

Do pióra nie byłem skory, aby pisywać do jakiej gazety, lecz gdy było potrzeba, jeszcze i na to czasu starczyło.

Z gazet, wychodzących w kraju, najczęściej pisywałem dawniej do „Orędownika“, bo ten nas najlepiej rozumiał, a prócz niego do paru innych gazet i „Dziennika Berlińskiego“, według tego, jak sprawa wymagała.

Więć pracowało się. Ale podziwiałem w Berlinie naszych zwyczajnych robotników, którzy w tygodniu poświęcali nieraz parę wieczorów i niedzielę pracom w towarzystwach. Wracali z posiedzeń do domu nieraz o 1-szej, a nawet o 2-giej w nocy, zaś o 6-tej rano musieli być już na nogach, a często jeszcze rychlej. Ja, wstając normalnie o godz. 7^{1/2}, mogłem się przynajmniej wyspać, lecz oni chyba niedosypiali. Przytem wydawali swoje ciężko zapracowane trojaczki na jazdę i nieodzowną na posiedzeniu szklanę piwa. Dla nich będę miał zawsze uznanie i szacunek.

Towarzystwo Polskich Przemysłowców w Berlinie.

Że z pośród tak licznych towarzystw berlińskich tylko o paru piszę, a szczególnie o Tow. Polskich Przemysłowców, to dlatego, iż w niem i przez nie najwięcej działałem, z niem się żyłem i najlepsze i najprzyjemniejsze chwile spędziłem w gronie członków. Nie będę pisał historii Tow. Przem., gdyż to dostatecznie opisano w „Pamiętniku“, wydanym na wiosnę r. 1917-go z okazji 50-cioletniego jego jubileuszu, ale choć tylko krótką wzmiankę mu poświęcę ze względu na moją stałą i długoletnią w niem czynność.

Na członka Towarzystwa Przemysłowców zapisałem się dopiero w szóstym roku mego pobytu w Berlinie, lecz na posiedzenia chodziłem prawie regularnie już przedtem. Do 1889-go roku byłem zwyczajnym członkiem, następnie skarbnikiem, zaś od roku 1902-go przewodniczącym i to bez przerwy aż do opuszczenia Berlina, to jest do jesieni 1917 roku, czyli przeszło 25 lat.

W roku 1890-tym postanowił opuścić nas długoletni przewodniczący towarzystwa p. Leski, przenosząc się na stałe do Warszawy. Z zawodu filolog, inteligentny i zacny człowiek. Przewodniczył w towarzystwie około 16 lat i miewał na posiedzeniach znakomite wykłady. Nauczyliśmy się od niego wiele, za co byliśmy mu wdzięczni. Oprócz działalności w tem towarzystwie brał udział w każdym objawie życia naszego, któremu dawał podwaliny i wskazówki, jak na obczyźnie pracować trzeba. To też szczerze żalowaliśmy, że nas opuszcza, a pracy jego daliśmy wyrazy uznania na wieczorze pożegnalnym.

Zanim wyjechał, przeznaczył mnie na swego następcę, lecz ja, widząc tę ogromną różnicę pomiędzy nim a sobą, wręcz mu oświadczyłem, że bezpośrednio po nim przewodnictwa w Towarzystwie Przemysłowców nie przyjmę. Wybrano innego, a ja dopiero po dwóch latach zdecydowałem się ten obowiązek przyjąć i to dlatego, że nikt nie chciał go podjąć. Tu nawiasem dodaję, że podczas pięćdziesięcioletniego istnienia towarzystwa było tylko coś pół tuzina przewodniczących, a z tych, trzech z Pomorza, którzy 41 $\frac{1}{2}$ lat przewodniczyli. Obecnie znowu od paru lat Pomorzanie przewodniczą.

Oddziałów zawodowych należało do towarzystwa sześć i to: metalowców, krawców, stolarzy, malarzy, szewców i rzemieślników budowlanych. Członków miały one od 30-tu do przeszło stu. Posiedzenia niektórych oddziałów były interesujące, mianowicie tych, do których udało się odpowiednich fachowych prelegentów pozyskać.

W oddziale metalowców wykładali od czasu do czasu będący w Berlinie na posadach inżynierowie i to tak popularnie, że ja sam, jako niefachowiec, z przyjemnością tym wykładom się przysłuchiwałem, zwłaszcza, że niektóre wygłaszane były z dziedziny życia społecznego, jak: O ochronie robotnika w fabryce, o wydajności pracy robotnika fabrycznego w poszczególnych dniach tygodnia i godzinach dnia; o odżywianiu robotnika; o wydajności pracy mężczyzn a kobiet i t. p. Członkowie jeszcze dziś z wdzięcznością wspominają tych prelegentów. Niech mi więc wolno będzie przy tej sposobności paru z nich wymienić. Są to pp.: prof. Wł. Bratkowski, Dr. St. Bieńkowski, A. Hoffmann i Stark.

Inne oddziały nie miały prelegentów z wyższem wykształceniem, za to z pośród siebie znaleźli się fachowcy, którzy wykłady miewali. Nie każdy bowiem zawód ma ludzi z wyższem fachowem wykształceniem.

W najlepszym owym rozkwicie liczyło Tow. Przem. do 300-tu członków, ale był czas, że tylko około 60-ciu było. Frekwencja na posiedzeniach była od 20 do 40%. Posiedzenia były poważnie dosyć ożywione, a odbywały się co sobotę.

Po czterdziestoparoletniem istnieniu, gdy powstały w towarzystwie oddziały zawodowe ze względu na ich osobne posiedzenia, schodziliśmy się co drugą sobotę.

Prawie na każde posiedzenie trzeba było jaki wykład lub odczyt przygotować, a tu o prelegentów trudno, bo takich w gronie członków nie było, zaś z tych, co byli, nie łatwo się jako rzemieślnicy zdobywali. Znowu z poza obrębu towarzystwa udawało mi się rzadko kogo z wykładem uzyskać, bo inteligencji zawodowej w Berlinie przebywało mało, a ta, co była, prawie że nie oddawała się wcale naszej działalności. Najłatwiej jeszcze udawało mi się kogo ze studentów do tego uprosić. To też najczęściej musiałem sam wysilać się na wykłady i więcej jak na połowie liczby posiedzeń wypadło mnie coś powiedzieć. Brałem tematy z życia i doświadczenia. Na przyspasabianie się do nich nie miałem czasu i nieraz w kilku minutach szkic nakreślałem,

podług którego następnie mówiłem. Mam ten zwyczaj, że gdy mi jaka dobra myśl, jakieś zdrowe zdanie do głowy wpadnie, to je zaraz notuję, nawet w łóżku leżąc. Wykorzystywałem też dobre wykłady słyszane gdzieindziej, notowałem sobie potrzebne mi zwroty i później je zużytkowałem. Nieraz idąc lub jadąc na posiedzenie, myślałem dopiero po drodze, co i o czym mówić wypadnie. Wypadaly też wykłady czasem trochę blado, zwłaszcza gdy byłem zmęczony, ale byle się jaki temat poruszyło, to resztę dyskusja załatwiła. Zawsze coś z tego było. Jeszcze teraz przypominają mi znajomi zdania na posiedzeniach wypowiedziane, które potem w życiu zastosowywali i źle na tem, jak sami twierdzą, nie wychodzili.

Często byłem tak zmęczony całodzienną pracą, że przewodnicząc, drzemałem podczas przemówień członków, co mi jednak wybaczali, wiedząc o tem, z jakim wysiłkiem woli nieraz na posiedzenia przychodziłem.

W oddziałach należących do Towarzystwa Przemysłowców też wypadalo się pokazywać, a najwięcej w krawieckim, gdzie jako fachowiec tembardziej przysłużyć się mogłem.

W r. 1917 upłynęło 50 lat istnienia Towarzystwa. W tym okresie czasu powstało dużo różnych organizacyj, do założenia których Towarzystwo Przemysłowców nie tylko dało inicjatywę, lecz pomogło je zorganizować i niemi się nadal opiekowało. Szkołki, Przytulisko, Oświata, Sokół, Harmonja, Tow. Kupców, Terminatorów, Opieka dla sezonowców, Skarbona, Dziennik Berliński i wiele innych, są jego dziełem. Nawet organizacje kościelne i polityczne zawdzięczają swe powstanie Tow. Przemysłowców, chociaż to nie należało do jego atrybucji.

W Towarzystwie Przemysłowców w Berlinie przygotowywał się stan średni, o który tak chodziło ś. p. dr. Szymańskiemu z „Orędownika“ (byłemu członkowi towarzystwa z czasów studenckich), a bez którego żadne społeczeństwo i państwo w obecnym ustroju istnieć nie może. Podnosili ten objaw w społeczeństwie naszym znani niemieccy profesorowie Hötsch i Bernhard na swoich zebraniach, na których także bywałem. Ś. p. dr. Szymański troszczył się do końca swego życia o berlińskie Tow. Przem. Z niego wyszło dużo ludzi, zajmujących na obczyźnie i w kraju poważne stanowiska obywatelskie i społeczne.

Jako jubilat mogło Tow. Przem. z zadowoleniem i dumą patrzeć na wyniki swej 50-letniej pracy na obczyźnie. Podkre-

ślono też na jubileuszowej rocznicy, że ci, co je zakładali, nie myśleli pewnie o tem, iż będzie ono początkiem rozwoju kolonji berlińskiej, a autor „Pamiętnika Jubileuszowego“ uwydatnił to m. in. w następujących słowach: „Tow. z dumą o sobie powie- dzieć może: prawie wszystko, co jest polskiego w Berlinie jest mojem dzieckiem, mojem dziełem, albo powstało za moją przy- czyną“.

Do tego zadowolenia mogę się przyłączyć, bo mi danem było w tem towarzystwie tak długo ze skutkiem pracować. Uwy- datniło się to na posiedzeniu pożegnalnem, gdy wracałem do kraju na stałe. Uznanie tej działalności będzie mi, obok za- dowolenia, miłą pamiątką do końca mego życia.

Dużo najlepszych współpracowników towarzystwa wróciło do kraju, gdy wolnym został i tu z pożytkiem dla niego i siebie działają. Pozostali pracują dalej i, jak słyszę, dzielnie zastępują tych, co wyjechali. Tow. cieszy się teraz znaczną liczbą nowych członków, którzy pod względem narodowym już byli zobojętnieli, a teraz jakoś poczucie narodowe w nich się obudziło.

Ono i nadal rej wodzi w kolonji i z pewnością wodzić będzie.

Nieco o naszych berlińskich towarzystwach w ogóle.

Jako długoletni emigrant w Berlinie pozwolę sobie choć w krótkich zarysach opisać najstarsze towarzystwa, zwłaszcza, że wypadło mi prawie we wszystkich współpracować.

Najpierwszą polską organizacją w Berlinie jest Towarzystwo Polsko-Katolickie, istniejące już blisko 60 lat, w którym przez dłuższe lata, wszystko co było polskiego, się skupiało. Mieściło się ono dziesiątki lat w środku miasta w znanym katolickim domu przy Niederwallstr. 11 i każdy z nas, chcący się ze znajomym zobaczyć, szedł tam, czy to w niedzielę wieczorem, kiedy to się wszyscy schodzili, lub w poniedziałek na posiedzenie Tow. Polsko-Katol. Do tego Towarzystwa mogli wszyscy rodacy należeć bez różnicy stanu. Przychodziły także i nasze polki, choć członkami nie były.

Tow. Polsko-Katolickie założył niejakiś Lelak, wychowany na pruskim Pomorzu jako Niemiec i protestant, który dziwnym zbiegiem okoliczności przeobraził się później na Polaka-Katolika.

Towarzystwo składało się prawie ze samych rzemieślników i z nich też wybierano przewodniczących. Tylko krótki czas przewodniczył ks. Enn, który, jako zawiadowca parafii św. Piusa, dwa lata w Berlinie przebywał i potem do swej poznańskiej diecezji wrócił.

Najdłużej przewodniczącym był ś. p. Jan Właziński, bo z pewnymi przerwami aż przeszło 25 lat. Jednego przewodniczącego z pierwszych lat istnienia towarzystwa pamiętam takiego, któremu trudno było mówić po polsku, bo nie komunikując się dawniej z Polakami, już ojczystego języka prawie że zapomniał. Dziś taki fakt jest niezrozumiały, ale wtedy były takie czasy. W towarzystwie tem byłem parę lat sekretarzem w pierwszych latach mego należenia do niego, a przez dłuższe lata regularnie na posiedzenia chodziłem.

Obecnie Tow. Pol. Kat. jakby swoją rolę odegrało; zbiera się jeszcze na posiedzenia, ale w mniejszej liczbie i żyje jedynie tradycją. Ono swoje zrobiło, bo niejednen z rodaków zaprawił się w niem do narodowej pracy i przez nie dużo rodzin polskich powstało, czego przedtem nie było.

Drugim najstarszym towarzystwem jest Tow. Pol. Przem., o którym osobno pisałem.

Z owych czasów datuje też „Towarzystwo Polek“, istniejące do dzisiaj.

Dla przejeżdżających Polaków, którzy do Berlina się zabłąkali, a byli bez środków utrzymania, założono już wtedy tow. „Przytulisko“, w którym potrzebujący mogli dostać przez trzy dni nocleg, skromne wyżywienie, a gdy w tym czasie zajęcia nie dostali, wysyłano ich na koszt towarzystwa do kraju. Towarzystwo to podtrzymywali głównie berlińscy Polacy, lecz i z kraju datki nadsyłało.

Przeważnie — jak to zwykle bywa — nadużywano tej naszej „gościnności“, lecz korzystało wielu i takich, co na to zasługiwali. Niektórzy z nich pozostali w Berlinie i z nami potem współpracowali. Interesowało się tem towarzystwem kilku rodaków z lepszych sfer, a pomiędzy nimi hr. Konopacki z Drezna, który tam dłuższe lata mieszkał.

Gdy w r. 1912-tym założono „Tow. Opieki nad robotnikami sezonowymi“, złączono „Przytulisko“ z niem i jako osobne towarzystwo przestało istnieć.

Do najstarszych towarzystw należy także „Konferencja św. Jana Kantego“ i to jako polski oddział Tow. św. Wincentego. Opiekuje się ona zubożałymi rodakami stale w Berlinie zamieszkałymi. Interesował się „Konferencją“ aż do niedawnych czasów ks. Ferd. Radziwiłł, dopóki w Berlinie mieszkał, a w pierwszych latach Dr. Franc. Chłapowski, mieszkający jakiś czas w Berlinie.

Z braku środków „Konferencja“ nie mogła się rozwinąć według potrzeby, bo ubóstwa naszego jest w Berlinie stosunkowo dużo, ale co było można, to się robiło. W tych samych rozmiarach istnieje do dzisiaj.

To byłyby te najstarsze towarzystwa w Berlinie, nie licząc „Tow. Naukowego Polaków“, które jeszcze dawniej było założone, a do którego tylko ucząca się w wyższych szkołach młodzież należała.

Z biegiem czasu wskutek coraz liczniejszego napływu rodaków do Berlina tych parę starszych towarzystw nie wystarczało. Kiedy w dawniejszych latach przybywali tylko niektórzy rzemieślnicy i kupcy (nie licząc studentów) i to w ograniczonej mierze, aby zawodowo się kształcić, to później nietylko ich liczba coraz bardziej wzrastała, lecz zaczęli także przyjeżdżać rzemieślnicy fabryczni, zwyczajni robotnicy i kobiety, szczególnie służące i szwaczki. Z tego powodu powstała potrzeba zwiększenia liczby towarzystw, zakładania nowych w poszczególnych dzielnicach miasta i na przedmieściach, a to ze względu na rozległość miasta i w celu udogodnienia rodakom przybywania na zebrania. Zaczęto je także specjalizować, bo i tego potrzeba wymagała.

Powstały tedy pod różnemi nazwami nowe towarzystwa, jak śpiewacze, gimnastyczne, sportowe, kupieckie, wychowawcze, oświatowe, robotnicze, żeńskie, młodzieży, tak żeńskiej jak męskiej, a nawet loteryjne, strzelców i kręglarzy. Prócz tego towarzystwa przemysłowe zaczęły się dzielić na czysto zawodowe i osobne oddziały zakładały. Również tow. sokole, śpiewacze i robotnicze zakładały w różnych częściach miasta swoje oddziały, które potem w związki połączyły.

Liczba towarzystw w Berlinie dosięgała przed wojną około 60, nie licząc w ostatnich 10-ciu latach założonych tow. politycznych, zaś na przedmieściach w bliższem i dalszem promieniu

jest po parę, a nawet po kilka. W sąsiedniej Szpandawie, gdzie od dawniejszych lat dużo rodaków w fabryce broni pracuje, założono już wcześniej „Tow. Przemysłowców“, a następnie parę innych.

Kilka tych towarzystw pokrótce opiszę i zacznę od towarzystwa „Harmonja“.

Już w pierwszych latach istnienia towarzystw Polsko-Kat. i Przemysłowców potworzono w nich kółka śpiewacze, które mało lub wcale nie prosperowały, bo nie było kogo, co by się tem jak należy zajął. Ja sam, jako młody człowiek, należałem pewien czas do takiego kółka w tow. Polsko-Katolickiem, gdyż lubię śpiew i byłem do tego już w Lubawie zaprawiony, gdzie należałem do tow. „Św. Cecylii“. Pamiętam, że wtedy dyrygował nami rzemieślnik, który umiał cokolwiek rzępolić na skrzypcach. Ale jakoś ten śpiew nam się nie udawał, bo często dyrygent na skrzypcach co innego grał i my co innego śpiewaliśmy. Pewnego razu on grał, a ja śpiewałem i znowu mój śpiew z jego tonami się nie zgadzał. A że na nutach nieźle się znałem, więc byłem pewien, że nie ja mylę, również mój słuch ta dysharmonja raziła, więc zawołałem: „Kto z nas myli, ja, czy pan?“. Za to dyrygent tak się na mnie obraził, że już dalej w kółku pozostać nie mogłem.

Śpiewało to kółko w r. 1883. w kaplicy przy Gr. Hamburgerstr. podczas mszy św., urządzonej z powodu dwóchsetnej rocznicy oswobodzenia Wiednia. Śpiewało ale tak fatalnie, że nawet niemieckie chłopaki, wychodząc z kaplicy, ironiczne uwagi robili: „Die Polen haben nach Noten gesungen“.

Jeżeli o tem wspominam, to tylko dla zilustrowania początku naszego śpiewu w Berlinie.

Kółka, dostawszy lepszych dyrygentów, coraz bardziej się rozwijały, szczególnie w Tow. Przem. Z tego towarzystwa jeździli śpiewacy nawet do Poznania, żeby się mierzyć z tow. śpiewaczami w kraju i zbierali tam sukcesy.

Później założono osobne tow. śpiewu pod nazwą „Harmonja“ i postarano się o to, że te dwa kółka śpiewu, tak z jednego jak drugiego towarzystwa z niem połączono i to pod warunkiem, żeby na ich uroczystościach „Harmonja“ śpiewała.

„Harmonja“ zaczęła się nadzwyczaj rozwijać, mianowicie, że miała szczęście z kierownikami. Najprzód dyrygował doskonale nauczyciel p. Mćciszewski; następnie kilka lat znany teraz ogólnie

p: Feliks Nowowiejski, a gdy tenże do Krakowa się wyprowadził, objął kierownictwo p. Adam Dołżycki i prowadził przez parę lat aż do powołania go na dyrygenta opery do Warszawy. Po nim objął p. Küster, również dzielny muzyk, który do dzisiaj — jedynasty rok — dyryguje.

„Harmonja“ miała więc szczęście z dyrygentami, którzy ją do pewnej doskonałości doprowadzili. Z występami swoimi nie potrzebowała się wstydić, tak w Berlinie jak w kraju i najtrudniejsze utwory wykonywała. Być na koncercie „Harmonji“ sprawiało wielką przyjemność. To dowodzi, że przy usilnej pracy i dobrej woli zrobić można dużo. A przecież należą do „Harmonji“ nieomal tylko sami rzemieślnicy. Od samego początku również do niej należałem jako członek, lecz z braku czasu aktywnego udziału brać nie mogłem. Dodam jeszcze, że chór składał się z męskich i żeńskich śpiewaków i był, a pewnie jeszcze jest, bardzo liczny.

W r. 1923-cim przypada 25-cioletni jubileusz „Harmonji“, której przy tej sposobności życzę jaknajlepszego powodzenia, by i nadal naszym rodakom na obczyźnie nasze pieśni przypominała i choć krótkie chwile im uprzyjemniała. Z biegiem czasu powstały w każdej dzielnicy Berlina różne kółka śpiewu, które razem z „Harmonją“ tworzą własny związek.

Towarzystwa sokolskie również się znakomicie rozwinęły. Najstarszy „Sokół“ istnieje już blisko 30 lat. Ich zloty i produkcje wykazują zrozumienie sokolstwa i ich ruchliwość była nie przeciętna. Na doroczny zlot przybywają tysiące ludzi, aby się przyjrzeć ich gimnastyce. I oni kolonji berlińskiej zaszczyt przynoszą, co też nawet w kraju uznają. Towarzystw sokolskich namnożyło się nie tylko w Berlinie, lecz na całej obczyźnie i także tworzą własny związek.

Niestety podczas wojny najwięcej sokołów w szeregi walczących iść musiało i dużo z nich poległo, a ci, co pozostali, wracali po skończonej wojnie co tchu do Ojczyzny, aby jej granic bronić.

Towarzystwo „Oświata“ powstało mniejwięcej w tym samym czasie, co poprzednie towarzystwa. Jego zadaniem jest piecza nad dziećmi do 14-go roku i pomoc rodzicom w uczeniu dzieci polskiego czytania, pisania, historii itd. Spełnia też sumiennie swój obowiązek i jeżeli dzieci w Berlinie umieją czytać i pisać po polsku, to w wielkiej mierze zawdzięczają to „Oświacie“.

Ono urządza szkółki, schadzki i zabawy dla dzieci, a latem wysyła podczas wakacji parę a nawet kilka set — w miarę funduszków — na kilka tygodni do kraju.

W towarzystwie „Młodych Kupców“ krzątano się dzielnie pod względem zawodowym, oświatowym i koleżeńskim. Wyrabiali się na późniejszych samodzielnych kupców i obecnie mają przeważnie własne przedsiębiorstwa w kraju i wszystkim tym, których znam, dobrze się powodzi.

Znakomicie rozwinęły się towarzystwa robotnicze. Jest ich kilka w Berlinie i na każdym przedmieściu, jak również wszędzie tam, gdzie więcej robotników razem pracuje. Niektóre mają po kilka set członków, a ich związek liczy parę dziesiąt towarzystw. Sami sobie dają radę i wyrobiło się pomiędzy nimi wielu dzielnych pracowników na niwie społecznej.

Jest jeszcze w Berlinie więcej towarzystw ze specjalnymi celami, o których osobno wspominać nie będę, gdyż albo mało lub wcale osobiście miałem z nimi styczności.

O żeńskich towarzystwach, tow. młodzieży, względnie terminatorów i tow. opieki nad robotnikami sezonowymi, napiszę w następnych rozdziałach.

Te wszystkie wysiłki poszczególnych towarzystw miały na celu utrzymanie polskości na obczyźnie, wychowanie dzieci po polsku, krzewienie oświaty pomiędzy członkami i wydoskonalanie się fachowe. Wszystko zdobywano mrówczą i długoletnią pracą.

Przez wojnę ucierpiały mniej lub więcej wszystkie towarzystwa, a po wojnie przez wyjazd pewnej części członków do kraju, przeważnie takich, co kierowali. Chwilę potrwa, zanim nowi się wyrobią; grunt mają już przygotowany.

Towarzystwa żeńskie w Berlinie.

Obok towarzystw naszych męskich jest w Berlinie stosunkowo dużo towarzystw żeńskich. W każdej dzielnicy miasta i na przedmieściach jest najmniej jedno, a najczęściej parę. Wprawdzie najnowszy kodeks cywilny pozwala na łączenie się kobiet w towarzystwach razem z mężczyznami, ale one przyzwyczyły się zdawna do łączenia się pomiędzy sobą, z czem im jest widocznie dobrze. Tylko w niektórych organizacjach łączą się razem z mężczyznami. Tak bywało i jest jeszcze w Berlinie.

Najstarsze towarzystwo żeńskie jest „Towarzystwo Polek“, rezydujące w centrum miasta. Ono prawie że razem powstało z najstarszym towarzystwem męskim. Do dziś istnieje i pewnie 50-letni jubileusz już obchodziło lub będzie wnet obchodzić.

Najdłużej przewodniczyła w tem towarzystwie śp. Zimmermannowa, która nieomal od początku jego członkinią była i jako staruszka przeszło 80-letnia niedawno umarła. Była niestrudzoną w zabiegach około tego towarzystwa, a w kolonji uchodziła za „żeńskiego“ patriarchę.

Towarzystwo Polek jest jakby matką wszystkich innych towarzystw, znacznie później powstałych i to pod różnemi nazwami.

Co towarzystwa żeńskie zdziałały dla polskości w Berlinie? Bardzo dużo! Jeżeli polak z polką się żeni, jeżeli domy są czysto polskie i dzieci po polsku się chowają, to ich działalności głównie zawdzięczać trzeba. Ongiś na wiecach do nich się zwracano o wpływy na ustrój domowy i wychowanie dzieci. Usłuchały i zrobiły swoje. Jeżeli szkółkę trzeba było poprowadzić, dzieci uczyć lub zabawić, najlepiej one to umiały zrobić. „Sokół“ bez „Sokolic“, Towarzystwa śpiewu bez ich udziału nie mogły się obyć. Wszędzie, gdzie było trzeba tę szarą, drobną pracę wykonać, tam kobiety najlepiej się nadawały. A zachętę i wskazówki czerpały w swoich towarzystwach, które też wielką zasługę mają przez swoje prace w kolonji berlińskiej.

Nie będę rozsądzać, czy towarzystw dla niewiast jest w Berlinie za dużo, lub może jeszcze za mało. Być może, że niektóre jest zbyt wiele, za to brakło i braknie osobnego towarzystwa dla dziewcząt służebnych, których w Berlinie było i jest stosunkowo dużo, a które nie mają właściwej opieki, z powodu czego przeważna część zginęła i ginie dla nas. Mogą one wprawdzie należeć do innych żeńskich towarzystw, ale tam nie wystarczało im, bo nie czuły się pomiędzy sobą. Kilka lat temu zastanawiano się nad tem w Związku Towarzystw i porozumiewałem się już z księżmi, by z ich pomocą jaką opiekę dla nich utworzyć. (Księża przez kościół mają na nie największy wpływ i wiedzą, gdzie je znaleźć) lecz z powodów formalnych, a może i z braku właściwego zrozumienia do skutku nie doszło. Podług mego zdania takie kółka dla dziewcząt powinny być przy parafjalnych kościołach, ale jako czysto polskie. Powinni teraz rodacy spróbować i podjąć tę sprawę na nowo, a może się uda.

Osobiście byłem z wielu towarzystwami żeńskimi zawsze w kontakcie, bo prawie w każdej dziedzinie pracy się spotykaliśmy. W młodych latach starałem się bywać często na posiedzeniach „Tow. Polek“, a później i do innych zachodziłem. Dla tego kreszę tę parę słów uznania dla ich działalności.

Związek Towarzystw Polskich w Berlinie.

Jak później wszystkie inne łączne organizacje, tak i Związek Tow. Pol. w Berlinie powstał z potrzeby. Była to pierwsza taka organizacja na obczyźnie, gdyż przedtem podobnej jeszcze nie było.

Kolonja nasza zaczęła w różnych częściach miasta i okolicy się rozrastać i dzielić na odosobnione grupy, oddając się tylko poszczególnym towarzystwom. Wypadało więc temu zapobiedz i utworzyć dla niej wspólny łącznik, w którymby się mogła w różnych sprawach porozumiewać.

Towarzystw polskich było wtedy w Berlinie około 15, a prócz nich kilka na przedmieściach i w dalszej okolicy. Już w listopadzie 1890 r. grono działaczy zwołało orędnem (które mam pod ręką), zebranie delegatów wszystkich polskich towarzystw z Berlina i okolicy, w celu utworzenia „Wydziału“ ze zarządów towarzystw, którego zadaniem by było naradzać się w następujących sprawach:

1. Urządzanie rocznic, zabaw, przedstawień, wycieczek, święconki i gwiazdki.
2. Sprawy, tyjące się dobra i życia poszczególnych towarzystw, jako też całej kolonji.
3. Wzajemne podawanie sobie nazwisk członków, wykluczonych z towarzystw.

Co na tem zebraniu uchwalono i czy następnie takich zebrań było więcej i ile, tego już nie pamiętam, gdyż wtedy szwankowałem na zdrowiu i przez kilka miesięcy nie brałem udziału w pracach towarzystw. W każdym razie widocznie nie postawiono nic stałego. Dopiero w dwa lata później podjęło Tow. Pol. Przemysłowców inicjatywę na nowo i zaczęło regularnie co miesiąc zwoływać wspólne zebrania delegatów towarzystw, omówiwszy wprzód tę sprawę gruntownie na swoim posiedzeniu.

Narazie była to organizacja luźna, bo nie miała ani ustaw, ani nawet określonej nazwy, gdyż i bez tego wiedzieliśmy dobrze, co robić mamy. Ale dowiedziała się o tym nowym tworze władza policyjna i poradziła mi, żeby jednak jakieś ustawy stworzyć, choćby z trzech paragrafów się składające i dać jakąś nazwę. Usłuchaliśmy policję — choćby z konieczności — i zrobiliśmy „aż“ 5 paragrafów i nazwaliśmy się: „Berliński Komitet Polskich Stowarzyszeń“.

Do tej organizacji przystąpiły prawie wszystkie towarzystwa z Berlina i przedmieść, tak żeńskie jak męskie, zastępowane na posiedzeniach przez przewodniczących lub ich zastępców, a w miarę większej ilości członków którego z towarzystw przez więcej delegatów (na każde 50-ciu członków jeden delegat), których zadaniem było referować na posiedzeniach swoich towarzystw o uchwałach „Komitetu“, a towarzystw, żeby je wykonać. Natomiast zadaniem „Związku“ było dbanie o czystość charakteru narodowego należących do niego towarzystw, kontrolowanie ich czynności, zakładanie nowych towarzystw tam, gdzie okaże się potrzeba, jak odwrotnie, sprzeciwianie się zakładaniu tychże, gdzie nie potrzeba itd.

Zrazu zrozumienie zadań „Komitetu“ u delegatów i w towarzystwach było nie wielkie i upłynęło kilka lat, zanim o konieczności takich wspólnych narad się przekonano.

Pomagał nam w tej organizacji, jak i w „Komitecie Politycznym“, niejakiś p. Wład. Ciot, pochodzący z królestwa. Był to dziwny człowiek! Nieraz nie jadł i nie pił, byle coś zrobić. Zrazu nie mieliśmy do niego zaufania, lecz przekonaliśmy się wkrótce, że uczciwie działa. Jako działającego „Królewiana“ byłaby policja wyrzuciła poza granicę Prus, ale nie wiedziała o nim urzędowo, bo nie był zameldowany, gdziekolwiek mieszkał, choć blisko dwa lata w Berlinie przebywał, pozatem on jej unikał. Poznał się też przezemnie z ks. Wawrzyniakiem, a przez niego ruch spółdzielczy, co mu się przydało, gdy następnie w Łodzi osiadł i spółdzielnię finansową założył. Był to gorący patriota, niestety wolnej Polski nie doczekał się, choć do niej grunt przygotowywał.

W roku 1888-mym należało do Komitetu 37 towarzystw, zaś w parę lat później już przeszło 50. Prawie wszystkie niepolityczne towarzystwa należały do Komitetu, prócz tych, których

tenże z jakichbądź powodów przyjąć nie mógł lub nie chciał. Po kilku latach istnienia zmieniono nazwę na „Związek Towarzystw Polskich w Berlinie“, którą do dzisiaj nosi.

Regulowały się więc w Związku posiedzenia poszczególnych towarzystw, zabawy, przedstawienia, rocznice, wycieczki, jak również wszelkie spory. Urządzaliśmy latem wspólne wycieczki, a zimą zabawy w celu podtrzymania i rozszerzania znajomości pomiędzy rodakami. Na wycieczki te zjeżdżały tłumy — kilka tysięcy osób. Na nich starsi odświeżali znajomość z tymi, co już dawno się nie widzieli. I dzieci pomiędzy sobą się zaznajamiała. A co więcej! młode pary się kojarzyły.

Na jednej z takich wycieczek był dr. Miklaszewski z Warszawy i pisząc potem o niej w „Kurjerze Porannym“, zrobił nam przyjacielski zarzut, żeśmy aż 11 $\frac{1}{2}$ beczek piwa wypili, czyli, że w picciu piwa naśladowujemy Niemców. Ale gdy następnie policzył, ilu nas było i że był upał, to dał nam rozgrzeszenie.

Dalej staraliśmy się o wspólne kursy polskiego czytania i pisania, o powiększanie bibliotek towarzystw i wspólne sprowadzanie książek, o wykłady i odczyty. Utrzymywaliśmy także bibliotekę dla wszystkich rodaków w Berlinie. Przez Związek Towarzystw przeprowadzano też różne specjalne organizacje. Słowem, przez Związek przechodziły wszelkie sprawy, poza polityką będące i najprzód tam na posiedzeniach bywały omawiane.

Były też zakusy ze strony socjalistów użycia Związku do swoich celów. Pewnego razu przyszło do mnie dwóch studentów, królewiaków, bawiących się w socjalizm (jeden z nich dał się później wychrzcić i jest teraz nawet wiceministrem). Domagali się odemnie utrzymywania socjalistycznych pism i książek w bibliotece Związku, czego im stanowczo odmówiłem i oświadczyłem, że jako polak i przewodniczący Związku nigdy na to się nie zgodzę. Pouczyłem ich przytem, żeby lepiej nauką się zajmowali, bo chyba ich nie na politykowanie ojcowie do Berlina przysłali. Za to zemścili się i poszukali sobie innych, których zbuntowali przeciwko mnie i przezemnie reprezentowanej działalności, przez co powstały zatargi i kłótnie, trwające dłuższy czas, nietylko w Związku samym, lecz przeniosły się także do niektórych towarzystw i na publiczne zebrania, aż wreszcie zdrowe zdanie zwyciężyło i wszelkie próby wniesienia fermentu pomiędzy nas ostatecznie pozostały bez skutku.

W r. 1918-tym obchodził Związek 25-cioletni jubileusz (właściwie przypadał na r. 1917-ty), na którym nie mogłem być i tylko służyłem odnośnym materiałem do jubileuszowego sprawozdania. Po tylu latach towarzystwa mogły z zadowoleniem patrzeć na błogie skutki pracy w Związku.

Prowadziłem tę organizację od początku bez przerwy lat dwanaście. Następnie przez r. 1913-ty i 1915-ty.

Tak tedy Związek Towarzystw Polskich w Berlinie spełnił swoje zadanie i nadal je spełniać będzie tak długo, dopóki towarzystwa polskie tam istnieć będą. On stał się niezbędną organizacją dla berlińskich towarzystw i bez niego nie możnaby teraz wystawić sobie zbiorowego życia naszej kolonii. Jemu mamy do zawdzięczenia, że polacy Berlina i okolicy nawzajem się znają.

Polityczna organizacja w Berlinie i mój udział w niej.

Całe nasze życie narodowe w Berlinie ograniczało się na działalności niepolitycznej w towarzystwach naszych, które zdawało się nam wystarczać do podtrzymania go. We wyborach do sejmiku pruskiego i parlamentu niemieckiego nie braliśmy jako polacy żadnego udziału, bo jakoby to nas nie obchodziło, lub też jeszcze nie zorientowaliśmy się dostatecznie. Wskutek tego nie mieliśmy żadnej politycznej organizacji, któraby dawała dyrektywę, co i jak postąpić wypada. A jeżeli kto na wybory poszedł, to głosował według własnego upodobania na kandydata jakiegobądź partji niemieckiej. Jednakowoż najczęściej wstrzymywaliśmy się od głosowania, nie chcąc się wysługiwać obcym partjom.

Dopiero mniejwięcej po 25-ciu latach działalności naszej w towarzystwach, kiedyśmy już jako tako policzyć się mogli, przyszliśmy do przekonania, że abstynencja i chodzenie samopas w polityce sprawie naszej szkodzą, gdyż wyrabiają rodaków myślowo i czynnie w obcym kierunku. Zwłaszcza od czasu powstania polskiej organizacji socjalno-demokratycznej, musieliśmy się mieć na baczności, by naszych do ich obozu nie przeciągnięto. Wypadało tedy zło naprawić i pchnąć naszych rodaków w kierunku narodowo-politycznym.

Przedewszystkiem chodziło o to, by na obczyźnie mieszkający polacy głosowali tylko na swoich kandydatów, a choć oddane przez nich głosy nie zaważyły na szali, to, występując oddzielnie, będą one doliczone do ogólnej liczby głosów polskich z całych Niemiec. To był główny powód do podjęcia jakichś kroków. Następnie trzeba było dlatego coś postanowić, ponieważ jakaś niemiecka gazeta pisała — mając widocznie uchwałę polskiej partji socjalistycznej na względzie — że berlińscy polacy będą przy nadchodzących wyborach (było to w r. 1893-cim) głosować na socjalistów, czemu wypadało przez zbiorową publiczną uchwałę zaprzeczyć.

Ja wtedy z powodu zbyt nadwątłego zdrowia musiałem na pewien czas wyprządz od publicznej pracy, ale że nikt ze znanych współdziałaczy przeprowadzenia tej akcji nie chciał się podjąć, więc kilku rodaków powiedziało mi, abym koniecznie tą sprawą się zajął, czego też ostatecznie się podjąłem.

Wprawdzie już od wczesnej młodości czułem inklinację i chęć do politycznej działalności, lecz złożyło się tak, że przez dłuższe lata nie miałem bezpośredniej sposobności do aktywnego zajmowania się nią. Skorzystałem tedy z nadarzającej się sposobności i zająłem się organizowaniem tego ruchu.

Zwołałem najprzód kilkunastu znajomych obywateli na poufne zebranie, pomiędzy nimi, jako stałego mieszkańca Berlina, także Józefa Kościelskiego, aby się wspólnie naradzić, jakie stanowisko zająć przy nadchodzących wyborach do parlamentu i jak tę akcję przeprowadzić. Wypada zaznaczyć, że to była wtedy t. zw. era polityki Kościelskiego. Mnie wypadło tem posiedzeniem za zgodą zebranych pokierować. Wszyscy byliśmy tego zdania, że powinniśmy jakieś stanowisko zająć, — ale jakie? O zebraniu poważniejszej liczby głosów wobec nierozbudzonego jeszcze zrozumienia nie można było myśleć, a na zebranie nikłej liczby głosów nie chcieliśmy się narazić. Z przemówienia Kościelskiego przebijało, żeby zająć przychylnie stanowisko wobec rządu, do czego jednak otwarcie wobec wszystkich nie chciał się przyznać i wprzód sondował, co my myślimy. Prawie wszyscy byli odmiennego zdania. Po dłuższych naradach skończyło się na wybraniu stałego komitetu, któremu powierzono sprawę dalej pokierować. Mnie obrano w nim przewodniczącym.

Po zebraniu p. Kościelski zaprosił mnie na następny dzień do siebie, w celu omówienia szczegółów podejmowanej przez

nas akcji. Poszedłem i konferowaliśmy z sobą półtorej godziny. Otwarcie wtedy radził, abyśmy, nie zważając swymi głosami w Berlinie i tak na szali, na przedwyborczym zebraniu przeprowadzili uchwałę za głosowaniem na konserwatystę i ją publicznie ogłosili, by pokazać rządowi nawet na wychodźstwie naszą lojalność i dobrą wolę. Wykazywał przytem dobre skutki, jakie w konsekwencji na nas spłynąć mogą i napisał zaraz odpowiednią rezolucję, którą na zebraniu uchwalić polecił. Mnie zaś zalecił zebraniem w tej myśli pokierować.

Stanowczo się temu oparłem, dowodząc, że jego zapatrywanie jest mylne, gdyż od pruskiego rządu niczego dobrego dla nas spodziewać się nie możemy. I choćby przyrzekł z własnej woli jakieś ulgi, to nie powinniśmy mu wierzyć, bo nie leży do trzymanie słowa w jego i narodu pruskiego charakterze. To też polacy w Berlinie nie łudzą się, co do tego i nie zgodzą się na jego propozycję. Nasze stanowisko może być przy nadchodzących wyborach jedynie takie, że się wstrzymamy od głosowania, lecz to tylko ze względu na zbyt krótki czas przedwyborczy, w którym nie zdążymy dostatecznie się przygotować i moglibyśmy w razie postawienia własnego kandydata na fiasco się narazić, co by znowu na później zniechęcająco podziałać mogło.

Pan Kościelski zgodził się, może mimowolnie, na moje wywody, cofnął pierwszą rezolucję i napisał drugą, odpowiednią do zajętego przezemnie stanowiska i prosił, żeby tę na zebraniu polecić do przyjęcia, w razie jeżeli większość będzie za wstrzymaniem się od udziału we wyborach. Sam nie obiecał być na zebraniu, ponieważ będzie musiał wyjechać do swego wyborczego okręgu na agitacją, skąd też w dniu zebrania przysłał mi telegram z życzeniem: „Sachgemässe und unserer Sache würdige Erledigung“.

Jak już przewidzieć było można, socjaliści polscy przybyli w znacznej liczbie i starali się przeforsować uchwałę, by polacy w Berlinie głosowali na ich kandydatów. Pozostali jednakowoż w mniejszości. Za to spowodowali takie hałasy, że dozoruujący urzędnik policyjny zebranie rozwiązał. I stronnictwo „Centrum“ starało się pozyskać nasze głosy, lecz temuż odpowiedzieliśmy, że oni stawiają też tylko liczbowego kandydata, jak i my, więc niech takim samem prawem na naszego głosują. Była to ironiczna odpowiedź, którą dobrze zrozumieli.

Zwołaliśmy tedy wkrótce nowe zebranie, lecz i to tembardziej socjaliści opanować chcieli i wskutek hałasów trzeba je było już na samym początku rozwiązać. Komitet, widząc niemożliwość przeprowadzenia naszego stanowiska na zebraniu, wydał następnie sam od siebie odezwę do rodaków, stojących na gruncie narodowym, żeby się tym razem od głosowania wstrzymali.

W pięć lat później, przy następnych wyborach, był grunt już tak przygotowany, żeśmy własnego liczbowego kandydata postawili i to księdza Wawrzyniaka. Nie wiele jednak głosów zebraliśmy, bo tylko 337 z miasta Berlina — bez przedmieść — co świadczyło o słabem zrozumieniu obowiązku rodaków pod względem politycznym. Za to we wyborach w r. 1903 padło już głosów polskich 1819, a w następnych około 5000, co jeszcze nie odpowiadało liczbie wszystkich polskich wyborców. W samym Berlinie bowiem liczyliśmy na około 8 do 10 tysięcy polaków, mających prawo głosowania.

Więc tylko powoli wyrabiała się uświadomienie polityczne, ale stale, i mam to przekonanie, że ono z czasem będzie takie, że każdy rodak na obczyźnie tylko na swojego kandydata głosować będzie. Tymczasem organizacja socjalistów coraz bardziej słabła, tak że w późniejszych wyborach nam już nie przeszkadzała.

Kościelski w następnych wyborach w Berlinie udziału już nie brał, zato miałem z nim jeszcze później ciekawe pogadanki na temat naszego stanowiska wobec rządu. Jeszcze dłuższy czas potem liczył na względy jego, wzamian za naszą ewentualną lojalność, aż się jednak przekonał, iż był w błędzie.

Swoją drogą działał według mego zdania w najlepszej wierze, chcąc dla naszego społeczeństwa u rządu ulgi wyjednać i możliwie zapobiec dalszym antypolskim ustawom. Pomylił się i starał się potem to naprawić rzeczywiście obywatelską działalnością i występowaniem w Izbie Panów. Do parlamentu już go później jednak nie wybrano.

Przyznanie się do pomyłki i swój jakby polityczny testament złożył w ślicznym wierszu „Dwie drogi“, poświęconym pamięci Tomasza Koźłowskiego z Kujaw, z którego wyjątki dla zobrazowania jego późniejszych zapatrywań przytaczam:

Tyś czuł, że zboże trzeba posieć,
Gdym ja w bezdzielny wierzył czyn,
Więc Ty umiałeś prawdy dociec,
Ja nie umiałem ustrzec win.

A dalej:

Z pługami jednym chodząc trudem,
Tyś im wtórował: Boże ziść!
Więc ty chodziłeś zawsze z ludem,
Gdy ja przed ludem chciałem iść.

Wreszcie:

Jam w Tobie widział to, co było,
Niż było — więcejś we mnie kładł,
Dla tego przeznaczenia siłą,
Gdy prysnął czar, Tyś stał, jam padł.

Był politycznie wyrobionym, a ściślej powiedzieć, wychowanym, o tyle, że nikomu nie brał za złe odmiennego stanowiska w polityce, byle jak on w dobrej wierze działał. Do mnie osobiście odnosił się do końca swego życia, pomimo kiedyś tak znacznej różnicy zdań, z pewną przyjaźnią i życzliwością, co na każdym kroku odczuwałem.

Z innymi posłami, szczególnie z ks. Wawrzyniakiem, miałem również częste polityczne pogadanki na temat ważniejszych spraw naszych, do czego wiele sposobności łatwo się nadarzało. Widziałem z tego, że zależało im na zdaniu ludzi, działających społecznie i politycznie.

Naszym ruchem politycznym interesowały się z gazet, w kraju wychodzących, najbardziej „Orędownik“, do którego też kilka razy pisywałem, zanim „Dziennik Berliński“ powstał.

Przypomina mi się z czasów naszego początkowego ruchu następujący epizod. Do redakcji „Dziennika Berlińskiego“ w pierwszym roku jego istnienia przyszedł w jakiejś sprawie poseł C. i dobrodusznie opowiadał, że „Koło Polskie“ będzie prawdopodobnie głosowało za flotą, gdyż większość w Kole jest za tem, również, że cesarz zaprosił arcyciskupa Stablewskiego w tym celu na obiad, podczas którego stał na stole jako symbol okręt z masła. Miało to tem przychylniej wpłynąć na usposobienie naszych posłów za flotą. Nadmienić wypada, że znaczna większość społeczeństwa naszego była przeciw takiemu głosowaniu Koła, ale gazety o tem nie pisały, wyczekując jego stanowiska, względnie zdeklarowania się, o którym jeszcze nie wiedziały.

Przypadkowo byłem bezpośrednio po wizycie tego posła w redakcji. Redaktorzy opowiedzieli mi owo wynurzenie się

posła i chcieli o tem w „Dzienniku Berlińskim“ napisać, boć była to dla społeczeństwa ważna sprawa, a zależało im i na tem, by „Dziennik Berliński“ doniósł pierwszy o zamiarze większości Koła.

Odradziłem im to ze względu na szczerłość tego posła, jak również i dlatego, że w przyszłości jużby im żaden z nich nic nie powiedział. Natomiast doradziłem, żeby jeden z redaktorów, który pisywał stale jako berliński korespondent do „Nowej Reformy“ w Krakowie, coprędzej odpowiedni artykuł do tej gazety napisał, a ja podjąłem się napisać o tem do mego znajomego w Poznaniu, by tam jednej z gazet tę wiadomość podał.

Gdy owe artykuły, jeden w Krakowie, a drugi w Poznaniu, się ukazały, wszczął się naturalnie ogromny alarm we wszystkich naszych gazetach, nie wyłączając gazet pozakordonowych, co właśnie chciałem wywołać, przez co posłowie dowiedzieli się o sentymencie społeczeństwa co do głosowania za flotą i już było niemożliwem wbrew znacznej większości tegoż głosować za flotą i tem projektowi do zwycięstwa dopomóc, na czem rządowi tak bardzo zależało, nie będąc pewnym wyniku. Dotychczas nie dowiedziano się jednak, jak to się stało.

Polityczne stanowisko kolonji berlińskiej staraliśmy się utrzymać jako czysto narodowo-bezpartyjne i unikaliśmy dzielenia się na partje, gdyż uważaliśmy to w naszych ówczesnych warunkach za wielkie zło już w kraju, a cóż dopiero na obczyźnie. Czy kto zerkał więcej na prawo lub na lewo, to nie przeszkadzało, że w organizacjach naszych szliśmy zawsze zgodnie i sporów partyjno-politycznych nie było. Wszyscy czuliśmy się tam tylko polakami i uważaliśmy, że takie stanowisko jest jedynie demokratyczne. Było nam też obojętnem, kto na zebraniach przewodniczył lub przemawiał, byle umiał.

Wprawdzie były z biegiem czasu jakieś zakusy tworzenia partyj, czy to w początku tego stulecia narodowo-demokratycznej, popieranej także przez studentów, a pomiędzy nimi żydów z Królestwa (a jakże, oni umięją każdą sposobność wykorzystać, byle nas dzielić!), czy też „Narodowej Partji Robotniczej“ podczas wojny, które jednak o zdrową część rodaków się rozbiły i żadnego wpływu prócz przejściowych waśni nie wywarły. Nawet „Polska Partja Socjalistyczna“ utrzymać się nie mogła, choć z takim impetem zaczęła i tylko wegetowała.

Co do mnie, to zupełnie podzielałem stanowisko większości kolonji berlińskiej i energicznie zwalczałem, gdzie i jak mogłem, myśl dzielenia się na partje i na klasy stanowe, nawet w działalności niepolitycznej poszczególnych towarzystw. Ja bo dzielę ludzi tylko na uczciwych i nieuczciwych.

W r. 1918-ym z powodu tworzenia na obczyźnie „Narodowej Partji Robotniczej“ napisałem do „Dzien. Berlińskiego“ artykuł, w którym wyłuszczyłem nasze poglądy na dzielenie się na partje. Artykuł ten, jako do sprawy należący, dołączam.

LISTY DO REDAKCJI.

Czy potrzebne są u nas na obczyźnie stronnictwa?

Artykuły, zamieszczane pod powyższym tytułem na łamach „Dziennika Berlińskiego“, wywołały wśród tutejszej kolonji polskiej wielkie zainteresowanie, jak to dowodzi poniższy list, który otrzymujemy z kół naszych czytelników:

Szanowna Redakcja pozwoli, że do artykułów „Czy potrzebne są u nas partje na obczyźnie“ dorzucę swoje uwagi. W zasadzie godzę się na treść tychże, chciałbym tylko uzupełnić je tem, co jużesmy w Berlinie przechodzili.

Czy w Niemczech, prócz Berlina, próbowano w kolonjach naszych tworzyć partje, nie przypominam sobie; zdaje mi się jednak, że nietylko Berlin zdobywał się na to.

Pierwszymi byli socjaliści polscy, którzy około r. 1888-go utworzyli Polską Partję Socjalistyczną z własnym zarządem (przedtem łączyli się w niemieckiej organizacji), a to w celu szerszej i skuteczniejszej agitacji pomiędzy naszymi rodakami. W początku ich wpływ był znaczny, już ze względu na nowość, gdyż wtedy jeszcze organizacji politycznej kolonja nasza nie miała. Spostrzeżono się atoli wnet i istniejące towarzystwa nasze stanęły frontem przeciwko tej socjalistycznej robocie, uważając ich nowe stronnictwo jako międzynarodowo - niepolskie. Wreszcie parę lat później, może około r. 1891-go, zdobyła się kolonja na utworzenie własnego „Komitetu Politycznego“, który sprawami politycznymi kierował.

Z tych czasów datują ostre starcia z partją socjalistyczną z okazji wyborów do parlamentu, gdyż polscy socjaliści chcieli na zebraniach zwoływanych przez Kom. pol. koniecznie uchwałę przeprowadzić, aby Polonja na socjalistycznych kandydatów swe głosy oddawała. Bywało, że jako dłużej zorganizowani, starali się opanowywać nasze zebrania, lecz celu jednak nie dopięli. Zato udawało się im wzniecać hałasy na zebraniach, a niektóre unie-możliwili. Nawet w celu zyskania głosów polskich wymogli u partji niemieckiej, że w drugim okręgu berlińskim postawiono jako kandydata do parlamentu polskiego socjalistę Janiszewskiego, ale i to nie poskutkowało. Te zmagania się ze socjalistami polskimi sprawiły, że organizacja ich coraz mniej wpływu w kolonji zyskiwała, aż wreszcie dała za wygrane.

Drugą próbę zrobiono około r. 1900. Tym razem niektórzy rodacy uważali za potrzebne wzniecić ruch narodowo-demokratyczny. Opanowali przedewszystkiem już wtedy istniejący „Dziennik Berliński“, co im bez trudności się udało, gdyż ówczesny jego kierownik był rad, że pisano za darmo artykuły. To też posługiwano się dowoli „Dziennikiem“ w celach partyjnych. Były to najsmutniejsze czasy w naszej kolonji, gdyż powstała pomiędzy nami niezgoda, prowadząca do skandalów na publicznych zebraniach, a nawet wnoszono ją do innych organizacyj i towarzystw. Zwalczano się namiętnie, bo wszędzie chciano przeprowadzać swoje zapatrywania i swoich ludzi, a sprawy czysto narodowe na tem cierpiały.

Jak zacieklemi były te publiczne kłótnie, świadczy choćby że na jednym z zebrań publicznych (u Buggenhagena przy Moritzplatz) postawiono ze strony nar.-demokratycznej 11 tez i żądano, aby je uchwalono, a ktoby na nie się nie zgadzał, tego mianowano zdrajcą narodu. Pomimo tej „klątwy“ tezy nie przeszły, ale zebranie zato było burzliwe, a następne jeszcze „lepsze“. Dopiero, gdy „Dziennik Berliński“ przeszedł w r. 1902 w inne ręce i przestał uprawiać politykę partyjną, powoli — pomimo kłótni — dochodził ruch do normalnego stanu i od tego czasu nie próbowano tworzyć partyj w kolonji berlińskiej, zaś partja narodowo-demokratyczna przestała istnieć.

Słusznie redakcja „Dziennika Berlińskiego“ stawia pytanie: „Czy powstała obecnie partja nie rozbije dotychczasowej jedności

wychodźstwa, czy nie osłabi jego spójności i nie wniesie w jego łono sporów i waśni?" Opierając się na tem, co już było, trzeba się obawiać, że się powtórzy ówczesna niezgoda.

Dziwić się wypada, że są rodacy, którzy uważają za potrzebne nawet na obczyźnie partje tworzyć. Już w kraju to dzielenie się na partje dużo złego sprowadza, jak to widzimy w Galicji i w Królestwie, a po części i w zaborze pruskim. Jest to jeszcze zrozumiałe, bo tam ścierają się interesy klas społeczeństwa. Co innego na obczyźnie, gdzie wszyscy prawie są jedni i gdzie mamy daleko ważniejsze zadania, aby uchronić siebie i dzieci od otaczającego ich niebezpieczeństwa wynarodowienia się. To też trafnie jeden z uczącej się młodzieży w Berlinie powiedział kiedyś, że więcej ten zdziała na obczyźnie, kto nauczy parę naszych dzieci czytać i pisać po polsku, niż gdyby był najgorliwszym zwolennikiem tworzenia partij politycznych.

Więc dlaczego tworzyć partje na obczyźnie!! Czyż nie mamy dostatecznych organizacyj politycznych? Zważywszy to, co już w Berlinie było, i w jakim celu partje tworzone, mimowoli nasuwa się myśl, czy pozatem co innego się nie kryje. Partyjność ma to do siebie, że gdy chodzi o wybór osób na jakie stanowisko, wówczas nie zważa się na zdolność danej jednostki, lecz na to, czy należy do tego lub innego stronnictwa. To się niestety w kraju często działo i dzieje przy obsadzaniu intratniejszych stanowisk w naszych instytucjach a szczególnie przy wyborach do sejmu i parlamentu. Na obczyźnie powinniśmy tembardziej tego się wystrzegać. A czy w kraju to nowe stronnictwo zdoła utrzymać w karbach zbyt „gorliwych“, to się okaże przy najbliższych wyborach“.

„Komitet polityczny“ coraz bardziej się rozwijał. Działalność jego rozszerzono na zachód Prus aż po Łabę, a na wschód do granic naszej dzielnicy. Później potworzono lokalne towarzystwa wyborcze, by tem łatwiej dotrzeć do szerokich mas i skuteczniej oddziaływać na nie. Agitacja była żywa i starano się pozyskać możliwie każdego rodaka do tej organizacji.

Zadaniem „Komitetu Politycznego“ była nie tylko ściśle polityczna działalność. Rozszerzało się ono i na wszystkie inne dziedziny naszego zbiorowego życia mające pośrednio styczność z polityką, którei wszystkie inne niepolityczne organizacje z natury rzeczy zająć się nie mogły, choćby ze względu na ustawę o publicznych zebraniach, które władze jako polityczne uważały.

Każda wspólna narodowa lub religijna uroczystość, każdy wiec w celach społecznych i wychowawczych, jak wogóle każde publiczne zebranie, należało do atrybucji tegoż Komitetu. Wskutek jego działalności nasze narodowe życie w Berlinie tak się rozbudziło, że na ogólne okolicznościowe uroczystości zbierało się do 5 tysięcy osób.

W naszej kolonii staraliśmy się utrzymać w każdej dziedzinie życia, również i w polityce, czystą polską atmosferę i strzeżliśmy jej na każdym kroku. Były od czasu do czasu zakusy, by nas z tej drogi sprowadzić, lecz rozbijały się o naszą wyrobioną organizację i zdrowego ducha.

Trudniej było, gdy sprowadził się do Berlina człowiek, chcący nadać kolonii inny kierunek, nie nasz, a że okazywał powierzchownie dobrą wolę i był ofiarnym, dając na wszystkie boki, nawet w kraju, zaś nadto miał gazetę na usługi i piszącego w niej na jego rzecz pochwalne artykuły, więc zyskiwał zwolenników, podziwiających jego działalność. I w „Komitecie Polit.“ miał wpływ, bo był jego członkiem. Wywołało to tarcie, a po części niezgodę i zmagaly się dwa prądy — dwa duchy — polski z niepolskim, aryjski z semickim.

Przyglądałem się tej robocie zrazu krytycznie, a gdy spostrzegłem pewne niebezpieczeństwo wykoszlawienia naszych narodowych pojęć, zacząłem energicznie przeciwdziałać. To spowodowało zarzuty przeciwko mnie, nawet w kraju, że nie umiem jego dobrych chęci ocenić i do jego działalności się dostosować. Tym odpowiedziałem, że powinni jemu powiedzieć, aby do mnie się dostosował, gdyż ja już dłużej w Berlinie mieszkam i działam niż on.

Ten stan trwał kilka lat, aż wreszcie poznano się na tej robocie i zdrowy prąd zwyciężył. Przekonano się, dokąd to prowadzi i że chodziło tylko o osobisty wpływ i ambicję człowieka, których, gdy zaspokoić nie zdołał, sam powoli z publicznej pracy się wycofał. Teraz na innem polu to samo robi.

Obecnie organizacja ta nie ogranicza się tylko do wychodźstwa na zakreślonym przedtem terenie, lecz rozciąga się i na te części naszej dzielnicy, które przy Prusach pozostały. Prócz tego przyłączyła się do ogólnego Związku na całe Niemcy i razem z nim działa. Oby tylko znaleźli się w Berlinie chętni rodacy, coby tym ruchem odpowiednio pokierować zdołali.

Przewodniczącym w zarządzie „Komitetu Politycznego“ byłem od początku jego istnienia do r. 1904-go. Tymczasem namnożyło się dużo innej pracy, której jednostki nie mogły już podołać i trzeba ją było pomiędzy więcej pracowników dzielić. Od r. 1904-go nie brałem w kierownictwie politycznym bezpośredniego udziału, mając pod dostatkiem innej pracy. Pozatem polityką i nadal się interesowałem.

Zebrania w sprawie wychowania dzieci na obczyźnie.

Jak już na innym miejscu wzmiankowałem, wychowanie dzieci w Berlinie po polsku chromało, na co się różne okoliczności składały, a szczególnie ogólne zdanie, że na obczyźnie po polsku wychować dzieci nie można. Wprawdzie „Tow. Pol. Przem.“ już w początkach swego istnienia interesowało się tą sprawą i zakładało prywatne szkółki, ucząc choć kilkanaścioro dzieci polskiego czytania, pisania, śpiewu itd., ale to mało skutkowało, gdyż tylko niektórzy rodzice posyłali tam swe dzieci. Brakło w tym kierunku u rodziców prawdziwego zrozumienia. Zresztą sama taka dorywcza szkoła nie może wychować dzieci, jeżeli rodzice w domu nie dbają, czyli nie umieją dbać.

U nas w kraju także właściwego zrozumienia wychowania dzieci nie było i jeszcze go niema. Dadzą dziecku się najeść i jako tako odzież, lecz o resztę już mniej dbają, czyli, że troskę tę pozostawiają bezwiednie otoczeniu, ulicy i szkole. Takie zrozumienie obowiązku rodzicielskiego już w kraju nie wystarczało, a na obczyźnie się srodze mściło.

Pamiętam z pierwszych lat mego pobytu w Berlinie usiłowania uczenia dzieci w szkółkach, n. p. takie.

Był majster szewski, utrzymujący przez więcej lat nasze „Przytulisko“ dla przejeżdżających rodaków, potrzebujących pomocy, który przy różnych okolicznościach ubierał się w aksamitną czamare i frazesów patriotycznych aż nadto używał. Sam słabo umiejący pisać i czytać po polsku, uczył dzieci, a jak on je uczył?! Gdy urządził popis, sprosił na niego, co było najlepszego w Berlinie: Radziwiłłów, Kościelskich, Ciegielskiego, dr. Robińskiego, posłów

i popisował się przed nimi umiejętnością dzieci paru narodowych śpiewek, kilku pytaniami z historii naszej, odmówienia „Ojcze nasz“ i kończył zgrabnem odtańczeniem przez dzieci „polki“, „krakowiaka“, a nawet „mazura“.

Goście zachwycali się temi popisami i nie mieli słów uznania dla tego „mistrza“. Tymczasem była to czysta komedia, bo prawie wszystkie dzieci ani słowa po polsku mówić nie umiały, tylko że „pan nauczyciel“ wiedział, w jaki sposób niemi zablagować przed zgromadzonymi gośćmi, wpałkowując niektórym dzieciom, co o polskiej mowie trochę pojęcia miały, kilka odpowiedzi i śpiewek. Czasem się zapomniał i krzyknął na dzieci: „Kinder schreit, niech żyje Polska!“ ale wtedy był zły sam na siebie za ten lapsus.

Urządzał zwykle te egzamina na przedmieściu Berlina w najętym przez siebie ogrodzie, w którym sprytnie urządził „Plac Radziwiłłów“, „Aleje Kościelskich“, a bramie ogrodu dał nazwę „Brama Cegielskiego“.

Blagier skończony, co mu w pierwszych latach ruchu kolonji naszej uchodziło. A co było najlepsze, raczej najsmutniejsze, to to, że człowiek ten był ateistą i pozostał nim do końca życia. Żonę miał niemkę i dzieci na niemców wychował. On sam nieźle wyszedł na tem, bo nawet syna udało mu się wykształcić na doktora chemji, który ma obecnie zakład mleczno-doświadczalny w Berlinie. Takie anomalje dawniej zachodziły.

Wspominam o tem dla zobrazowania ówczesnych stosunków i pojęć w naszej kolonji. W późniejszych latach było to już niemożliwem, tacy „mistrze“ zostali usunięci od naszej współpracy.

Stan taki trwał jednakowoż zbyt długo, aż wreszcie spostrzeżono się, że tak dalej iść nie może. Znowu Tow. Polskich Przemysłowców było pierwsze, które zwróciło na to uwagę. Przez Komitet Towarzystw i Komitet Polityczny urządzono zwoływać specjalne wiece w celu pouczenia rodziców o ich świętym obowiązku wychowania dzieci po polsku i po katolicku i dawano im rady wzięte z praktycznego życia, jak to robić trzeba. Wiece te były oparte na gruncie religijnym i bardzo licznie zwiedzane. Mnie znowu wypadło je prowadzić i pierwsze wykłady miewać.

Uczono na nich tak. Gdy młody rodak lub rodaczka do Berlina przyjedzie, należy otoczyć ich zaraz opieką, wyszukując

im mieszkanie u swoich, możliwie poszukać im zajęcia, a następnie zaprowadzić na posiedzenia do towarzystw. Można to zrobić z łatwością, boć prawie każdy ma w Berlinie znajomego, z którym co do przyjazdu swego już najprzód się porozumiewa. Potem trzeba nad nimi czuwać i chronić ich od wpływów wielkiego miasta. W ten sposób ma się już jakąś pewność, że tak łatwo się nie wykołują. W towarzystwach mają młodzi sposobność poznania się i gdy do kraju kto nie wraca, lecz wypadnie mu na obczyźnie dom założyć, to już może sobie wyszukać rodaczkę, lub odwrotnie, ona nie potrzebuje wyjść za obcego.

Puczano dalej, jak urządzić mieszkanie, jaką atmosferę w nim stworzyć, jak później uważać na dzieci do wieku szkolnego, kiedy i jak uczyć naszego pacierza, czytania, pisania, co robić podczas chodzenia dzieci do szkoły, jak również po wyjściu ze szkoły. Przez to wzajemne pouczanie się wyrugowaliśmy nietylko polski żargon u dzieci, przejęty z berlińskiego niemieckiego żargonu, lecz my sami nauczyliśmy się poprawnie mówić po polsku.

Zdarzyła się raz zabawna scena na jednym z wieczorów. Sąsiad mej żony, nie znający jej, wyzywał mnie podczas mego przemówienia, że uczę innych wychowania dzieci, sam zaś mam żonę niemkę i dzieci po niemiecku wychowuję. Żonę bawiły te uwagi i tembardziej pobudzała go do lżenia mnie. Na publiczne lżenie jednak się nie zdobył.

Jak znaczna większość rodaków wtedy wychowanie dzieci rozumiała, to niech następujący przykład świadczy. Przyszedłem pewnego razu do mego znajomego, pochodzącego z moich rodzinnych stron. Był urzędnikiem pocztowym i miał ośmioro dzieci, przeważnie zdrowych chłopaków. Słyszę, że dzieci rozmawiają tylko po niemiecku pomiędzy sobą, do matki mówią po niemiecku również, a ta nie umiejąca mówić tym językiem, ale rozumiejąca go, odpowiada im po polsku, co oni także rozumieli. Pytałem tedy rodziców, czemu dzieci po polsku mówić nie umieją? Ojciec uniewinniał się, że je nawet bije, aby po polsku się uczyły, ale one ani w ząb. Naraz pobili się chłopcy przy mnie, ojciec wpada pomiędzy nich, kułakując jednego i drugiego i krzyczy: „Ihr verfluchte Jungens“! „Aha“! zawołałem, „teraz wiem, na czem to polega, że dzieci nie umieją po polsku“! i dałem radę, że dzieci nawet „walić“ trzeba po polsku.

Ojciec umarł, matka jeszcze żyje. Przed trzema laty widziałem się z jednym z tych synów w Berlinie już jako dojrze-

łym mężczyzną. Chciałby wrócić do Polski, ale po polsku nie umie, czego mocno żałował i ojcu przypisywał winę. Radziłem mu, w jaki sposób mógłby jeszcze teraz zło naprawić, ale on już nie ma do tego energii.

Te wiece stały się popularnymi i urządzano je przez kilka lat w różnych częściach miasta. W dyskusji po wykładzie jeszcze na różne błędy w wychowaniu dzieci wykazywano i dawano rady, jak ich unikać. Później przejęły towarzystwa ten obowiązek wzajemnego pouczenia się i czuwania nad wychowaniem młodzieży, a specjalnie tow. „Oświata“. Dla młodzieży po r. 14-tym do 18-go utworzono w towarzystwach sokolskich osobne oddziały, tak dla żeńskiej jak i męskiej, a prócz tego założono dla niej kilka nowych towarzystw, odpowiednich dla jej wieku, o czym osobno piszę.

Zrobiono więc w tej sprawie ze strony naszych organizacji, co tylko zrobić było można, byle teraz wszyscy rodzice swój obowiązek spełnili.

Te wspólne wysiłki, a szczególnie wiece, obudziły rodaków i przełamały przesąd, że jakoby na obczyźnie nie można dzieci po polsku wychować. Myśmy wykazali, że można, ale kosztowało to dłuższych lat pracy. Nie jednemu z wychodźców, gdzieindziej osiadłych, choćby w Ameryce, zdaje się, że nam berlińiakom łatwiej było tego dokonać, gdyż Berlin jest nie daleko naszego kraju i mieliśmy łatwiejszy kontakt z krajem. Otóż tym mogę odpowiedzieć, że w sposób przez nas praktykowany można nawet w Honolulu dzieci po polsku wychować, t. j. wychować tak, jak rodzice chcą, a nie jak otoczenie i ulica. Ale trzeba trochę więcej czasu i opieki dzieciom poświęcić.

Jaki procent dzieci, urodzonych z polskich rodziców, zdołaliśmy w Berlinie dla Polski uratować, to trudno stwierdzić i dlatego wysokości tegoż nie podam, bo mógłbym się pomylić — ale był on w ostatnich latach znacznym. Prawie, że nie znało się rodziców, którzyby nie starali się swoje dzieci po polsku wychować.

Z tego narodowego dorobku możemy być zadowoleni, gdyż bardzo wiele dzieci wychowało się tak, że możemy się z nimi w kraju pokazać, a nawet poszczycić. Niektóre, jakby wcale ojczyzny nie widziały, tak czysto po polsku mówią i znają naszą

literaturę i historję. Nawet dorobiliśmy się do kilkunastu młodzieży z wyższem wykształceniem, a pomiędzy nimi do dwóch księży, którzy teraz z pożytkiem w kraju pracują.

A jak chętnie dzieci do wolnego kraju wracały, który myśmy im tak idealizowali, to była pociecha patrzeć na to.

Ale co więcej! Nasz sposób wzajemnego pouczenia się wychowania dzieci naśladowały inne nasze kolonie, rozrzucone po Niemczech, a szczególnie w Westfalji i Nadrenji i to również z dość dobrym skutkiem.

Jeszcze na jedno zwrócę uwagę. Byli w Berlinie tacy, co eksperymentowali, t. j. żenili się z niemkami. Nawet rodacy z wyższem wykształceniem to robili i udawali to jako heroizm, bo im się zdawało, że żony spolszczą. Szczególna rzecz, że przeważnie robili to tacy, co jako kawalerowie byli gorącymi patriotami i każdego wyzywali, co się z obcą zadał, a potem.....? niemki ich „wzięły“. A może właśnie dlatego wyszły za nich, że byli tak dobrymi polskimi patriotami! Przyznać trzeba, że paru udało się swoje żony cokolwiek spolszczyć, no i u tych, co teraz do kraju się wyprowadzili, niebezpieczeństwa bezpośredniego niema (o ile nie umrą!), pomimo to nie radzę ich naśladować, bo nie każda niemka da się przeobrazić na polkę, a nawet są takie, co z mężami do Polski nie poszły. Zależy to od ich charakteru, łatwego nauczenia się mówienia po polsku i od silnej i konsekwentnej woli męża. Zresztą poco żenić się z niemkami i mieć potem z nimi ambaras, kiedy naszych polek jest tak wiele. Ja, co prawda, szanuję każdą narodowość, ale wolę to, co swoje.

W dawniejszych latach znałem w Berlinie starszego kolegę, który miał żonę niemkę, a dzieci jednak na polaków chował. Najstarsza córka wyszła za polaka i mieszka teraz w Poznaniu, co z resztą dzieci się stało, to nie wiem, bo ojciec zawcześnie umarł. Tak, ale ojciec w domu pracował i tak długo, jak żył, mógł dzieci przypilnować, pomimo to narzekał, że ma wielkie trudności. Zresztą jest to wyjątek z reguły.

Mam nadzieję, że rodacy pozostający na obczyźnie, będą nie tylko zaprowadzonego sposobu wychowania dzieci przestrzegać, lecz go — jeszcze ulepszać, zwłaszcza, że mogą teraz mieć poniekąd opiekę własnego rządu. Również i przeszkód ze strony władz miejscowych niema teraz takich, jak przed wojną. Jednak

na zawsze nie utrzymają się pokolenia nasze na obczyźnie, nawet przy najlepszym pojmowaniu i spełnianiu obowiązków przez rodziców pod względem wychowawczym i narodowym, bo nie w każdym dziecku silny charakter wyrobić można i z biegiem czasu stosunki tamtejsze okażą się silniejszymi. Wprawdzie istnieją w Rosji kolonie niemieckie już przeszło sto lat i utrzymują się z pokolenia na pokolenie, lecz one są zwarte, no i, — przynajmy, — górują kulturą nad tamtejszymi mieszkańcami.

Radzi się więc rodakom na obczyźnie wracać z dziećmi do kraju, a gdy jest im samym z jakichbądź powodów niemożliwym, to wychowawszy dzieci po naszemu, niech chociaż je wysłżą. Takich przypadków, że rodzice na obczyźnie pozostać musieli, a dzieci ich, tam urodzone i wychowane, do kraju wróciły, już mamy więcej. Również zaleca się tym rodzicom, którzy do kraju wrócili lub wrócą, by dzieci nie pozostawili na obczyźnie, bo nie mając oparcia o dom, łatwiej wynarodowieniu uledez mogą. Nadto w kraju, jako w twardszych warunkach wychowanych, czeka ich także lepsza materialna przyszłość, na co już są liczne dowody w tym krótkim czasie naszego istnienia. Polski i tak na obczyźnie nie zbudujemy!

Publiczne zebrania społeczne.

Młodzi rodacy przybywali dawniej do Berlina przeważnie w tym celu, aby jako rzemieślnicy wykształcić się w swoim zawodzie i wrócić potem na stałe do kraju. To ostatnie nie zawsze się udawało, gdyż większa część zachęcona lub zniewolona okolicznościami i stosunkami pozostawała tam na dłuższy czas, może w tej nadziei, że choć później uda się im wrócić. Tymczasem pracowali dla obcych i przytem znośnie żyli, ale o doprowadzeniu do lepszych wyników pracy, jakby nie myśleli. A jeżeli który z nich przypadkiem zdobywał się na własny warsztat lub handelek, to jednocześnie obojętniał dla naszej sprawy i wsiąkał pomiędzy obcych. Taki stan rzeczy był podczas pierwszych lat mego pobytu w Berlinie.

Temu trzeba było koniecznie zapobiec, bo jeżeli już wypadło na obczyźnie pozostać, to przecież mogliśmy się tam tak dobrze dorabiać jak wszyscy inni, a co tylko przez pracę i oszczędność osiągnąć było można. Twierdzono wprawdzie, że jako zwykli

robotnicy, dla obcych warsztatów pracujący, możemy z pracy rąk jedynie wyżyć, a w najlepszym razie tyle zaoszczędzić, żeby skromne mieszkanie urządzić, lecz nie tyle, żeby na założenie warsztatu lub handlu starczyło. I dlatego trzeba było przez wzajemne pouczanie się przekonywać rodaków, że jako robotnicy możemy także o własnych siłach do samodzielności doprowadzić. Pouczanie się i zwracanie uwagi w tym kierunku w towarzystwach nie wystarczało, bo większa część rodaków do takowych nie należała. Konieczność tedy wymagała, aby wyjść poza ramy towarzystw i znaleźć sposób zainteresowania tą sprawą szerszy ogół.

Poruszyłem tedy zwołanie specjalnego wieca, najprzód w Tow. Pol. Przem., a następnie w Komitecie Towarzystw i Komitecie Politycznym. Myśl ta odrazu została przyjęta i zlecono Komitetowi Politycznemu zająć się urządzaniem wieców. Wiece te stały się tak popularne, że sala, mogąca pomieścić do dwóch tysięcy osób, była nieraz za małą i dużo przybyłych nie mogło się dla przepełnienia do niej dostać. To przepełnienie było największą reklamą naszej idei.

Na zebraniach tych mówiono o zasadniczych naszych obowiązkach itp., po co przyjechaliśmy na obczyznę, jak tam pracować i oszczędzać mamy i co potem z tem robić, czy wracać do kraju, względnie co robić, gdy się tam zostaje. Rozprowadzano to w szczegółach i dowodzono, że powinniśmy przedewszystkiem do kraju wracać po przebyciu młodszych lat w Berlinie i tam osiedlić się jako samodzielni, a jeżeli wypadnie już komu pozostać, to żeby również do samodzielności dążył i dorabiał się, by przez to mógł lepiej dzieci wychować i zapewnić sobie przyjemniejszą starość. Nadto każdy dorobek oznacza pod względem moralnym wartość człowieka. Przecież nie zawsze i nie wszyscy będziemy się obcym wysługiwali.

Wykazywaliśmy dalej, że kapitałem są nie tylko pieniądze, grunta, fabryki, wszelkie posiadłości, lecz największy kapitał jest w człowieku samym. A że mamy, chwała Bogu, stosunkowo dużo dzieci, więc te porządnie wychować, wszczepić w nie zamiłowanie do pracy i oszczędności, to one dorósłszy, na tej podstawie będą mogły same się dorabiać. Tym, co twierdzili, że jeżeli jest w rodzinie dużo dzieci, to nie można ich należycie wychować, cytowało się nasze przysłowie: „Da Pan Bóg dzieci, to da i na

dzieci". I rzeczywiście w praktyce też tak jest, bo nie zależy wychowanie od ilości dzieci, tylko od tego, jak kto wychować umie. Wszak najgorzej wychowani są jedynacy.

Dowodziliśmy dalej, że jeżeli rodzice wychowują dzieci na porządnym ludzi, umięających każdy choćby 5000 mk. zarobić, to tak, jakbyśmy im dali 100 000 marek kapitału do ręki. I odwrotnie, skoro ich nie nauczymy pracować, to choćbyśmy im dali sto tysięcy majątku, stracą je wkrótce i na dobitkę nie będą umiały zapracować. Mówiąc to, nie wiedzieliśmy, że już przed stu laty jakiś anglik to samo dowodził.

Człowiek, to jak ziemia, ukrywająca w sobie wielkie skarby, które koniecznie wydobyć trzeba. Jest to tak prosta rzecz, którą, gdy zrozumiemy i do niej się zastosujemy, to najdalej w drugim pokoleniu będziemy, jeżeli nie bogatym, to zamożnym narodem, a dzieci i wnuki będą mogły nasze dorobki dalej rozszerzać. Wszak japończycy tego dowodzili, czemu nie mielibyśmy ich naśladować. I mówiono o zadowoleniu, jakie wywołuje własny dorobek, czego już nikt ocenić, ani zapłacić nie może. Swoją drogą przestrzegaliśmy, że choć zamożność daje wprawdzie niezależność, swobodę ruchów, wygody, zapewnienie na starość, oszczędza trosk o jutro, to jednak nie trzeba do niej się przywiązać. Trzeba uważać ją jako środek, za pomocą którego można nietylko sobie, lecz innym dobrze czynić, gdyż inaczej zmaterjalizujemy się i społeczeństwo nic będzie miało z tego żadnej korzyści, a dorabiając się właściwego zadowolenia.

Radzono, jak stopniowo od dołu odradzać się, jako naród, jak wytwarzać o własnych siłach zdrowe i silne stany. Dzieci robotników mogą być dzielnymi rzemieślnikami, ci znowu, mniej lub więcej dorobiwszy się, mogą już dać swoim dzieciom lepsze wychowanie i szkołę, a nawet materialne wyposażenie, na mocy których one mogą wytwarzać dalej stan kupiecki i inteligencję zawodową, przez co pomożemy do powstania stanu średniego, wyrównującego przedział pomiędzy t. zw. wyższym a niższym stanem, a którego w Polsce nadzwyczaj jest potrzeba, choćby i dla tego — jak słusznie ktoś powiedział — że „trudno się rozmówić, gdy jeden na górze, a drugi na dole stoi, bo się nie rozumieją“. Prócz tego jest nam średni stan potrzebny w walce przeciwko wynarodowieniu, bo jak dotychczas przeważnie obci tę lukę wypełniają.

W ten naturalny sposób powstaną wszystkie potrzebne stany, przez które naród silnym będzie. A gdy przyjdzie ta przez nas oczekiwana chwila przejęcia pod nasz zarząd wspólnego gospodarstwa Ojczyzny, to będziemy wtedy dostatecznie przygotowani, bo będziemy mieli wszystkie i to zdrowe stany, bez których w obecnym ustroju żadne państwo ani społeczeństwo ostać się nie może.

W kilkanaście lat potem słyszałem na publicznym zebraniu w Berlinie biadanie prof. Hoetscha, znanego hakatysty, że jeżeli Niemcom nie udało się zniemczyć Kurlandji, to dlatego, iż pomiędzy innemi brakło silnego średniego stanu, tak w miastach jak po wsiach, którego nie zdążyli jeszcze wytworzyć. Czyli, że potwierdził to, cośmy sobie na wiecach wówczas opowiadali.

Wskazywano dalej, że powinniśmy jak najwięcej oszczędzać, i że dla udogodnienia składania oszczędności założono w Berlinie polską spółkę, gdzie każdy powinien pieniądze zanosić, jako do polskiej instytucji, a nie do obcych. Wykazywano skutki oszczędności tak materialne jak moralne.

Takie i podobne wywody trafiały mniej lub więcej ogólnie do przekonania zebranych i wywiązywała się zwykle po wykładzie pożądana dyskusja. Byli tacy, co dowodzili, że pracujący robotnik, czy drobny rzemieślnik dorobić się z własnego zarobku nie może i trzeba by wprzód zmienić warunki socjalne, inaczej pozostaje się na zawsze robotnikiem. Tym odpowiadało się na podstawie przykładów, że dzielni ludzie w każdych warunkach potrafią się dorobić, bo tak bywało już za zamierzchłych czasów, gdy dola robotnika jeszcze gorszą była. To swoją drogą wcale nie przeszkadza dążeniu do poprawy bytu robotnika jako takiego. Znaleźli się i tacy, co na zebraniu wołali: „Niech panowie oszczędzają, bo my nie mamy z czego!“, ale wołania te pozostały bez echa.

Te zebrania nabrały rozgłosu. Przychodzili na nie przywódcy socjalistyczni, a także sławna Róża Luksemburg, i brali udział w dyskusji. Ich obecność była nam nawet na rękę, bo dyskusja stawała się bardziej interesującą, zaś wywody ich nietrudno nam było odeprzeć.

Pisały o tych zebraniach nasze gazety w kraju i na obczyźnie, a nawet przysłał mi ktoś „Prawdę“ z września 1900 r., wychodzącą w Kurytybie (Brazylja), w której pod nagłówkiem „Polacy w Berlinie“ obszernie o nich pisała, stawiając kolonję

berlińską tamtejszym wychodźcom jako wzór. Z tego widać, że owe wzajemne pouczenia się, jakby w naszych warunkach o własnych siłach się dorobić, oddziaływały także na odleglejsze wychodźstwo.

Jakie skutki nasza praca w tym kierunku miała, to objawiało się w „Skarbonie“ i w zakładaniu warsztatów. Wcale pokazna liczba rzemieślników i kupców poczęła z czasem pracować na własny rachunek i mniej lub więcej niezłe im się powodziło. Samych restauracyj niższego rzędu powstało w Berlinie z biegiem czasu kilkadziesiąt, w których przeważnie towarzystwa polskie posiedzenia odbywały. Również i zwyczajni robotnicy zaczęli zajmować się drobnem sklepikarstwem, a nawet liczyliśmy już kilku właścicieli domów.

Coraz więcej dzieci posyłano do wyższych szkół, tak chłopców, jak dziewczęta, czego dawniej nie robiono, a co świadczyło o wzmaganiu się pewnej zamożności. Prawie w każdej takiej szkole, których jest w Berlinie dużo, po kilku chłopców było.

Najbardziej uwydatniła się ta praca w skutkach, gdy po zmartwychstaniu Ojczyzny zaczęli nasi rodacy do kraju wracać. Iluż to ich wróciło z przywoitym dorobkiem pracy, może nie tyle pod względem materialnym jak moralnym: chęcią do pracy, wiarą w jej dobry skutek, poczuciem obowiązku, no i z dumą, że to, co przywieźli, zdobyli własną pracą — własnymi wysiłkami, tak, że odrazu mogli nienajgorsze stanowiska w kraju zająć. Nie żądają też synekur od Polski, lecz placówek pracy, odpowiednich ich zdolnościom. Jeżeli przemysł i kupiectwo w tej dzielnicy się rozwija, to nie bez ich udziału. Nawet nowe gałęzie przemysłu i handlu stwarzają, których tu przedtem wcale nie było.

Biorą też liczny udział w obywatelskiej pracy, zaprawieni do tego na obczyźnie.

Gdy pytam którego, co jest powodem powodzenia, to otwarcie przyznają, że to dzięki nawoływaniu do pracy i oszczędności i wskazywaniu dróg do dorobienia się własnymi siłami.

Więc te nasze wysiłki nie poszły na marne, lecz przyniosły obfite owoce. One nauczyły wychodźców według teorii ks. Warzyńskiego idealizmu na podstawie wyników własnej pracy.

To jest dorobek długoletniej pracy, z którego my, berlińcy, możemy być zadowoleni.

Ksiądz Patron Piotr Wawrzyniak.

Moje pierwsze spotkanie i poznanie się z ks. Wawrzyniakiem miało miejsce na Zjeździe delegatów Towarzystw Przemysłowych w Poznaniu w początku ostatniego dziesiątka lat ubiegłego stulecia. On na tem zebraniu przewodniczył, a ja sekretarzowałem. Jego sposób przewodniczenia i przemawiania spodobał mi się bardzo. Był wtedy wikarjuszem w Śremie. Od razu można było wyczuć, że chociaż był księdzem, wiedział, co rzemiosłu potrzeba i dawał nam odpowiednie rady. Jako przewodniczący sprawiał się krótko i nie pozwolił nikomu w ramach parlamentarnych na niepotrzebne gadanie i przedłużanie czasu.

Gdy wkrótce potem wybrano go na posła do Sejmu pruskiego, odszukał mnie zaraz w Berlinie i powiedział: „Niech pan wprowadzi mnie do waszych towarzystw“. Z przyjemnością przyjąłem gotowość jego współpracy i odtąd datuje się nasza wspólna działalność, która nietylko do Berlina się ograniczała, bo nie było ważniejszej sprawy w społeczeństwie naszym, którejbyśmy razem nie omówili.

Podziwiałem tego człowieka. Z wyglądu olbrzym, ciężki, powoli chodzący, a wszędzie zdążył i był punktualnym. Umiał czas dzielić i liczyć się z czasem, co było jego wielką zaletą. Na posiedzeniach sejmowych i koła polskiego rzadko brakował. Bywał prawie na wszystkich naszych publicznych zebraniach w Berlinie, przemawiał na nich i często przewodniczył, jak również na ważniejszych posiedzeniach towarzystw i organizacyj. Wszystko go interesowało. A gdy przez niedzielę lub święto został w Berlinie, to nie na to, aby odpocząć, lecz miewał dla nas w kościele kazania, lub wyjeżdżał w okolice Berlina, gdzie rodacy przebywali i dla nich odprawiał nabożeństwa.

Nietylko sam do nas przychodził, lecz przyprowadzał z sobą kolegów sejmowych i zachęcał ich do odwiedzania nas. Jednym słowem rozbudzał życie nasze, dawał dobre rady i wykazywał błędy. Nieraz nie jadł cały dzień i gdym mu zwrócił uwagę, że o obiedzie zapomniał, to powiedział, że wieczorem powetuje. I gdy po skończonej robocie do jedzenia zasiadł, to rzeczywiście powetował. Imponował mi jego apetyt. Był to człowiek, który jadł i spał, kiedy chciał, potrafił jednemu i drugiemu nakazać wstrzymanie się, jak również im wodze puścić, podług tego, jak było potrzeba.

Aby na czasie zaoszczędzić, jeździł podczas dłuższych podróży w nocy, by podczas dnia do pracy stanąć. Podług jego czasu urządzano też zebrania, aby umożliwić jego obecność na nich. Można było o ks. Wawrzyniaku powiedzieć, że nie on koło stosunków się obracał, lecz stosunki koło niego i dostosowywały się do jego woli i czasu. W ten sposób mógł wszędzie zdążyć i dużo zrobić.

Kiedy już poznał dobrze naszą kolonję w Berlinie i jej potrzeby, porozumieliśmy się obydwaj, żeby założyć tam dla rodaków spółkę oszczędnościową, uważając grunt do tego za podatny. Myśl tę rzuciliśmy nastęnie w towarzystwach, a gdy ją tak przyjęto, poprosiłem najbardziej wpływowych obywateli na specjalne zebranie i założyliśmy spółkę pod nazwą „Skarbona“. W rok później głównie za jego przyczynianiem się i daniem potrzebnej gotówki założyliśmy „Dziennik Berliński“. Jedno i drugie na innem miejscu obszerniej opisałem, więc tutaj na krótkiej wzmiance się ograniczam.

Gdy o założeniu spółki oszczędnościowej dowiedział się ś. p. Komendziński, znany działacz w Dreźnie, poprosił ks. Wawrzyniaka, aby tam przyjechał i również takową założył. Ks. W. pojechał do Drezna, ale zbadawszy teren, uznał go za niedosyć przygotowany i spółki nie założył. Komendzińskiemu pozostała z tego pamiątka w formie łóżka, które umyślnie sprawił na przyjęcie tak zacnego gościa, gdyż te, które miał, były za krótkie, bo nie chciał, żeby ksiądz W. w hotelu nocował. W łóżku tem nie pozwolił już potem nikomu spać.

Będąc razem, wyglądaliśmy jak Goliat z Dawidem. Raz zabawnie na wiecu wyglądało. Ks. W., jako przewodniczący zebrania, siedział na estradzie, ja obok niego z jednej strony jako informator, a z drugiej, jako sekretarz, jeszcze mniejszy odemnie. Zażartowałem potem z ks. W., że nas w tej pozycji odfotografowano.

Ks. Wawrzyniak był z nami przez jedną kadencję sejmową, t. j. 5 lat, na dłużej już nie chciał mandatu przyjąć, otrzymawszy tymczasem probostwo w Mogilnie, które przysporzyło mu obok czynności jako Patrona Spółek znacznie więcej zajęcia, niż w Śremie. Berlińskiej kolonji oddał przez ten czas niezmierne usługi.

Podczas swego posłowania pojechał do Ameryki. Badał tam stosunki finansowe naszych rodaków i to, co tam widział i słyszał, nam potem w Berlinie na umyślnie zwołanym wiecu opowiedział.

Skutków jego podróży, aby zbytnie pieniądze z Ameryki do kraju skierować, zdaje się, że nie było, bo nic o tem nie słyszałem.

Mój osobisty stosunek do ks. Wawrzyniaka pozostał już stałym i prawie za każdym przyjazdem do kraju, co się często zdarzało, widywałem się z nim w Poznaniu lub Mogilnie i zawsze mieliśmy sobie coś do powiedzenia. Mnie donosił już parę tygodni naprzód o swoich ruchach, więc wiedziałem, kiedy i gdzie go zastać. Prócz tego prawie co lato w ostatnich latach jego życia spotykaliśmy się na wypoczynku w Zakopanem lub Sopotach, a zimą jeździliśmy razem do Wiesbadenu. Do ostatniej miejscowości pojechałem z nim pierwszy raz na kilka dni, tak dla towarzysztwa, a potem wykazało się, że jestem rzeczywistym kandydatem dla tamtejszych wód i lekarz zalecił mi, aby co rok się tam odświeżać. To też ks. W. zrobiłem „zarzut“, że z powodu towarzyszenia mu tam się „zaraziłem“.

Gdyśmy pierwszy raz do Wiesbadenu przyjechali, wzięto mnie za kapelana „des Herrn Prälaten“. Rzeczywiście ks. W. zamówił się z jednym z młodszych księży, więc dziwiono się, że ten „Herr Kaplan“ miał wasy. Nawet rachunek hotelowy księdzu W. za mnie, jako za jego kapelana, wystawiono, na co wielkie oczy zrobił, a ja żartowałem, że gdy jestem jego kapelanem, to niech za mnie płaci.

We Wiesbadenie przeżywaliśmy piękne dni. Przed obiadem widywaliśmy się rzadko, gdyż ks. W. był zajęty swojemi kuracjami i korespondencje załatwiał. Obiady jadaliśmy razem przy osobnym stoliku i wtedy program na resztę dnia ustanawialiśmy. Jedyne wyjednałem sobie u niego krótką poobiednią drzemkę, którą on, jako chudemu, przyznał. Jeśli niepogoda była, zwiedzaliśmy miasto i jego zabytki, a w razie pogody wyjeżdżaliśmy w najbliższe okolice. Już w Berlinie porównywał nas ks. B. z wyglądu do Bismarka i Windhorsta (zbyt pochlebne porównanie!), a we Wiesbadenie z powodu kontrastu naszych figur znano nas w całym mieście. Jeszcze przed kilku miesiącami mówił mi ktoś w Cieszyńskiem, którego tam dopiero co poznałem, że widywał kiedyś

ks. Wawrzyniaka w Sopotach w towarzystwie małego towarzysza, ale w tej chwili spostrzegł się, że to ja nim byłem. Przypomniał mi teraz jeden z moich znajomych dowcip z owych czasów, który pewien dowcipniś, widząc ks. W. ze mną razem, zrobił uwagę, że chociaż co do postaci tak bardzo się różnimy, za to kapelusze nasze są równe. I rzeczywiście, mogliśmy śmiało je pomiędzy sobą zamienić. Bodaj, że trafnie scharakteryzował nas autor późniejszej „Szopki“ berlińskiej, gdy dowcipnie napisał: „Że ksiądz Patron mógł się schować przy postaci mej“.

Na tych wycieczkach towarzyszył nam często od lat tam zamieszkały znany rodak i kochany człowiek, a miły towarzysz, p. G. Humor miał zawsze wyśmienity, więc towarzystwa nam nie psuł, umiejąc się do nas znakomicie dostroić.

P. G. trudnił się tam od długich lat masowaniem kuracjuszków, najczęściej rodaków, zarówno chudych jak tłustych. Jeśli mu się jaki krzywy anglik nawinął, to go także prostował.

Kiedy go raz zapytałem: „Czy to masowanie mi co pomoże?“, to z humorem odpowiedział, że „w każdym razie jednemu z nas!“, t. j. jeśli nie mnie, to jemu. Ks. W. narzekał znowu na niego, że go zanadto gniótł przy masowaniu, podczas gdy ze mną względniej się obchodził, bo jak mówił, niema u mnie co gnieść.

P. G. teraz w Poznaniu mieszka i gdy się zejdziemy, przypominamy sobie te miłe chwile, któreśmy w trójkę we Wiesbaden przeżywali.

Na przechadzkach nie zawsze zgadzaliśmy się ze sobą, zwłaszcza, gdy było mroźne powietrze, bo ks. W. chodził za powoli i było mi dlatego zimno. Ale to nie wpływało ujemnie na nasz humor, mianowicie, gdy musiał w takim razie wstąpić ze mną do jakiegobądź lokalu na „rozgrzewkę“.

Pewnego razu wybraliśmy się obaj w towarzystwie znanego obywatela z Poznania, rzeźnika, w okolicę Wiesbadenu, dokąd wypadło jechać kilka kilometrów koleją. Fundować bilety kolejowe mnie tym razem wypadło. Z żartów kupiłem do czwartej klasy, a ks. Waw. wiedząc, że lubię tigele płać, przyjął to z humorem. Ale przeliczyłem się co do naszego towarzysza: „Jak to, ja miałbym czwartą klasą jechać? Chyba pan zwarzował! Jeszcze w życiu tą klasą nie jechałem!“ Ja mu na to: „Jeżeli pan nie chce jechać, to go zmusić nie mogę; może robić co mu się podoba“.

Liczył na to, że ks. W. też się czwartej klasie oprze, lecz widząc, że spokojnie do wagonu wchodzi, chcąc nie chcąc wgramolił się także, bo na kupienie innego biletu nie było już czasu, no, i żał mu było towarzystwo nasze opuścić. Ale nie mógł mi zapomnieć, że mu tak „ubliżyłem“. Swoją drogą jechaliśmy jakby w salonie, bo oprócz nas nikogo w wagonie nie było. Ów rzeźnik wkrótce zbankrutował...

Ks. W. lubił każdą nowość widzieć. To też wybraliśmy się do kinematografu, który tam wtedy pierwszy raz urządzono. Lecz po małej chwili wstaje i mówi: „Niema na co patrzeć, chodźmy!“ Więcej razy jużesmy nie poszli. Za to chodziliśmy częściej na koncerty i do teatru, które są tam pierwszorzędne. Główny teatr jest rządowy i tylko pierwszorzędne siły występują.

Przez cały pobyt we Wiesbadenie zgodził się lekarz księdza W. — jego przyjaciel z ławy szkolnej — p. dr. B., że mógł sobie raz ks. W. „pozwolić“ i w taki rzadki wieczór wybrało się nas pół tuzina znajomych osób do miejskiego kasyna, aby z tego pozwolenia jak najobficiej na koszt ks. W. korzystać, naturalnie, w towarzystwie tego doktora. Kończyło się na tem, że wieczór taki dwom nie zaszkodził, t. j. ks. W. i mnie, bo na pierwszego nie podzielał, a drugi, będąc ostrożnym, mało z niego korzystał. Na swego przyjaciela — doktora wogóle ks. W. narzekał, że jest „niesprawiedliwym“, bo na co mnie pozwalał, to jemu zakazywał. Mnie n. p. zalecał dobre piwo pić, aby moje ciało trochę się rozszerzyło, a jemu tego specjału pod utratą osobistej przyjaźni wzbraniał. „To ci“ — mawiał ks. W. — „jest sprawiedliwość!“ Aleśmy czasem jednak sobie obaj „użyli“, wychyliwszy obficie marcowego „echtawara“ — każdy naturalnie według wielkości swego żołądka — o czem zacny dr. B. do dzisiaj się nie dowiedział.

Doktor sam, nie opływając w tuszę, chodził według swej zasady prawie codziennie na pilsnera do „Mutter Engel“, gdzie wertował jedną gazetę po drugiej, szukając w nich wojny, aż ją wreszcie „wywołał“. Częściej go tam spotykałem, ale ks. W. nie śmiał się pokazać, aby na doktora się nie natknąć.

Rzadko podawano nam na obiad pstrągi, które ks. W. bardzo lubił, aż pewnego razu gości nimi uraczono. Zwykle obsługujący zaczynał podawanie raz od jednego gościa, a drugi raz od drugiego. I gdy pstrąga przyniósł, który miał dla nas obydwóch wystarczyć, zaczął odemnie. Ja, rozmawiając, „zapomniałem“ się i całego włożyłem sobie na talerz, zacząwszy smacznie zajadać.

Ks. W., licząc, że go pstrąg całkiem ominie, bo na każdego gościa porcje były wyliczone, groźnie w moją stronę spojrział. W kuchni jednak tyle się jeszcze znalazło, że mu nową porcję przyniesiono i czoło mu się tedy rozjaśniło. Ten despekt wynagrodziłem ks. W. innym razem „Eisbeinami“.

Prawie w każdym dniu omawialiśmy jaką ważną sprawę, którą on zwykle tam do późniejszego wykonania przygotowywał i mnie często o zdanie pytał. Rzadko nasze poglądy się różniły, a gdy czasem byłem innego zdania, to pytał dlaczego i zastanawiał się nad tem, kto z nas może mieć rację. Przy swoim zdaniu się nie upierał, gdy się przekonał, że zdanie innego jest lepsze i w tem był wielkim.

Spostrzegłem przy obserwowaniu go, że w działaniu był dyplomata i jeżeli jakiejś sprawy, którą miał załatwić, dokładnie nie znał i nie wiedział, jak ją pokierować, to pytał ostrożnie innych o zdanie, które gdy mu do gustu przypadło, przyjmował jako swoje i przy działaniu zastosowywał, aby sprawę z dobrym skutkiem przeprowadzić. Gdy mnie jaka dobra myśl do głowy wpadła, a nie mogłem wprowadzić jej w czyn, lub gdybym wprowadził, nie odniosłaby odpowiedniego rezultatu, to jemu ją podawałem do wykonania, bo „gdy dwóch robi to samo, to nie jest jeszcze to samo“. Przeciwników nie obawiał się, zaprzęgając ich do roboty. Takiego, co na zebraniach za wiele gadał i krytykował, postarał się o wybranie go do rady nadzorczej. Wtedy był pewien, że będzie milczeć i nie przeszkadzać. Ks. W. mógł to zrobić, gdyż wiedział, że to, co robi, jest dobre.

Kiedy w pruskiej Izbie Panów ważyły się losy projektu ustawy wywłaszczeniowej, byliśmy wtedy we Wiesbaden. W hotelu, w którym przebywaliśmy, mieszkało także grono rodaków z innych dzielnic. W dniu ostatecznego głosowania oczekiwano z niepokojem wieczornych wiadomości o wyniku tegoż. A gdy przyszły i to, że projekt przeszedł, wtedy zdawało się im, że już po nas. Ks. W. tego wieczora gdzieś gościł i wszyscy na niego do późna czekali, aby dowiedzieć się, co on powie. Gdy przyszedł, pytali go, co teraz będzie? „Co ma być“ — ze spokojem odpowiedział — „będziemy się bronić, a ustawa ta bardziej im zaszkodzi, niż nam“. Tego spokoju rodacy z innych dzielnic nie mogli zrozumieć. On zaś zaprawiony do mozolnej, ale skutecznej pracy, wiedział, co z tego być może i nie mylił się.

Raz podczas naszych wycieczek poruszyłem ówczesny niewłaściwy sposób polecenia kandydatów na posłów do sejmku pr. i parlamentu niem. w naszej dzielnicy. (Obecnie jeszcze gorszy). Bowiem nie zawsze posłami zostawali odpowiedni kandydaci, którzyby z różnych powodów tak doniosły obowiązek mogli spełnić, jak należy, gdyż najczęściej obarczeni zawodowymi obowiązkami, nie mieli czasu na sprawowanie poselstwa, a niektórzy nie mieli i właściwego zrozumienia tego obowiązku. Byłem zdania, że odpowiednich kandydatów trzeba wyszukiwać, a o tych, co sami się zgłaszają, przekonać się wprzód, czy nadają się na posłów i to bez względu na przekonania polityczne.

Kandydat taki musi być przede wszystkim człowiekiem uczciwym, mieć dobry i silny charakter i wolę, oraz poczucie obowiązku, odpowiednie wykształcenie i doświadczenie życiowe, dużo wolnego czasu, któryby bez uszczerbku swoich prywatnych interesów mógł sprawie poselskiej poświęcić, no i nie być blagierem i demagogiem.

Nie trzeba też tworzyć z poselstwa synekur dla pewnych osób, a znowu innym dawać sposobność do bawienia się w wielkim mieście. Takich, co się sami polecają, a tembardziej narzucają, na kandydatów poselskich, z góry podejrywałbym, że mają przytem zwykle swoje uboczne cele, swoje własne interesy na oku. Twierdzę stanowczo, że człowiek, biorący udział w życiu politycznym i dorabiający się z tego powodu na polityce, jak to niestety działo się w szerokiej mierze w Galicji, a teraz prawie w całej Polsce, nie jest uczciwym i takiego należy od polityki usunąć. Rzetelnie myślący człowiek nie będzie się narzucał.

Ks. W. wysłuchał mych wywodów, namyślił się, odchrząknął i rzekł: „Hm, musiałby być w takim razie ktoś w społeczeństwie, coby ton nadawał, miał u niego mir i był bogatym, a takiego narazie nie widzę. Mógłby nim być p. K., ale nie ze wszystkim“.

Pogadankę na ten temat mieliśmy w lutym r. 1910. Latem tego samego roku urządził ks. W. u siebie co niedzielę zebrania społeczno-polityczne, na które spraszał 20 do 30 osób różnych odcieni politycznych z Poznańskiego i Pomorza. Pociągi zjeżdżały się w Mogilnie z różnych stron około godz. 5-ej po poł. i po przybyciu wszystkich gości na probostwo, zbierano się w altanie w ogrodzie lub na werandzie plebanji i ks. W. poruszał zwykle jakiś temat wszystkich obchodzący.

Wywiązała się potem z tego pogadanka i wymiana zdań, a gdy już omówiono sprawę jak należy, podzielono się na małe grupki i przechadzano się po ogrodzie aż do wieczery, którą gospodarz swych gości uraczał, aby nie wracali do domu głodni. A była zwykle wyśmienita z dodaniem jakichś mocniejszych płynów. Około godz. 9-tej wszyscy się rozjeżdżali w swoje strony. Dodać wypada, że za każdego gościa ks. W. płacił osobne 10 marek do „Towarzystwa Czytelni Ludowych“.

Mnie, jako na obczyźnie mieszkającemu, było wolno bywać na tych zebraniach bez osobnego zaproszenia i to też trzy razy z tego przywileju skorzystałem. Na jednym poznałem Jezuitę O. Adamskiego. Ten po skończonej pogadance wziął mnie pod rękę, aby się przejść po ogrodzie i zapytał: „Gdzie i co pan studjował?“. Na co mu odpowiedziałem, że w Berlinie krawiectwo. Ta odpowiedź go do mnie wcale nie zraziła, przeciwnie, tembardziej zainteresowała.

Dopiero później, gdy już ks. Wawrzyniaka pomiędzy nami nie było, przypomniały mi się te zebrania w zestawieniu z naszą wiesbadeńską pogadanką i jego zdanie o wpływowej osobie w społeczeństwie naszym.

Jakie znaczenie i uznanie miał u innowierców, to można było spostrzec w Śremie podczas jego srebrnego jubileuszu kapłańskiego, gdzie mu nietylko obywatele obcych wyznań, ale i władze winszowały za to, że się przyczynił do podniesienia miasta. A przecież on to głównie sprawił, że mianowicie żydzi musieli wynosić się z naszej dzielnicy, lecz to nie przeszkadzało im wyrazić mu swego osobnego uznania za podniesienie miasta.

To samo spostrzegłem w Mogilnie na uczcie, jaka się odbyła z powodu urzędowego objęcia tamtejszego probostwa, na której z urzędu byli landrat i burmistrz. Jak zręcznie ks. Wawrzyniak podczas uczty wniósł toast na cześć władz! Niby powiedział coś, a nie powiedział nic. Taka była jego dyplomacja i stanowisko wobec władz. To też władze lokalne w Mogilnie w niczem mu nie przeszkadzały, a on znowu gruntownem odrestaurowaniem kościołów, klasztoru, probostwa, urządzeniem ogrodu, a nawet cmentarza, miasto upiększył.

Opowiadał mi, że pieniędzy na odrestaurowanie probostwa nie miał, lecz od czego pomysł! Zabezpieczył się na odpowiednią sumę na życie, dał polisę jako podkładkę prócz podpisów i bank pieniądze dał, zaś ręczyciele w razie jego śmierci

byli zapewnieni. Przy pokazywaniu mi urządzonego cmentarza zażartowałem z niego, że każe nieboszczyków chować podług alfabetu, gdyż jakoby takie oddziały dał porobić.

Do Mogilna częściej potem zajeżdżałem choć na parę godzin, gdzieśmy latem na werandzie plebanji lub w ogrodowej altanie, a zimą w plebanji, gawędzili. Plebanja stoi nad jeziorem, którą zaraz po objęciu probostwa dał porządnie ks. W. odświeżyć, a ogród, okalający plebanję, przytyka do jeziora. Widziałem już rysunek na nową, wygodniejszą, zrobiony z polecenia ks. W. przez jego przyjaciela, architekta Woj., mieszkającego stale we Wiesbaden, lecz do pobudowania, wskutek śmierci ks. W. nie doszło.

Wiedząc o godzinie mego przybycia do M., wychodził czasem ks. W. ku dworcowi mnie naprzeciwko, idąc obok jeziora, aby tem więcej czasu na pogadankę zyskać. Niekiedy wziął do naszego towarzystwa swoich ks.ks. wikarjuszów, ale wtedy musiał jeden z nich iść do piwnicy po jaki szlachetny trunk. Ks. B., pierwszy wikarjusz, niechętnie zapasy piwnicy uszczuplał, zato ten drugi, ks. K., byłby jaknajwięcej butelek z niej wyniósł.

Stosunek ks. W. do swoich ks.ks. wikarjuszów był, o ile spostrzegąłem, bardzo serdeczny. Dbał też o ich materialne położenie, jak rzadko kto.

Pewnego razu, przyjechawszy do Mogilna, wziąłem umyślnie chłopca, mającego może 14 do 15 lat, do niesienia mego kufereczka. Po drodze, jak to moim zwyczajem było, wypytywałem go po swojemu o różne domowe i miejscowe sprawy, a pomiędzy innymi, czy jest z ks. proboszcza zadowolony. Widocznie musiał z ks. W. „zadrzeć“, bo wyrażał się o nim nie bardzo i to, że parafjanie mają go strach, bo jest „zły“ itd., zato młodych księży chwalił, iż są lepsi. Gdy widząc, że skręcam do plebanji, postawił szybko przed bramą ogrodu kuferek i czmychnął, nie odczekawszy nawet piwnego. Powiedziałem potem ks. W., jak to młodzi „parafjanie“ mają go strach, to serdecznie z tego się uśmieł.

Widząc błogie skutki działalności duchowieństwa naszego w tej dzielnicy, postanowił ks. W. w r. 1907 pojechać do Warszawy na kursa społeczne, specjalnie dla księży z Królestwa urządzane, dokąd wybrał się razem z księżmi Adamskim i Zimmermannem. Rząd rosyjski nie chciał mu zrazu na przyjazd do Warszawy pozwolić i dopiero w ostatniej chwili telegraficznie

pozwolenie nadesłano. Mniej przeszkadzano księżom A. i Z. Cel jego udziału na tych kursach był jasny: chciał w ramach możliwości pobudzić władze kościelne i duchowieństwo tamtejsze do pracy pomiędzy ludem, na wzór pracy w b. zaborze pruskim.

Przypadkowo byłem w tym samym czasie w Warszawie za swoimi interesami i skorzystałem z tej sposobności, aby być na owych kursach, na które mi jako laikowi ks. W. wstęp wyrobił, gdyż one tylko dla księży były przeznaczone. Od tutejszych księży dowiedzieli się tamtejsi, co w tej dzielnicy duchowieństwo działo. Najprzód mówili księża Z. i A. o organizacjach robotniczych i sprawach społecznych, a po nich mówił ks. W. o działalności księży wogóle. Już przemówienia pierwszych przyjęto z wielkim uznaniem i aplauzem, a cóż dopiero przemówienie ks. W.! Z jaką siłą opowiadał, „jak spółki niosły skuteczną pomoc rolnikom, zniosły lichwę „obrzezaną“ i „nieobrzezaną“ i dały kółkom rolniczym możność rzeczywistego wpływu na kulturę rolną“. A dalej: „Czy mieliśmy patrzeć jak lud ginie? Czyż mamy beczynnie się przyglądać, gdy nasz dom się pali?! Nie odstępując ołtarza — z niego czerpiąc siłę i moc i namaszczenie wiary bojowników Chrystusowych — jedną ręką oparci o ołtarz, — drugą cegłę po cegiełce kładąc pod fundamenta społecznej budowy — duchem bożym ożywieni, z groszy ubóstwa kuli metal na lemiesz pług, co w nowe bruzdy orał ugory pod nowy zasiew — kuli miecz, co odpierał krzyżackie zakusy! I jak ongiś Izraelici przy budowie kościoła jerozolimskiego, tak my teraz powinniśmy brać w jedną rękę kielnię, a w drugą miecz“. „Może być, że ksiądz ograniczający obowiązek swój do kościoła, do nieba przyjdzie, ale ja powiadam, że całkowitego obowiązku nie spełnia, bo powinien wyjść z zakrytych pomiędzy lud“. I tu zwrócił się w stronę obecnego na zebraniu księdza arcybiskupa Popiela ze słowami: „I to też nie trzeba chętnych księży wstrzymać od tej zbożnej pracy, a drugich do niej jeszcze zachęcać“. Można sobie wystawić, jakie wrażenie jego mowa na obecnych księży zrobiła, których było około 400 na sali.

Parę lat przed śmiercią swoją zwrócił ks. W. uwagę na Galicję, tam, gdzie duchowieństwo nie krępowane przez rząd mogło być tem swobodniej społecznie działać, zamiast brać udział w roznamiętnionych walkach politycznych i partyjnych. Byłem po części świadkiem jego poczynań i widziałem, jaki tam ugór jest w tej dziedzinie. Ks. W. zaczął od urzędzania „Księżówki“,

położonej pod stokami gór przy drodze pomiędzy Zakopanem a Kuźnicami, gdzieby księży ze wszystkich zaborów mogli się podczas wakacji umieszczać za przystępną cenę i czuć się u siebie. Na kierownika przysłał swego wychowanka ks. Płoszyńskiego, a gospodarstwem domowym zarządzały siostry zakonne. Przedsiębiorstwo to oparł na udziałach i udziałowcy też mieli pierwszeństwo do korzystania z jego urządzeń. (Ks. W. wszystko robił praktycznie).

W tej „Księżówce“ miewał dla księży wykłady społeczne. Na jednym z nich i ja byłem. W prostych słowach mówił o znaczeniu tego przedsiębiorstwa i jak się w niem lokatorzy zachować powinni. Nie pominął nawet pewnego wygodnego miejsca, którego zanieczyszczać nie wolno.

Mam z tego zebrania miłą pamiątkę w formie zbiorowej fotografii księży, na którą i ja jako „intruz“ się dostałem. Robiono dlatego księdzu W. uwagi, ale on dobrodusznie odpowiedział: „A toć ci tam pomiędzy nas wlaź!“, — choć sam mnie do tego namówił.

W r. 1908-mym urządził pielgrzymkę do Lourdes, z którą i ja się zabrałem. Na innym miejscu o niej obszerniej wspominał.

Urządzałem się tak, żeby bywać na dorocznych sejmikach spółek, przez co zyskiwałem pogląd na ich działalność. Ile to ks. W. zebrany na nich dobrych rad dawał! „Chciecie mieć wpływ na politykę i gospodarcze stosunki, to płacicie większe podatki!“ — tak pewnego razu wołał. Chciał przez to powiedzieć, że powinniśmy pracować, oszczędzać i dorabiać się, aby móc płacić większe podatki i przez to zyskiwać wpływ na ustrój gospodarczy i polityczny. Innym razem powiedział: „Narody mierzy się według tego, jak płacą swoje rachunki!“ . Jakie to wspaniałe zdanie! Można je tembardziej naszemu społeczeństwu polecić, które tak słabo tej zasady przestrzega.

Tych, co zakładali lekkomyślnie jakiebądź spółki, podejrzewał o osobiste cele, że chcą z tego najprzód dla siebie materialne zyski ciągnąć i odgrywać rolę dyrektorów. Takich odsyłał do towarzystwa św. Wincentego à Paulo, aby im tam co dano.

Ze sposobem ks. B. zakładania konsumów na Pomorzu nie mógł się jakoś przez dłuższy czas pogodzić. Wybrał się raz na rewizję konsumu do Brus, a że bawiłem wtedy w Sopotach, więc

napisał do mnie, żebym do Czerska przyjechał, skąd wozem parę mil do Brus pojechaliśmy. On rewidował, a ja się tylko przyglądałem. Gdyśmy wracali, pytał mnie o zdanie. Po wymianie zdań skutek był ten, że zmienił swoje zapatrywanie na konsumy pomorskie, co go tembardziej zbliżyło do ks. B. i ułatwiło wspólną działalność.

Podczas sejmiku spółek na posiedzeniach komisji pod przewodnictwem ks. W. omawiano pewnego razu w gronie prawie samych kupców sprawę zakładania sklepów dla ludu po wsiach przez właścicieli ziemskich, którą ks. W. już u siebie w Mogilnie na jednym z owych niedzielnych zebrań przetrawił. Wszyscy kupcy byli zdania, że to wkracza w ich atrybucje i obywatele wiejszy nie powinni się tem zajmować. Tylko prawie ja sam byłem przeciwnego zdania, które kupcom się nie podobało. Gdy potem ks. W. „wymawiałem“ że mnie nie bronił, to odrzekł: „A toć się pan sam obronił!“

Ks. W. pisał tak nieczytelnie, że trudno było jego listy odcyfrować; prawie że nie dotykał piórem papieru, a zamiast całych słów, to jakby stenograficzne znaki robił. Często mu dlatego robiłem „zarzuty“, bo nie mogłem jego listów przeczytać, lecz to nie pomagało. Zato adresy pisał zawsze wyraźnie. Gdy przemnie poznał się z baronem Puttkamerem, byłym landratem mogileńskim, który również tak samo nieczytelnie pisał, i z nim później korespondował, to na jego „gryzmoły“ się gniewał. Raz w mojej obecności list od niego otrzymał, dając go mnie do przeczytania. „O nie“, mówię, „nie będę się męczyć, wreszcie trafił swój na swego. Niech ks. Patron sam te hieroglify odcyfruje i przekona się, co to za „przyjemność“ takie pismo czytać.“ Rzeczywiście było wprost pokutą ich listy czytać.

Jako patron Spółek jeździł ks. W. po różnych okolicach Poznańskiego i Pomorza w celu rewidowania tychże. Przy takiej sposobności dostał się do mojej rodzinnej wsi, gdzie prócz miejscowego ks. proboszcza uważał za swój obowiązek odwiedzić także mego ojca. Ponieważ do chaty ojca z powodu nie za „niskich progów“, ale za niskiego pułapu (sufitu) wejść nie mógł, bo byłby go zrujnował, lub musiał się zbyt zgarbić, więc usiadł przed chatą na ławce pod rozłożystą gruszą i ze staruszką gawędził. On wiedział, jak wielką przyjemność ojcu i mnie tem sprawi. Szkoda, że ich nie odfotografowano, byłaby to dla mnie miła pamiątka.

Na początku listopada 1910 r. wybieraliśmy się znowu do Wiesbadenu. Ks. W. miał przyjechać rano do Berlina, a ja miałem tam do niego się przyłączyć, aby jechać z nim razem dalej. Niestety, zamiast jego przybycia, otrzymałem od mego brata, który przypadkowo wtedy w Poznaniu bawił, telegram, że ks. W. nagle umarł. Znałem stan jego zdrowia i liczyłem się z możliwą katastrofą, zdawało mi się jednak, że jeszcze parę lat pożyje, to też wiadomość ta mnie zaskoczyła i zasmuciła. Podróż do Wiesbadenu trzeba było odłożyć, aby wprzód oddać zmarłemu ostatnią przysługę.

Umarł rzeczywiście wielki człowiek opatrnościowy dla naszego społeczeństwa. O nim powiedział pruski minister Rheinbaben: „Der müsste unser Finanzminister werden“ (ten powinien być naszym ministrem finansów), a znany profesor Bernhard, który to „Das polnische Gemeinwesen“ napisał, — na zebraniu studenckiego „Ostmarkenvereinu“ w Berlinie, na którym byłem obecny, opowiadając o ks. W., wyrażał się pochlebnie o nim, jako o działaczu i człowieku. Dał nawet do zrozumienia, że gdy go już niema, to może jego następcy tak sprawy nie poprowadzą. Pomylił się.

Mnie go zabrakło i nie mogłem się wcale zrazu pogodzić, że już więcej nie będę mógł z nim gawędzić. Humor miał złoty pomimo marsowej twarzy, której ogólnie, całkowicie niesłusznie, się bano i spędzone z nim chwile należą w życiu mojem do najprzyjemniejszych i najpiękniejszych. Do nikogo się tak nie przywiązałem, jak do niego.

Jeżeli po zmartwychwstaniu Ojczyzny naszej w był. zaborze pruskim po dobrowolnem częściowem opuszczeniu przez Niemców i Żydów tej dzielnicy na polu handlowo - przemysłowo - gospodarczem dajemy sobie radę, to głównie ks. Wawrzyniakowi mamy do zawdzięczenia, gdyż on ten grunt na wszelki przypadek dostatecznie przygotował. Jak go teraz nam braknie! Niejedno by w kraju inaczej wyglądało, gdyby jeszcze żył.

To był człowiek wielkiej pracy, energii i praktyczny idealista, który idealizm opierał na gruncie materialnym. Miano go ogólnie jako finansistę za bogacza, tymczasem on nim nie był i też prawie nic nie pozostawił, bo to, co nadto miał za życia, rozdał. Był to rzeczywiście „Piotr Wielki“, jak go jeden z mówców na obiedzie, urządzonym z okazji sejmiku spółek zarobkowych, w przemówieniu swoim dowcipnie, a trafnie nazwał.

Cześć Jego pamięci!

Bank Skarbona.

Grunt do założenia spółki oszczędnościowej przygotowywano już od kilku lat przez zachęcanie rodaków w towarzystwach do oszczędności, a następnie przez zwoływanie publicznych wielkich zebrań, t. zw. społeczno politycznych, w celu wzajemnego pouczania się o znaczeniu oszczędności. Przedtem nie zważano na wychodźtwe, czy kto oszczędza, a tem mniej gdzie pieniądze składa. Jeżeli byli tacy, co oszczędzali, to dla wygody składali w miejskiej kasie oszczędności, a rzadko kto do kraju posyłał. Wprawdzie istniała jakaś kasa już od kilku lat w Tow. Polskich Przemysłowców, ale w skromnych rozmiarach, bo tylko dla członków. Wszystkie oszczędności tej kasy wynosiły zaledwie kilka tysięcy marek.

To też gdy ks. Wawrzyniak jako poseł do Berlina przyjechał, pomyśleliśmy o założeniu spółki dla rodaków całego Berlina i okolicy, aby wszystkim dać sposobność do składania oszczędności we własnej kasie. Służyłem mu w tym względzie informacjami, a on postarał się o załatwienie formalności. Porozumieliśmy się najprzód w towarzystwach, a potem zwołałem z polecenia ks. W. umyślne zebranie grona osób, mogących się tą sprawą zainteresować i założyliśmy spółkę pod nazwą „Skarbona-Sparbüchse“. Dodatkową niemiecką nazwę uważał ks. W. za potrzebną ze względu na miejscowe warunki. Stało się to w marcu 1896 r. Kasę oszczędnościową w Towarzystwie Pol. Przem. zwinięto, a zasoby jej przelano do nowo założonej Spółki. Mnie, jako znającemu kolonję, wypadło wskazać osoby do zarządu i rady nadzorczej do decyzji ks. W. Do ostatniej należał zrazu ks. W. jako przewodniczący, aby spółkę w bieg wprowadzić, a resztę wzięto z miejscowych obywateli. Do zarządu wybrano dr. T., który już przedtem w kraju dłuższe lata w spółce pracował, a, oprócz niego pewnego znanego kupca i mnie. Przyjąłem tę czynność z zastrzeżeniem, że ze względu na moje trudne obowiązki we własnem przedsiębiorstwie będę mógł tylko dorywczo swoim kolegom w zarządzie pomagać. Wytrwałem jednak dziewięć lat jako członek zarządu, a potem wybrano mnie do rady nadzorczej, w której coś z trzyletnią przerwą byłem aż do końca mego pobytu w Berlinie, przeważnie jako przewodniczący.

Zakładając spółkę, miał na myśli ks. W. tylko przyjmowanie oszczędności i przesyłanie ich do kraju. Myśl ta nie utrzymała się, gdyż nie byłoby czem opłacać kosztów spółki.

Pierwszy rok pracował zarząd bezpłatnie, lecz w miarę rozwijania się spółki i poświęcenia jej więcej czasu, nie można było żądać od członków zarządu, aby i nadal bezinteresownie to robili. To też rozszerzono zakres działalności spółki na udzielanie pożyczek członkom, by przez różnicę pobieranego procentu wyrównać rozchody i spółkę utrzymać. Było to z powodu miejscowych warunków trudne zadanie, bo w tak wielkiem mieście nie można się kierować zasadą przysłowia: „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi“, i łatwo w dawaniu kredytu, pomimo największej ostrożności, pomylić się można.

Takich rodaków, coby z kredytu spółki korzystać mogli, nie było wtedy w Berlinie wystarczającej liczby, więc przybierano na członków (według prawa tylko członkowie mogli dostawać pożyczki) i osoby obcej narodowości, przez co jednak spółka na charakterze polskim nie straciła, gdyż prócz brania pożyczek, obci się nią nie interesowali. I nasza nieliczna inteligencja w Berlinie zaczęła się Skarboną interesować bardziej, niż przedtem sprawami towarzystwa.

Zrazu strat nie było, lecz z biegiem lat wykazały się, zwłaszcza, żeśmy się pomylili w wyborze niektórych współpracowników. W późniejszych latach było też trochę niezgody w łonie rady nadzorczej, do której dostali się ludzie niepowołani.

Taki stan zastała wojna i wtedy trzeba było wszelkie wysiłki wyteńczyć, aby uchronić spółkę od upadku, a tem samem od strat, na jakieby może ludzie uczciwi narażeni byli. To się nam w zupełności udało, pomimo zachęcania nas ze strony kierowników pewnego poznańskiego banku do likwidacji, ponieważ według ich zdania już żadnego ratunku nie było. Mieliśmy z tem wiele kłopotu i zachodu, aleśmy spółkę uratowali. Gdy Berlin opuszczałem, już nie obawiałem się o jej los.

Do większych rozmiarów, o jakich przy założeniu spółki marzyłem, nie doprowadziliśmy. Zdawało mi się na początku, że zbierzemy znaczne oszczędności, gdyż grunt miejscowy był do tego podatny, ogólnego zaufania jednak nie zdołano w kolonji zjednać. W najlepszym razie było oszczędności w normalnych

warunkach około dwóch i pół milionów marek, a mogło i powinno być conajmniej 10 razy tyle. Dopiero po sanacji spółki zaczęły oszczędności coraz więcej napływać.

Po skończonej wojnie zmieniono nazwę na Bank Przemysłowców, zakupiono z pomocą jednego z banków poznańskich dom przy Französischestr. i następnie przeobrażono spółkę na Tow. Akc., które zaczęło w szerszym zakresie interesy prowadzić. Rząd jednak począł ograniczać działalność tego towarzystwa i wreszcie ugodzono się, że bank, jako Tow. Akc., przestanie istnieć, a za to będzie mógł jako berliński oddział Banku Przem. w Poznaniu uprawiać wszelkie bankowe interesy. Jestem przekonany, że z biegiem lat oddział ten, nietylko ze względu na interesy miejscowe, ale i poza miejscowe, znacznie się rozwinie. Z takiego obrotu rzeczy mogę być oczywiście bardzo zadowolony, widząc, że nasze tyloletnie wysiłki jednak pozostały uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Nie mogę przy tej okazji pominąć okoliczności, że uratowania Banku Skarbona zawdzięczamy głównie p. Rz., którego w krytycznej chwili jako członka zarządu udało się skaptować. Najzawilsze i zaszargane sprawy potrafił wyprostować, a gdy tak parę większych pretensyj uratował, to już byłem pewny, że bank się ostoi. A nietylko zapobieżono stratom depozytarjuszów, lecz udziałowcy po skończonej likwidacji Banku Skarbona otrzymali stracone udziały, a nadto jakieś dodatki.

„Dziennik Berliński“.

W miarę wzrastania ruchu w kolonji berlińskiej, zaczęto coraz bardziej odczuwać potrzebę takiego pisma, któreby miejscowe nasze warunki uwzględniać mogło. Rodacy wprawdzie czytali pisma wychodzące w kraju, a towarzystwa posiłkowały się również przy ogłoszeniach gazetami krajowemi, co jednak nie wystarczało. Były od czasu do czasu projekty założenia własnego miejscowego pisma, lecz z różnych powodów próby się nie udawały.

W r. 1890 udało się jednemu z rodaków, p. F. Załachowskiemu, posiadającemu własną małą drukarnię, wydawać narazie dwa razy w tygodniu gazetkę w skromnych rozmiarach, którą nazwał „Gazeta Polska w Berlinie“. Nie było to, czegośmy

sobie życzyli, zwłaszcza, że część redakcyjna nie domagała, ale w każdym razie oddawało nam to pismo pewne usługi, bo chociaż tylko podawało ogłoszenia o posiedzeniach i zebraniach towarzystw, sprawozdania z czynności tychże i różnych obchodów, spis towarzystw, no i wszystko to, czego towarzystwa potrzebowały. Co prawda próbował przedtem niejakiś Kleemann, polak, wydawać gazetę pod nazwą „Prawda“, wychodzącą raz czy też dwa razy na tydzień, która po wyjściu kilkunastu numerów i braku właściwego założenia i funduszków przestała wychodzić.

Wzrastające potrzeby Polonji zaczęły jednak przerastać zdolność pisma tak dalece, że poczęto oglądać się za takim, któreby całkowity nasz ruch obejmowało. I ogólna polityka, koncentrująca się w Berlinie, bardziej niż w Wiedniu i Petersburgu również wymagała, żeby ją w interesie naszego całego społeczeństwa w kraju z blizka obserwowano. Marzono więc o stworzeniu większego pisma, ufundowanego na dobrej materialnej podstawie i z odpowiednią redakcją, któreby zdolne było zbierać i podawać najświeższe wiadomości i być poniekąd źródłem dla gazet naszych w kraju. Wszak nasze sprawy także pewną rolę w Berlinie odgrywały i nieraz niemieckie berlińskie gazety podawały o nas wiadomości prędeej, niż polskie gazety w kraju.

To też skorzystałem z posłowania ks. Wawrzyniaka, żeby ten plan możliwie przeprowadzić. Nie było jednak można zebrać na to tyle pieniędzy, bo nikt z mienniejszych rodaków w Berlinie nie chciał być tak ofiarnym, zaś w kraju nie miano jeszcze właściwego zrozumienia potrzeby takiego posterunku w stolicy Niemiec. Ks. Wawrzyniak rozpatrzył tedy projekt i oświadczył gotowość pożyczania 20000 marek, a jako podkładkę tej pożyczki radził dać weksle bez wypełnionej daty płatności, podpisane przez miejscowych obywateli.

Z wielką chęcią przyjęto jego propozycję i zaczęto skwapliwie zbierać podpisy na wekslach. Dawano weksle na parę set marek, a nawet do tysiąca, zaś drobniejsi rodacy zdobywali się w czterech na zbiorowy 200-markowy weksel. I niektórzy posłowie również dali kilka tych papierków. Zapał do podpisywania weksli był tak wielki, że trzeba go było aż mitygować. Przypomniał mi się przy tej okazji żart o pewnym chłopie, wyczytany kiedyś w „Gwiaździe“, który to do księdza proboszcza przy-

szedł, ażeby 5 talarów dać na kościół. Ksiądz proboszcz tę gotowość ofiarności chłopskiej chętnie zapisał, a widząc, że tenże do kieszeni nie sięga, zapytał: „Kiedy to Wojciechu te pieniądze dacie?“, na co chłop odrzekł, drapiąc się w głowę: „Przepraszam Jegomości, a czyby to nie można odsiedzieć?“. I rzeczywiście pomiędzy podpisującymi byli i tacy, jak się przy realizacji weksli wykazało, którzy swoje podpisy „odsiedzieć“ powinni, bo albo nie mieli czem płacić, lub nie chcieli.

W każdym razie podpisów zebrano dostateczną ilość, ks. W. dał pieniądze, założono drukarnię, i postanowiono wydawać gazetę codziennie w pomniejszych rozmiarach, której na moją propozycję dano nazwę „Dziennik Berliński“. Abonament na pocztę kosztował 2,25 mk. na kwartał. „Gazetę Polską“ od dotychczasowego wydawcy przejęliśmy i zlikwidowaliśmy, gdyż dwie takie gazety w Berlinie narazie utrzymaćby się nie mogły. Stało się to w marcu 1897 r., czyli po przeszło siedmioletnim istnieniu „Gazety Polskiej“.

Do redagowania poprosiliśmy dr. Czechowskiego, współpracownika „Dzien. Poznańskiego i dr. K. Rakowskiego, młodego, rzutkiego pisarza, zaś do administracji jednego z naszych miejscowych drukarzy. Kierunek polityczny nowego pisma miał odpowiadać zapatrywaniom Polonji berlińskiej, tj. być narodowym na gruncie religijnym, unikać sporów partyjnych, tak że go każdy z nas mógł uważać za swój miejscowy i domowy organ, jak to w następującym programie od wydawnictwa w pierwszym numerze czytamy:

„Wobec nadzwyczajnej trudności zarobkowania, spowodowanej ekonomicznymi stosunkami w kraju i sztucznie podtrzymanym napływem żywołu niemieckiego do dzielnic polskich, tysiące polaków opuszcza ziemię rodzinną, aby na obczyźnie szukać zajęcia i wystarczającego utrzymania. Wychodźstwo to przybrało z biegiem czasu bardzo poważne rozmiary; kilkaset tysięcy polaków rozproszonych jest obecnie po zachodnich i środkowych prowincjach państwa niemieckiego, a sam Berlin wraz z okolicą liczy ich kilkadziesiąt tysięcy.

W ciężkiej walce o chleb powszedni, w otoczeniu obcem, a często niechętnem, oderwane od pnia rodzinnego i rozproszone, wystawione jest wychodźstwo nasze w Niemczech na poważne niebezpieczeństwa, na utratę dóbr swoich najświętszych: narodo-

wości, języka, religii. Nie brakło wprawdzie usiłowań, aby rozproszoną po Niemczech ludność polską obronić przed niebezpieczeństwem wynarodowienia i utraty wiary ojców; działo się pod tym względem w latach ostatnich, mianowicie w Berlinie, wiele dobrego. Usiłowania te nie mogły jednakże dotąd wydać zupełnie zadowolających owoców, bo brakło organu, któryby ześrodkowywał w sobie starania jednostek, był pośrednikiem i łącznikiem pomiędzy ludnością emigracyjną i pomiędzy nią a krajem.

Organem takim, który będzie bronił narodowych, religijnych i materialnych interesów emigracji polskiej w Niemczech, łączył poszczególne grupy i kolonie do wspólnej pracy i do wspólnej walki z wrogami żywiołami, a mianowicie z międzynarodowym socjalizmem — organem, który utrzymywać będzie styczność i wymianę myśli pomiędzy wychodźstwem a krajem, ma być „Dziennik Berliński“.

Pragnąc skupić około siebie wszystkich polaków, rozproszonych po Berlinie i całych Niemczech, bez względu na stan i zapatrywania społeczne lub polityczne, będzie się „Dziennik Berliński“ trzymał zdala od wszelkich sporów stronnicych. Te względy, które w kraju wywołały niestety niezgodę pomiędzy społeczeństwem i rozdzieliły je na wrogie obozy, dla emigracji naszej nie istnieją. Dla polaków, żyjących w głębi Niemiec, może istnieć tylko jedna polityka: polityka zachowania swojej narodowości, swojego języka i religii; tą polityką będzie się też kierował jedynie „Dziennik Berliński“. Nie będzie mieszał się do walki stronnictw i przenosił jej do emigracji, pielęgnować będzie nie to, co nas dzieli, lecz to, co nas łączy.

Natomiast zwracać będziemy baczną uwagę na sprawy natury ogólnie politycznej, obchodzące żywo całe społeczeństwo polskie pod pruskim zaborem i każdego obywatela państwa, aby zapoznać z niemi szczegółowo czytelników naszych, a w razie potrzeby dać wyrazy zapatrywaniom kół emigracyjnych. Wobec rządu zajmujemy stanowisko. zakreślone nam położeniem naszym i prawem. Uznajemy się poddanymi pruskimi i wypełniamy ściśle wszelkie obowiązki, jakie spadają na nas z tego tytułu: ale z drugiej strony domagać się będziemy stanowczo tego, co nam się jako ludziom na mocy praw przyrodzonych i jako obywatelom państwa na mocy konstytucji należy.

Pragnąc, aby „Dziennik Berliński“ zastąpił ludności emigracyjnej i krajowej, wrocie nam otwarcie pisma niemieckie zwróciły szczególną uwagę na dział informacyjny. Wiadomości parlamentarne, polityczne i handlowe podawać będziemy z uwzględnieniem rozmiarów naszego pisma, w tym samym czasie, w jakim je podają wieczorne pisma berlińskie. Dalej referować będziemy stale o ważniejszych zajściach w ziemiach polskich i na emigracji, zamieszczać będziemy wiadomości z Królestwa, Galicji, jako też z kolonij polskich w Niemczech, Francji i Ameryce.

Dla czytelników naszych berlińskich zaprowadzimy osobną rubrykę miejscową, w której ze szczególnem uwzględnieniem ruchu w towarzystwach polskich, zapisywać będziemy wszystko, co może interesować lub być przydatnym ludności polskiej Berlina i bliższej okolicy. Prócz tego służyć będziemy czytelnikom na zapytania wskazówkami praktycznymi, mianowicie z dziedziny prawa i medycyny. W odcinku zamieszczać będziemy także przystępne feljetony, powieści, opowiadania, dobierając szczególnie zajmujących i osnutych na tle polskiego życia.

Mamy silną nadzieję, że starania nasze, skierowane na pożytek wychodźstwa i całego społeczeństwa, znajdą poparcie u wszystkich ludzi dobrej woli pośród emigracji i w kraju samym“.

Rzecz zapowiadała się względnie dobrze i zdawało się, że wyrośnie z tego poważny organ, który z czasem ziści nasze nadzieje poprzednio określone. Losy „Dziennika Berlińskiego“ jednak pokierowały się inaczej.

Numer okazowy, co do treści wprawdzie uchodził, bo zawierał pomiędzy innymi dobrze uchwyconą odezwę do czytelników, a w odcinku opis opowiadania ks. Wawrzyniaka, co widział i słyszał w Ameryce. Ogłoszeń było przeszło półtorej strony, przeważnie od kupców i rzemieślników, co świadczyło, że już wtedy te dwie branże nie źle się w naszej kolonji rozwijały. Za to druk był fatalny, bo od błędów aż się roilo, czyli, że kierownik drukarni się nie nadawał, a który jednocześnie był i administratorem. Więc już w początku były różne braki, a szczególnie nie dopisywała administracja. Wszelkie wskazówki i zmiana administratora na nic się przydały. Po pół roku istnienia stanęliśmy przez alternatywą, co dalej robić? Założyliśmy tedy spółkę, sądownie zapisaną, pod nazwą „Concordia“ (przed-

tem była tylko luźna spółka) i zasililiśmy ją według możliwości nowymi funduszami. Lecz i ta operacja na długo nie pomogła, bo za drugie pół roku znowu zabrakło pieniędzy. Wtedy liczyliśmy się już ze zlikwidowaniem przedsiębiorstwa. W ostatniej chwili pomogli nam jednak ks. Wawrzyniak i dwóch berlińskich rodaków, kupując od nas wydawnictwo i oddając dotychczasowemu zarządcy w dzierżawę. Pozbyliśmy się tedy kłopotu, ale trzeba było ks. Wawrzyniakowi te 20 tysięcy marek oddać. Było z tem znowu wiele mitręgi i sprawa wlokła się parę lat, zanim około 75% ściągnęliśmy z tych weksli, które tak chętnie podpisywano, a resztę ks. W. stracił, zaś na dobitkę niektórzy mu jeszcze zlorzeczyli, że płacić musieli. A jednak można było przedsiębiorstwo to utrzymać, bo warunki były po temu, tylko nie mieliśmy znowu szczęścia w wyborze odpowiednich ludzi, zaś z nas, prócz powierzchownego nadzoru, nikt nie mógł temu przedsiębiorstwu więcej czasu poświęcić.

Po drugiej zmianie nie wiodło się „Dziennikowi“ lepiej. Zarządca wiązał koniec z końcem jak mógł, mimo to Dziennik z ledwością wegetował. Aby ratować wydawnictwo, brał do redakcji pomoc jaka się nadarzała, byle mało lub nic nie kosztowała. Szczególnie pomagała młodzież uniwersytecka, a nawet obrzezani i wychrzczeni studenci, piszący katolickie artykuły, które też po temu były. To też „Dziennik“ zaczął ogólnie nie podobać się tak, że ks. Wawrzyniakowi było tego już za wiele i przy sposobności polecił mi przeciwko temu zareagować. Energiczne zwrócenie uwagi co do kierunku pisma poskutkowało, lecz w treści poprawić nie mogło, pomimo, że organizacje nasze w Berlinie starały się w różny sposób materialnie je pomagać.

Ta wegetacja trwała przeszło 4 lata, aż nabył wydawnictwo p. R., który z Warszawy do Berlina na stałe się sprowadził. Włożył w przedsiębiorstwo odpowiedni kapitał, rozszerzył je, sprowadził nowego redaktora i administratora i zdawało się, że teraz będziemy mieli organ, jakiego sobie życzymy.

Dotychczasowy wydawca, żegnając się w numerze z 21-go września 1902 r. z czytelnikami, pisał nie bez żalu, a poniekąd z goryczą, że nie był należycie popierany i przepraszał za niedomagania w swoim pięcioletnim prowadzeniu „Dziennika“. Zaznaczył, że gdy obejmował pismo, było tylko około 500 abo-

mentów, a funduszków na prowadzenie nie miał prawie żadnych. Czy podczas jego wydawnictwa abonenci się pomnożyli, to o tem się nie dowiedzieliśmy.

Nowy wydawca zabrał się rączo do rzeczy. W wydanej do czytelników odezwie zaznaczył silnie kierunek pisma jako narodowy i demokratyczny. Zapowiedział w wydawnictwie różne ulepszenia, a mianowicie dodatek tygodniowy pod tytułem „Tygodnik Berliński“, zawierający krótkie nowelki, utwory poetyckie przedniejszych, dawniejszych i współczesnych poetów polskich, artykuły treści pouczającej dla młodzieży, opisy, humorystykę itd.

Jako osobną premję obiecał każdemu abonentowi co miesiąc „Dodatek Powieściowy“, książkę z powieściami i nowelami najpierwszych pisarzy polskich, zawierającą 5—7 arkuszy druku i to pod nazwą „Biblioteka domowa“ „Dziennika Berl.“.

Nadto założył przy „Dzienniku“ dla abonentów „Biuro obrony prawnej“, w którym jeden z naszych adwokatów udzielał porad w następujących sprawach:

- a) przy zapisywaniu w księgach urzędu i urzędach policyjnych;
- b) przy zapisywaniu w księgach kościelnych;
- c) w sprawach podatkowych i zarobkowych;
- d) w sprawach wyznaniowych i szkolnych;
- e) we wszystkich sprawach wyborczych i
- f) przy arbitralnem rozwiązaniu zgromadzeń i krępowaniu wolności wieców.

W następnym numerze „Dziennika“ umieścił rzeczowo długi list Henryka Sienkiewicza o zadaniu gazet na obczyźnie, specjalnie „Dziennika Berlińskiego“.

Ale wnet spostrzeżliśmy, żeśmy się znowu zawiedli, bo „Dziennik“ służył więcej osobistym celom niż sprawie, pomimo, że obiecał brać wzgląd na publiczne sprawy — do czego nowy redaktor znakomicie się nadawał. To też zaczął ogólnie znowu się nie podobać, gdyż berlińscy polacy, jako prawdziwi demokraci, takich niezasłużonych wyróżnień nie rozumieją i nie lubią, ceniąc ludzi tylko według ich rzeczywistej pracy i poświęcenia. Były też z tego powodu częste i poważne zatargi

pomiędzy zarządami organizacyj a wydawnictwem, względnie redakcją. Dodatki do „Dziennika“ zaczęły jeden po drugim odpadać, boć „niewdzięczni“ czytelnicy na to nie zasługiwali, jak również bądź co bądź dużo wydawcę kosztowały.

Wydawca nie osiągnąwszy swego celu, a sprykrzywszy sobie znaczne dokładanie, podarował (mniejwięcej po pięciu latach) przedsiębiorstwo redaktorowi i jeszcze mu gotówki dodał na dalsze prowadzenie. Był to wspaniałomyślny, a „zasłużony“ gest wydawcy wobec redaktora. Zcharakteryzował to później satyrycznie autor „Szopki“ berlińskiej w następującym wierszu:

„Piłat (wydawca „Dziennika“) mnie królem zrobił,
Koroną mnie ozdobił,
Srebrników dał pięć tysięcy,
Albo i więcej!
Dał stare drukarskie maszyny
Nie na kpiny!
I pięćset abonentów,
I tysiąc oponentów,
I władzę —
Więc ja sobie poradzę!“.

Znowu zaczął „Dziennik“ materjalnie wegetować i wegetował przez kilka lat, aż do marca 1914 r. Gdy dalej nie szło, zawiązała się ponownie spółka, która przedsiębiorstwo nabyła i prowadziła na własny rachunek. Wskutek tej zmiany, jak i zmiany w redakcji, zaczął się „Dziennik“ poprawiać i zyskiwać na uznaniu. Długa wojna jednak przeszkodziła dalszemu rozwijaniu się, tak, że z trudem zdołano przedsiębiorstwo podtrzymać. Po paru takich latach przejęło wydawnictwo jakieś nieznanne konsorcjum, które nawet własny dom nabyło i poczęło skrajną politykę uprawiać. Konsorcjum to przysłało do redakcji niewłaściwych ludzi, także obrzezanych, i bardzo często można było wyczuć z „Dziennika“ to, czego polacy na obczyźnie sobie nie życzą“, t. j. niepolskiego ducha. Niedługo wszystko zaprzepaścili, sprzedali dom, maszyny i czcionki, pieniądze gdzieś się podziały, a „Dziennik“ jest teraz na łasce obcych, nie polaków.

Abonentów miał „Dziennik“ podczas swego istnienia od kilku set do 5000, podług tego, jaka była redakcja i administracja.

Jak ważnym był taki posterunek gazetowy w Berlinie, to miałem na to liczne dowody, nie umiano go jednak wyzyskać. Miałem dlatego w pierwszym roku nawet spór z redaktorem, twierdząc, że redakcja nie wyzyskuje nadarzających się sposobności. Tenże aż się rozgniewał za to i zirytowany powiedział: „To niech pan pisze!“ Odparłem mu, że ja na to nie jestem i tego nie zrobię, gdyż moje nożyce mi więcej przynoszą. Że się z kupieckiego stanowiska na wydawanie gazety nie źle zapatrywałem, to potwierdził jeden z poważnych korespondentów do gazet warszawskich, znany p. B. K., będący wtedy w Berlinie jako korespondent „Kurjera Warszawskiego“, słysząc moje wywody o prowadzeniu takiego przedsiębiorstwa na posiedzeniu „Związku Towarzystw“.

Miałem też z powodu „Dziennika“ „przyjemności“. W pierwszym roku jego istnienia, gdy spółka nie była jeszcze zapisana do rejestru sądowego, trzeba było udawać wobec władzy przez pewien czas właściciela. To też za przewinienia w drukarni skazywano mnie na kary. (Kar za przewinienia za pisanie nie było). Ale raz coś „gorszego“ mnie spotkało. „Dziennik Berliński“ napisał nieprzychylnie o ówczesnym naczelnym redaktorze „Dziennika Poznańskiego“, na co tenże ogromnie specjalnie na mnie się rozgniewał (byłem Bogu ducha winien!) i następującym epitetem mnie w swojej gazecie uraczył:

„Niemą solidarności narodowej dziś, są tylko stronnictwa, a kto chce zasłużyć na miano trzeźwej głowy, ten musi z tym faktem się liczyć, jako z faktem. Jest to może czynnik nowy — nie wchodzimy w to czy dobry czy zły, ale oczu przed nim nie wolno zamykać“. Takie hasło wydaje dla całego kraju nowy prorok z Berlina w „Dzienniku Berlińskim“, organie jak nam mówią p. Berkana, krawca. Czy to samo hasło stosować się ma przy dawaniu zamówień na ubrania w Berlinie i poza Berlinem? Wprawdzie Niemcy mówią: „Schuster bleib bei deinen Leisten“, ale niekiedy zdaje się i do krawców możnaby stosować to przysłowie i do tych co się jeszcze uczyć powinni a pragną odgrywać rolę koryfeuszów w polityce „rogatej“. (Miał na myśli naszych młodych redaktorów — przyp. autora). „Orędownik“ w zachwyty wpadnie, że mu ostatnimi czasy przybyło pwoch stronników: niewiasta we Lwowie, a młodzieniec pełen nadziei w Berlinie. P. Berkana nam żal, że się dostał w to to-

warzystwo, bo skądinąd człowiek zacny i szlachetny, ale niestety tacy ludzie też często giną, dostawszy zawrotu politycznego“.

Redaktorzy „Dziennika Berlińskiego“ chcieli na to zaraz odpowiednio zareagować, ale ich wstrzymałem, gdyż byłem zdania, że takie pisanie tylko samemu piszącemu zaszkodzić może, co się też stało. Chórem napadły za to wszystkie gazety poznańskie na redaktora „Dziennika Poznańskiego“, nie szczędząc mu przykrych uwag. Zaś „Orędownik“ napisał zasadniczy dłuższy artykuł p. t. „Pan Berkan“. To poskutkowało i w paru dniach „Dziennik Poznański“ przeproszał za „pomyłkę“ i zapewniał mnie o swoim wysokim szacunku. I to coś znaczyło.

Ale i sam „Dziennik Berliński“ nie oszczędzał swoich głównych założycieli, gdy uważał to za stosowne. Nawet ks. Wawrzyniakowi dostało się, a mnie przy nim: „Podobnie jak jego (ks. W.) berliński na wątrobę i manję wielkości cierpiący pacholek, nie reagujący niby na to, co o nim piszą“. Tak napisał o ks. W. i o mnie „naczelny“ redaktor „Dziennika Berl.“ Bowiem we wrześniu 1906 r. gniewał on się za to, że tak jeden jak drugi na jego napaści na nas w gazetach nie reagowaliśmy. Może być, że takie milczenie napadniętych gniewa redaktorów, ale my już takimi byliśmy. Kto publicznie działa, ten zawsze jest wystawiony nie tylko na dodatnią, ale i ujemną krytykę i powinien umieć to znieść. Krytyka zależy od uznania i zrozumienia poszczególnych redaktorów i podług tego też piszą. Zresztą nie mieliśmy czasu, by odpowiadać, a nawet sposobności czytać, co o nas piszą.

W drugiej połowie 1913 r. doszło już tak daleko, że „Dziennikowi“ zagrażał upadek. Wydawca, skorzystawszy z wydobytych przez ś. p. pocziwego Sitarzkiego znanych rewelacji „Ostmarkenvereinu“, zabrał je i ten „niewdzięczny“ Berlin, w którym tak „ciężko“ się napracował, na zawsze opuścił. Wprzód jednak zdążył jeszcze w „Kom. Pol.“, jako jego przewodniczący, spowodować uchwałę, odsądzającą mnie od wszelkich zasług, którą skwapliwie w „Dzienniku“ wydrukował, a na którą znowu nie reagowałem. Skutek był taki, jak z owym pisanem redaktora „Dzien. Poznańskiego“, bo ta sama większość w Komitecie zmusiła go na następnym zebraniu do złożenia przewodnictwa.

Administrator przedsiębiorstwa po wyjeździe właściciela potrafił je jako tako utrzymać do czasu, aż nowa spółka na wiosnę następnego roku przejęła.

Dodać jeszcze wypada, że wydawca „Dzien. Berl.“ wymyślił na obczyźnę hasło „Cześć Ojczyźnie“, którym także, będąc w tarapatach, się posługiwał, używając go jako oleju na spienione bałwany.

Tyle o „Dzienniku Berlińskim“ i o moim stosunku do niego, jak również do niektórych jego redaktorów i wydawców.

Nadmienić jeszcze muszę, że w początku r. 1903-go założyło grono rodaków, niezadowolonych z „Dzien. Berl.“, inną gazetę, „Narodowca“, która jednak po ośmiomiesięcznym istnieniu z braku funduszy i dostatecznego poparcia przestała wychodzić. „Dwa grzyby w barszcz“ było na Berlin za dużo.

Oprócz „Dzien. Berlińskiego“ i „Narodowca“ wychodziły w Berlinie w różnych czasach jeszcze następujące gazety:

1. wspomniana już „Gazeta Polska“ w Berlinie z dodatkiem dla dzieci;
2. „Prawda“ (wyszło tylko kilka numerów);
3. „Niedziela“, pismo tygodniowe, z dodatkiem dla dzieci „Leszek“, wydawana więcej lat przez Józefa Załachowskiego w Charlottenburgu;
4. „Przewodnik Zdrowia“, wydawał swoim nakładem A. Czarnowski przez kilkanaście lat;
5. „Szkołka Domowa“, nauka i rozrywka dla dzieci. (Nie pamiętam już, jak długo wychodziła i kto wydawał);
6. „Kurjer Przemysłowo-handlowy, wydawany w r. 1897-ym przez dr. Kaz. Rakowskiego. Wyszło może kilkanaście numerów;
7. Kotowski Jan, znany w berlińskiej kolonji literat, wydał swego czasu kilka numerów pisma perjod. literacko-oświatowego, którego nazwy już nie pamiętam;
8. „Polak na Obczyźnie“, wydawany w ostatnim dziesiątku lat przez „Komitet Polityczny“. Zdaje mi się, że przestał wychodzić;
9. „Sokół na Obczyźnie“ od r. 1921-go, jeśli się nie mylę.

Oprócz powyższych wydawnictw wydano parę razy „Kalendarz Berliński“ ze wskazówkami dla rodaków w Berlinie. Oprócz tego wydał inżynier Tabulski w r. 1913-tym „Książkę adresową“ polaków w Berlinie i okolicy, oraz kupiec Ign. Jaworski „Książkę adresową Przemysłu i Kupiectwa Polskiego, coś 27 lat temu.

Bądź co bądź, chociaż nasze nadzieje, przywiązywane do „Dzien. Berlińskiego“, się nie spełniły, oddał on jednak Polonji berlińskiej i rozsiałym w części Prus po prawej stronie Łąby rodakom niemałe usługi. Ruchu w organizacjach tamtejszych nie można sobie bez miejscowej gazety wyobrazić, tembardziej teraz, gdy polacy w Niemczech zostali pozbawieni wpływu b. zaboru pruskiego, nie mogąc krajowych gazet abonować. „Dzien. Berl.“ stał się obecnie organem i tych części, które zostały od Księstwa Poznańskiego i Pomorza oddzielone.

A czy może gazeta w Berlinie o własnych siłach teraz się utrzymać? Owszem, może, byle była dobra administracja i redakcja (obecnie redakcja jest niezła). Zależy od kierownictwa; jak w każdym przedsiębiorstwie. Grunt po temu jest, ale trzeba naprzód wydawnictwo, jak należy, ufundować, w czem kraj powinien dopomóc.

Gdy rozdział ten jest w druku, dowiaduję się, że „Dziennik Berliński“ z braku funduszków przestaje wychodzić. Co teraz rodacy w Berlinie i na całym obszarze Niemiec bez gazety poczną?

Upominanie się polaków-katolików w Berlinie o należące się im prawa w kościele.

Gdy ruch w towarzystwach naszych w Berlinie coraz więcej się wzmagał, spostrzeżono tembardziej, że narodowość nasza jest ściśle złączoną z naszą religją i że wykonywanie praktyk religijnych w języku ojczystym jest całkiem w zaniedbaniu.

Berlin wraz z Marchją i pruskim Pomorzem (Pommern) należy jako delegatura do djecezji wrocławskiej, na czele której jest każdorazowy proboszcz św. Jadwigi w Berlinie, jako delegat biskupi. Z wyjątkiem ks. prob. Herzoga, późniejszego biskupa wrocławskiego, odnosili się wszyscy proboszczowie w stosunku do nas mniej lub więcej nieprzychylnie, a szczególnie ostatni z moich czasów, ks. dr. Kleineidamm, który rezydował kilka lat przed wojną i podczas wojny.

Do roku może 1895-go był na Berlin i okolicę tylko jeden ksiądz, stale ustanowiony przy kościele św. Jadwigi, umiejący mówić po polsku, który przeznaczony był na cały Berlin i to głównie

do słuchania spowiedzi w polskim języku, a w kościele św. Michała miewał trzy polskie kazania dla wojska w całym roku. O resztę praktyk religijnych dla Polaków władza kościelna nie dbała i w razie sporadycznego żądania tychże, robiła wielkie trudności. Nierzadko nam księża mówili: „Pocoście do Berlina przyszl, mogliście byli w polskich stronach pozostać“! Nawet w konfesonale wyrażali się do spowiadających się po polsku niewłaściwie. Rodacy nasi też zrazu nie bardzo o więcej się dopominali, bo zdawało się im, że przebywając na obczyźnie, są tylko przejściowymi gośćmi i jako tacy nie mają do tego prawa. Wprawdzie były już kazania polskie w czasie adwentu i Wielkiego Postu w kaplicy Urszulanek przy Lindenstr. wygłaszane przez ks. ks. posłów: Stablewskiego, Jażdżewskiego, ks. Edmunda Radziwiłła i innych, a w kaplicy szpitalnej przy Gross-Hamburgerstr. nabożeństwa okolicznościowe, przez ks. Popiółkowskiego odprawiane, który wskutek ustaw majowych musiał opuścić djeceję chełmińską i był współredaktorem „Germanji“, lecz to były tylko domowe i czasowe, t. zw. „prywatne“.

Dopiero wskutek uświadamiania się i gdy coraz częściej czytaliśmy i słyszeliśmy, że nieraz dla kilkunastu Niemców-katolików w kraju, a nawet w Rosji, urządzone bywają stałe nabożeństwa w ich języku, zaczęto się dopominać tych samych praw dla nas w Berlinie.

Ruch właściwy w tym kierunku wszczął się na kilka lat przed schyłkiem zeszłego stulecia i postanowiono w Komitecie Towarzystw Polskich utworzyć w tym celu organizację. Powstały tedy specjalne parafjalne komitety, a na czele ich Centralny Komitet, do którego pierwsze posyłały swoich delegatów w celu porozumiewania się co do jednolitej działalności.

Zadaniem tychże było zwoływanie zebrań parafjalnych i ogólnych z całego wielkiego Berlina, na których pouczano się wzajemnie o prawach i obowiązkach naszych na obczyźnie w dziedzinie kościelnej, jak również w jaki sposób tych praw dochodzić, oraz uchwalano odpowiednie rezolucje i posyłało je do władzy kościelnej, najczęściej przez umyślne deputacje. W tym celu wydano „Wskazówki“ dla Polaków w Berlinie i okolicy w sprawach kościelnych, które przy każdej sposobności pomiędzy rodaków rozdawano, a że były przypadkowo wydane na początku wielkiego postu, więc jeden z naszych księży posłów powiedział do mnie żartobliwie, żeśmy „List pasterski“ wydali. Do czasu wydania

„Wskazówek“ doprowadziliśmy już tak daleko, że prawie przy każdym parafjalnym kościele był ksiądz, który po polsku mówił.

„Wskazówki“ te podaję według oryginału w całości.

Wskazówki dla polaków-katolików w Berlinie i okolicy w sprawach kościelnych.

Ze względu na wielką liczbę katolików-polaków w parafjach tutejszych, ma każdy polak prawo i obowiązek, aby wszelkie praktyki religijne odbywały się w ojczystym języku. Prawie we wszystkich kościołach parafjalnych jest ksiądz, który polskim językiem włada; tam zaś, gdzie go niema, poprosić należy ks. proboszcza, aby w każdym przypadku zarządził, bo jest to jego obowiązkiem.

Poniżej podajemy rady celem poinformowania rodaków, jak winni postępować w każdym poszczególnym przypadku.

1) Spowiadać się po polsku można prawie w każdym kościele; zwykle konfesjonał jest oznaczony napisem: „Po polsku“, a gdzie tego niema, to spytać się trzeba księdza lub kościelnego, czy jest w tym kościele ksiądz, który po polsku spowiedzi św. słucha, w przeciwnym razie można iść do innej parafji, w której jest ksiądz, umiejący po polsku mówić.

Czas najdogodniejszy do spowiedzi św. jest co sobotę i dni przedświąteczne od godziny 6 do 10-ej wieczorem i w niedzielę i święta od 6-ej rana do 11^{1/2} przed południem. Spowiedź wielkanocna trwa w naszej djecezji od pierwszej niedzieli postu do świętej Trójcy, czyli do pierwszej niedzieli po Świątkach.

2) Śluby zawierać po polsku można również w tym kościele, przy którym jest ksiądz umiejący mówić po polsku; gdyby go nie było, to poprosić trzeba ks. proboszcza, aby z innej parafji księdza takiego sprowadził. Zdarzało się, iż księża proboszczowie utrudniają zawieranie ślubu w polskim języku, a nawet zgodziwszy się, aby się odbył po polsku, w chwili samego ślubu oświadczają, iż księdza po polsku mówiącego w tej chwili niema i ślub musi się odbyć po niemiecku.

Ażeby temu zapobiec, trzeba przy zamawianiu ślubu stanowczo oświadczyć, że tylko w polskim języku odbyć się może, a gdyby pomimo tego nastąpił w ostatniej chwili zawód, natenczas nie należy po niemiecku zawierać ślubu, lecz poprosić ks. proboszcza o możliwe natychmiastowe postaranie się o księdza po polsku mówiącego lub o wyznaczenie innego dnia ślubu.

3) Chrzest św. prawie w każdym kościele na życzenie po polsku się odbywa. Zwraca się przytem uwagę, aby w takim przypadku nie brać chrzestnych, nie umiejących po polsku odpowiadać.

4) Przy pogrzebach trzeba władzę kościelną poprosić o księdza, mówiącego po polsku. W razie gdyby prośba pozostała bez skutku dla braku takiego księdza w danej parafji, lub też z innych powodów, natenczas lepiej zrezygnować z przemówienia nad grobem.

5) O przysposabianie dzieci naszych do pierwszej spowiedzi i komunji św. w języku polskim wtedy tylko można księdza prosić, jeżeli dzieci dostatecznie władają językiem polskim. Ponieważ księża proboszczowie robią w tym przypadku wielkie trudności, a nawet wręcz temu się sprzeciwiają, na co są liczne dowody, trzeba stanowczo pozostać przy swoim życzeniu, a na niemiecką naukę dzieci nie posyłać wcale. Rozumie się tu wyraźnie naukę katechizmową dla dzieci, przystępujących do pierwszej spow. św., a nie naukę szkolną, objętą planem szkolnym, na którą dzieci pod karą chodzić muszą.

Zdarzało się, iż co do wydawania decyzji, w jakim języku dziecko naukę przygotowawczą ma pobierać, ks. proboszcz oświadczył, że nie rodzice, lecz tylko władza kościelna ma do tego prawo. Wobec tego zaznacza się, iż tylko i jedynie rodzice w tej sprawie decydują, a władza kościelna zobowiązana jest odnośnie życzenie rodziców wypełnić.

Zwraca się uwagę, iż rodzice sami powinni swych obowiązków dopilnować, a nie spuszczać się na osoby trzecie. Również zaznacza się, że w każdej sprawie udawać się należy tylko do ks. proboszcza, lub jego zastępcy, a nie do ks. ks. wikariuszów, czyli jak tu mówią, kapelanów.

W końcu zaleca się w każdym przypadku działać, o ile możliwości, w porozumieniu się z władzą kościelną, a gdyby to okazało się niemożliwym, natenczas skorzystać z przysługującego nam prawa.

Dalszych informacji w razie potrzeby chętnie udziela każdy komitet parafjalny.

KOMITET OGÓLNY DLA SPRAW KOŚCIELNYCH:
(podpisy Zarządu Komitetu).

Polskie nabożeństwa odbywają się:

U św. Piusa: co niedziele i święta Msza św. z kazaniem polskim o godz. 10³/₄ przed południem.

U św. Pawła w Moabicie: co niedziele i święta Msza św. z kazaniem polskim o godz. 8 rano.

W Charlottenburgu: co drugą niedzielę polskie kazanie z nabożeństwem o godz. 4¹/₂ po południu.

W Rixdorfie: co drugą niedzielę polskie nabożeństwo z kazaniem i śpiewem o godz. 4 po południu.

W Weissensee: co niedzielę Msza św. z polskim śpiewem o 1¹/₄12, a co drugą niedzielę polskie kazanie po Mszy św.

We Velten: raz na miesiąc polskie kazanie.

Zaznaczyć wypada, że domaganie się naszych praw opiera-
liśmy na podstawie religijnej, bo jako dobrzy katolicy, chcemy praktyki
w kościele w naszej ojczystej mowie wykonywać, oraz słyszeć
słowo Boże w tej mowie, którą my kochamy i która jedynie do
duszy nam przemawia.

O przekonaniu miejscowej władzy kościelnej o naszych
słusznych żądaniach nie marzyliśmy, gdyż ta była do nas z góry
uprzedzona i miała nadto wskazówki nietylko z Wrocławia, ale
i od rządu pruskiego, aby nam nie ustępować. Jako dowód
mieszania się rządu do spraw czysto kościelnych, niech posłuży
następujący odpis dokumentu policyjnego prezydum w Berlinie
do policji obwodowej jednego z przedmieść, który mi do rąk się
dostał. Odpis ten podaję po niemiecku według oryginału i w tło-
maczeniu.

GEHEIM.

Behufs Erstattung eines Berichts an den Herrn Oberpräsi-
denten ersuche ich um gefällige alsbaldige ausführliche Aeusse-
rung darüber, ob in dortigem Bezirke sich eine kirchliche Agi-
tation der Polen bemerkbar gemacht hat, worauf diese gerichtet
ist — Einführung polnischer Gottesdienste, polnischer Trauungen,
Taufen u. s. w. polnischen Vorbereitungs-Unterricht für die
Communion und dergl. — und welche Haltung die dortige katho-
lische Geistlichkeit diesen Forderungen gegenüber bisher einge-
nommen, insbesondere welche Zugeständnisse sie gemacht hat.

Podpis naczelnego urzędnika.

ODPOWIEDŹ.

Die hiesige Geistlichkeit verharret derartigen Bestrebungen gegenüber schon aus Mangel an geeigneten Kräften auf ihren ablehnenden Standpunkt.

T A J N E.

W sprawie zdania raportu p. naczelnemu prezesowi proszę o łaskawe możliwie szybkie, wyczerpujące zdanie (Aeusserung), czy w tamtejszym obwodzie daje się wyczuć kościelna agitacja polaków, do czego ona zmierza — zaprowadzenia polskich nabożeństw, polskich ślubów, chrztów itd., polskiego przygotowywania do komunji i podobne — i jaką postawę tamtejsze katolickie duchowieństwo wobec tych żądań dotychczas zajęło, względnie jakie ustępstwa zrobiło.

Podpis naczelnika policji.

ODPOWIEDŹ POLICJI OBWODOWEJ.

Tutejsze duchowieństwo zachowuje wobec tych dążeń już z braku odpowiednich sił odmowne stanowisko.

My o takim stanowisku obydwóch władz wiedzieliśmy już najprzód, lecz to nas bynajmniej nie zrażało, gdyż byliśmy pewni, iż do pewnego stopnia nasze żądania mimo tego wnet osiągniemy, a resztę choćby po dłuższem staraniu. Wprawdzie ks. dr. Kleineidamm, objąwszy probostwo św. Jadwigi i delegaturę, oświadczył nam: „Das, was ich hier angetroffen habe, das bleibt, aber nichts neues lasse ich einführen“ (to, co tu zastałem, pozostanie, ale nic nowego nie pozwolę zaprowadzić), na cò mu ze spokojem odpowiedziałem: „Jeżeli ksiądz delegat tego nie robi, to robi jego następcą“. Pogniewał się za tę odpowiedź na mnie i już nigdy mi jej nie zapomniał. Niedługo się pokazało, kto z nas miał rację, bo jeszcze on sam na niejedną korzystną dla nas zmianę „pozwolił“. Dla charakterystyki podaję, że ks. dr. Kleineidamm był bardzo uparty, tak, że z tego powodu nawet obie władze go nie bardzo lubiły.

Pewnego razu ks. Delegat wysunął na swoją obronę, że przychodzą do niego rodzice z żądaniem, aby ich dzieci ksiądz do

pierwszej komunji św. po polsku przysposobił, pomimo, że one po polsku słabo lub wcale nie umieją. Na to mu odpowiedziałem, że takiego ojca-polaka, co to żąda, a nie nauczył swoich dzieci po polsku mówić, niech weźmie za kołnierz i za drzwi wyrzuci, bo nie wart, by jego dziecko było po polsku przysposobione, nie spełniwszy swego obowiązku wobec własnych dzieci. Niech wprzód nauczy dziecko po polsku, a potem pójdzie do księdza z takim żądaniem. Myśmy też przy każdej sposobności rodziców przestrzegali, aby nam u władz kościelnych takimi żądaniami sprawy nie psuli, bo nie można żądać od księży, by nasze dzieci z okazji przygotowywania do komunji św. po polsku mówić uczyli. Ale byli tacy naiwni. Toć niektóre matki się dziwiły, dlaczego w szkołach berlińskich po polsku nie uczą. Tak daleko jeszcześmy wtedy nie doszli. Wogóle jeszcze nie wiele rodziców spełniło swe obowiązki wobec dzieci, gdyż nieomal w każdej parafji była co rok około setka dzieci naszych, które powinny być po polsku do pierwszej komunji św. przygotowane, a które niestety przeważnie po polsku słabo umiały, lub rodzice nie dbali o to, by je do polskiego oddziału przyłączyć. Takim rodzicom nie oszczędzaliśmy też zarzutów na naszych zebraniach. Wprzód spełnijmy swój obowiązek, a potem żądajmy spełnienia go od drugih.

Te nasze żądania i odpowiednie zachowanie się sprawiły, że wnet zaczęto przysyłać księży, którzy po polsku mówić umieli i na życzenie nasze spowiedź, śluby, chrzty i pogrzeby w naszym języku załatwiali. Wkrótce był ksiądz, umiejący mówić po polsku w każdej parafji, a w niektórych, gdzie naszych rodaków było więcej, po dwóch. W parafji Charlottenburskiej zażądał ks. proboszcz przy zmianie wikariusza nawet trzeciego, któryby po polsku mówić umiał. Tylko przy kościele św. Macieja niema żadnego, gdyż tam na mocy jakiegoś układu księży z Westfalji przysyłają, z których jeden w ostatnim czasie po polsku się uczył.

Polaków w poszczególnych parafjach było według naszych obliczeń 20% do 50%. W parafji św. Piusa polacy nawet przeważali, to też tam najprzód przysłano księdza po polsku mówiącego i to polaka, księdza Enna (ks. E. pochodził z djecezji poznańskiej, a wskutek rzucenia swego czasu klątwy na majowego proboszcza Kicka, nie mógł tymczasem do djecezji swojej powrócić) jako zarządcę parafji. Niektórzy niemieccy księża, górnoślązacy, widząc w Berlinie potrzebę używania języka polskiego,

uczyl się z własnej chęci po polsku. Nawet ks. dr. Kleineidamm nauczył się w młodszych latach tyle po polsku — jak nam sam opowiadał — że mógł z biedy po polsku spowiedzi słuchać, gdy był duszpasterzem w prowincji saskiej.

Gdy nam na nasze żądania o księży umiejących po polsku, ks. delegat Neuber powiedział: „Aber woher nehmen wir so viele pölnisch sprechende Geistliche?“ (ale skąd weźmiemy tylu po polsku mówiących księży?), to mu odpowiedziałem: „Tak dobrze jak polscy księża muszą się uczyć po niemiecku, to niechże i niemieccy uczą się po polsku“. Na co się rozśmiał i rzekł: „Tego nie będzie można przeprowadzić“. A jednak z czasem, zmuszeni potrzebą, zaprowadzili naukę języka polskiego dla kleryków w seminarjum we Wrocławiu, bo nietylko myśmy żądali księży umiejących się z nami po polsku porozumieć, ale tymczasem wzmogło się życie katolickie w diasporze przez napływ naszych rodaków, i dla nich musiał być wszędzie ksiądz, znający nasz język.

Znany mi ks. proboszcz z Górnego Śląska, polak, mówił mi: „Ależ wy nam wszystkich młodych księży polaków pozabieracie, a my co zrobimy bez nich na Górnym Śląsku!“ Na co mu odrzekłem: „Niech ks. biskup stara się o wystarczającą ilość odpowiednich księży, bo to jest jego obowiązkiem, a nie naszym“. Jednemu z przewodników na Górnym Śląsku oświadczyłem zaraz na początku tego ruchu, że ruch ten z natury rzeczy oddziała na cały Górny Śląsk, co się też stało.

W parafji św. Macieja, w jedynej, gdzie do dziś księdza umiejącego po polsku niema, prosiła przed laty deputacja „Towarzystwa Polskich Robotników“ ks. proboszcza, aby pozwolił na polskie kazania w czasie wielkiego postu, żeby je mogli ze skutkiem rozumieć, zaś oni o księdza takiego sami się postarają. Ks. proboszcz nie chciał się żadną miarą na to zgodzić, i perswadował im pomiędzy innymi, że gdy do Berlina przyszli, to powinni się po niemiecku nauczyć. Na co mu jeden z robotników trafnie odparł: „Czy nie łatwiej byłoby księdzu, jako inteligentnemu człowiekowi, nauczyć się po polsku, niż całym rzeszom nieinteligentnych robotników po niemiecku?“ To poskutkowało i ks. proboszcz, nie mogąc się dłużej opierać, powiedział: „Zgadzam się wreszcie na odprawianie polskiego nabożeństwa, ale tylko nie przyprowadzajcie mi do kościoła żadnego Jezuita“ (nur keinen Jesuiten). Widocznie był przeciwnikiem ks. Jezuitów. W ten

sposób sprawa się załatwiła, lecz tylko na jeden post. O ile mi się przypomina, miewał wtedy kazania w tej kaplicy ks. Warznyiak.

Część naszych żądań uzyskaliśmy w stosunkowo niedługim czasie, tak jak to przewidywałem. Chodziło jeszcze o polskie nabożeństwa i przysposobianie dzieci do spowiedzi i komunji św. W tych dwóch przypadkach władza kościelna bardzo się opierała, szczególnie w drugim, a jednak powoli zaczęła i w tem ustępować. Najprzód pozwalano na zaprowadzenie w kilku kościołach w czasie wielkiego postu „Gorzkich żali“, a potem na niestałe i stałe polskie nabożeństwa. Nie obyło się to bez trudności, gdyż władza kościelna, będąc pod presją rządu pruskiego, bała się wobec nas postępować sprawiedliwie, o czem świadczy następujące odezwanie się do nas jednego z księży delegatów: „My musimy brać wzgląd na rząd pruski“ (wir müssen Rücksicht nehmen auf die preussische Regierung) a jego następcę, ks. dr. Kleineidamm, wyraził się do nas, że kościół katolicki jest teraz w Prusiech kozerą i że władza kościelna nie może interesów katolików niemieckich całych Prus podporządkować pod interesy polaków. („Die katholische Kirche ist jetzt in Trumpf!“)

Na pierwszy argument odpowiedziałem stanowczo: „Ksiądz delegat się myli, gdyż w naszym kościele rządzić mają tylko księża i my, zaś władza rządu pruskiego kończy się u progu naszego kościoła, a jeżeli ks. delegat jest przeciwnego zdania, to w takim razie niech rząd swoich ministrów przysyła do kościoła, bo my przestaniemy chodzić“. Zaś na drugi argument otrzymał ks. delegat odpowiedź słowami Windhorsta, wypowiedzianymi w sejmie pruskim przy likwidowaniu ustaw majowych: „Poco nasz kościół ma ustępować, jeśli to Bismarck zrobić powinien!“ Takie odpowiedzi zwykle osiągały swój skutek, bo tylko energicznym żądaniom ustępowano.

Ks. dr. Kleineidamm, broniąc się przed jakąkolwiek zmianą na korzyść naszą, powiedział do nas przy sposobności, że powinniśmy ulegać stosunkom, „gdyż one są silniejsze, niż ludzie“ (die Verhältnisse sind stärker, wie die Menschen), na co mu odparłem, że może być też odwrotnie, bo układanie się stosunków najczęściej od ludzi zależy.

Za to odcinanie się ks. delegat mnie specjalnie nie lubił i podobno, jak mnie zapewniano, już wymówienie mego nazwiska

w jego obecności o zły humor go przyprawiało. Mówił mi jeden z młodych księży, że gdy moje nazwisko słyszał, to go febra brała.

W Königswusterhausen pod Berlinem, gdzie parafia katolicka składa się nieomal z samych polskich robotników, dał rząd grunt pod kościół i plebanję darmo i podobno jeszcze dodał gotówki, lecz pod warunkiem, że nie będą się nigdy polskie nabożeństwa odprawiać. Ks. delegat na to się zgodził, czego później miał żałować. Nie było też tam polskich nabożeństw, choć zarządca parafji był polakiem.

Z rozmowy z księdzem proboszczem z kościoła św. Piusa wyczułem, że pewna część księży górnośląskich utrakwistów, choć mają nieraz dobrą wolę, to jednak naszego ducha zrozumieć nie mogą, z czego też łatwo nieporozumienia powstają. Już ich język nas razi, bo jakże można wysłuchać kazania, jeśli takie zwroty zachodzą: „Jak święty Pieter od landu do landu reizował“, lub „Dziękuję za powitowanie“. Jednak większa część księży w Berlinie, mówiących po polsku, wyrażała się poprawnie w naszym języku, a nadto czuła się dobrymi polakami.

Myśmy to spowodowali, że w ostatnim czasie źle po polsku mówiących księży było w Berlinie już nie wielu.

Tenże ks. proboszcz zrobił nam zarzut, że prowadzimy do państwowego kościoła, czemu kategorycznie zaprzeczyłem i odparłem, że to właśnie rząd do tego dąży, czem dał jasny dowód podczas ustaw majowych i po ustawach się o to stara, a my go chcemy z kościoła naszego wypędzić. „Że tam gdzieś w Łodzi katolicy-niemcy bez starań mają nabożeństwa w ich języku“ — powiedział — to przecież inny kraj! „Barbarzyński!“ — odpowiedziałem.

Nazwał też naszą kościelną organizację a n o m a l j ą, co mu nawet przyznałem, ale z tą uwagą, że stosunki kościelne w Berlinie są chyba także anomalją i one to nas spowodowały do uciekania się do tak radykalnego środka. „Niech władza kościelna — dodałem — da nam w kościele to, co się nam należy, a w tej chwili organizację naszą rozwiążemy“.

W południowej części Berlina jest parafia Panny Marji, a do niej około 5000 polskich parafjan należy, co ks. proboszcz tej parafji sam przyznawał, kwestując w polskich stronach na budowę kościoła. Przy tej sposobności obiecał zaprowadzić polskie na-

bożeństwa, a gdy po wybudowaniu kościoła wzbraniał się słowa dotrzymać, doszło aż do bojkotowania tego kościoła. Sprawa ta stała się głośną, ale pomogło, choć nie w całej pełni.

Obaw o niewykonywanie obowiązków religijnych po naszej stronie nie było, bo to można w innych kościołach załatwić, zaś władzy kościelnej zajęcie przez znaczną część parafjan takiego stanowiska było nadzwyczaj nie na rękę, gdyż psuło cały porządek w parafji i kościele, a szczególnie zmniejszało dochody. Ale trzeba było z naszej strony aż do takich środków się uciekać, gdy inne nie pomagały, a stosowaliśmy je tylko w granicach legalnych.

Tak tedy powoli zdobywaliśmy i polskie nabożeństwa. Trudniej było z przygotowaniem dzieci naszych do pierwszej spowiedzi i komunji św. Tu już całkiem władza kościelna się opierała. Księża proboszczowie — zwykle Niemcy — twierdzili, iż dzieci umieją po niemiecku, w tej mowie w szkole uczyć się muszą, więc pocóż obciążać ich jeszcze polską nauką. A wreszcie orzekli, że oni tylko mają prawo decydowania, w jakim języku dzieci mają być przysposabiane. Na taki pogląd stanowczo się nie godziliśmy, bo właściwie jest przeciwnie, rodzicom tylko przysługuje to prawo, gdyż oni są według zasad naszego kościoła urodzonymi nauczycielami religji swoich dzieci i odpowiedzialni za nie przed Bogiem, co też później w wydanym rozporządzeniu generalny wikariat we Wrocławiu potwierdził. Uchwalono też na jednym z wieców odpowiednią rezolucję i księdzu delegatowi wręczono. Brzmi ona:

REZOLUCJA.

„Zebrani w pierwszą niedzielą Adwentu polsko-katolicyccy rodzice nie mogą się pogodzić z oświadczeniem książecko-biskupiego delegata, że nauczyciele religji decydować mają, w jakim języku dzieci polskich rodziców naukę przygotowawczą do spowiedzi i komunji św. mają pobierać, gdyż jedynie rodzicom to prawo przysługuje. Polscy rodzice żądają kategorycznie, aby ich dzieci do sakramentów św. przygotowywane były na ich życzenie w ojczystej mowie.

Berlin, 1-go grudnia 1901.

(podpisy zarządu Komitetu Kościelnego).

Na posiedzeniu Związku Towarzystw ks. dr. Stephan, zarządca jednej z podmiejskich parafji, mówiący zresztą dobrze po polsku, którego umyślnie w tej drażliwej sprawie na to posiedzenie zaprosiłem, — posunął się nawet tak daleko w obronie zdania księży, że oświadczył: „Powinniście księży słuchać, gdyż ksiądz bez was do nieba przyjdzie, ale wy bez księdza nie“. Na to zapanowała cisza. Jako przewodniczący tego zebrania wstałem i spokojnie odparłem: „Ksiądz Doktor się myli, gdyż ksiądz bez nas do nieba nie wpuszcza“. To starczyło. Ale widać z tego, jakimi argumentami nas pokonywać chciano.

Radziliśmy tedy sobie sami, ucząc dzieci polskiego katechizmu, wzgl. dając uczyć przez osoby prywatne i potem egzaminować przez księży posłów lub sprowadzonych z kraju. Czasem udało się nam do tego zjednać któregoś z odważniejszych księży wikariuszów. Po egzaminie prowadziliśmy dzieci zbiorowo lub pojedynczo podług tego, jak wypadło, do spowiedzi i komunji św., jak również wysyłaliśmy niektóre w tym celu do kraju.

Ks. biskup wydał rozporządzenie, aby tylko te dzieci do pierwszych sakramentów świętych księża przyspasabiali po polsku, które jeszcze po niemiecku nie umieją czytać i pisać, a ksiądz proboszcz parafji w Charlottenburgu perswadował nam, że powinniśmy przecież, jako dobrzy katolicy ks. biskupa słuchać, na co mu odpowiedziałem, że w tym przypadku go nie posłuchamy, gdyż to nie jest dogmat i wiemy bardzo dobrze, w jaki sposób takie rozporządzenia do skutku przychodzą, t. j. wskutek nacisku rządu i relacji ks. delegata. Widocznie nie za wiele powiedziałem, bo ks. proboszcz, jako sprawiedliwy człowiek, jak mógł, sam z tem rozporządzeniem się nie liczył, z powodu czego miał z ks. delegatem na konferencji księży ostrą wymianę zdań.

W następnym roku wydał jeneralny wikarjat nowe rozporządzenie, znoszące pierwsze, z tem poleceniem, aby księża życzeniom rodziców się nie opierali, jeśli dzieci polski język dostatecznie znają, czyli, że uznał prawą rodziców według naszego twierdzenia.

Zanim władza kościelna przyszła do tego przekonania, zachodziły pomiędzy rodzicami, a niektórymi księżmi częste nieporozumienia, a nawet doszło w marcu 1914 r. do owego głośnego skandalu w kościele św. Pawła w Moabicie (część miasta Berlina). Skandal ten skompromitował władzę kościelną i cywilną

i był przedmiotem obrad w sejmie pruskim. Policja aresztowała kilku naszych rodaków, lecz ich bez dalszych następstw wypuściła.

Przy zajściu tem nie byłem obecnym, ale mam pod ręką opis jego przebiegu, skreślony i przesłany mi przez przewodniczącego Komitetu Kościelnego p. Chęcińskiego, naocznego świadka — który, jako obiektywnie ujęty, w interesie sprawy podaje.

OPIS ZAJŚCIA.

W parafji św. Pawła już od dłuższego czasu pomiędzy polskimi katolikami czynią się starania, żeby dzieci rodziców tej parafji były przysposabiane po polsku do komunji św., jak również po polsku spowiadane. Życzenie to popierają rodzice tem, że to jest ich mową ojczystą i że w tej mowie dzieci lepiej pojmują.

Po dłuższych pertraktacjach z ks. kuratusem tego kościoła, nie chciał się tenże na życzenia rodziców zgodzić i krótko po Bożem Narodzeniu oświadczył, że go ta sprawa nie obchodzi; polacy mogą robić, co chcą. Ponieważ do przygotowania dzieci do spowiedzi nie można było księdza po polsku mówiącego uprosić, więc podjęła się tego prywatna osoba, mająca odpowiednie zdolności. Przypadek taki zaszedł już przed kilku laty i wtedy ks. kuratus się zgodził na przyjęcie dzieci do komunji św.

Z polecenia komisji kościelnej uczyłem tedy 40 dzieci katechizmu przez 7 tygodni dwa razy w tygodniu po 1½ godziny. Gdy czas spowiedzi nadchodził, udała się komisja kościelna do ks. kuratusa z prośbą, by dzieci przesłuchać kazał, a dostawszy odpowiedź odmowną, poprosiła dwóch ks. posłów o przesłuchanie dzieci. Ci stwierdzili, że są zupełnie przygotowani. Mając tę pewność, udała się komisja ponownie do ks. kuratusa, aby pozwolił dzieci wysłuchać spowiedzi przez jednego z Ojców Domu, mówiącego po polsku. Ponieważ i na to zgodzić się nie chciał, byli polacy zmuszeni księdza w innym kościele poprosić, który też dzieci dwa razy po polsku wysłuchał.

Dwa dni przed terminem komunji św. poszli znowu rodzice tych dzieci w towarzystwie niektórych członków komisji do ks. kuratusa z zapytaniem, czy teraz pozwoli na przyjęcie dzieci

o komunji św. Ks. kuratus zgodził się na to pod warunkiem że rodzice razem z dziećmi przystąpią i nie będzie chorągwi Tow., aby to zanadto uroczyście nie wyglądało. Dodał jeszcze, że komunja św. będzie udzielaną nie podczas mszy św., lecz dopiero kwadrans po mszy św. Prócz tego zażądał spisu tych dzieci, żeby mogły potem być razem z innymi bierzmowane.

W niedzielę 15-go marca zebrało się rano na polskim nabożeństwie około 2 tys. ludzi, a pomiędzy nimi 40 dzieci, które miały do pierwszej komunji św. przystąpić. Zebrały się najprzód pod chórem, a potem razem poszły bliżej ołtarza, gdzie w przednich ławkach miejsce zajęły. Chciano potem wynieść z zakrystji chorągiew kościelną Tow. św. Kazimierza, lecz na to kościelny i jeden z kryminalnych urzędników nie pozwolił, co wywołało pewne zdziwienie pomiędzy ludźmi w kościele.

Msza św. się rozpoczęła. Kazanie, które zwykle w toku mszy św. było, tym razem z niewiadomych nam powodów wypadło. Po skończeniu mszy św. rodzice z dziećmi przystąpili do ołtarza w oczekiwaniu komunji św. Gdy już jakie 20 minut czekano, a ksiądz jeszcze nie przyszedł, udało się paru z nich do zakrystji z prośbą o udzielenie komunji św. Zamiast tego, wstąpił ks. kuratus na ambonę i powiedział, że mają kościół opuścić, ponieważ polskie nabożeństwo się skończyło i ma się teraz niemieckie dla dzieci niemieckich odbyć. Zdziwiono się ogólnie na te słowa i gdy ks. kuratus powiedział, „że się nie spodziewał od polaków“ i t. d., powstał niepokój, wskutek którego nie mógł więcej mówić i z ambony zeszedł. Po nim wszedł drugi ksiądz na ambonę i w rozdrażnionym tonie nakazał kościół opuścić. Gdy i teraz nie usłuchano, zażądał tenże, żeby środek kościoła był wolnym, poczem komunji św. udzieli. To uczyniono, lecz zamiast udzielenia komunji św., wyniesiono najświętszy sakrament. Wtedy umundurowani policjanci i kryminalni wystąpili przed ołtarzem i poczęli ludzi z kościoła wydalać. Na ten widok poczęli dzieci i kobiety płakać. Na chórze zaczęto śpiewać „Serdeczna matko“. Wszedł wtedy ksiądz, mówiący po polsku, na ambonę i w polskim języku prosił w imieniu ks. kuratusa, aby ludzie z kościoła wyszli. Odezwały się na to głosy, że z kościoła prędzej nie wyjdziemy, dopóki nam nie będzie udzielona komunja św. Znowu zaśpiewano „Kto się w opiekę“. Oficer policyjny wstąpił

na stopnie ołtarza i zażądał w imię prawa opuszczenie kościoła. Powstała ogólna panika pomiędzy dziećmi i dorosłymi. Policja nie brała żadnego względu, lecz za pomocą broni ludzi z kościoła gwałtem wydalala. Potem kościół aż do godziny 4-tej po południu zamknięto.

I znany członek pruskiej Izby Panów hr. Oppersdorf tą sprawą się zainteresował i ze swej strony, gdzie należy w interesie naszym kroki poczynił, lecz nie dowiedzieliśmy się, z jakim skutkiem. Przed wyjazdem do Rzymu miałem z nim w tej sprawie konferencją w celu jednolitego działania.

Nam ten skandal ostatecznie wyszedł na dobre, bo niema nic lepszego, gdy przeciwnik błędy robi.

Był jeszcze spór o to, czy osoby, którym powierzaliśmy przygotowywanie dzieci do pierwszej komunji św., miały pozwolenie władzy kościelnej do spełniania tej funkcji t. zw. „missio canonica“, ale i w tym przypadku swoje przeprowadziliśmy, będąc zdania, że jeżeli rodzice mają obowiązek uczenia swoich dzieci religii, a nie mają na to dostatecznego czasu, lub nie umieją, mogą się w takich razach kim innym posłużyć, byle one przy egzaminowaniu przez księdza katechizm umiały. Doprowadziliśmy naukę katechizmu przez prywatne osoby tak daleko, że gdy ks. proboszcz N. z djecezji poznańskiej dzieci nasze egzaminował, to oświadczył nam, że dzieci z jego parafji tak dobrze katechizmu nie umieją. Byliśmy z tego dumni.

Chcieliśmy raz obchodzić uroczystość narodową z solennem nabożeństwem w kościele i to możliwie w kościele św. Jadwigi. Posłaliśmy do ks. delegata deputację z prośbą o pozwolenie (ja się do tej deputacji nie przyłączyłem, gdyż napewno byłby odmówił). Trafiono u niego na dobrą godzinę, bo wyjątkowo pozwolił na odbycie nabożeństwa w niedzielę popołudniu i to z kazaniem. Kościół był napchany, a kazanie wygłosił ks. N. ślązak, mówiący wybornie po polsku i złotousty mówca. Kazanie to tak słuchających wzruszyło, że słycać było ciągłe szlochanie. Ks. delegat podobno z za ołtarza się przyglądał i żałował potem, że pozwolił i miał powiedzieć: „Nie wieder!“ (już nigdy nie pozwolę!)

Próbowaliśmy też wybierać do dozorów kościelnych i udało się nam czasem kilku rodaków w niektórych parafjach wybrać,

zwłaszcza wtedy, gdy Niemcy się nie spostrzegli. W parafji św. Jadwigi proponował jeden z polskich księży, żeby ze względu na polskich katolików mnie do dozoru wybrano, ale ks. delegat oparł się temu. Zato wybrano mnie później w parafji Charlottenburskiej, gdzie jednak długo w dozorze nie byłem, bo wybory dla jakiejś formalności unieważniono i następnie mnie nie wybrano, o co już ks. proboszcz się postarał.

Księżom wikarjuszom nie wolno było brać udziału w pracach polskich towarzystw, prócz w konferencji św. Jana Kantego, pomimo, że w niemiecko-katolickich było ich obowiązkiem pracować; tylko rzadko pokazywali się na posiedzeniach i uroczystościach niektórych naszych towarzystw. Jeżeli który z nich próbował brać udział, szczególnie w innej parafji, to dostał od ks. proboszcza „Verweis“ (naganę), a w razie powtórzenia przesadzono go do jakiejś parafji w diasporze.

Proboszczem w Berlinie lub w okolicy nie zrobiono księdza, przynajęcego się do polskiej narodowości, jedynie był na przedmieściu Berlina ks. dr. K. administratorem parafji, ale musiał się wstrzymać od działalności na rzecz naszą. Obecnie jest proboszczem w Katowicach. Jako wikarjuszowi kościoła św. Piusa pozwolono mu wyjątkowo w Tow. Robotników, mieszczącym się w tej parafji, bywać. Myśmy jednak znaleźli zawsze sposobność, by z księżmi nam życzliwymi w potrzebie się porozumieć, zwłaszcza w sprawach zasadniczych, bo żeby w żądaniach i dążeniach naszych nie skrewić. To też szliśmy zawsze pewną drogą i władze kościelne nie mogły nam z tego żadnego zarzutu zrobić.

W grudniu 1914 r. zwrócił się Komitet Kościelny listownie do ks. kardynała z prośbą, aby wybranej deputacji polskich katolików, którzyby mu życzenia nasze przedłożyli, udzielił posłuchania, na co po dwunastu dniach otrzymał z sekretarjatu berlińskiej delegatury z jego polecenia odpowiedź, że deputacje z gmin kościelnych będą przyjmowane przez ks. kardynała tylko wtedy, jeżeli proboszcz odnośnej parafji to poleci i sprawa, która przedstawioną być ma, wprzód piśmiennie nadesłaną będzie. Wobec takiej odpowiedzi naturalnie zrezygnowano z wysłania deputacji, boć żaden berliński proboszcz takiego polecenia by nie dał.

Natomiast w lutym 1916 r. wystosowałem na własną rękę w porozumieniu się z jednym z księży list do ks. kardynała,

który w odpisie po niemiecku i w przekładzie poniżej podaje. Na jakąś odpowiedź nie liczyłem, chodziło mi tylko o to, aby ks. biskup był dostatecznie o naszych stosunkach i żądaniach poinformowany.

Berlin - Charlottenburg, den 4. Februar 1916.

Hochwürdigste Herr Fürstbischof!
Gnädigster Fürst und Herr!

Eure Fürstbischöfliche Gnaden werden es einem Katholiken verzeihen, wenn er als Laie in kirchlichen Angelegenheiten das Wort zu ergreifen wagt. Anlass dazu ist ihm die letzte absagende Antwort, welche Eure Fürstbischöfliche Gnaden den hiesigen polnischen Katholiken auf ihren Gesuch um polnischen Beicht- und Kommunionunterricht erteilt haben. Er ist überzeugt, dass Eure Fürstliche Gnaden diese Antwort nur auf Grund mangelhafter Informationen gegeben haben. Seit 36 Jahren in Berlin ansässig und die hiesigen kirchlichen Verhältnisse aus eigener Anschauung kennend, glaubt er der guten Sache einen Dienst zu erweisen, wenn er durch gegenwärtiges Schreiben Euer Gnaden einige objektive Informationen über die hiesigen kirchlichen Verhältnisse übermittelt.

In Berlin waren vor 36 Jahren 4 Kirchen und 5 Kapellen; heute sind es zusammen 40. Die Zahl der Katholiken hat sich in dieser Zeit ca. um das sechsfache vermehrt. Man muss nun fragen, woher dieser Zufluss der Katholiken kam. Die Bevölkerungsverschiebung vollzieht sich im Deutschen Reiche hauptsächlich von Osten nach Westen. Wenn also die grössere Zahl der Katholiken von Osten kam, dann waren es mit geringen Ausnahmen Polen, welche in Berlin und in der Umgegend die Katholikenzahl so anschwellen liessen.

In manchen Pfarreien der Diaspora bilden die polnischen Katholiken über die Hälfte, und ein Geistlicher, der nicht polnisch spricht, würde hier kaum durchkommen. Es ist zuzugeben, dass ein Teil dieser Einwanderer und besonders ihrer Kinder sich entnationalisirt, aber wenn das nicht wäre, würden einzelne Pfarreien ganz polnisch sein.

Dieser prozentuell stärkere Zuzug der Polen brachte es mit sich, dass man ihren Bedürfnissen, trotz der Abneigung von gewisser Seite, Rechnung tragen musste. Während früher hier selten polnische Gottesdienste waren, Taufen, Trauungen, Begräbnisse polnisch nicht gehalten wurden, und ein polnischer Beichtvater nur mit Mühe zu erreichen war, ist es in dieser Beziehung schon etwas besser geworden, wenn auch noch nicht ganz gut. Es fehlt noch viel, bis den Polen hier so viel gewährt wird, wie den deutschen Katholiken in polnischen Gegenden, z. B. in Posen, Warschau, Lodz u. s. w. Ein Hauptforderniss ist die Vermehrung der polnischen Gottesdienste und der Erteilung des Beicht- und Kommuniionsunterrichtes an polnische Kinder in polnischer Sprache. In dieser Hinsicht geschieht den polnischen Katholiken Unrecht. Und wenn bei den Polen bekannte Eifer in der Erfüllung der religiösen Pflichten nicht erkalten soll, dann muss der Übel recht bald beseitigt werden.

Was nun den polnischen Beicht- und Kommunionunterricht anbelangt, so ist zu bedenken, dass das Kind, welches von den Eltern polnisch erzogen wurde, polnisch spricht, liest und schreibt, nur diese eine Sprache lieben wird und nur in dieser Sprache mit Gefühl und Andacht beten kann, weil das seine Muttersprache ist. Weiter ist nicht ausser Acht zu lassen, dass die Zahl solcher Beichtkinder von Jahr zu Jahr grösser wird und schon jetzt in manchen Pfarreien über fünfzig beträgt. Die Eltern werden diese Kinder nicht in den deutschen Unterricht schicken, sondern sie entweder selbst polnisch vorbereiten, oder privatim vorbereiten lassen. Und da man den Eltern, welche ihre Kinder polnisch erzogen haben, nicht das Recht der Entscheidung, in welcher Sprache die Kinder zu den hl. Sakramenten vorbereitet werden sollen, nehmen kann, so muss sich daraus notwendigerweise eine grosse Unordnung in den Pfarreien ergeben, indem die Kinder der Aufsicht der Geistlichen entgehen, denn was will die kirchliche Behörde machen, wenn die Eltern von ihrer Forderung nicht abstehen? Wenn das katholische Leben in seiner ganzen Blüte hier erstehen soll, dann dürfen den polnischen Katholiken ihre Rechte nicht verkürzt werden. Im andern Falle werden Konflikte unvermeidlich sein, wodurch die katholische Sache Schaden erleidet und nur der Sozialismus profitiert.

Man müsste auch den polnisch sprechenden Geistlichen erlauben, die polnisch-katholischen Vereine zu besuchen, um dort

ihren Einfluss geltend zu machen. Ich meine aber nur solche Geistliche, die wirklich gut polnisch sprechen, und nicht jene, welche radebrechen, was man leider sehr oft bei Aussprachen und Predigten hört, und was im Zuhörer nur Missbehagen erzeugt.

Den polnischen Katholiken liegt es daran, dass sie mit mehr Liebe, Wärme und Gerechtigkeit seitens ihrer Seelsorger behandelt werden, wie sie das in ihrer Heimat gewöhnt sind.

Ich habe diesen Brief geschrieben, weil ich der Ansicht bin, dass der unheilvolle Zwiespalt durch eine offene Aussprache und durch gegenseitiges Verstehen viel von seiner Schärfe verlieren kann und sich vielleicht ganz beseitigen liesse.

In tiefster Ehrfurcht verharret Euer Fürstbischöflichen
Gnaden gehorsamster Diener

_____ (podpis).

Berlin-Charlottenburg, dnia 4. lutego 1916 r.

Najdostojniejszy Książę Biskupie!

Najłaskawszy Książę i Panie!

Wasza Książęco-Biskupia Mość raczy katolikowi wybaczyć, jeżeli jako laik w sprawach kościelnych odważa się odezwać. Powodem tego jest ostatnia odmowna odpowiedź, którą Jego Książęco-Biskupia Mość tutejszym polskim katolikom na ich podanie o polską naukę przygotowawczą do pierwszej spowiedzi i komunji św. udzielić raczył. Jestem bowiem przekonany, że stało się to na mocy nieścisłych informacji.

Od 36 lat zamieszkały w Berlinie i znający tutejsze kościelne stosunki z własnego doświadczenia, mam to przekonanie, że dobrej sprawie się przysłużę, jeżeli przez niniejsze pismo Jego Książęco-Biskupiej Mości bezstronne informacje prześlę.

W Berlinie było przed 36 laty cztery kościoły i pięć kaplic. Obecnie jest razem czterdzieści. Liczba katolików pomnożyła się w tym czasie około sześć razy. Narzuca się tedy pytanie, skąd oni przybyli? Ruch ludności w Niemczech idzie głównie ze wschodu na zachód. Jeżeli więc większa część katolików ze wschodu przyszła, z małymi wyjątkami byli to polacy, którzy w Berlinie i okolicy liczbę katolików tak pomnożyli.

W niektórych parafjach diaspory tworzą polscy katolicy przeszło połowę parafjan i ksiądz, któryby po polsku mówić nie umiał, nie dałby sobie rady.

Przyznaję, że część sprowadzonych polaków powoli się wy-
narađawia, a szczególnie ich dzieci, lecz gdyby tego nie było,
niektóre parafje byłyby całkiem polskie.

Ten procentualnie silniejszy dopływ polaków do Berlina
sprawił, że ich potrzebom pomimo niechęci z pewnej strony,
musiało się choć w części uczynić zadość. Podczas, gdy dawniej
tutaj tylko rzadko polskie nabożeństwa odprawiano, a chrztów,
ślubów i pogrzebów po polsku wcale, polskiego spowiednika zaś
tylko z trudnością można było osiągnąć, to obecnie w tym kie-
runku już się poprawiło, chociaż jeszcze nie ze wszystkim. Po-
trzeba jeszcze wiele, by polacy tutaj mieli takie udogodnienia,
jakie niemieccy katolicy mają w polskich okolicach, np. w Po-
znaniu, Warszawie, Łodzi itd.

Największą potrzebą jest teraz powiększenie ilości polskich
nabożeństw dla ludności polskiej i udzielanie nauki przygoto-
wawczej dzieciom polskim do pierwszej spowiedzi i komunji św.
w polskim języku. W tym kierunku dzieje się polskim katolikom
krzywda. I jeżeli znany u polskich katolików zapał w wykony-
waniu religijnych obowiązków nie ma ostygnąć, musi to zło co-
prędzej być usunięte.

Co się tyczy nauki przygotowawczej do spowiedzi i komunji
św., to trzeba zaznaczyć, że dziecko wychowane przez rodzi-
ców po polsku, umiejące po polsku mówić, czytać i pisać, tylko
tę mowę kocha i tylko w tej mowie z uczuciem i nabożeństwem
modlić się może, ponieważ to jest jego ojczysta mowa.
Nie można nadal spuścić z oka, że liczba takich dzieci z roku
na rok stale wzrasta i już teraz w niektórych parafjach dochodzi
do przeszło pięćdziesięciu. Rodzice te dzieci na niemiecką naukę
przygotowawczą nie poszlą, tylko je sami po polsku przygotowują,
lub prywatnie dadzą przygotować. A że rodzicom, którzy swe
dzieci po polsku wychowali, nie można odmówić prawa decyzji,
w jakiej mowie ich dzieci do sakramentów św. przygotowane być
mają, to w konsekwencji mogą powstać w parafjach nieporządki,
gdyż dzieci te z pod nadzoru duchowieństwa z natury rzeczy się
uchylą. I cóż władza kościelna zrobi, jeżeli rodzice od swych
słusznych żądań nie odstąpią?

Jeżeli życie katolickie w całej pełni tutaj ma się rozwijać to nie zaleca się polskim katolikom ich praw odmawiać. W przeciwnym razie nieporozumienia będą nieuniknione, przez co katolicyzm ucierpi, a zato socjalizm zyska.

Zalecałoby się także duchownym, umiejącym mówić po polsku, bywać w katolicko-polskich towarzystwach, aby tam w potrzebie swój wpływ wywierać mogli. Rozumiem tylko takich duchownych, którzy rzeczywiście po polsku dobrze mówią, a nie takich, co mowę naszą kaleczą, jak niestety często przy przemówieniach i kazaniach się słyszy, a co w słuchaczach budzi niezadowolenie. Polskim katolikom zależy na tem, aby ze strony duchowieństwa byli traktowani więcej z miłością, ciepłem i sprawiedliwością, tak, jak tego byli zwyczajni w swoich ojczystych stronach.

Niniejszy list piszę dlatego, że jestem zdania, iż to nie-szczęśne nieporozumienie przez szczere wyznanie i przez wzajemne zrozumienie wiele na ostrości straci, a nawet da się może całkiem usunąć.

Z najgłębszym szacunkiem pozostaję Jego Książęco-Biskupiej Mości

powolny sługa

(podpis).

W moim opisie uderzą może czytających zwroty, że pomagaliśmy się nie księży-polaków, lecz umiejących po polsku mówić. Zauważył to już „Dziennik Berliński“ z dnia 13. 12. 1900 i nazwał to nawet „grubym błędem“ z naszej strony. Otóż co do mnie, to rzeczywiście unikałem z taktycznych względów przy żądaniach naszych w stosunku do władzy kościelnej wyrażania, że nam chodzi o księży polskie, by nas nie posądzano o wnoszenie polityki do kościoła, czyli jak niemcy nazywają, „grosspolnische Agitation“, t. j. o to samo, co my stronie przeciwnej zarzucali, gdyż toby nam osiągnięcie pożądaných skutków utrudniało. Nawet byłby to atut, którego w danym razie mogliby w Rzymie przeciwko nam wygrać. Przyznaję też, że osobiście jestem stanowczym przeciwnikiem wnoszenia polityki do kościoła, gdziekolwiekby. Zresztą taka taktyka widocznie była dobra, bośmy przeważnie osiągnęli to co żądaliśmy i jak już przedtem pisałem, że z księży berlińskich, umiejących mówić po polsku,

czuła się większa część polakami. I inaczej też być nie mogło, gdyż inni nie daliby sobie z nami rady. Wogóle w naszych wszystkich żądaniach staraliśmy się nawet cienia błędów unikać, bo niema nic lepszego dla przeciwnika, jak dać mu broń do ręki. To też swego czasu „Dzien. Berl.“ swem parokrotnem nietaktownem pisaniem o niektórych księżach w Berlinie tak daleko doprowadził, że „Komitet Kościelny“ był zniewolony mniej energicznie występować, nie chcąc ponosić skutków tego nietaktu, gdyż władza kościelna choćby z umysłu nie oddzielała jednego od drugiego, solidaryzując „Dziennik“ z naszą organizacją.

Na nasze publiczne zebrania urządzone w sprawie kościelnej zapraszaliśmy także księży (nawet ks. delegata o to prosiliśmy), aby osobiście o żądaniach naszych usłyszeli z ust przemawiających, lecz młodym księżom było to wzbronione, i tylko po jednym razie odważyli się przyjść ks. dr. Stephan, zarządca parafji w Weissensee pod Berlinem, oraz ks. Frank, proboszcz kościoła św. Piusa. Ostatni — jeśli się nie mylę — był morawianinem, człowiek dobrej woli i umiejący mówić nie źle po polsku. Tenże po kilku latach pobytu w Berlinie daleko poprawniej po polsku się nauczył, co może być także i naszą zasługą.

Ks. Wawrzyniak podczas swego posłowania nie brał w naszym sporze z władzą kościelną z taktycznych względów bezpośredniego udziału, lecz był o wszystkim dostatecznie poinformowany i każdy ważniejszy krok wprzód z nim omówiłem. Byłem więc zawsze pewien swego postępowania. Nadmieniam, że podczas mego długoletniego pobytu w Berlinie było z kolei pięciu delegatów biskupich, z których najprzychylniejszym dla nas był ks. Herzog, bo nawet pozwolił w swojej szkole, przy plebanji się mieszczącej, na prywatną polską naukę, a gdy mu władza świecka z powodu tego robiła wymówki, to odpowiedział jej: „Tu ja rządę!“ W końcu dodaję, że nasi księża, którzy w Berlinie jako duszpasterze pracowali, wróciwszy na Śląsk, działają tam z pożytkiem dla naszego społeczeństwa.

Takie stosunki pozostały przy mojem opuszczeniu Berlina i, jak słyszę, poprawiają się jeszcze. Osiągnęliśmy względnie dużo, mając na oku ówczesne stosunki w djecezji wrocławskiej. Jestem zdania, że tego ruchu już nikt nie wstrzyma, byle tylko rodacy w Berlinie nie ustawali i nadal w legalnem dochodzeniu

swych praw i spełniali jako katolicy-polacy swoje obowiązki, gdyż tylko wtedy będą mieli prawo upominania się u władz kościelnych o dalsze udogodnienia w kościele.

Z tej racji opuszczałem Berlin z pewnem uczuciem zadowolenia, gdyż spełniło się, co przewidywałem, mimo, że centrowa „Germania“ swego czasu o mnie ironicznie napisała: „Der Schneidermeister muss es ja wissen“.

Kościół św. Jadwigi.

Z wyjątkiem paru ostatnich lat mieszkałem w Berlinie zawsze w parafii św. Jadwigi, i to z tego powodu, że jest w środku miasta, więc też do tego kościoła najwięcej uczęszczałem i do niego się przyzwyczailem. Do innych kościołów miałem daleko, zaś polskie nabożeństwa w pierwszych latach mego pobytu w Berlinie w nich także się nie odbywały. Ponieważ kościół ten przyjeżdżającym do Berlina rodakom jest znany, więc choć parę słów o nim napiszę.

Zbudowano go za czasów Fryderyka II i to podobno ze względu na katolickie ambasady. Przedtem od zaprowadzenia reformacji Lutra kościołów katolickich w Berlinie nie było. Poświęcił go, jak już na innem miejscu wspomniałem, nasz ks. biskup Krasicki, który to na dworze Fryderyka często przebywał. Forma jego jest jakby przewrócona filiżanka dnem do góry i dlatego utrzymuje się w Berlinie legenda, że Fryderyk, godząc się wreszcie na budowę kościoła katolickiego, przewrócił filiżankę dnem do góry i w takiej formie zbudować pozwolił. Kopułę środkową dopiero za moich czasów wykończono.

Kościół stoi w środku miasta przy pl. Opery i w sąsiedztwie pałacu starego Wilhelma, a więc w jednym z najlepszych miejsc stolicy. Przez długie lata był jedynym kościołem dla katolików, zamieszkałych w Berlinie i okolicy. Z biegiem czasu, z powodu urzędzenia w Berlinie delegatury djecezji wrocławskiej, nabrał znaczenia katedry. Do niego też wszyscy polacy chodzili, gdzie o pewnej godzinie była sposobność spotkania się co niedzielę i święto. Jeżeli ktoś z nas chciał kogo ze swoich rodaków zobaczyć, to do tego kościoła przychodził.

Przeważnie na nabożeństwa o godzinie 11^{1/2} przyjeżdżali ambasadorowie katolickich państw i niemiecka rodowa arystokracja, a obok niej i nasza, która stale w Berlinie zamieszkiwała. Radziwiłłów można było co niedzielę spotkać, a szczególnie generała Antoniego, który regularnie przyjeżdżał z żoną. Po nabożeństwie składał hełm do powozu (według przepisu, wojskowym nie było wolno bez hełmu do kościoła przychodzić), nakładał na głowę kaszkiet i, odsyłając żonę do domu, sam szedł do staro cesarza Wilhelma. Podobno on był jedyny, któremu cesarz „ty“ mówił.

O tej porze było można i niektórych naszych posłów spotkać. Nie mogę zapomnieć postawy Kościelskiego, gdy stanął na stopniach przed kościołem i nałożywszy monokl, rozglądał się po tłumie, lustrując go i szukając znajomych. Warto było w tej chwili przyjrzeć się jego arystokratycznej postawie.

I Windhorst przyjeżdżał o tej porze do kościoła dorożką, zawsze w towarzystwie kogoś znajomego z powodu słabego wzroku. Był małego wzrostu, więc wzięła mnie raz ochota „zmierzenia“ się z nim, kto z nas jest „wyższym“, co zrobić w tym tłumie nie było wcale trudno. Znajomi, uprzedzeni o tem, przyglądali się tej scenie i orzekli, żeśmy byli sobie „równi“, tylko że on był znacznie szerszym odemnie. Raz dostałem wielką ochotę poścować go w rękę za tak śmiałą i dzielną obronę nas, polaków, w dzień przedtem w sejmie pruskim, ale jakoś w ostatniej chwili wstrzymałem się ze względu na możliwą sensację. A wart był tego!

Po lewej stronie kościoła, w zagłębieniu pod oknem, stoi kilka ławek, z których ostatnia jest na dwie osoby i aby się do niej dostać, trzeba wprzód wdrapać się na murek. Przy niej jest przyczepiona polska chorągiew Towarzystwa Polsko-katolickiego z wizerunkami Matki Boskiej Częstochowskiej i śś. Wojciecha i Stanisława. Przed tą ławką jest dłuższa, wtedy dla ambasady hiszpańskiej przeznaczona, z napisem na tabliczce „Spanische Botschaft“. Do tej krótkiej ławki siadałem przez wiele lat i to tak się utarło, że mi nikt w tem nie przeszkadzał. Później zabierałem do niej i swego syna. Raz zdobył się chłopiec na dowcip i to, żeby na ławce przyczepić tabliczkę z napisem „Polnische Botschaft“, tembardziej, że polska chorągiew jest przy niej. Jakby wyprorokował.

Do dzisiaj stosunki ze względu na nasze potrzeby w kościele św. Jadwigi się nie zmieniły. Możeby teraz nasza ambasada na ulepszenie tychże wpłynęła!

Przypomina mi się małe zdarzenie z dawnych lat. Widywałem co niedzielę pewnego znanego rodaka, jak mi się zdawało — w kościele. Rozmawiając z nim o jakiejś sprawie, mówiłem mu, że to było wtedy, gdy go w kościele św. Jadwigi widziałem, na co mi odpowiedział, że jeszcze nigdy w tym kościele nie był. Była to rzeczywiście wytrwałość regularnego chodzenia przed — kościół.

Dom polski.

Marzeniem kolonji berlińskiej było mieć własny dom w środku miasta, możliwie połączony z hotelem, ogrodem, większą salą, ubikacjami na posiedzenia Towarzystw i odpowiednią restauracją, w którymby polacy mogli się czuć, jak u siebie, odbywać w nim swoje zebrania, przedstawienia, uroczystości, zabawy i ze znajomymi się spotykać. Te projekty od czasu do czasu się pojawiały i już jeden z naszych berlińskich architektów narysował na papierze ładny dom, ale żadnego nie wykonano, bo wykonać nie było można, nietylko z braku odpowiednich funduszków, na które niezamożna kolonja nasza zdobyć się nie mogła, ale nawet gdyby jaki polski krezus się znalazł, coby odpowiednią sumką był nam dopomógł, to utrzymać takiego domu nie bylibyśmy w stanie. Próbowały tego niemiecko-katolickie organizacje, które miały na to fundusze wielu bogatych ludzi w Berlinie i jeszcze bardziej rozbudzone życie towarzyskie, polityczne i religijne, no i są znacznie liczniejsi, a źle na tem wychodziły.

Ale ten przykład nie odstraszał niektórych naiwnych rodaków i pisali na ten temat w „Dzienniku Berlińskim“ artykuły, podług których dom już jakoby był w naszym posiadaniu. W kraju pytano mnie na serjo, czy można już do niego, jako do hotelu, zajeżdżać. Z powodu tego pisania przychodzili do mnie agenci, ofiarując różne objekty, wartości od paru do kilku milionów marek.

Jakiś polityczny współdziałacz, mularz z zawodu, chciał na wielkiem zebraniu stawić wniosek, aby uchwalono nabycie lub pobudowanie domu polskiego. Temu radziłem, żeby równocześnie na tem zebraniu stawił drugi wniosek i to o odbudowanie Polski, a napewno obydwaj uchwalimy, bo któżby śmiał temu oponować, no i jedno i drugie odrazu będzie. A gdy potem pytałem, w jaki sposób potrzebny kapitał myśli zebrać, to mu się zdawało, że jak kto gotówki nie będzie mógł dać, to podpisze weksel, „który potem odsiedzieć będzie chciał”, — ironicznie dodałem, „a za to napewno domu nie nabędziemy”. Naturalnie, że się odmyślił od stawienia takiego wniosku.

Że te projekty fantastyczne do skutku nie dochodziły, to głównie na mnie winę zwalano, bo czemu nie chciałem się na nabycie domu zgodzić! Ale nie brałem sobie tego do serca.

Mimo, że pożądanego domu nie mogliśmy sobie sprawić, mieliśmy za to jednak własną kaplicę, a raczej należała ona do jednego z naszych rodaków i co prawda, nie w samym Berlinie, lecz niedaleko, pod Oranienburgiem. Jeszcze jako chłopiec słyszałem, gdy pytano sąsiada mego ojca, bardzo dobrodusznego człowieka: „Pokojski, cobyś zrobił, gdybyś miał dużo pieniędzy?” i zanim tenże na odpowiedź się zdobył, to już inny go uprzedził i radził, by sobie kościół kupił. Otóż właśnie ten nasz berliński rodak to zrobił i to w następujący sposób:

Dochrapawszy się kilkudziesięciu tysięcy marek (przeważnie przez całe swe życie bywał pod wozem, do czego się nawet przyzwyczał, a był już starym kawalerem), nie wiedział, co z niemi zrobić. Kupił więc parę mórg ziemi w okolicy, gdzie pracowało dużo naszych robotników w przemyśle i na roli i przyszła mu fantazja do głowy, żeby pobudować dla nich kaplicę. Co też zrobił. Kosztowała go podobno 18 tys. marek, więc chyba była skromna. Kaplicę tę oddał do użytku miejscowemu księdzu, ale pozostała jego własnością. Czy zrobił to z zastrzeżeniem, aby w niej tylko polskie nabożeństwa się odbywały, jak to rząd pruski odwrotnie robił, to tego mi nie powiedział.

Lecz na tem nie koniec. Gdy jeszcze więcej pieniędzy się dorobił (i w loterję kilkadziesiąt tysięcy wygrał), zachciało mu się folwarku, który też na pograniczu Meklemburgji nabył. Od razu stał się panem. Kupił sobie na zimę wspaniałe futro, zaś

na lato płaszcz gumowy, żeby go Niemcy uszanowali. A że nazwisko jego było Baran, więc z drugiego „a“ zrobił „o“ i Niemcy tytułowali go „Herr Baron“. Miał tedy własną kaplicę i folwark, oraz tytuł. To wszystko razem poszło mu tak do głowy, że zaczął pana grywać, a folwark zaniedbał. Więc koniec był żaloszny. Przyszli bowiem wierzycciele, których liczba coraz bardziej wzrastała i sprzedali mu nie tylko majątek, ale dowiedziawszy się, że i kaplicę posiada, więc i tę na subhastę podali. Co się z nią potem stało, tego nie wiem, przypuszczam, że władza kościelna ją nabyła. Tak skończyło się z posiadaniem kaplicy. Jakiś dom jednak rodacy w Berlinie nabyli i to Bank Skarbona, lecz na cele bankowe, nie dla towarzystw. Ten napewno w rękach naszych utrzymać się może, zwłaszcza, że z przejściem Skarfony przez Bank Przemysłowców w Poznaniu przeszedł na jego własność.

Konsulat.

Zgłaszali się do mnie licznie w różnych potrzebach rodacy z kraju: organizacje, dyrektorzy przedsiębiorstw i inni, mianowicie, gdy chodziło o wyszukanie dla nich wykwalifikowanych inżynierów, rzemieślników, kupców, bankowców itd., jak również o wskazanie miejsc zakupu potrzebnych im fabrykatów. Jeżeli czego nie wiedziałem i sam doradzić nie mogłem, to pomagały mi w tym nasze organizacje, lub pytałem odpowiednich fachowców. Nikomu tej przysługi nie odmawiałem i starałem się według możliwości każde życzenie załatwić. To też nazwano moje przedsiębiorstwo „Polskim Konsulatem“.

Uzdolnionych ludzi z Berlina chętnie brano, gdyż byli równocześnie obowiązkowi i sprawni w swoim zawodzie. Trudno jednak było o przedostanie ich do Królestwa, a trudniej jeszcze do Galicji, gdzie nie miano dla nich właściwego zrozumienia. My na obczyźnie przyzwyczailiśmy się do pewnego porządku, wzajemnego ludzkiego traktowania i stosownej zapłaty. Jeżeli pracownik swoje zrobił, to rozumiał, że jest stosunkowo tyle wart, co na kierującym stanowisku dyrektor i wymagał odpowiedniego uznania, a poza warsztatem pracy nie widział różnicy pomiędzy przełożonym a sobą. Takich warunków w tych dwóch dzielnicach

nie dawano, chyba, gdy chodziło o wyższe stanowiska. Łatwiejszem zadaniem było zwracać rodaków do byłego zaboru pruskiego, skąd przeważnie pochodzili, gdzie jako samodzielni osiadali.

Młodzi lekarze, adwokaci, weterynarze, kupcy, rzemieślnicy, zwracali się do mnie o wskazanie im stosownych miejsc do osiedlenia się. Przez moje przedsiębiorstwo wyrobiła się rzeczywiście znajomość miast i ludzi w był. zab. prus. i wiedziałem, w którym miejscu i kogo potrzeba. Byłem dla takich biurem informacyjnym. I Niemcy pytali mnie często o polskie stosunki w celach przemysłowo-handlowych, a nawet z zagranicy takie zapytywania otrzymywałem.

Zdarzały się przytem krotochwilne przypadki. Pytano mnie raz urzędowo o opinię o starającym się inżynierze na stanowisko profesora politechniki, który się na mnie powołał. Napisałem o nim, co wiedziałem. Stanowisko to otrzymał. Gdy później przy sposobności spotkałem się ze znanym mi oddawna rektorem tej instytucji, opowiedział mi scenę, jaka w kolegium profesorskiem przy wyborze poleconego się odegrała. Otóż moja opinja podobno się podobała, ale jeden z profesorów był ciekawy i zapytał: „Czem jest ten, co wywiad przesłał?“. Na co mu rektor z uśmiechem mój zawód powiedział. „Horrendum“, jakżeż można pytać o to krawca“! — zawołał tenże. Rektor go uspokoił, wytłumaczywszy mu moje wyjątkowe stanowisko w Berlinie.

Kiedym raz znajomego mi inżyniera pytał o wskazanie mi jakiego stosownego kolegi, któryby w kraju umiał mniejszą fabrykę prowadzić, dodając, że właścicielką tejże jest jeszcze wcale młoda wdowa, mająca dorastającą córkę, to dostał sam ochotę na to stanowisko. Pojechał, przyjął je i następnie ożenił się... z córką?... nie, z wdową.

Dodać winienem, że w oddawaniu opinji o ludziach jestem zbyt ostrożnym, i wolę jedno słowo za mało, niż za wiele powiedzieć. Nie lubię też nikogo przechwalić. Miałem z tego czasem nieprzyjemności, jeżeli o starającym się o stanowisko według jego zdania za mało zalet podałem, a on się potem później dowiedział o tem, co się niestety zdarzało, choć miało to w tajemnicy pozostać.

Przysyłano nam także z kraju młodych rzemieślników w celu wydoskonalenia się, którymi się często zająć wypadało. W tym wypadku nieraz mylnie to zadanie pojmovano, dając młodzień-

cowi pieniądze na utrzymanie. Kto już jest wyuczonym jakiego zawodu, ten, chcąc się dalej kształcić w nim, musi pracować, a pracując zarabia, zaś zarabiając, może i powinien się utrzymać o własnych siłach, gdyż tylko w ten sposób wyrobić się może na dzielnego fachowca. Dawaniem pieniędzy wywołuje się niechęć do pracy, dany osobnik czas marnuje i pobyt jego w obcym wielkiem mieście jest nietylko bezcelowym, lecz nawet szkodliwym. „Jak to, ja mam tutaj pracować? Mój ojciec jest burmistrzem w miasteczku N. N. (w Galicji) i gdy wrócę, to mi sklep otworzy i będę miał z czego żyć“. Tak nam jakiś młodzieniec odpowiedział, gdyśmy go zachęcali do szukania sobie zajęcia, a o co mu wcale nie chodziło, tylko byle się nazywało, że taki a taki czas w Berlinie spędził.

Gdy zespół teatru poznańskiego chciał dawać przedstawienia w Berlinie, to się najprzód do mnie udawał. Nawet w sprawach spadkowych, należących do najwyższego sądu w Berlinie, pytano mnie o informacje. Wiele przypadkowo zachowanych listów świadczy o tem. Ponieważ mój magazyn był w dogodnym miejscu dla przyjeżdżających do Berlina, więc z powodu tego miałem częste wizyty nie tylko klientów. Zachodzili do mnie różni rodacy (o odwiedzających mnie dziennikarzach piszę na innem miejscu) w rozmaitych interesach. Przyszedł pewnego razu nieznajomy mi kanonik z Królestwa (obecnie jest biskupem), przejeżdżając przez Berlin do wód, chciał miasto obejrzeć. Trzeba było mu osobście trochę czasu poświęcić. Mieliśmy nadzwyczajne szczęście, bo w mieście napotykalіśmy zawsze na swoich rodaków. Czy w tramwaju konduktor, czy doróżkarz, kelner w restauracji, a nawet osoba, co nam w teatrze bilety sprzedawała, wszyscy polacy. To też kanonik wydziwić się nie mógł, żeśmy aż tak dalece Berlin „spolszczyli“. Przysłany z Prus Wschodnich do Berlina w celu pastoryzowania wśród Mazurów tam osiadłych pastor A....ski pierwsze kroki do mnie skierował, chcąc się dowiedzieć bliższych szczegółów o nich i o kolonji polskiej. Mówił poprawnie po polsku znał dobrze historję i literaturę naszą. Do jakiej narodowości się zaliczał, z tem się wobec mnie nie zdradził. Wkrótce jednak się dowiedziałem, iż jest zagorzałym niemcem. U mnie już więcej się nie pokazał i do naszych organizacyj ani razu nie przyszedł. Pozostał kilkanaście lat w Berlinie, a nie zdziaławszy nic pomiędzy Mazurami (tylko kilkunastu na jego polskie nabożeństwa przychodziło, jak mi jeden z moich pracowników, Mazur, powie-

dział), wrócił na Mazowsze w Prusach Wschodnich, i tam zaciekle przeciwko nam pisał, agitował i pewnie jeszcze teraz to czyni.

I różne „chodziki“ przychodzili do mnie, udając, że im o zajęcie chodzi, ale najchętniej przyjmowali jakiś datek i odchodzili. Zwykle pytali o mnie, wiedząc o tem, że personel ich się pozbywa, powiadając im, że mnie niema, a oni nie mogą nic dać. To też czasem udawałem kogo z personelu, gdy na mnie który z nich natrafił. Ale raz mi jeden odpowiada: „Ho, ho!, toż pan sam jest, ja pana znam. Przecież jestem jeszcze panu za palto winien“! Ja bo go już nie poznałem i dopiero, gdy nazwisko swoje powiedział, przypomniał mi się. Musiałem mu do tego, co mi winien, jeszcze coś dodać, aby dalszą znajomość podtrzymać.

Najkrótkowilniejsze było to, że żydzi z Królestwa do mnie przychodzili i za swojego mnie mieli. Kto im to wmówił, tego nie dowiedziałem się. Mianowicie podczas rewolucji w Rosji w roku 1905 częściej miałem takie wizyty. Z wielu dwa przypadki podam.

Przyszła do mnie żydówka z dwoma synami, powiadając, że jest z Warszawy, jedzie do Rotterdamu i chce jako od żydowskiego komitetu pieniędzy na dalszą drogę. Cała ta rodzina po polsku mówić nie umiała i nawet nie rozumiała mnie, gdy do niej po polsku mówiłem, pomimo, że jak twierdziła, w Warszawie się chowali, więc trzeba było do nich po niemiecku mówić, a oni żargonem odpowiadali. Na pytanie, skąd dowiedzieli się o moim adresie, odpowiedziała mi matka, że już w wagonie im go dano. Wtedy tłumaczę im, że się omylili, i może to ma być piętro niżej, gdzie jest znany kantor Rudolfa Mossego, więc niech tam idą nazajutrz, bo z powodu niedzieli było tego dnia biuro zamknięte. Na drugi dzień wracają i powiadają, że ich do mnie napowrót stamtąd odesłano, jako, że u mnie jest właściwe miejsce dla takich, jak oni. Widocznie chcieli się w tem biurze mi odwdziczyć za przysłanie im takich gości. Wyperswadowałem im jeszcze raz moją niekompetencję i odesłałem ich do znajomego mi kupca-żyda, który się nimi zajął i w ten sposób ich się pozbyłem. Mnie do ostatniej chwili wierzyć nie chcieli, że żydem nie jestem.

Innym razem zjawił się młody żyd i chciał, żebym mu się o stanowisko postarał. Mówił z kiepska po polsku i oświadczył, że już nie ma co jeść. Wiedziałem zaraz, że mu chodziło tylko

o jakiś datek. Kiedy mu zwróciłem uwagę, że się pomylił, bo ja stanowisk nie wskazuję, to mi odpowiedział: „Jako nie, przecież ten „szucman“ na rogu mi powiedział, że tu jest polski konsulat“. Powiadam mu tedy, że szucman mu mylnie powiedział, bo w Berlinie żadnego polskiego konsulatu niema. On ale nie chce uwierzyć i dowodzi, że i ta „Verwaltersfrau“ też mu powiedziała, iż tu jest „rychtig“. Nie sprzeczam się tedy z nim dłużej o konsulat, tylko dalej pytam: „A co właściwie Pan umie?“. „Nu, ja tak nic nie potrafię, ale mam kilka języków“. „To źle — mówię — już z jednym językiem nie można sobie dać rady, jeżeli się komu jeść chce, a coś dopiero, gdy się kilka posiada“. Spodobał mu się ten dowcip. Na moje dalsze zapytanie, czy jest polakiem, odpowiedział: „Ja nie jestem polakiem“. „W takim razie dam panu adres do konsula austriackiego (był z Bukowiny), bo jako polski konsul, tylko polakami się zajmuję“. Musiał się tą odpowiedzią zadowolić i odszedł.

Po wojnie burskiej odwiedził mnie jakiś starszy rodak, z wyglądu jak bur i powiada, że nazywa się Potocki, pochodzi z hrabiów i nawet legitymował się jako taki. Opowiadał, że ojciec jego po powstaniu w roku 1831 wywędrował do Transwalu i on się tam urodził i wychował. W wojnie burskiej brał udział i dośłużył się stopnia generała. Zaraz po wojnie przyjechał do Europy, aby odwiedzić w Galicji i na Wołyniu swoich krewnych, których recytował jako pacierz. A umiał tak barwnie o wojnie i różnych swoich przygodach w niej opowiadać, że z zainteresowaniem go wszyscy słuchali. Po paru dniach pobytu w Berlinie okazał chęć odjechania do Krügera, byłego prezydenta Transwalu, bawiącego wtedy w Montreux w Szwajcarji, z którym korespondował, co nawet udowodnił. Nie miał jednak pieniędzy na drogę, więc było trzeba mu wyłożyć, zwłaszcza, że tylko na IV klasę żądał, tak daleko, jak nią jechać mógł, a dopiero dalej na trzecią. Znając różnych takich pasażerów, nie dawałem nigdy żądanej zapomogi, lecz u niego zrobiłem wyjątek. I rzeczywiście do Montreux dojechał, bo mi stamtąd pisał.

Po jakimś czasie przyszedł do mnie młody kupiec, polak z Guatemali, który tam 10 lat przebywał, by go poinformować o stosunkach berlińskich, bo chciał się w Berlinie osiedlić. W rozmowie z nim o amerykańskich stosunkach potrącam także o Potockiego. „Ależ on był u mnie przed paru laty w Guatemali

i dobrze go znam!“ zawołał. Ja mu na to, że chyba nie ten sam, boć z Transwalu do Guatemali jest daleko i ażeby się przekonać, powiadam mu, że ma skutek zranienia odłamkiem granatu czarną wargę. „Właśnie ten sam, bo tę czarną wargę miał już przed wojną burską, a na wojnie wcale nie był“. Na dowód tożsamości osoby pokazał mi jeszcze złoty zegarek, jaki mu Potocki dał w zastaw za pożyczone pieniądze na podróż do Guatemali, którą jako awanturnik opuścić musiał. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby obaj u mnie byli się spotkali.

I księża marjawicy przychodzili do mnie, przejeżdżając przez Berlin, udając prawowitych katolickich księży. Legitymowali się moją znajomością z opowiadań innych osób i z opisów w gazetach, które to opowiadanie z faktami rzeczywiście się zgadzało. Jeden z nich na mocy jakichś łacińskich legitymacyj odprawił za pozwoleniem proboszcza mszę w kościele św. Jadwigi, więc nie mogłem mieć podejrzania. A jednak później się wykazało, że nas oszukał.

Niektórzy z chodzików byli już nie pierwszy raz w Berlinie i łatwo się orjentowali. Tacy wyszukiwali także inne polskie domy, szczególnie zamożniejsze, powołując się na mnie, z czego mi potem zarzuty robiono. Tymczasem nikogo z zasady nie posyłałem, a jeśli kto „wpadł“, że go zdołał taki gość naciągnąć, to już na własną rękę.

Z przytoczonych przypadków można powziąć wyobrażenie, jacy to rodacy Berlin zwiedzali. Teraz mamy tam nasz prawdziwy konsulat, więc on się pewnie temi sprawami zajmuje.

Stosunek mój do dziennikarzy.

W skutek mej długoletniej publicznej działalności wyrobiła się sama przez się osobista znajomość między dziennikarzami a mną. Z jednymi poznawałem się na zebraniach w kraju, a w Berlinie ze stałymi i przejeżdżającymi korespondentami większych naszych gazet, którzy podawali także od czasu do czasu wiadomości o ruchu naszej kolonji. A że osoba informatora była im do tego zawsze potrzebna, więc nieodłącznie w korespondencjach swoich podawali często — mojem zdaniem za często

i niepotrzebnie — moje nazwisko, a nawet pisano o mnie specjalne artykuły. Moi znajomi przesyłali mi czasem gazety z odnośniami korespondencjami, z których dopiero o nich się dowiedziałem. Niektóre zachowałem i zebrałem ich z biegiem lat sporo. Miałem z tego pisania o mnie nieprzyjemności, gdy moim współpracownikom społecznym w kolonji taki artykuł do ręki się dostał, co zresztą uważam sam za zrozumiałe. To też jeżeli wiedziałem naprzód o zamiarze korespondenta, że chce o nas artykuł napisać, to zapobiegałem, aby przynajmniej w nim mego nazwiska nie podawał, lecz to zwykle nie skutkowało. Ja kieruję się zasadą, że w referowaniu o sprawach o rzecz samą chodzić powinno, a nie o ludzi i tylko w koniecznych razach to robić należy, lecz dziennikarze są widocznie innego zdania.

Pewnego razu przejeżdżał przez Berlin współpracownik ówczesnego petersburskiego „Kraju“, i starając się po drodze wykorzystać okazję, chciał napisać artykuł o kolonji berlińskiej. Zaszedł więc do mnie po odnośne wiadomości, bo, jak mi mówił, powiedziano mu, że tylko ja ich udzielić mogę. Zastał mnie przy wielkiej pracy, więc oświadczyłem, że mu w tej chwili z braku czasu służyć nie mogę, dopiero wieczorem. Ale on tem nie stropiony, koniecznie się domagał, żebym mu zaraz co opowiedział, gdyż wieczorem chce wyjechać. Wreszcie zgodziłem się na jego życzenie pod warunkiem, że to tylko kilka minut czasu zajmie. Wyciąga tedy gotowy ołówek i pyta: „Czy mogę dostać pańską fotografię?“ Żle się zaczyna — pomyślałem — i mówię: „Otóż fotografii własnej nie mam, a gdybym miał, to bym jej Panu nie dał, bo domyślał się, do czego jej Pan chce użyć. Ja tego sobie w imię sprawy nie życzę, a nawet usilnie proszę, żeby Pan, pisząc o naszej czynności, o mnie wcale nie wspominał i to kładę za warunek“. Przynajmniej święcie pominąć mnie w korespondencji. Lecz od czego był dziennikarzem! Pierwsze słowo w owym artykule, to było moje nazwisko i przy każdej sprawie — a pisał o kilku — je powtarzał. Jakiego bigosu mi przez to narobił! Musiałem się z tego w organizacjach tłumaczyć, że to się wbrew mojej woli stało.

Ale z tego, „nie było złego, coby na dobre nie wyszło“. Bliski krewny (student) wydawcy i redaktora tego tygodnika z jego studenckich czasów był mi winien. Wszelkie monita o zapłatę do niego i ojca nie pomagały. Gdy ukazał się o mnie ów artykuł,

bezwzględnie mi ojciec doniósł, że dług za syna zapłaci i słowa dotrzymał. Widocznie spostrzegł, że jestem ten sam, o którym gazeta napisała, i jakoś nie wypadło rachunku jako takiemu nie zapłacić. A więc pisanie takie miało dla mnie i dobrą stronę, czego się nie spodziewałem.

Odwiedziny korespondentów miewałem częściej u siebie, a mianowicie latem, gdy do niemieckich wód przejeżdżali. Odmawiać im udzielenia wiadomości nie mogłem, tak dla sprawy samej jak i ich osobistych względów. Jeżeli się dłużej w Berlinie zatrzymywali, to brałem ich na posiedzenia, przygodne uroczystości, wycieczki itd. towarzystw naszych, jak również i na publiczne zebrania. Mieli zaraz gotowy naoczny materiał do korespondencji, a nieraz na kilka artykułów im starczyło. Jeden z nich n. p. opisał barwnie w kilku artykułach wspólną wycieczkę towarzystw naszych w okolice Berlina i niektóre posiedzenia towarzystw. Zachwycał się naszym zbiorowem swojskiem życiem na obczyźnie, czego się wcale nie spodziewał, i zdawało mu się, że jest w okolicy jakiego polskiego miasta.

Ten sam wypytał mnie o bieg moich interesów i o stosunek do młodzieży akademickiej, a potem w korespondencji gromi młodzież za to, że rachunków mi nie płaci. Opowiadając mu, nie spodziewałem się, że o tem w gazecie napisze i było mi to nadzwyczaj nieprzyjemnie, bo nie lubię łączyć prywatnych interesów z publicznymi.

Stali berlińscy korespondenci przychodzili często do mnie po wiadomości, gdyż im to było nieraz wygodniej, niż chodzić na zebrania. Byłem w trudnem położeniu, gdy zebraniem wypadło mi kierować i na niem przemawiać, boć nie mogłem im o sobie opowiadać. Jednemu, co zwykle na zebrania się spóźniał, zrobiłem uwagę, iż sam powinien na zebrania chodzić i nie spóźniać się, a on się uniewinniał, że powiedziałem, iż przyszedł w czas, ale go już dla natłoku nie wpuszczono. „W takim razie — powiedziałem — „niech Pan pisze o zebraniu, iż było tak przepełnione, że go już nie wpuszczono, co będzie najlepszą reklamą dla nas“. Wiedziałem dobrze, że nie dla natłoku na zebraniu nie był, tylko był za wygodny, żeby wogóle pójść na nie. Jakieś szczegóły ze zebrania było trzeba mu jednak podać.

Ten sam korespondent za ery Kościelskiego przyszedł do mnie w czasie dnia roboczego, żeby mu swoje zdanie o naszej

polityce powiedzieć. Wymawiam się brakiem czasu, ale on mnie nie ustępuje i powiada: „Stąd idę po wywiad do Kościelskiego, a od niego do Capriviego“. „To nic, mnie to nie imponuje, ja jutro na cesarza będę z góry patrzeć!“ odrzekłem. Bowiem nazajutrz miała być doroczna wojskowa parada, z której cesarz na czele świty zwykle naszą ulicą wracał.

Inny korespondent przychodził do mnie najczęściej już po 10-tej godz. wieczorem (brama domu była otwarta z powodu lokalu restauracyjnego do pierwszej godziny w nocy), wiedząc o tem, że wtedy mam najwięcej czasu. Miałem dla niego względy, bo na to zasługiwał i cieszyłem się sam, gdy mogłem mu informacjami służyć. On też moje opowiadania cenił i z nich korzystał.

Te wywiady stałych berlińskich korespondentów były wtedy, gdy jeszcze „Dziennika Berlińskiego“ nie było. Z nastaniem tegoż rządu do mnie zachodzili, czerpiąc z niego wiadomości o naszych pracach w Berlinie.

Zdarzało się, że gdy tacy korespondenci już Berlin opuścili, tośmy z sobą jeszcze jakiś czas korespondowali. Ja im donosiłem szkice różnych wiadomości, a oni z tego urabiali do swoich gazet korespondencje „Z Berlina“. Jeden mi się przyznał, że raz z podanych mu wiadomości cztery korespondencje napisał do swych gazet.

Podczas wystawy w Antwerpii postanowił jeden ze współpracowników „Kurjera Warszawskiego“ dla oryginalności wybrać się z Warszawy piechotą aż na miejsce. Po drodze odwiedzał wpływowe osoby, urządzał wywiady i donosił o tem swojej gazecie. Szedł na Poznań, gdzie odwiedził pomiędzy innymi ks. arcybiskupa Stablewskiego, a że w Berlinie, którego pominąć nie mógł podczas takiej przechadzki, nie miał znajomych, więc ks. Arcybiskup dał mu adres do prof. Milewskiego. Tenże nie miał nic lepszego do roboty, jak przyprowadzić go do mnie i oddać mi w opiekę.

Najprzód trzeba mu było nowego ubrania, bo to, które miał na sobie, podczas tej pieszej podróży aż nadto ucierpiało. Posłałem tedy z nim mego krojczego do sąsiedniej firmy „S. Adam“, gdzie kupił sobie gotowe. Gdy później z Antwerpii wracał, ale już nie piechotą, zaszedł do mnie i pokazywał tamtejszą gazetę

z jego wizerunkiem. Zrobiłem uwagę, że go w stroju „adamowym“ w gazecie podali. On zrazu nie połapał się na tym żarcie i powiada, że przecież jest to samo ubranie, które z mego polecenia w Berlinie kupił. „No tak, mówię, u Adama“. Dopiero wtedy spostrzegł, że to był żart, i siebie nieładnie nazwał. W dwa lata później czytałem ten żart w „Kraju“ z dopiskiem, że wyjęty z „Fliegende Blätter“. Stało się to tak. Ten korespondent podał go do jakiejś humorystycznej gazety w Warszawie, a stamtąd przedostał się widocznie aż do Monachjum. Później firma „Adam“ zaczęła wyrabiać kostjumy i dla pań, z czego dalszy żart nasuwa się sam.

Niektórzy korespondenci wywdzięczali mi się jak mogli na swój sposób. Gdy przyjeżdżałem do Warszawy po ruble do dłużników, to zwykle zaraz pierwszego dnia natknąłem się na takiego korespondenta, który bywał w Berlinie. Na drugi dzień można było już czytać w gazetach pod rubryką „Osobiste“: „Bawi w Warszawie p. B. itd.“ Była to przysługa przyjacielska, ale trochę niedźwiedzia, bo przecież chciałem swoich dłużników zająć z nienacka. To też potem niejednego niby w domu „nie zastałem“.

O mnie niejedną sylwetkę napisali, opisując nietylko moją działalność, ale i mój wygląd, nazywając mnie nawet japończykiem. Byłem już do tego przyzwyczajony.

Jeden z korespondentów, mieszkając w Berlinie jako taki przeszło trzy lata (zwykle tak długo nie wytrzymali, bo ich policja do opuszczenia Prus zmuszała, ale on umiał jakoś się utrzymać). W tym czasie poznał nas dobrze, zwłaszcza, że miał dar obserwacyjny. A że umiał piórem satyrycznie władać, napisał o nas w roku 1913-tym „Szopkę Berlińską“. Odfotografował nas w niej wprost artystycznie, każdego tak, jak na to zasługiwał, i nie można było mu odmówić znajomości ludzi i stosunków. Dwóch z tych odfotografowanych, „Heród“ i „Piłat“ srodze się za to na niego pogniewało (reszta przyjęła szopkowe dowcipy o sobie z humorem). Urządzili tedy obydwaj na autora niepiękną nagankę w „Dzienniku Berlińskim“ i poza Berlinem, a nawet usiłowali mu szkodzić w jego zarobkowaniu, co im jednak się nie udało i tem więcej się ośmieszyli. On im się za to porządnie w „Epilogu“ do „Szopki“ odciął:

„Ja wam wybaczam, że mnie tak kąszecie,

O pięty wcale nie dbam, wyżej nie sięgniecie“.

Znam różne „Szopki“, poznańską, warszawską i krakowską, ale co do zdrowego dowcipu, satyry i polotu, berlińska jest najlepiej napisana. I mnie się w niej dostało pomiędzy innymi w następującym wierszu:

„Jestem Perkan nad Perkany, zna mnie cały świat,
A każdy się znajomością moją szczyścić rad.
Czy to z bliska, czy z daleka, każdy prawie gość,
Prędko przedemną ucieka, bo mi winien dość.
Perkan rozum ma i genialny łeb,
Dlatego każdy kiep przed nim respekt ma.

Umiem gadać trzy godziny, a nawet i sześć,
Ile człowiek gramów mięsa winien na dzień zjeść.
Umiem wszędzie prezesować i tak wodzić rej,
Że ks. patron (ks. Wawrzyniak) mógł się schować
[przy postaci mej.

Perkan rozum ma itd.

Szopka berlińska spowodowała dużo wesołości w kolonji naszej i przeczyściła powietrze. Na niektórych działaczy niema nic lepszego, jak porządna satyra. I poza Berlinem nią się interesowano, zwłaszcza ze względu na satyryczne sylwetki posłów, a szczególnie Napieralskiego, Korfatego i Kulerskiego. Na szopkarzy więc niema się co gniewać, gdy sobie kogo na cel wezmą, bo gotowi „poprawić“. Zresztą, kto publicznie działa, ten może pewnej satyry o sobie się spodziewać. Mnie pomawiano, a nawet zarzucano mi, jakobym był inicjatorem „Szopki“ i materiał autorowi dostarczył, tymczasem dowiedziałem się o niej dopiero tydzień przed przedstawieniem jej. Autor umyślnie przedemną z tem się taił.

I nasi amerykańscy dziennikarze w przejeździe przez Berlin również mnie odwiedzali, dowiadując się o powodzeniu wychodźców w Niemczech i potem, co widzieli i słyszeli, opisywali w swoich gazetach.

Przyznać trzeba, że w skutek opisywania w gazetach naszej działalności w Berlinie, nietylko rodacy w kraju dowiadywali się o niej, ale oddziaływało to korzystnie na rodaków, rozrzuconych po Niemczech, a może i gdzie dalej. Dla mnie pozostała z tych czasów przyjemna znajomość z dziennikarzami.

Z dziennikarstwem samem miałem o tyle wspólnego, że byłem przecież rok współwłaścicielem „Dziennika Berlińskiego” i z natury rzeczy musiałem się w tym czasie nim zajmować. Oprócz tego zostałem wskutek zbiegu okoliczności udziałowcem wydawnictwa „Katolika” w Bytomiu, a wkrótce potem członkiem Rady Nadzorczej i Komisji rewizyjnej, przez co zyskałem wgląd we wszystkie interesy wydawnictwa. W początku wojny, po kilku latach należenia, wystąpiłem z niego. Z kierownikiem „Katolika” poznałem się przez ks. Wawrzyniaka już przed wielu laty. Zatem wydawanie gazet nie jest mi tak zupełnie obce.

Baron Puttkamer.

Przyszedł do mnie, jak tylu innych, zamawiał potrzebne mu ubrania, dostawał je, zaraz płacił i interes był załatwiony. Czasem mi też kogo rekomendował, również dobrego klienta, jak on. Nie wiedziałem, gdzie go „posadzić”, gdyż po dłuższym czasie klienta i z innej strony się poznawało, on zaś prócz załatwienia interesów, w żadne rozmowy się nie wdawał. Mnie też tak bardzo na tem nie zależało, widziałem ale pewną życzliwość z jego strony. Trwało to może ze trzy lata.

Pewnego razu mówi mi, że chciałby ze mną poufnie się rozmówić. Przeszliśmy do osobnego pokoju i zaczyna od tego, że Polaków dobrze zna, jest nam życzliwy i chciałby się nam w czemkolwiek przysłużyć. „Będą teraz wybory”, powiada, „czy nie mógłbym z pomocą polskich głosów zostać na posła wybrany? Ja będę waszej sprawy w sejmie bronił, może jako Niemiec poniekąd skuteczniej, niż Polscy posłowie, nie należąc do koła polskiego, — czy nie można by tego w jaki sposób urządzić? Wyczułem w jego słowach szczerłość, ale go pytam: „Czemu to pan Baron z tem do mnie przychodzi, ja mieszkam w Berlinie, sprawami wyborczemi w kraju aktywnie się nie zajmuję i zajmować nie mogę”. On na to: „Ja wiem, kto pan jest, słyszę o panu od dłuższych lat i jestem przekonany, że się nie pomyliłem”.

Dowiedziałem się potem od niego, że pochodził z Pomorza (Pommern), jest konserwatystą i był przez jakieś lata landratem w Mogilnie, gdzie cokolwiek po polsku się nauczył; czyta nasze

gazety i stara się, o ile możliwości, bez narzucania się, w naszych kołach obracać. Również zna dobrze nasze stosunki, interesuje się nimi i jest przekonany, że w Prusach przez ustawy wyjątkowe nam wyrządzają krzywdę. Nie są mu obce Kraków i Warszawa i nawiązał stosunki z Puttkamerami, osiadłymi w Polsce, których za dalszych krewnych uważa. W Poznaniu staje w Bazarze i przebywa w kilku polskich domach.

Przypomniał mi się podobny przypadek z sejmu pruskiego, w którym protestant i konserwatysta poseł Gerlach jako hospitant partji Centrum występował zawsze w obronie katolików podczas tworzenia ustaw majowych. Pomyślałem tedy sobie, że projekt p. P. może wcale nie od rzeczy, ale jakby to w praktyce przeprowadzić, żeby wyborcy polscy, choć w interesie naszym, tak odrazu na Niemca głosować mieli. Te trudności i on widział, wskazał jednak okręgi, w których można taką próbę zrobić. Umówiliśmy się tedy, że porozumiem się z naszymi posłami i jemu o ich zdaniu doniosę. Tym razem nie można było p. P. w żadnym okręgu umieścić i dopiero przy następnych wyborach do sejmu pruskiego głosowali na niego polscy wyborcy (Wahlmanni) z polecenia komitetu polskiego zaraz w pierwszym pochodzie w okręgu chojnicko-tucholsko-człuchowskim. Tam nam zwykle po kilkadziesiąt głosów brakowało do przeprowadzenia swoich kandydatów, ale on liczył, że mu się uda z pomocą landrata, swego dobrego znajomego, a nie hakatysty, kilkunastu niemieckich wyborców na swoją stronę przeciągnąć, i wtedy może większość uzyska. Nie zdołał jednak tyle głosów niemieckich zebrać i kilku głosami różnicy głosowanie wypadło na jego niekorzyść. Akcja tym razem się nie udała, a później już nie było do tego sposobności.

Chciał chętnie ks. Wawrzyniaka poznać, co mu ułatwiłem. Nadzwyczaj go szanował, jak również cenil jego pracę. Komunikowali się potem z sobą w różnych naszych sprawach aż do końca życia ks. W. Poznajomiłem go także z naszymi posłami.

Podczas wojny podzielał naszą orientację i wierzył, że Polska powstać musi i to jak największa. Charakterystycznym było, gdy go zetknąłem na życzenie jego ze znanym literatem i publicystą Wilhelmem Feldmanem, który w czasie wojny w Berlinie przebywał. Było to w znanej kawiarni „Monopol“. Oni polemizowali z sobą, a ja tylko się przysłuchiwałem. Interesującą była ich

rozmowa. Niemiec Puttkamer projektował w interesie równowagi europejskiej i z życzliwością dla nas jak największą Polskę, a Feldman okrojona, bez zaboru pruskiego. Puttk. nie rozumiał takiego „polaka“ i dlatego nie mogli się zgodzić. Gdy na drugi dzień pytałem Puttkamera, „panie Baronie, jakże się Panu podobał p. F.?” „Chrzest nic nie znaczy“ odpowiedział (uprzedziłem go, że F. jest już wychrzczony), „rasa pozostaje rasą“ (Taufe macht nichts, Rasse bleibt Rasse“). Tem go doskonale scharakteryzował.

Podczas wojny pisywał w interesie naszym artykuły i zanosił je do redakcji niemieckich gazet, jednak rzadko która umieściła i to jeszcze obcięte. Mnie je dawał w rękopisie do czytania i żalił się, że nawet „Germania“ (główny organ katolickiej partii „Centrum) nie chciała ich umieścić. Jako pacyfista bolał nad skutkami wojny i gniewał się na tych, co ją spowodowali, szczególnie na Niemcy.

W ostatnich latach zamieszkał w Dreźnie, skąd do Berlina często przyjeżdżał. Znosiłem się z nim aż do końca jego życia. Umarł krótko przed ukończeniem wojny i Polski, której tak dla nas pragnął, się nie doczekał, a byłby z pewnością zadowolony, gdyż i b. zab. pruski do niej należy. Był to uczciwy niemiec i prawy człowiek, arystokrata z rodu i z charakteru. Miał stosunki w wysokich sferach urzędniczych i dworskich. Upadek Niemiec przewidywał i bolał z powodu pychy i zarozumiałości swoich ziomków.

Biały kruk!

Okręg tow. zawodowych.

Pobudką do zorganizowania „Okręgu towarzystw zawodowych“ dano nam ze Związku Tow. Przem. z Poznania, zwłaszcza, że powstało w Berlinie kilkanaście takich towarzystw, dla których jakaś spójnia była potrzebną. Zorganizowaniem „Okręgu“ zajęło się Tow. Polskich Przemysłowców. Celem tych towarzystw jest kształcenie się zawodowe, wskazywanie miejsc odpowiednich do kształcenia się, uczenie się technicznych wyrażen w polskim języku, urządzenie własnych wystaw w Berlinie, zachęcanie do osiedlenia się w kraju i dawanie odpowiednich wskazówek w tym kierunku, główna piecza nad Tow. terminatorów i wiele innych zadań. Wszystko to miało otrzymać przez zorganizowanie się jednolity kierunek.

Do „Okręgu“ należy kilka towarzystw przemysłowych z poszczególnych dzielnic Berlina i najbliższej okolicy, istniejących tam pod różnymi nazwami, oraz oddziały zawodowe, które już w większej części do głównego Tow. Pol. Przem. należą. Oprócz nich należały Tow. Przemysłowe z Drezna, Lipska i Hali, lecz te z powodu oddalenia tylko rzadko z „Okręgiem“ się komunikowały.

Niektóre z tych towarzystw i oddziałów — szczególnie ostatnie — rzeczywiście dużo zdziałały pod względem wyszkolenia fachowego, mając odpowiednich kierowników i gdzie było właściwe zrozumienie członków. Najwięcej życia było w oddziale „Metalowców“, a najmniej u rzemieślników budowlanych. Prócz fachowych wykładów urządzano w „Oddziałach“ kursy rysunków; uczono fachowych polskich wyrażeń i nazw narzędzi, wyrabianych i używanych przez poszczególnych rzemieślników; dostarczano członkom fachowych pism i książek polskich; zachęcano do korzystania ze szkół uzupełniających, czy to fachowych lub ogólnych; opiekowano się towarzystwami terminatorów i materialnie je podtrzymywano. Wogóle nie zaniedbywano niczego i dawano w każdym kierunku wskazówki, aby członków przygotowywać do ich przyszłych, możliwie lepszych stanowisk.

„Okręg“ urządził w Berlinie dwie wystawy, które wykazały, ilu to już samodzielnych rzemieślników tam mieliśmy, u których rodacy mogli swoje zapotrzebowania pokrywać. Przez te wystawy dowiedzieliśmy się o naszych fachowych specjalistach, którzy w kraju, zwłaszcza teraz, są tak pożądanymi, a którzy też przeważnie do kraju wrócili i jeszcze wracają.

Z utworzeniem zawodowych oddziałów było mi wygodnie, bo jeżeli kto ze znajomych z kraju do mnie o jakiego specjalistę-zawodowca się zgłosił, czy to o rutynowanego metalowca, stolarza itd. lub nawet kierownika, to tylko do odnośnego oddziału się udałem, a resztę już tenże załatwił. W oddziałach zachęcano też do osiedlania się w kraju i chcącym się osiedlić wskazywano odpowiednie miejsca, za pośrednictwem Związku Towarzystw Przemysłowych w Poznaniu.

Obecnie „Okręg“ z braku kierowników cokolwiek chroma, ale jest nadzieja, że wyrobią się nowi, którzy poprowadzą jak należy.

Mój stosunek do „Okręgu“ był taki, że pomogłem go organizować i przez parę lat byłem jego kierownikiem.

Towarzystwa terminatorów.

W organizowaniu się kolonji naszej posuwaliśmy się coraz dalej. Były towarzystwa dla starszych, dorosłej młodzieży męskiej i żeńskiej, jak również opiekowano się dziećmi szkolnemi. Najpóźniej pomyślano o młodzieży, która co dopiero szkołę opuściła, a której tym więcej opieki było potrzeba, bo jeszcze nie-doświadczona i skazana na wpływ ulicy, zwłaszcza, że niestety nie zawsze i nie wszyscy rodzice tak się nią opiekowali, jak to było ich obowiązkiem. Jakaś część należała do „Jünglingsvereine“, gdzie dla nas także przepadała. Spostrzegliśmy te braki i polecono mi zorganizować Towarzystwo terminatorów, względnie młodzieży, do którego mogła należeć młodzież od lat 14 do 18, nie starsza, bo wtedy pojęć młodszych z pojęciami starszych nie możnaby uzgodnić. Tymczasem i Zw. Tow. Przem. z Poznania polecił swemu oddziałowi w Berlinie, aby się terminatorami zajął. Myśmy jeszcze dalej poszli, niż Związek nam polecił, bośmy nietylko terminatorów rzemieślniczych zorganizowali, lecz przyciągnęliśmy i kupieckich, jak również młodzież bez zawodu i to ze względu na opiekę nad wszystkimi.

W krótkim czasie powstały odnośnie towarzystwa w różnych częściach miasta, prowadzone lub dozorowane przez ludzi starszych, a nad wszystkim razem czuwał komitet, do którego poszczególne towarzystwa przysyłały swoich kuratorów, w celu nadania jednolitego kierunku. Było takich towarzystw sześć. Mnie wypadło kierować towarzystwem w środku miasta, jak również przez kilka lat przewodniczyć głównemu komitetowi.

Do towarzystwa w środku miasta należało około 50 chłopców, a posiedzenia odbywały się co dwa tygodnie, w niedzielę lub w niektóre z dni powszednich, według pory roku. Były dla nich specjalne wykłady z historii, literatury naszej i życia praktycznego, jak: „O obowiązkowości“, „o punktualności“, „o wartości pracy“, „o grzeczności i uprzejmości“, „o złych nałogach“, „jak zachowywać się w domu i na publicznych miejscach“ i tym podobne. Trzeba ich było wszystkiego uczyć. Przemawiałem do nich przystępnie i przemówienia zaprawiałem humorem i dowcipem, aby się nie nudzili.

Uczyliśmy ich polskiej geografji, czytać i pisać po polsku. Udało mi się też wkrótce urządzić dla nich wcale ładną biblioteczkę

z odpowiedniami książkami, prócz tego abonowano kilkadziesiąt egzemplarzy „Przyjaciela Młodzieży“. I o zabawieniu ich trzeba było pamiętać, do czego służyły zimą różne gry, a latem urządzano wycieczki w okolicę miasta.

Do pomocy miałem zawsze młodszą siłę, mianowicie do uczenia czytania i pisania oraz części zabawowych. Chłopcy uczyli się chętnie i z bibliotek dużo korzystali. Doprowadziliśmy do tego, że takich, którzy nauczyli się poprawnie pisać po polsku, był większy procent niż w towarzystwach dla dorosłych. Niektórzy umieli ładnie deklamować, a nawet paru z nich zdobywało się na wygłoszenie z pamięci wykładów z dziedziny historii, trwające 20 do 30 minut, które były wcale dobre.

Przewodniczący wobec nich powinien był wszystko znać i wszystko umieć i na każde zapytanie odpowiedzieć. Trzeba było nieraz używać sprytu, aby zachować należyty autorytet.

Pewnego razu przyszedł jeden z tych chłopców do mnie i prosił, żebym mu napisał stosowny wiersz na zaręczyny cioci, którym jej chciał niespodziankę zrobić. Wymawiałem się, że nie potrafię wierszy tworzyć i to jeszcze na zaręczyny ciotek, ale on nie uwierzył mi i powiedział: „Jeżeli pan tylko zechce, to już będzie umiał“. Co było robić, musiałem się o taki wiersz postarać, z którego to kłopotu wybawił mnie jeden ze studentów.

Raz miałem wykład na temat: „Jakie potrzebne rzeczy powinien każdy mieć przy sobie“, demonstrując badaniem zawartości moich kieszeni. Na następnym posiedzeniu sekretarz towarzystwa, dając mi coś do podpisania, wyjął z kieszeni bibułę i spojrzawszy na mnie trochę z szelmowskim uśmiechem, podpisał tą bibułą osuszył. Wiedziałem, co to ma znaczyć, pogroziłem mu po przyjacielsku, a w duszy byłem kontent, że „nauka w las nie poszła“, bo mnie jeszcze przesadził, gdyż o noszeniu przy sobie bibuły im nie wspominałem.

Czasem przyszli na posiedzenie ojcowie, aby się przyjrzeć i przysłuchać, i oświadczyli potem: „żeby to nas tak kiedyś był kto uczył“.

Prowadziłem towarzystwo coś cztery lata i czynność ta była mi nader przyjemną, choć z drugiej strony mozolną, bo zabierała mi zimą poobiedni czas każdej drugiej niedzieli. Oglądałem się za wyręczeniem, lecz o następcę nie było łatwo. Wreszcie spro-

wadził się do Berlina, do swej córki pewien emerytowany nauczyciel, który dla zabicia czasu szukał odpowiedniego zajęcia. Powiedziałem sobie: „Toż jakby wymarzony przewodniczący dla towarzystwa młodzieży“ i począłem go kaptować, aby spuściznę po mnie objął. On jednak był ostrożnym i chciał wprzód na posiedzeniu się przyjrzeć. Gdy mu po takim posiedzeniu mówiłem, „no, teraz pan, przekonawszy się naocznie o towarzystwie naszym, przejmie po mnie ten obowiązek?“ „O nie“, odpowiedział, „nie przejmę, bo ja tak nie potrafię, jak Pan“. Musiałem dalej sam prowadzić, aż po jakimś czasie wyręczył mnie jeden z rzemieślników, który również z zamilowaniem chłopcami się zajął. Mnie pozostało kierownictwo organizacji całej aż do mego opuszczenia Berlina.

Przez te kilka lat żyłem się z chłopcami, a oni przywiązali się do mnie. Byliśmy sobie przyjaciółmi. Rodzice byli kontenci i wdzięczni, że ich synami się ktoś opiekuje i ich uczy. Było to wprawdzie głównie ich obowiązkiem, ale nie każdy wie, jak chłopcami kierować trzeba. W tym celu urządzaliśmy dla rodziców osobne zebrania, aby im dawać wskazówki w tym kierunku, jak również pisywano artykuły do „Dziennika Berlińskiego“. Jeden z nich, w którym zachęcałem rodziców do oddawania synów w naukę rzemiosła pod tytułem „O przyszłość naszej młodzieży“ brzmi jak poniżej:

„Z nastaniem wiosny opuszcza znowu pewna część dzieci szkoły. Nowa troska dla rodziców, bo co z nimi robić, jak pokierować, aby im dać korzystny kawałek chleba w ręce i wprowadzić na porządnym ludzi. A któżby to z nas nie chciał, nie pragnął, aby się dzieciom naszym raz później dobrze powodziło, no i były tem, czem my jesteśmy, choć nie zrodzeni na pniu ojczystym. Podwójna więc troska. Z córkami jakoś daje się radę, ale z synami co począć. W normalnym czasie było z tem pół biedy, i kto tylko dopilnował ściśle swego obowiązku, tak w jednym jak drugim kierunku, ten też i celu dopiął, a jeśli w wielkiej części się to nie udało, było winą rodziców.

Z nastaniem wojny niejedno się zmieniło. Najprzód zabrakło w wielu przypadkach silnej ojcowskiej ręki i jego kierownictwa, matka znowu, obarczona podwójnymi obowiązkami, nie może dzieciom poświęcić tyle czasu, ile potrzeba i trudno jej zastąpić ojca. Dochodzą do tego zmniejszone dochody z jednej strony,

a zwiększone wydatki z drugiej, i matka czeka tylko tej chwili, aby dzieci, opuściwszy szkołę, pomogły zarabiać. To jest zrozumiałe. I posyła syna do fabryki, do magazynów na posyłki, by tem więcej zarobił, nie bacząc na to, co z niego wyrośnie. A jednak radziłbym zastanowić się nad tem, czy w wielu wypadkach nie możnaby pokierować, żeby młodzieńcowi lepszą przyszłość zapewnić.

Mam na myśli oddanie syna w naukę rzemiosła lub kupiectwa, która mu później nie tylko korzystniejszy kawałek chleba przyniesie, lecz i lepsze stanowisko w społeczeństwie zapewni. Wprawdzie są w tem obecnie niemałe trudności do zwalczania, bo niełatwo odpowiednie miejsce dla ucznia znaleźć można wskutek braków majstrów, zaciągniętych do wojska. O tem powszechnie wiadomo. Lecz przy niezłomnej woli i staraniu znajdzie się miejsce, zwłaszcza, że w braku wyuczonych pomocników muszą majstrowie uczniami się posługiwać. Ponieważ ojciec, matka, nieraz nie wiedzą, w jakie rzemiosło syna oddać i gdzie go ulokować, więc trzeba w takim razie zbliżyć się do ludzi, którzy doradzą. Jest tu Okręg towarzystw zawodowych, do niego radzę się udać. Tenże urządza w przyszłą niedzielę 1. kwietnia o godzinie 3-ciej po południu zebranie u p. Goździewicza przy Grüner Weg 23, na którym tę sprawę dokładnie się omówi. Radzę więc podążyć na nie, szczególnie powinni pójść ci, co są bezpośrednio interesowani. Wszak dziewczęta dajemy jakiegoś fachu uczyć, za pomocą którego mogą później utrzymanie zdobyć, tembardziej powinniśmy o chłopcach pamiętać.

Rodzice, pamiętajcie o tem, że kiedyś synowie mogli by mieć do was żal, żeście zaniedbali dla chwilowych korzyści dać ich wyuczyć rzemiosła. Pamiętajcie, że chodzi o ich przyszłość“.

Jeden z ojców.

Zrobiło się coś przez te kilka lat istnienia organizacji. Młodzież, opuściwszy towarzystwa swoje, przechodziła do towarzystw innych, gdzie już jako w pracach towarzyskich zaprawiona, odrazu się tam przydała.

Gdy Polska powstała, szedłem pewnego razu w Poznaniu ul. Grunwaldzką i spotkałem dwóch młodzieńców, ubranych w mundury. Jeden z nich, spostrzegłszy mnie, wykrzyknął z radością „Dobry wieczór, p. B.“. Nie poznaję i pytam: „Ktoś ty jest?“ — „Jestem synem Ost..., przecież w Towarzystwie ter-

minatorów byłem, czy Pan mnie nie pamięta?“. — „Owszem, odpowiedziałem“, teraz Cię poznaję, ale widzę Cię w mundurze, przecież jesteś jeszcze zbyt młodym, jak to się stało, że już żołnierzem zostałeś?“. I jął mi opowiadać.

Zebrało się w Berlinie takich, jak on sobie znajomych, 29, i umówili się, że trzeba iść pomóc Ojczyznę ratować. Jemu ojciec nie chciał pozwolić, bo dopiero miał lat 17 i był wątły. Lecz ojca tak prosił, że nie tylko pozwolił, ale jeszcze pobłogosławił, dał pieniędzy na drogę i ze łzami w oczach powiedział: „Idź, chłopcze, w imię Boże“. Pytam dalej: „Czyście szli razem i jak długo?“. — „Szliśmy razem cały tydzień“. — „No dobrze, ale jakżeście mogli tyłu razem do naszej granicy się przedostać, przecież to podpadało, gdzieście nocowali i coście jedli?“. — „My też po niemieckiej stronie powiadali, że do „Grenszucu“ idziemy, to nas nie tylko nie zatrzymywali, lecz jeszcze nocleg dali i nakarmili. Żywności wzięliśmy także z domu i tylko raz spaliśmy na dworze“. — „To wam było zimno?“ (było to w styczniu 1919 r.) — „Nie, nie było nam zimno“. — „A którądyście szli?“ — „Szliśmy na Żegan (Sagan), bo trakt z Frankfurtu na Zbąszyń uważaliśmy za niepewny. Po polskiej stronie tośmy już od Leszna do Poznania koleją jechali, a gdyśmy wczoraj przyjechali, poszliśmy zaraz do „Szóstaków“ (koszary przy ul. Grunwaldzkiej), gdzie nas przyjęto i umundurowano“. Jak to opowiadanie na mnie podziało, to można sobie wystawić. Uścisnąłem młodzieńca.

Dowiedziałem się później, że takich, jak ci młodzieńcy, setki i tysiące z Berlina i innych stron Niemiec, jak mogło, tak się przedzierało przez granicę, aby do wojska naszego przedostać się i pomóc Ojczyźnie bronić. I poszli na front. Niektórzy już nie wrócili, a ci co ocalili, zrzuciwszy mundury, pracują w kraju z pożytkiem dla niego. Słyszę często, że młodzież z Berlina chętnie tutaj na stanowiska przyjmują, bo wychowana jest na obczyźnie w twardej warunkach.

W Poznaniu utworzyła sobie „Towarzystwo młodzieży z obczyzny“ i kształci się daiej, jak to przedtem w Berlinie robiła i przypomina sobie tamtejsze czasy. Nam, cośmy się młodzieżą na obczyźnie zajmowali, pozostaje to błogie uczucie zadowolenia, że prace nasze wydały takie owoce.

Tow. opieki nad wychodźcami sezonowymi.

Pisząc o moim pobycie w Meklemburgji, wspominałem o niezaradności naszych robotników tamże. Sprawiali oni wszędzie dużo kłopotu władzom, kolei i sami narażali się na różne nieprzyjemności. Im więcej ich przyjeżdżało, tem więcej ambarasu robili. Robotnicy z był. zab. prusk., znając mniej lub więcej język niemiecki, często nie umieli sobie radzić, a cóż dopiero robotnicy z Królestwa i Galicji.

Z zbliżającą się wiosną i w późnej jesieni było ich pełno w Berlinie na „Śląskim dworcu“, a po części na „Szczecińskim“ i „Leterskim“. Zachodziłem tam od czasu do czasu, aby przekonać się naocznie i możliwie dowiedzieć się od nich o ich przygodach. To ostatnie nie zawsze się udawało, gdyż odnosili się zwykle do mieszczuchów z nieufnością, co można usprawiedliwić ostrożnością wobec często zachodzącego „naciągania“ ich. Widziałem przy takiej sposobności niejedno zło, jak upijanie się, robienie awantur w publicznych miejscach i wzajemne ogrywanie i okradanie się.

Wychodźcami zajmowały się istniejące specjalne towarzystwa w Warszawie i Krakowie, które jednak nie mogły ze skutkiem badać stosunków robotników naszych w Niemczech, a w był. zab. prusk. i na obczyźnie towarzystw takich jeszcze nie było. Sprawę utworzenia takiej opieki w Berlinie przedstawiłem w r. 1911 najprzód w Tow. Przemysłowców Polskich, a następnie z polecenia tegoż w Związku Tow. Berlińskich, gdzie ją gruntownie omówiono i postanowiono poczynić kroki, w celu zaopiekowania się, narazie na terenie berlińskim, a później stopniowo rozszerzyć na Niemcy. Przeprowadziłem korespondencję z odnośnemi towarzystwami w Krakowie i w Warszawie, jak również z ks. ks. B. i L., jeżdżącymi do Niemiec, w celu udzielania opieki duchownej naszym robotnikom.

Na uroczystości Skargowskiej w Krakowie poświęcono tej sprawie osobny dział, a to ze względu niesienia pomocy duchowej robotnikom, zaopiekowali się nimi ks. ks. biskupi z całej Polski, co wszystko razem spowodowało ogólne zebranie w Poznaniu delegatów z kraju i obczyzny i założono wtedy jedno ogólne Towarzystwo opieki w Poznaniu, do zarządu którego i mnie wybrano. Cel opieki — moralna i materialna pomoc polskim robotnikom sezonowym, pracującym w obrębie Niemiec.

Już przedtem założyliśmy dla nich Tow. opieki w Berlinie, oparte narazie na ofiarności rodaków miejscowych i polecono mi niem pokierować. Postaraliśmy się o ubikacje biurowe przy dworcu Śląskim, urządziliśmy sekretarjat, który powierzyliśmy jednemu z naszych współdziałaczy p. B., a który, jak się wnet wykazało, znakomicie do tego się nadał.

Wtedy dopiero tembardziej przekonaliśmy się, jak potrzebną ta opieka była. Władze i podobne organizacje niemieckie, jak i pracodawcy, przekonali się również, że jedynie nasza organizacja ze skutkiem może pracować. Byli też z utworzenia tejże zadowoleni i prawie zawsze szli z nami ręką w rękę. Oni z naszymi robotnikami nie mogli dać sobie rady i nieraz zachodziły nieporozumienia pomiędzy obiema stronami. W takich razach odnosili się do naszego biura i sekretarz jeździł często aż na miejsce, aby sprawy łagodzić. Wykazało się przy tych sporach, że w $\frac{1}{5}$ robotnicy, wskutek swojej niezaradności i fałszywego pojmowania rzeczy, sami zawinili. Lada podmuch, jakieś fałszywe zrozumienie czegoś, powodowały rzucanie pracy i opuszczanie miejsca pobytu. Nasz sekretarz jednak wszystko zręcznie załatwiał.

Zatrudnienia w biurze było coraz więcej, bo o skutecznem załatwianiu wiadomość rozszerzała się pomiędzy pracodawcami. Trzeba było nasze biuro powiększyć, a nadto założyć biura filjalne w Lipsku i Szczecinie. Biura były tak urządzone, że mogły się z biegiem czasu utrzymać same z drobnych opłat przez interesowanych; narazie subwencjonowali je rząd rosyjski i austriacki po kilka tysięcy marek rocznie.

Działalność Tow. berlińskiego byłaby się w paru latach rozszerzyła na całe Niemcy, gdziekolwiek tylko nasi robotnicy pracowali, lecz przysła wojna i temu kres położyła. Trzeba było wszelką czynność zawiesić. Nam się zdawało, że tylko na krótko, tymczasem wojna przeciągała się i już nie udało się nam towarzystwa wskrzesić. Obecnie przejęły tę czynność nasze konsulaty.

Pomagały nam w tej pracy nasze gazety, umieszczając odpowiednie artykuły, a za to przeszkadzał ks. kard. Kopp, w którego djecezji — w Brandenburgji i Pomorzu — dużo naszych robotników pracowało. Natomiast pomagali nam księża. Ks. dr. Kubina miał na zebraniu delegatów niemieckiego związku „Caritas“ rzeczowy i rozrzewniający wykład o doli — raczej niedoli — naszych robotników w Niemczech, zwracający uwagę tegoż

Związku na ważność sprawy. Kierownikowi biura przy tej sposobności wyrażam szczerze uznanie za jego umiejętne uchwycenie sprawy i dopilnowanie jej. Nic też dziwnego, że powierzono mu później, — może właśnie dlatego, — kierownictwo jednego z najtrudniejszych konsulatów w Niemczech.

Czy rzemieślnikowi jest potrzebne wyższe wykształcenie szkolne?

Dążnością wszystkich kulturalnych państw i społeczeństw jest lub być powinno, żeby wszystkie warstwy społeczeństwa miały odpowiednie wykształcenie. Ale jakie? Wiemy, że lekarze, prawnicy i t. d. muszą odbywać wyższe studia na uniwersytetach i zużywają na to wiele lat swej młodości, kupcy znowu mają swoje wyższe szkoły handlowe, lecz czy rzemieślnik również powinien przechodzić wyższe szkoły, jak to już próbowano, mogą być zdania podzielone. Wprawdzie z powodu wyższej wiedzy [nie potrzebuje „głowa zabołoc”, to jednak zastanowić się trzeba, czy dla rzemiosła jest ona koniecznie potrzebna i czy mu to raczej nie przeszkadza. Miałem z biegiem lat więcej wykładów w towarzystwach i na zebraniach o podniesieniu rzemiosła i rzemieślnika, jak również pisywałem w tym celu do gazet. Tak w jednym jak drugim przypadku polecałem drogę pośrednią t. j. odpowiednie szkolne wykształcenie, a co najwyżej szkołę wydziałową, która zupełnie wystarczy, j e s z c z e wyższa szkoła może być z powodu użycia na to dłuższego czasu raczej przeszkodą w życiu rzemieślnika. Wprawdzie znam kierowników zakładów rzemieślniczych z tytułami doktorów, ale to wcale nie dowodzi, czy to wyższe wykształcenie wpływa dodatnio na jakość rzemiosła.

W naszym społeczeństwie dotychczas jest taki zwyczaj, że na rzemieślników daje się chłopców ze szkoły powszechnej, a rzadko z wydziałowej (przedtem obywatelskiej). Inteligentny z natury i dążący do wykształcenia się młodzieniec ma później sposobność swoje wiadomości rozszerzyć w szkołach uzupełniających, co mu do jego zadania wystarczyć może. Lecz ażeby podnieść stan umysłowy rzemieślnika i jakość rzemiosła, są konieczne lepsze wiadomości szkolne, a te można nabyć w szkołach wydziałowych, jakie teraz w naszym kraju coraz więcej zaprowadzają. Posyłanie

chłopców do szkoły realnej w celu uzyskania stopnia do jednorocznej służby wojskowej radziłbym tylko ojcom, którzy chcą syna w swoim zawodzie wykształcić, gdyż im tylko będzie możebnem w jakiś sposób czas poświęcony na naukę szkolną wynagrodzić. Eksperymentu wyuczenia rzemiosła abiturjenta gimnazjum i z jednym semestrem prawa, który okazał chęć przejścia do rzemiosła, próbowałem, lecz sprawa nie udała się, pomimo, że kandydatowi przedstawiłem już naprzód w dodatnich kolorach jego przyszłość. Uważał się za ofiarę losu i po pół roku zaniechał dalszej nauki. Śmiem więc twierdzić, że wyższa szkoła nie tylko zabierze konieczny czas na naukę rzemiosła, którego się wyższemi wiadomościami nie dogoni, ale nadto usposabia ucznia niechętnie do „zniżania“ się do poziomu „niższej“ warstwy. On już rzemiosła nie pokocha i nie uszanuje go i będzie się zawsze czuł ofiarą. Takie zapatrywanie w społeczeństwie naszym niestety obecnie panuje. Nie znajdzie się też majster, któryby takiego ucznia w naukę przyjął, obawiając się jego wymagań.

Największa część uczniów rzemieślniczych, rekrutująca się ze wsi i tam wychowana, nie mogłaby i tak z lepszej szkoły korzystać, bo jej na wsi niema, a oddać chłopca do miasta nie mogą tacy rodzice, bo na to nie mają funduszków. W dzisiejszych warunkach, kiedy w kraju braknie tylu urzędników z wyższem wykształceniem, lekarzy, prawników i wielu innych, luki te trzeba najprzód wypełnić. Obawiam się, że nawet chłopcy ze szkół wydziałowych tymczasem w naukę rzemiosła nie pójda, gdyż rodzice będą woleli widzieć ich urzędnikami, bankowcami, kupcami i w podobnych zawodach. Rzemiosło będzie się więc musiało narazie kontentować nowymi przybyszami z elementarnem wykształceniem i pewnie tylko w rzadkich przypadkach wydziałowej szkoły, a uzupełniać je później w szkołach wieczornych.

A jednak dążyć trzeba stopniowo do tego, by podnieść rzemiosło na wyższy stopień, nie tylko pod względem fachowym, ale i społecznym, żeby mogło sobie zjednać w społeczeństwie należny szacunek, co tylko przez lepsze szkolne wiadomości i odpowiednie wychowanie osiągnąć można. Zwracam na to uwagę że wydziałowe szkoły przysposabiają do stanu średniego, który jest spójnią między wyższym i niższym stanem. Wiem o tem dowodnie, iż wytworzenie silnego stanu średniego pewnym elementom i partjom się nie podoba, bo zapobiega ich robocie

niszczącej nasz kraj. Oni chcieliby widzieć jak największą różnicę między stanami, która powoduje niezadowolenie. To nas powinno tembardziej pobudzić do wytworzenia go.

Podkreślam jeszcze, iż rzemiosło prawie bez wszelkiego nakładu na naukę daje niezależność i znacznie większe korzyści materialne, niż je mają nawet wyżsi urzędnicy. Z niego też mogą się potem wytwarzać stany, wymagające materialnego nakładu, ponieważ ojcom nie trudno już będzie wtedy na wykształcenie dzieci łożyć, zwłaszcza gdy mieszkają w miastach, gdzie są odpowiednie szkoły.

Zapatrywanie moje na równouprawnienie kobiet.

Należę do tych, co prawa i pracę kobiet stawiają na równi z prawami i pracą mężczyzn. To, co robi kobieta, uważam za równomierne z tem, co wykonuje mężczyzna. W praktyce bowiem jest bardzo wiele czynności takich, które może równie dobrze wykonać kobieta jak mężczyzna. W większości wypadków wchodzi jednak w grę zdolności fizyczne i umysłowe, a nadto powinien być podział pracy. Również i natura nas dzieli. To są warunki, które uwzględnić trzeba w każdym społeczeństwie, aby nie powstało zamieszanie i utrzymana była równowaga. W takich tylko warunkach może i powinno być rozumiane równouprawnienie kobiet z mężczyznami. Wprawdzie wojna wiele zmieniła na gruncie socjalnym i granicę dzielącą zajęcie kobiet a mężczyzn przesunęła, lecz wróć znowu normalne stosunki, bo tak porządek wymaga.

Niektóre objawy, jakieśmy już przed wojną widzieli, a które podczas wojny tak znacznie się spotęgowały, możnaby nazwać wybrykami, modą, sportem, które są w gospodarczym ustroju społeczeństw i państw niewłaściwymi i szkodliwymi. Mam to przekonanie, że prawie każda kobieta dąży do tego, aby mieć swój dom, rodzinę, bo jej tam najlepiej, co też jest naturalne, i powinniśmy to w interesie zdrowego ustroju społecznego ułatwiać.

Pytała mnie pewnego razu studentka, jak zapatruję się na studia kobiet? Wyznałem jej szczerze, że aczkolwiek nie odmawiam kobietom prawa do studjowania, to jednak wolałbym, aby to

z pewnymi wyjątkami mężczyznom pozostawiły. Do studjowania potrzeba pewnego zasobu sił fizycznych i duchowych, czem kobieta mężczyźnie dorównać nie może. Ileż kobiet widziałem, przerywających studia z powodu wyczerpania sił. Poza tem grozi zawsze kobiecie „niebezpieczeństwo“ wyjścia za mąż, czego się przecież nie wyrzeka, i wtedy . . . po studjach, bo rzadko się tylko da pogodzić zawód taki z domowymi obowiązkami żony i matki. Szkoda więc czasu i atłasu; lepiej użyć te siły na przygotowanie do właściwego zawodu, tj. żony, matki i gospodyni. Moje argumenty jednak nie przekonywały pytającej, a może tylko tak udawała, więc jej powiedziałem, że zrobimy kompromis pomiędzy zapatrywaniem jej a mojem i to taki: niech te brzydkie studują, ale ładnym nie radzę, bo napewno nie dokończą, a jeżeli dokończą, to do praktyki rzadko dojdą. Ona należała do tych drugich, więc przyjęła to jako komplement i pogodziliśmy się.

W ostatnich latach w Berlinie studjowało kilkanaście naszych rodaczek. Zdaje się, że pojmowały swoje zadanie na serio i były nawet ruchliwszemi od swych kolegów - mężczyzn. Niektóre wprost z zapalem studjowały i prócz studjów gorliwy i skuteczny udział brały w pracach towarzystw naszych. Ile z nich do celu doprowadziło — nie wiem, ale mam wrażenie, że nie wiele. Słyszałem, że niektóre, wskutek nadmiernego wyęczenia sił, zapadły na zdrowiu i zdaje mi się, że mało z nich w praktycznem życiu udział bierze, bo się o tem nie słyszy.

Obecnie stosunkowo dużo kobiet w Polsce studjuje. Przypuszczam, że robią to z braku widoków pójsia za mąż, spowodowanego wojną, a może..... żeby mieć sposobność wyjścia za mąż. Życiowa praktyka wykaże, czy tyle kobiet z uniwersyteckiem wykształceniem w społeczeństwie zmieścić się może i czy one na tem polu korzyść przyniosą. O ile która na serio rzecz traktuje i posiada tak fizyczne jak duchowe siły po temu, no i za mąż nie wyjdzie, może będzie się mogła przydać. Wszystkie inne dla nauki po drodze poginą. A gdy taka panna, co studia skończyła, wyjdzie za mąż i naukę, jako żona, kontynuuje dalej, to napewno jej domowe obowiązki ucierpią. A dzieci...? Przecież tylko wtedy będzie Polska, gdy one będą i je dobrze wychowamy!

Przypominają mi się owe czasy, kiedy to „nadludzie“ szczególnie naszym młodym kobietom w głowach przewracali. Pomiędzy innymi urządzano w Zakopanem wyższe kursa, na które

te istoty, często rozczochrane, jak ci nadludzie, biegały z zeszytami pod pachą i skwapliwie notowały, co im tam opowiadano, nieraz wyraźne głupstwa, których one na szczęście po większej części nie rozumiały.

Rozumiem udział kobiet w zawodach, mniej wymagających wysiłku i czasu na przygotowanie się, no i dokładności. W takich przypadkach mogą się przydać. Mianowicie, gdy we właściwych dla kobiet zawodach jest przepełnienie, a z drugiej strony mężczyźni, z powodu ich braku, swoim obowiązkom podołać nie mogą. Najlepiej byłoby, gdyby podział zawodów był taki, któryby jednej i drugiej płci odpowiadał. Socjalny ustrój w społeczeństwie powinien być również taki, żeby kobiety zamężne nie zarobkowały. Mąż powinien tyle zarobić, by na potrzeby domowe starczyło, a żonie trzeba kłopotów dostarczania dochodów przez zarobkowanie oszczędzić. Wystarczy, że szafuje zarobkiem męża oszczędnie i dom w porządku utrzyma. To zadanie wprawdzie nie jest płatne, ale nie mniej ważne, niż zadanie mężczyzn.

A więc zadaniem i przeznaczeniem każdej kobiety jest w pierwszym rzędzie wyjście za męża, wtedy będzie poniekąd zabezpieczona i zadowolona, a społeczeństwo będzie zdrowe. Pozostałej reszcie młodych kobiet, które z jakichbądź powodów za męża wyjść nie mogą, — a których niestety, wskutek wojny i braku mieszkań, jest teraz dużo — trzeba dać jakieś zatrudnienie, ale odpowiednie i odpowiednio też wynagrodzić, aby dostatecznie żyć mogły. Zwykle płaci się im mniej, niż mężczyznom, bo jakoby mniej wydajnie pracowały. Zauważyłem, że w wielkich firmach w Berlinie (a pewnie i gdzieindziej), jak u Herzoga i podobnych, używano przed wojną do obsługi kupujących z małym wyjątkiem tylko mężczyzn, a dopiero w braku tychże i kobiety.

W ostatnich latach, wskutek obecnie modnego hasła równouprawnienia, wybiera się do ciał prawodawczych i gminnych także kobiety. Narazie jest ich nie wiele, jakby na próbę. To nie jest równouprawnienie, lecz odwrotnie, fałszywy postęp. Polityka roznamiętnia i tam kobieta nie należy. To też są kulturalne kraje, które kobietom takich sposobności, przeciwnym ich naturze, oszczędzają. Być może, że w takim sejmie nie zawadzają, ale dotychczas też mało słyhać, żeby się tam na coś przydać mogły. Jestem przekonany, że niedługo wrócą do swoich właściwych czynności.

Może być, że pisząc na powyższy temat, targnąłem się nie na swoją rzecz, ale to, co pisałem, brałem z życia i może się na co przyda. A jeżeli nie, to w każdym razie sprawie nie zaszkodzi.

Nad zajęciem kobiet zacząłem myśleć, gdy swego czasu dr. Łebiński do Berlina przyjechał i razem z ks. Wawrzyniakiem urządzili w tej sprawie zebranie. Już wtedy powiedziałem, że kobieta należy do domu — do rodziny, gdyż jej z tem najlepiej do twarzy.

Nasze berlinianki brały rzeczywiście liczny udział w pracach narodowych, szczególnie wychowawczych, ale do wyraźnej polityki się nie mięszały. Tę pozostawiły nam, mężczyznom. A muszę na ich obronę powiedzieć, że wcale nie są z a c o f a n e, można się z każdą pokazać. Jabym też tylko taką pannę za żonę polecił, co nie politykuje.

Gdy już powyższe uwagi napisałem, dostało mi się do ręki zdanie pewnego angielskiego ekonomisty, który uważa rozwój duchowy i fizyczny kobiet w ostatnich dziesiątkach lat za nieszczęście. On twierdzi, że podobnie jak gospodarcze stosunki w ostatniej ćwierci tysiąclecia przyniosły ze sobą degenerację mężczyzn, tak samo obecne położenie zaczyna zagrażać kobiecie, co otwiera smutne horoskopy dla ludzkiej rasy. Przez to, że kobieta współzawodniczy z mężczyzną na wszystkich polach, marnuje ona najważniejsze i najbardziej wartościowe zalety i prowadzi do upadku kultury.

Rozmiar mojego przedsiębiorstwa w ostatnich latach.

Obroty towarowe wzrastały z roku na rok o 10 do 20% i dosięgły poważnej cyfry. Liczba sił pracowniczych wzrosła do 45, a personelu w handlu do 9 osób. O tem ogólnie w Berlinie nie wiedziano. Czy to rodacy, czy koledzy zawodowi niemcy, a nawet Urząd podatkowy nie mieli o rozmiarach mego przedsiębiorstwa żadnego wyobrażenia, bo się z tem nie wydawałem. Koledzy niemcy mieli mnie wprawdzie za pilnego i pracowitego, ale nie przypuszczali, żeby w warunkach takich jakich zacząłem i pracowałem, do tych poważnych wyników doprowadzić można. Dopiero podczas jeneralnego strajku, gdy chodziło o podanie liczby robotnika, dowiedziano się o tem.

Zwykłym bowiem trybem powstają nowe firmy w ten sposób, że krawiec, będąc w jakimś znanym przedsiębiorstwie kilka lat przykrawaczem, wyrobi się w tym czasie technicznie, a często i kupiecko, pozna odbiorców i dostawców tego przedsiębiorstwa, a oni jego, gdyż zwykle ma do tego bezpośrednią sposobność, oszczędzi sobie trochę pieniędzy (jeżeli jest oszczędnym), bo przykrawaczom zwykle dobrze płacą i przy nadarzającej się sposobności osiedla się sam, lub bierze współnika, zwykle kupca, mającego jakiś kapitał. Takiego początku ja mieć nie mogłem, bo stanowiska przykrawacza w Berlinie ze względu na mój mały wzrost nie otrzymałem, więc też i tej dalszej sposobności także nie miałem. Trzeba było z wielkim mozolem i siłą woli, wobec tak licznej konkurencji, jaka jest w Berlinie, powoli się wyrabiać, poznawać ludzi, zdobywać klientelę, nietylko co do liczby, ale i jakości, pomnażać potrzebny do obrotu kapitał, zyskiwać zaufanie dostawców, a co najważniejsze i może najtrudniejsze dla rzemieślnika, przyswajać sobie wiadomości handlowo-kupieckie, bez których takie przedsiębiorstwo istnieć nie może. W ten sposób powstałych przedsiębiorstw w naszym zawodzie w Berlinie jest nadzwyczaj mało, a prawie żadnych co do wielkości dorównywujących mojemu, jak mi z kół kompetentnych mawiano, a co zresztą sam wiedziałem. Zaręczano mi z tych samych kół, że wogóle takich poważnych przedsiębiorstw, jak moje, powstałych nawet w dogodniejszych warunkach, więcej nad tuzin w Berlinie doliczyć się nie można. Gdy wreszcie trzeba było podać znawcy szacunkowemu do podatku wysokość obrotu towarowego mojego przedsiębiorstwa, to zdziwił się i zapytywał, czy to jest hurtowny interes.

Koledzy moi, właściciele pierwszorzędných firm, zwracali mi uwagę przy sposobności, że biorę znacznie niższe ceny za ubrania, niż oni, choć tę samą robotę odstawiam, przez co im klientów odbieram, wymieniając nawet niektórych naszych rodaków. Na to wskazałem im poprzednio opisany mozolny początek zaprowadzenia się, z powodu czego ich cen brać nie mogę, a za to starać się o większą wydajność pracy i mniejsze koszty handlowe. I podczas, gdy oni odpoczywają lub się zabawiają, to ja pracuję. Zresztą, dodałem, że cieszę się z tego, iż ich klienci do mnie przychodzą i że konkurencja taka jest dozwolona.

Jeżeli o tem piszę, to dlatego, aby dowieść, że nawet w tak trudnych warunkach można o własnych siłach powyżej podany rezultat osiągnąć.

Być może nawet, że to moje powodzenie dało bodźca rodakom z mego zawodu do naśladowania mnie, bo przed wojną naliczyłem w Berlinie już wielu samodzielnych krawców, którym mniej lub więcej dobrze się powodziło.

Wyjazdy w celu wypoczynku.

Oprócz częstych wyjazdów w interesie przedsiębiorstwa jeździłem raz w roku na parę tygodni dla wypoczynku, aby po całorocznych trudach siły pokrzepić i zdrowie wzmocnić, które wprawdzie powoli, ale stale po długoletnim niedomaganiu, wracało.

Jak już pisałem, pierwsze dwa lata, nie mając na wyjazd do wód funduszów, korzystałem z ofiarowanej mi gościnności znajomego mi proboszcza na półwyspie Helu. Następnie, gdy już miałem na to, jeździłem zrazu do Sopot, ale gdy mi śp. dr. Rzepnikowski góry zalecił, wybrałem Zakopane i tam potem najczęściej bawiłem. Nadto w późniejszych latach z powodu innych niedomagań odwiedzałem zimą Wiesbaden, o czem już zresztą wzmiankowałem przy innej okazji.

Wszędzie, dokąd jeździłem, miałem licznych znajomych. Ta znajomość z rodakami rozszerzała się przez Berlin, bądź to wskutek interesów mego przedsiębiorstwa, jak i przez moją publiczną działalność. Byłem znanym wielu rodakom w kraju i po za krajem osobiście, a tembardziej moje nazwisko. Gdy gdziebądź jechałem, nawet w Rosji, wszędzie spotykałem w pociągu znajomych, lub takich, którzy już o mnie słyszeli. Jeździć więc niepoznanym było mi niemożliwym, a spotkania te należały do mych szczególnych przyjemności. Zdarzały się wypadki, iż tacy, którzy osobiście mnie nie znali, tylko o mnie słyszeli, widząc mnie, nie chcieli mi wierzyć, że to ja jestem, bo zdawało im się, że powinienem być starszym i okazalszym. Poseł dr. Skarzyński przy pierwszym spotkaniu się ze mną wziął mnie za mego syna, a jedna z obywaterek na wsi aż cztery razy mnie pytała, czy aby rzeczywiście jestem sobą, a nie moim zastępcą, bo tłumaczyła

— według tego, co ks. Wawrzyniak o panu mówił, to przedstawiałam go sobie okazałym mężczyzną. Nawet w samym magazynie nieznanymi mi klientami pomijali moją osobę, zwracając się do kogoś z personelu, jacy z wyglądu byli dostatniejsi. Z tego widać, jaką rolę na pierwszy rzut oka odgrywa powierzchowność. Mnie to bawiło, a pomyłki wnet się wyjaśniały. Po tem krótkim zbeczeniu wracam do rzeczy samej.

W Sopotach stawałem, dopóki istniał, w znanym „Domu Polskim“, którego właściciela, znanego późniejszego polityka i wydawcę gazety, już poprzednio w Berlinie poznałem, ponieważ tam przez pół roku z nami współpracował. W tym „Domu“ w gronie znajomych było mi dobrze i niejedno widziałem i słyszałem. Z właścicielem wiązała mnie potem bliższa znajomość i to głównie na tle polityki, w której — przyznaję — nasze poglądy, szczególnie na taktykę, dosyć często i znacznie się rozchodziły i nieraz dlatego swego zdania mu nie szczędziłem, co jednak naszej znajomości absolutnie nie psuło, lecz przeciwnie, obojebie tembardziej do siebie się zbliżaliśmy. Taki nasz stosunek przetrwał aż do wojny.

Następnie jeździłem do Zakopanego, prawie, że regularnie każdego lata, i stamtąd też najwięcej wrażeń wyniosłem, które pozwolę sobie naszkicować. Najprzód spostrzegłem, że Zakopane umie się szanować i że prócz zdrowego powietrza, wpływającego dodatnio i na moje nerwy, jest tam jeszcze jakieś zapatrywanie feudalne — nie wiem dlaczego — które nie licuje z głoszonymi hasłami. Próbkę taką na dowód przytaczam.

Chcąc wyręczyć moją gospodynię, meldowałem się w klimatyce zwykle sam. Przy takiej okazji powiadało się pisarzowi-góralowi imię, nazwisko, zawód i stałe mieszkanie. Gdy mu powiedziałem, że jestem z zawodu krawcem (Berlin, jako miejscowość mu imponował!) to pióro zatrzymał i żadną miarą mego takiego zawodu zapisać nie chciał, pomimo zaklinań z mej strony, że innego zawodu nie mam i że to jest mój rzeczywisty. Tłumaczył mi i perswadował, „czyby to inaczej zapisać nie można, gdyż to będzie nawet wydrukowane!“ Więc ja jemu na to, że to mnie i mojemu zdrowiu wcale nie zaszkodzi, mogą śmiało wydrukować. On wtedy z rezygnacją zapisuje i niby pół do siebie a pół do mnie powiada: „Tak, tak! Był tu jakiś piekarz z Ameryki, który też jako piekarz dał się zapisać“. Na co zrobiłem uwagę, że ten

piekarz może więcej wart, niż paru galicyjskich hrabiów. Zawodu mego jednak w spisie gości nie wydrukowano, lecz całkiem opuszczono, widocznie z obawy, aby powietrze w Zakopanem się nie zepsuło i miejscowość ta na reputacji nie straciła.

Podczas wywczasów obok zwiedzania gór politykowało się w gronie znajomych, lub szło na zebrania, i tam się przysłuchiwało. Pewnego razu wybrałem się ze znajomym śp. księdzem dziekanem Janasem na zebranie polityczne do sąsiedniego Poronina, na którym przed wyborcami zdawał sprawę z poselstwa znajomy mi z pobytu swego w Berlinie poseł dr. D. Stałem w bliskości jego na wywyższeniu, abym mógł dobrze wszystkich obserwować. Zebranie odbywało się na wolnym powietrzu, a mównicę ustawiono w sieni góralskiego domu. Górali i góralek zebrano się moc. Co ten poseł przez półtorej godziny nie nablagał! „A któż to ma płacić podatki? Wszak nie wy górale, tylko, niech panowie płacą.“ W ten sposób im prawił. Naturalnie, że za takie „argumenty“ bito mu brawo. Jednak jeden z górali, stojący blisko mnie, odezwał się: „E, mnie się zdaje, że i my powinniśmy podatki płacić, bo inaczej nie będziemy mieli prawa do gadania“. Widocznie rozumiał dobrze, że kto nie wykonuje obowiązków, to i praw mieć nie może. Byli i przeciwnicy posła, bo mu często głośno przerywali i z trudem tylko mowę skończył. Po nim przemawiali w dyskusji jego przeciwnicy i zwolennicy i gdy jeden z tych ostatnich, góról, szorstko się wyraził w duchu posła, skoczyło z tłumu kilku młodych górali na estradę i mówcę nieźle poturbowali, a mnie, stojącego akurat w drodze do estrady, przewrócili. Czy i posłowi się co oberwało, tego już nie mogłem stwierdzić, bo starałem się z jego bliskości jak najprędzej się wydostać; na tem zebranie się zakończyło. Przynajmniej nabrałem pojęcia o politycznych zebraniach w Galicji, na których posłowie zwracają ludowi głowy.

W parę dni potem czytałem w „Nowej Reformie“ recenzję z tego zebrania, napisaną przez tego samego posła, podług której on same laury zbierał. Gdy się wkrótce z nim spotkałem, wytknąłem mu tę błagę, którą się nie tylko na zebraniu, ale jeszcze potem w gazetach uprawia.

W Zakopanem chodziłem na wszelkie zebrania, pomiędzy niemi nawet też na kursa t. zw. letniego uniwersytetu, urzą-

dziane widocznie dla „nagich dusz“, bądź dla zabicia czasu, jak też obserwowania pojęć rodaków z innych dzielnic. Stwierdzam, że dzieliła nas ogromna różnica.

Jak już w jednym z rozdziałów wspomniałem, spotykałem się w Zakopanem z ks. Wawrzyniakiem. On zwykle niedługo tam bawił i miał zawsze jakieś interesy do załatwienia. Pewnego razu wybraliśmy się powozem na parudniową wycieczkę na stronę węgierską. Prócz niego i mnie jechali z nami kleryk Płoszyński (teraz jest proboszczem) i mój syn, który był wtedy szkolnym chłopcem. Tym razem jechaliśmy wszyscy na koszt ks. Waw., który nie wiem z jakiej racji uważał nas za swoich gości. Jazda była przesłiczna, zwłaszcza, że sprzyjała nam wspinała pogoda i nasz woźnica miał żwawe koniki.

Jechaliśmy szosą w stronę ku Morskiemu Oku, aż do rzeki Białki, która tworzyła granicę pomiędzy Małopolską a Węgrami. Przez tę rzekę trzeba było się przepawić, a że mostu jeszcze wtedy na niej nie było, więc w trójkę przeszliśmy z łatwością po sterczących w rzece kamieniach, a księża W. góral przewiózł na wozie, gdyż jako „ważny“ człowiek nie odważył się, tak jak my, z kamienia na kamień przeskakiwać. Aleśmy spostrzegli, że ta przewózka po kamieniach i między kamieniami nie była mu przyjemną, bo porządnie się wytrząsał.

Po za Białką jechaliśmy wcale dobrą leśną drogą aż poza Hawrań i Murań to przez dobra i lasy ks. Hohenlohego, będące teraz objektem spornym pomiędzy nami a Czechami, dalej zaś znowu piękną i bitą szosą. Po drodze zwiedziliśmy grotę Bielską, następnie miejscowości Łomnicy, Szmeks i aż do Szczyrbskiego jeziora dotarliśmy. Co to za piękny krajobraz! Widać po południowej stronie Tatr daleko lepszą roślinność, niż po północnej — naszej stronie, a urządzenia w tych miejscowościach wysoce europejskie. Zakopane wobec tych urządzeń schować się może. Jadąc, spotkaliśmy prawie samych Słowaków, umiających mówić wcale niezłe po polsku, a prócz nich cyganów i cyganiątka, które naprzykrzały się nam co kawałek o jakiś datek.

Wracając stamtąd tą samą drogą, zboczyliśmy do Morskiego Oka, gdzieśmy jeszcze po naszej stronie pięknymi widokami się delectowali. Tu pomyliło się mojemu synowi, bo zobaczywszy brunatną jałówkę, wziął ją za jelenia czy też sarnę, Ks. Wawrzyniak serdecznie się z tego uśmieł, a syn się skonfudował. Taki lapsus pewnie wielkomięskim dzieciom częściej się zdarza.

Stale spotykałem się w Zakopanem z wyżej wspomnianym ks. dziekanem Janasem, z którym najczęściej w jednej willi razem mieszkalem, gdyż jako ludzie konserwatywni, zatrzymywaliśmy się co rok u jednej i tej samej gospodyni. Z nim także wybrałem się raz do Morskiego Oka i jako trzeciego przybraliśmy mego znajomego rodaka z Berlina, który umyślnie na parę dni tam przyjechał, aby Tatry zobaczyć, a któremu, jako pierwszy raz przebywającemu w Zakopanem, chcieliśmy tę piękną naszą perłę pokazać. Pojechaliśmy dwukonką, ale dopiero po obiedzie, tak, że gdyśmy na miejsce przybyli, już wieczór zapadał. Ks. Dziekan postarał się na drogę o różne zapasy, których sobie po drodze i na miejscu nie żalowaliśmy. Nasz woźnica, widząc to, naśladował nas i gdyśmy po 10-tej wieczorem chcieli wracać, to się tak gdzieś zapodział, że nie można go było odnaleźć. Wreszcie go górale wyszperali, ale w jakim był stanie! Musieliśmy go wprzód trochę z trunku i rozespania do przytomności doprowadzić i ostrożnie jechać, zwłaszcza, że było ciemno i deszczyk padał.

Odwracając się od rzeki Białki, gdy się pod górę piąć trzeba, góral z wozu zszedł, aby koniom ulżyć, a mnie jako najmniej rozmarzonemu — boć przecież była noc — wypadło koźmi kierować. Wjechaliśmy na górę, oglądamy się za naszym woźnicą, lecz ani słyhu o nim. Po chwili czekania, zostawiliśmy go na opiece Bożej, jako że Pan Bóg podobno takich ludzi chroni i wróciliśmy do domu bez niego.

Do Zakopanego jakoś szczęśliwie dojechaliśmy, ale tam był nowy ambaras, gdzie i komu konie z wozem oddać, bośmy nie wiedzieli, gdzie nasz woźnica mieszka, a na ulicy nie było żywej duszy, żeby spytać kogo. Powierzyłem tedy losy nasze instynktowi koni, które też nas rzeczywiście na swoje podwórze zawiozły. Zbudziłyśmy góralkę, która słysząc obcy głos, a nie męża, jakby już przeczuła, co się z nim stało (pewnie częściej to urządza!) i zawołała: „To chyba mój chłop się upił?!“ Myśmy ją objaśnili i gdyśmy jej powiedzieli, że pieniądze za furmankę jemu daliśmy, wydała bolesny jęk, iż z pewnością z tego nic nie pozostanie. Nazajutrz jego chłopiec mi mówił, że ojciec rano wrócił, ale już w trzeźwym stanie. Z pieniędzy niewiele przyniósł, jak to już góralka przeczuwała.

Z ks. dziekanem J. zaglądaliśmy od czasu do czasu do „Katakumb“ Zamojskiego, gdzie zarządca przyjmował nas najprzód odpowiednią zakąską, a potem porządną „kapką“. Nazywaliśmy

go „Księciem Wołkońskim“, nie wiem już dlaczego. Mnie jako mało używającemu dał odrazu najlepszego specjału, bo wiedział, że go nie bardzo „skrzywdzę“ za to ks. J. od posledniejszego zaczął, skończywszy stopniowo na najlepszym, gdyż — jak mawiał — za wieleby z tej dobrej beczki ubyło. Na takim poczęstunku Zamojski nic nie stracił, bo ks. J. postarał się już o takich, co beczkami węgrzyn kupowali. Ktoś przecież musiał wprzód wypróbować. Ja wtedy miałem jeszcze rachunki u moich dostawców towarowych do płacenia, więc na kupno choćby najmniejszej beczki nie zdobyłem się. Ale choć jedną lub dwie porządne butelki tego najlepszego eliksiru z sobą do domu zabierałem. I gdy raz znajomego mi proboszcza z Pomorza nim poczęstowałem, to w tej chwili poznał się na nim.

Innym razem wybraliśmy się w około dwadzieścia osób na Krzyżną, nie wiedząc przedtem, kto do zespołu naszego się zjawi i dopiero na miejscu zbornem przekonaliśmy się, że do naszej partji i towarzysze mojżeszowego wyznania należą. Spostrzegł to jeden z naszych znanych antysemitów i na żaden sposób nie chciał z nimi iść razem. Dopiero po długich ceregielach zdecydował się pójść, ale w pewnym oddaleniu od nich. Jemu się zdawało, że mu powietrze zepsują. Kiedyśmy byli już w górach, patrzę, a on idzie razem z pewną żydóweczką i niesie jej płaszcz. Jak to tatrzańskie powietrze wpływa na wyrównanie nawet tak drastycznych przekonań! Taki to już nasz antysemityzm.

Zdarzyło się na tej wycieczce, że pod Krzyżnem pozostałem przypadkowo cokolwiek w tyle po za naszym towarzystwem i ażeby potem je dogonić, skorzystałem z odłączonej się od stada krów jałówki, pasącej się niżej, a która, gdy wyczuła, że ktoś do jej ogona się przyczepił, zaczęła biedz w górę do swoich towarzyszek i mnie w ten sposób ku ucieście całej kompanji (czy i tego stada krów, to nie mogłem stwierdzić!) wwindowała. Trzeba umieć sobie radzić.

Zresztą po górach chodziłem z łatwością (i teraz jeszcze pewniebym to potrafił!) i czułem się wśród nich swobodnym. Zawsze innych wyprzedzałem. I choć nie „wszykiem góry przesedł“ i „nie wszystkie przewędrował“, to jednak znaczną ich część. A gdyśmy pewnego razu w cztery osoby z przewodnikiem się wybrali i tenże w górach drogę pomylił, to ja komendę wtedy objąłem i szczęśliwie, choć już o ciemku, do celu doprowadziłem. Poczytano mi to, jako czyn bohaterski.

W Zakopanem byłem czternaście razy. Zwykle taki odpoczynek mnie mało kosztował, a czasem jeszcze więcej zarobiłem, niż wydałem, gdyż nawet tam, jak również w Sopotach i Wiesbaden, jednocześnie bawiący klienci korzystali ze spotkania się zemną i swemi zamówieniami darzyli, czego im odmówić nie mogłem, zwłaszcza, że czasu miałem dużo.

Nadmieniam jeszcze, że na wypoczynek wybierałem i dla tego miejsca, gdzie spodziewałem się spotkać więcej znajomych, bo podczas, gdy na innych zupełny spokój dobrze działa, to ja nie potrafiłbym się nudzić. Samo oderwanie się na pewien czas od zwykłych zajęć zupełnie dla mnie wystarczyło.

Zwiedzenie Belgji i Francji.

W Belgji byłem przy sposobności zawiezienia córki do zakładu Urszulanek w Thildonck. Czasu wtedy wiele nie miałem, lecz chociaż tylko pobieżnie to i owo widziałem. Po drodze zwiedziliśmy Kolonję nad Renem, a w niej znany tum. Przypomniało mi się z chłopięcych lat, co pisał wtedy „Przyjaciel Ludu“ z powodu poświęcenia tego tumu przez cesarza Wilhelma, który powiedział, że on ma być symbolem jedności Niemiec, na co „Majsterek“ (redaktor) zauważył, iż jedność ta będzie musiała być ciągle reperowaną, tak, jak ten tum. Trafne porównanie.

Belgja nadzwyczaj mi się podobała. Począwszy od grzecznego konduktora w pociągu, kulturę, ład, czystość, na każdym kroku zauważyć można, a przytem wszystko bardzo tanio. Gdy dałem pół franka posługaczowi za większą posługę, to nie tylko grecznie podziękował, ale nadto wyczytałem w jego oczach, że miał mnie za rozrzutnika. Za pokój w porządnej gospodzie w Thildonck, włącznie obfitego śniadania, składającego się z kawy, bułek, masła, jaj i szynki, zapłaciłem 4 franki. Podziwiałem w Lowanjum piękne budowle, jak ratusz, uniwersytet oraz inne, wszystko w stylu tumu kolońskiego, które to po części niemcy podczas wojny tak barbarzyńsko zniszczyli.

Wpadłem też na chwilę do Brukseli, gdzie wychodząc z dworca, uderzyło mnie w koło placu dworcowego dużo „Bräuów“, tak, że mogło się zdawać, iż jest się w Monachjum. Spostrzeżono też moją nieznamość języka francuskiego i odrazu zwracano się do mnie po niemiecku. Widocznie język ten z powodu sąsiedztwa i handlu z Niemcami był tam rozpowszechniony.

W rok potem zabrałem się z pielgrzymką, zorganizowaną przez ks. Wawrzyniaka, do Lourdes. W Belgii przyłączyła się córka, która też chciała Paryż i Lourdes zobaczyć, a przytem było mi z nią wygodnie, bo mi jednocześnie służyła jako tłumacz języka francuskiego. W Paryżu zabawiliśmy sześć dni i byliśmy bardzo pilnymi w oglądaniu go. Zwiedziliśmy dużo miejsc godnych widzenia i pamiątek, jak: kościoły, muzea, ratusz, Sorbonę, Akademię i wiele innych rzeczy. Byliśmy także w Wersalu, gdzie prócz zwiedzenia osobliwości tego miasta, podziwialiśmy iluminację ogrodów pałacowych. Już to nowoczesny Berlin niczem do starego Paryża.

W Paryżu spotkałem wielu znajomych rodaków, którzy mi o życiu i działaniu tamtejszej kolonji naszej opowiadali. Zaprowadzono mnie też na posiedzenie jednego z naszych towarzyszy.

Do Lourdes jechało się z Paryża pociągiem „rapide” na Orleans i Bordeaux 14 godzin. Ta droga była interesująca, ale tylko częściowo mogłem okolice oglądać, bo głównie nocą jechaliśmy. W Lourdes zatrzymaliśmy się trzy dni, gdzieśmy dostatecznie nabożeństw użyli i jeszcześmy miejscowość z okolicą zwiedzili. Co to za malowniczy zakątek! Pireneje sterczą w bezpośredniej bliskości. Byłem na jednej z gór, na którą się pociągiem łańcuchowym wjeżdża. Na ulicach stadka kóz, które co rano, w południe i wieczór zatrzymywano, aby gościom podawać na życzenie świeżego mleka, przez pasterza na poczekaniu udojonego, lub też każdy z gości mógł sam sobie udoić. Uderzało mnie, że kóz nie doją tam z boku, lecz z tyłu. Kozy są do tego przyzwyczajone i odpowiednią pozycję zajmują.

Jedzenie i hotel nadzwyczaj tanio. Na dobę brali w bardzo porządnym hotelu za pokój około pięciu franków, więc wydawało się nam bajecznie tanio. Dobre śniadanie, lub obiad, składające się z kilku dań, z niezbędnymi dodatkami aż dwa franki. Do tego podano jeszcze gratis na dwie osoby butelkę „Bordeaux”. A że frank nie kosztował wtedy tyle, co teraz, więc wypadło za obiad z winem 1,60 marek.

Jeśli porównam Lourdes z naszą Częstochową, to wychodzi na korzyść pierwszego miejsca. W Lourdes większy porządek, inny rodzaj pątników, niema tego wstrętne go żebractwa, jednym słowem: kultura. Nawet pobożność, jakby tam inną, wzorowszą była. Pomyślałem sobie, czemu to w Częstochowie choć w przybliżeniu tak nie jest. No, może będzie.

Wracając z Lourdes, zwiedziliśmy Biarritz, gdzie się w morzu oczyściłem z podróznego pyłu i zostało mi wspomnienie, że się tam kąpałem. Coprawda, to nie lepiej się tam kąpie, jak w Sopotach, lub teraz w Gdyni i Orłowie. Uważałem, czy kto z moich kochanych dyrektorów ze mną się nie wykąpie, bo gotów jeszcze, zobaczywszy mnie, dać nura, ale nie spostrzegłem żadnego.

Następnie zatrzymaliśmy się w Bordeaux, lecz nie po to, by się na miejscu sławnego wina napić, lecz żeby przemocować, bośmy chcieli podczas dnia do Paryża wracać. Przytem zwiedziliśmy cokolwiek miasto. W Paryżu zatrzymaliśmy się jeszcze dwa dni. Trafiliśmy akurat na święto narodowe 14 lipca. Co za zgłęb na ulicy! Naród francuski wszędzie się bawi i tańczy na ulicach, co nam, nie znającym jego zwyczajów i temperamentu, trochę dziwnem się wydawało. Co we Francji mi wypadło, to, że stosunkowo wiele francuzek ma wcale ładne wąsiki. Mój znajomy, dr. P., bawiący więc w Paryżu, tłumaczył mi, opierając się na zdaniu jakiegoś profesora, że ten objaw ma podobno związek z ilością dzieci.

Odwiedziwszy jeszcze paru znajomych, opuściliśmy Paryż z tem postanowieniem, że jeszcze później go zobaczymy. Ks. Warzyniakowi byliśmy wdzięczni za daną nam sposobność zwiedzenia Francji i to za tak tanie pieniądze, gdyż cała podróż, trwająca dwa tygodnie, kosztowała na dwie osoby 500 marek. Co prawda nie jechaliśmy oficjalnie z pątniczem towarzystwem, gdyż byłoby mnie podwójnie kosztowało. Ileżby dzisiaj taka podróż kosztowała?!

Podróż do Rosji.

Następną podróż urządziłem w roku 1911-tym do Rosji i to do Kijowa, Moskwy i Petersburga. Wybrałem się w lutym, aby być w Kijowie podczas sławnych jarmarków, gdzie wielu znajomych spotkać miałem. Podróż tę przedsięwziąłem w celu odwiedzenia i wyszperania licznych moich dłużników, rozsianych po różnych centrach Rosji, z którymi choć mię nawet przyjaźń łączyła, ale mimo to na moje monita rzadko odpowiadali. Umyśliłem więc

zrobić im niespodziankę i zarazem na miejscu zbadać, dlaczego nie płacą. A że przy takiej sposobności mogłem zwiedzić równocześnie kawał obcego mi kraju, więc mnie to tembardziej do podróży zachęciło.

Jechałem na Kraków, gdzie się krótko zatrzymałem dla załatwienia interesów. W Krakowie bywałem już wiele razy, a że to miasto jest nam ogólnie znane, lub powinno być znane, więc tylko parę uwag o niem.

Lubię przyglądać się tam naszym brodatym współobywatelom, od których w drugiej naszej stolicy niestety aż się roi i to typy na wskroś oryginalne. Przypadkowo udało mi się nabyć kolekcję kredkowych obrazów tych „pysznych“ typowych postaci, które teraz w moim mieszkaniu ciągle mi przypominają, co jest u nas „kulą u nogi“ i co nas w przyszłości z ich strony czeka. Poza tem przekomarzałem się w Sukiennicach z ładniejszymi żydówcezkami, nagabującemi do kupowania ich towarów.

Wawel za każdym razem oglądałem, czy nie skończą wnet z odrestauowaniem go, co pewnie jeszcze lata potrwa. — O gołębiach i wieży Marjackiego kościoła zawsze pamiętałem, przynosząc tym żarłokom parę funtów ziarek, które one w mig skonsumowały.

Wypadło mi też odwiedzić w jakimś interesie parę klasztorów. W żeńskich spamiętałem sobie z rozmowy ze starszemi siostrami dwa zdania. Jedna mówiła, że „woli piękne nasze wady, niż brzydkie cnoty“, a druga, że „woli ludzi mądrych, niż świętych“. Obydwa zdania, jako że przez zakonnice wypowiedziane, utkwiły mi w pamięci.

W klasztorze Dominikanów, dzięki znajomości jednego z ojców, byłem na wspólnym klasztornym obiedzie, jakie się z pewnemi ceremonjami u nich odbywają, które były dla mnie nadzwyczaj ciekawe. — Kościółów w Krakowie jest tyle, że śmiałoby można kilka z nich do Poznania przenieść, któreby się tu teraz bardzo przydały.

Na tem niech skończę o Krakowie, dodając, że każda wycieczka po mieście kończyła się przekąską i bombką piwa u Hawelki.

Następnie zatrzymałem się we Lwowie, aby i tam z tym i owym się zobaczyć. Tymczasem nastał silny mróz i śnieżne zawieje, tak, że pociągi w drodze utykały i o całe doby się

spóźniały. Wobec tak niepewnej jazdy, nie opuściłem Lwowa i czekałem na odwilż, która jednak nie nadchodziła. Znajomi radzili mi zaniechać dalszej podróży i lepiej o cieplejszej porze tam się wybrać. Usłuchałem ich, zwłaszcza, że futra nie miałem i po kilku dniach pobytu we Lwowie, wróciłem do Berlina.

Zanim wyjechałem, skorzystali z mego zatrzymania się tam dziennikarze. Było to akurat w chwili, kiedy heca przeciwko księdzu profesorowi Zimmermannowi w Krakowie bardzo się zaostrzyła. Niektórzy dziennikarze, dowiedziawszy się o mojej bliskiej znajomości z ks. Z., zwrócili się do mnie, w celu dowiedzenia się bliższych szczegółów o nim, których też jednemu z nich, naczelnemu redaktorowi „Słowa Polskiego“ p. W., w interesie sprawy udzieliłem. Chodziło o to, kto jest ksiądz Zimmermann, po co do Krakowa przyszedł? Zdziwiłem się bardzo, że nasi redaktorzy o tem nie wiedzieli, podczas gdy żydzi i socjaliści wiedzieli bardzo dobrze, co za cel wykłady ks. miały, lecz się z tem nie wydawali, a za to tem głośniejsz krzyczeli, że ks. jest reakcjonistą.

Cel objęcia katedry przez ks. Z. był ten, aby młodzież uniwersytetu krakowskiego, a przez nią całe tamtejsze społeczeństwo, zaznajomić ze stosunkami gospodarczymi z zaborze pruskim i zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo socjalistyczno-żydowskie. Wiedzieli, że gdy naród nasz również tam przejrzy, tak, jak tutaj, to żydzi będą musieli z Galicji wędrować, a socjaliści tracić wskutek ubytku żydów oparcie.

Pan W. wysłuchawszy mego referatu, powiedział: „Ależ to są nadzwyczaj ciekawe szczegóły!“ i zapytał: „Czy pan lubi pisać?“ — „Owszem“, odpowiedziałem, „ale tylko rachunki“. — „Możeby pan jednak nam o tem napisał“. — „Nie“, mówię, „nie napiszę, bo nie po to przyjechałem do Lwowa, lecz niech przyjdzie który z panów reporterów do mnie, a opowiem mu wszystko“. Przesłano dosyć zręcznego, który wiernie opisał, to co mu opowiedziałem, w jednej z lwowskich gazet i w jednej z krakowskich. Jednocześnie tę sprawę wyjaśnił minister kultu w parlamencie austriackim i heca przeciw ks. Zimmermannowi wnet się zakończyła. Czy akurat te artykuły do tego się przyczyniły nie chcę twierdzić, ale zaznaczam tylko sam fakt.

Do Rosji wybrałem się następnie w końcu kwietnia, jadąc znowu tą samą drogą. Tym razem już bez jakowej przeszkody.

Wyjechawszy ze Lwowa, spotkałem się zaraz w pociągu z jednym moich znajomych z Kijowa, z którym sobie czas jazdy pogawędką skracałem. Pozatem interesowałem się spółjadącymi i ruchem na dworcach, a szczególnie zajmowała mnie żyzna i urodzajna płaszczyna. Pomyślałem sobie, coby to nasi z zaboru pruskiego z niej wydostali.

Do Kijowa przyjechaliśmy na drugi dzień rano około 10-tej, czyli, że podróż trwała 20 godzin. Pokój w hotelu na Kryszczytyku (główna ulica) miałem już zapewniony. Po krótkim odpoczynku odszukałem po kolei znajomych, którzy mi nie tylko pieniędzy dali, ale ugościli i oprowadzili po mieście. Widziałem wszystkie trzy dzielnice miasta, wspaniałe położenie nad majestatycznym Dnieprem. W dzielnicy dolnej, za rzeką, prawie sami ubodzy żydzi mieszkają i dużo tam niechlujstwa, za to dzielnica górnego miasta jest ładna. Cerkwi i klasztorów bez liku, z których sławniejsze zwiedziłem. Przypatrzyłem się pomnikowi Chmielnickiego, bo swego czasu pisał „Przyjaciel Ludu“, że mu na szyi zawieszono butelkę wódki.

Skorzystałem ze sposobności i odwiedziłem redakcję „Dziennika Kijowskiego“. Powiedziałem sobie, jeżeli dziennikarze nasi mnie w Berlinie odwiedzają, to trzeba ich rewizytować, bo można się od nich czegoś dowiedzieć, a oni odemnie. Lecz się zawiodłem tym razem. Po paru zdaniach, wymienionych z redaktorem, zapytał mnie o zawód, a gdym go nazwał, to rozmowa przestała się kleić i uważałem za stosowne odejść. Że też są jeszcze tacy, co ludzi według zawodów oceniają.

Co jeszcze nadmienić wypada, to to, że w Kijowie za pomocą naszego języka można się wszędzie porozumieć. Widocznie ślady polskich rządów dobrze się zakorzeniły.

Załatwiwszy swoje interesy w Kijowie, pojechałem do Moskwy. Znowu jechało się prawie cały ciąg drogi po płaszczynie.

W Moskwie stanąłem przy jednej z pryncypalnych ulic w środku miasta w hotelu niemieckim, aby się móc dogodniej porozumiewać. Zastałem w nim znajomych mi kupców z nad Renu, którzy za interesami regularnie do Rosji przyjeżdżali. Język rosyjski tylko cokolwiek rozumiem, ale dawałem sobie nawet w Moskwie jakoś radę, zwłaszcza, że mi znajomi pomagali. Jeden z nich znaczną część czasu poświęcił, aby mi co ważniejszego pokazać. Widziałem więc aptekę, która przed przeszło

stu latami założona przez Niemców, do tego czasu w rękach niemieckich pozostała. Jest tak wielka, że według opowiadania mego znajomego, zatrudniała wtedy około 300 prowizorów i podobno drugiej tak wielkiej na świecie niema. Pokazał mi znaną i wielką piekarnię Filipowa, gdzie można było dostać, począwszy od grubego czarnego chleba do najwykwintniejszych cukrów. Firma ta ma w każdym większym mieście w Rosji filje. Dalej widziałem wielkie i ładne bazy z różnymi towarami i w jednym z nich wykwintną restaurację, a w niej rosyjskich typowych kupców z różnych stron Rosji, bez krawatek i w długich butach. Cerkwi tam tyle, że przy każdym obróceniu się na ulicy można jakąś zobaczyć. Kilka z nich zwiedzałem i podziwiałem te kolosy i ich bogactwo. A cóż dopiero Kreml! To miasto samo dla siebie, choć w środku Moskwy leży. Dziś tam rezydują Lenin i Trocki. Co za zmiana losu!

Spotkałem w Moskwie przypadkowo jednego z takich znajomych, na którego nie liczyłem. Naturalnie także dłużnik, który studjował na uniwersytecie w jednym z mniejszych miast niemieckich, gdzie zakochała się w nim młoda i wcale niebrzydka Niemeczka. Prawdopodobnie dał jej do tego powód. Opuszczając to miasto po skończeniu studjów, zapomniał jej powiedzieć „do widzenia!“ i myślał, że go przecież nie będzie szukać, zwłaszcza, iż przyjął stanowisko podróżującego po Rosji u jakiejś niemieckiej firmy chemicznej i jako taki przenosił się z miejsca na miejsce. Ale grubo się pomylił, gdyż ona znała się na geografji Rosji i tak długo za nim jeździła, aż go schwyciła. Nieborak nie mógł się już jej wykręcić i ożenił się z nią. Tak mi przynajmniej sam opowiadał. Żałowałem go, ale radziłem się z losem pogodzić. Podziwiałem spryt i wytrwałość kobiety. A może to tylko Niemki potrafią się tak przywiązać do mężczyzny, że każdą przeszkodę zwalczą umięją, by celu dopiąć. Wkrótce sprowadzili się do Berlina na stałe i tam go już była pewniejszą.

Inny znajomy zabrał mnie z sobą w niedzielę po południu poza miasto, by mi „daczę“ (letnisko) i zabawy mieszkańców Moskwy pokazać. Było to interesujące. Spotkałem przy tej sposobności paru moich znajomych, którzy się mojem zjawieniem w Moskwie ucieszyli. Pomiędzy nimi był jeden z byłych moich współpracowników.

Kiedy się już widokiem Moskwy nasyciłem i załatwiłem swoje interesy, odjechałem do Petersburga. Tam ulokowałem się

w bliskości dworca Mikołajewskiego na Newskim Prospekcie w polskim pensjonacie. Nadzwyczaj mało, bo tylko rubla dziennie płaciłem za skromny wprawdzie, ale wystarczający i czysty pokój. Za śniadanie, składające się z porcji wybornej kawy ze śmietanką i smacznego białego chleba, jakiego w Niemczech, a nawet we Francji nie widziałem, oraz masła, płaciłem coś 30 kopiejek. To też używałem sobie, zjadając chleba do syta. Obiady mi wskazano w pewnej polskiej restauracji przy ul. Morskiej, gdzie również za tanie pieniądze porządnie najeść się było można.

Po odpoczynku zabrałem się najprzód do odwiedzenia moich znajomych, których w Petersburgu było najwięcej. Niektórych uprzedziłem o mojem przybyciu, a dla reszty byłem niespodzianką. Ucieszyli się wszyscy, zobaczywszy mnie i prawie każdy z nich starał się pobyt mi tam uprzyjemnić. Już to nasi rodacy są tego pokroju, że na listy nie reagują, ale przyjechać do nich, szczególnie na obczyźnie, to są gościnni i cieszą się, iż się ich odwiedziło. Zwiedziłem z ich pomocą różne części miasta, pałace, sobory, cerkwie, a i nasz kościół św. Katarzyny. Takie same bogactwo, jak w Moskwie i Kijowie. W soborze Izaaka natrafiłem na solenne nabożeństwo, jak mi się zdaje, z powodu imienin cara. Celebrował metropolita. Co za przepych w kościele i nabożeństwie. Asystowali popi, śpiewał chór, złożony z chłopców, i zdawało mi się zrazu, że to kobiety śpiewają. Dżakonowie odśpiewywali basem tak silnym, że się prawie mury trzęsły. Takiego basu w żadnej operze nie słyszałem. Ludzi na nabożeństwie była gromada, ale ginęła w tym kolosie. Przy wyjściu z soboru widziałem, jak jakiś generał popa celebrującego przy przywitaniu się z nim z szacunkiem w rękę pocałował. Świec jarzących się było wszędzie pełno w soborach o każdej porze dnia, a nawet przy wyjściu na dworcach.

Na Newie, która, jako przy ujściu do morza, jest ogromnie szeroka, pełno różnych statków. W mieście co kawałek, to kanał. Nad jednym z tych kanałów jest nowa wspaniała cerkiew, zbudowana na pamiątkę na tem samem miejscu, na którym 13-go marca 1883 roku cara Aleksandra II. bomba rozdarła.. Wewnątrz cerkwi bogactwo aż kipi. Pokazywano mi mały obraz, wysadzony drogiemi kamieniami, który sam kilka milionów rubli kosztował.

Newski Prospekt długi i szeroki. Jeżdżą po nim pędem powozy eleganckie i dorózki z siedzącymi na przedzie dorózka-

rzami, w grube watowane płaszcze owiniętymi, choć to był już maj. Ale oni podobno cały rok tak się ubierają. Prawdziwe typy rosyjskich doróżkarzy.

Odszukałem także posła Nakoniecznego, którego przedtem przypadkowo we Lwowie poznałem. Radził mi zobaczyć „Dumę“, to też poszedłem do niej, gdzie wprowadził mnie na galerję, skąd dobrze obserwować mogłem. Jego koledzy polscy spostrzegłszy to, pytali go, kogo to wprowadził? — a gdy im powiedział, że mnie, to zawołali: „Tego znamy“. Było dużo popów pomiędzy posłami, odróżniających się zewnętrznym wyglądem od kolegów. Z tego, co mówiono na dole, nic nie rozumiałem.

Z moich znajomych, byłych studentów, już jeden porządnie osiwiiał, a jeszcze mi był z czasów studenckich winien. Jak on się ucieszył, gdy mnie po tylu latach zobaczył. Ja bo go już nie poznałem. Uściskał mnie, jakby swego ojca. Naturalnie, że był gotów płacić rachunek, tylko, że nie miał tyle, więc dał część, a na resztę weksle, które też potem wykupił.

Innego, którego to mój znajomy angiłik z mego polecenia aż w Szangaju i Mandzurji gonił, spotkałem również w Petersburgu. Opowiadał, że w Władywostoku powodziło mu się nadzwyczaj dobrze. Zarabiał dużo, miał własne konie i powozy do osobistego użytku, ale znowu wszystko stracił i pozostała mu tylko ładna rusinka, rzeczywiście ładna, prawdziwa „rusalka“, która go się mocno trzymała, a może on jej. Gdy go spytałem, dlaczego mi podczas swego pobytu w Władywostoku pretensji nie przekazał, co przecież mógł łatwo zrobić, to odpowiedział: „Gdyby Pan był do Władywostoku przyjechał, to byłbym nietylko dług cały zapłacił, lecz jeszcze ugościł i wszelkie koszty podróży zwrócił“. To się nazywa gest! Takimi są niektórzy. Ułożyliśmy się następnie co do czasu spłat, nie wiem już, po raz który, lecz słowa znowu nie dotrzymał.

Z Petersburga pojechałem do Wilna, gdzie krótko zamierzalem zabawić, mając tam tylko dwa interesy do załatwienia. Czulem też ogromne zmęczenie z powodu podróży, więc chciałem być jak najprędzej w domu. Wilno, które również pierwszy raz widzialem, podobało mi się, i nie podobało. Prawa część miasta, idąc od dworca, — tak; lewa zaś, gdzie Ostrobrama, same plugawe żydostwo, — podobać mi się nie mogła. Przyjechawszy tam rano, nietylko swoje interesy załatwiłem, ale i niektóre pa-

miątki zdążyłem zobaczyć, jak również paru znajomych odwiedzić. Pomędzy nimi jednego z moich byłych pracowników, któremu się w Wilnie wcale dobrze powodziło, jako samodzielnemu. Gdy u mnie pracował, był zapalonym socjalistą, w Wilnie już nim nie był.

Nazajutrz rano wyjechałem na Warszawę do Berlina. Obliczyłem, cała podróż kosztowała mnie tylko 800 marek., a skutek był względnie pomyślny, bo większa część dłużników uregulowała swoje rachunki, a nadto widziałem kawał kraju.

Podróż do Rzymu.

Złożyło się tak, że roku 1913-tym starsza córka wyjechała za poradą swej nauczycielki z Chyliczek (szkoła gospodarstwa domowego hr. Platerówny), z nią razem do Włoch, aby tam nad morzem, tuż za Rzymem, swoje siły pokrzepić, gdzie w zakładzie sióstr nadzwyczaj tanio urządzić się było można. Włochy jej się tak podobały, że wypocząwszy nad morzem, zatrzymała się dłużej w Rzymie, zwłaszcza, że dawała sobie tam sama radę. Na wiosnę następnego roku zachęciła mnie, abym skorzystał z jej pobytu w Rzymie i również Włochy zobaczył. Zabrałem dla towarzystwa młodszą córkę i w początku kwietnia wyruszyliśmy w podróż. Jednak przed wyjazdem rodacy z dzielnicy Moabickiej Berlina, dowiedziawszy się o zamiarze moim wyjechania do Rzymu, obligowali mnie, abym możliwie tam przedstawił sprawę znanego skandalu z ich dziećmi w kościele z okazji pierwszej komunji św. Przyjąłem to zlecenie, nie obiecując jakiegoś pozytywnego skutku, bo wiedziałem, jak trudno się dostać tam, gdziebym sprawę należycie przedstawić mógł; traktowałem to więc nieoficjalnie.

Po drodze zwiedziliśmy w Bawarii pobieżnie Norymbergę i Monachjum, a w Insbrucku miałem znajomego, który nas po mieście oprowadził, zabytki pokazał i u którego jedną dobę się zatrzymaliśmy. W dalszej drodze zboczyliśmy umyślnie do Meranu, by odwiedzić bawiącego tam Dominikanina, O. W., z którym podczas jego dłuższego pobytu w Berlinie się poznałem. Znał on Rzym dobrze i sprawą moabicką się interesował, zwłaszcza,

że znał także Ojców Dominikanów w Moabicy, więc chodziło mi o jego wskazówki do Rzymu, szczególnie o podanie kogoś, któremu by można rzecz najprzód przedstawić. Wysłuchał mego referatu i wskazał mi adres ks. prałata S.

Jak Insbruck zrobił na nas miłe wrażenie, tak Meran, jako urocza miejscowość, jeszcze bardziej nam się podobał.

Następnego dnia wyjechaliśmy z Meranu i to już wprost do Rzymu. Wogóle uważam podróż przez Tyrol jako jedną z najpiękniejszych. Nadmienić wypada, że współjadący w pociągu, dowiedziawszy się, że jesteśmy z Berlina, wypytywali nas o szczegóły zajścia z dziećmi w Berlinie. Nie mogę też pominąć szczegółu, że w hotelu w Meranie miano nas za młodą parę, będącą w podróży poślubnej, co mi schlebiało. Pewnie tam takie niemoralne pary często przyjeżdżają.

Do Rzymu przyjechaliśmy o godz. 8-mej rano, gdzie już nam córka przygotowała mieszkanie w prywatnym domu w pałacu byłego ministra Tittoniego i to za bardzo skromną cenę, bo tylko za trzy liry i kilka soldów na dobę. Oczyszczywszy się z kurzu, ruszyliśmy na miasto. Zaczęliśmy oglądanie go od zwiedzania kościołów. Plan zwiedzania córka już najprzód ułożyła.

Zaraz w pierwszym kościele spotkaliśmy ks. Ferdynanda Radziwiłła, który około Wielkiejnocy zwykł bawić z rodziną w Rzymie. Było to w wielkim tygodniu przed świętami Wielkanocnymi, w którym jest tam zwyczaj zwiedzania kościołów nie tylko przez przyjeżdżających do Rzymu, lecz i przez miejscowych mieszkańców. Księżę Radziwiłł zobaczywszy mnie, zaczął zaraz wypytywać o zajście w Moabicy, którem mianowicie, jako stały mieszkaniec Berlina, bardzo się interesował. A że to było w kościele, a my jesteśmy przyzwyczajeni w kościołach nie rozmawiać (w Rzymie jest to przyjęte), więc umówiliśmy się, że jeszcze tego samego dnia wieczorem odwiedzę go w jego pałacu, który był w bliskości naszego mieszkania. Zabawiłem u niego blisko dwie godziny i sprawę przedstawiłem mu w obecności księżnej (jego żony) wyczerpująco. Księżę R. był fałszywie o tem zajściu poinformowany, bo zdawało mu się, podług tego, co czytał w obcych gazetach, że polacy to zajście wywołali i nie zachowali się w kościele, jak należy. Dopiero, gdy wysłuchał mego referatu, zmienił całkiem swoje zdanie. W przekonywaniu go pomagała mi księżna. Uprowadził mnie jednak, że to jest trudna rzecz do

przedstawienia w Watykanie i sam dopiero pomyśli, jakby to zrobić. Przy tej sposobności Księstwo zaprosili mnie wraz z córkami do siebie na święcone, co z przyjemnością przyjąłem.

W następnym dniu odwiedziłem księdza prałata S., od którego jeszcze więcej dowiedziałem się o trudnościach przedstawienia sprawy w Watykanie wobec wpływu posła pruskiego, jakim się tam cieszył. Mówił, że jedynie ksiązę Radziwiłł mógłby tę sprawę przedstawić, bo uchodził u Ojca św. jako persona grata. Zrobiłem uwagę, że trzebaby mu dać kogoś do pomocy, gdyż on wszystkich szczegółów nie spamięta, co ksiądz S. uznał. Wyczułem z tego wielki brak z naszej strony stałego odpowiedniego przedstawiciela przy Watykanie, choćby nieoficjalnego, któryby zbierał informacje z całego kraju o sprawach dotyczących kościoła i tam je przedstawiał. Takie dorywcze przedstawianie spraw naszych nie mogło sprostać wpływom obcym. Dziwiłem się, że pruski poseł może mieć w Watykanie takie wpływy i że polityce pruskiej w swojej dobroduszości tam wierzą. Przypomniało mi się w tej chwili zdanie ks. dr. Kleineidamma, o którym już wspominałem, że kościół katolicki jest w Prusiech kozerą.

Na śniadaniu u księcia Radziwiłła zastałem około pięćdziesięciu rodaków z różnych stron kraju i obczyzny, przeważnie z arystokracji, którzy tam stale lub czasowo mieszkali. Wypytywano mnie skwapliwie o szczegóły skandalu moabickiego, a zwłaszcza zainteresował się nim prof. dr. L., utrzymujący tam stałe biuro prasowe. Z nim jeszcze osobno później sprawę omówiłem, aby potem mógł podać do gazet włoskich.

Tymczasem gazety nasze w kraju napisały, że ksiązę Radziwiłł przedstawił sprawę moabicką Ojcu św., co tenże wobec mnie sprostował, gdyż będąc w Watykanie w jakiejś innej sprawie, a nie mając dostatecznego materiału w sprawie moabickiej, tylko pobieżnie o nią potrącił. „Bo rodacy w Berlinie“, mówił, „mogliby myśleć, że ja źle sprawę przedstawiłem, jeżeli nic nie wskórałem“. Na co im odpowiedziałem: „Kolonja berlińska, mając do Księcia zaufanie, i wiedząc o jego wpływach w Watykanie, nie będzie tak myślała, lecz powie: „Jeżeli ksiązę Ferd. Radziwiłł w Watykanie nic nie wskóra, to każdy inny już wcale nic“. Ksiązę Radziwiłł wyjechał już przedemną na jakiś czas do kraju, a przedtem jeszcze parę razy z nim się widziałem.

W tydzień po powrocie moim z Rzymu wyjechałem w swoich interesach do Warszawy, gdzie odwiedziłem pomiędzy innymi księdza prałata G., który mnie zachęcił, abym zająście w Moabie przedstawił ks. arcybiskupowi Kakowskiemu i ułatwił mi też w tym celu audjencję u niego. Ks. arcybiskup, wysłuchawszy z zainteresowaniem mego referatu, zrobił parę trafnych uwag i był o trudnościach przedstawienia sprawy w Watykanie tego samego zdania, co ja. W końcu rozmowy dodał: „Był co dopiero u mnie ks. Ferd. Radziwiłł, z którym mówiłem o tej sprawie. On się zapalił do niej“. Mnie się ta uwaga ks. arcybiskupa o ks. Radziwiłła podobała, lecz nie powiedziałem mu, że był pewnie pod wpływem mych informacji.

Berlińscy polacy starali się jeszcze w inny sposób tę sprawę w Rzymie przedstawić, opierając się na dokumentach i faktach, lecz o wyniku wszelkich starań nic się nie dowiedzieliśmy. Książę Radziwiłł, powróciwszy do Rzymu, poczynił pewne starania w Watykanie, ale widocznie także bez skutku. Sprawa sama z pewnością się umorzyła.

W Rzymie zabawiliśmy trzy tygodnie. Zwiedziliśmy możliwie wszystkie najważniejsze pamiątki. Byliśmy we wszystkich siedmiu bazylikach, a w niektórych od czwartku do niedzieli wielkiego tygodnia widzieliśmy wspaniałe nabożeństwa. Byliśmy i w wielu innych kościołach, jak również w katakumbach i na głównym cmentarzu. Ten ostatni wygląda z powodu wspaniałych i wielkich pomników jak osobne miasto. W podziemiach klasztoru Kapucynów widzieliśmy ściany udekorowane ludzkimi czaszkami i piszczelami. Oglądaliśmy muzea, a szczególnie watykańskie. Co za wspaniałości! Wspaniałe rzeźby widać na każdym kroku. Nietylko w muzeach i kościołach, lecz na cmentarzu, publicznych miejscach, w domach, przed domami i gdziekolwiek bądź. Zdaje się, jakoby każdy włos był rzeźbiarzem.

Na zbiorowej audjencji u Ojca św. byliśmy dwa razy. Raz trzeba było w tronowej sali półtorej godziny czekać, zanim Ojciec św. się pokazał, a że było wtedy w Rzymie bardzo gorąco, więc niektórzy ze zmęczenia, gdzie mogli, siadali. Mnie się dostało miejsce tuż przy złocistym czy połączanym tronie. Spozstrzegłem na nim sporo kurzu, którego zresztą we Włoszech nigdzie niebrak. Kilku pątników przysiadło się na niego, więc i ja to zrobiłem, aby się móc „pochwalić“, że na papieskim tronie siedziałem.

Pokazanie się Ojca św. było krótkie. Wszedł bocznymi drzwiami z małą asystą i wymówiwszy kilka słów, pobłogosławił nas. Pomiędzy nami byli też „pielgrzymi“ obrzezani, którzy widocznie wszędzie wejść potrafią. A może w celu nawrócenia się? Widywałem ich w kościołach, na nabożeństwach i gdzie tylko bądź. Paru z nich były to znane mi twarze z Berlina.

We Watykanie sztuka i wielki rozmach. Obok stojąca bazylika św. Piotra, to kolos. Przypomni mi się dawniejszy opis podróży jednego z naszych domorosłych polityków, w jakiejś gazecie, który pisał, że „gdy stanął przed kościołem św. Piotra w Rzymie, to po raz pierwszy uczuł się małym“. Zrozumiałe.

Do kościołów psy i koty wchodzą, na co publiczność patrzy obojętnie. Wogóle kotów wszędzie pełno, nawet przy jedzeniu w restauracjach towarzyszą z poufałością jedzącym, siadając na kolana i wchodząc na stoły. Kobiety karmią dzieci piersiami swymi na publicznych miejscach: w kościołach, w tramwajach, na ławkach, na placach i gdziebądź. Ustępy dla mężczyzn na ulicach tak widocznie urządzone, że wstręt bierze. Na bocznych ulicach bieliznę suszą, wywieszając z okien, lub z jednej strony ulicy na drugą liny przeciągają i na nich wieszają. Wygląda to tak, jakby jaka dekoracja na przyjęcie dygnitarza. Jaka ta bielizna pod względem czystości i białości, to można sobie wystawić. Ale jaki kraj, taki obyczaj.

Nadzwyczaj zainteresowały mnie Kolosseum i Forum Romanum. Chodziłem tam kilka razy, aby sobie dobrze wrazić w pamięć te ruiny po dawnych Rzymianach. Kolosseum (pewno od wyrazu kolos pochodzi) jest to wielki, okrągły, kilkopiętrowy budynek przeznaczony na widowiska. Trybuny wkoło dla publiczności, niżej dla notablów Rzymu i cezara, a w samym środku miejsce do igrzysk, pod którym były kryjówki dla dzikich zwierząt. Jest to miejsce, gdzie męczono pierwszych chrześcijan, puszczając na nie dzikie zwierzęta. Opisał to wzruszająco Sienkiewicz w „Quo Vadis“.

Na Forum Romanum dużo ruin pałaców po cesarzach rzymskich. Każdy z nich budował dla siebie osobny pałac, aby pozostawić po sobie pamiątkę. Wogóle ruin we Włoszech jest tak wiele, jak gdyby umyślnie niektóre poustawiano dla ciekawych turystów. Co za obszar zajmuje wspaniały nowy pomnik Wiktora

Emanuela i przyległe budowle, mające świadczyć o zjednoczeniu się Włoch! Wobec niego pomnik Wilhelma I przed zamkiem w Berlinie niczem.

W katakumbach objaśniał szczegóły braciszek, pochodzący z Holandji i to po..... niemiecku, aby wszyscy rozumieli. Bó-wiem turystów Niemców było wtedy w Rzymie zatrząsienie. Przekupnie uliczni zaczepiali mnie też często w niemieckim języku, a gdym udawał, że nie rozumiem, to nie wierzyli. Gdy pytałem ich, skąd język niemiecki znają, to odpowiadali, że byli jakiś czas w Niemczech.

Zwiedziliśmy przedewszystkiem i to, co tam Polskę przypomina: Klasztor Nazaretanek, gdzie są polskie zakonnice, dalej kościół ze sarkofagiem św. Stanisława Kostki i wiele innych naszych pamiątek. Odwiedziliśmy u Ojców Zmartwychwstańców księdza Azb., staruszka, zamieszkałego tam od długich lat.

Gdy się chce co kupić, to kupcy w handlach i przekupnie na ulicy podają często kilka razy wyższą cenę, niż wartość żądanego towaru wynosi. Za jakiś przedmiot żądano od nas 10 lirów, a sprzedano za dwa. Córka, kupując na ulicach pomarańcze, kładła zwykle czwartą lub piątą część żądanej ceny, brała owoce i nic nie mówiąc, odchodziła. Przekupka ani słowa na to nie powiedziała. Podając znacznie wyższe ceny, liczą na obcych, a kto się nie spostrzeże i nie targuje, to je płaci. Jedzenie tam tanie. Dużo traktjerni z mlekiem i nabiałem. Najczęściej w nich jadaliśmy. Co do mnie, to „makaroni“ i oliwę pozostawiałem włosom. Czasem, jakby dla przypomnienia Berlina, szedłem do niby niemieckiej restauracji, znajdującej się w pobliżu naszego mieszkania, gdzie można było prawdziwego bawara i pilznera dostać. Są one tam trochę droższe, niż w Berlinie.

Zapuszczaliśmy się także w okolice Rzymu i zwiedziliśmy jezioro Albano, miasteczko „Rocca di Papa”, „Grotta Ferrata”, „Frascati”. W ostatniej miejscowości ma bankier Mendelsohn z Berlina wspaniałą willę z ogrodem. Jezioro Albano leży na wzgórzu, skąd wspaniały widok na okolicę. „Rocca di Papa”, jakby przyczepione do góry, brudne, wyglądające na zażydzone małe miasteczko na kresach naszego kraju. Mieszkańcy również brudni. Wchodzi się do niego pod górę, a częściowo wjeżdża się kolejką zębatą. Przy końcu stacji czekają mali włosi i ofiarowują usługi swoich osłów, na których turyści jeszcze wyżej

poza miasteczko się dostają. Pomyślałem sobie: „Dlaczego i ja nie miałbym na prawdziwym osle się przejechać!“. Nająłem tedy trzy takie stworzenia, dla mnie i córek, za bajońską sumę, bo aż po półtora lira za osła za jazdę tam i na powrót. Usadowiliśmy się na ich grzbietach i zaczęliśmy się piąć — raczej osły — pod górę, zachęcane z tyłu batożkiem chłopca, aby dotrzeć do wierzchołka, na którym stoi klasztor godny widzenia. To nasze jechanie wierzchem na osłach sprawiało piękny widok i utrzymywało nas w dobrych humorach. Aby tę jazdę tembardziej upamiętnić, zdjęliśmy na wzgórzu fotografię z naszych oslich pozycji. Przy sposobności tej wycieczki widzieliśmy ruiny wodociągów ze sławnych rzymskich czasów, które Rzym głównie z jeziora Albano, o kilkanaście kilometrów oddalonego od miasta, w wodę zaopatrywały. Już wtedy ludzie umieli sobie radzić.

Obejrawszy Rzym z grubszego, pojechaliśmy do Neapolu, aby i to miasto wraz z okolicą poznać. Po drodze widać ów sławny klasztor na Monte Casino. Neapol pięknie położony nad zatoką morską i w bliskości dymiącego się Wezuwjusza. Miasto samo nie bardzo czyste. Bieliźniana dekoracja na ulicach jeszcze „wspanialsza“, niż w Rzymie. Prawie już na każdej ulicy ją widać. Pamiątek w Neapolu dużo, tylko niewiele z nich zdążyliśmy zobaczyć. W zakrytych już nie używanego kościoła na wzgórzu prześliczna szafa do aparatów kościelnych, rzeźbiona przez braci 42 lata. Co to cierpliwość! Następnie wybraliśmy się pod Wezuwjust, gdzie widzieliśmy nowe miasto Pompeję, oraz w sąsiedztwie tegoż ruiny dawnej Pompei, zasypanej w r. 79 po Chrystusie przez wybuch Wezuwjusza. Z tych ruin można choć cokolwiek wyobrażenia nabrać o ówczesnych mieszkańcach i sposobie budowy miasta. Ulice przeważnie bardzo wąskie, a boczne chodniki o jakie pół metra wyższe od ulicy samej. Może dlatego, że woda spływała częściej ulicami. W tych ruinach jest muzeum, w którym m. in. można widzieć kilku skamieniałych ludzi w pozycji leżącej, tak, jak ich lawa niespodzianie zalała, gdyż to się stało podczas nocy. Bielizna na nich również skamieniała. Nawet pies, szarpiący się na uwięzi, w takiej pozycji skamieniał.

Pod Wezuwjustem rozsiane osady. Pomyślałem sobie, gdyby znowu lawę rozlał, toby wszystko zniszczył. Wdrapać się na niego na osiołkach, aby przyjrzeć się możliwie z bliska wy-

dostającej się z góry parze, już nie mieliśmy ochoty, gdyż to zbyt męczące. Za to pojechaliśmy dalej przez opiewane Sorrento, aby się z niego przeprawić małym parowcem na słynną wyspę Capri. Jazda do Sorrento, nad brzegami zatoki morskiej, była przyjemną. (Same fjordy). W drodze poznaliśmy się z paru rodakami z Warszawy i jakąś rodziną czeską, z którymi się razem w jednym hotelu, tuż nad brzegiem morza, ulokowaliśmy. Nasi towarzysze nie umieli również po włosku, więc córka ich w potrzebie wyręczała. Hotel wcale dobry, a tani, bo tylko 6 do 7 lirów za pokój z jedzeniem od osoby płaciliśmy na dobę.

Wybraliśmy się zaraz po przybyciu do starego miasteczka Capri, położonego wyżej. Była tam jakaś ludowa zabawa, której się przyjrzelśmy. Widocznie było pomiędzy gośćmi dużo polaków, bo język polski co kilka kroków o uszy nasze się odbijał. Miasteczko to jest starożytne i ciekawe dla turysty. Nowe miasto Capri leży w przeciwnej stronie wyspy i już nowocześnie na wzgórzu zbudowane ze wspinałymi hotelami. Tam też jest wcale nie tanio.

Za starym Capri nad brzegiem morza są ruiny pałacu cezara Tyberjusza, który według opowiadania mieszkającego braciszka w klasztorze na wzgórzu miał tam dokazywać. Szczególnie miał się znęcać swawolnie nad niewolnikami, których kazał z prostopadłej skały na dół do morza zrzucić. Byli na tem wzgórzu włoch z włoską, którzy za pieniądze swoje narodowe tańce tańczyli, śpiewając przytem. Wyspa ta ma sławną Grotę Lazurową, do której także pojechaliśmy. Wiózł nas stary garibaldczyk, którego fotografię na pamiątkę nabyliśmy. W grocie produkował się 'na życzenie gości za pieniądze pływak. Woda morska w bliskości Capri jest modra i to prawie taka, jaką praczki do mączkowania bielizny używają. Wyspa Capri to jedna skała. Dziwna rzecz, że na niej jest wegetacja. Są tam drzewa pomarańczowe, cytrynowe, oliwkowe i inne, wyglądają jakby wrośnięte w kamień. Również rośnie różne warzywo. Drzewa pomarańczowe i cytrynowe były wtedy pokryte owocem tak, że ani liści z pomiędzy niego widać nie było i wyglądały całkiem żółte. Co to za szczęśliwy zakątek kraju, gdzie się nawet na kamieniu warzywo i owoce rodzą! Nasz lud by temu nie uwierzył.

Stamtąd mieliśmy ochotę jechać na Sycylię, ale trzeba było liczyć się z czasem i wróciliśmy do Rzymu. Po dwudniowym

odpoczynku tamże i zwiedzeniu jeszcze paru rzeczy, godnych widzenia, zdążyliśmy tą samą drogą ku Berlinowi. W Bozen w czasie parogodzinnego czekania na zmianę pociągu podziwialiśmy okolicę i napiliśmy się smacznej kawy w jakiejś sławnej cukierni. Podczas jazdy w górach, gdy się zaczęło rozwidniać, zbudziło nas lubie dzwonienie na „Anioł Pański“ z wieży pobliskiego kościoła, co zrobiło na nas miłe wrażenie. Zdawało się nam, że jesteśmy w naszych stronach.

Cała podróż, trwająca trzy tygodnie, kosztowała mnie za dwie osoby i z utrzymaniem drugiej córki przez czas pobytu we Włoszech niecałe 1000 marek. Powiedziałem tedy sobie, że częściej do tych pięknych Włoch jeździć będę, aby jeszcze inne miasta i okolice zwiedzić. Wojna jednak wszystko zepsuła, liry takiej wartości nabrały, że będzie trzeba już na zawsze tej przyjemności się wyrzec. A jeżeli się jeszcze dorobię?!

Wojna.

Dążąc w pierwszą sierpniową niedzielę 1914 r. z Charlottenburga do Berlina tramwajem na zlot Sokołów, widziałem, jak wszędzie po ulicach rozrzucono „Ekstrablatty“, zwiastujące formalne wypowiedzenie wojny. Już parę dni przedtem wisiały te gromy w powietrzu, ale zdawało się, że może jeszcze temu jakoś zapobiegą. Niestety nie zdołano. Nie zdawaliśmy sobie wtedy sprawy z późniejszych następstw, bo nikt ich nie przewidywał.

Stanowisko naszej berlińskiej kolonji wobec wojny, było — jakby przedtem umówione, bez względu na to jaki obrót ona weźmie — wyczekujące. Nawet późniejsze usiłowanie przeciągnięcia nas do innej orientacji pozostały bez skutku, bo uważaliśmy, że to stanowisko jest jedynie racjonalne. Powiedzieliśmy sobie: niech nasi wrogowie łby sobie tłuką, my nie powinniśmy pomiędzy ich się mieszać. Obiecankom jednej i drugiej strony nie wierzyliśmy, bo napewno by ich żadna nie dotrzymała, a natomiast byliśmy zdania, że tylko wtedy wojna dla nas korzystny obrót weźmie, jeżeli będzie wprzód pobita Rosja, a potem Niemcy i Austrija. Tak, jak się też stało, a co zrobiono bez nas.

Po co więc było się nam angażować, jeżeli Polska tylko mi m o woli naszych rozbiorów powstać mogła. Myśmy też spokojnie wyczekiwali, co będzie i ci, co na wojnę iść nie musieli, oddawali się tem gorliwiej pracy po towarzystwach, zastępując tych, co poszli.

A było tej pracy znacznie więcej, niż przed wojną, bo trzeba było ratować liczne tysiące rodaków, rzuconych losem do Berlina i Niemiec. Było więc roboty nadmiar, ale się robiło.

Dla mnie osobiście wytworzyły się stosunki trochę drażliwe, bo na takich, co przed wojną w pracy naszej udział brali, władze miały oko. Powód do tego był taki. Jakiś monter mego znajomego fabrykanta z Łodzi, będący w Berlinie na praktyce, chciał przed ustaniem ruchu kolejowego do Łodzi się przedostać i przyszedł do mnie wieczorem o późnej godzinie po pieniądze na podróż. To spostrzeżono w naszym domu i spowodowano następnie rewizję w mieszkaniu. Przypadkowo rewidował urzędnik, polak, który mnie dobrze znał i żadnych następstw nie było.

Telefonować po wybuchu wojny można było tylko w niemieckim języku, o czem pozamiejscowi rodacy, licznie przybywający do Berlina, czy to wracając z wód, lub uciekając z nad granicy rosyjskiej — nie wiedzieli i telefonowali do mnie po polsku, co zwróciło uwagę władz i miałem z tego powodu ambarasy, bo mi zarzucano, że mam kontakt z rosjanami, rozmawiając z nimi telefonicznie po „rosyjsku“. Musiałem się z tego tłumaczyć. Udało mi się wreszcie władzę przekonać, że po rosyjsku rozmawiać nie mogłem, bo nie umiem, jak również w domu nikt tym językiem nie włada.

Gorzej było, gdy później z powodu gwiazdki gazety berlińskiej pisały, aby tych rannych, co już wychodzić mogą, w święta ugościć, a że i żołnierze polacy w lazaretach tam byli, chcieliśmy z żoną paru przyjąć i robiłem w tym kierunku starania. Z tego zrobiono sprawę, że o moskali się staramy i zawezwano mnie ostrym nakazem do komendantury, gdzie musiałem się tłumaczyć, że to o polskich żołnierzach chodziło, walczących po niemieckiej stronie. Oficer, który mnie badał, uwierzył mi, że to, co władzy doniesiono, było pomyłką.

Było z tego trochę niepokoju dla mnie, ale otrząsałem się z tem i gdy później mnie do jakiej władzy wzywano, lub policjant do mnie przyszedł, to już nie brałem sobie tego tak

do serca. Raz nawet, gdy komisarza obwodowego w Poznańskim o pobyt jakiegoś oficera pytałem, a tenże zamiast mnie odpowiedzieć, posłał tę sprawę do policyjnego prezydium jako „podpadającą“, i gdy potem na policję mnie wezwano, to urzędnikowi (rodakowi) powiedziałem, że rzeczywiście „szpieguję“, ale moich dłużników i władza powinna mi jeszcze w tem dopomóc. Urzędnik to zrozumiał i adres dłużnika mi wskazał. Niestety dłużnik wyjechał już przed wojną do Ameryki. Tylko, gdy po owej wielkiej bitwie pod Tannenbergiem odwiedziłem w Lubawskim swego ojca i stamtąd pojechałem obejrzeć zrujnowane miasto Działdowo, zaarrestował mnie na ulicy miejscowy burmistrz i już było kiepsko ze mną. Ale wyratował mnie policjant, który moje nazwisko znał i puszczono mnie na wolność. Potem już mi się odechciało zniszczone miasto dalej oglądać. Opowiadano mi niedawno, że burmistrz ten, gdy Działdowo do Polski przyłączono, zwarjował.

Jak już wyżej wspomniałem, w początku wojny dużo rodaków, szczególnie z Królestwa, napłynęło do Berlina. Wszyscy byli od kraju odcięci i tym, co mieli akredytywę w niemieckich bankach, nie wypłacono pieniędzy, wskutek czego znaleźli się w przykrem położeniu. Pomiędzy nimi było dużo moich znajomych, którzy przychodzili do mnie o pomoc. Tymczasem i mnie bank większej kwoty wypłacić nie chciał, więc tem, co miałem, dzieliłem się. Prócz tego musiałem się nimi opiekować, bo byli bezradni, wskutek wytworzonego położenia, no i władze niemieckie z nimi po swojemu się obchodziły. Zatrzymano ich w Berlinie około dwóch miesięcy, aż wreszcie pozwolono im przez Szwecję do Rosji wyjeżdżać. I z byłego zaboru pruskiego więcej znajomych mi rodzin, z obawy przed inwazją rosyjską, przeniosło się na pewien czas do Berlina, względnie się zapowiedziało, którymi także zaopiekować się wypadło.

W pierwszych tygodniach wojny wyczytałem w jednej z gazet berlińskich, że z polecenia N. K. N. przybył do Berlina członek zarządu tego związku, p. S., celem pertraktacyj z niemieckimi władzami. A że był mi jeszcze „powinowatym“, więc chciałem się z nim koniecznie widzieć i wyszperałem go w znanym hotelu „Kaiserhof“. Odwiedziłem go i zastałem u niego dwóch panów, których mi przedstawił. Pokazało się, że to byli radca dworu (Hofrat), dr. Rosner, o którym już częściej w gazetach czytałem i Wilhelm Feldman, którego przed laty w Berlinie wi-

dywałem z okazji jego dalszych studjów. Widocznie znali mnie z nazwiska i wiedzieli, że się także polityką zajmuję, bo napadli obydwaj na mnie za naszą orientację w byłym zaborze pruskim. Odpowiedziałem im energicznie, że w kraju nie mieszkam i udziału w sprawach tamtejszych nie biorę, a która orientacja jest lepszą, to przyszłość okaże. Ponieważ z moim znajomym i tak z powodu obecności tych panów mego osobistego interesu załatwić nie mogłem, poszedłem jeszcze raz do niego i zastawszy go tylko samego, już otwarcie i szczerze z nim o sprawie orientacji naszej mówiłem. Jemu, jak mi mówił, zależało na tem bardzo, żeby poznać moje zdanie, którego mu też nie „szczędziłem”. On zwiesił głowę, podparł ją rękami i milcząco słuchał. Widocznie moje wywody go jednak nie przekonały, bo przy swoim ówczesnym zapatrywaniu pozostał do dzisiaj. Dodaję, że swoim oficerskim mundurem legjonów zwracał uwagę berlińskiej publiczności. Panowie S. i Rozner wyjechali, ale pozostał na stałe w Berlinie Feldman. Tenże niebawem potem złożył mi w mieszkaniu konwencjonalną wizytę, zabawił u mnie dłuższą chwilę i rozgadał się po przyjacielsku na temat stanowiska naszego wobec wojujących państw. Używał dyplomacji, co mnie nie razilo, bo i ja czasem lubię być dyplomatą, ale zmiarkowałem wnet, czego odemnie lub przezemnie chce. Zależało mu na tem, żeby się ze mną częściej widywać, czego nie unikałem, gdyż ze swej strony powiadałem mu tylko to, co chciałem, zaś od niego pomimo jego ostrożności dyplomatycznej niejednych ciekawych szczegółów się dowiedziałem. A wiedział i znał dużo, co z rozmowy z nim w biurze jego zmiarkowałem. Z kim to on nie miał stosunków w wpływowyach kołach pruskich!

Razu pewnego zaczął mi schlebiać, że nie powinienem się takimi drobnymi sprawami zajmować, jak towarzystwa, gdyż do czegoś „lepszego” się nadaję. Naturalnie chciał mnie tem ująć do swoich celów i przezemnie swoją orientację w kolonji berlińskiej, a może i gdzie dalej przeszczepić. Odpowiedziałem mu, iż pozostanę przy mojej działalności, zaś o jakimś odegraniu większej roli, nie odpowiadającej w dodatku mojemu przekonaniu, wcale mi nie chodzi. Później spostrzegłem, jak starał się przez naszych socjalistów wpływ swój wywierać, co mu się również nie udawało, bośmy mu na odnośnych zebraniach jego robotę psuli. I to też podczas swego, względnie długiego pobytu w Berlinie, nic dla N. K. N. zdziałać pomiędzy nami nie mógł.

Pytał mnie przy sposobności, gdy Niemcy z Austrią Polskę tworzyć chciały, o moje zapatrywanie, czy koniecznie żądać jak-największej Polski, lub brać to, co dają, naturalnie w zrozumieniu, iż były zabór pruski ma pozostać przy Prusach. Na to mu dowcipnie odpowiedziałem: „Jeżeli mam dłużnika, który nie może lub nie chce od razu wszystkiego zapłacić, a ja od niego w żaden inny sposób należytości wydostać nie mogę, to biorę na raty“. „Widzi pan, to jest stanowisko, które mi się podoba“. Szybko odrzekł, zaś ja dodałem: „Tak, ale z reszty nigdy nie rezygnuję!“. Ten dodatek naturalnie mu się nie podobał.

Często wyjeżdżał i przywoził z sobą ciekawe wiadomości, z których i mnie czasem coś powiedział. Wróciwszy pewnego razu z Warszawy, był mocno „zakatarzony“, bo niemcy tam jakoś z jego politycznymi przyjaciółmi przez „pomyłkę“ źle się obeszli. Wtedy mu powiedziałem, że tak będą prusacy z nami z a w s z e się obchodzić w naszej „przyszłej“ Polsce, którą nam z łaski swojej chcą stworzyć. Zorjentował się, iż był za szczery i chciał to naprawić, ale było już zapóźno.

Wydawał, jak wiadomo, pismo periodyczne „Polnische Blätter“, w którym idee N. K. N. i swoje szerzył. Nieraz w niem na niemców się gniewał, gdy w zbliżaniu się do nas potknęli, co się mianowicie wojskowym zdarzało. W piśmie tem umieszczał pomiędzy innymi artykuły znanego profesora uniwersytetu berlińskiego d-ra Brücknera (polaka). Oprócz mnie, nakłaniał także rodaka dr. C. do swoich celów, co mu się również nie udawało.

Był członkiem w klubie „Neues Vaterland“, który niemcy, nie zgadzający się na ostrą politykę rządową, w początku wojny założyli i jednocześnie, jak mi mówiono, był tam pośrednikiem przez siebie propagowanej orientacji. Wogóle idea jego jednak się nie spełniła, przeciwnie, stało się lepiej, niż on chciał.

Zaraz w początku wojny wyszła w Berlinie sensacyjna broszura, mająca na celu przekonanie polaków, że tylko wtedy dobrze wyjdziemy na wojnie, gdy z Niemcami i Austrią razem pójdziemy. W niej opisano okrucieństwa moskali z czasów zaborczych, aby tem wykazać, jakimi prusacy wobec nich są barankami. Było kilka odnośnych ilustracyj wewnątrz, a na zewnętrznej okładce w środku Matka Boska Częstochowska, zaś z boków tego wizerunku z jednej strony papież, a z drugiej cesarz Wilhelm. Nadrukowano tej broszury liczne tysiące, w celu bez-

plątnego rozszerzenia jej pomiędzy naszym ludem, szczególnie w Królestwie. Dowiedziałem się już o niej, zanim zaczęto ją rozszerzać i że Erzberger ją pisał po niemiecku, a tłumaczył na polskie ks. W., pochodzący z Pomorza, który w Berlinie przez dłuższy czas mieszkał. Drukowaną była w znanej drukarni w Berlinie, ale na broszurze nie podano, kto ją drukował i wydał. Ponieważ ks. W. niezupełnie dobrze włada językiem polskim, więc dał ją moim znajomym do korekty, którzy umyślnie prawie wszystkie błędy gramatyczne i ortograficzne pozostawili i tak z tymi błędami wyszła.

Postarałem się o spotkanie z ks. W., któremu wręcz powiedziałem swoje zdanie o tej broszurze, zwracając uwagę, że nasz lud nie jest tak ograniczony, aby nie potrafił profanacji obrazu Matki Boskiej spostrzedz i ocenić broszury jak należy, a gdy się w dodatku dowie, że ksiądz katolicki do tego rękę przykładął, to na księży się oburzy. Usprawiedliwiał się, że on tej broszury nie pisał, na to mu odpowiedziałem: „Wiem, że pisał ją Erzberger, ale też wiem, kto ją tłumaczył, i zrobiłem uwagę, żeby lepiej tej współpracy zaniechał, bo tylko nasz naród tem drażnić może. Dodaję nawiasem, że berlińscy rodacy umyślnie masami te broszury rozbierali, aby w tem mniejszej ilości dostały się pomiędzy tych, dla których były przeznaczone. Rozstaliśmy się względnie po przyjacielsku i obiecał mnie odwiedzić, ale słowa nie dotrzymał. Później dowiedziałem się, że miał z tego sprawę przed generałem zakonu.

Niektórzy księża niemieccy wogóle za daleko posuwali się w gloryfikacji potęgi Niemiec na ambonie. W kościele św. Jadwigi w Berlinie o godzinie 11 i pół miewali podczas mszy św. ks. ks. Jezuici kazania. Niektóre były takie, jakby mówił generał do swoich rekrutów. To też pomiędzy nami było z tego wielkie oburzenie i powiedzieliśmy sobie, że na takie kazania my polacy chodzić nie będziemy, gdyż one obrażają nasze katolickie uczucia. Wyraziłem to naszym księżom tego kościoła, oni powtórzyli ks. proboszczowi, i przestano w ten sposób przemawiać. Miałem później sposobność spotkania się z jednym z tych kazających księży Jezuitów, który przypadkowo już za naszych czasów w Poznaniu bawił, i jemu te nasze niezadowolenie z tych kazań opowiadałem, co go skonfundowało.

W kaplicy przy Hamburgerstr. w Berlinie pewien ksiądz, jak mi obecny na jego kazaniu rodak powtórzył, tak powiedział:

„Gdy Pan Bóg świat stworzył, to mu się tak spodobał, że zstąpił na ziemię i ją pocałował. W miejscu tem gdzie pocałował, są Niemcy“.

Wiosną 1916 r. miał ks. biskup kazanie w kościele św. Marcieja w Berlinie, na którym byli pomiędzy innymi i katolicycy dyplomaci państw neutralnych. Pawił tak: „Deutsch zu sein ist eine Ehre vor Gott, und deutsch zu sterben ist eine Gottesgnade“. (Być Niemcem jest zaszczytem przed Bogiem, a umrzeć jako Niemiec jest łaską Bożą). Z powodu tego kazania jeden z dyptomatów południowo-amerykańskich, który na niem był, powiedział do mego znajomego, że woli się narazić na niebezpieczeństwo powrotu do Ameryki, niż w Niemczech pozostać. I rzeczywiście pojechał. Tego nadużywania kościoła do polityki dyplomaci nie mogli zrozumieć. Nadmieniam, że o wygłoszeniu tego kazania przez ks. biskupa już naprzód gazety podały.

W nr. 31 z r. 1916 pisemko „Nimm und liess“, rozdawanego bezpłatnie przed kościołem św. Jadwigi w Berlinie, napisano w artykule „Der Held“, co następuje: „Und in der Seele des betenden sterbenden Kriegers klingt es tröstend leise wieder: „Noch heute wirst du, treuer Freund, der du für mich das Schwert gezogen, bei mir im Paradiese sein“. (I w duszy modlącego się umierającego wojaka brzmi dźwięk pocieszający: Jeszcze dziś będziesz, wierny przyjacielu, któryś za mnie mieczem walczył, u mnie w raju).

Pisał mi pewien ksiądz z Górnego Śląska, że w mieście L., należącym teraz do Polski, kazał ks. proboszcz postawić podczas wojny nowy ołtarz w kościele z figurą Pana Jezusa, a obok niego czterech łotrów, wyobrażających z wyglądu francuza, anglika, włocho i rosjanina. Trzeba przypuszczać, że zmieniono ich teraz na innych, lub usunięto. Niech te parę „kwiatków“ wystarczy do ilustracji ówczesnego nastroju w Niemczech.

Korespondowałem ze znajomym mi młodzieńcem z Małopolski, który podczas wojny umiał znakomicie uchylać się od służby wojskowej, a za to naśladować żydów w dostawach dla armji, z powodu czego przenosił się z miejsca na miejsce, przyczem dużo widział i słyszał i w swój sposób mi donosił. Opisywał pomiędzy innymi tworzenie polskich legionów, którymi zrazu się zachwycał. Ale gdy był później świadkiem, jak legjoniści składali przysięgę nie Polsce, lecz Franciszkowi-Józefowi, zaczął w za-

chwytach swych chłodnąć i wreszcie mi napisał, że jedynie wasza orientacja jest dobrą. Takich młodzieńców, co z zapalem do legionów szli, a później przekonali się o bezcelowości ich, było więcej.

Ktoś z moich znajomych z Warszawy, który na początku wojny w Berlinie utknął, i wkrótce potem do Szwecji się przeniósł, pozostał tam przez cały czas wojny, gdzie bardzo się przydał. Bowiem listowne komunikowanie się osób z objętych przez okupację terenów w Królestwie, z rodakami stamtąd, którzy z jakichbądź powodów w Rosji się znajdowali, nie mogło się odbywać inaczej, jak przez Niemcy, a stamtąd do Szwecji, skąd dopiero do Rosji posyłano i tą samą drogą szło odwrotnie. Ułożyło się tak, że z Warszawy przysyłano także listy do mnie, z których wybierałem wyjątki, jakie uważałem za możliwe do przemycenia, i posyłałem je mojemu znajomemu w Sztokholmie, a on odsyłał je komu należało do Rosji. Wiadomości przesyłanych mi z Królestwa nie było można w oryginale zagranicę posyłać i musiałem uważać, co przesłać, aby nie zwrócić na siebie uwagi i nie narażać się na ewentl. nieprzyjemności. Trzeba było poprostu tak pisać, aby pomiędzy wierszami czytać było można.

Jak kontrolujący listy na treść tychże się zapatrywali, to niech posłuży następujący przypadek: Jakaś pani z Warszawy — znane nazwisko — pisała mi na karcie po niemiecku: „Gdzie mój mąż? — gdzie moje dzieci? Ja nie mam co jeść i czem pokoju ogrzać“ i t. p. i prosiła mnie, żebym ją z rodziną, która się w Rosji znajdowała, skomunikował. Ja tę wiadomość chciałem posłać do Sztokholmu, lecz urzędnik cenzuralny, którego przy sposobności o to pytałem, radził mi dla ostrożności, żeby o biedzie w Warszawie nie wspominać, gdyż „in Warschau wird für alle gesorgt“ (w Warszawie o wszystkich mieszkańców niemcy się troszczą),

To pośredniczenie sprawiło mi dużo roboty, bo czasem wysyłałem do 15 korespondencji dziennie, ale chętnie to załatwiałem, mając przeświadczenie, że się swoim przysłużę i każdemu też zaraz po odbiorze wiadomości potwierdzałem, że ją odesłałem gdzie należy. Odwrotnie, wiadomości otrzymane od mego znajomego ze Sztokholmu, odsyłałem również natychmiast każdemu pod wskazanym adresem do Królestwa. Nadmieniam, że listy nadsyłane z Królestwa do Berlina i odwrotnie były kontrolowane

w Poznaniu, gdzie znowu miałem w odnośnym urzędzie znajomych, którzy mi nieraz pozdrowienie dopisywali. Było to trochę nieostrożnie. To przesyłanie listów w jedną i drugą stronę uchodziło może jakie dwa lata, aż wreszcie mi władza zakazała tych czynności. Z jakich powodów się to stało, tego się nie dowiedziałem.

Pośredniczyłem także pomiędzy znajomymi z Królestwa, a internowanymi w obozach w Niemczech w dostawianiu wszelkich przesyłek. I tam się jakiś znajomy znalazł, co ułatwiało. Było to już ryzykowniejsze, ale nam uszło. Niemcom ono przecież szkodzić nie mogło i też nie zaszkodziło, a potrzebującym się pomogło. I z Wilna otrzymywałem ciekawe wiadomości, przesyłane mi od znajomych przy nadarzającej się sposobności. Zawsze na przesłanie wiadomości jakiś sposób się znalazł.

Telefonował do mnie znajomy mi adwokat, że się koniecznie ze mną widzieć musi i to jak najprędzej. Było to na początku wojny. Powiedziałem mu, że będę za parę godzin w jego okolicy, to do niego wstąpię. Opowiadał mi potem, że był poprzedniego wieczora w znanym hotelu Adlona w towarzystwie wybitnych niemieckich polityków, jak byłego kanclerza Bülowa byłego ambasadora w Petersburgu Pourtalesa, znanego przemysłowca Mannesmanna i kilku innych. Było ich może razem z tuzin. On, jako polak, mający znane niemieckie szlacheckie nazwisko, dostał się do tego koła przez swego znajomego, Niemca pochodzącego również ze szlachty. Omawiano tam w jaki sposób możnaby polaków zbliżyć do Niemców. „Przecież Pan wie, — powiada do mnie — że ja politykiem nie jestem i nie wiedziałem, co im powiedzieć na ich pytania, więc możeby Pan też tam przyszedł, ponieważ mamy się częściej schodzić“. Odpowiedziałem mu, że nie przyjdę i jemu również odradzałem, gdyż nas do tego z naszej strony nie upoważniono, a na własną rękę nikt nie powinien działać. A gdyby nawet co do tego porozumienia pomiędzy nami, gdzie i z kim należy, miało nastąpić, to byłbym stanowczo przeciwko temu, aby się z Niemcami wdawać, gdyż od nich jakichś korzyści dla nas spodziewać się nie można. To go nie przekonało, bo chodził dalej na te zebrania.

Upłynęło od tego czasu parę miesięcy. Przyszedł wtedy do mnie jego kolega, którego dla jakiegoś defektu z wojska zwolniono, i znowu mi opowiada o tych zebraniach, na które również chodzi, i namawiał mnie, abym i ja koniecznie przyszedł.

Pytam go: „Co to grono Niemców właściwie od nas chce?“ On mi tłumaczył, że życzą sobie, aby z nami nasi politycy z był. zab. prusk. utworzyli komitet na czele z biskupem Likowskim, którego zadaniem byłoby wpływać na rodaków w Królestwie za pomocą odezw, broszur itp. żeby, o ile powstania przeciwko Rosji wywołać nie można, wojsku niemieckiemu i austriackiemu chociaż tylko w potrzebie informacjami pomagali i dodał: „Jeden z wysokich urzędników wyraził się przy tej sposobności, żeby jednak dobrze było, aby ze znanych polskich polityków, mieszkających w Berlinie, ktoś do tego komitetu należał, wymieniając przy tym pana, więc dlatego do pana przyszedłem“. Nie oszczędziłem mu cierpkich słów za to, że tam chodzi i kategorycznie oświadczyłem, że nie tylko nie przyjdę, ale będę stanowczo przeciwko tej kombinacji występował. Z tem odemnie odszedł. Nic więcej potem o tych zebraniach nie słyszałem, a gdy po kilku miesiącach jednego z tych dwóch znajomych przy sposobności zapytałem, co się ostatecznie stało z temi zebraniem i co uradzono, odpowiedział mi, że się wszystko bez rezultatu rozeszło. „No, ale jedliście i piliście przy takich sposobnościach i to późno w noc, jak pan sam powiadał, a tam jest drogo, więc kto płacił, bo Pan na to nie ma?“ „W każdym razie ja nie płaciłem“, odpowiedział mi. Naturalnie szło to z funduszków wojennych. Czy ci dwaj panowie zdołali kogo innego z rodaków do tego grona przyciągnąć, tego nie dowiedziałem się. Ale być może.

Jeszcze dwóch podobnych wypadków, które na początku wojny również miały miejsce, pominąć nie mogę. Było to może w pierwszym tygodniu wojny. Przyszedł do mnie znajomy mi dziennikarz z Warszawy jeszcze z jednym obywatelem z Królestwa i pomiędzy innymi pytał mnie, dlaczego nie przychodzę do pewnego znanego rodaka na konferencje i dodał: „My się tam schodzimy i naradzamy, jakie stanowisko zająć mamy wobec położenia, wywołanego wojną. Jutro rano znowu się zbieramy“. Odpowiedziałem, że nie wiedziałem o tych zebraniach i obiecałem na drugi dzień przyjść, co też uczyniłem. Zastałem tam kilkunastu samych królewaków różnych odcieni politycznych, począwszy od skrajnej prawicy, a skończywszy na socjalistach. Radzili, w jaki sposób przedostaćby się mogli do Królestwa, względnie do Warszawy, choćby za cenę pewnych usług mocarstwom centralnym. Przysłuchiwałem się temu ciekawie i spostrzegłem, że każdy z nich miał tylko swoje osobiste interesy

na oku, choćby z poświęceniem interesów narodu. Wreszcie wzięło mnie paru na bok i zapytało o moje zdanie. Ja im otwarcie powiedziałem, co myślałem, a co im się nie bardzo spodobało. Wszedł podczas mego przemówienia jeden z naszych posłów i słuchając, co mówię, oświadczył, że całkowicie moje zdanie podziela. Obaj z posłem potem wyszliśmy, a reszta jeszcze pozostała. Ponieważ wyczułem, że gospodarz tego mieszkania podzielał zdanie gości z Królestwa, więc na drugi dzień rano poszedłem jeszcze raz do niego, aby mu zwrócić uwagę na następstwa. On mi oświadczył, że jest świadom tego, co robi i stawia wszystko na jedną kartę. Na to mu stanowczo powiedziałem, że tego mu robić, jako polakowi, nie wolno, a szczególnie na stanowisku, jakie zajmuje, bo nietylko o niego chodzi i radziłem mu wycofać się. Miałem później wrażenie, że mej rady usłuchał.

Tak niektórzy rodacy chcieli na własną rękę sprawie naszej „dopomagać“.

Odwiedził mnie jakiś Niemiec, literat, legitymując się dokumentami, że był długie lata szefem politycznego oddziału w „Lokalanzeigerze“ i parę miesięcy u Bismarcka w Warcinie przepędził, jako jego sekretarz, czy coś podobnego. Czy z jakiego polecenia przyszedł, tego mi nie powiedział. Oświadczył tylko, że chciał mówić ze mną „Ueber die Annäherung der Polen zu den Deutschen“ (o zbliżeniu Polaków do Niemców). Mówię mu, że pewnie pod fałszywy adres zaszedł, gdyż ja w takie sprawy się nie wdaję i na nich się nie znam. Odpowiedział mi, że go z kompetentnej strony zapewniano, iż może ze mną o tem mówić. Dowodził mi, że Polska powstać musi i chodzi tylko o bliższe porozumienie się w jakich granicach, zapytując mnie, czy i Poznań będą musieli oddać? Odrzekłem mu: „Natürlich, wir nehmen sogar Danzig!“ (naturalnie, my nawet Gdańsk weźmiemy). Wogóle traktowałem sprawę z humorem i oświadczyłem mu, że my obaj jej nie załatwimy, ale powinien iść do jeneralnego sztabu i dowiedzieć się, co tam o tem myślą. Przynależał to zrobić i za tydzień o rezultacie mi powiedzieć. Odchodząc, pytał mnie jeszcze, co myślę o Żydach w Królestwie? „Tych wam potem wszystkich podarujemy“ — odpowiedziałem, — na co zrobił uwagę, że Niemcy już ich dosyć mają. Dotrzymał słowa i przyszedł tydzień później drugi raz, powiadając mi, że mówił pomiędzy innymi z ministrem spraw wewnętrznych Loebelem,

który mu powiedział: Die Sache ist noch verfrüht“. (Sprawa jeszcze nie dojrzała), ale niedługo będzie można o tem pertraktować. Z swej strony dodałem, że rozbiór Polski teraz zaczyna się mścić na tych, co ją rozebrali, a jeżeli Niemcy chcą dla nas co zrobić, to niech zrobią bez nas, my im pomagać w tem nie będziemy, gdyż cokolwiek zrobią, uczynią to w interesie własnym. Co też przyznał. Odszedł i więcej się nie pokazał.

W drugim roku wojny przybył do Berlina znany później u nas dziennikarz p. Cz. z Ameryki, przysłany przez jedną z wielkich amerykańskich gazet angielskich w Chicago, w celu obserwowania z bliska nastroju wojennego, a specjalnie interesowała go sprawa polska. Napis polski na konfesjonale w kościele św. Jadwigi temu winien, żeśmy się poznali, czego wcale nie żałuję. Powiedział on sobie, że jeżeli napis polski jest, to i ksiądz polski być musi więc odszukał go, a ten go do mnie przysłał. Odrazu zrozumieliśmy się, a że dłuższy czas przebywał w Berlinie, więc spędziliśmy razem niejedną chwilę. Władze go obserwowały i na każdym kroku utrudniały mu osiągnięcie celu. Wszędzie za nim swoich stróżów posyłali, a tembardziej, gdy szedł do amerykańskiego posła, którego już wtedy o nielojalność wobec Niemiec posądzano, i nie ufano mu. Cz. jednak sprytem swego dokonał, co zamierzał.

Drugi raz przyjechał, gdy wojna się skończyła i w Poznaniu mnie odwiedził, bo już dowiedział się po drodze o mojem przeprowadzeniu się. Przybył do Poznania w jakiejś sprawie z amerykańskim pułkownikiem Grewe i urządziliśmy w trzech na życzenie pułkownika pogadankę polityczną, gdyż chciał dowiedzieć się o naszym stosunku do Niemiec. Jemu się zdawało, że gdy Hohenzollernowie usunięci zostali, to z republikańskim rządem będzie można łatwo dojść do porozumienia się i zalecał do Niemców przychylnie się odnosić. Pan Cz. był również tego samego zdania, pomimo tego, że już dłuższy czas pomiędzy nami się obracał i miał sposobność niemców dobrze poznać i nasze stanowisko do nich. Objaśniłem ich, że się mylą, bo ten sam duch, co tkwi w Hohenzollernach, jest nieomal w całym narodzie, gdyż tak od wieków systematycznie go wychowywano. Są to jeszcze ci sami krzyżacy, co pod Grunwaldem walczyli i ich potęgę trzeba wprzód całkiem złamać, bo inaczej będą zawsze groźni, nietylko dla sąsiadów, ale i dla całego świata. Radziłem pułkownikowi prze-

czytać „Krzyżaków“ Sienkiewicza dla lepszego orjentowania się, kto są niemcy, a specjalnie prusacy. Wyczulem, że był kontent z naszego spotkania się.

Nic też dziwnego, że amerykanie, mając takie zdanie o Niemcach, znany idealizm w Europie propagowali, jeżeli od Wilsona począwszy wszyscy tak mało znali stosunki w Europie, a szczególnie środkowej. Owszem, niech będzie idealizm, do którego każdy człowiek i państwa dążyć powinni, lecz musi być wprzód do tego równomiernie grunt przygotowany i przynoszący wszystkim równą korzyść, gdyż inaczej będzie jednostronny, czyli niesprawiedliwy. Czy się ich poglądy zmieniają, i kiedy?

Wiadomo, że podczas wojny było w Niemczech nadzwyczaj skąpo z żywnością, co Anglicy trafnie obliczyli. Uwydatniło się w tym czasie dowodnie, że Niemcy same wyżywić się absolutnie nie mogą. Z zagranicy przeciwnik nie pozwolił przywozić, a to co Niemcy zabierali, gdzie tylko mogli, nie wystarczało ani w przybliżeniu do uzupełnienia swoich zbiorów, pomimo racjonowania, by wszyscy jako tako najeść się mogli. Po wsiach i małych miasteczkach, a szczególnie w okolicach rolniczych, jeszcze jakoś szło, lecz w większych miastach i okręgach przemysłowych był ogromny głód, o którym żyjący na roli, pojęcia nie mieli. Statystycy niemieccy i ministrowie w parlamencie fałszywie stan rzeczy przedstawiali, naciągając według potrzeby statystykę wyżywienia, i przypuszczając trzeba, że umyślnie.

Już w roku 1916 zaczął nam w Berlinie głód dokuczać, ale w 1917 był już nie do zniesienia. Od kompetentnych urzędników dowiedziałem się w zaufaniu, jak wielu ludzi w Berlinie umierało na różne choroby, wywołane głodem. Nasi rodacy, mający stosunki z krajem, ratowali się jeszcze jako tako, bo im pomimo zakazu przysyłali żywność krewni i znajomi, lub jeździli umyślnie do kraju i przywozili. Zaś ci mieszkańcy Berlina, co takiego kontaktu ze wsią nie mieli, a tych było najwięcej, to już nie wiem, jak ten czas przeżyli. Nawet wielu bogatych ludzi głód cierpiało, bo nie zawsze za pieniądze było można żywności dostać. Służące zostawały tylko u tych państwa, gdzie jako tako jeść dostały, inaczej odchodziły.

Na wiosnę 1917-go roku zanosilo się jeszcze na gorsze, pomimo oczekiwanego dobrego sprzętu produktów rolnych. Postanowiliśmy tedy z żoną i córkami, że wyjadą w kwietniu na

całe lato i jesień do mojej rodzinnej wsi, by stamtąd już wprost do Poznania wrócić, dokąd w jesieni zamierzaliśmy się przenieść, a ja pozostanę sam w Berlinie i będzie mi gospodarzyć służąca emerytka, jaka się nam akurat nadarzyła, mająca co do wyżywienia skromne wymagania. Jak ten przykry czas aż do przeprowadzenia się do Poznania przebyłem, to już dzisiaj pojąć nie mogę. Takiego znakomitego apetytu nie miałem od mych młodych lat.

Co jedliśmy z moją gospodynią? Rano piłem filiżankę kakao, naturalnie bez mleka i czasem bez cukru, do tego mały kawałeczek chleba, jeżeli było trochę mąki i gospościa mogła upiec, bo chleba na kartki jeść nie mogłem bez narażenia się na chorobę żołądkową. Chlebek latem wnet stwardniał, to się go moczyło w kakao, a jak go nie było, to samo kakao musiało wystarczyć. Gospościa też sobie w podobny sposób ze śniadaniem radziła. Drugie śniadania tośmy sobie wyperswadowali, tak samo i podwieczorki. Na obiady, to już ani ściśle nie pamiętam, jakie „delikatesy“ zjadaliśmy. Przypominam sobie tylko, żeśmy na dwie osoby aż pół funta kartkowego mięsa na tydzień dostali i to często z kośćmi, które podzieliliśmy na dwa obiady. Było to zbyt „skromnie“, ale zawsze coś. Mięso dzieliłem sam sprawiedliwie pomiędzy gospościami i siebie, ponieważ podejrywałem ją, że ona dzieliła na swoją niekorzyść. Do tego po parę kartofli, któreśmy z trudem zdobyli, lub nam rodzina przysłała. Kartofle trzeba było do obiadu obliczać i jeżeli mi podała cztery zamiast trzech i to wcale niewielkie, to jej zaraz zwrócił uwagę, iż jest zbyt „rozrzutną“. Z czego przyrządzała sos i zupę, to już pozostanie jej tajemnicą. Mam tylko jeszcze w pamięci, że oka na nich trzeba było szukać. Z czego kolacja się składała, to już dzisiaj sobie słabo przypominam. Czasem udało się rodzinie przesłać mi jajek, mięsa i tłuszczu, lub pod ręką w Berlinie od znajomych dostać, co z kraju przywieźli, więc wtedy był raj.

Zwykle po kolacji szedłem na posiedzenie jakiegoś towarzystwa i wracałem o północy. O, jak mi się o tej porze jeść chciało! Ale nie było w domu nic, więc zapaliłem dla odegnania głodu papierosa i po wypaleniu go, szedłem spać. Przynajmniej mam taką naturę, że mogę dobrze sypiać, choć głodny jestem. Gdy warzywo już było, to nawet tego dostać było trudno, bo gdy się na rynku pojawiło, formalnie się o nie bito. Rodzina

byłaby mi częściej żywności przysyłała, ale zachodziły nie małe trudności, bo trzeba było z paczką się kryć, niosąc ją na pocztę, oddaloną o parę kilometrów, aby żandarm po drodze nie napotkał. Pozatem w lecie podczas upału żywność w paczkach się psuła, zanim na miejsce doszła, gdyż nieraz po kilka dni była w drodze. Wreszcie często ginęły paczki podczas przesyłki.

Najgorzej było, gdy jaki gość zawitał, którego czemś przyjąć wypadało; to już był całkiem ambaras. Odwiedził mnie pewnego razu ks. jezuita z Krakowa, tośmy aż dwa jajka z kądś wydostali, aby go nakarmić, a gdy mój szwagier z Kujaw nie chciał jeść tak zw. placków z kartofli, bo nie lubił, to mu powiedziałem, że nie dostanie nic, kiedy taki wybredny. Widocznie na Kujawach mieli jeszcze co jeść.

W końcu sierpnia pojechałem do rodziny. W pociągu dał mi jakiś rodak z Westfalji pierwsze tego lata jabłka, które ze smakiem zjadłem. Na wsi pierwsze cztery dni tylko wciąż jadłem. Wróciwszy do Berlina, zabrałem z sobą trochę żywności, która starczyła do połowy września, t. j. aż do stałego opuszczenia tego głodowego i wyголоzonego miasta.

Po wysłaniu mebli do Poznania zatrzymaliśmy się jeszcze parę dni w Berlinie, zanim one tam doszły. W tym czasie jedliśmy w restauracjach. Pierwszy obiad spróbowaliśmy w jakiejś porządnej restauracji. Przy wejściu do jadalni pytamy wychodzącego jegomościa, jeszcze się oblizującego, czy obiady dobre. „Famos“! — odpowiada. W jadalni było dużo oficerów, co również potwierdzało zdanie owego Niemca. Gdy zupę podano, musiałem ją zaraz odstawić, bo smakowała jakąś trawą, a raczej wogóle smaku nie miała. To samo było z mięsem. Odsunąłem, zapłaciłem i zły wyszedłem z lokalu. Podziwiałem tylko Niemców, jak im takie jedzenie smakować mogło i z jaką rezygnacją oni to znosili. Drugi i ostatni obiad w Berlinie dnia następnego przygotowała nam znajoma restauratorka, u której nasze towarzystwa zebrania miewały, która przypadkiem z kraju żywności zdobyła. Ten był dobry, a nawet obfity. W Poznaniu już nie głodowaliśmy. Polska może swoich mieszkańców wyżywić nawet w tak trudnych warunkach.

Może kwartał przed wojną miał w ratuszu charlottenburskim jakiś francuski profesor, zaproszony przez niemiecką „Ligę pokoju“ („Friedensliga“), wykład o ujemnych skutkach wojny, zwalczając ją namiętnie jako barbarzyński przeżytek, niegodny kulturalnych

narodów. Po nim przemawiał w tym samym duchu pewien pastor i poseł do niemieckiego parlamentu, radząc, żeby w szkołach uczono zamiast gloryfikacji wojen (naturalnie wygranych!) o okropnościach, jakie one powodują, aby już w dzieciach wzbudzić wstręt do nich. W parę miesięcy potem wojna wybuchła, jakby na ironję.

Gdy w Tow. Przemysłowców w Berlinie miałem wykład o wojnie, dowodząc, że wojny są niepotrzebne i że przyjdzie czas, kiedy ludzie się upamiętają i wojen nie będzie, to jeden z członków twierdził, że wojny od niepamiętnych czasów były i będą nadal, gdyż nawet aniołowie w niebie wojnę z sobą prowadzili, spychając z nieba na dół zbuntowanych przeciw Bogu złych aniołów. Zafrasował mnie tem, alem się wytłumaczył, wyjaśniając, że to malarz na obrazie tak z fantazji namalował, aby ludziom jakoś tę walkę uwidocznić, w rzeczywistości co do formy mogło być inaczej i że dobre ze złem zawsze się zmagać będzie, tylko sposoby walk będą się zmieniać. Tem się zadowolił.

O wojnie takie mam zdanie. Raz kiedyś, może za parę set lat, historycy tak o nas pisać będą: „Roku Pańskiego 1914 wszczęła się w Europie okrutna wojna, trwająca kilka lat, która w skutkach swych cały świat ogarnęła. Wymyślono różne mordercze narzędzia i trujące gazy w celu masowego zabijania się i wymordowano liczne miliony ludzi, a głód i niedostatek, powstałe z powodu wojny, wyniszczyły jeszcze więcej. Co gorsze! Zmuszano ludzi do wzajemnego mordowania się! Ludzie jakby obłądu dostali i jeszcze przez długie lata po wojnie nie mogli się pomiędzy sobą zgodzić. Widocznie stały wtedy narody na bardzo niskim poziomie kultury i moralności“.

Powrót na stałe do kraju.

Zdecydowawszy się pozostać w Berlinie i założyć tam domowe ognisko, nie przestałem nigdy marzyć o powrocie do kraju. Wprawdzie miałem przykłady na innych rodakach, którzy tak samo marzyli, a jednak rzadko który z nich, co tam na dłuższy czas osiedli, do kraju wrócił, bo stosunki potem inaczej się ułożyły i były silniejsze od ich woli, jak również możliwości spełnienia zamiaru. Przykłady te nie miały jednak wpływu na moje postanowienie, mianowicie, gdy mi zaczęło w przedsiębiorstwie się powodzić. I powiedziałem sobie: „Co innym się nie udaje, to mnie się udać może i musi“.

Zaraz po osiedleniu się nie wiedziałem jeszcze, kiedy i w jakich warunkach będę mógł wracać, lecz gdy niebawem przedsiębiorstwo zaczęło wzrastać, wtedy już powziąłem pewien plan, który choć po dłuższych latach przeprowadzić zamierzałem, to jest, zdobyć przez pracę tyle, żebym mógł zapewnić sobie choć skromne utrzymanie na starsze lata i z tem do kraju wrócić. Prawie, że matematycznie wyliczałem, kiedy to nastąpić może.

W tej myśli kierowałem bratem, jako przyszłym moim następcą, aby nie oddać magazynu w obce ręce i to z tem moralnem zastrzeżeniem, żeby i on, będąc znacznie młodszym odemnie i dorobiwszy się, również do kraju wrócił. Widziałem, że to moje kierownictwo w stosunku do niego było mu nieraz przykre w wykonaniu, ale bez tego nie mógłbym mego zamiaru przeprowadzić, t. j. po wycofaniu się z interesów, oddać mu przedsiębiorstwo i to w takich warunkach, aby je zdołał utrzymać. Chodziło mi o zainteresowanie się przedsiębiorstwem z jego strony i oszczędność w jego osobistych wydatkach. To ostatnie było również koniecznem, bo choć mu magazyn oddałem na dogodnych warunkach, to ze swej strony musiał mieć choć trochę oszczędzonego kapitału, aby jednocześnie dać tem dowód, iż umie się rządzić. Mierzę bowiem każdego w takim przypadku, czy i jak oszczędza. On mnie słuchał i dlatego mój zamiar pod każdym względem całkowicie się udał. Nawiasem dodaję, że mój dalszy plan był ten, aby po bracie znowu kto z moich bliskich przedsiębiorstwo przejął, lecz to się z braku takiego nie bardzo zapowiadało, a później wskutek zmiany ustroju politycznego przestał być całkiem aktualnym.

Przedsiębiorstwo rozrosło się do rozmiarów, o jakich na początku nie marzyłem i pozostawiłem je bratu zdrowe i w pełnym rozkwicie. Szczerze wyznaję, że w ostatnim czasie dochód był znacznie wyższy od pensji pruskiego ministra, zwłaszcza, że i zarobiony w długich latach kapitał mi dopomagał. Ponieważ aktywa i pasywa zatrzymałem dla siebie, więc wypadło mi jeszcze jakiś czas w Berlinie pozostać, aby je zlikwidować, gdyż tylko stamtąd można było dogodnie to zrobić. Liczyłem, że dwa lata na to wystarczą, tymczasem się mocno przeliczyłem, gdyż choć zacząłem likwidować z początkiem 1910 roku, wojna mnie jeszcze w Berlinie zastała i na dobitkę wyjazd do kraju opóźniła. Dopiero w r. 1917-tym udało mi się zamiar wykonać. Wybrałem na stały

pobyt Poznań, aby jako w największym polskim mieście był. zaboru pruskiego znaleźć odpowiednie miejsce mojej przyszłej społecznej pracy.

Do Berlina przyjechałem na początku marca 1880 r. a opuściłem go w jesieni 1917, czyli, że z krótką przerwą pobytu mego w Warszawie, byłem na obczyźnie 37 i pół lat. Jakiż to kawał czasu! Aż mi się wierzyć nie chce, że tak długo na obczyźnie byłem. Lecz gdy obejrzałem się wstecz i przed oczyma mojemu przesunęły się skutki tego długiego pobytu, uczułem błogie zadowolenie, że nie napróżno ten czas tam strawiłem. Resztę lat mego życia i byt rodziny widziałem materialnie zabezpieczony, tak, że spełniło się to, co ojciec mi przy wyjeździe do Berlina powiedział, żebym pamiętał, „iż tam pieniądze robią“. Mogłem też powiedzieć żartem do znajomych, że „czwartą klasą do Berlina przyjechałem, a pierwszą mogę do kraju wracać“. Lecz to drobnostka. Większe zadowolenie było moralne. Wszak i mnie było danem przyczynić się do rozwoju życia narodowego kolonii berlińskiej. To, co przed laty zdawało mi się do przeprowadzenia w Berlinie niemożliwym, stało się rzeczywistością. A dalej, dzieci udało się nam wychować pod względem religijnym i narodowym jak Bóg przykazał, tak, że sumienie nasze co do tego jest spokojne. Wróciły one z chęcią do pracy w kraju i dla kraju. Same pchały mnie do najszybszego powrotu i tak, jak ów korespondent pisał: „i gdy wsiądą do pociągu, który ich do Ojczyzny ma zawieźć, to wybiorą pierwszy wagon za lokomotywą, aby być jak najprędzej w kraju“. My zaś, jako rodzice, mieliśmy jeszcze i to zadowolenie, że dwoje nas z kraju wyjechało, a pięcioro wróciło. Wszak to także dorobek. Szkoda, że nie więcej!

Nadto po dłuższych fizycznych cierpieniach w najlepszych latach mego życia wrócił mi Pan Bóg zdrowie! Podług zdania niektórych lekarzy powinienem był już dawno umrzeć (oj, jak często oni się na mnie mylili!), a ja nietylko jakby na przekorę im żyję, lecz wywoziłem z sobą jeszcze sporo życiowej energii i chęci do pracy, które, jak i mój cały wolny czas poświęcić pragnę na usługi społeczeństwa naszego bez wszelkiej pretensji do niego. Widocznie organizm mój był tylko nadwątłony, a nie chory, i dlatego wrócił do normalnego stanu. Ta długoletnia ciężka praca nie wyczerpała jednak moich sił! Zawdzięczam to jedynie temu, że ich na żadne takie „przyjemności“, któreby

zdrowiu szkodzić mogły, nie nadwyręzałem wcale i szczerze wyznaję, że żadna pokusa do złego nie miała do mnie nigdy przystępu. Chroniły mnie przed tem zasady wyniesione z domu rodzicielskiego, które mi na obronę zupełnie wystarczyły. Inaczej mieliby owi lekarze rację, że późniejszych lat nie doczekam. Zresztą uważam, że mężczyzna, ulegający pokusom do złego, nie jest w znaczeniu słowa mężczyzną. Pragnę też przez powyższe powiedzieć, że praca jako taka nie nadweręża sił, a szczególnie zdrowia, tak, jak niewłaściwy sposób życia.

To też pomimo nieco późnych lat czuję się jeszcze w pełni sił i praca od rychłego rana do późnego wieczora jest dla mnie największą przyjemnością. Lat spędzonych na obczyźnie wcale nie liczę i uważam je jako nie były. Jeżeli dodam, że miałem tylko elementarne wykształcenie ówczesnej wiejskiej szkoły i od 14-go roku mego życia rodziców prawie, że nic nie kosztowałem, to przyznaję, iż z pewnem uczuciem zadowolenia do kraju wracałem.

Przy tej sposobności dziękuję serdecznie wszystkim moim współpracownikom, a szczególnie tym, którzy bliżej mnie stali — za ich wydatną pomoc. Pomagali mi w zrozumieniu mojem i pracowali często z poświęceniem. Cieszę się, że prawie wszystkim teraz dobrze się powodzi, czego im nadal życzę.

Jeszcze parę uwag pozwolę sobie dorzucić.

Byłem i poniekąd jeszcze jestem zwolennikiem przysłowia, że „każdy jest kowalem swego szczęścia“, lecz gdy teraz nad tem przysłowiem bliżej się zastanawiam, przychodzę jednak do przekonania, że Bebel miał rację, gdy twierdził, iż w życiu człowieka większą rolę odgrywają okoliczności, niż jego własne zabiegi. Bo gdybym był osiadł w jakim małym mieście, jak to po zawodowym wykształceniu się było moim zamiarem, to z natury rzeczy wyniki mej pracy mogły być poniekąd tylko odpowiednie miejscowym warunkom. Los rzucił mnie jednak do Berlina (sam nie wiem, dlaczego tam zostałem, bo się nad tem wtedy nie zastanawiałem), gdzie znalazłem w każdym kierunku szerokie pole do pracy. Naturalnie, że o powyżej przytoczonym przysłowiu również jeszcze wciąż pamiętałem. „Kowalem swego szczęścia“ rozumiem w ten sposób, że nadarżającą się sposobność trzeba umieć pochwycić i ją w dobrem wyzyskać. Idę jeszcze dalej! Trzeba także dawać sposobność innym do ich powodzenia, zachęcać ich do tego, a nawet popychać.

Wskutek okoliczności wyrobiło się moje stanowisko w Berlinie pod względem społecznym, politycznym materialnym, a nawet towarzyskim, jako wyjątkowe, czego, przyznaję, przedtem nie przewidywałem. Wytworzyło się samo. Na takim stanowisku było można łatwiej działać, ponieważ mnie znano i miano do mnie zaufanie, którego też starałem się nigdy nie zawodzić. Przez Berlin bowiem poznałem dobrze nasz kraj i jego warunki (trochę dziwnie brzmi, że akurat przez Berlin!), mogłem więc nie jednemu odpowiednią radą służyć. Spostrzegłem też później, że towarzysko byłem pośrednikiem pomiędzy osiadłą w Berlinie — aczkolwiek nie liczną — inteligencją, a zarobkującą szeroką warstwą, gdyż miałem sposobność spotykania się ze wszystkimi.

Likwidację mojej publicznej pracy przygotowywałem powoli i kontent byłem, że znaleźli się odpowiedni następcy. Mam wreszcie jedno życzenie: żebym wszystkich rodaków z obczyzny mógł za sobą pociągnąć, by również w kraju dalej pracować mogli. Wprawdzie część ich zdołała już wrócić, lecz co najmniej $\frac{1}{5}$ wskutek różnych okoliczności tam pozostała, nie przestając z pewnością również marzyć, kiedy i oni wrócić będą mogli. A przydaliby się tu. Takżeśmy się tam wychowali!

Urządzenie się w Poznaniu.

Już jakie pół roku naprzód wynająłem mieszkanie w Poznaniu i to w dzielnicy Łazarskiej, o które wtedy nie było jeszcze trudno. Ulicę, przy której nasze mieszkanie się znajduje, zamieszkiwali naówczas głównie sami Niemcy, a szczególnie urzędnicy rządowi i prywatni. Nasz dom należał wyjątkowo do Polaka, lecz lokatorzy, prócz zawiadowcy domu, byli sami Niemcy. To też patrzeli na nas, jak na intruzów, żeśmy mieli śmiałość i odwagę wdrzeć w ich stan posiadania. Zdaje mi się, że byłem pierwszym z przyprowadzających się do Poznania, co to zrobił. W Berlinie współlokatorzy nie odnosili się do nas z taką rezerwą, jak tutaj. Za to po rewolucji, gdy nasze rządy nastąpiły, przychodzili do mnie z prośbą o protekcję, żeby im się nic nie stało. Powoli już prawie wszyscy się powyprowadzali.

Po urządzeniu się w domu trzeba było obejrzeć się za jakąś czynnością. Więc najprzód kontynuowałem dalej tę „przyjemną“

funkcję ściągania pretensyj od reszty dłużników, których, pomimo blisko 8-miu lat likwidacji, pozostała jeszcze wcale pokaźna liczba, tak, że pomagało mi jeszcze po kolei godzinami paru byłych moich berlińskich współpracowników biurowych, którzy tu już mieszkali, względnie jeden z nich po mnie się sprowadził. Powoli ilość dłużników się zmniejszała i ściąganie szło tak długo, aż nasza marka doszła do minimalnej wartości, że nie warto było o dalsze ściąganie się ubiegać. Rzadko bowiem kto z rodaków w miarę spadku wartości marki płacił więcej nad to, co był winien, opierając się na owem nieszczęsnem rozporządzeniu władz naszych. Dzięki temu rozporządzeniu, straciłem poważną część mego majątku. Dłużnicy w Niemczech płacili mi w markach niemieckich, które też powoli traciły na wartości. Na nich miałem wyroki sądów pruskich, na mocy których ztąd nawet już za polskich czasów, można było ściągać, więc płacić musieli, inaczej nie byłbym od nich nic wy dostał. Wreszcie dałem i tam za wygrane. Może też którego z pozostałych dłużników jeszcze sumienie ruszy i w dolarach, czy frankach, a choćby w przyszłych złotych polskich mi zapłaci. Nie bardzo się jednak tego spodziewam.

To było pierwsze zatrudnienie. Następnie urządziłem — raczej sam się znowu urządził — mały konsulat, podobny jak w Berlinie. Szczególnie rodacy z wychodźstwa po różne informacje do mnie się zgłaszali, zanim jeszcze nasze rządy nastąpiły i to w przeczuciu, że ta zmiana napewno nastąpi. Chętnie im w każdym przypadku służyłem, a jeszcze chętniej zająłbym się nimi na szerszą skalę, mianowicie, gdy zaczęli do kraju się sprowadzać, lub chcą się tu dostać, lecz zanim ten ruch powstał, zajęto mnie innemi sprawami, tak, że nie wiele czasu mi na to pozostało.

Ot, gdy to piszę, wchodzi do mnie jedna z berlinianek, może w moich latach będąca, która chciała odemnie dowiedzieć się, czy jest nam tu lepiej, lub w Berlinie było? Bowiem podczas swego długiego pobytu w Berlinie przywykła do tamtejszych stosunków i nie może ich zapomnieć. Byłem w ambarasie, bo jej już nie poznałem, a jako mnie dobrze znająca, nie uważała za potrzebne, choć powiedzieć mi swoje nazwisko. Na dowód długoletniej znajomości zemną przypominała mi szczegóły z moich młodych lat (ale tylko dodatnie), a nawet wiedziała, u kogo wtedy

mieszkałem. Nie śmiałem więc jej pytać, kto ona jest i udawałem, że ją również dobrze znam. Zdaje mi się, że jest to jedna z tych, która, gdy jeszcze nie byłem żonaty, na mnie liczyła.

Wytłomaczyłem jej, że w Polsce jest lepiej niż w Berlinie, już choćby dlatego, że w kraju mieszkamy, a i żywności mamy więcej niż w Niemczech mają. Uspokoiła się tem i odeszła, ale do dziś nie wiem, kto ona jest, pomimo, że mi aż dwie godziny czasu zabrała, co niech jako dowód potrzeby takiego „konsulatu“ dla berliniaków służy. Swoją drogą rozumiem tę berliniankę, która po za berlińską atmosferą chowała się tam w polskiej atmosferze i zatęskniła za nią. Przyszła więc do mnie, żeby choć trochę o minionych czasach zemną pogawędzić.

Poznań i jego stosunki już od dawna nie były mi obcemi, jak również i ja Poznaniowi byłem znany, pomimo to zająłem zrazu stanowisko obserwujące, gdyż jest moim zwyczajem wprzód wszystko dokładnie poznać, a tem mniej narzucać się, tak, że z początku obywatelskich obowiązków na mnie nie nakładano. Jedynie przystąpiłem wkrótce jako członek do jednego z rzemieślniczych towarzystw i tu i owdzie mieszałem na życzenie wykłady z dziedziny społecznej. Dopiero z nastaniem naszych rządów zaczęto mi różne obowiązki przydzielać. W r. 1919-tym nałożono mi obowiązek członka Magistratu, który przyjąłem i według możliwości go wykonuję. Osiadłszy tu, nie przypuszczałem, że wypadnie mi w ratuszu współpracować. Był to dla mnie zupełnie nowy teren pracy, gdyż, jak już w jednym z poprzednich rozdziałów wspomniałem, w Berlinie oszczędzano mi obywatelskich obowiązków. Mam więc wgląd w wszelkie miejskie sprawy, które mnie interesują i wykonywanie ich przyjemność mi sprawia. Nie spodziewałem się, że w stosunkowo tak krótkim czasie znajdą się w zarządzie miasta odpowiedni ludzie, którzy zastąpią tych, co poszli. Gdyby ostatni mieli sposobność przekonania się czynności teraźniejszego zarządu miasta, to przekonali by się, że nie mniej sprawnie idzie, jak za ich rządów, a może jeszcze sprawniej.

Najbardziej interesuje mnie szkoła, boć w niej cała nasza przyszłość. O ile spostrzegam, to prowadzenie jej jest w rękach ludzi fachowych i mających do sprawy zamiłowanie, co może napawać na przyszłość otuchą. Moje obowiązki w Magistracie nie wszystek czas mi zabierają, więc mogę jeszcze innym sprawom resztę poświęcić.

Drugim moim obowiązkiem jest łagodzenie sporów pomiędzy tymi, co mają zwyczaj jeden drugiego osobiście obrażać, a co się najczęściej u kobiet zdarza. Widać z tego, że ludzie są drażliwi na punkcie swego honoru i, ażeby od razu zwykłych sądów tem nie zaprzętać, próbuje się wprzód na drodze ugodowej, co też często się osiąga. Uderza mnie, że obrażają się nawet ludzie z wyższem wykształceniem. Najpewniejszy skutek osiągam, gdy narzeczona na swego narzeczonego o jakie „przestępstwo“ skargę wniesie. Tych napewno pogodzę.

Dalszem mojem zatrudnieniem jest pomaganie w doprowadzeniu do zgody pomiędzy pracobiorcami a pracodawcami. Ten dział jest dla mnie bardziej interesujący, niż poprzedni. Nieraz jest trudnem zadaniem pogodzić jednych z drugimi, mianowicie w takich czasach i warunkach, w jakich teraz żyjemy. Mimo tego, często się to udaje. Ja wynoszę zwykle z wypowiedzianych argumentów jednej i drugiej strony to wrażenie, że pracownik dostaje zapłacone za mało, aby po ludzku mógł z rodziną wyżyć, a za wiele w stosunku do tego, co wyprodukuje. Takie podnoszenie zarobków nie wiele też pomoże, bo tylko narazie spór łagodzi, a w rzeczywistości to zło tkwi głębiej. Tu nic innego nie pomoże, tylko trzeba dać pracownikom sposobność do większej wytwórczości, żeby przedsiębiorca mógł im dostatecznie płacić i tak tanio fabrykować, by konkurencji sprostał. A jeżeli robotnicy, którzy nie rozumieją tego, lub też zrozumieć nie chcą, szczególnie ich przywódcy — nie zgodzą się w jakibądź sposób na większą wydajność pracy, choćby przez przedłużenie czasu pracy?! — W takim razie będziemy się ciągle obracali w zaczarowanym kole i z niego się nie wydostaniemy! Jak dotychczas niema prawie widoków, aby pracownicy to jedyne rozwiązanie zrozumieli. Zresztą czuwa nad tem ta nieszczęsna ustawa, aby lepiej nie było. Jeżeli przedsiębiorca nie zapłaci dostatecznie robotnikowi za to, co on robi, to popełnia niesprawiedliwość, ale równą niesprawiedliwość popełnia pracownik, gdy za to, co mu płacą, nie daje odpowiedniego ekwiwalentu w kwantum wytwórczości. Skrupia się też to w postaci drożyzny i to w pierwszym rzędzie na robotniku, bo im mniej ludzie pracują, tem większa drożyzna i on to najprzód odczuje. W głowę zachodzę, że ludzie tak łatwej rzeczy pojąć nie mogą. Zwykle interesów pracowników bronią na posiedzeniach rozjemczych przywódcy ich organizacyj zawodowych, gdyż oni

sami nie zdołaliby się skutecznie obronić. Otóż raz w takim przypadku bronił osobnik, który, choć był blondynem, nam podpadał. (Może umyślnie swój kolor włosów zmienił, jak kobiety!) Wykazało się wnet, że był to jeden z „mniejszości“, który został przysłany z Królestwa. On mając „miękkie“ serce dla „uciśnionych“, „potrzebował“ najprzód zmienić swoje moškowe nazwisko, aby nas nie raziło, i to na piękne nasze „Szymański“ czy też podobne, a że, jak powiedziałem, był blondynem, więc z wielką odwagą i rozmachem występował. Odkryto wnet jego „incognito“ i już go więcej nie widzieliśmy. Dziwić się tylko trzeba, że nasze robotnicze organizacje, i to jeszcze w tej dzielnicy, takimi „obrońcami“ się posługują. Chyba, że tacy ludzie nie w ich interesie działają, tylko żeby burzyć.

Jako członek paru towarzystw i organizacji spełniam, o ile możliwości, swój obowiązek, a jedną z organizacji wypada mi kierować. Bywam również na zebraniach publicznych, aby przyrzec się ruchowi i posłuchać, co też ludzie na nich mówią. Co do wieców nie jestem wybrednym i jako bezpartyjny chodzę na wszelkie partyjne zebrania, na których — choć rzadko — głos zabieram. Raz odważyłem się przemówić nawet na wiecu zwołanym i kierowanym przez znanego komunistę Porankiewicza.

Zwołał on ten wiec pod hasłem drożyzny, to też hurmem ludziska przyszli, by się dowiedzieć, jaką ten komunistyczny „lekarz“ da receptę na tę bolączkę. Wskutek wypełnienia nie łatwo mi było na salę się dostać, ale, że mam wszędzie „fory“, wpuszczono mnie innem, nie zbyt wygodnem wejściem, a stamtąd miałem już blisko do estrady, na której pomiędzy samym komunistycznym sztabem się znalazłem, gdzie było więcej miejsca. Gdy się pomiędzy nimi rozejrzałem, spostrzegłem, że paru z nich byli to moi dobrzy znajomi, co mi dodało animuszu pod ich ochroną do zabrania głosu w dyskusji. Ponieważ dowódca Porankiewicz w swoim półtoragodzinnem przemówieniu o wszystkim innem gadał zamiast o drożyznie, piorunując zwłaszcza na partje innego politycznego wyznania, więc starałem się go poprawić i na właściwy temat rozprawy naprowadzić. Tymczasem ograniczono czas przemówień do pięciu minut. Uniewinniam się najprzód, że jestem „bezkolorowym“ i chcę mówić o drożyznie, więc spokojnie mnie słuchali. Uplłynęły ale na ten wstęp całe cztery minuty. I kiedy następnie dowodziłem, że przyczyną drożyzny jest, iż nasze ręce

osłabły, a za to żołądki się powiększyły i choć nie jestem z zasady przeciwnikiem jak najczęstszego odpoczywania, czy to w formie świąt, urlopów (naturalnie płatnych!), czy też ograniczenia godzin ewentualnej pracy, to jednak one — te godziny — powinny być szersze i dłuższe, a w skutkach swych obfitsze, gdyż inaczej... w tej chwili przewodniczący przerywa mi grzecznie, wskazując na zegarek, że piąta minuta minęła. Jako człowiek porządkowy zastosowałem się do jego życzenia. Pozostało mi choć wspomnienie mej odwagi przemawiania na wiecu komunistycznym, na którym wbrew zwyczajowi nic mi się nie oberwało.

Opierając się na dawniejszej chęci w kraju użycia mnie do aktywnej polityki, było moim zamiarem po powrocie do kraju tej działalności się oddać, czy to w dawniejszym nastroju politycznym czy obecnym, zwłaszcza, że polityka była i jest moim żywiołem i możebym się na tej arenie przydał. Nie umiem jednak do partyjnych wymagań się dopasować, a że z sumieniem swoim nie lubię robić kompromisów i rozpychać się łokciami, więc pozostaję poza nawiasem polityki i pewnie już pozostanę. Propozowano mi, co prawda, czynność polityczną ze strony pewnej partji, ale warunkowano ją względami partyjnymi, na co nie mogłem się zgodzić. Jestem bowiem tego samego zdania, co berliński profesor Liszt, który pisał o „wstręcie do tego bagna, jakim jest polityka partyjna“. Lubię do rodaków i w polityce być szczerym, a to obecnie nie popłaca. Ograniczam się więc na przyglądaniu się polityce zdala. Nawet zaprzyjaźnieni zemną księża nie mają odwagi zgodzić się na moją współpracę w przez nich prowadzonych organizacjach (Porankiewicz był odważniejszym!) twierdząc, że obecne czasy nie nadają się do mego sposobu myślenia i przemawiania.

Toby była moja społeczno-obywatelska działalność. Prócz niej dano mi sposobność brania nadzorczego współdziałania w paru większych przemysłowo-handlowych przedsiębiorstwach branży tekstylnej, przez co przyglądam się z bliska wzmaganiu się naszego przemysłu i handlu. Dwa z nich przejęte są z rąk byłych wytrawnych kupców, którzy wskutek zmiany stosunków politycznych jedni z pierwszych Poznań dobrowolnie opuścili. Trzecie przedsiębiorstwo założono, jako nowe, w r. 1920-tym, w którym fabrykuje się hurtownie okrycia i suknie damskie, a którego to przemysłu przedtem w Poznaniu w tych rozmiarach nie było i sprowadzano te artykuły z Niemiec. Przedsiębiorstwa te, kie-

rowane przez odpowiednich i wprawnych fachowców, pomyślnie i szybko się rozwijają. Są to spółki akcyjne, oparte na socjalizacji. Pomysł socjalizacji wyszedł od głównego kierownika Polskiego Banku Handlowego, p. dr. H. i to, jako próba, w interesie współpracowników. Próba ta jednak nie zupełnie się udała, gdyż niektórzy współpracownicy nie zrozumieli jeszcze tej idei i zdawało im się, że współudział daje jednocześnie prawo do współrządu. Musieliśmy więc z czasem to i owo zmienić, co jednak nie pozbawia jeszcze współpracowników pewnych korzyści. Czytałem o socjalizacji wyjątki z ustawy francuskiej z r. 1917-go, opartej już na pewnym doświadczeniu, która współpracownikom przedsiębiorstwa nie daje jednak takich korzyści, jakie my z początku dawaliśmy. Wszystko więc trzeba wpród doświadczyć. Mnie specjalnie zachęcił ten pomysł socjalizacji do współpracy.

Należę także do Spółki wyrobów papierowych, która również dzięki odpowiedniemu kierownictwu pomyślnie się rozwija.

Jak z powyższego opisu wynika, mam więc dostateczne zajęcie, tak, że nawet mego sąsiada — piękny ogród botaniczny — rzadko odwiedzam.

A jak w tych zmienionych warunkach gospodarczych materialnie sobie radzę? Zaraz opowiem.

Historja Starego Testamentu opowiada nam, że zanim Pan Bóg potopem świat ukarał, ostrzegł przedtem Noego o zamiarze swoim, nakazując mu zbudować korab, do którego by z rodziną na czas potopu schronić się mógł, oraz zabrać z sobą potrzebny inwentarz i tyle żywności, by skutki tej katastrofy w nim przeczekać. Noe Pana Boga usłuchał i nie tylko sam z rodziną ocalał, ale w konsekwencji i późniejszą ludzkość uratował. Mam w Berlinie znajomego młodszego kolegę, którego widocznie podobnież coś wyższego przed skutkami minionego „potopu“ przestrzegło, bo zaraz na początku wojny wkładał swoje oszczędności w walorach, nie tracących na wartości i w ten sposób uchylił się przed stratą materialną. On mi wtedy o tem opowiadał, lecz mnie na myśl nie przyszło, żeby go naśladować, gdyż nie zdawałem sobie sprawy z następstw wojny i uważałem to jego zabezpieczenie się, jako fantazję.

Dopiero trochę późno się spostrzegłem i to wtedy, gdy już zawczasu przekazane zasoby do kraju, aby tu pracowały, porządnie na wartości straciły. Ciągłe mi się zdawało, że przecież

to obniżanie się wartości naszej waluty wreszcie ustanie. Byłem więc optymistą! Pozatem było to przeciwko mojemu pierwotnemu planowi, gdyż krępowałoby mnie w zamierzonych moich postanowieniach. Były jeszcze inne sposoby ratowania się, lecz te nie licowały z wyznawaną przezemnie etyką. Przyszłą, że jest to nie bardzo przyjemne uczucie, gdy się widzi znaczny ubytek wysiłków swej długoletniej pracy i to nie z własnej winy, lecz z powodu popełnionych błędów przez innych, którzy do obniżenia waluty naszej się przyczynili.

Potrafię to jednak sobie wyperswadować, zwłaszcza, gdy wspomnę na owego człowieka, który narzekał, że butów nie ma, i musiał boso chodzić, aż zobaczywszy takiego, co wcale nóg nie miał, czuł się szczęśliwym, że przynajmniej zdrowe nogi ma. Zresztą w tem położeniu jest najwięcej ludzi, co niezastudzenie te schorzałe stosunki na własnej skórze odczuwać muszą.

Orjentując się w zmienionej sytuacji, zacząłem się rozglądać, czy nie możnaby jeszcze jakie oszczędności w wydatkach zaprowadzić, aby „rozchód pamiętał żyć w zgodzie z dochodem“. Wprawdzie miano mnie w Berlinie za „mistrza“ w oszczędzaniu, bo przecież innych tej cnoty uczyłem (teraz pewnie nie bardzo są łaskawi na mnie za to zachęcanie do oszczędności, gdyż i oni na tem źle wyszli), lecz po ścisłem zrewidowaniu wydatków okazało się, że jeszcze na bardzo wielu rzeczach oszczędzić można. Z pewnych powodów przedłożę tedy spis tego wszystkiego, na czem w tych anormalnych czasach jeszcze oszczędzam, a czego dawniej do oszczędności nie zaliczałem.

Najprzód zacząłem od obuwia. Kiedy dawniej dawałem zrobić jedną do dwóch par butów w roku, to teraz dopiero po przeszło sześciu latach parę nowych zafundowałem. Powyszukiwałem z kątów wszystkie odstawione na emeryturę buty, które przedtem w najgorszym razie w Tatrach używałem i paraduję w nich bez względu na to, czy są łatane lub nawet dziurawe, (dziś to uchodzi!), bo nie mogę pogodzić się z tak wysokimi cenami. Starczyły mi na tak długo i jeszcze w nich chodzę, zwłaszcza, że skóra w nich trwalsza od nowszej. To samo z pantoflami, których tem mniej potrzebuję. Mój dostawca obuwia chyba nie wiele na mnie zarobi.

A ubrania?! Tu już krawca prawie, że całkiem pomijam i sam sobie radzę. A że materiały w ubraniach są jeszcze dawniejszej jakości, więc sprawiam im Niceję, tak, jak to tylu innych robi.

Z kapeluszem, krawatami i podobnymi przyborami (nie pierwszej potrzeby) obchodzę się tak samo oszczędnie i prawie wcale nie kupuję. A gdy zapas tychże się skończy, to będę chodził według znanego wzoru.

O jakichś uzupełnieniach w mieszkaniu niema już wcale mowy i posiadane sprzęty muszą wystarczyć tak długo, dopóki nowe nie staną się.

Teatr, koncert i podobne rzeczy to już nie dla mnie. Tych kulturalnych przyjemności trzeba się całkiem wyrzec. Mam zresztą wrażenie, że do teatru i na koncerty mogą teraz chodzić tylko ci, co na „konjunkturze“ zarabiają, bo innych chyba na to nie stać.

Gazet różnych abonowałem kiedyś około piętnastu, obecnie jedną się kontentuję. A gdy tak dalej gazeciarze będą ceny podnosić, to ograniczę się na gratisowym czytaniu „Postępu“ w tramwaju, zwłaszcza, że tramwajem jeżdżę z racji jakichś świadczeń „na gapę“ i używam tego do woli, tak, że już wszyscy konduktorzy mnie znają. Chyba, że gwoli mego czytania „Postępu“ go nie skasują. Ja zaś zapewniam, iż jego polityka mi wcale nie szkodzi. Zresztą jeżeli polityka obywa się bezemnie, to ja mogę się bez niej obyć. Niekoniecznie więc muszę gazety czytać. Kupowanie nowych książek także zmuszony jestem ograniczyć, choć mi to przykro.

Z tych samych powodów co jeżdżenie tramwajem posiadam telefon.

„Manję“ podróżowania dla przyjemności i światopoglądu wykreśliłem już całkiem z programu mego życia, co dawniej robić lubiłem, i właśnie liczyłem, że będę miał na mojej emeryturze czas i środki na to. Nawet Zakopane mnie już od kilkunastu lat nie widziało, choć siły moje domagają się odświeżenia. Kontent jestem teraz, że przynajmniej już przed wojną kawałek Europy widziałem.

Papierosów, których coprawda już przedtem nie wiele paliłem — przestałem kupować, bez względu na to, że wszystkie fabryki i monopole przestały istnieć. Do kawiarni i restauracji nie uczęszczam. Wina, piwa i wszelkich likierów nie używam, chyba na lekarstwo, co się wcale rzadko zdarza. Nic mnie nie obchodzi, jeżeli wszyscy Kasprowicze, Kantorowicze, Tabromiki i browary pobankrutują. Ich akcyj i tak nie posiadam.

Nawet drzewa rąbać nie dają, lecz kupiłem sobie siekiere i rąbię sam. Wprawę do rąbania mam jeszcze z moich

młodych lat. Nietylko oszczędzę przez to wydatku, ale mam pewność, że mi drzewa nie ubędzie. Pozatem rąbanie drzewa, jako fizyczna praca, wychodzi mi na zdrowie. Wszak i b. cesarz Wilhelm drzewo rąbie.

Od dwóch lat golę się sam, więc i golarz na mnie nie zarobi, chyba na stryżeniu włosów, za to zmywać głowę załatwia żona taniej i częściej.

Wreszcie własne piwne zarabiam możliwie sam. Po amerykańsku.

Toby było na razie wszystko, co jeszcze po zrewidowaniu moich wydatków oszczędzam. Tylko na jedzeniu oszczędzić nie mogę, bo gotów żołądek zastrajkować, a ja takich strajków nie lubię. Zresztą w naszej Polsce mamy dosyć żywności i każdy najęść się może. Wprawdzie przyzwyczałem się w Berlinie podczas wojny do trzykrotnego jedzenia dziennie i to bardzo skromnego, który to zwyczaj zachowałem, z czym mi jest dobrze i nie przerywa mi tak często w mojem zajęciu.

Czy jeszcze bardziej będzie trzeba i można w przyszłości się ograniczać, to tego przewidzieć nie mogę; myślę, że nie będzie potrzeba. Stałem się wreszcie w wykonywaniu tej cnoty już nie mistrzem, ale „wirtuozem“. Powinni w Warszawie utworzyć ministerstwo oszczędności i mnie kierownikiem zrobić, a pokazałbym, co umiem.

Ale co się stanie z niemieckim przysłowiem: „Żyć i pozwolić żyć“? Co mnie inni obchodzą! W tych czasach salwuje się każdy sam, jak może.

Sprawę powyższą ująłem trochę krotochwilnie, ale sens z tego chyba nasuwa się sam. Takich, jak ja i podobnych, co się ograniczać muszą i żyć dawnymi sokami, jest najwięcej. Nic też dziwnego, że bezrobocie wzrasta, gdyż wskutek drożyzny zmniejsza się zapotrzebowanie i ludzie nie mogą dać jeden drugiemu zarobić. Lecz o tem jeszcze na innym miejscu napiszę.

Ponieważ pomimo wszelkich ograniczeń dochody moje mogłyby być krótsze od rozchodów, więc zerwałem z moim zamiarem niezarobkowania w starszych latach i zaczynam zarabiać. Zastrzegam się, że w uczciwy sposób, bo dziś trzeba bardzo uważać, by granicy uczciwości nie przekroczyć. Doświadczenia zebrałem w życiu dosyć, a i to coś warte. A że Pan Bóg w miarę lat nie odbiera mi sił, więc dam sobie radę i o przyszłość się nie obawiam.

Co spostrzegam w kraju, a najprzód o wartości pracy i jej ograniczeniu.

Przyglądając się spustoszeniu, jakie w ostatnich latach u nas w kraju zanik chęci do pracy sprawił, zastanawiałem się często nad jego przyczyną i przyszedłem do przekonania, że pochodzi to z braku zamiłowania do pracy i fałszywego pojęcia o wartości jej.

Znajdowałem się niedawno na odpuszcie w mojej rodzinnej wsi w gronie księży, z którymi polemizowałem na temat, czy praca jest karą lub cnotą. Większa część z tych księży była zdania, że pracę trzeba jako karę za grzechy rozumieć, bo gdy Pan Bóg pierwszych naszych rodziców za ich przewinienie z raju wyganiał, to według pisma św. powiedział do nich: „Odtąd będziecie w pocie czoła pracować!“, czyli, że ich pracą ukarał. Znowu jeden z ks. ks. jezuitów w pewnym wydawnictwie dowodził, że Adam i Ewa już w raju pracowali, tylko wtedy praca sprawiała im przyjemność i dopiero po wygnaniu z raju stała się im przykrą.

Być więc może, że największa część ludzi pracę jako karę rozumie i dlatego czuje do niej niechęć, a nawet wstręt, i gdyby pracować nie musiała, chociaż tylko z powodu, że „chcesz mieć, to trzeba grześć“, lub, że „same gołąbki nie wlecą do gąbki“, toby najchętniej wcale nie pracowała. Ja jednak jestem innego zdania i tłumaczę sobie skazanie Adama i Ewę na pracę w ten sposób, że zgrzeszyli z powodu bezczynności, mając w raju wszystkiego pod dostatkiem, i dlatego skazał ich Pan Bóg na pracę, któraby, jako cnota, przeszkadzała im w dalszem grzeszeniu, bo nie tylko, jak „kto śpi, to nie grzeszy“, lecz i wtedy, gdy pracuje, gdyż zło do człowieka, rzetelnie pracującego, niema i nie może mieć takiego przystępu, jak do próżniaka. Praca chroni go także przed złą opinią, a już złodziejem i oszukańcem nie łatwo będzie, gdyż zarobek z pracy na utrzymanie mu wystarczy.

Miałem uczucie, że moje zdanie potem prawie wszyscy księża z tego grona podzielali, jak również i inni księża, z którymi później o tem rozmawiałem, byli mego zdania. Inne tłumaczenie byłoby zresztą niezrozumiałem i sprzeciwiałoby się dobrym zasadom. Zatem powinniśmy zgodzić się na to, że praca jako taka nie jest karą, lecz przeszkodą do występków, a nadto daje utrzymanie i szacunek.

Takie pojmowanie wartości pracy potwierdził już dawno jeden z naszych poetów, który w następującym pięknym wierszu pracę opiewa:

„Praca życie słodzi nam i lekkim czyni go,
Wtedy troski idą k'nam, gdy jest próżniak kto“.

A dalej znowu:

„Miło, słodko przy robocie godzina każda upływa,
Podczas, gdy próżniak w tęsknocie tylko z nudów ziewa“.

Znaczenia tych pięknych słów — uczyłem się ich w szkole — nie rozumiałem, lecz przypomniałem je sobie później i były mi drogowskazem na całe życie. Przyznaję się, że jako chłopiec byłem do pracy nie skory i rzadko z chęcią wykonywałem zlecenia rodziców, zwłaszcza matki, której karania mniej się bałem, ale to się zmieniło, gdy dom rodzicielski opuściłem. Pracowałem wtedy z obowiązku, żeby wykonać to, co odemnie wymagano, bo już moja ambicja mi tak kazała. Później zacząłem wartość pracy rozumieć, a ją samą cenić, i obowiązek przekształcił się na zamiłowanie. Pracowałem nie tylko dla zarobku, lecz więcej dla pracy samej, widząc w niej źródło wszystkiego dobrego. Tej zasady przestrzegam do dzisiaj i jej głównie zawdzięczam to, co w życiu zdobyłem.

Jestem zdania, że ludzie, mający pretensję do kultury, powinni prócz koniecznego spania, resztę czasu z pożytkiem dla siebie i innych obracać, bo tylko niekulturalne, dzikie narody, mające zresztą małe wymagania życiowe i nie znające wartości pracy, nie pracują. Patrzmy na małe dzieci! Jeśli one się nie bawią, nie są czynne, to napewno im coś braknie — są niezdrowe. Więc już sama natura zniewala człowieka do jakiejś czynności, a jego zadaniem być powinno wybrać sobie taką, któraby go uszlachetniała i przynosiła korzyści, nie tylko materialne, ale tem więcej moralne, a tą czynnością może być jedynie praca. Powinniśmy więc już dzieciom, stosownie do ich pojęć i rozwijania się, nadawać odpowiedni kierunek, wszczepiać w nie zamiłowanie do uczciwej czynności, to wtedy na pożytek sobie i krajowi wyrosną.

Z chłopięcych moich lat utkwiał mi w pamięci następujący obrazek. Widziałem, jak w stodole organisty, przed którą często się bawiłem, młócił parobek zboże, który był znany we wsi jako leniuch. Przed stodołą tarzała się w kałuży świnia. Parobek patrząc na nią, zazdrościł jej tego świńskiego odpoczynku, mówiąc:

„Jak dobrze jest tej świni, że nie potrzebuje pracować!“ Gdy w latach dojrzałych obrazek ten mi się przypomniał, wytłomaczyłem go sobie w ten sposób, że ta w kałuży tarzająca się swinia jest tylko świnią.

Drugi obrazek podaję choć tylko jako dowcip kiedyś wyczytany. Bił gospodarz parobka, ponieważ był leniwym, a ten mu rzecze: „Gospodarzu, czemu mnie bijecie, dyć ja wam nic nie robię!?“ „Otoż właśnie dlatego cię biję, że mi nic nie robisz!“ — odpowiedział mu gospodarz.

Chciałbym przez powyższe obrazki wykazać, że człowiek, jako obdarzony rozumem, powinien odróżniać się od zwierząt i z własnej chęci pracować, a nie być do pracy dopiero napędzany, gdyż właśnie praca przymusowa korzyści nie przynosi. Kto chętnie pracuje, to choćby pod innym względem w czemś niedomagał, to go ludzie dla pracy samej szanują. Również praca z konieczności nie tworzy arcydzieł. Artysta nie włożywszy w pracę zamiłowania, a przynajmniej potrzebnej chęci, nie stworzy arcydzieła. Nawet praca zwyczajnego rzemieślnika i robotnika nie wypadnie dobrze, jeżeli niechętnie pracuje. Wiem o tem, że tylko rzadko można wybrać sobie zawód, do którego ma się zamiłowanie, bo na to różne okoliczności się składają. Na przykład, gdyby czesi według zamiłowania zawody sobie obierali, toby połowa z nich była muzykantami i nie mieliby wtedy komu grać. To też w takim razie zamiłowanie powinno przejść w obowiązek i również trzeba z chęcią pracować. Jeżeli jednak jedno z drugim można połączyć, to wtedy wytwórczość tem większe korzyści przynosi i arcydzieła tworzy.

W drobnym ustroju gospodarczym jest praca podstawą kredytu. Jeśli kto rzetelnie pracuje, to jest w jego domu czy przedsiębiorstwie ład i porządek, bo, nie leniąc się, dopilnuje wszystkiego, a to ludzie widzą i podług tego oceniają. Rzemieślnik, choć nie dający innej podstawy kredytowej jak zdrowe ręce i chęć do pracy, jednak w normalnych warunkach dostaje kredyt, przez co może się dorobić. Sam tego obficie doświadczyłem. Zaś takich, co materialnej podstawy kredytowej dać nie mogą, jest w naszym społeczeństwie najwięcej.

A co za różnica pomiędzy dorobkiem z własnej pracy, a za pomocą innych środków? Zadowoleniu z dorobku pracy nie dorówna! Dorobkiem z pracy można się poszczycić, lecz nie zawsze dorobkiem z innych źródeł.

Tylko praca i jej wydajność jest podstawą waluty! Ktoś powiedział, że weksel niezamożnego, ale pracowitego człowieka, jest więcej wart, niż zamożnego próżniaka, gdyż zamożność ostatniego wnet się rozleci, jeśli pracować nie będzie. Jest to tak jasne, że tego tłumaczyć nie potrzeba. Z naszą podstawą kredytową jest tak samo. W Polsce nie pracuje się teraz intensywnie, nie wystarczająco na nasze potrzeby, i dlatego coraz niżej waluta spada. Nic też jej w dalszym spadaniu nie wstrzyma i żadne inne środki nie pomogą, jeżeli nie będziemy tyle pracowali, żeby wyrównać nasze zapotrzebowania i luki, któreśmy wskutek próżniactwa spowodowali.

Mówi się i pisze dużo o podatkach, które, gdy będziemy, jak należy, płacili, spowodują nie tylko równowagę budżetu państwowego, lecz także i większą wartość naszej marki. Pomijam brak odpowiedniego aparatu i sprawności do ściągania podatków; pomijam brak wykształcenia w płaceniu podatków, choć jedno i drugie odgrywa poważną rolę, to jednak śmiem twierdzić, że podatek sam naszych nadziei nie ziszczy, jeżeli nie pochodzi od dochodu z uczciwej pracy, lecz przeważnie od dochodu z konjunktury. Na takiej podstawie nie można stałego poboru podatku oprzeć, ani nawet go uchwycić.

Wprawdzie jeden z premierów ministrów powiedział do nas przed rokiem w Poznaniu, że „marka jest marką“, t. j., czy uczciwie lub nie uczciwie zarobiona, ma równą wartość. Otóż, on się myli (otrzymał też zaraz stosowną odpowiedź), bo pieniądze zdobyte nie z pracy, na dłuższą metę straci na wartości i łatwiej jest źródłem złego. I materialne korzyści muszą mieć moralną podstawę. To gonienie za lekkim zarobkiem doprowadziło nas też do fałszywego pojmowania go i nie pytamy już nawet, z jakiego źródła pochodzi. Franklin powiedział: „Jeśli ci kto powie, że możesz się wzbogacić innym sposobem, jak pracą, to uciekaj od niego, bo podaje ci truciznę“. Tak też, a nie inaczej uczciwi ludzie zarobki pojmują. Niestety namnożyło się teraz pomiędzy nami tak wielu, którzy tylko przemyślają, w jaki łatwy sposób możnaby pieniądze zdobyć, nie pytając często o granicę uczciwości. Zaniedbują dochody ze swego zawodu, a rzucają się na niewłaściwy zarobek.

Obecnie zabieramy się do handlu. Owszem, jest to gałąź, którą powinniśmy się zająć i opanować, ale możemy go tylko

oprzeć na wytwórczości, bo nie możemy więcej handlować, niż produkujemy i stosunkowo nie może być więcej handlarzy, niż producentów, gdyż inaczej zostaniemy paskarzami. Przerzucanie towaru z rąk do rąk nie jest uczciwym handlem, a nadto przedraża produkt. Nauczyliśmy się tej wady od naszych „współobywateli“, którąśmy dawniej ich etyce pozostawiali.

Jeżeli chcemy wzmóc handel, to musimy wprzód podnieść produkcję, a tę znowu przez wzmózoną pracę, i dopiero w miarę jej wydajności może się handel dalej rozwijać, gdyż inaczej będziemy nareszcie głodem handlowali.

Czy ludzie, mający wystarczające dochody na utrzymanie bez pracy, nie potrzebują pracować? Mojem zdaniem powinni pracować, jeżeli już nie dla własnego zarobku, to bezinteresownie, choćby dla przykładu. Sposobności do takiej pracy jest w każdym społeczeństwie dużo. Dla państwa i społeczeństwa może być obojętnem, kto korzyści z pracy bierze, byle ci, co konsumują, także pracowali.

Ale może człowiek starszy, co już w młodszych latach się napracował, pracować więcej nie potrzebuje? Powiedziałbym znowu, że powinien w miarę sił swoich tak długo pracować, dopóki żyje, bo nie masz nic gorszego, jak bezczynność. Napewno ten, co przestał pracować, nie pożyje tak długo, jak ten, co pracuje, dopóki mu sił starczy. Może zmienić sposób pracy, ale pracować powinien. Nie powinien także już dlatego zaprzestać pracować, że jego doświadczenie jest drugim potrzebne. Powiedział Rockefeller, że gdyby ci wszyscy, co się dorobili, przestali pracować, coby wtedy było?

Chyba to już wszyscy widzimy, że drożyzna i spadek naszej waluty są głównie wynikiem za małej wydajności pracy. Jeżeli kto jeszcze tego nie widzi, to nie chce widzieć lub nie może. Trafnie powiedział dr. Posadzy, że dotychczas dopiero gęby pracowały, a ręce jeszcze nie. Musimy więc do pracy nawrócić, by dalszemu szerzeniu się złego zapobiedz. Przecież najuczciwsze utrzymanie człowieka jest z zarobku jego pracy.

Naturalnie, że kto pracuje, jest wart zapłaty, ale tylko w miarę jej wydajności. Pracownik, który żąda wyższej zapłaty od wydajności jego pracy, jest również paskarzem. Już Bebel napisał w swojej książce „Die Frau der Socialdemokratie“ o tych, co nie będą chcieli w socjalistycznym państwie pracować, że jeść

nie dostaną. I bardzo słusznie. Ja bym szedł jeszcze dalej. Kto nie pracuje, nie powinien nawet mieć tych praw, jak ten, co pracuje.

Gdy zaprzęgniemy dwa konie do wozu, z których jeden rączy, a drugi leniwy, to ostatni pierwszego wstrzymuje. Gorzej jeszcze, gdy konia z osłem się zaprzęgnie. W takim razie wstrzymujący dostaje bity, lub go się wyprząga. Tak samo i człowieka wyprządz trzeba, jeżeli pracować według swych sił nie chce i karać go, gdy drugich wstrzymuje od pracy.

W tej chwili czytam, co Massaryk serbom powiedział: „My, czesi, przede wszystkim jesteśmy narodem pracującym; jedni pracują na roli i w lasach, drudzy w fabrykach i kopalniach. Głównym celem naszej polityki może być tylko praca, praca i praca. Jeśli chcecie utrzymać to, coście razem z nami zdobyli w wojnie wolnościowej, imajcie się pracy“.

Te złote słowa i do nas odnieść trzeba. I my się niemi przejąć powinniśmy. Ale czesi nie kłócą się pomiędzy sobą, jak my, choć też mają socjalistów, komunistów i inne partje, lecz wszyscy są wprzód Czechami i wspólnie na każdym polu pracują, a my, jakbyśmy nie wiedzieli, że to jest podstawą ich powodzenia i kredytu.

A więc wszyscy pracować powinniśmy, przez co nie tylko sami osiągniemy korzyści materialne i moralne, lecz i kraj na tem zyska.

Tak, ależ nie możemy ciągle pracować, przecież prócz spania jakieś wytchnienie i rozrywka nam się należą! Zgoda! Już jako młodzieniec, pracujący w warsztatach, nasłuchiwałem się wtedy dosyć od kolegów — socjalistów o tym ideale, jaki nas czeka, gdy ich rządy nastaną. Już wtedy dzielono dzień na trzy różne części i wyliczano, co w tych wolnych ośmiu godzinach robić będziemy. Zresztą nie oni pierwsi wymyślili odpoczynek, bo już mamy takowy od wieków w postaci siódmego dnia, dawniej soboty, a później niedzieli. Wprawdzie niedziela, jako, że to postanowienie religijne, rewolucjonistom francuskim się nie spodobała, i zrobili święto co dziesiąty dzień, niby dla lepszej rachuby, ale podobno kobiety się temu oparły, ponieważ były przyzwyczajone do zmiany bielizny swoim mężom co niedzielę, w czem nowy porządek im przeszkadzał, bo się myliły, więc musiano dlatego do pierwotnego stanu powrócić. Tak przynajmniej podał „Majster“

w „Przyjacielu Ludu“, pisząc dla swoich czytelników historię rewolucji francuskiej. Czyli, że już próbowano zmieniać, ale próby się nie udawały.

Ja zasadniczym przeciwnikiem regulacji czasu pracy nie byłem i nie jestem, przeciwnie, chciałbym go mieć uregulowanym już dla samego porządku. Chodzi tylko o to, kiedy i jak to zrobić należy. W normalnym czasie reguluje się to według konkurencji, ilości nagromadzonej produkcji i podaży pracy i robotnika, lecz po wojnie mamy stosunki nienormalne, więc według tych samych reguł nie można się stosować. Podczas wojny produkowano mało dla publiczności, wszystko dla wojska, a nadto tak wiele wartości zniszczono: Tyle domów zwalonych, a nowych mało budują; drogi są popsute i nowe wytykać trzeba; nowe koleje są konieczne i wagonów oraz lokomotyw braknie; dużo ziemi jeszcze ugiorem leży; ludzie po części nago chodzą, lub resztkami gonią, słowem, na co i gdziekolwiek spojrzemy, to wszystkiego potrzeba i roboty wszędzie pełno. I w takich warunkach wydał sejm ustawę ograniczającą czas pracy!

Gdyby dano komu zniszczone gospodarstwo, gdzie budynki zrujnowane, rola zaperzona, brak inwentarza i t. d., czyżby był tak niemądry i gospodarzenie od ograniczenia czasu zaczął?! Czyż nie będzie dzień i noc pracował, by gospodarstwo jak najprędzej do porządku doprowadzić, żeby miał co jeść i gdzie mieszkać? Tożby go za warjata, niedołęgę lub marnotrawcę uznano, gdyby tego nie zrobił. To samo jest z naszym krajem, który zrujnowany nam zwrócono, a my zamiast zabrać się rączo do pracy, to zaczęliśmy od lenistwa, tworząc nawet ustawę pobudzającą do niego. Zaś robotnicy poszli jeszcze dalej i w ramach ograniczonych godzin ustawą, ograniczyli nadto wydajność pracy, robiąc z ośmiu godzin często z ledwością połowę wydajnych, pracując, a raczej nygusując, byle czas zeszedł, boć za czas, a nie za pracę dostaną zapłacone. Czyż na takich podstawach może gospodarka społeczna i państwowa skutecznie się rozwijać? To też widzimy skutki we formie spadku waluty i ciąglem wzmacnianiu się drożyzny, a co zwolennicy próżnowania innym przyczynom przypisują.

Ale co nas do tego ograniczenia czasu spowodowało? Wzgląd na pracujących, a może nawet altruizm, wzgląd silniejszego na słabszego?! O nie! Tak wysoko moralnie jeszcze nie sta-

nęliśmy! Przecież na tem, jak w skutkach widzimy, robotnicy w pierwszym rządzie ucierpieli i cierpią. Więc co? Według mego zdania to chyba szatan w postaci człowieka w takiej chwili to ograniczanie pracy i jej wydajność wymyślił. Ktoś, co zniszczyć chce w naszej Polsce ustrój społeczny — a powiedzmy otwarcie — i chrześcijański, korzystając z nastroju powojennego, rzucił hasło pomiędzy tłumy, że teraz — akurat teraz! — tyle pracować nie potrzeba. Wiedział o tem, że jest to chwila stosowna i hasło to się przyjmie. I przyjęło się! Tłumy na tem się nie poznały, zwłaszcza gdy demagodzy i blagierzy zaczęli im na każdym kroku schlebiać. Prawie wszystkie partje polityczne prześcigały się w schlebiani, aby zyskać głosy robotników przy wyborach i pomiędzy innemi obietnicami, obiecali im, że pracować będą mało, a dużo zarabiać. I tłumy uwierzyły, że jedno z drugim pogodzić można. Jakie to niskie ze strony schlebających, jak nieuczciwe! Trafnie określił to wodzenie tłumów na manowce pewien mądry człowiek, że „tłum jest, jak stado owiec, które w ogień łatwo wprowadzić można“. A niestety nawet ludzie z inteligencji dali się porwać do schlebiania tłumom. Tego wprost zrozumieć nie można.

Ale wielu twierdzi, że przeciwstawienie się temu powojennemu nastrojowi byłoby gorsze skutki sprowadziło. Jestem innego zdania. Gdyby pracującym rzetelnie wytłomaczono, że to nie jest odpowiednia chwila do ograniczenia pracy, to napewnoby uwierzyli i żądań takich nie stawiali. Przed wydaniem tej nie-szczęśnej ustawy, jak i po jej wydaniu, miewałem na publicznych zebraniach przed licznie zebranymi różnych odcieni politycznych wykłady o jej fatalnych skutkach i ludzie słuchali i nie burzyli się, pomimo oświadczenia im już najprzód, że do „gęby“ mówić nie będę. Nawet na jednym takim zebraniu, pod gołem niebem urządzonem, ani dyskusji nie było, choć od stołu przewodniczącego wzywano i zachęcano do niej i powiedziano, że już niema co gadać. Tymczasem przewodniczący organizacji robotniczych jeszcze dzisiaj nie mają odwagi do wytłomaczenia robotnikom, że trzeba do większej wydajności pracy nawrócić. Nawet księża są zdania, że jeszcze za rychło. O, nie! to już zbyt późno i oby nie zapóźno. Wierzę, że ciężko jest przyznać się do błędu, ale chwalebnie, i im prędzej to zrobimy, tem lepiej będzie dla kraju i pracowników samych.

A dalej! Czyż godzi się zmuszać ludzi i to prawnie, aby nie pracowali? Jest to po prostu niemoralne! Wszystko aż się

prosi, żeby pracować, naprawiać, a tu karzą za to! Próżnować wolno w Polsce, ile kto chce, ale pracować nad wyznaczone godziny nie wolno, bo oko władzy nad tem czuwa. Prawie nie do uwierzenia! Toż sami wobec całego świata ośmieszamy się uchwalaniem takich ustaw i zagraniczny kredyt uniemożliwiamy, gdyż próżniakom nikt nie pożycza. Ja bym stworzył ustawę, któraby premjowała chętnie pracujących, a próżniaków karała.

Ale jakżeż więcej pracować, jeżeli już tylu bezrobotnych jest! Jest to dla wielu, jakby zagadką i na tym koniku ciągle jeżdżą... Otóż praca ma to do siebie, że rodzi nową pracę, a bezrobocie nowe bezrobocie. Jeżeli zarobię, to mogę innemu dać zarobek, a skoro nie zarobię, to powoduje dalsze bezrobocie. To chyba jasne! Jeżeli tyle najlepszych sił wędruje do Francji, a częściowo do Ameryki, to nie z braku pracy w naszym kraju, lecz z braku pojęcia o pracy w naszym społeczeństwie. W miejscach ich przychodzą pasorzycki i kraj na swój sposób wyzyskują. Spróbujmy tylko więcej i skuteczniej pracować, a obniżymy koszty produkcji, przez co wyroby będą tańsze i konsumenci będą w możności kupowania. Wtedy zapotrzebowanie się wzmoże i zatrudnienia będzie pod dostatkiem. Wszak w innych kulturalnych krajach nie tylko intensywniej pracują, lecz już w miarę potrzeby zaprowadzają dłuższy czas pracy. W tej chwili czytałem urzędowe doniesienie o zapotrzebowaniu czterech tysięcy robotników z Polski do cukrowni we Francji z zastrzeżeniem 12-tu godzin pracy.

Nawet gdyby w normalnych warunkach chciano czas pracy międzynarodowo uregulować, o czem już częściej pisano, to musiano by się liczyć z kulturą i wydajnością pracy poszczególnych narodów i nie zaprowadzać wszędzie jednakowego, inaczej słabsze narody staną się parobkami mocniejszych, bo ostatnie, produkując szybciej i zręczniejsz, więc taniej, zardząca pomiędzy innymi i nasz kraj swoimi wyrobami, niszcząc nasz przemysł. Zaś ceł nie będzie można zawsze takich nałożyć, żeby powstrzymały wóz do kraju, bo choćby ze względu na nasz eksport i że my ich towarów potrzebujemy. Wtedy nastąpić musi z natury rzeczy wychodźstwo najlepszych sił do tych krajów, które nas swymi wyrobami zasypywać będą i to wyprodukowanych przez naszych robotników, co zresztą już się dzieje. Widziałem, jak na wschodzie Polski żną wszystko zboże jeszcze sierpem, tylko siano koszą. Gdyby maszyną koszone, zwłaszcza, że tam

jest płaszczyzna, to ile razy prędzej by skoszono! Jeżeli razem z amerykańnikiem chcę jaką przestrzeń przebyć, on pojedzie automobilem, a ja, nie mając nawet welocypedu, pójdę piechotą, toż muszę iść dłużej, niż on jechać! Ależ mógłbym sobie automobil sprawić i też w tym samym czasie dojechać! No, wygodniej byłoby jeszcze wsiąść do automobilu amerykańnika i z nim razem pojechać! Tylko, że on w Ameryce, a ja w Europie, więc jak to zrobić? Jeżeli chcemy z tymi krajami i narodami konkurować, a nie mając tak sprawnych robotników, jako one i odpowiednich urządzeń, oraz narzędzi, to powinniśmy te braki na razie dłuższym czasem pracy dopędzić, a pozatem uczyć się sprawniej pracować i w miarę możliwości nowsze urządzenia zaprowadzać.

Pracując w moich młodych latach w małym mieście, zdawało mi się, że dużo zrobiłem i mój majster był rzeczywiście z mojej sprawności zadowolony. Później w Berlinie nauczyłem się jeszcze raz tak szybko pracować i to... dokładniej. Gdyśmiy owego czasu posłali stolarzy z Berlina do Warszawy, to wykonali tam nieomal dwa razy tyle roboty w tym samym czasie, co ich warszawscy koledzy, którzy przypatrywali się ich zręczności z pewną nieżyczliwością. A skutek był ten, że zrobiono im zarzut za szybkiej pracy, przez co niby odbierają innym zarobek, i zażądano wydalenia ich z warsztatu. Gdy tego zarząd przedsiębiorstwa nie uczynił, urządzono strajk w tej firmie, który trwał trzy miesiące, do czego ich nawet niektóre warszawskie gazety pobudzały. Co za głupi i ograniczeni robotnicy! Zamiast od swych kolegów nauczyć się tej zręczności w pracy, aby więcej zarobić i zapobiedz zagranicznej konkurencji, to oni niszczą tę gałąź, na której siedzą. Za to Niemcy zalewali wtedy nasz kraj swymi stolarskimi wyrobami pomimo wysokich ceł.

Jechałem przed więcej laty z Krakowa do Zakopanego z mularzami, którzy zdążali na odpust do Kalwarii. Podpadło mi, że w letniej porze poświęcali parę dni roboczych, choćby na taki cel, jak pielgrzymka na miejsce święte, również, o ile z rozmowy z nimi wyczułem, byli według ich zrozumienia socjalistami, co jedno z drugiem nie bardzo licowało. Widocznie zależało im więcej na nygusowaniu, niż na odpuście.

Opowiadali mi, że przyjechał jakiś pan z Ameryki (był to Jerzmanowski), który powiedział, że w Galicji nie umieją ludzie pracować i chciałby z połowę ich posłać do Ameryki, aby tam

nauczyli się pracować i, wróciwszy, u siebie ten sposób pracy zaprowadzili. „A bo to my nie potrafimy pracować!“ — jeden z nich zauważył. Wytłómaczyłem im, co ten pan przez to chciał powiedzieć i jednocześnie im wykazałem, jak gdzieindziej pracują.

Przed kilku tygodniami przyglądałem się, jak przy tej wielkiej budowie przy ul. Grunwaldzkiej w Poznaniu podawano sobie cegły z rąk do rąk i podziwiałem „ostrożność“ podających. Każdy z nich jakby się wprzód namyślał, jak cegłę uchwycić ma. Widziałem jak w Berlinie sobie cegły rzucają, to trzy razy sprawniej robią. Ma się wrażenie, że takim robotnikom nie chodzi wcale o robotę, lecz o zarobek i gdyby im płacono bez ich roboty, toby wcale nie pracowali.

Miał w tym roku w Poznaniu interesujący wykład o stosunkach w Ameryce dr. G., który po kilku latach pobytu tamże do kraju powrócił. Opowiadał pomiędzy innymi, jak się tam pracuje. Otóż robotnik jest jakby przykuty do maszyny przez całe ośm godzin, a gdy chce na chwilę wystąpić, to musi wprzód skinąć na dozorcę, żeby go zastąpiono na ten czas, bo maszyna nie może stanąć, a nadto nie wolno mu zaślugo być nieobecny, bo nawet i na to jest przepis. Gdy skończą pracę, to czują się tak wyczerpani, że ani apetytu do jedzenia nie mają i dopiero ze dwie godziny odpocząć muszą, zanim się do jedzenia zabiorą. Jest to takie urządzenie, jakby się pociągiem jechało, bo czy kto chce lub niechce, musi razem jechać. Pewien angił, opisując sposób pracy w Ameryce, nazwał amerykańskiego robotnika koniem wyścigowym, a angiłskiego roboczym. Koń wyścigowy biegnie wprawdzie szybciej, za to roboczy większy ciężar udźwignie i dłużej wytrzyma. W tym przypadku jestem po stronie angiłskiego robotnika, o ile chodzi o nadmierne wyczerpanie sił, lecz w sprawności powinien mu dorównać.

A jednak tylko dzięki tak wytężonej pracy i ulepszaniu sposobów jej, powodzi się robotnikom tam lepiej, niż tutaj i już znowu, pomimo męczącej pracy, jest tam wielki napływ z Europy, że Stany Zjednoczone ilość emigrantów stąd do pewnej „kwoty“ ograniczyły. Mam to przekonanie, że gdyby u nas w zasadzie naśladowano amerykańców, toby nie potrzebowali ludzie do obcych krajów wędrować i szukać tam zarobków, gdyż w własnym kraju byłoby pracy dosyć. A jeżeli nie chcemy w Polsce tak pracować jak w Ameryce, to w takim razie nie możemy mieć tych wymagań,

co tam mają. Wymagania mogą być tylko w stosunku do wydajności pracy, inaczej kraj będzie ubożać i tem większe bezrobocie powstawać. Tak, jak dzisiaj jest, to razem wzięwszy, więcej konsumujemy niż produkujemy, z czego powstają niedobory.

Pewien ekonomista twierdził, że podwyższanie zarobków bez jednoczesnego podwyższania produkcji doprowadzić musi do zniszczenia przemysłu, braku pracy, do nędzy i buntu. Ma zupełną rację. Obawiam się, że ostatecznie u nas to nastąpi.

Wogóle powinna być praca regulowana i nagradzana według wydajności, a nie według czasu. Pozatem praca jest nierówna i ludzie fizycznie i umysłowo są nierówno uposażeni; co także w rachubę brać trzeba. Ja n. p. jestem niski i wątły, więc silnemu nie dorównam. Jeden z przedstawicieli robotników powiedział na posiedzeniu Rady miejskiej w Poznaniu, że robotnicy mają takie same żołądki, jak ludzie z innych warstw, więc tak samo jeść powinni. W zasadzie możnaby mu przyznać rację. Ale już Lenin miał powiedzieć: „Między żołądkami a mózgami zachodzi zasadnicza różnica: Bowiem wszystkie żołądki trawią, ale nie wszystkie mózgi myślą“.

Lecz nawet pomiędzy samymi żołądkami jest różnica, bo napewno słaby żołądek nie może strawić tego, co silny i dlatego ludzie więcej chorują z przeładowania żołądków niż z braku pożywienia. W mojej rodzinnej wsi było dwóch ludzi, z których jeden dużo jadł (miejscowy organista), a drugi mało (śp. mój ojciec). Obydwaj żyli długo, gdyż pierwszy aż około 92 lat, a drugi przeszło 84. Gdyby jadaliby odwrotnie, toby napewno tak długo nie żyli. A więc nie można żołądków równo mierzyć, bo coby jednemu służyło, toby drugiemu zaszkodzić mogło. Zresztą kto mało wydajnie pracuje, ten nie może mieć za dużego i zbyt strawnego żołądka, gdyż on musi stosować się podług zarobku swego właściciela.

Weźmy dalej powstały z powodu drożyzny brak mieszkań i jego skutki pod uwagę. Otóż wstrzymuje on naturalny rozwój ludzkości. Nietylko nie mają ludzie gdzie mieszkać, ale i wszyscy ci, co na budowlach zarabiają, nie mają roboty.

Od dłuższych lat interesuję się statystyką urodzeń i zauważyłem, że kiedy w Berlinie przed wojną każde dwunaste dziecko było z nieprawego łoża i dlatego miano Berlin za niemoralne miasto, zaś w Poznaniu było wtedy mniej więcej każde ośmnaste,

to obecnie według magistrackiej statystyki z drugiego półrocza 1922 było tutaj każde piąte dziecko nieślubne. A tylko wskutek tego się to dzieje, że ludzie z braku mieszkań i funduszy na urządzenie mieszkania nie mogą się żenić. Po wsiach i miasteczkach nie lepiej wygląda. Młodzi dorastają, wszystko siedzi na „kupie“, no i często niezgora się dzieje i wieczne kłótnie są w domu. Jeżeli ten proces tak dalej pójdzie — a na pewno pójdzie! — to niedługo, może za jakie pięć lat, będzie się rodzić więcej dzieci nieślubnych, jak ślubnych. Widać z tego, że nie potrzeba się żenić, a Polska będzie, skoro tylko dzieci będą. Nastąpi wtedy sam z siebie przewrót w pojęciach moralnych i ustroju społecznym. Ile dzieci teraz wogóle w Poznaniu się rodzi w stosunku do czasu przedwojennego, tego nie stwierdziłem, przypuszczam, że mniej.

Jeżelibyśmy nawet doszli do takiego stanu gospodarczego, że moglibyśmy bez materialnej szkody dla kraju i pracowników czas pracy ograniczyć, to musimy przedtem nauczyć pracujących, jak oni wolnym czasem rozporządzać mają, żeby go na złe nie używali, gdyż w przeciwnym razie będzie z moralnego punktu widzenia zbrodnią wobec nich samych i już dlatego będzie lepiej, by dłużej pracowali. Toż widzimy, co większa część pracujących obecnie z wolnym czasem robi. Powtarzam, co na początku tego rozdziału napisałem: „Kto pracuje, ten nie grzeszy“.

Większość sejmowa nie poprzestała na ustawie, ograniczającej czas pracy, lecz poszła jeszcze dalej i uchwaliła płatne urlopy dla wszystkich pracujących w przemyśle i handlu. Zrobiono to na wniosek partji chrześcijańskich robotników, jak jeden z posłów tego stronnictwa na publicznem zebraniu do tego się przyznał i jeszcze się szczycił, że ubiegli socjalistów, którzy im nawet tego „podstęp“ zazdrościli. Wyraźne jego słowa. Miałem wrażenie, że dlatego z taką szczerością robotnikom to powiedział, żeby się pochwalić przed nimi, co jego partja dla nich „wielkiego“ zdziałała. Jego godzinna mowa była od początku aż do końca demagogiczną. Prawił robotnikom, że taki fabrykant nie napracuje się, ma pałac i wszelkie wygody, i pomimo to najmniej dwa razy w roku na kilka tygodni wyjeżdża, a ty robotniku co masz?! Mieszkasz najczęściej w nędznem mieszkaniu, napracujesz się przez te ośm godzin, że od zmęczenia jeść nie możesz i nie miałbyś mieć urlopu? W ten sposób prawić może tylko demagog.

Przedewszystkiem kto ma prawo do urlopu? Chyba tylko ten, co cały rok rzeczywiście pracuje i nadpracuje tyle, że jego urlop nie podroży produkcji. Jeżeli robotnik, lub ktokolwiek bądź, 7 do 8 godzin pracuje, a najczęściej nygusuje — i prócz 8 godzin na spanie, pozostają mu jeszcze 8 do 9 godzin codziennie do dyspozycji; nadto ma niedziele i te liczne święta, to pewnie przyznamy, że w obecnych ciężkich czasach powinno to wystarczyć. Przecież robotnik w czasie urlopu nie produkuje, co podraża przedmioty, które wyrabia i ostatecznie to na robotnikach samych się skrupi, bo muszą potem za nie drożej płacić. Ale tego oni już nie widzą i można im bezkarnie blagować.

Rozumiem jeszcze urlopy dla pracowników, opłacanych miesięcznie, którzy w potrzebie dłużej pracują i za to nie bywają osobno wynagradzani, ale ci, co za każdą godzinę, a nawet minutę, dostają zapłacone, nie mogą mieć tego samego prawa. Ma się wrażenie, że jakoby chciało się premjować tych, co mało pracują i jakoby całe życie tylko z samych odpoczynków składać się miało.

Ale podobno urlopy dlatego postanowiono, żeby przez ten odpoczynek pracownicy nabrali nowych sił do pracy i potem wydajniej pracowali. To byłby rzeczywiście powód. Lecz czy robotnik w ten sposób urlop wykorzysta? Mam wrażenie, że pewna część każe sobie zapłacić za urlopy i nie będzie z nich korzystać, a więc nie odpocznie i powód ten minie się z celem. Z mej strony życzę każdemu należącemu się wytchnienia, ale niech wprzód na to zasłuży i niech to będzie bez szkody dla gospodarstwa krajowego.

Mógłbym jeszcze obszerniej o tem pisać, lecz ograniczę się na uwadze, że takie rzeczy powinniśmy pozostawić poszczególnym organizacjom, robotniczym i pracodawców, do regulowania, a nie narzucać rząd jako opiekuna ludziom dojrzałym. Jak czytałem, to w Ameryce ciała prawodawcze i rząd w takie rzeczy się nie mieszają. Miejmy dalej na uwadze, że nie zawsze uda się robotnikom stosunków do swych zapatrywań nagiąć.

Wyczuwam, że może która z schlebiających partyj wpadnie jeszcze na pomysł, żeby zmuszać prawnie do wynagradzania bezrobotnych. Nie radzę w taki eksperyment się bawić, bo na pewno będzie odwrotny skutek. Nad tem już od dawna częściej suszyli sobie głowy poważni ekonomiści i socjolodzy w parla-

mencie niemieckim, a dotychczas nic nie wymyślili. No, ale nie chcę „wywoływać wilka z lasu“, boć w Polsce jest wszystko możliwem.

Mam nadzieję, że to schlebianie tłumom na czyj koszt na zawsze nie pozostanie, bo wreszcie robotnicy spostrzegą, iż ich w błąd wprowadzono. Ale wtedy demagodzy mogą się mieć z pyszna, i radzę im coprędzej z tych „interesów“ się wycofać.

Wyrównywanie zbyt rażących różnic zarobków i życiowych udogodnień rozumiem tak samo, jak różnice stanów i posiadania, i sam jestem za wyrównywaniem, lecz to powinno się dziać w rozumny i sprawiedliwy sposób. Kiedy widzę pałace obok nędznych lepianek, to mnie taka różnica razi i mi się nie podoba, ale nie możemy znowu koszarowo się urządzać, bo ludzie nie są równi, i napewnoby to nam wszystkim się nie podobało.

Jaka więc rada na to, żeby nam wszystkim lepiej było i w kraju lepiej wyglądało, a przede wszystkim, żeby ta drożyzna się skończyła i nasza waluta się poprawiła? Ponieważ spadek naszej waluty i drożyzna wskutek za mało wydajnej pracy i nieudolnych rządów powstały, zatem trzeba pójść odwrotnie. Przede wszystkim znieść tę nieszczęsną ustawę, tamującą rozwój naszej produkcji, zacząć rzetelnie pracować i dać ekwiwalent za to, co nam płacą. Oprócz tego powinniśmy jeszcze tyle zarobić, żebyśmy mogli potrzebne państwu i gminie podatki płacić. Wtedy produkcja będzie tanieć i drożyzna tak, jak automatycznie wzrasta, automatycznie spadać będzie. Wtedy też zagranica Polsce kredytu na rzetelnych podstawach udzieli i będzie mógł nasz kraj z tej niewoli gospodarczej się wyzwolić. Wprzód trzeba robotnika podnieść pod względem kulturalnym, nauczyć go intensywnej pracy, kraj do porządku doprowadzić, i mieć pewność, że każdej zagranicznej konkurencji sprostamy, to wtedy możemy sobie pozwolić na ograniczenie czasu pracy i na pewne wygody. Gospodarczo kwitujące kraje tylko za pomocą pracy, no i... dobrych rządów, to osiągnęli. To ostatnie jest koniecznem, bo nic nie pomoże wtedy, gdy jedni będą pracowali, a drudzy źle zarządzili.

Ale już słyszę, co robotnicy na to powiedzą: „Nie ruszać naszej zdobyczy, naszego przywileju — ośmiogodzinnego czasu pracy!“ Tym zaraz odpowiem: Nie zrobicie tego dzisiaj, zrobicie później, za rok, za dwa, lub pięć, napewno to zrobicie!, gdyż innego wyjścia z tego fatalnego położenia niema i nie będzie.

Lecz im później to zrobicie, tem trudniej będzie. Szczuciem jednej klasy społeczeństwa na drugą złego się nie naprawi. Już dzisiaj rozsądniejsi robotnicy poczynają się nad tem zastanawiać, że tak dalej iść nie może i przemyśliwają, jakby to naprawić. Bądźmy przekonani, że im więcej pracować będziemy, tem więcej pracy będzie, bo wytwórczość stanieje, przez co zwiększy się zapotrzebowanie.

Dotychczas idzie nam tak, jak lekarzom czasem się zdarza, że nie wiedzą, gdzie choroba w chorym tkwi i nie wiedzą, co skutecznego mu polecić. Próbuja więc różnych środków, z których, jeżeli nie jeden, to drugi pomoże. Spróbujmy tedy środka pracy! Z berliniaków, prócz tych, co posłami zostali, jest mało takich, którzyby zemną odmiennego zdania byli, bośmy tam inaczej wartość pracy cenić się nauczyli.

Pragnąłbym, żeby wszyscy rodacy przejęli się zamiłowaniem do pracy i ze względu na obecne pojęcia o pracy, opierając się na długoletniem doświadczeniu, powyższy rozdział napisałem. Chciałbym, by każdy miał zawsze w pamięci słowa poety: „A że dzień na marne zginął, wstyd i zgroza, że się żyło“. Chodzi o nasz byt!

Dalsze spostrzeżenia.

Jak już po części z poprzednich rozdziałów wynika, składało się wiele okoliczności na to, że pomimo stałego zamieszkania na obczyźnie, stosunki w kraju nie były mi obcemi, szczególnie w b. dzielnicy pruskiej, gdyż przez częste bywanie w kraju mogłem się interesować każdym tętnem życia narodowego, co mi było także potrzebnem do mej działalności w Berlinie. Zatem moje terażniejsze spostrzeżenia oprę na podstawie dawniejszej znajomości stosunków. Zastrzegam się, że będę się starał opisać tylko to, co mi się samo w oczy rzuca, a że zło bardziej podpada niż dobre, więc pewnie o niem więcej napiszę, już choćby dlatego, by zwrócić na nie uwagę. Nie mam też partyjnych okularów i staram się przedstawiać rzeczy bezstronnie, otwarcie i szczerze. Zacznę od tej dzielnicy, która mi jest najbliższą z uwzględnieniem jej środowiska ruchu narodowego.

Rozdzieleni na trzy części, byliśmy blisko 150 lat politycznie, społecznie, kulturalnie, a nawet etycznie różnie wychowywani, gdyż to leżało w interesie państwowym naszych zaborców. Trudno było się nam nawet z sobą komunikować, i polak, działający w jednej dzielnicy, nie zawsze miał dostęp do drugiej. Księży z tej dzielnicy nie wpuszczano do Królestwa, a każdego ruchliwszego rodaka z Królestwa i Małopolski ztąd wyrzucano. Wskutek tego wyrobiła się pomiędzy nami znaczna różnica poglądów, która podczas wojny, a tembardziej po wojnie, niejedno tarcie wywołała i długo jeszcze pewnie potrwa, zanim te różnice się wyrównają.

Były zabór pruski wystawiony był na wpływ kultury państwa zachodniego, który, jako silniejszy, mógł bardziej na nas oddziaływać. I zdawało się często naszym rodakom z dwóch innych zaborów, — sądząc nas może według powierzchownych spostrzeżeń, — że pruskiej kulturze ulegniemy. Świadczą o tem liczne uwagi i artykuły w tamtejszych gazetach. Przypomnę chociaż tylko artykuł znanego literata i dziennikarza p. N., w którym przed kilkunastu laty w „Świecie“ nazwał tę dzielnicę beocją, bo w niej kultura nasza całkiem zanika, i twierdził, iż jesteśmy zupełnie zmaterjalizowani. A gdy ś. p. prof. dr. K. chciał to sprostować, to redakcja „Świata“ tego sprostowania nawet nie umieściła. Gdy później przy sposobności zwróciłem naczelnemu redaktorowi na to uwagę, to mi przyznał, iż nam krzywdę wyrządzono. Wypada mi zaznaczyć, że ten sam publicysta, co o nas wtedy tak napisał, — przypuszczam, że w dobrej wierze, — przyszedł wnet do innego przekonania, a tembardziej teraz, i stara się na każdym kroku nas zrehabilitować. Wspominam o tym przypadku dla zobrazowania wzajemnego oceniania się. My ztąd ocenialiśmy stosunki w Królestwie i Małopolsce także nieraz fałszywie.

Jak wyglądaliśmy w tej dzielnicy przed wojną? Na oko wyglądało tak, jakoby nam zagrażała powolna zagłada, ale Opatrzność dała nam dzielnych ludzi, którzy już od dłuższych lat uczyli społeczeństwo nasze, jak pracować i oszczędzać powinniśmy, uważając te cnoty jako główną podstawę narodowego utrzymania się. I to też pewnie naszych obserwatorów z za byłego kordonu w błąd wprowadzało, myśląc, że się przez to materjalizujemy, podczas gdy my materjalne dorabianie się uważaliśmy tylko jako środek do celu. Przecież wszystko, cokolwiek dobrego w społe-

czeństwie zrobić trzeba, opiera się na podstawie materialnej i tę musieliśmy najprzód utrzymać, względnie zdobywać. Każda uratowana lub zdobyta skiba ziemi miała dla nas wartość literacką. Z takim wrogiem, z jakim myśmy mieli do czynienia, była to jedyna i właściwa droga, aby wyjść z walki obronną ręką.

Więc musieliśmy najprzód bronić ziemi, a powoli zaczęliśmy zdobywać miasta. Nadmiar ludzi ze wsi szedł do miast jako rzemieślnicy i kupcy i siłą swoją wypierał stamtąd obce elementy, szczególnie żydów i gdyby nagły przewrót powojenny nie był nastąpił, tobyśmy z biegiem czasu nadali miastom i tak nasze piętno.

Jak daleko teraz zaszliśmy, to po paroletnich naszych rządach najnowsze liczenie ludności wykazuje. Podczas, gdy za rządów pruskich Poznań liczył przeszło 40% obcej ludności (w rzeczywistości było cokolwiek mniej), to ostatnie liczenie stwierdziło już tylko niecałe 6%. Tak ziemczone miasta, jak Bydgoszcz, Grudziądz i Tczew mają teraz 72 do 83% polskich mieszkańców, choć przed przejściem w nasze posiadanie miały zaledwie 10 do 18%. To zmniejszanie się obcych żywołów pójdzie jeszcze tak dalej. Zważyć trzeba, że za dawnych polskich czasów miasta w tej dzielnicy polskimi nie były, gdyż prócz sprowadzanych niemieckich rzemieślników i kupców było w nich tyle żydów, co i w tych drugich dzielnicach, którzy już przed wojną nas opuszczali, tak, że tylko 1% pozostał przy ostatniej politycznej zmianie.

Chcę przez powyższe wykazać, że tutaj grunt na wszelki przypadek się przygotowywał, ale sam się nie spodziewałem, że będziemy mieli już tyle siły w ludziach i zasobach materialnych, byśmy zdołali w tak krótkim czasie przejąć dobrowolnie opuszczone stanowiska przez obcych i urzędy zapełnić naszymi ludźmi. Wprawdzie pomogli nam w tem rodacy z Królestwa i Małopolski, ale głównie stało się to naszym sumptem, szczególnie w pierwszym przypadku, z pewną pomocą reemigrantów z Niemczech i Ameryki. Możemy się nawet poszczycić, że Poznań jest obecnie z największych miast w kraju najbardziej polskim. Już niewiele realności pozostało w rękach obcych, choć przedtem było mało w naszym posiadaniu. Tak samo przemysł, kupiectwo i banki, z małym wyjątkiem, są w naszych rękach. Banki niemieckie, które przed wojną tu dominowały, obecnie ich prawie, że nie widać. W Radzie miejskiej na 60-ciu radnych zasiada tylko dwóch

innej narodowości, a gdyby teraz nowe wybory nastąpiły, toby może już ani jednego nie wybrano. Musiała więc być jakaś ukryta siła w nas, żeśmy to zdołali zrobić.

Nie można jednak spuścić z oka, że sprzyjały nam nadzwyczajne okoliczności i dlatego powinniśmy mieć się na baczności. Poszli wprawdzie ci, co politycznie i gospodarczo dali się nam we znaki, ale na ich miejsce wdzierają się nowi, niepożądani przybysze z Królestwa, i starają się handel opanowywać i realności nabywać. Jak ostatnie miesięczne miejskie statystyki wykazują, przypływ ich od kilku miesięcy stopniowo się zwiększa i jest już znacznie większy niż odpływ. W jednym miesiącu nawet już 7 razy przewyższa. Stało się to dlatego, że mają swobodę przesiedlania się i wszystko przeplacają, byle cel osiągnąć. Zwracam na to niebezpieczeństwo uwagę naszego społeczeństwa, by mu w czas zapobiedz, zanim zapóźno będzie, bo gdy pierwsi się dostali, to następnym już łatwiej będzie, mając drogę utorowaną. Spryt i kapitał z ich strony, a możliwe niedołęstwo i niedopatrzanie z naszej, swoje zrobią, a wtedy „ostatnie rzeczy mogą być gorsze niż pierwsze“. Wtedy nawet pilnością i pracą nie zdołamy ich się pozbyć, jak przed wojną, bo granica na zachód — do Niemiec — dokąd przedtem szli, jest zamknięta, i nie będą mieli teraz gdzie pójść.

Ażeby tych żywołów do tej dzielnicy nie wpuścić, — w czem zresztą nasi rodacy z Królestwa nas popierają, — trzeba się starać wszelkimi siłami za pomocą dozwolonych środków nie dawać im możliwości do zaprowadzania się tu. Tak trudno jest o mieszkanie, a oni jednak dostaną i już nawet niemi handlują.

Myśmy dotychczas wskutek tych sprzyjających okoliczności z małymi środkami na wielkie rzeczy się rzucali i ryzyko się udawało, ale to się skończy, a wtedy pozostanie nam, jako broń, jedynie zdolność, pilność i praca. Tymczasem do takiej doskonałości, byśmy przebiegłej konkurencji sprostać mogli, jeszcze nie dorosliśmy. Pozatem to łatwe udawanie się interesów, nawet dyletantom, robi nas wygodnymi. To też w stosunkach handlowych można już nieudolność i słamazarność w załatwianiu interesów na każdym kroku zauważyć, a szczególnie w tych, co przemysłowi i handlowi ton nadają. Przedewszystkiem nie umieją jeszcze czasu i pieniędzy interesantów szanować. Wprawdzie jest brak technicznie wyrobionych pracowników, ale spostrzedz

można także brak nadzoru i instrukcji, jak również nie widać u pracowników należytej obowiązkowości, co jest ogromną wadą. Gdyby był właściwy nadzór, toby pracownicy prędzej się wyszkolili i sprawniej pracowali, zaś niezdolnych i nie chcących rzetelnie pracować, usunąć trzeba, bo są tylko balastem. Brzydkie przyzwyczajenie palenie papierosów i picie herbaty na widoku, klientelę razi i przeszkadza w załatwianiu interesów. Takie same stosunki są mniejwięcej i w urzędach. Stwierdziłem, że polega to również nie tylko na niesprawności urzędników, ale często na nieodpowiedniej instrukcji.

Za to, gdy jeszcze pracować trzeba, za rychłego białego dnia, jest w kawiarniach pełno publiczności, a kinematografy są również zapelnione. To nie jest dobry znak. Są to skutki łatwego zarobku i niechęci do pracy. O wielu z tych gości kawiarnianych nie można mieć dobrego wyobrażenia. Ma się uczucie, że ich celem życiowym jest tylko bawienie się. Wątpię, czy podatek od nich wydostać można.

Piszę o tem umyślnie, gdyż dobre czasy mijają i będzie trzeba baczenie na to uważać, żeby przez niedopatrznie nie stracić tego, co udało się nam zdobyć.

Nam, przybyłym z obczyzny, podpadają w kraju te różne tytuły, jakimi ludzie siebie nawzajem obdarzają. Chyba to niedemokratycznie! Myśmy na obczyźnie nazywali się też przewodniczącymi, sekretarzami, skarbnikami i t. d., ale to tylko na posiedzeniach towarzystw, zaś po posiedzeniu miał każdy znowu swoje nazwisko. Kiedyśmy tu pewnego młodzieńca kierownikiem biura zrobili, w którym na razie tylko sam pracował, to stawiał żądanie, by mu dać tytuł „dyrektora”. Zamiast tytułu daliśmy mu dymisję. Jakby powodzenie przedsiębiorstwa zależało od tytułów i posiadacze ich mieli przez to więcej chęci i zdolności do pracy. Za to zamiast głoszonego demokratyzmu, można spostrzedz autokratyzm. Zrazu walczyłem z tym zwyczajem, ale dałem za wygrane. Walka z wiatrakami!

O powrocie części naszych rodaków z Berlina i ich powodzeniu i sprawowaniu się tutaj już pisałem, a teraz tylko uzupełnię.

Jako z tej dzielnicy pochodzący, do niej wrócili i w drobnej części na G.-Śląsk, gdzie im stosunki i warunki są więcej znane, niż w reszcie Polski. Na obczyźnie pracowali, jako ro-

botnicy przemysłowi — z małym wyjątkiem — dla obcych warsztatów, nie mogąc wskutek silnej konkurencji na własne się zdobyć. Będąc specjalistami zawodowymi, zajęli tu odpowiednie lepsze stanowiska, lub założyli własne pracownie, które dzięki pomyślniejszym warunkom i ich fachowym zdolnościom, dobrze się rozwijają. Niektórzy już do poważnych rezultatów doprowadzili. A zważyć trzeba, że będąc na obczyźnie tylko robotnikami, wrócili ze szczupłym materialnym dorobkiem i na dobitkę ich oszczędności, które z patriotycznych względów przeważnie już naprzód do kraju przysłali, straciły na wartości.

Zaprawieni na obczyźnie do ideowej pracy, widzą tu pod tym względem różne niedomagania i ubolewają nad tem, pomimo tego rąk nie zakładają i nie sarkają na stosunki. Wiedzą, że nie wrócili na odpoczynek, lecz żeby pracować i pomagać przy odbudowie kraju, dla którego zdają się być dobrym nabytkiem. Są też zadowoleni z powrotu. Warto, żeby pozostałym powrót umożliwić, którzyby nietylko tu, lecz w Królestwie i Małopolsce się przydali.

Powrotowcy z dalszych Niemiec również się dobrze sprawują. Trochę są rozpolitykowani, zwłaszcza Westfalczyki, czego mogliby zaniechać. Owszem, można i trzeba brać udział w życiu politycznym, ale z rozsądkiem.

W daleko lepszych warunkach od nas powrotowców z Niemiec, wracali rodacy z Ameryki, bo prócz amerykańskiego doświadczenia, przywieźli z sobą wartościowe dolary. Liczyłem napewno, że nas tymi przymiotami zakasują, a tymczasem im się tu nie podoba, bo jakoś nie umieją sobie radzić i wracają do Ameryki. Czyżby się spodziewali, że w Polsce zastaną już wszelkie wygody i nie będą potrzebowali tak pracować, jak w Ameryce? Ich ojcowie, lub jeszcze oni sami, szli na niepewne do obcego kraju, nie znając nawet tamtejszego języka, tam lasy karczowali i we fabrykach pracy uczyć się musieli, i było dobrze, a we własnym kraju żądają jakby jakich przywilejów. Takiego patriotyzmu nie rozumiem. Widocznie nieodpowiednio ich w Ameryce uczono. Kochać Ojczyznę zdala, ustami, to nie starczy, lecz trzeba na miejscu pracować dla Niej, zwłaszcza, gdy mamy Ją teraz wolną. Tymczasem wy wracacie do Ameryki i wstrzymujecie przez to innych od powrotu do kraju, a za to obci tu się dostają. W ten sposób wygląd naszej Ojczyzny będzie się na gorsze zmieniać. Z za oceanu możecie nam niewiele pomódz.

Wierzę, że nam reemigrantom stosunki w kraju nie ze wszystkim podobać się mogą, to też tembardziej ręce do naprawy przykładać powinniśmy, a wtedy będzie lepiej. Amerykańskie stosunki możemy i tu zaprowadzić, tylko róbmy tak, jak w Ameryce robią.

Wspomniałem już, że pomagali nam w zajmowanym stanowisku po tych, co wyszli, rodacy z dwóch innych dzielnic. Jednak, powiedzmy otwarcie, nie ze wszystkich możemy być zadowoleni, bo przyniesiono nam swoich zwyczajów i obyczajów, które tutaj się nie nadają i dlatego powstawały nieporozumienia i tarcia, które jednak powoli się układają. Za to, co nam dobrego przynieśli, jesteście wdzięczni, ale złego mogli nam nie przywozić.

Zaprowadzono też raptowną unifikację, a nie baczono na to, że analfabetów nie sadza się obok umiejących czytać, i dopiero się to robi, gdy ci ostatni pierwszym dorównają.

Co na wschodzie kraju jest pożytecznem, to na zachodzie zaszkodzić może, jak również odwrotnie. Niemcy po zjednoczeniu w r. 1871 jeszcze do ostatniej chwili niektóre prawa nierówne mieli. Prawo cywilne dopiero 30 lat po zjednoczeniu zaprowadzono. A przecież to był prawie jednolity naród, równo kulturalny. Tymczasem my chcemy od razu wszystko załatwić i potem mamy niepożądane następstwa. Zamiast tego, co tacy Warzyniakowie długą pracą tutaj zdziałali, na dalszy teren kraju przenieść, to starano się, jakby umyślnie, jeszcze to psuć. Korzystniej będzie dla kraju, gdy zachód na wschód oddziaływać będzie, a nie odwrotnie. Coprawda, to myśmy wobec złego dosyć biernie się zachowywali i słabe jednostki nawet mu uległy, zamiast temu się oprzeć, z czego byłaby korzyść dla całego kraju. Miejmy nadzieję, że się to z czasem naprawi.

Tyle, co do tej dzielnicy, a teraz trochę ogólnych uwag.

Jak wiadomo, nazwano Polskę zaraz z początku „ludową“. Co za nieszczęśliwa nazwa! Wyzywaliśmy na Polskę „szlachecką“, a teraz gorszy błąd popełniono, bo wmówiono tej warstwie przywilej, która bądź co bądź nie dorosła jeszcze do rządzenia. Toć nie można dawać lejcy w ręce nie umiejących powozić! Polska jest dla wszystkich obywateli i żaden stan nie może mieć przywilejów, a przewodzić mogą tylko ci, co umieją, bez względu na stan i pochodzenie.

Kiedy po ukończeniu wojny właściciel pewnej znanej i dobrze idącej fabryki na Pomorzu chciał oddać robotnikom w dogodnych

warunkach fabrykę na własność i nadto dać im za niskim procentem potrzebny kapitał obrotowy, to po namyśle oświadczyli przyjęcie propozycji, ale pod warunkiem, że on nadal przedsiębiorstwem kierować będzie. To był mądry krok ze strony robotników. Tymczasem naszym „szerokim“ warstwom się zdaje, że oni krajem rządzić potrafią, bo to jest „mniejsze“ przedsiębiorstwo, zwłaszcza, iż bezpośrednio nie na ich koszt to robić potrzebują. To też dostali się do urzędów i sejmu ludzie, którzy myślą, że „komu Pan Bóg da urząd, to mu da i potrzebny do tego rozum“.

Pomiędzy innymi wybrano do sejmu notorycznych analfabetów abecadłowych, nie mówiąc już o analfabetach politycznych, których jeszcze więcej było i jest. Stany Zjednoczone i Argentynja nie pozwalają lądować tym, co czytać nie umieją, i nie mogą się wykazać świadectwem moralności, zdrowej umysłowości i zdolności do pracy, ale posłów do Sejmu polskiego o to nie pytają. Potem mają ustawy dobrze wypaść! To też niektóre są po temu, bo albo partyjne, lub nie do wykonania. Zdaje się, że jak ongiś przy budowie wieży babilońskiej pomięszął Pan Bóg ludziom języki, to teraz rozumy. Nawet dla rzemieślników są egzamina, ale dla kandydatów na tak ważne stanowiska, jak posła do sejmu, toż niema. Gdyby je zaprowadzono, to sejm inaczejby wyglądał. Dziwię się, że w konstytucji tego nie uwzględniono.

Jeżeli chcemy, żeby prawa były szanowane, to one muszą na to zasługiwać. Już Reymont w jednej z swych powieści powiada o wiejskiej kobiecie: „A biedaczka myślała, że prawo to jest to samo, co sprawiedliwość!“ Czyli, że nie każda ustawa jest prawem, a tem mniej sprawiedliwością. Nieudolnych i partyjnych ustaw nikt szanować nie będzie i w ten sposób szacunku dla nich w naród nie wszczepimy.

Albo to rzucenie hasła panowania siły fizycznej! To szczyt demagogii! Przecież nie siła fizyczna powinna rządzić, jeno rozum, gdyż w przeciwnym razie koń miałby większe prawa od człowieka. Bismarck rzucił swego czasu hasło, „siła przed prawem“, no, i jak Niemcy teraz na tem wyszli?!

Obserwuję zmagania się partyj i sposoby werbowania naiwnych do ich celów partyjnych i mimowoli narzuca mi się pytanie: co jest większe, czy głupota jednych, lub nieuczciwość drugich?

Ktoś powiedział, że „tłumów rozsądkiem nie przekonasz“, dlatego też demagogdy takie powodzenie mają. Przychodzi mi na myśl owe piękne zdanie:

„Prawda to znana od wieka,
której się nikt nie sprzeciwi,
Że skromność zdobi człowieka,
ale bezczelność go żywi“.

Otóż ta bezczelność już teraz nie ma granic.

Ktoś powiedział, że „niema w świecie rzeczy równie sprawiedliwie rozdzielonej, jak podatki i rozum, każdy uważa, że ma ich dosyć“. Tymczasem jest tak, że „wszyscy cierpią, głupcy przez własne winy, a mądrzy przez cudze“, bo niestety głupcy nie pozwalają mądrym nic robić. A przecież wprzód musi głowa dla żołądka pożywienie obmyśleć, zaś potem on dopiero trawić może.

„Ojczyzna potrzebuje ludzi, co znają gimnastykę życiową, czyli obowiązek życia“, a nie takich, co w szkole życia w klasie zostają, lub wcale szkoły nie widzieli. Sprawa powinna potrzebować ludzi, a nie ludzie sprawy i „lepiej, żeby urząd był niższym od człowieka, niżeli człowiek od urzędu“, a pchającym się do urzędów i polityki zdaje się, jak owemu kalkaniście, który organistę zastąpić chciał. Przytoczę żart, jaki kiedyś w „Gwiazdzie“ wyczytałem.

W pewnej parafii umarł organista. Kłopotał się ks. proboszcz wobec dziada-kalkanisty i mówił do niego: „Kto nam teraz na organach zagra?“. „Jegomość“ powiada tenże, „poco się kłopotać! Tyle lat kalkowało się niebożcykowi, to przecież i grać cokolwiek się nauczyłem“. — „Więc uważasz, żebyś umiał zagrać?“. — „A jużci!“ „To zagrasz mi do mszy św.“.

Zaczął grać, ale nie szło. Ksiądz przy ołtarzu niepokoił się i kręcił, nie mogąc jego gry wysłuchać i z biedą tylko dokończył. Po mszy św. zwymyślał nowego „organistę“: „Ty, gałganie!, powiedziałeś, że umiesz grać na organach, a jakżeś ty grał!“ — „Jegomość, pomyłka się stała! Nie było to, jak za niebożczyka, kiedy powiedział: „Walenty, zakalkuj-że mi „Boże w dobroci“, lub „Do Ciebie Panie“, to granie szło, ale ja chciałem grać „Twoja cześć, chwała“, a ten mi „U drzwi Twoich“ kalkował, więc jakżeż mogło granie dobrze wypaść?“.

Jest to humorystyczne porównanie, ale chyba trafne. Niejednemu takiemu „kalkaniście“ się zdaje, że może być posłem, prawa stanowić, różne urzędy sprawować, im wyższe, tem lepiej, choćby ministrem zostać, a że teraz prąd taki jest i liczbę głosów za sobą ma, więc dostaje stanowisko, któremu nie dorósł. Lecz o to nie pyta i nie jest o tyle uczciwym, żeby się do swej niezdolności przyznać. Jest raczej zdania, że kto łokciami się nie rozpycha, to nawet w kościele do ołtarza się nie dostanie. Widzimy też u niektórych pchających się „dorabianie“ się, a przecież kto na polityce i urzędzie się dorabia, ten nie może mieć czystych rąk.

Czytałem teraz książkę o Polsce pewnego amerykańnika, bawiącego dłuższy czas tutaj jako oficer, który tak pisze: „Radikalizm polski ustanawia często biurokratyczny porządek życia i pracy, który niedołągów i leniwce ochrania, a dzielnego pracownika karze strychnulcem partyjnym“. Jest to aluzja do naszych niektórych ustaw.

A dalej tak pisze: „W pierwszych dniach wolnej Polski socjalizm forsownie wdział chłopom i robotnikom buty, które im nie pasowały. Nawet dziś jeszcze chłopci i robotnicy męczą się nad dopasowaniem sobie tych źle przykrojonych butów. Przypuszczam, że nadejdzie czas, gdy umysły wytrzeźwieją i wtedy znajdzie się miara dobra na te buty“. Według mego zdania ten czas tak szybko nie nadejdzie, żeby te buty chłopom i robotnikom pasowały. Będą się z nimi jeszcze długo męczyć, albo przekonają się wreszcie, że nie dla nich te buty.

Dyplomatów i delegatów handlowych wysyła się za granicę po części niefortunnych, podług których zagranica cały kraj osądza. Pomiędzy nimi są tacy, co z polsnością nie mają nic wspólnego. Mego znajomego (blondyna) zapytał pewien Niemiec w Berlinie: „Was, Sie sind ein Pole, Sie sehen aber garnicht jüdisch aus?“ (Co, Pan jest polakiem? ależ Pan wcale na żyda nie wygląda?) Za takich nas nawet w sąsiednich Niemczech mają, a co dopiero dalsza zagranica. A to dlatego, że ci agenci są tak ruchliwi, iż jeden za dziesięciu naszych starczy i wszędzie ich widać. Owszem, niech idą tacy zagranicę i to jak najliczniej, ale nie jako zastępcy naszego kraju, i niech już więcej do kraju nie wracają.

My mamy nieraz wiele pięknych projektów i w tych czterech latach naszych rządów dosyć ustaw i rozporządzeń wyszło, których wykonać nie można!

Już dawno temu, jak czytałem w „Djable“ następujący wiersz :

„Kiedy słyszę, jak gadacie o przemyśle, o oświacie,
Co nam trzeba, a co nie trzeba, dla zdobycia kęsa chleba,
To mi się wśród ciszy przypomina kongres mysi.
Uradził on w jeden dzionek, by kotowi przypiąć dzwonek
Koło szyi, lub tam dalej, bo to mysi ród ocali.
Rada dobra, bardzo ładna, lecz cóż z tego, kiedy żadna
Tej odwagi nie miała, by go, gdzie trza, przypiąć chciała.
Kapka w kapkę z radą ową, ma się z naszą radą nową —
Nam nie zbywa na rozumie, lecz wykonać nikt nie umie“.

Powyższy wiersz może mieć całkowite zastosowanie do obecnych stosunków.

Myśmy od czasu Skargi wcale się nie poprawili, bo już wtedy tenże wołał: „Postanowim, napiszem, uradzim, praw konstytucji i porządków naczynim, a do poparcia i wykonania ich nie sporo. Nie masz pilności, nie masz urzędu tak gorącego — wszystka mądrość i rozum na kartach zostaje. Nie na papierze rozum znać, ale na uczynku i wykonaniu“.

Słusznie też napisał niedawno pewien krakowski profesor w książce, wydanej zbiorowo przez grono profesorów: „Człowiek nauczył się domagać wyłącznie tylko praw, istotnie, czy rzekomo mu się należących, a zapoznaje swoje obowiązki“.

Wiem o tem, że nowo powstałe państwo, jak Polska, podzielona przedtem na trzy części i rządzona w każdej inaczej i przeciw interesom naszym, nie może być w krótkim czasie tak zorganizowane, jak należy, ale to też wiem, że dużo błędów, które nam tak bardzo zaszkodziły, można było uniknąć, a kraj nasz wtedy gospodarczo i politycznie stałby w rzędzie dobrze rządzonych państw i waluta byłaby jedną z najlepszych na świecie, zaś zagranica nietylko jej, ale i nas uszanowaćby musiała. Wszak narody, jak Łotysze i estończycy, które kulturalnie chyba nie wyżej od nas stoją i nie rozpoczęli rządów w lepszych warunkach, jak również nie mieli wyrobionych ludzi do sprawowania urzędów, a są dzisiaj finansowo i gospodarczo daleko wyżej od nas. To nas powinno trochę zawstydząć.

A czy będzie w naszej Polsce lepiej i kiedy? Czy waluta się wnet poprawi i drożyzna minie? Otóż będzie wtedy lepiej, gdy w naszych głowach równowaga nastąpi i będziemy uczciwymi.

Na razie niema na lepsze widoków, i jeśli tak dalej postępować będziemy, jak dotychczas, to i drożyzna postępować będzie i nikt nie będzie w stanie jej powstrzymać. Ona też wcale na nasze narzekania i wstrzymywanie jej nie zważa. Za to granice pomiędzy uczciwością a nieuczciwością się zacierają, bo uczciwość za chciwością już zdążyć nie może. Można powiedzieć, że uczciwość spadła niżej kursu marki, a chciwość poszła wyżej dolara. Miarą takiego „dorobku“ jest szybkie i nadmierne bogacenie się. Ludzie uczciwi potracili i tracą, a przeważnie nieuczciwi doszli do mienia. Jeśli jedni nadmiernie zarabiają, to drudzy muszą tracić. Tylko wtedy, gdy nad potrzebę ludzie pracują, mogą się dorabiać, ale normalnie, nie jak teraz. Ci, co szczerze pracują, nie zrównoważą tego, co próżniactwo, nieuczciwość i złe rządy spowodowały, bo ich jest za mało.

Jest wielu, którzy spodziewają się od jakiegoś przewalutowania naprawy naszych stosunków. Niech się ludzą, ja do nich nie należę, bo nie widzę do tego realnej podstawy. Zaprowadzenie złotego polskiego też się na nic przyda, bo potrafimy z nim zrobić to, co z marką. Wprawdzie kraje z wartościową walutą nas wyzyskują, bo tak źle jeszcze z nami nie jest, lecz „na pochyłe drzewo lada koza wejdzie“. Nie dziwny się też, że im więcej pieniędzy drukują, tem bardziej ich brak.

Do poprawy stosunków u nas i dlatego tak łatwo dojść nie może, ponieważ mamy miliony obywateli w kraju, którzy starają się niweczyć nasze najlepsze zamiary, i wyzyskują z ręcznie nasze słabe strony, a my, jak byśmy tego nie widzieli. Jeden z naszych myślicieli ostrzegął: „Jesteśmy narodem leniwym, wygodnym, a żyd podkłada nam poduszkę pod głowę, żebyśmy tylko odpoczywali“. Zaś ks. prof. Chotkowski na uroczystości Skargowskiej powiedział: „W Hugenotach chrześcijanie się biją, a Mayerbeer muzykę robi“. Jeżeli narody więcej kulturalne i bogatsze od nas, mające tych obywateli $\frac{1}{4}\%$ do 1% , a nie mogą z nimi dać sobie rady, to jakżesz my mamy z około 12% podołać!? Zresztą kto nie wykonuje obowiązków, nie może mieć praw. Byłoby najlepiej, gdyby się znalazł jaki nowy Mojżesz, któryby ich wyprowadził z tej „ziemi obiecanej“ do innej, gdyż inaczej my będziemy mieli Polskę, a nas żydzi.

.

Z odzyskaną wolnością nie umiemy się jeszcze obchodzić i rozumiemy ją fałszywie. To, co dobrego w szkole niewoli się nauczyliśmy, uległo jeszcze po części złemu. Oddajemy się partyjnym klótniom, opanowały nas lenistwo i chciwość urzędów i mienia, prześcigamy się w wyszukiwaniu nowych projektów schlebających tłumom i t. d. bez względu na to, że to całemu krajowi szkodzi. W takich warunkach, wytworzonych niestety przez nas samych, trudno będzie się utrzymać. Lękam się o to. Nasze chylenie się ku upadkowi prawie, że matematycznie obliczać można. Tu już nie rozplątywać, łątać, ale co prędzej przeciąć trzeba: Przyznać się wobec narodu do popełnionych błędów i stan rzeczy mu jasno przedstawić, aby wiedział, co go czeka; mieć odwagę przeciwstawić się złemu prądowi, który „postępowo“ paraliżuje nasze stosunki; zabrać się szczerze do roboty i znieść szkodliwe ustawy, tamujące pracę, i nowych takich nie tworzyć; burzycieli prawnie i moralnie karać; do rządu i na urzędy powołać ludzi zdolnych, obowiązkowych i uczciwych, którzyby mieli silną rękę, ale w dobrem znaczeniu. Jednym słowem: potrzeba nam wydajniejszej pracy, lecz i lepszych rządów, gdyż jedno bez drugiego na nic się przyda, jeżeli będziemy rozrzutni. Tak, jak w każdym domowym ustroju, mąż może dużo zarobić, a gdy żona jeszcze więcej wyda, to gospodarstwo nie pójdzie.

Jeżeli więc na tę drogę wejdziemy, to wtedy skutki popełnionych błędów zdołamy jeszcze naprawić i obejdziemy się nawet bez zagranicznej pożyczki, gdyż damy sobie sami radę. Przecież mamy skarby w ziemi i na ziemi i ludzi pod dostatkiem, więc jest na czem i komu pracować. Nasza ziemia może nas wszystkich aż nadto wyżywić, bo gdyby nie to, to mielibyśmy już głód. Teraz utrzymujemy się jako państwo tylko „konjunkturą“, a nie własną siłą.

— Przez nieład i lenistwo ojcowie nasi Ojczyznę stracili, bierzmy więc z tego naukę, i róbmy odwrotnie. Niech jeden stan drugiego w dobrem nie zwalcza, lecz mu dopomaga, mając całość na oku, i niech każdy z nas stawi się zawsze w położenie przeciwne, to wtedy łatwiej porozumienie osiągniemy.

A gdyby Jonasz nas ostrzegł, jak to w Starym Testamencie niniwitów, wołając do nich: „Czterdzieści dni nie upłyną, a Ni-

niwa zaginie, jeżeli się nie nawrócicie!“ — czybyśmy go, jak oni, usłuchali?! Naszych ojców ostrzegwał Skarga, że „w obcy naród się obrócicie“, ale go nie usłuchali.

Wskutek zbiegu okoliczności Pan Bóg Ojczyznę nam wrócił, starajmy się Ją zgodną pracą utrzymać. Już dawniej jeden z poetów napisał:

„O, polska Kraino! Gdyby ci rodacy,
Co za ciebie giną, wzięli się do pracy,
I po garstce ziemi ojczystej zebrali,
Jużby dłońmi swemi Polskę usypali“.

Jabym tylko, stosownie do obecnej chwili, zmienił w tym wierszu wyrazy: „Co za ciebie giną“ na: „co o ciebie się klóca“.

Takie są moje spostrzeżenia i uwagi. Czy się myślę, to... czas wykaże, a nawet już wykazuje.

Nad Prypecią.

Zaprosił mnie ktoś ze znajomych na dłuższy czas do swej siedziby nad Prypecią, tuż przy bolszewickiej granicy, gdzie niedawno nabył większy obszar ziemi od znanego rosyjskiego polityka Rodzianki. Do r. 1863 był ten majątek w posiadaniu polskiem. To zaproszenie było mi na rękę, zwłaszcza, że już od kilku lat nie miałem przyjemności użycia letnich wakacji i czułem potrzebę wypoczynku, jak również chciałem dokończyć w spokoju mego życiorysu. A byłem bardzo pilnym, z czem niniejszem pragnę się „pochwalić“ i co nawet udowodnić mogę. Wreszcie, jeśli uchwalono dla robotników w Sejmie płatne urlopy, toć i mnie, jako piszącemu robotniczy życiorys, takowy również się należy, zwłaszcza, że pracowałem nieraz na dobę dwa razy tyle godzin, co oni (a ustawa!), więc dla czegoż bym nie miał skorzystać z nadarzającej się sposobności i nie przyjąć bezpłatnej gościny. Pozatem byłem ciekawy poznać nieznaną dla mnie strony naszej Ojczyzny, jak również tamtejsze stosunki. Z przyjemnością tedy zaproszenie przyjąłem i w początku sierpnia pojechałem. Co tam widziałem i słyszałem, — pokrótce opiszę.

Trzeba trochę długo jechać, bo aż dwie noce i blisko jeden dzień, chcąc z zachodu na wschód naszej Polski się przetrzucić,

czyli, że nasz kraj, co do przestrzeni, jest wcale niemały. Przez całą drogę ciągnie się sama płaszczyna, a im dalej na wschód, tem mniej siedzib i roli uprawnej, za to lasy i łąki, ciągnące się z niewielkimi przerwami. Jednak porządných lasów, utrzymanych w kulturze, jakie na Zachodzie Polski widzimy, w których sosny, jakby poustawiane świece wyglądają, prawie że nie widać, tylko zaniedbane, z karłowatemi drzewami. Drzew iglastych jest wogóle bardzo mało, natomiast jest dębina, grabina, brzoza i olchy, prócz jeszcze innych, których rodzajów nie znam. Tu i owdzie widać jeszcze porządne okazy drzew, jak parę set letnie dęby, świadczące o lepszym stanie lasu. Dworce w Pińsku i Łunińcu robiłyby niezłe wrażenie, gdyby je z ran wojennych wyleczono i na biało pomalowano. Ruch na nich względny. Dodać trzeba, że z Warszawy jedzie się jednym i tym samym wagonem, przyczepionym do zbiorowego pociągu, aż do Łunińca.

Dom mieszkalny mego znajomego bieli się już zdala, zamieniwszy za rządów nowego właściciela swój wygląd z rosyjskiego na polski. Ta zmiana kosztuje go miljonki, ale za to niech wszyscy wiedzą, kto tam teraz mieszka. Nadał dworowi polski ton. Siedziba cała jest w pośrodku wielkiej oazy, otoczonej lasami, a obok niej wieś chłopska. W obszernym parku jest kilkanaście starych okazałych drzew, jakich w naszej dzielnicy rzadko widać, a pomiędzy niemi staruszek dąb, mający do sześciu metrów w obwodzie. Droga z ostatniej stacji, Widziboru, wyłożona kłodami drzewa, przysypanemi ziemią, po której wóz podskakuje i niemiłosiernie jadących podrzuca. Przejechanie się po niej może być skuteczne na pewną chorobę.

Akurat natrafiłem na „przyjemną“ chwilę, bo na oblawę bandytów, tropionych przez kilkunastu żandarmów, którzy częściowo we dworze się zatrzymywali. Ich hersztem jest jakiś Michalski, — czy też tak się przeważa, — który, gdy się ściemni, zachodzi z kolegami do lepszych domów i zbiera „dobrowolną“ daninę, w czem naśladuje podobno swego imiennika, byłego ministra Michalskiego. Jeśli podług jego oszacowania wystarczającą sumę dostanie, to podziękuje i spokojnie odchodzi bez dalszych nagabywań, a gdy się kto opiera, to stosuje swój sposób wydostania, który ma być bardzo prosty: rewolwer. Nie było to dla mnie zbyt przyjemne uczucie na powitanie, ale znowu tak źle nie było, boć nie zawsze i nie na każdego napadają. U mnie

nie byliby i tak wiele zyskali! Zanim wyjechałem, jeszcze żadnego bandyty nie schwycono, bo gdzież ich po lasach, moczarach i kryjówkach szukać, które oni lepiej znają, niż ci, co ich tropili. A są o tyle bezpieczni, że już naprzód o nagance na nich wiedzą, bo im zawsze ktoś ze wsi o tem powie, i nie lubią się narażać na spotkanie z żandarmami. Lud znowu, któremu podobno nic złego nie robią, ich nie zdradzi, choćby wiedział o ich obrotach i kryjówkach. Jest jednak nadzieja, że się z nimi władze uporają, jak mi dowódzca żandarmów mówił. W danym razie wezmą do pomocy wojsko.

W lasach ma być sporo wilków i dzików, prócz zwykłej zwierzyny, jak lisów, zajęcy i saren. Tylko jeleni niema, bo je wypłoszono. Przynajmniej w tej okolicy. Za to parę łosiów ma się utrzymywać. Wilki przychodzą zimą pojedynczo i kupkami do osad, w nadziei, że im się uda jakąś gęś, świnię, lub cielę porwać, a gdy koń się nawinie, to go także nie szczędzą. Ludziom dają spokój.

Kamieni w tej okolicy niema żadnych, nawet najmniejszych. Gdyby tam chciał kto według słów ewangelji św. na kogoś rzucić kamieniem, toby musiał skądinąd z sobą przynieść.

Do budowy lepszych domów muszą z dalszych okolic kamienie na fundamenta sprowadzać, lub robią je z cegły, a chłopci budują swoje chałupy na palach dębowych. Gлина na cegłę także nie wszędzie się znajduje i cegła kosztuje znacznie więcej, niż na zachodzie Polski. W tej chwili kupił mój znajomy kilkanaście tysięcy cegieł, sztuka po 30 marek i to jeszcze kiepska cegła, podczas gdy w innych stronach jest tańsza.

Różnicy klimatu nie wyczuwa się, choć są tu błotniste strony. Jednak prowadzone przez mego znajomego bydło i konie z Wielkopolski nie wszystkie wytrzymały, i po jakimś czasie blisko czwarta część zmarniała. Ale to więcej na paszy polega, która jest kwaskowatą. Siano nie ma zapachu takiego przyjemnego, jak w naszych stronach.

We wsi Duboju Zarzecznym, w której się zatrzymuję, jest prócz dworu z zabudowaniami folwarcznemi kilkadziesiąt zagród chłopskich, oddzielnie od folwarku położonych i nieregularnie zbudowanych, bez jakiejś wytycznej linji. Prawie na każdej stodole bocianie gniazdo, boć mają boćki w tych moczarach dużo żab.

Po drodze z dworca widziałem tak zw. futory, to jest, osobne gospodarstwa, oddzielnie na polach zbudowane, na większym

kawałku ziemi, wyglądające jak u nas kolonje, które tamtejsi chłopci wolą. Jest to już ulepszony system gospodarczy, bo zwykle widać tylko „ręcznikowy“. Chłopi, mający po parę dziesięcin (dziesięcina ma dobre cztery morgi magdeburskie), nieraz w kilkunastu miejscach mają swoją rolę i często o kilka wiorst odległą. Na zachodzie Polski nie można sobie takiej gospodarki wyobrazić.

Niektórzy chłopci są zamożni, mając do stu i więcej dziesięcin. Sieją tu każde zboże, prócz pszenicy i grochu, bo te się nie udają, zato widać dużo prosa i lnu, a nawet konopie. Okopowizn i kapusty wiele, które dobrze w tym roku się udały. Kartofle nadzwyczaj wielkie i smaczne, widocznie grunt dla nich podatny, zato buraków nie widać, prócz dla domowej potrzeby. Siana nadzwyczaj dużo, które podobno aż na zachód kraju wysyłają. Największe zyski osiągają z bydła, mając paszy pod dostatkiem.

Wszystko zboże, jakiegobądź i choćby na wielkich kompleksach, żną sierpami i to przeważnie kobiety; tylko siano koszą. (Zapomniałem zapytać, ile im na godzinę za żnięcie sierpem płacą, czy też tyle, co za koszenie kosą lub maszyną?). Urodzaje tego lata są dobre, ale deszcz w sprzątaniu przeszkadzał, przez co część się zmarnowała. Chłopi układają zboże w małe stogi, układane na palach, nie na ziemi. Stawiają je zbiorowo na uboczu wsi i to na jednym miejscu, na którym jest nieraz kilkadziesiąt stogów razem i wygląda to, jakby obóz stogowy. Podobno jest w tem utarty zwyczaj, czy też zabobon, ale gdyby jeden z nich się zapalił, to reszta by napewno też spłonęła.

Ziemi leży jeszcze dużo nieuprawionej, zarosłej różnem zielskiem i trawą, pomimo, że miejscowi chłopci chętnie ją nabywają. Mój znajomy chce do dwóch tysięcy dziesięcin rozparcelować, bo i tak nie może nawet w przybliżeniu wszystkiej wyzyskać, i staje się ona na razie tylko balastem bez żadnych korzyści. Na całym blisko 80-kilometrowym obszarze, należącym do niego, tylko na jednym miejscu są dworskie zabudowania, więc gospodarka utrudniona.

Chłopi dają obecnie za dziesięcinę moczarów, bez drzewa, po 20 tysięcy marek. Za trochę lepszą, z krzewami, do 60 tysięcy, a jeszcze za lepszą do 100 tysięcy, zaś za ziemię, nadającą się pod uprawę, od 150 do 200 tysięcy marek. Płacą za ziemię nie tylko pieniędzmi, lecz i żywym inwentarzem, czyli robi się zamianę, wskutek czego niema tam braku gotówki.

Stan bydła, koni i trzody widać tam nie zły i chłopci mają ich dużo. Tak samo domowego ptactwa. Tylko folwark po tych przejściach wojennych i złej gospodarce poprzednika ma jeszcze nie wystarczająco, co nowy właściciel stara się uzupełnić, a co jednak nie od razu zrobić można.

Z moczarów tylko trawę sprzątają, którą koszą, zbierają i na miejscu w kupki układają, zaś dopiero w zimę, gdy ziemia zmarznie, do wsi zwożą, gdyż w lecie, wskutek grzęskiego gruntu, nie można przewieźć. Lepsze grunta karczują i pod uprawę przygotowują.

Opał biorą chłopci z lasów darmo, czy to pańskich lub rządowych, a rzadko i za drzewo do budowy płacą, i właściciele muszą ten zwyczaj od dawna zaprowadzony tolerować. Zresztą bardzo wiele powalonego drzewa leży w lasach, o które nikt się nie troszczy, a tem mniej o gałęzie i sterczące z ziemi pieńki, których już wcale nie wydobywają, chyba, że na tem miejscu uprawiać chcą. To też dużo drzewa po lasach gnije.

Mają też być tam wielkie pokłady torfu, którego się nie wydobywa, bo poco, jeśli opał jest na wierzchu. W lasach widziałem ule pszczoł, przyczepionych do drzew dębowych, z których chłopci korzystają. Czy się dzielą pomiędzy sobą i jak, to nie wiem.

Serwituty są tam jeszcze w całej pełni i widać na łąkach pańskich pasące się stada bydła i koni chłopskich. Stan ten dla właścicieli jest niebardzo wygodny, ale muszą go również do pewnego czasu znosić, aż Rząd i Sejm w jakiś sposób stosunek pomiędzy dworem i chłopami ureguluje, co pewnie jeszcze długo potrwa. Potrzebne jest także na gwałt uregulowanie tej „ręcznikowej“ gospodarki. Skoro te dwa zadania przeprowadzone będą, nastąpi lepsza gospodarka i grunta nabiorą daleko większej wartości. O ile mi niektórzy chłopci opowiadali, to sami są za uregulowaniem. Nie chcę twierdzić, czy szczerze to powiedzieli, ale być może, zwłaszcza, że sami widzą tę niekorzystną ręcznikową gospodarę.

Ponieważ dwór swej roli własnej niewystarczającym inwentarzem uprawić narazie nie może, więc wydzierżawia po kawale chłopom, tak, jak to już oddawna tam zwyczajem jest. Daje im możliwie w jednym miejscu i wolno im na niej siać i sadzić, co chcą. Widziałem jednak taki osobny ogólny łąn, na którym tylko same żyto było. Naturalnie, że ziemia wskutek takiej go-

spodarki jałowuje, bo nikt z chłopów jej nie mierzwi, więc o jakiejś intensywnej gospodarce w tych warunkach niema mowy. To też obecny właściciel dąży do tego, aby to wydzierżawianie ziemi jaknajprędzej zaprzestać, co z uzupełnieniem inwentarza nastąpi. Wprawdzie jest ten sposób gospodarki dla właściciela może wygodny, bo chłopci są zobowiązani sami uprawić, własne ziarno zasiać, sprzątnąć i z całego zbioru wraz ze słomą trzecią część do stodoły mu przywieźć, jako czynsz dzierżawny, ale cała gospodarka na tem cierpi. Robi więc to z konieczności. Za lepsze łąki dają chłopci dzierżawy połowę zebranego siana, a za gorsze trzecią część. Ze strony dworu jest kontrola zebranej ilości płodów, ale ja myślę, że nie może ona być tak ściśle wykonywaną.

Właściciele większych majątności są polacy i rosjanie. Ci ostatni pozbywają się swej ziemi. Świeżo kupił od rosjanina Teplowa 8000 dziesięcin Uznański z Poronina pod Zakopanem i zapłacił podobno około 380 milionów marek, podczas gdy mój znajomy przed półtora rokiem dał za taki sam kompleks bez porównania z n a c z n i e niższą cenę, bo ani nie dwudziestą część. Ogromna różnica w cenie ziemi w tym czasie nastąpiła. Widać z tego, że z innych części Polski zaczynają tam nabywać, co dla kraju jest korzystnem.

W sąsiedztwie posiada ks. Karol Radziwiłł, syn Jerzego, a wnuk jenerała Antoniego Radziwiłła, który to w Berlinie stale mieszkał, — jak mi mówiono, — „tylko” 180 tysięcy dziesięcin ziemi. Toż to już udzielne księstwo! Odziedziczył te obszary po młodszym synie ks. Antoniego, ks. Stanisławie, który w walce z bolszewikami zginął. Żydom udało się też z początku naszych rządów nabyć parę większych majątków, ale teraz, jako nierolnicy, mają utrudnione nabywanie.

Ustrój administracyjny jeszcze jest ten sam, co był za rosyjskich czasów. Strony tutejsze były częścią gubernji Mińskiej, a powiaty są tak obszerne, że prawie, jak województwa na zachodzie kraju, zaś do gminy, w której bawię, należy aż 19 wsi, jak mnie pisarz gminy objaśniał. Niektóre są jeszcze większe, do 35 wsi obejmujące. W każdej wsi jest sołtys, a na czele gminy wójt. Administracja już z tego względu nie może być sprężystą, nie mówiąc już o złej komunikacji i różnych innych niedogodnościach. To też ludzie radzą sobie, jak mogą.

Do najbliższego miasta Stolina jest stąd 27 wiorst, a następnie są najbliższymi Horyń i Łuniniec. Żwirówek niema, tylko są polne drogi, często z wybojami i kałużami. Życie tutaj dla ludzi kulturalnych jest poniekąd poświęceniem, bo do sąsiadów, z którymi by przestawać można, jest daleko, więc niema z kim żyć. To też kto tu mieszka, może się uważać za pioniera i będzie miał społeczną i narodową zasługę, jeśli swój obowiązek należycie pojmie i wykonuje go. Materjalnie napewno zyska. Wreszcie każdy tamtejszy obywatel może i powinien się komunikować z krajem, tak w swoim interesie, jak i kraju.

Lud w tej wsi jest, z małym wyjątkiem, prawosławny i tylko parę rodzin katolickich w niej mieszka, które uważają się za polaków. Mieszka także kilku żydów, tylu, ile ich do handlu i rzemiosła na miejscu potrzeba. Oni już umieją interesami danej gminy się podzielić.

Są dwie cerkwie z drzewa, jedna stara we wsi, a druga nowa na polu, zbudowana przez poprzedniego dziedzica. Już zdala widać 5 pozłacanych kopuł, świecących się na niej. Jakoż bolszewicy podczas przechodu w r. 1920-tym oszczędzili je i nic nie zrabowali, za to skarżyli się, że im żywność i zboże zabierali. Krzyże przy drogach i na cmentarzach są jednoramienne, według zwyczaju katolickiego. Nie mogłem się dowiedzieć, dlaczego nie trójramienne, jakich prawosławni używają.

O kilka wiorst leży wieś Osowa, zamieszkała przez samych polaków, w której jest kościół katolicki. Do jakiej dyecezji ta okolica należy, to zapomniałem się dowiedzieć. Proboszczem tej polskiej parafji jest ksiądz-Litwomian, więc polscy obywatele tylko z konieczności z nim się komunikują.

Język ludu prawosławnego jest białoruski, który polacy mogą nieźle rozumieć. Może połowa ludu mówi wcale dobrze po polsku, a ci, co nie umieją, nas również rozumieją. Kiedy chłopom mówiłem, że chciałbym im na zebraniu co powiedzieć, ale w polskim języku, to mi odpowiedzieli, żeby mnie dobrze rozumieli. W rozmowie z nimi mogliśmy się nawzajem dobrze zrozumieć. Stosunek chłopów do dworów jest względny, zależy od obustronnego ułożenia się. Do dziedzica odnoszą się w zbliżeniu się do niego z pewnym szacunkiem i całują po rękach. Czy to szczerze robią, z przyzwyczajenia lub wyrachowania, w razie gdy zamierzają jakąś korzyść osiągnąć, to trudno mi było stwierdzić. Do władz polskich odnoszą się biernie, ale nie nieżyczliwie. Mówili

mi, że byle spokojnie pracować mogli, to więcej sobie nie życzą. Potwierdził mi to pisarz gminny, jak również i to, że popi narazie obojętnie wszystko przyjmują.

Lud jest z natury leniwy, wygodny, osobiście mało wymagający. Ubiera się krótko i rzadko kto ma buty, a tylko w łapciach latem i zimą chodzą, które sobie sami z łyków i łożów na zapas robią. Takie obuwie jest nietrwałe, zato nic nie kosztuje, i jak się jedne podrą, to biorą drugie.

Robocizna droższa, niż na zachodzie kraju, zato dłużej pracują. Dziedzic płacił rzemieślnikom pracującym przy odnawianiu dworu w czasie mego pobytu tamże, 5 do 6 tysięcy marek na dzień, w miarę zdolności pracownika, podczas gdy na zachodzie w tym samym czasie mniej płacono. Rzemieślnikami jakimibądź są wyłącznie żydzi, nie mówiąc o kupcach, gdyż lud nie daje swych synów rzemiosła lub kupiectwa uczyć, choćby już dlatego, że nie znajdują dla nich chrześcijańskich majstrów i kupców, a żydzi z zasady uczniów chrześcijańskich nie przyjmują. Pracujący we dworze stolarze, murarze i t. d. sami żydzi, bo chrześcijan dostać nie można. „Tu żydki wszystko robią!“ mówił mi jeden z nich, co można w całym znaczeniu słowa rozumieć. Przyglądałem się ich robocie i muszę przyznać, że pracują rącho, sprawnie i dobrze. O ustawę ograniczającą czas pracy wcale się nie troszczą i żartują z niej. Widziałem ich już o szóstej godzinie rano przychodzących do roboty, i z krótką obiadową przerwą, pracujących do samego zmierzchu. W szabas nie pracują, za to pozwalają im w niedzielę i święta na publicznych miejscach pracować.

W handlu pośredniczą, jak się już samo przez się rozumie, tylko żydzi. Każdy dziedzic ma swego żyda pod ręką do różnych interesów, a więksi właściciele nawet po kilku, których dowcipnie ich „ministrami“ nazywają. Oni od dziedzica wszystko kupują i wszystkiego mu dostarczają. Wogóle bez żyda nie można tam nic kupić ani sprzedać.

W chałatach tam żydzi nie chodzą, jak w Królestwie i Małopolsce, ubierają się krótko.

Wieś ta ma swego pachciarza, który masło i sery wyrabia i w świat wysyła. Ser jest bardzo dobry i soczysty, jak tyłzycki, i wcale niedrogi. Pochwaliłem go, że tak dobry ser robi, więc mu się to spodobało. Chłopi w niedalekiej okolicy wygrali teraz

proces o las, toczący się wiele lat. Jakiś żyd miejscowy kupił od nich połowę i mało zapłacił, bo chłopci wartości lasu nie znali. Za drugą żądali 10 milionów, ale żyd chciał jeszcze odtargować. Zjawił się tymczasem chrześcijański kupiec z Warszawy i sam z siebie dał za nią 150 milionów, a później jeszcze 30 milionów dodał. Chłopci oniemieli. Tak to nieświadomość i głupotę chłopów żydzi wyzyskują.

Jest tu szkoła i nauczyciel, w której uczą tylko po polsku. Jednak nie wszystkie dzieci do szkoły chodzą, bo przymus szkolny jeszcze się nie zakorzenił. Powoli i to nastąpi, a nowe pokolenie będzie po polsku umiało, nietylko mówić, czytać i pisać, ale może i czuć, mianowicie, że co do języka polskiego przychylnie się odnoszą, uważając go za lepszy i kulturalniejszy.

Wartoby pozwolić białorusinom na naukę, choćby parogodziną w tygodniu, czytania i pisanie w ich języku, o ile naturalnie odpowiednie siły nauczycielskie się znajdą, bo to im się słusznie należy i możnaby ich przez to zjednać. Pruskiego i rosyjskiego systemu nie powinniśmy naśladować, gdyż to może przeciwny skutek wywołać. Również ich życzeń trzeba wysłuchać, i na co można w interesie kraju, to się zgodzić, a czego zrobić nie można, im powód wyjaśnić. Mówiłem o tem z rusinami i z paru tam zasiedziałyimi polskimi obywatelami, którzy są tego samego zdania.

Budynek szkolny w tej wsi wygląda zewnątrz wcale dodatnio, ale za to wewnątrz zniszczony i zbyt ciasny, gdyż na około 150 dzieci tylko dwie bardzo szczupłe izdebki są, które z ledwością po parędziesiąt dzieci pomieścić mogą. Z nauczycielem nie mówiłem, bo go, jako podczas wakacji, nie było, ale za to widziałem jego mieszkanie w szkolnym budynku, składające się z małego pokoiku, jako kancelarji, w którym stał stół i krzeselko, i z drugiego podobnego, w którym tylko prymitywne żelazne łóżko widziałem, a na niem jakiś tapczan, i prócz tego mebla jeszcze walizkę. Pozatem nic więcej. W takich warunkach, to trochę trudno o właściwe siły nauczycielskie. Tamtejszy nauczyciel przyszedł z Małopolski i ma do pomocy nauczycielkę rosjankę, mówiącą niezłe po polsku. Stróżowa tej szkoły ma za całe „umeblowanie“ w swojej izdebce siennik na podłodze, na którym cała rodzina sypia i tylko po rosyjsku mówi, nawet nie po małorusku. Dziedzic obiecał tą sprawą się zająć.

Kolonizowanie w tamtych stronach przez byłych żołnierzy nie udaje się, gdyż rząd prócz ziemi, nic więcej nie daje, więc nasi koloniści nie mają gdzie mieszkać i czem ziemię uprawiać. To też złorzeczą i wyzywają na rząd, a lud tamtejszy to widzi i słyszy. Tak mało udolnie to robimy.

Dostarczanie przesyłek pocztowych jest tu jeszcze przedpotopowe. Przychodzą one dla tej okolicy na stację kolei żelaznej Widzibór, skąd dostarczają je poczcie we wsi, gdzie wójt mieszka, odległej 16 wiorst od wsi mego znajomego. Poczta dostarcza je wójtowi, a gdy sołtysi z poszczególnych wiosek u niego się zbiorą, co się podobno raz na miesiąc zdarza, to wtedy zabierają przesyłki i pomiędzy mieszkańców wiosek przy sposobności rozdzielają. Telegramy też tylko w ten sam sposób dochodzą, czyli, że nieraz po miesiącu przesyłki odbierają. Listonoszów tam nie mają, bo któżby zresztą tyle wiorst po rozrzuconych daleko od siebie wioskach mógł chodzić. Z folwarku posyłają po przesyłki pocztowe co dzień na dworzec. Gazet, prócz we dworze, nikt w całej wsi nie czyta. Świat deskami zabity.

Poznałem paru obywateli z okolicy, oddawna tam zasiedziały, i nadleśniczego z Łuninca, poznańczyka. Są to ludzie po obywatelsku sprawy pojmujący. Podług nich mieliby tam powodzenie kupcy i rzemieślnicy, bo i rusini by chętnie do nich szli, lecz cóż, kiedy o mieszkanie trudniej, niż na zachodzie Polski. W Łunincu niema ani jednego lekarza-polaka, zato pięciu obcych. Inteligencji, prócz urzędników, prawie że niema żadnej. Pytałem, czy tam ze względu na bliskość rosyjskiej granicy rzetelny handel z Rosją się uprawia, to mi odpowiedziano, że prawie żaden, gdyż bolszewicy w niczem i nigdy słowa nie dotrzymują.

Nasi liczą się tam na dziesięć procent wszystkich mieszkańców i koło wyborów do Sejmu zaczynali się krzątać, ale jest słaba nadzieja co do dobrego wyniku. Będzie zależało od zręcznej agitacji. Jacyś agitatorzy z pod ciemnej gwiazdy namawiają chłopów do pójścia razem z żydami.

Wyniosłem stamtąd wrażenie, że powolna asymilacja białorusinów nie będzie trudną, byle tylko zręcznie i sprawiedliwie z nimi postępowano. Gwałtowne środki byłyby nie na miejscu. Jakie to piękne zadanie jeszcze nas czeka.

Jestem nadzwyczaj wdzięczny memu znajomemu i jego godnej małżonce za miłą gościnę, podczas której miałem sposobność poznania przeciwnych kresów naszej Polski oraz ich mieszkańców.

Zakończenie.

Jestem wdzięczny Instytutowi Socjologicznemu w Poznaniu, że przez rozpisanie konkursu na życiorys robotnika i mnie do napisania własnego życiorysu pobudził. Nie było to przy moich codziennych obowiązkach, a zimą z braku osobnego ciepłego kącika, w którym mógłbym spokojnie pisać, — dla mnie łatwym zadaniem, bo nie mogłem zaraz po ogłoszeniu konkursu zabrać się do pisania, a tymczasem termin oddania życiorysu się zbliżał. Więc musiałem się spieszyć, wskutek czego sposób pisania na tem ucierpiał. Pozatem żądano do sześciuset stron, a to dla piszącego, nie mającego wprawy do pisania tak wiele naraz, nie fraszka. W życiu swoim pisałem względnie dużo, ale były to tylko rachunki i monita, nad którymi nie potrzebowałem się namyślać (i... nabrałem w piśaniu ich wprawy), zaś co innego jest napisanie życiorysu i to jeszcze własnego. Nie miałem też wzoru, podług którego mógłbym się stosować, więc wypadło mi pisać podług własnego pomysłu. Czytałem wprawdzie dawniej kilka pamiętników, a pomiędzy nimi Rockefellera i mego kolegi z Frankfurtu n/M., lecz nie można się było na nich wzorować, gdyż nie pisali tego, co w ogłoszonych warunkach żądano.

Z opisem pierwszych dwudziestuparu lat mego życia jeszcze jakoś szło, ale z opisywaniem późniejszych, w których moja czynność poczęła się na różne działy rozkładać, szło mi jak po grudzie, bo nie łatwo było wszystek materiał naraz opanować i go ugrupowywać, nie wiedząc często, do którego działu to lub owo przydzielić, i dla tego może się powtarzałem. Szło mi też nieraz jak owym żydom z budową kościoła w Jerozolimie, że co we dnie pobudowali, to w nocy im ktoś popsuł i musieli na drugi dzień od nowa zaczynać. Podobno Schiller dziesięć razy swoją „Ifigenię“ poprawiał, zanim ją na widok publiczny pokazał, zaś mnie już nie wiele czasu na poprawianie pozostało. Również z tego samego powodu nie wykorzystałem nagromadzonego licznego materiału, jaki z biegiem lat zbierałem — nie wiedząc, na co się przyda — i, z małym wyjątkiem, pisałem z pamięci.

Będąc jeszcze młodzieńcem, widziałem w „Wędrowcu“ obrazek, narysowany przez znanego rysownika Kostrzewskiego, przedstawiający obywatela na wsi, a przed nim chłopca, stojącego boso, którego tenże pyta: „Czemu się trzęsiesz?“. — „Bo mi zimno“. — „Mogłeś biedz, tobyś się był rozgrzał!“. — „Adyć leciałem w dyrdy, ino bez śnig przez butów“. — „Ależ mój kochany nie mówi się tam bez, gdzie przez“, — na co mu chłopiec odpowiedział: „Proszę wielmożnego Pana, gdy jest mróz, a butów niema, to czy bez lub przez, jest w nogi zimno“. Czyli, że w takich razach nie uważa się na formę, lecz głównie na treść. Zresztą Komisji Konkursowej tylko o treść chodziło, — jak to w swoim ogłoszeniu nazaczyła.

Nie wszystko też zdążyłem wyczerpująco opisać, a i pewne względy na osoby i sprawy odgrywały rolę, lecz i to, co napisałem, może się na co przyda. Jeżeli szanowna Komisja to moje pisanie za jakie takie uzna i z tego powodu dostanie się do publicznej wiadomości, to czytający je zechcą mnie wyrozumieć.

Pisząc życiorys, przesunęło się przed mojami oczyma, jak w kalejdoskopie, wszystko to, cokolwiek w życiu przechodziłem. Przyglądałem się własnemu życiu, jakby w zwierciadle i miałem sposobność przekonania się, czy na „marne nie zginęło“ i czy nie „wstyd i zgroza, iż się żyło“. Jest to, jakby rachunek sumienia z całego życia. Stwierdziłem, co człowiek przejść może i powinien i co, jakby trudnem się zdawało, a jednak się zrobiło. Może wymagałem od siebie dużo, lecz widocznie nie za wiele.

Gdyby mnie zapytano, czybym jeszcze raz chciał przez życie przejść w takich samych warunkach, w jakich przeszedłem, tobym nie wahał się potakująco odpowiedzieć. Praca nie nużyła mnie i dlatego życie nie straciło dla mnie powabu. Ułożyłem je według wiersza, którego się w szkole nauczyłem:

„Chcesz mieć lata późne, stare,
Utrzymuj we wszystkim miarę:
W jadle, picciu, w szczęścia zorze,
W pracy, w leży i snu porze“.

A jabym jeszcze dodał, że i w używaniu znanego przysłowia: „Młodość ma swoje prawa“. U mnie ono „praw“ nie miało. Gdy mnie teraz ktoś zapytał: „Co pan robił, że jeszcze taki bujny włos ma?“, — to mu odpowiedziałem, żeby to pytanie odwrotnie stawiał, a będzie miał jednocześnie odpowiedź.

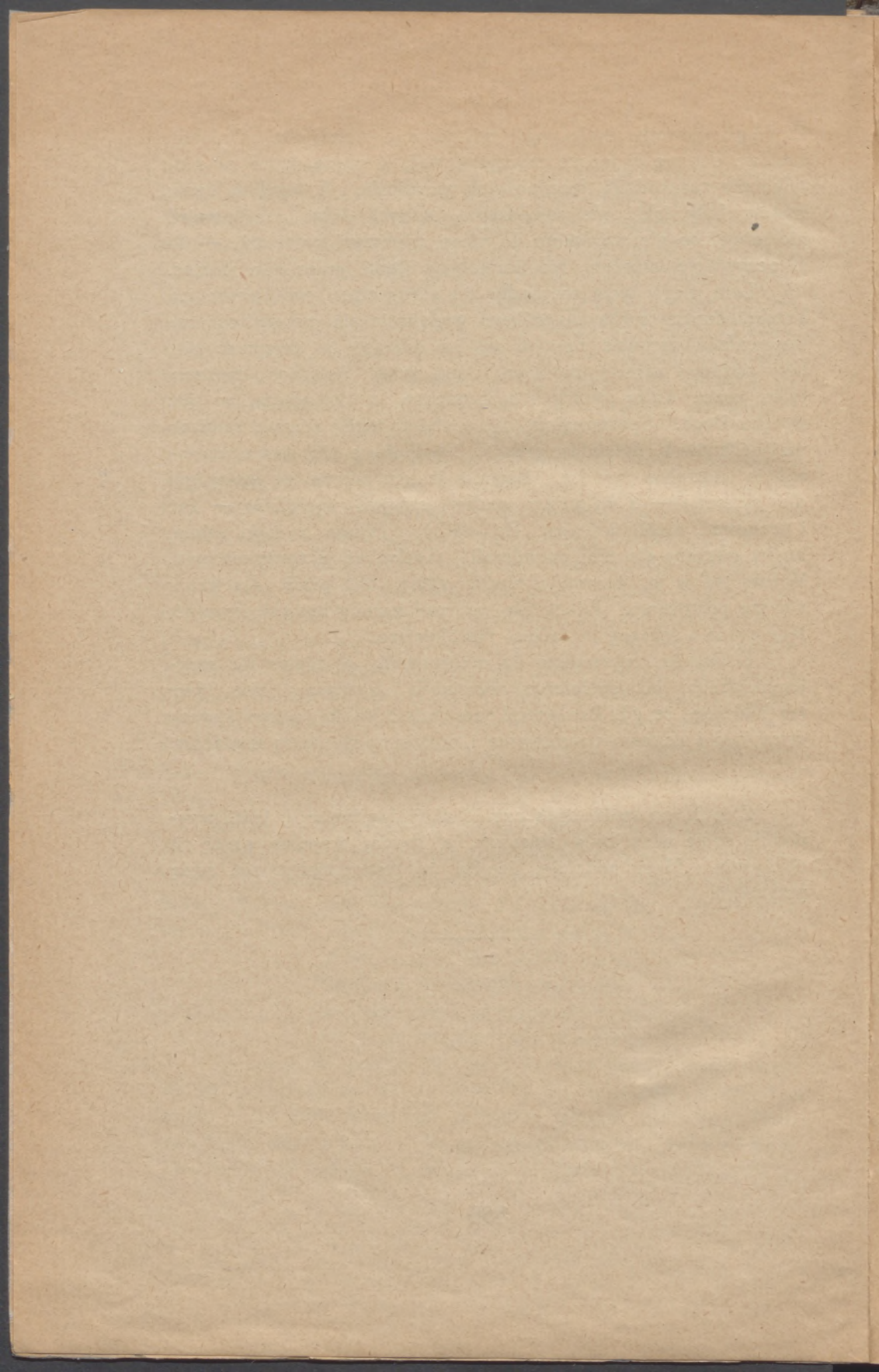
Z tego powodu moja wątła postać nie ucierpiała. Wolałem życiową energję w lepsze rzeczy wlewać, w pracę, która mi nie tylko nie zaszkodziła, lecz pożytek przyniosła. A jeżeli w życiu mojem były jakie nie powodzenia, których sobie przypomnieć nie mogę, bo nie stawiałem do niego większych pretensyj, — to je oczywiście łamałem, nie pozwalając sobie przez nie złamać.

Lata mego życia przypadły na okres czasu, w którym po bezskutecznych orężnych próbach wydobycia się na wolność zapanało w narodzie naszym ogólne zdanie, że utrzymać się, jako naród i narazie możliwą niezależność osiągnąć, możemy tylko przez usilną pracę i oszczędność, a co potem, to już w ręku Boga. Spostrzegłem dobre skutki takiej pracy u znanych przywódców b. dzielnicy pruskiej i jedynie w niej nasze uzdrowienie widziałem i widzę. Bowiem jestem zdania, że lepiej jest dla ojczyzny — z wyjątkiem nadzwyczajnych wypadków — żyć i pracować, niżeli umrzeć. Bo cóżby ojczyzna z tego miała, gdyby wszyscy dla niej poumierali! Tożby już jej także nie było. Wierzę też w to, że wojny kiedyś zginą, ale praca dla kraju zawsze pozostanie. Wtedy nie wojnami narody będą się zmagać, lecz pracą i tężyzną, a to jest moralniejsze.

Osobiście przyszedłem do przekonania, że niema nic przyjemniejszego, jak spełnianie obowiązku i uczciwe życie. Mam też nadzieję, że gdy Pan wrócił nam cudem Polskę, uczyni jeszcze drugi cud i da nam upamiętanie i potrzebny rozum do rządzenia.

.....

Z tych, co może będą czytać niniejszy życiorys, jedni przypomną sobie nasz były stosunek, a drudzy wspólną pracę na obczyźnie. Mam nadzieję, że im te wspomnienia nie będą przykre.



Spis rozdziałów.

	Str.
1. Przedmowa	III
2. Słowo wstępne	XIX
3. Lata dziecięce	1
4. Nauka rzemiosła	10
5. Mój debiut jako czeladnika krawieckiego	14
6. Wyjazd do Poznania	17
7. Wyjazd do Berlina i jak się tam w pierwszych latach urządziłem	20
8. Początek pracy społecznej w Berlinie	24
9. Wyjazd do Warszawy	26
10. Powrót do Berlina i dalsza tam praca	29
11. Zamiar ustalenia się	33
12. Przyjazd na miejsce przeznaczenia i jakie tam wrażenie zrobiłem	34
13. Co robić dalej	39
14. Jaki był początek mego przedsiębiorstwa	41
15. Moja dalsza praca społeczna	44
16. Ponowne fizyczne i duchowe osłabienie	46
17. Rozrastanie się mego przedsiębiorstwa i przybieranie sobie pomocników	49
18. Brak gotówki obrotowej	51
19. Kredyt u dostawców	52
20. Przeniesienie i rozszerzenie przedsiębiorstwa	54
21. Młodzież uniwersytecka jako klienci	55
22. Jacy byli dalsi klienci i jaki był nasz wzajemny stosunek	84
23. Artyści i literaci jako odbiorcy	90
24. Nieco o ubieraniu się	93
25. Jak podróżowałem w interesach mojej firmy i co w podróżach spostrzegalem	94
26. Udzielanie kredytu odbiorcom	97
27. Zabezpieczanie pretensyj	99
28. Biura wywiadowcze	101
29. Jak mi płacili dłużnicy	103
30. Ściąganie pretensyj w kraju	106
31. Ściąganie pretensyj za granicą	108
32. Szukanie dłużników	110
33. Czas — to pieniądz	114
34. Wyrabianie sobie konkurencji	116
35. Stosunki do dostawców i ich agentów i zakupywanie towarów	117
36. Stosunek do robotników	119

	Str.
37. Stosunek mój do personelu	124
38. Urządzenie własnego domu w Berlinie i wychowanie dzieci	127
39. Stosunek do rodzinnego domu	138
40. Jak zaprawiałem się do publicznej działalności, działalność sama, oraz stosunek do władz	141
41. Towarzystwo Polskich Przemyslowców w Berlinie	153
42. Nieco o naszych berlińskich towarzystwach wogóle	156
43. Towarzystwa żeńskie w Berlinie	161
44. Związek Towarzystw Polskich w Berlinie	163
45. Polityczna organizacja w Berlinie i mój udział w niej	166
46. Zebrania w sprawie wychowania dzieci na obczyźnie	176
47. Publiczne zebrania społeczne	181
48. Książd Patron Piotr Wawrzyniak	186
49. Bank Skarbona	199
50. Dziennik Berliński	201
51. Upominanie się polaków-katolików w Berlinie o należące się im prawa w kościele	212
52. Kościół św. Jadwigi	234
53. Dom polski	236
54. Konsulat	238
55. Stosunek mój do dziennikarzy	243
56. Baron Puttkamer	249
57. Okręg tow. zawodowych	251
58. Towarzystwa terminatorów	253
59. Tow. opieki nad wychodźcami sezonowymi	258
60. Czy rzemieślnikowi jest potrzebne wyższe wykształcenie szkolne?	259
61. Zapatrywanie moje na równouprawnienie kobiet	262
62. Rozmiar mego przedsiębiorstwa w ostatnich latach	265
63. Wyjazdy w celu wypoczynku	267
64. Zwiedzenie Belgii i Francji	273
65. Podróż do Rosji	274
66. Podróż do Rzymu	282
67. Wojna	290
68. Powrót na stałe do kraju	305
69. Urządzenie się w Poznaniu	309
70. Co spostrzegam w kraju, a najprzód o wartości pracy i jej ogra- niczeniu	319
71. Dalsze spostrzeżenia	334
72. Nad Prypecią	347
73. Zakończenie	357



Omyłki w druku.

Strona	3	wiersz	9	od dołu	zamiast „odpowiadał”, ma być „opowiadał”.
„	8	„	12	„	„odzielnie” „ „oddzielnie”.
„	10	„	18	„ góry	brak „w“ przed „świecie i zamiast „co się od niego nauczyłem”, ma być „czego się od niego i t. d.
„	16	„	3	„ dołu	zamiast „Za to oszczędziłem”, ma być „Za to nie oszczędzałem” i t. d.
„	85	„	10	„ góry	wyraz „skreślić” jest zbyteczny.
„	160	„	1	„	zamiast Feliks Nowowiejski”, ma być „Zarembe”. F. Nowowiejski tylko dyrygował na koncertach.
„	160	„	10	„	„że przy” itd., ma być „co przy” itd.
„	163	„	4	„ dołu	„ „postawiono”, ma być „postanowiono”.
„	169	„	3	„	„ „bezdzienny”, ma być „bezdzielny”.
„	245	„	9	„	wyraz „że powiedziałem” jest zbyteczny.
„	266	„	13	„	zamiast „zapytywał”, ma być „zapytał”.
„	275	„	5	„ góry	„ „dyrektorów ze mną się nie wykąpie”, ma być „debitorów ze mną się nie kąpie”.
„	275	„	17	„	„ „bawiący więc”, ma być „bawiący wtedy”.
„	283	„	14	„	„ „niemoralne pary”, ma być „młode pary”.
„	291	„	2	„	„ „naszych rozbiorów”, ma być „naszych rozbiorców”.
„	291	„	11	„	„ „powód”, ma być „początek”.
„	294	„	9	„	„ „Szybko”, ma być „szybko”.
„	298	„	8	„ dołu	„ „porozumienia”, ma być „porozumienie”.
„	301	„	14	„	„ „Grewe”, ma być „Growe”.
„	305	„	12	„ góry	„ „Zafrasował”, ma być „zafrapował”.
„	321	„	3	„	„ „nie dorówna”, ma być „nic nie dorówna”.
„	348	„	15	„	„ „pociądu”, ma być „pociągu”.
„	359	„	6	„ dołu	„ „Pan”, ma być „Pan Bóg”.

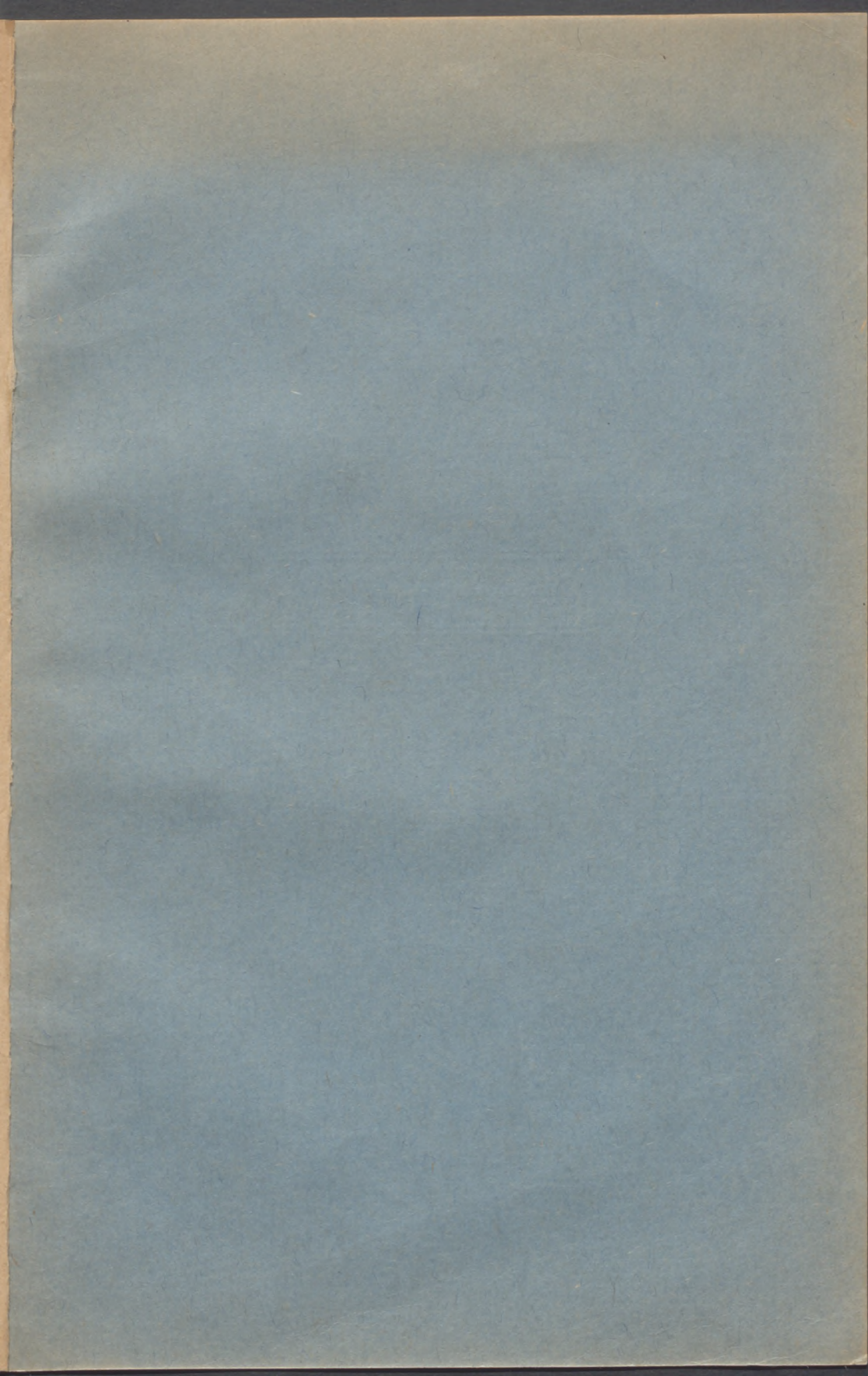


Z. 546/52

Biblioteka Główna UMK



300048884887



CZCIONKAMI
ZAKŁ. GRAFICZNYCH „POL” T. Z O. P.
POZNAŃ